

**W R O G**

**WROGA**

**W R O G**  
**WROGA**

Jan GUILLOU

Przełożyła ze szwedzkiego  
**Halina Thylwe**

  
**almápress**  
Oficyna Wydawnicza  
Warszawa 1994

Tytuł oryginału: Fiendens fiende

Redaktor *Elżbieta Pietrak*

Projekt okładki *Iwona Walaszek*

Redaktor techniczny *Włodzimierz Kukawski*

Korektor *Beata Mianowska*

Copyright © Jan Guillou 1989

Copyright © for the Polish edition by O.W. Alma-Press 1994

The original edition of the work has been published by Norstedts Förlag,  
Stockholm.

ISBN 83-7020-173-3



DRUK I OPRAWA

Zakłady Graficzne w Gdańsku

fax (058) 32-58-43

**Wróg**

# 1

Za każdym razem, kiedy próbował udusić jakąś kobietę, ponosił porażkę. Ale to już dawne czasy, nigdy nie myślał o tym poważnie, był wtedy chory i zdesperowany, a może po prostu zbyt często wstawiony. Teraz rzecz się miała zupełnie inaczej.

Opacznie go zrozumiała, gdy zgasiwszy światło w kajucie, przewrócił ją na brzuch i usiadł na niej okrakiem. Zachichotała.

A potem zaczął ją dusić, niemal z czułością, pieszczotliwie, jakby rzeczywiście była jego żoną. Kolanami ściskając jej ramiona, delikatnie błędził kciukami po karku, dopóki nie znalazł miejsca, w którym kręgosłup spotyka się z kośćmi czaszki, i oplótł palcami szyję.

Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, co się dzieje. Szarpnęła się i biła nogami o koję. Przypominała wyrzuconą na brzeg rybę. Miękka pościel tłumiała jej gwałtowne ruchy, które po piętnastu bardzo długich sekundach, gdy wskutek braku dopływu krwi do mózgu zaczęła tracić przytomność, ustały.

Nie puszczał jej, jak długo starczyło mu sił w dłoniach. W końcu podniósł się ciężko i masując w ciemnościach zeszywniałe palce, przez dobrą chwilę stał nieporuszony.

Odkręcił mosiężne gałki, otworzył bulaj i przysunawszy stołek, wyjrzał. Usiłował spojrzeć w górę i na boki, ale chłodny wiatr i zacinający deszcz zniweczyły jego zamiary.

Była druga w nocy, najciemniejsza pora roku, statek kołysał się na otwartym morzu. Mało prawdopodobne, by któremuś z pasażerów zachciało się właśnie teraz podziwiać z pokładu fale Bałtyku.

Zszedł ze stołka i wytarł twarz zasłonką. Odetchnął głęboko i zebrawszy się w sobie, ściągnął z kobiety nocną koszulę. Delikatny materiał, podobny do jedwabiu, przypuszczalnie sztuczne włókno, był zbyt gęsto tkany, mógł się zachować jak powietrzna poduszka...

Gdy zdjął obrączki i zegarek, które cisnął w czarną pustkę, zarzucił jej prawe ramię na szyję i podciągnął ciało pod okrągły otwór. Trochę to trwało, nim wysunął je do połowy. Potem wystarczyło chwycić pod kolanami i unieść w górę, pchnąć. Szybko i bezgłośnie zniknęło w ciemnościach.

Zakręcił bulaj i stał jakiś czas z czołem przyciśniętym do mokrej, zimnej szyby.

Ich kajuta znajdowała się mniej więcej na śródokręciu. Spadła z blisko dziesięciometrowej wysokości. Istniało spore prawdopodobieństwo, że dzięki turbulencji wyląduje dziesięć metrów pod wodą albo wciągnie ją śruba. Szanse na jej odnalezienie były więc znikome, a na to, że mogłaby kiedykolwiek wypłynąć na szwedzki brzeg i zostać zidentyfikowana, żadne.

Nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia. Wtedy już wygra albo przegra, do tego czasu wszystko się wyjaśni.

Podszedł do drzwi i zapalił światło. Gdy wytarł ręcznikiem deszczówkę wokół bulaja, spakował rzeczy kobiety do małej walizki, starannie poukładał przybory toaletowe i na wierzchu położył białą koszulę nocną. Potem ubrał się i poprawiwszy pościel na dolnej koi, wyciągnął się na niej, splatając dłonie pod głową.

Przed trzema dniami skończył pięćdziesiąt lat i z tego powodu uzyskał na mocy jakiegoś tam paragrafu czterdziestośmiogodzinną przepustkę z więzienia. Nim upłyną te dwie doby, będzie na drugim brzegu. Przypuszczalnie wcześniej nikt go nie zacznie ścigać. Panów siedzących w samochodzie pod jej domem na przedmieściach, gdzie mieszka... gdzie mieszkała, zmienią koledzy, żeby przez kolejnych osiem godzin pilnować pustego lokalu i wynajętego wozu, który stał przed bramą, urągając przepisom parkowania.

Gdyby jednak wbrew przewidywaniom podjęto pościg, policjanci będą wypatrywać na nabrzeżu w Nådendal pary w średnim wieku i samochodu o nie znanym im numerze rejestracyjnym. Nie zwrócą uwagi na samotnego mężczyznę. Zresztą nie zdążą nawet wszcząć alarmu, nikt go na nabrzeżu nie powita. Miał zatem jeszcze osiem godzin, cztery do Helsinek i cztery w Helsinkach, do odejścia promu do Tallina.

Bez niej nic by się nie udało. Wynajęła samochody i załatwiła bilety, gdyby nie ona, nie dostałby tak zwanej przepustki bez obstawy. Zgodnie z humanitarnymi zasadami szwedzkiego więziennictwa mężowi i żonie powinno się zapewnić podczas spotkań w miarę dużo swobody. Prawdopodobnie nie założyli nawet podsłuchu w jej mieszkaniu. Szwecja to rozlazły kraj, nie brak w nim naiwności i głupoty.

I tak nie spędziłaby reszty życia w Moskwie. Mamił ją zapewnieniami, że po kilku latach będą ją mogły odwiedzać dzieci i wnuki, mówił, że ponieważ jest majorem GRU, przysługuje mu mieszkanie w mieście i domek letniskowy nad Morzem Czarnym. Tam znajdą szczęście po wsze czasy. Wierzyła we wszystko.

Teraz jest znacznie szczęśliwsza, niż byłaby po przyjeździe na miejsce. Gdyby powiedział, że posłużył się nią tylko jako przykrywką, która miała mu pomóc w ucieczce, bo przecież nic innego powiedzieć by nie mógł, najpewniej by ją usunęli, wysłali na Sybir albo, co bardziej prawdopodobne, zastrzelili.

Niewykluczone, że musiałby jej towarzyszyć w podróży na Północ. Bo gdyby Rosjanom przyszło do głowy, że skazanym za szpiegostwo na rzecz Związku Radzieckiego nie daje się przepustek — jak w innych krajach — uznaliby, że zwerbował go zachodni wywiad. A dotychczas każda próba ulokowania w moskiewskiej Kwaterze Głównej GRU podwójnego agenta kończyła się niepowodzeniem.

Jeśli więc dojdą do takiego wniosku, finał może być tylko jeden. Mniej lub bardziej nieprzyjemny.

Choć z drugiej strony jego ucieczka wywołała taki rozgłos i zamieszanie, że stanie się jasne, iż istnieje taki kraj na ziemi, w którym radzieckim szpiegom legalnie przysługują przepustki, pełne utrzymanie, gratyfikacje za sumienną pracę, nowe nazwisko i prawdziwy paszport.

A poza tym pozbył się jej. Szwedzkie władze nigdy by się nie zgodziły na taki sposób zapewnienia przykrywki swojemu szpiegowi. Jeśliby Rosjanie nadal wątpili w jego wersję, sugerując, że Szwedzi kazali jej zniknąć i nigdy więcej nie kontaktować się z dziećmi i wnukami, skutecznie zbije ten argument. Takie posunięcie nie wchodzi w grę w kraju, w którym obywatele mają swój numer osobowy, każdy telefon można zaopatrzyć w podsłuch, a gazety informują o wszystkim.

Zabicie jej stanowiło część jego ubezpieczenia na życie. Teraz jest zresztą w lepszej sytuacji, niż gdyby przyszło jej w Moskwie czekać na zsyłkę. Może przez jakiś czas była nawet szczęśliwa?

Tak jest najlepiej dla nich obojga.

Niekiedy czuł do niej wstręt. Prawie dziesięć lat starsza od niego i wyglądająca na swój wiek, wierzyła, że ją kocha i chce spędzić z nią resztę życia tylko dlatego, że całą wieczność temu, kiedy odbywał okresowe letnie ćwiczenia wojskowe, parę razy się spotkali. A kilka lat po wyroku zaczęła pisać do niego listy. Fatalnie się wtedy czuł.

Mimo że stuknęła mu pięćdziesiątka, był w lepszej formie niż kiedykolwiek, w każdym razie odkąd służył w komandosach. Dzięki więzieniu siedem lat spędził w trzeźwości i codziennie trenował. Ważył dwadzieścia kilo mniej niż przed wyrokiem, robił siedemdziesiąt pięć przejść z pozycji leżącej do siedzącej i wyciskał dziewięćdziesiąt kilo. Czas upokorzeń minął.

Poczuł rosnącą nienawiść, poziom adrenaliny podskoczył, puls zaczął bić żywiej.

Izraelczycy prawie go złamali. Niestety. Był w fatalnym stanie, nietrzeźwy i nieostrożny. Zdjęli go bardzo szybko i nim zagrozili natychmiastowym straceniem, jeśli nie zgodzi się na współpracę, napoili whisky. Wyszedł z założenia, że mimo zapewnień nie wiedzą wszystkiego, i powiedział, że jest wprawdzie oficerem GRU, ale nie kapitanem, jak myśleli, tylko majorem, i że jego działania są wymierzone w Szwecję, a nie w Izrael. I wymienił parę prawdziwych i parę zmyślonych operacji na terenie Szwecji.

A gdy go znów napoili i wsadzili do samolotu El Al, zaczęło mu się roić, że wyszedł z opresji cało. Ale na kopenhaskim lotnisku czekała na niego szwedzka policja. Dostali teleksem odpisy protokołów przesłuchań i raporty.

Szwedzcy koledzy kupili wszystko, co powiedział Izraelczykom, i uznali go jedynie za operatora działającego na szkodę Szwecji. Skończyło się na dożywociu. Na dokładkę dali mu żydowskiego adwokata, który nie chciał słyszeć o żadnych nieporozumieniach w Izraelu i w jego imieniu przyznał się do wszystkiego, co wysmażyli koledzy z bezpieki. A kiedy po pół roku pozbierał się na tyle, żeby pomyśleć o odwołaniu się od wyroku, obrońca poleciał do Säpo [Säpo — säkerhetspolisen — policja bezpieczeństwa, czyli szwedzka służba bezpieczeństwa (przyp. tłum.)], a potem mu wmówił, że spowoduje to jedynie cięższą karę i że żona może wylądować na ładnych parę lat w więzieniu, jeśli będzie obstawał przy swoim. Więc zrezygnował, poddał się, próbował nawet popełnić samobójstwo. Państwo prawa, którego wszyscy zdawali się bronić, przypominało szwedzkie karykaturalne wyobrażenie o Związku Radzieckim. Nic nie był im winien, teraz oni mu zapłacą.

Jest oficerem GRU, profesjonalistą, pracował dla swojej ojczyzny. Bez służb wywiadowczych świat byłby znacznie groźniejszy i nie ma większego znaczenia, po której stronie operuje dany oficer wywiadu, czy jak mawiali cywile, szpieg. To się wyrównuje.

Ma pięćdziesiąt lat i jest w znakomitej formie. Przed nim co najmniej piętnaście lat aktywności zawodowej i od tej pory będzie bardzo dobrym pracownikiem. Ani kropli alkoholu, żadnych kobiet, w każdym razie nie w takim stylu jak kiedyś. Dwie z nich poszły do Säk [Säk — skrót od säkerhetstjänst — służba bezpieczeństwa (przyp. tłum.)] i zadenujowały go jako szpiega. Na szczęście koledzy trzymali się wówczas teorii, że po pierwsze Związek Radziecki nie wykorzystuje już konwencjonalnych szpiegów (w ten sposób tłumaczono sobie fakt, że w Szwecji nigdy nie ujęto radzieckiego szpiega; po prostu nie istnieli), po drugie Stig Sandström nie może być szpiegiem, bo pracuje w służbie bezpieczeństwa, i po trzecie główne zagrożenie stanowi międzynarodowy terroryzm, czyli demonstracje lewicy, i czarnuchy, a nie jacyś tam wyimaginowani radzieccy szpiedzy.

Tak więc uporządkowane życie, mniej alkoholu i mniej kobiet. Zresztą z dużą dozą prawdopodobieństwa Rosjanie zaproponują mu to samo jako warunek dalszej współpracy.

Kiedy statek podpływał do Nådendal, wstał, ogolił się i zapakował przybory toaletowe do torby lotniczej, jedyne go bagażu. Sprawdziwszy, czy niczego nie zostawił, powycierał wszystkie powierzchnie, których on lub ona mogli dotykać. A potem z torbą i walizką zszedł na dół do samochodu. Jej walizkę włożył do bagażnika, swoją torbę postawił na tylnym siedzeniu. Był zdumiewająco spokojny, mimo że podróż zbliżała się do punktu krytycznego.

Samochody wytaczały się w ciemnościach, wokół ani śladu policjantów i żadnej odprawy celnej. Wszystko poszło niepokojąco gładko.

Jadąc do Helsinek, skrupulatnie przestrzegał ograniczeń szybkości. Zatrzymał się tylko raz, żeby wypić kawę i zorientować się, czy nie jest śledzony.

Nim dotarł do Helsinek, był pewien, że się udało. Czekał go jeszcze jeden moment krytyczny.

Zjechał z autostrady, zaparkował na przedmieściach i właśnie zamierzał się oddalić, gdy pomyślał o odciskach palców. Nie, cały czas prowadził w rękawiczkach, ze Sztokholmu do Norrtälje też. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Samochód znajdą za tydzień albo dwa, a wtedy i tak wszystko będzie jasne.

Otworzył drzwi, zdjął rękawiczkę z prawej dłoni i zostawił na desce rozdzielczej wyraźny odcisk środkowego palca. Uśmiechnął się i wyprostowawszy palec w geście pożegnania, zamknął wóz. Z torbą w ręku ruszył w kierunku centrum przedmieścia, skąd powinien złapać jakiś autobus do miasta.

Pozostawał tylko jeden problem. Mniej więcej godzinę przed odbiciem promu musi się jakoś porozumieć z pierwszym oficerem pokładowym. Nie z kapitanem ani z drugim oficerem, tylko z pierwszym.

Niezależnie od tego, kto pełnił tę służbę, zawsze był to oficer GRU. Wystarczy zamienić z nim parę słów na osobności. A potem po wsze czasy zniknąć z pola widzenia szwedzkiej bezpieki i zacząć się jej odpłacać. Pięknym za nadobne.

Już sobie wyobrażał długą podróż pociągiem z Tallina przez Leningrad do Moskwy.

Pomylił się. Po dwudziestoczworgodzinym przetrzymaniu go w Tallinie został przewieziony samolotem wojskowym do Moskwy. Kiedy maszyna zaczęła kołować ku wysokiemu budynkowi starego lotniska, zrozumiał, gdzie jest. W jednym z najlepiej strzeżonych gmachów mieściła się owiana legendą Centrala, w której pracowało blisko pięć tysięcy ludzi. Serce światowej siatki GRU.

\* \* \*

Dwadzieścia osiem godzin po ucieczce radzieckiego szpiega Stiga Sandströma, a raczej, zgodnie ze szwedzką terminologią, po „zrobieniu niewłaściwego użytku z przepustki” (ponieważ do statystyk uciekinierów wciągnięto go trzy miesiące później) wszczęto alarm. Ogólnokrajowy. W tym czasie poszukiwany mniej więcej od sześciu godzin siedział w obskurnym pokoju, gdzieś w tallińskim porcie, mając za towarzystwo zepsutą maszynkę do gotowania herbaty.

Z radzieckiego punktu widzenia, a mówiąc dokładniej, z punktu widzenia GRU, kwestię zasadniczą stanowiło ustalenie prawdziwych okoliczności owej niewiarygodnej ucieczki. Od tego zależało wszystko. Jeśli całą tę imprezę zaaranżowały władze szwedzkie lub zachodnioeuropejskie po to, by wprowadzić do GRU infiltratora, konsekwencje łatwo przewidzieć. Stig Sandström, najlepiej po przyznaniu się, zniknie na zawsze.

Jeśli się natomiast okaże, że niemożliwe jest możliwe, że skazany na dożywocie szpieg rzeczywiście może otrzymać przepustkę bez obstawy, trzeba się zastanowić, jak skorzystać z usług byłego informatora.

Istniało spore ryzyko, że przesłane wnioski nie będą zbyt przekonujące. A dla Jurija Cziwarszewa, oficjalnie attaché wojskowego w stopniu generała majora przy ambasadzie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, a w rzeczywistości rezydenta GRU na Skandynawię, oznaczało to wcześniej czy później złożenie podpisu pod raportem, za który — jeśli się okaże błędny — może zapłacić karierą. W najlepszym razie.

Dlatego było sprawą niesłychanie ważną, by Centrala otrzymała raport ścisły, zawierający ścisłą analizę przebiegu wydarzeń.

Jurij Cziwarszew czuł, że niełatwo będzie przekonać kolegów w Moskwie. Szwecja to jedyny kraj na ziemi, w którym coś takiego mogło się zdarzyć. Nie tylko w bananowych republikach Ameryki Środkowej, w „twardych” krajach zachodnich, w państwach Trzeciego Świata czy państwach socjalistycznych, ale nawet w „miękkich” krajach zachodnich, takich jak Austria czy Finlandia, skazany na dożywocie szpieg radziecki nie wyszedłby nie pilnowany na przepustkę i nie wyjechał z kraju z nowym paszportem, nowym wyglądem i pieniędzmi w kieszeni, które dostał od władz jako rentę i zasiłek chorobowy.

Nigdzie z wyjątkiem Szwecji. Czyli teoretycznie mogło tu naprawdę chodzić o ucieczkę.

A poza tym Jurijowi Cziwarszewowi trudno było sobie wyobrazić, by szwedzki organ bezpieczeństwa zdobył się na operację typu brytyjskiego czy amerykańskiego. Nie wspominając już o jego możliwościach formalnoprawnych.

W Wielkiej Brytanii albo w innym „twardym” kraju zachodnim podwójny agent nie cieszyłby się długim życiem. Ale w Szwecji cała ta logika brała w łeb.

Jurij Cziwarszew podniósł się z westchnieniem i ruszył na rutynową przechadzkę po pokoju. Przy oknie obrzucił zadumany spojrzeniem niebieski neon na szczycie ceglanego



budynku, który obwieszczał, że mieści się w nim najbardziej antyradziecki dziennik w Skandynawii.

Choć z drugiej strony „Svenska Dagbladet”, dzięki swej gorliwości w zwalczaniu rządów socjaldemokratów przez publikowanie tajnych informacji wojskowych, stanowił jedno z najważniejszych i najbardziej wiarygodnych źródeł GRU. Bardzo pomocny wróg.

Dotyczyło to również obecnej sprawy. Analiza zagadkowej ucieczki opierała się niemal wyłącznie na ogólnie dostępnych materiałach.

Na razie podpisał jedynie inicjałami część załączników. Podsumowanie leżało na biurku obok skoroszytu. Podszedł i jeszcze raz je przejrzał.

Za punkt wyjścia należy przyjąć chronologię wydarzeń, co pozwoli ustalić powiązania między łatwymi do sprawdzenia faktami.

26 września rząd szwedzki odrzucił prośbę Stiga Sandströma o ułaskawienie. Centralny Zarząd Więzień i cywilna służba bezpieczeństwa udzieliły poparcia, dowództwo wojskowe było przeciw.

Sandströma powiadomiono o terminie czterdziestoośmiogodzinnej przepustki bez obstawy z tygodniowym wyprzedzeniem. „Bez obstawy” oznaczało tyle, że pracownik Zarządu Więzień miał go zaprowadzić do mieszkania żony i zgłosić się po niego półtorej doby później.

Policja bezpieczeństwa wyznaczyła dwie osoby do pilnowania domu, ale jedynie od frontu. Ponieważ szpieg ulotnił się tylnym wyjściem, szef Głównego Zarządu Policji bardzo poważnie wyjaśnił w telewizyjnym serwisie informacyjnym, że nie obstawiono drugiej strony budynku, bo „normalnie nikt nie zwykł korzystać z innych drzwi”.

A ponieważ policjanci zakończyli służbę o godzinie 24.00, co wynikało z przepisów dotyczących nadgodzin i ustaleń ze związkami zawodowymi, ten sam szef policji również oficjalnie obwieszczył, że „wizyt nie zwykło się składać po północy”.

Kolejni ochroniarze z bezpieki rozpoczęli służbę o 8.00 następnego dnia, mniej więcej osiem godzin po domniemanej ucieczce, nie upewniwszy się, czy obiekt znajduje się w pilnowanym mieszkaniu. Przeszło cztery godziny wpatrywali się w bramę i w wynajęty samochód. A kiedy zjawił się eskortant z Zarządu Więzień, spokojnie odjechali.

Służba bezpieczeństwa uznała zniknięcie Sandström za dziwne, „ponieważ jego samochód nadal stoi pod domem”, co pilnujący funkcjonariusze mogli potwierdzić. Zdecydowano się więc wspólnie z pracownikiem Zarządu Więzień zajrzeć na Dworzec Centralny, żeby „zobaczyć, czy Sandström się tam nie pokaże”.

Nie pokazał się.

Policja z Norrköping wyszła z założenia, że alarm powinna ogłosić Säpo. Säpo zaś doszła do wniosku, że nie należy to do jej obowiązków. Tymczasem Sandström był już w Helsinkach.

Pościg podjęto przeszło dobę po ucieczce, rozsyłając nie najlepsze zresztą rysopisy szpiega i jego żony. Kiedy dwadzieścia cztery godziny później ujawniono, że Annalisa Sandström wynajęła trzy samochody, dowództwo włączonej do akcji komórki wywiadowczej uznało, że nastąpił „przełom”.

Około doby pilnie obserwowano samochód porzucony na jednym z przedmieść Sztokholmu, noszący wyraźne ślady kradzieży. Następnie przez osiem godzin, zresztą bez powodzenia, nie spuszczano oka z willi OWP w Djursholm. W jakiś tydzień po ucieczce „zablokowano granice”.

Tak się mniej więcej przedstawiał przebieg wydarzeń.

Jurij Cziwarszew westchnął. Gdyby poprzestać tylko na tym, można by wysnuć jeden wniosek. Żadna służba bezpieczeństwa, nawet szwedzka, nie zachowałaby się tak niekompetentnie. Czyli szpiega zwerbowano i wysłano z samobójczą misją infiltracji moskiewskiej Centrali.

Istniała jednak druga strona medalu, zmieniająca obraz całości.

Szwedzkie organy ścigania i rząd wdały się w skomplikowaną grę, w której każdy usiłował się co prędzej pozbyć-Czarnego Piotrusia odpowiedzialności. Centralny Zarząd Więzień utrzymywał, że do jego zadań należało jedynie pilnowanie szpiega pod dachem. Na zewnątrz miała się o niego troszczyć policja bezpieczeństwa. Bezpieka zdecydowanie temu zaprzeczyła, twierdząc, że jeden urząd nie może wchodzić w kompetencje innego urzędu, leży to bowiem w gestii rządu. Gdy Zarząd Więzień oświadczył, że rząd został powiadomiony o przepustce i jej warunkach, Ministerstwo Sprawiedliwości zdecydowanie temu zaprzeczyło. Dopiero później okazało się, że ze stosownym biurokratycznym wyprzedzeniem rzeczywiście otrzymało pismo z Zarządu Więzień z informacją, że Sandström w związku z pięćdziesiątą rocznicą urodzin uzyska przepustkę bez obstawy lub z obstawą.

Urzędnik, który odebrał pismo, wrzucił je do szuflady, nie czytając, po czym wyprawił się na urlop, zostawiwszy jedynie szefowi notatkę służbową, że nie zapoznał się z przesyłką. Ale szef też jej nie przeczytał, nie mógł więc zrelacjonować jej treści swojemu przełożonemu, ministrowi sprawiedliwości.

Doprowadziło to do odejścia ze stanowisk zarówno ministra, jak i dwóch jego pracowników.

I ten właśnie fakt był dla Jurija Cziwarszewa decydujący. Bo jeśli całą operację wysmażyłaby szwedzka służba wywiadowcza — bezpieka nie wchodziła w grę, wykraczało to poza zakres jej kompetencji — od samego początku musiałoby o niej wiedzieć minimum dziesięciu biurokratów i polityków. Czyli o dziesięć osób za dużo. Nigdy by się to nie powiodło, w najgorszym razie historia trafiłaby na łamy zagorzałego w krytykowaniu rządów socjaldemokratów „Svenska Dagbladet”, który skazałby tym samym swojego rodaka na śmierć.

Taka operacja byłaby zatem zbyt ryzykowna. Nawet DG czy którykolwiek z jego młodych współpracowników z tajnej komórki wywiadu ani nie mógłby, ani nie chciałby się podjąć czegoś równie nierozważnego.

Premier nie zwolniłby ministra sprawiedliwości z powodu zaniedbania obowiązków. Nie mówiąc o tym, że sam musiałby tę operację wcześniej zaakceptować. Odpada. Szwedzi w ten sposób nie pracują.

Poza tym wywiad musiałby działać za plecami służby bezpieczeństwa, czego nikt przy zdrowych zmysłach by się nie podjął, zwłaszcza DG. Nawet on nie zakładałby absolutnej indolencji szwedzkiej bezpieki. Kto przystałby na plan, którego jeden z najważniejszych punktów przewidywałby połowiczne pilnowanie szpiega z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku? Tylko z jednej strony domu i nie przez cały czas, kiedy w nim przebywał? Nikt, nawet wyjątkowo wyrafinowane dowództwo wojskowe, nie mógłby liczyć na tak niekonwencjonalne zachowanie.

Pozostawała więc tylko jedna kwestia. Czy szwedzką służbę bezpieczeństwa wtajemniczono w operację, by wyprowadzić w pole własną opinię publiczną, własne władze państwowe i radziecki wywiad?

Na to pytanie Jurij Cziwarszew mógł z całym przekonaniem odpowiedzieć „nie”. W żadnej innej służbie bezpieczeństwa na Zachodzie GRU nie miał równie licznej reprezentacji jak w szwedzkiej. Do tak złożonej operacji Säpo musiałaby włączyć ludzi co najmniej z trzech poziomów operacyjno-decyzyjnych, a to oznaczało raporty do GRU ujawniające charakter działań.

Tymczasem wszystkie meldunki świadczyły o czymś wręcz przeciwnym. Radzieccy agenci donosili o panice i zamieszaniu.

Jurij Cziwarszew wolno odkręcił skuwkę swojego okazałej wielkości francuskiego wiecznego pióra. Popatrzywszy chwilę na jego złotą stalówkę, zdecydowanym ruchem odwrócił raport zbiorczy i na ostatniej stronie złożył wyraźny podpis.

Gdy atrament wysechł, zakręcił pióro i wezwał przez interkom osobistego szyfranta.

Blady, lekko przyszczaty chorąży z którejś republiki nadbałtyckiej odebrał instrukcję, by zaszyfrować tekst i natychmiast przekazać go do Centrali, a oryginał skopiować — kopię pchnąć do archiwum — i wysłać do Moskwy najbliższą pocztą dyplomatyczną.

— Tak, kolego Sandström — wymruczał pod nosem, kiedy został sam — właśnie ocaliłeś skórę i być może dostaniesz nową pracę, czego sobie pewnie nie uświadamiasz.

Sandström był zwykłym agentem, jednym z wielu w szwedzkiej policji bezpieczeństwa. Jurij Cziwarszew dobrze pamiętał szczegóły, mimo że dane powędrowały do Moskwy tydzień temu. Sandströma w odróżnieniu od innych nie zwerbowano od razu, gdy został oficerem służby bezpieczeństwa. Co dość niekonwencjonalne. Zazwyczaj opierano się na prostym założeniu, że do bezpieczeństwa przyjmuje się policjantów. Dlatego GRU nakłaniał studentów, by przerywali studia i zgłaszali się do szkoły policyjnej w Solnej. Po kilkuletniej służbie niemal wszystkich ściągano potem do pracy w bezpiece. Korzystano z tej drogi od dwudziestu pięciu lat.

Ale Sandström był awanturnikiem, kobieciarzem, alkoholikiem i zagorzałym antysemitą. Zwerbowano go na Bliskim Wschodzie podczas służby w siłach ONZ, oferując pracę na rzecz pokoju i sprawiedliwości. Miał zbierać informacje o Izraelczykach. Oczywiście za godziwą zapłatą.

Nie wiadomo, czy ktoś taki sprosta nowym zadaniom. Agenci w Szwecji zajmowali się jedynie zbieraniem informacji i GRU dbał o to, by nie pakować ich w sytuacje mogące zaszkodzić kolegom.

Tymczasem zadania w wydziale skandynawskim w Centrali miały nieco bardziej ofensywny charakter. Dlatego trzeba będzie sprawdzić, czy z moczymordy uda się zrobić skuteczne narzędzie przeciwko swoim.

Jurij Cziwarszew nie musiał się już nad tym zastanawiać. Jeśli przeszkolenie w Moskwie, czy gdzie tam tego Sandströma ulokują, przyniesie znośne efekty, na pewno dotrą do niego sygnały o ewentualnych nowych celach operacyjnych na terenie Szwecji.

Już miał się zająć czym innym, gdy nagle zerknął na portret olejny wiszący na ścianie na wprost biurka, obok map Szwecji i Sztokholmu. Na tabliczce pod obrazem widniał napis: „Fiodor Matwiejewicz Apraksin”. Nikt prócz Cziwarszewa nie wiedział, co w jego gabinecie robi wizerunek bohatera mórza z czasów Rosji carskiej. Nikt też nie śmiał pisać słówka krytyki czy choćby o to spytać. Rezydent GRU może sobie na niejedno pozwolić.

Nazwiskiem Apraksina ochrzczono jedną z trzech radzieckich baz podwodnych ulokowanych na terenie archipelagu sztokholmskiego. Wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt wojskowy, mogły odegrać niebagatelną rolę w ewentualnej, hm, w najwyższym stopniu ewentualnej wojnie. Ale przed trzynastoma miesiącami ludzie ze szwedzkiego wywiadu wysadzili je. A żeby operacja się powiodła, zrobili to za plecami swojego rządu.

Jako wojskowy musiał przyznać, że szwedzcy oficerowie spisali się na medal. Ich akcja nie przypominała tych w wydaniu „wariatkowa w Kungsholmen”, jak nazywano cywilną służbę bezpieczeństwa. Wariatkowa? A może „małpiarni z Kungsholmen”? Wszystko jedno.

W każdym razie jako obywatel radziecki Jurij Cziwarszew uznał to za tragedię. Poległo dwustu czterdziestu ośmiu jego rodaków. Potopili się jak szczury.

Wiedział, kto odpowiadał za operację i kto ją przeprowadził: pewien młody kapitan marynarki, bodaj najbardziej obwieszony odznaczeniami oficer szwedzki, dość teraz skrępowany asystą kolegów z KGB, jeśli w ogóle można myśleć o czekistach jak o kolegach.

To jasne, że gdyby spytać o obiekt zainteresowań komórki taktyczno-operacyjnej wywiadu w Szwecji, Jurij Cziwarszew wymieniłby na jednym z pierwszych miejsc kolegów z SSI [SSI — Svenska samfundet för informationsbehandling — szwedzkie towarzystwo informatyczne (przyp. tłum.)], a zwłaszcza owego młodego kapitana.

Nie ma się jednak co martwić na zapas. Zaczęli się już schodzić na poranne zebranie jego nieocenieni podwładni.

## 2

Lato zapowiadało się wyjątkowo słonecznie. Jadąc z Bergi z prędkością niewiele różniącą się od przepisowej, do połowy opuścił boczne szyby i na cały regulator nastawił „Wariacje Goldbergowskie” Bacha w wykonaniu Glenna Goulda.

Jakość dźwięku pozostawiała nieco do życzenia, ale samochód nie był jego, tylko Sztabu Obrony. Od pół roku unikał poruszania się swoim, ponieważ nie wiedzieć czemu, ludzie z KGB zaczęli się nim dość energicznie interesować. Nie było to przyjemne, toteż łatwo się irytował.

Pewnie dlatego mrugnął długimi światłami do sunącego przed nim lewym pasem volvo, które ostentacyjnie zwolniło. Siedziały w nim dwie kobiety w wieku dwudziestu pięciu, trzydziestu lat. Znow mrugnął, a nie doczekawszy się żadnej reakcji, zawył klaksonem i zredukował bieg. Volvo niechętnie zmieniło pas. Z wściekłością przyspieszył.

Ale kiedy się zorientował, że dziewczyny ruszyły za nim w pościg, opamiętał się. Poznał już większość śledzących go czekistów, a te panienki wyglądały na najzwyklejsze Szwedki. Ponieważ nie ulegało wątpliwości, że go gonią, zwolnił, rewolwer ze skrytki wsunął pod leżącą na przednim siedzeniu zamszową kurtkę, po czym zjechał na prawy pas.

Volvo wyprzedziło go, a kilka sekund później dziewczyna z prawej odkręciła szybę i wyciągnęła podobną do łopatki białoczerwona tabliczkę z czarnym napisem: POLICJA. Wreszcie oba wozy zatrzymały się na poboczu. Na widok wysiadających z volvo blondynek, które zdecydowanym krokiem ruszyły w jego stronę, parsknął śmiechem, włączył światła ostrzegawcze i całkowicie opuścił szyby.

Jedna wyciągnęła policyjną legitymację, druga bloczek i długopis. Były w dzinsach i amerykańskich sportowych kurtkach.

— No, *macho*, nie ma co tak rechotać, drogo cię to będzie kosztowało — odezwała się ta bliżej niego i schowała legitymację.

— Nie sądzę.

Pewnie chwycił kurtkę z ukrytym pod nią rewolwerem, położył z tyłu na podłodze, wyłączył stereo i otworzył centralny zamek, żeby mogły wejść i przystąpić do papierkowej roboty.

— Co cię tak cholernie bawi? — zapytała ta z bloczkiem, siadając obok niego. — Masz prawo jazdy?

— Tak, proszę. — Właśnie zamierzał je podać. — Że też niektórych Bóg karze natychmiast. Ledwie człowiek pomyśli, co za baby, i doda trochę gazu, a już ląduje z ręką w nocniku.

— Carl Gustaf Gilbert Hamilton — przeczytała policjantka. — Miejsce pracy?

— Sztab Obrony.

— A dokładniej?

— Wystarczy Sztab Obrony.

— Oficer i dżentelmen wybrał się dzisiaj na zbyt szybką przejażdżkę — zachichotała ta z tyłu.

— Oficer, owszem, gorzej z dżentelmeńskim zachowaniem. Bóg najwyraźniej stał się feministą. Jaką prędkość chcecie wpisać?

— Sto czterdzieści pięć. Kilkaset metrów jechałyśmy za tobą sto czterdzieści pięć — odpowiedziała ta z przodu.

— Wpisz sto trzydzieści pięć i sprawa załatwiona. Inaczej się nie zgodzę i będziecie musiały stawać jako świadkowie. I tak zmniejszą do stu trzydziestu pięciu. Zmarnujemy kupę czasu, a przejechanie tych „kilkaset metrów” trwało parę sekund.

Poprawiał mu się humor, czuł, że zaraża nim dziewczyny, które z pewnością miały mniej przyjemne spotkania z ludźmi łamiącymi przepisy.

— W porządku — zgodziła się ta z przodu. — A teraz twój adres i stopień.

— Kapitan marynarki wojennej, Drakens gränd na Gamla stan...

— Kapitan marynarki wojennej?

— Tak teraz nazywają majorów floty — wyjaśniła ta z tyłu, z wdziękiem odchylając się na siedzeniu i przesuując nogi.

Carl zerknął na jej prawą stopę. Od rewolweru dzieliło ją teraz niespełna dziesięć centymetrów.

— Nie powinieneś przypadkiem wyzywać się w torpedowcu? — wymruczała ta z przodu, spisując dane z jego wizytówki.

— Torpedowce są wycofane — ponuro odparł Carl. — Niszczyciele, krążowniki i połowa ścigaczy też.

— Czyżbyście już nie ganiłi rosyjskich łodzi podwodnych? — zapytała ta z tyłu. — Czy one w ogóle są rosyjskie?

— Yhm, rosyjskie. Ale przeważnie wypełniam papiery, tak jak wy, kiedy naciągacie niewinnych, zwykle przestrzegających prawa kierowców.

— Okej, jeszcze tylko twój podpis na dole i masz z głowy tysiąc koron.

Dziewczyna podała mu formularz.

Powiedziały coś o najpotulniejszym kliencie, jaki im się przytrafił w tym tygodniu, i już miały wysiadać, kiedy Carlowi nagle coś zaświtało.

— O której kończycie zmianę? — spytał, gdy jedna z nich zamknęła drzwi.

— Co? — zdziwiła się ta z tyłu, z udawanym zdumieniem pochylając się ku niemu i przesuując słoneczne okulary na czoło.

Miała ciemnoniebieskie oczy, a jej okulary przywodziły na myśl te, które kilka lat temu nosiły amerykańskie feministki: u góry brązowe, u dołu niemal całkowicie przezroczyste.

— Zapytałem, o której kończycie zmianę — powtórzył zażenowany, już tego żałując.

— O piątej, a co?

— Bo moglibyśmy uczcić mój pierwszy mandat za szybką jazdę i to, że złapały mnie kobiety. Chciałbym was zaprosić na kolację.

— Próbujesz nas przekupić? Czy to nie lekka bezczelność? — Zachichotała, opuściła okulary i zawołała koleżankę. — Słyszałaś? Klient chce nas zaprosić na kolację! oznajmiła radośnie.

Koleżanka odwróciła się demonstracyjnie wolno, podeszła do samochodu i oparła się łokciami na szybie od strony pasażera.

— Ty, Casanova — wysyczała. — Mandat już wypisany, a ja mam cholernie zazdrosnego i cholernie silnego męża policjanta.

— Świetnie — odparł Carl chłodno. — Wobec tego proponuję, żebyś z nim przyszła. Zmierzymy się na ręce, policja kontra flota.

— Spadaj! — rzuciła na odchodne i obróciwszy w ustach gumę do żucia, powędrowała do volvo.

— Co ty na to? — Carl westchnął z rezygnacją. — O siódmej w „Reisen” przy Skeppsbron. Trafisz? Zamówię stolik.

— Wydaje ci się, że masz nieodparty urok, czy chcesz się wykręcić od mandatu? — z uśmiechem spytała policjantka w okularach feministki.

— Wręcz przeciwnie. Kolacja będzie znacznie droższa od mandatu, mamy ze mnie łapówkarz i żaden biznesmen.

— Dobrze, przyjdę — odparła pospiesznie, widząc, że sięga do kluczyka w stacyjce. — O siódmej w „Reisen”, ty nazywasz się Hamilton, a ja...

— Eva-Britt Jönsson. Jeśli nie masz lewej legitymacji.

— Jesteś spostrzegawczy jak policjant. Spróbuj tylko nie przyjść, to wlepię ci większy mandat albo zmienię prędkość na sto czterdzieści pięć. Mnie nie nabierzesz. Zapamiętaj to sobie.

Idąc do samochodu, śmiała się i potrząsała głową. Po chwili volvo zniknęło w chmurze niebieskich spalin.

Carl czuł się głupio. Ani przez moment nie wierzył, że Eva-Britt stawi się na spotkanie. Ale słowo się rzekło.

Wracał do miasta z przepisową prędkością. Na wysokości Enskede zdjął z telefonu plastikowy pokrowiec i zamówił w „Reisen” stolik na dwie osoby na siódmą.

\* \* \*

Za pięć siódma usiadł na swoim stałym miejscu przy oknie i patrzył na połyskującą w słonecznym świetle wodę opodal Skeppsholmen. Nie wierzył, że przyjdzie, ale dla zachowania formy postanowił zaczekać kwadrans i bodaj po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, przystał na propozycję kelnera, by przed posiłkiem wychylić drinka. Chodził mu po głowie jakiś koktajl z tequili i czegoś słodkiego z solą na krawędzi szklanki. Dowiedział się, że to marguerita, poprosił o jedną i znów utkwiał wzrok w lśniącej wodzie.

Przeszło rok minął od operacji Big Red. Bałtyk przypuszczalnie wygląda tak jak dawniej, a Szwedzi wciąż myślą, że armia ponosi porażkę za porażką w swoich próbach pozbycia się wrogich łodzi podwodnych, jeśli takowe w ogóle cokolwiek robiły na ich terenie.

Od około miesiąca miał trudności z zaśnięciem. Wmawiał sobie, że to wpływ jasnych nocy, mimo że nigdy przedtem mu nie przeszkadzały. A kiedy zasypiał, czasem po wielogodzinnym leżeniu na skręconym niczym lina prześcieradle, śniły mu się koszmary. W jednym tkwił głęboko pod wodą w czymś na kształt łodzi, do której nagle wlewa się potężny strumień białej wody, on unosi się coraz wyżej i wyżej, a ostatni pęcherzyk powietrza niknie... Wtedy się budził.

Wszystko było jasne. Nieznana liczba radzieckich marynarzy i oficerów rozstała się z życiem w ten właśnie sposób w odległości niespełna trzech mil od stolika w „Reisen”, przy którym teraz siedział.

Ciekawe, czy Stålhandske i Lundwall mają podobne doświadczenia. Za pół roku obaj wrócą z Kalifornii, żeby zacząć na dobre w wydziale operacyjnym.

Samuel Ulfsson, szef OP5, nawet nie chciał słuchać, że wkurzające zainteresowanie, jakim obdarza Carla KGB, ma coś wspólnego z akcją Big Red. Jego zdaniem sztokholmska sekcja KGB prawdopodobnie nic nie wiedziała o istnieniu radzieckich instalacji na terytorium Szwecji, nie mogła więc nikogo podejrzewać o wykonanie operacji.

W każdym razie ich obserwacyjne zapędy miały ten denerwujący skutek, że podczas reorganizacji firmy „Hamilton Data System” Carl musiał przesiadywać u Sama w Sztynie. Nowe biuro, rodzaj działu konsultingowego pewnej wielonarodowej korporacji, mieściło się na najwyższym piętrze budynku na Gärdet. Carl zajrzał tam zaledwie parę razy, mimo że było to jego miejsce pracy.

Zjawiała się zdyszana z dziesięciominutowym spóźnieniem. Miała na sobie letnią sukienkę w kwiaty, na którą narzuciła różową kamizelkę. Gdyby nie silne nogi i ślady treningu siłowego na ramionach, wyglądałaby jak pierwsza lepsza urzędniczka. Rudoblond dziewczyna z półdługimi rozpuszczonymi włosami, w okularach zdradzających krótkowzroczność.

Carl podniósł się pospiesznie, obszedł stolik i wysunął dla niej krzesło. Spostrzegł, że nieco ją jego gest zaskoczył.

— Mam nadzieję, że jako oficer i dżentelmen wybaczysz mi spóźnienie — rzekła z wyraźnym zakłopotaniem.

Gdy kładła swą dość ciężką torebkę na sąsiednie krzesło, usłyszał cichy brzęk. Wracając na miejsce, powstrzymał się od pytania, czy nie ma zwyczaju spotykać się z mężczyznami bez taszczenia z sobą służbowej broni i kajdanek.

— Zapewniam asystentkę Jönsson, że zrobię wszystko, by tym razem wypaść jak dżentelmen.

— Inspektor Jönsson. Inspektor p.o. — poprawiła się szybko.

— Nieźle, jak na dwadzieścia dziewięć lat.

— Skąd wiesz, ile mam lat?

— Z twojej policyjnej legitymacji. Urodziłaś się szesnastego maja, pod znakiem Byka.

— Powinieneś zostać gliniarzem albo śledczym, robić wizje lokalne lub coś w tym rodzaju. Po co mnie zaprosiłeś?

— Bo mnie naszło, bo jesteś słodka, bo mieszkam sam i zadaję się wyłącznie z kolegami z pracy, z którymi bez przerwy rozmawiamy o sprawach służbowych. A ty dlaczego przyszłaś?

— Bo wydałeś mi się interesujący, nie taki napastliwy, jak inni, którzy obrywają mandaty, bo mieszkam sama i zadaję się wyłącznie z kolegami z pracy, z którymi bez przerwy rozmawiamy o sprawach służbowych.

— Co byś chciała zjeść?

— Nie mam bladego pojęcia. To jakiś luksusowy lokal, no nie? Nie moje podwórko.

— Ryby czy mięso?

— Ryby.

— Mówisz tak, jakbyś pochodziła z rodziny robotniczej ze sztokholmskiego Söder, ale masz chyba krewnych w Skanii, prawda?

— Tak, a co?

— Twoje nazwisko. Jönsson. Też mam rodzinę w Skanii.

— Ale buraków nie zbiera.

— Nie, dlaczego?

— Dlatego, że nazywasz się Hamilton.

— Pozwól, że ja zamówię. Obiecuję, że będzie smaczne.

— Jasne, lepiej zostawić ten kłopot arystokracji. Chcesz mi zaimponować?

— Wręcz przeciwnie, wolałbym tego uniknąć. W tym cały szkopuł. Ale arystokracja zna się nieco lepiej od klasy niższej na restauracyjnych daniach. Tylko tyle.

Złożył menu, skinął na kelnera i zamówił turбота z rusztu i biały burgund, Chateau Meursault rocznik 1984, a na przekąskę sałatkę z węgorza, sałatkę z łososia i mocne alzackie wino na korzeniach ramii.

Kiedy później wypowiadała swoje opinie o winach, alzackie określiła jako „trochę podejrzane, ale całkiem okej”, a biały burgund jako „cholernie dobry”. Była to najlepsza ocena, jakiej od lat nie słyszał w Szwecji, gdzie prostacki snobizm na punkcie win zaczął przybierać śmiechu warte formy.

Dość szybko przełamali powściągliwość. Pytał ją o pracę w policji ze zwykłej ciekawości i czysto odruchowo.

Dzieliła swój czas między zadania śledcze a swego rodzaju kierowanie sekcją porządkową w VD1, osławionym sztokholmskim komisariacie. Zawsze chciała zostać policjantką, myślała o tym już w podstawówce. Przypuszczalnie ciągoty religijne, nadal była członkiem Szwedzkiego Związku Misyjnego, sprawiły, że traktowała policję tak, jakby chodziło przede wszystkim o niesienie pomocy społecznej. Próbowowała zachować ten pogląd, choć nie było to łatwe w VD1, gdzie najczęściej zajmowano się wyłapywaniem pijaków, zażegnywaniem rozrób ulicznych, zatrzymywaniem drobnych kryminalistów i spekulantów, którzy wychodzili na wolność szybciej, niż ona i jej koledzy zdążyli wypełnić stosowne formularze.

Mieszkała sama w willi w Spåndze, nad jeziorkiem, mając za towarzystwo owczarka Roya. W wolnych chwilach malowała akwarele, głównie pejzaże i mówiła pełną kontrastów

mieszaniną męskiego żargonu policyjnego i żargonu typowego dla pracowników socjalnych, choć równie dobrze mógł to być jakiś slang przepelniony autentycznym chrześcijańskim współczuciem dla biednych „wyrzutków społecznych”, jak raz zaznaczyła.

Spytał, czy jej głęboka wiara nie kłóci się z zawodem, w którym tyle przemocy. Czy mogłaby na przykład strzelić do jakiegoś łobuza, gdyby znalazła się w sytuacji przewidzianej regulaminem?

Nigdy jej się nic takiego nie przytrafiło, a gdyby nawet, to raczej by nie strzelała, chociaż nie do końca jest pewna. Jak na wojskowego zadaje jej dziwne pytanie. Czy on by strzelał?

Spojrzał jej w oczy, a potem, skierowawszy wzrok ku wodzie między Skeppsbron i Skeppsholmen, wciąż połyskującej w wieczornym słońcu, odparł wolno, że nigdy nie był w sytuacji, w której mógłby wybierać, niewiele miał też powodów, by się nad tym zastanawiać, i gdy to mówił, liczył w duchu swoje ofiary.

A kiedy zaczęła go wypytywać o to, czym się zajmuje, mglście opowiedział o programach komputerowych pomocnych w analizie odchyień w pracy systemów sonarowych w zależności od stopnia zawartości soli w poszczególnych rejonach Bałtyku, efektów akustycznych, głębokości i temu podobnych, co było nie tyle nieprawdziwe, ile wystarczająco nieciekawe, by przy drugiej butelce wina wrócić do tematów bardziej osobistych. Na pytanie, dlaczego nie wyszła za męża, odrzekła, że dwa związki, w jakich była z kolegami, rozpadły się z powodu „odmiennego stosunku do życia”. Początkowo myślał, że wiąże się to z jej wiarą, później jednak nabrał przekonania, że chodzi raczej o brutalność. Zaręczyła się z policjantem, często oskarżanym o pobicia. Powiedziała, że w zasadzie był miły, to rodzaj pracy wymusił na nim sadystyczne odruchy.

Kiedy przyszła kolej na nią, powtórzyła jego pytanie. Dlaczego, choć ma już trzydzieści cztery lata, się nie ożenił? Najprawdziej jak umiał, przyznał, że zbyt długo nie potrafił się otrząsnąć z beznadziejnego zadurzenia w Tessie O'Connor, którą poznał w Kalifornii, gdzie studiował informatykę, a która mieszka w innym kraju o całkiem innej kulturze i po swoich studiach, mimo mnóstwa zalet, niewiele by mogła zdziałać w Szwecji. A poza tym wyszła w Santa Barbara za bogatego biznesmena, z którym ma dziecko.

Zachichotała, kiedy wymienił ostatnią przeszkodę. Zaraziwszy się jej humorystycznym podejściem do sprawy, opowiedział z nieco wymuszoną wesołością, jak się parę lat temu ośmieszył. Wdarł się do domu Tessie, skąd wyrzucił go małżonek biznesmen, grożąc psami. Ani słowem jednak nie wspomniał, że gdyby go zaatakowały, zabiły je, i że później, gotując się z wściekłości, ciskał kamyczki w szarozieloną wodę, by wymazać z pamięci myśli o tym, co mogłoby się stać, gdyby facet spróbował podnieść na niego rękę.

Wciąż jednak, jak przyznał, jest zakochany w Tessie, choć może się to wydać bez sensu, i z tego powodu utrzymywał w ostatnich latach dość luźne kontakty z kobietami. Spędzał z nimi noc i nigdy nie wdawał się w rozmowy.

Gdy opowiadał o Tessie, przyszło mu nagle do głowy, że obecność volvo na Nynäsvägen mogła nie być przypadkowa. W każdym razie policjantka z bronią na kolacji, po służbie... Spytał ją, jak pracuje w najbliższych dniach. Zadzwoń do niej pod jakimś pretekstem i sprawdź, czy rzeczywiście tam jest.

— Dlaczego zostałeś wojskowym? — zainteresowała się, wychylając przedostatni łyk z kieliszka.

— Zamówimy więcej wina?

— Nie, dziękuję. Co prawda zaczynam jutro później, ale lepiej nie. I nie zmieniaj tematu. Dlaczego zostałeś wojskowym?

Spojrząwszy na wodę za oknem, zastanawiał się, czy nawet sobie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie. Jedno pociągnęło za sobą drugie. DG wyłowił go podczas szkolenia podstawowego i zaproponował pięcioletnie studia w USA na koszt armii, a pięć lat później wszystko było w zasadzie oczywiste.



— To nie takie proste — odparł, nie odrywając oczu od wody. — Ja i moi koledzy z Clarté i z SKP [SKP — Sveriges Kommunistiska Parti — Partia Komunistyczna Szwecji (przyp. tłum.)] staraliśmy się dostać do różnych jednostek doborowych. Niektórych dość szybko zwąchała służba bezpieczeństwa, ale część z nas trafiła do wojsk spadochronowych, do komandosów morskich i tak dalej... A potem postanowiłem zostać jako oficer rezerwy.

— Byłeś komunistą?

— Nie da się ukryć.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj jestem oficerem.

— Myślę o sprawach politycznych.

— Nie wiem. Nie jestem komunistą ani socjaldemokratą i zdecydowanie nic mnie nie łączy z prawicą. A ty?

— Jestem socjaldemokratką. Ale mi nie odpowiedziałeś. Nie pytałam, jak zostałeś oficerem, tylko dlaczego?

— Przesłuchanie trwa?

— Yhm.

— Myślę, że zaczęło się od mojego straszliwie skomplikowanego wykształcenia. Uznałem, że powinienem je wykorzystać w jakimś uczciwym, szlachetnym celu. Socjaldemokraci zajmowali się wówczas rozbrajaniem Szwecji, bo wydawało im się, że Rosjan można zagadać zamiast budować w miarę sprawną armię, żeby... no, sama się orientujesz, taki mały szwedzki jeź. I w zgodzie z moimi przekonaniem doszedłem do wniosku, że zrobię najrozsądniej, podejmując taką pracę.

— Wolności zawsze należy bronić i tak dalej?

— Tak, ale dla mnie to nie żart.

— Ani dla mnie, przepraszam, nie miałam niczego złego na myśli, mimo że zabrzmiało to trochę obraźliwie. Ale czy nie płacą wam pod psem?

— Tak jak policjantom.

— Wobec tego płacimy po połowie.

— Mowy nie ma. Ja cię zaprosiłem i ja stawiam.

— Oficer i dżentelmen w dawnym stylu nie będzie mówił wyemancypowanej współczesnej policjantce, jak ma postępować w kwestiach zasadniczych.

— Nie jest to kwestia zasadnicza — odparł, wręczając jednocześnie przechodzącemu obok kelnerowi swą plastikową kartę. — To czysto praktyczna kwestia równości i sprawiedliwości.

— Już cię dzisiaj naraziłam na tysiąckoronowy mandat.

Oboje parsknęli śmiechem.

Ale kiedy wypisał blankiet karty kredytowej i zamierzał zmiąć rachunek, ubiegła go. Sięgnąwszy po torebkę na sąsiednim krześle, spojrzęła na sumę i zamarła.

— To wino — stwierdził. — Mam lepszą propozycję. Następnym razem ty stawiasz.

— Po diabła się tak wysilasz?

— Bo mnie na to stać. A ciebie nie.

— Czy to jakieś wydatki reprezentacyjne?

— Dla policjantki, która mnie złapała? Ładnie by to wyglądało. Nie, jestem bogaty, więc potraktuj to jako prywatną formę wyrównywania rachunków, a u ciebie zjemy gołąbki z piwem.

Wyjął jej z dłoni rachunek, który przyciskała do piersi, podał go i wrzucił do popielniczki.

— Ile ty właściwie masz pieniędzy? — spytała szorstko.

Po raz pierwszy tego wieczoru dał o sobie znać jej zawód.

— Nie wiem — odrzekł cicho.

— Gadanie. Jesteś milionerem?  
— Tak.  
— A dokładniej?  
— Nie wiem, to domena księgowości albo, jak kto woli, filozofii lub polityki.  
— Płacisz podatki?  
— Naturalnie. Chodzi ci o podatki od dochodu?  
— Na przykład.  
— Chyba około stu dwudziestu procent. Zadowolona?  
— I nie kantujesz?  
— Przeciwnie, chętnie płaciłbym więcej, ale to niestety bardziej skomplikowane, niż ci się zdaje.  
— Więcej niż sto dwadzieścia procent?  
— Yhm. Tyle płacę od mojej skromnej pensyjki, bo dolicza mi się jeszcze podatek majątkowy, ale... ech, dajmy temu spokój.  
— Czy to cię peszy?  
— Owszem. I jeśli pani inspektor nie zechce mnie teraz zaprosić na kawę, będzie mi bardzo smutno.

— Do mnie do domu?

— Nie pierwszego wieczoru. Pójdźmy gdzieś.

Obrzuciła go długim spojrzeniem, po czym parsknęła śmiechem.

— Jak na arystokratyczną ciamajdę jesteś nawet dość porywczy. Okej, zapraszam na kawę gdzieś w Djurgården. I ruszyli Strandvägen. Lewą rękę wsunęła pod jego prawe ramię, a w prawej niosła torebkę. Gdy pomachała kolegom przejeżdżającym w niebiesko-białym dodge'u, oczywiście prawą dłonią, mógł lepiej ocenić ciężar, który dźwigała.

Sig-sauer, pomyślał. Ma nowy typ broni służbowej. Dziewięćmilimetrowa, piętnaście naboji w magazynku, tak jak w berecie. zaproponował, by usiedli w kawiarence na świeżym powietrzu niedaleko mostu. Cały czas uważnie rozglądała, dał jednak spokój pytaniom. Możliwe, że rola to automatycznie.

Nie mogli zamówić tylko kawy, a ponieważ nie mieli ochoty na mocniejsze trunki, poprosili o piwo. Kiedy wysączyli je do połowy, zapytała, czy nie wybrałby się na żagle. Razem z dziesięciorgiem znajomych z pracy korzystała zgodnie z dość skomplikowaną listą z dwóch jachtów. W najbliższy weekend prawie wszyscy się załapią. Siedem sztuk. I ona, jako osoba samotna, ma prawo zabrać chłopaka pod warunkiem, że będzie co nieco wiedział o żeglowaniu i że nie jest z Säk.

— A dlaczego nie może być z Säk?

— Dlatego, że to malowani gliniarze i cholernie nadęte typy. Skończyłoby się awanturą.

— Ale oficer marynarki ujdzie?

— Yhm. Znasz się na nawigacji?

— Fajne pytanie. Proszę o następne.

— Możesz przyjść pojutrze o trzeciej, po południu na przystań Stavsns?

Spontanicznie się zgodził i dopiero po fakcie przypomniał sobie, że po raz pierwszy od lat obiecał odwiedzić matkę i krewnych. Szybko postanowił to jednak odwołać, zwalając wszystko na pracę.

Odwiózł ją do domu taksówką. Gdy zatrzymali się przed willą nad jeziorkiem, wysiadł i otworzył jej drzwi. Zrezygnowawszy z zaproszenia na kawę, wrócił do siebie.

Pół nocy słuchał muzyki.

\* \* \*

Carl od pół roku urzędował na ostatnim piętrze wschodniego skrzydła ceglanego gmachu Sztabu Obrony przy Lidingövägen. Był — jak to dość ironicznie określał — kimś pośrednim między urzędnikiem do spraw praktyki zawodowej a sekretarzem. Wraz z przełożonym,

szefem OP5, traktowali tę sytuację jako przejściową, do chwili zakończenia reorganizacji wydziału operacyjnego, zmyślnie ulokowanego na zapleczu komputerowej firmy konsultingowej „Hamilton Data System AB”. Carl świadczył oczywiście usługi związane z oficjalnym przeznaczeniem spółki, ale ponosił na tym polu finansowe straty, ponieważ działalność najważniejsza odbywała się w pomieszczeniach, do których miał dostęp wyłącznie personel wojskowy i w którym niepodzielnie panowały duże maszyny IBM.

Szwedzka służba wywiadowcza wpadła na dość oryginalny pomysł połączenia wydziału operacyjnego z komórką analiz. Znajdował on jednak swoje praktyczne uzasadnienie. Zarówno Carl, jak i ci, którzy pójdą w jego ślady, dzielili swoje studia w Kalifornii między informatykę a coś, co mówiąc ogólnie, można określić jako „operacyjna praca w terenie”. W dzień przyzwoici urzędnicy pochłonięci programami komputerowymi, a w nocy skrytobójcy, jak zwykł był żartować Sam.

Lecz owa „operacyjna praca w terenie” stanowiła tylko skromną działkę w ogródku szwedzkich organów bezpieczeństwa i wywiadu. Nocnych skrytobójców nie było wielu, na razie Carl odpowiadał właściwie sam jeden za tego rodzaju incydenty, ale już niedługo „zaangażuje się „w nie personel szwedzkiej służby wywiadowczej”.

Samuel Ulfsson nie umiał sobie wyrobić zdania o kapitanie Hamiltonie. Trudno było nie dostrzec w nim pewnej dwoistości, sprzeczności między grzecznym, przyzwoicie wychowanym młodym człowiekiem, spokojnie i systematycznie sporządzającym wyciągi komputerowe, a specjalnie przeszkolonym dywersantem i mordercą, który wskutek określonych okoliczności samodzielnie zniszczył izraelską bojówkę, wykończył niemiecką organizację terrorystyczną, zapobiegł porwaniu samolotu i przeprowadził operację Big Red, którą nieco górnolotnie można by nazwać największym militarnym zwycięstwem Szwecji nad Rosją od czasów bitwy pod Narwą.

Jak on to, u licha, robi? — zastanawiał się Ulfsson, spodziewając się Carla na odprawie mniej więcej za pół minuty. Wskakuje do budki telefonicznej i przebiera się za Supermana? Czy to po prostu kwestia pięcioletniego straszliwego treningu? Ilu Hamiltonów jest więc w USA? Nie mówiąc już o Rosji.

Pukanie do drzwi rozległo się punktualnie co do sekundy, i w najmniejszym stopniu nie zdziwiło Ulfssona.

— Wejdz, Carl! — zawołał, sięgając po słabiutkie blendy ultima, jako że małżonka nie pozwoliła mu na mocniejsze papierosy.

— Dzień dobry, komandorze.

Carl wyprostował się, ani zbyt demonstracyjnie, ani niedbale.

— Siadaj. A poza tym wystarczy „Sam”, kiedy jesteśmy sami. Masz jakieś propozycje?

— Dzięki, Sam. Tak, przygotowałem listę danych do publikacji, trzeba je upowszechnić, bo i tak trafiły już do wiadomości publicznej, i tych, które powinniśmy utajnić. Mówiąc „powinniśmy”, mam na myśli...

— Oprócz głównodowodzącego i szefa marynarki nas dwóch?

— Tak jest.

Carl wyjął z teczki trzy raporty z kopiami, podzielił je na sześć kupek i przystąpił do referowania.

Jest kilka spraw drażliwych. Raport ÖB [ÖB — överbefälhavaren — głównodowodzący (przyp. tłum.)] na temat działalności obcych sił na wodach terytorialnych Szwecji nadal nie jest gotowy, mimo że z kwartalnego zamienił się w półroczny. Spora sprzeczność interesów wyklucza jednogłośnie akceptację tekstu i jego publikację.

Część ludzi z dowództwa i politycy woleliby w ogóle nie ujawniać żadnej obcej, to znaczy radzieckiej, aktywności. Inni, zwłaszcza oficerowie marynarki, domagają się ujawnienia wszystkich szczegółów, łącznie z nazwami i numerami kilku radzieckich i dwóch polskich

łodzi podwodnych, które dzięki technice komputerowej da się ustalić równie pewnie jak odciski palców. Wystarczy nagrać dźwięk śruby okrętowej przez co najmniej pięć sekund.

Ten rodzaj informacji wywiad wojskowy chciał zachować w tajemnicy. Lepiej się nie chełpić osiągnięciami, zwłaszcza że w niewielu kwestiach technologicznych górują nad Rosjanami.

Ale oprócz tych dobrze znanych sprzeczności, dostatecznie zresztą uzasadniających utrzymywanie podatników w niewiedzy, istniały okoliczności dodatkowe, o których Samuel Ulfsson wspomniał wcześniej.

Przeszło rok temu „personel wydziału operacyjnego szwedzkiej służby wywiadowczej zaangażowano do tajnej akcji o nieznanym zasięgu”, jak w oszczędnej formie napisał ÖB w rocznym sprawozdaniu dla rządu.

Byłoby rzeczą szczególnie interesującą przyjrzeć się okolicom byłych podwodnych baz Bodisko, Cziczagow i Apraksin. Ciekawe, czy Rosjanie nie próbują aby ściągnąć do kraju resztek żelastwa i trupów. A jeśli tak, spenetrować także inne miejsca.

W związku z tym ostatnim Carl wypisał dane, które należałoby utajnić, a na osobnej liście uwzględnił te wydarzenia, na przykład jak zwykle nieudane zimowe polowanie na okręty podwodne w pobliżu Vaxholmu, które muszą podać do wiadomości publicznej, ponieważ już stały się przedmiotem dziennikarskich spekulacji.

Podział zaproponowany przez Carla był bardzo przejrzysty. Samuel Ulfsson nie myślał zbyt długo. Pozostało mu jedynie podpisać gotowe wydruki i pchnąć je do ÖB. Uporali się z tym błyskawicznie, ledwie wypalił cztery blendy.

— Dobrze się u nas czujesz? — spytał, gdy Carl chował do teczki kopie przeznaczone do archiwum.

Carl, zaskoczony, podniósł wzrok. Ponieważ nie siedział na wprost szefa, jego spojrzenie padło na obraz wiszący na przeciwległej dłuższej ścianie. Przedstawiał rekrutację parobka w dziewiętnastym wieku. Chłopak był wystraszony, zresztą nie bez powodu. Feldfelbel, z szabłą u boku i w kapeluszu typowym dla żołnierzy Karola XII, wyglądał władczo, też nie bez powodu.

— Tak, w każdym razie nie tak jak ten tutaj — powiedział, skinąwszy głową w kierunku obrazu, ponieważ szef też zerknął na ścianę.

— Ale prawie?

— To, co teraz robimy, nie do końca jest w porządku. Chodzi ci chyba o to, żebym odpowiadał szczerze, a nie uprzejmie?

— Jasne, jesteśmy w jednej rodzinie.

— Siedzimy w Sztokholmie i zaangażowano nas do obrony kraju i obserwowania poczynań Rosjan, ale ludzie nie mogą się o niczym dowiedzieć. Większość myśli, że zajmujemy się papierowymi łodziami podwodnymi, utajniamy wszystko, co się rusza, a podatnicy nie mają pojęcia, że muszą coraz więcej pieniędzyłożyć na obronę. To nie w porządku.

— Znasz jakiegoś godnego zaufania dziennikarza?

— Tak, tak mi się przynajmniej wydaje.

— A mógłbyś się zastanowić nad... hm, no, wiesz.

— W swoim czasie wszyscy powinniśmy się nad tym zastanowić. Jeszcze nie nadszedł. Ani dla mnie, ani dla pana, komandorze.

— Mów mi Sam, kiedy jesteśmy sami. Tak, chyba nie. Nie chciałbyś wrócić do operacyjnego?

— Cóż... praca tutaj jest kształcąca, ale nie jestem od przewracania papierów.

— A od czego, Carl? — Samuel Ulfsson zadał pytanie tak łagodnie, że z pewnością zabrzmiało kąśliwie. Chwilę odczekał i zapalił blendę. — No, Carl? — ponaglił,

wydmuchując chmurę dymu, zdumiewająco pokazną jak na beznikotynowe i beztytoniowe papierosy.

Pewnie za jednym zamachem wchłonął połowę, pomyślał Carl, zastanawiając się nad wymijającą odpowiedzią.

— Jestem od tropienia Rosjan, ubiegania ich, a w razie konieczności od konfrontacji.

Samuel Ulfsson serdecznie się roześmiał.

— Konfrontacji! Wspaniale, Carl! Chodzi ci oczywiście o podrznięcie gardeł?

— Jeśli otrzymam takie polecenie, tak! — z graną wesołością odparł Carl, choć nie widział w tym nic zabawnego.

— Mówiąc poważnie, czy martwią cię ci czekaści?

— Tym, że mnie obserwują?

— Yhm.

— Zaczęło się od tego, że w zeszłym roku leciałem pod swoim nazwiskiem. Od czasu tej historii z -uprowadzeniem samolotu wiedzą, kim jestem, i udało im się wywęszyć nasze biuro. Śledząc mnie, mogą równie dobrze zlokalizować nowe biuro, a zakładam, że tam wrócę.

— Naturalnie. Ale na pewno coś wymyślimy. Nieważne, czy dowiedzą się, gdzie pracujemy, najważniejsze, żeby nie wywąchali, co robimy. Skorzystaj z ładnej pogody i weź sobie wolne.

— Rosjanom w archipelagu pogoda też dopisuje.

— Zawsze możemy cię wezwać. Widzimy się w poniedziałek i dzięki za papierkową robotę. Zapomniałem ci powiedzieć, że jesteś w tym bardzo dobry.

— Dziękuję, koman... dziękuję, Sam.

— Udanego weekendu.

— Wzajemnie.

Wróciwszy do swojego tymczasowego gabinetu, wrzucił notatki do plastikowego worka, zaplombował go i wychodząc, zostawił w koszu do zniszczenia.

Wieczorem poświęcił przeszło dwie godziny na forsowny trening w pokoju zabezpieczonym stalowymi drzwiami i elektronicznym zamkiem. Ze zdumieniem odkrył, że waży dziewięćdziesiąt cztery kilo, trzy więcej niż kiedykolwiek. Wymacał w pasie zwały tłuszczu, które zdaniem innych należałoby raczej uznać za niezbyt obfitą tkankę podskórną.

W wieku trzydziestu czterech lat zaczynał odczuwać starość i pewną nieruchawość, dlatego z niepojętym wręcz zapamiętaniem godzinę z okładem znęcał się nad wypełnionym piaskiem skórzanym worem o ledwie już rozpoznawalnych ludzkich kształtach.

Po ćwiczeniach siłowych oddał dziesięć serii z małokalibrowego pistoletu. Doszedł do wniosku, że powinien strzelać jak najwięcej, kiedy jest spocony, zmęczony i zły, ponieważ w spokojnym mierzeniu do nieruchomych celów zaczyna być za dobry. A to może przynieść więcej szkody niż pożytku, jako że podczas akcji o spokoju nie ma mowy.

Broń pomagała mu także poskramiać najróżniejsze stany emocjonalne. Wystarczyło, żeby wsunął magazynek, a ogarniał go spokój i potrafił się bez reszty skoncentrować na jednym punkcie, w jaki zlewała się linia między szczerbinką i muszką, i na niewyraźnym, zawsze rozmazanym celu.

W trzech seriach zdobył pięćdziesiąt punktów, w czterech, czterdzieści dziewięć, w dwóch czterdzieści osiem. Strzelanie stanowiło jedyną dyscyplinę sportu, w której mógłby wytrzymać konkurencję. Czyli wygrać.

Gdy opuścił pokój treningowy, wziął prysznic, wypił litr soku pomarańczowego i usiadłszy z filiżanką gorącej herbaty osłodzonej kalifornijskim miodem, słuchał „Wariacji Goldbergowskich” Bacha. Ostatnio miał z nimi przyjemność w samochodzie, kiedy spotkał tę dziwną policjantkę w feministycznych okularach. Przestał się pocić. Mimo ciepła na zewnątrz

pozamykał wszystkie okna i udał się do sypialni. Wyciągnął berettę spod poduszki i położył ją nocnej szafce. Po raz pierwszy od dawna usnął niemal natychmiast.

Kiedy się zbudził, nie wiedział, dlaczego ani jak długo spał. Po prostu nagle był spięty i całkiem przytomny. Odruchowo sięgnął po pistolet i wsunawszy go pod kołdrę, odbezpieczył.

A potem powoli usiadł na łóżku i zaczął się zastanawiać.

Tym razem nie męczył go żaden koszmar. Spojrzał na zegarek. Parę minut po trzeciej.

Prześcieradła miękkie i przyjemnie chłodne. Nie spociał się. A mimo to siedzi rozbudzony z pistoletem w garści.

Z przedpokoju dobiegało jedynie tykanie ściennego zegara. Wyczuwał jednak czyjąś obecność i był przekonany, że to nie przywidzenie.

I wtedy usłyszał pierwsze wyraźne dźwięki. Ktoś skradał się w przedpokoju. Widok przesłaniały mu na wpół przymknięte drzwi sypialni.

Wytoczył się z łóżka, udrapował pościel, żeby od biedy mogło się zdawać, że ktoś w niej śpi, i błyskawicznie stanął przy drzwiach, trzymając pistolet na wysokości twarzy.

Zaczął nasłuchiwać. Intruz wszedł do biblioteki. Wyjrzał z sypialni. W przedpokoju dostrzegł odblask latarki. Ktoś otworzył sobie drzwi wytrychem i szuka czegoś w bibliotece, gdzie nie ma nic prócz książek, muzyki klasycznej i odrobiny alkoholu. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy jest sam. Jego zachowanie urągało jakimkolwiek regułom.

Carl włożył spodnie, upewnił się, że nic ostrego nie wystaje z kieszeni, dokładnie zapiął pasek, po czym ostrożnie pchnął drzwi lewą dłonią. Otworzyły się bezgłośnie. Ponieważ nie znosił skrzypienia, postarał się, żeby nie wydawały żadnych dźwięków.

Wśliznął się do przedpokoju, najciemniejszego pomieszczenia w mieszkaniu. Za oknami śpiewały kosa, w bibliotece latarka nie była już właściwie potrzebna.

Mijając zamknięte drzwi pokoju stołowego, zauważył, że klucz jest na swoim miejscu. Nikt ich więc nie otwierał.

Kiedy od biblioteki dzielił go mniej więcej metr, odwiódł kurek pistoletu i wzięwszy głęboki oddech, szybko ruszył przed siebie.

Jakiś mężczyzna usiłował otworzyć wytrychem szufladę antycznego biurka. Obok leżała latarka. Miał długie jasne włosy, postrzępione džinsy, wyświechtaną skórzaną kurtkę i tenisówki z trzema paskami. Jedną oplatało źle zawiązane sznurowadło.

Amator, pomyślał Carl, cholerny amator dobiera się do mojego biurka w środku nocy. Nie będę strzelał do amatora. Wycofał się ostrożnie. Zabezpieczył pistolet obiema dłońmi, żeby nie robić hałasu, i zdecydował się na dwie rzeczy. Najpierw zamknął drzwi na górny zamek i włożył klucz do kieszeni, a potem z pilotem TV, który nie wie gdzie leżał w przedpokoju na stoliku z gazetami, wrócił pod drzwi biblioteki.

Mężczyzna wciąż mocował się z szufladą. Obok latarki leżał duży aparat fotograficzny.

Carl zastanawiał się, jak ma to rozumieć. Wzruszył ramionami i pilotem włączył telewizor, który natychmiast zaczął szumieć. Intruz drgnął, rozejrzał się i podszedł do odbiornika. W tym momencie Carl zapalił górne światło, podniósł pistolet i spokojnie czekał, aż zostanie zauważony.

Mężczyzna odwrócił się, przerażony. Mógł mieć od trzydziestu do czterdziestu lat. Powiększone źrenice sugerowały, że jest czymś nafaszerowany. Na widok dużego czarnego pistoletu i spojrzenia Carla wolno podniósł ręce.

— Nie strzelaj, kurde, nie strzelaj — wydyszał ochryple. Carl przyglądał mu się w milczeniu.

— Kładź się, twarzą do podłogi, z rozłożonymi ramionami i nogami — rzucił w końcu.

Gdy intruz błyskawicznie spełnił polecenie, Carl przeszukał go. Znalazł duży śrubokręt, dwie kaniule i pokaźną wiązkę kluczy. Cisnął te trofea na biurko.

Nie ruszaj się, bo rozwalę ci łeb — nakazał i szybko udał się do pokoju treningowego.

Za najzwyczajszymi dębowymi drzwiami kryły się stalowe, opatrzone zamkiem szyfrowym. Wszedł do ciemnego pomieszczenia i z szafy na broń wyjął parę amerykańskich kajdanek.

Mężczyzna, o dziwo, leżał tam, gdzie go zostawił. Spodziewał się, że będzie go musiał siłą odrywać od drzwi.

Założył facetowi kajdanki i zawlókł go na kanapę. Potem zapalił boczne światło i usiadł w fotelu naprzeciwko swojej ofiary.

— Jesteś gliną? — z niepojętym wręcz optymizmem spytał intruz.

— Nie. Trafiłeś o wiele gorzej. A teraz sobie pogawędzimy. Jeśli się dowiem wszystkiego, co mnie interesuje, obejdzie się bez glin.

— Nic z tych rzeczy. Dzwon lepiej po gliny — hardo odparł złodziej amator.

Carl pochylił się i wyłuskał portfel z kieszeni jego kurtki. Były w nim bilet na przejazd autobusem i recepta na metadon.

— Jak się nazywasz? I jaki jest twój numer osobowy?

— Gównu cię to obchodzi, zawszony pedale, dzwoni po gliny — z rosnącą pewnością siebie nalegał intruz.

Carl podniósł się z westchnieniem i wierzchem dłoni uderzył gościa w twarz. Chciał go tylko trochę postraszyć.

— Jak się nazywasz i jaki jest twój numer?! — wrzasnął.

— Oskarżę cię o maltretowanie ludzi, ty pieprzony gliniarzu!

Carl znów go uderzył, tym razem dużo mocniej.

— Sześćdziesiąt cztery zero jeden siedemnaście dwanaście siedemdziesiąt dziewięć Kenneth Henrik Carlsson, Carlsson przez C. I dzwoni po gliny, gnojku.

Carl wsunął pistolet na swoje stałe miejsce, z tyłu. Dlaczego tak mu pilno do spotkania z policją?

— Dobrze, zadzwonię.

Podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i dopiero teraz sobie uzmysłowił, że zna numer wyłącznie do policji bezpieczeństwa. Do zwykłej nigdy nie telefonował.

— Znasz numer? — spytał z uśmiechem.

Znał. Carl poprosił o połączenie z oficerem dyżurnym VD1. Odebrała Eva-Britt we własnej osobie.

— Cześć, tu Carl, potrzebuję twojej pomocy.

— Będziesz jutro, co?

— Tak, zgodnie z umową. Czy mogłabyś mi sprawdzić w kartotece pewnego złodzieja? Chciałbym ustalić jego tożsamość.

— Wysłać po niego wóz?

— Nie, jest zdumiewająco chętny sam się tam udać, pewnie dlatego, że od razu go wypuścicie. Zanim go wyrzucę, chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć.

— A nie jest groźny? Panujesz nad sytuacją?

— Tak, całkowicie.

— Okej, jak się nazywa?

— Sześćdziesiąt cztery zero jeden siedemnaście dwanaście siedemdziesiąt dziewięć Kenneth Henrik Carlsson — przeczytał z recepty na metadon.

Odłożył słuchawkę i rozsunął kotary. Nie zauważył nic podejrzanego. Święty Jerzy i smok zmagali się bez świadków. Nad dachami domów roztaczał się widok na Skeppsholmen. Sterczały trzy maszty „Chapmana”. Otworzył okna. Dał się słyszeć jedynie śpiew kosów i szum nielicznych samochodów na Skeppsbron.

— To długa historia — zaczęła po kilkuminutowej przerwie Eva-Britt Jönsson. — Podać ci szczegóły, czy wolałbyś ogólny obraz?

— Wystarczy, jeśli się dowiem, co to za jeden — odparł Carl, zerkając na naburmuszonego więźnia.

— No cóż, około trzydziestu punktów w rejestrze karnym, kradzież, narkotyki, zabór mienia znacznej wartości, drobna kradzież, groźba bezprawna, narkotyki, rozbój, kradzież, zabór mienia znacznej wartości, drobna kradzież, czynny opór władzy i tak dalej. Zwany Kenta, ćpun i złodziej, ma pozwolenie na używanie metadonu... starczy? Miłego masz gościa.

— A znaki szczególne?

— Chwileczkę... Tatuaze na przedramionach typu więziennego, na lewym coś w rodzaju krzyża i róży wiatrów, wokół nadgarstka napis „Kiki”.

— Wystarczy, do zobaczenia jutro.

— Jesteś pewien, że nie powinniśmy go zabrać?

— Nie ma sensu, niczego nie zdążył zwięździć. Do jutra! Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę. Wysupłał kluczyk do kajdanek, otworzył lewą obręcz, podwinął więźniowi rękaw i stwierdził, że tatuaz się zgadza. Przypiął Kentę do nogi kanapy i przez chwilę przyglądał się trofeom na biurku. Wśród kluczy, które wyjął złodziejowi z kieszeni, znalazł swój, oznaczony numerem trzecim. Bezczenna informacja.

Udał się do sypialni, włożył koszulę, skarpetki i buty, po czym wrócił do biblioteki. Kenta był już nie tyle wystraszony, ile wściekły.

— A teraz utniemy sobie długą pogawędkę.

— Tere-ferre. Dzwon po gliniarzy, bo inaczej oskarżę cię o nielegalne pozbawienie wolności. Takie przestępstwa społeczeństwo traktuje bardzo poważnie, mnie nic nie grozi, bo jestem tylko złodziejem, ale ty wylądujesz za kratkami, jeśli mnie nie wypuścisz.

Carl nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Kenta mówił prawdę. Usiłowanie kradzieży było czymś bez porównania niewinniejszym niż bezprawne pozbawienie wolności.

— Tak... chyba nie zrozumiałeś, w co wdepnąłeś. Przypuszczam, że nie wiesz, z kim masz przyjemność?

— Gównu mnie to obchodzi, dzwon po gliny, nie masz prawa mnie przesłuchiwać.

— Napijesz się czegoś? Whisky, wino, piwo?

— Szklaneczka whisky nie zaszkodzi, ale musisz mi najpierw zdjąć te pieprzone bransoletki — rzekł złodziej z przebłyskiem nadziei w oczach.

Carl spojrział na otwarte okna. Wolałby nie uganiać się za złodziejem po dachach Gamla stan. Zamknął je i dopiero potem nalał pół szklaneczki „Jacka Daniela” dla Kenty i odrobinę dla siebie. Kiedy postawił je na stole, nastawił muzykę, uwolnił więźnia z kajdanek i przysunął sobie fotel bliżej kanapy. Siedzieli teraz w odległości metra.

— Na zdrowie, Kenta — rzekł, wznosząc szklaneczkę. Kenta z wahaniem pociągnął łyżek i zaczął rozmasowywać nadgarstki. Miał się na bacności.

Nie ulegało wątpliwości, że to prawdziwy złodziej. Zniszczona twarz, przykry zapach.

— Otóż nie wyjdiesz stąd, dopóki... — zaczął Carl najłagodniej, jak umiał.

— Nie jestem, cholera, kapusiem! Jestem fachowcem. Nie będę z nikim gadał, ani z tobą, ani z glinami.

— Nie przerywaj, Kenta, zaraz się dowiesz, o co chodzi. Jeśli jesteś zwykłym złodziejem i chciałeś dokonać zwykłej kradzieży z włamaniem, masz rację, nie spotka cię kara za twoje tysięczne czy któreś tam drobne przestępstwo. A teraz słuchaj! Jestem oficerem w Sztapie Obrony i moja praca ma sporo wspólnego z tajemnicami wojskowymi. Otwierasz drzwi kluczem i natychmiast idziesz do biurka... Ale nie po to, żeby coś ukraść. Wtedy wystarczyłoby wyłamać szufladę śrubokrętem. To nie jest zwykłe włamanie, Kenta. Świadomie albo nieświadomie pracujesz dla wroga. Co nie nazywa się ani włamaniem, ani kradzieżą, tylko szpiegostwem. I nie wylądujesz w pace na trzy miesiące za wszystkie swoje dotychczasowe grzeszki, ale na dziesięć lat. Rozumiesz, o czym mówię?



— Ni cholery — odrzekł, wyraźnie przestraszony.

— Na pewno rozumiesz, Kenta. Oznacza to także, że nie wezmą cię w obroty zwyczajni gliniarze. Najpierw wycisnę z ciebie, co się da, i nie wyobrażaj sobie, że poskutkują twoje skargi na brutalność policji, bo nikt ich nie bierze pod uwagę, gdy chodzi o zagrożenie bezpieczeństwa państwa. Potem zaprowadzę cię w pewne miejsce, w którym sobie posiedzisz, dopóki się nie dowiemy wszystkiego, a wreszcie trafisz do mamra na długie lata. Nie przerywaj. Przedstawiłem ci niemiły wariant, a teraz posłuchaj miłego. Jesteś złodziejem. Ktoś cię najał. Nie miałeś pojęcia, co ryzykujesz. Od ciebie niczego nie chcemy, bo jesteś tylko złodziejem, ale musimy złapać tych, którzy ci nadali robotę.

— Nie jestem kapusiem...

Carl podniósł szklaneczkę, skinął na Kentę, który wychylił tym razem solidny łyk, i podszedł do biurka, przyrzuć aparatowi fotograficznemu. Polaroid. Z czymś takim radzi sobie pierwszy lepszy amator.

— Miałeś coś tutaj sfotografować, Kenta. A potem wszystko zostawić tak, jak było. Wiem, skąd jest klucz, którym otworzyłeś drzwi. No, Kenta, co chciałeś sfotografować? Chyba nie tajne dokumenty, co?

— Nie, nic z tych rzeczy. W życiu bym nie pomyślał, że to pachnie szpiegostwem albo czymś w tym rodzaju, przecież nie ma to do cholery nic wspólnego z żadnymi łodziami podwodnymi i tak dalej.

— No, co miałeś sfotografować?

Carl usiadł naprzeciwko Kenty, w którym honor złodzieja walczył ze strachem. Wygrał strach.

— Parę medali. I to się nazywa szpiegostwo?

— Medali?

— Yhm. Miały leżeć w szufladzie.

Carl znów podszedł do biurka. Wszystko się zgadzało. Oprócz prywatnych papierów w szufladzie było kilka niebieskich pudełeczek z odznaczeniami. Prawie o tym zapomniał.

Wybrał odpowiedni kluczyk z wiązki złodzieja, otworzył szufladę, wyjął z etui ozdobionego inicjałami RF order komandorski Legii Honorowej i zamachał nim przed nosem osłupiałego Kenty.

— Coś takiego? — spytał.

— Tak, i nie ma o co kruszyć kopii. Chodziło o zakład.

— O co się założyli?

— Czy masz dwa okrągłe żółte, czy jeden.

Carl otworzył drugie pudełeczko i po chwili zamachał złodziejowi przed nosem szwedzkim Medalem za Odwagę.

— O to chodziło?

— Nie wiem, miało na nim być coś o odwadze albo jakoś tak.

— I co dalej?

— Założyli się o to, ile ich jest, jeden czy dwa.

— Kto się założył?

— Ni cholery nie wiem.

Carl rzucił medal na stół i nalał swemu więźniowi whisky. Siedział w milczeniu, jakby słuchał muzyki. Znów „Wariacje Goldbergowskie”. Zapomniał wczoraj schować płytę.

Złodziej Kenta wolno sączył whisky. Wreszcie Carl powziął decyzję.

— Sytuacja przedstawia się następująco — zaczął stanowczo. — Ci, którzy się rzekomo założyli, pracują w radzieckim wywiadzie. Chcą zdobyć o mnie pewne informacje, ważniejsze, niż ci się wydaje. Nie mogę powiedzieć, jakie, bo dotyczą tajemnic państwowych. Co zatem teraz zrobimy? Ile mieli ci zapłacić?

— Trzy tysiące. Połowę od razu, resztę po dostarczeniu zdjęć.

— Gdzie masz tę połowę?

— Prawie wszystko wydałem, miałem trochę długów i tak dalej.

— I pewnie z przyjemnością zainkasujesz jeszcze półtora patyka?

— Jasne. Ale nie jestem szpiegiem, jestem uczciwym złodziejem, a nie jakimś pieprzonym szpiegiem.

— Cieszę się, że rozmawiam z patriotą. I mam pewną propozycję. Zrobimy dla nich zdjęcie. Dostarczysz je i dostaniesz forszę, ale ani słowa o tym, że wpadłeś. W zamian muszę wiedzieć, co to za jedni, i zaraz to wszystko nagramy.

— Mam się przyznać do szpiegostwa, a potem trafić do pierdła? Nigdy w życiu. Myślisz, że jestem szajbusem, czy jak?

— Nic podobnego. Pracując dla mnie, staniesz się szwedzkim agentem. I możesz wpaść tylko wtedy, jeśli nie dochowasz tajemnicy zawodowej. Dopóki będziesz naszym agentem, nic ci nie grozi.

— Dostanę to na piśmie?

— Jasne, że nie. Nikt nie dostaje czegoś takiego na piśmie. Wypełnisz za to wojskowy formularz.

I udał się do swojego specjalnego pokoju. W drugiej szafie na broń, w lewym rogu jednej z górnych półek, leżał mały plik formularzy nr 107 Fst [Fst — Försvarsstaben — Sztab Obrony (przyp. tłum.)] „Dowód przyjęcia pouczenia o obowiązku dochowania tajemnicy służbowej” nieszczególnie się nadawał do podsuwania złodziejom z okolic Sztokholmu, o czym świadczą już pierwsze jego zdania:

„Tego dnia ..... pouczył mnie, iż zarówno podczas pracy, jak i po jej zakończeniu nie wolno mi przekazywać osobom nieuprawnionym informacji natury tajnej. Otrzymałem instrukcje dotyczące zasad przestrzegania porządku i bezpieczeństwa w miejscu pracy, obchodzenia się z tajnymi dokumentami oraz zachowania innych środków ostrożności”...

Carl z trudem powstrzymywał się od śmiechu, wypełniając przy biurku formularz w imieniu Kenty. Rodziło się oczywiste pytanie, co na przykład znaczy w jego wypadku passus o pracy i jej zakończeniu. Ale poza tym papiery były prawdziwe.

— Gotowe — oznajmił, kładąc formularz przed Kentą. — Przeczytaj uważnie i podpisz pod spodem. I zwróć uwagę na ostatnie zdanie: „Jestem świadom, że uchybienie obowiązkowi dochowania tajemnicy służbowej, nawet nieumyślne, podlega karze”. Będziesz szwedzkim agentem tylko w tej specjalnej operacji. Jeśli na mnie nie doniesiesz, nic ci nie grozi. I co ty na to?

Kenta pochylił się, w napięciu dwa razy przeczytał tekst, po czym wyjął Carlowi pióro z ręki i z wahaniem złożył podpis.

Carl uzupełnił blankiet, wpisując w puste miejsce swoje nazwisko.

— No a teraz możemy przystąpić do pracy. Witam w tajnej służbie Jego Wysokości.

I przyniósłszy z pomieszczenia opatrzonego stalowymi drzwiami mały magnetofon kasetowy, który sprawdził w przedpokoju, ustawił go na stole, uruchomił i zaczął: — Jest trzecia dwadzieścia sześć, piątek, siedemnasty czerwiec. Znajdujemy się u mnie, w mieszkaniu kapitana marynarki, Carla Hamiltona. Jest tutaj złodziej... e... sześćdziesiąt cztery zero jeden siedemnaście dwanaście siedemdziesiąt dziewięć, Kenneth Henrik Carlsson, który wtargnął do mnie w celu wykonania zdjęć dla swojego zleceniodawcy. Zgadza się, Kenneth?

— Czy magnetofon jest włączony?

— Tak. Pytam, czy się zgadza.

— Jasne.

— Od kogo otrzymałeś to zadanie?

— Od faceta, który się nazywa Lelle.

— Czy to on dał ci klucz do mojego mieszkania?

— Tak. Powiedział, że nie będzie cię w domu podczas weekendu.  
— Mówimy o mężczyźnie około trzydziestki, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, silna budowa ciała, czarne kręcone włosy?  
— Yhm. To właściwy rysopis.  
— Co miałeś sfotografować?  
— Twoje medale... które są w tamtej szufladzie.  
— Co było szczególnie ważne?  
— Ile jest złotych okrągłych, jeden czy dwa. Miałem sfotografować wszystkie, a potem położyć je na miejsce. I niczego nie kraść.  
— Tak, oczywiście. Co ci obiecano w zamian?  
— Trzy patyki. Połowa przed i połowa po.  
— Co wiesz o zleceniodawcy Lellego?  
— Nic. Powiedział, że założyli się jacyś zawistnicy, że to nic groźnego i nie chodzi o kradzież.

— Dziękuję, Kenta, to wystarczy.

Carl wyłączył magnetofon i podszedł do biurka. Wyjął z szuflady Bundesverdienstkreutz, order komandorski Legii Honorowej i jeden szwedzki Medal za Odagę — drugi dyskretnie ukrył — i pstryknął zdjęcie tej lekko zredukowanej kolekcji. Wyszło niezłe.

— W porządku — powiedział. — Możesz je przekazać. A teraz chciałbym sfotografować ciebie. Stań obok medali.

Kenta niechętnie usłuchał. Po zrobieniu zdjęcia Carlowi coś przyszło do głowy. Przyniósł z przedpokoju „Dagens Nyheter”, wsunął złodziejowi w dłoń i jeszcze raz go sfotografował.

— Dobrze, Kenta. Dostarczysz to zdjęcie swoim zleceniodawcom, zainkasujesz tysiąc pięćset koron i zapomnisz o całej historii. Gdyby cię poprosili o kolejną przysługę, musisz się odezwać, to twój obowiązek. I nikomu ani słowa, podpisałeś zobowiązanie o dochowaniu tajemnicy służbowej.

— I będę czysty?

— Tak, pod warunkiem, że nie puścisz pary z ust, a przekazując zdjęcie, powiesz, że wszystko poszło jak po maśle. Jeśli tylko spróbujesz szpanować, że jesteś tajnym agentem, przymkniemy cię. Okej?

— Jasna sprawa. Mógłbym dostać jeszcze kielonek?

\* \* \*

Carl zjawił się w swoim tymczasowym gabinecie w OP5, który z upływem miesięcy stawał się coraz mniej tymczasowy, dobrze przed ósmą. Nie zdążył się jeszcze wypocić po porannym ostrym treningu. Postanowił ćwiczyć, nie szukając żadnych wymówek, i zrzucić trzy kilogramy.

Zaczął od podania z prośbą o dostęp do kartoteki policji bezpieczeństwa, by sprawdzić dossier swojego dozorca, Larsa-Erika Sundberga, który mógłby być Lellem.

Zapomniał go poinformować, że nie wyjeżdża na cztery dni i podlewanie kwiatów nie będzie konieczne. Nie czuł się dobrze na samą myśl o zeschniętych roślinach, zwłaszcza od czasu niespodziewanie długiego i niemiłego pobytu w Niemczech. Nim wrócił do domu, wszystkie kwiaty, które poustawiał na stole w bibliotece, umarły.

Dozorca miał lewicową przeszłość. Udzielał się w FNL [FNL — franc. Front National de Liberation — Narodowy Front Wyzwolenia (przyp. tłum.)] i temu podobnych organizacjach. Jakiś czas był związany ze sztokholmską sekcją promoskiewskich komunistów z Norrbotten. Później jednak zrezygnował z działalności politycznej, coś tam malował i pracował jako dozorca w spółce handlu nieruchomościami będącej własnością Carla.

I przypuszczalnie miał kontakty z Rosjanami.

Carl wysmażył bardzo szczegółowe raporty dla szefa OP5, szefa wydziału bezpieczeństwa przy Sztapie Obrony i dla szefa jego wydziału, komandora porucznika Lallesteda.

Złożył je na biurku Samuela Ulfssona tuż po dziesiątej, po czym on, Sam i podpułkownik Borgström z Fst/Säk [Fst/Säk — Försvarsstaben/Säkerhetsavdelning — Wydział Bezpieczeństwa Sztabu Obrony (przyp. tłum.)] odbyli czterogodzinną naradę.

Borgström uznał, że sprawę należy natychmiast przekazać zwykłej policji bezpieczeństwa. Niech go zatrzymają albo podejmą czynności śledcze. Niecodziennie uzyskuje się i informacje o radzieckich agentach.

Carl był temu zdecydowanie przeciwny. Mogą zgarnąć Sundberga, kiedy tylko zechcą. Teraz ma dla GRU albo dla czekistów garść informacji, które Carl odpowiednio spreparował. Lepiej więc poczekać, aż Rosjanie dostaną fałszywe dane. Jeśli zdejmą agenta teraz, wszystko diabli wezmą.

Borgström nie bez ironii skonstatował, że pozostaje im dokonać wyboru między kaprysami młodego kapitana marynarki a ujawnieniem i zneutralizowaniem wrogich i agentów.

Ponieważ Carl nie mógł przedstawić swoich argumentów w obecności szefa wydziału bezpieczeństwa, poprosił o rozmowę w Samem w cztery oczy.

Samuel Ulfsson zdołał już niezłe zadymić pokój swoimi nieodłącznymi blendami.

— No, dobrze, Carl, do rzeczy — zaczął komandor porucznik, odpalając jednego papierosa od drugiego. — O co im chodzi?

— Chcą wiedzieć, ile mam medali za odwagę, jeden czy dwa.

— A masz dwa, skubańcu. Wątpię, czy sam von Döbeln tyle miał. I?

— I ten przygłup Borgström nie wie...

— Kapitan powinien się wyrażać z większym szacunkiem o przełożonych.

— Przepraszam. Nasze talenty z wydziału bezpieczeństwa nic nie wiedzą i lepiej, żeby się nie dowiedziały.

— Czego mianowicie?

— Że drugi medal dostałem za operację Big Red. Rosjanie chcą sprawdzić, czy brałem w niej udział. I właśnie dostali błędną wiadomość. Możliwe, że to uporczywe uganianie się za mną miało tylko jeden cel. Chcieli sprawdzić, kto wysadził ich ludzi.

— Przykra sprawa.

— Nawet bardzo.

— Co to ma za znaczenie, kto przeprowadził tę operację?

— Cholera wie. Mszczenie się na poszczególnych operatorach nie jest raczej w ich stylu.

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Jesteś szefem. Wydaj rozkazy, do diabła.

— Jakie rozkazy?

— Powiedz tej spoconej myszy, Borgströmowi, że sprawa jest ściśle tajna i bez twojej zgody nie wolno jej przekazywać do małpiarni na Kungsholmen.

— Jak długo?

— A bo ja wiem?

— Nie możemy jednak pozwolić rosyjskim agentom na zbyt dużą swobodę. Podpułkownik Borgström ma tutaj niewątpliwie rację.

— Ale ten stróż to płotka, chłopiec na posyłki. Zatrzymamy go, skażemy za coś tam, usuniemy z kraju jego opiekuna i to wszystko. Jeśli Rosjanie wążą w związku z Big Red, rzecz jest poważniejsza.

— Boisz się o własne bezpieczeństwo?

— Mają teraz dowód, że nie maczałem w tym palców. Gdyby się dowiedzieli, że jest inaczej, w dalszym ciągu deptaliby mi po piętach. A przecież, do cholery, chciałbym wrócić do operacyjnego, ani mi w głowie siedzieć tutaj i przerzucać papiery aż do emerytury.

— Co będziesz robił w terenie?

— Jak tylko Stålhandske i Lundwall zakończą nauki w Kalifornii, pomyślimy o podwodnych wyprawach. Mamy lepsze możliwości i wyposażenie niż inni... a poza tym możemy zdobyć więcej dowodów!

— Dziwne, że słyszę to właśnie od ciebie.

— Nie rozumiem.

— Jesteś jednym z niewielu ludzi w Szwecji, którzy nie potrzebują dowodów. Wiesz więcej niż inni, jak się sprawy mają pod wodą.

— Tyle że to tajemnica po wsze czasy. Ale oni nie zrezygnowali, ciągle tam, kurde, są i znów coś kombinują. Musimy ich załatwić, Sam.

— Kiedy nie ma kota... Nigdy dotąd tak nie kłamię.

— Gdybyśmy mogli im przywalić jeszcze raz! I chyba lepiej, żeby się nie dowiedzieli, kto ich tak urządził. Lundwall, Stålhandske i ja możemy sporo zdziałać. Sam, pomyśl tylko, ile kosztowało nasze szkolenie w Kalifornii.

— Masz oczywiście rację. Kosztowało bardzo dużo. Wolę nie myśleć, co by było, gdyby Rosjanom zachciało się organizować akcje wymierzone w naszych ludzi. Okropne... nie tylko zresztą dla ciebie. Okej, sprawa poczeka, szpieg trochę sobie jeszcze pohula na wolności.

— Nie sędzę, żeby był szpiegiem. Raczej mało ważnym, gównianym agentem.

— Poczekamy. Pół roku wystarczy?

— To zależy. Jeśli przekażesz sprawę małpiarni, nigdy się z nią nie uporają.

— Później będziemy się nad tym zastanawiać. Co robisz w czasie weekendu?

— Żegluję na archipelagu.

— Prywatna ekspedycja? Czy to rozsądne?

— Będzie mi towarzyszyć siedmiu policjantów, w tym trzy kobiety. Aha, byłbym zapomniiał, chciałbym, żebyś mi poświadczył mandat za szybką jazdę.

\* \* \*

Pełniąca obowiązki inspektora Eva-Britt Jönsson nie mogła dojść do ładu z Carlem Hamiltonem. Nie ulegało wątpliwości, że jest oficerem marynarki. W ich policyjnym kółku wszyscy byli żeglarzami amatorami i choć dwie osoby zdały egzamin, Carl najszybciej rozwiązywał najróżniejsze problemy nawigacyjne. Poza tym umiał korzystać z oznaczeń, które uwzględniały jedynie wojskowe mapy morskie.

Był odprężony i rzadko się odzywał. Chłopcy próbowali go na różne sposoby odpytywać, jak to oni potrafią, odpowiadał wymijająco, nie przejmując się ich zaczepkami. Podczas niemal dziesięcioletniej pracy w policji nasłuchiwała podobnych tekstów, zwłaszcza w wydaniu kolegów.

Popłynęli w kierunku wysepki Sandhamn i wieczorem zakotwiczyli w jej pobliżu, przy Hästhalm, obok skalnej ściany, gdzie na nieszczęście było dość głęboko. Na nieszczęście, ponieważ jedna z koleżanek, mocując linę kotwiczną straciła cenny zegarek. Dna nie było widać i koleżanka, co zupełnie nie przystoi policjantom, rozplakała się. Złoty rolex kupiła jej przyjaciółka stewardesa na lotnisku w Amsterdamie czy gdzieś tam. Wyjątkowo tanio.

Mimo że temperatura wody nie przekraczała dwunastu stopni, chłopcy zaczęli nurkować. Szybko jednak dali spokój, powiedzieli, że to niemożliwe, bo nie widać dna.

Zerknęła na niego. Siedział spokojnie w słonecznych okularach, chociaż był już wieczór. Dopiero kiedy chłopcy zrezygnowali z poszukiwań, po długim wahaniu poprosił o maskę. Kiedy zdjął bawełnianą koszulkę, zobaczyła na jego piersiach blizny, po ranach zadanych nożem. Nigdy czegoś podobnego nie widziała, choć na to i owo zdążyła się już napatrzeć. Chyba próbował je przed nimi ukryć, bo natychmiast wskoczył do wody i trzymając się relingu, zębami skrócił trochę pasek maski, a potem na nią napluł i rozprowadził ślinę. Zmoczywszy włosy, założył maskę jedną ręką, jakby robił to przez całe życie. Wreszcie nabrał powietrza i z plaśnięciem zniknął pod wodą.

Ku ich zdumieniu, które z czasem przerodziło się w strach, nie było go całą wieczność. Wypłynął po dwóch, trzech minutach. Z zegarkiem w wyciągniętej dłoni. Chwytał się relingu, położył zgubę na pokładzie, bez wysiłku się podciągnął i od razu skierował się do kajuty. Zdażyła jednak zobaczyć to, czego nieświadomie szukała. Tuż pod prawym obojczykiem miał coś, co przypominało bliznę po kuli. A kiedy się schylił przed wejściem, na prawej łopacie dostrzegła wyraźny ślad po otworze wylotowym, duży jak stare pięć öre.

Ledwie się pojawił na pokładzie, już w dzinsach i niebieskim wojskowym swetrze, zarzucili go pytaniami. Gdzie się, u diabła, nauczył tak nurkować, jaka tu jest głębokość i tak dalej. Odparł krótko, że około dziesięciu, dwunastu metrów, piaszczyste dno, łatwo na nim dostrzec błyszczący przedmiot, a nurkowania uczył się na szkoleniu podstawowym, więc jest rzeczą oczywistą, że potrafi to robić.

Wydawało się, że szybko o tym zapomniał. Każdy z chłopców na pewno by się na jego miejscu długo przechwalał.

Po kolacji — młode kartofle z puszką i śledzie ze śmietaną i szczypiorkiem — ktoś napelnił jedną trzecią puszkę po piwie wodą i rzucił za rufę.

W pobliżu nie było żywego ducha, mogli się więc trochę pobawić. Każdy po kolei oddawał strzały do puszkę z pistoletu kaliber 22. Najgorszego strzelca czekało zmywanie naczyń. W pierwszych latach ich wspólnych rejsów niemal zawsze przegrywały panie.

Spojrzała na niego ukradkiem. Z uwagą śledził ich poczynania. Była przekonana, że też to potrafi. Czasem uśmiechał się lekko, widząc mniej udane strzały.

A kiedy jeden z kolegów chciał mu dać pistolet, powiedział, że marnie sobie radzi z bronią, ale chętnie pozmywa. I pozmywał.

Później chłopcy pod ochoceni piwem zaczęli jak zwykle trochę rozrabiać. Carl wyszedł wtedy ze swoim śpiworem, dość zresztą wyrafinowanym, na pokład, mówiąc, że w kajucie będzie zbyt duszno.

Obudziwszy się wcześniej od innych, ruszyła w tym kierunku, gdzie wczoraj powędrował. Odkryła jego śpiwór po drugiej stronie wysepki. Carl pływał i nurkował w najlepsze, jakby to był środek lata i dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza, a nie dwanaście.

Usiadła w odpowiedniej odległości do śpiwora, by jej nie zauważył, i obserwowała go. Raz po raz wykonywał to samo ćwiczenie. Najpierw płynął w oszalałym tempie około dwudziestu metrów, a potem na długo zniknął pod wodą, pojawiał się na powierzchni i zaczynał od początku.

Później spory kawałek przepłynął spokojnie, głęboko wciągnął powietrze i zanurkował. Złapała czas. Wynurzył się po dwóch minutach i czterdziestu sekundach.

Wreszcie skierował się ku brzegowi, dał nurka i zniknął z oczu. Po czterech minutach zaczęła podejrzewać, że gdzieś utknął, i wyjrzała niespokojnie zza skały, żeby objąć wzrokiem większą część wybrzeża.

— Hej — odezwał się nagle, czym ją oczywiście wystraszył. Stał za nią, dwa metry dalej. — Czy szpiegowanie gołych mężczyzn należy do zwyczajów inspektora policji? Sama wiesz, jak się żałośnie kurczy w zimnej wodzie.

Był już w dzinsach.

— Najwyraźniej zimna woda ci nie przeszkadza — wyszeptwała, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia.

— Ani trochę. Sporo pływałem w Kalifornii, tam w wodzie jest znacznie chłodniej, niż się ludziom zdaje. Przywykłem.

Kiedy się zorientował, z jakim zainteresowaniem lustruje jego nagi tors, podszedł do śpiwora i wciągnął niebieski sweter. Usiadła przy nim.

— Co ci się stało? — spytała.

— Masz na myśli blizny?

— Tak.

— Któregoś lata nurkowałem pośród ostrych koralii bez kombinezonu i miałem niejakię trudności z wydostaniem się z grotu.

Mówiąc to, nie patrzył na nią, nie wyczuwała jednak fałszu w jego głosie. Nie ciągnęła go już za język, mimo że blizn po kulach nie mógłby wytłumaczyć rafami.

— Tym razem ty stawiasz kolację — powiedział po chwili.

— Chętnie. W luksusową knajpie czy u mnie w domu?

— Wolałbym u ciebie.

\* \* \*

Pociągał ją bardziej, niż otwarcie chciała to przed sobą przyznać. Większość mężczyzn w towarzystwie sześciu dużych i silnych, a w dwóch wypadkach bardzo dużych i bardzo silnych policjantów nie czułaby się najlepiej. Raz któraś z dziewcząt przyprowadziła architekta i skończyło się kłótnią, niemal doszło do bijatyki. On jednak potrafił skutecznie unikać dość typowych dla dorosłych chłopców przechwalek. Było w nim coś dziwnego, o czym nie chciał mówić. Jego lewy policzek znaczyła blizna po mocnym uderzeniu tępym narzędziem, jak określiliby ją policjanci. Ślady po cięciach nożem na piersiach zapewniały mu pierwszeństwo wśród najbardziej nawet doświadczonych kolegów. Poza tym na prawym udzie dopatrzyła się jeszcze dwóch blizn po kuli. Po wlocie z przodu została nieduża biała plamka, a po wylocie, z tyłu, spora podłużna blizna z wyraźnymi śladami trzech szwów. Dorobił się tych pamiątek kilka lat temu. Tak się jej przynajmniej wydawało.

Tego typu rany miewali prócz policjantów kryminaliści. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Carl jest oficerem. W drodze powrotnej zabawiał wszystkich, pokazując całe mnóstwo najrozmaitszych marynarskich węzłów, które robił na końcu liny rufowej. A kiedy ktoś dojrzał wieżyczkę łodzi podwodnej, co w policyjnej gromadce wzbudziło podobne zainteresowanie jak w każdej innej gromadce, zerknął przez wojskową lornetkę i stwierdził, że to HMUB „Västergötland”, najnowocześniejszy w Szwecji okręt podwodny. Trzy żółte korony na niebieskim polu i mokra szwedzka bandera, o czym się po chwili mogły przekonać ewentualne niedowiarki. W pobliżu zabudowań szwedzkie łodzie często się zresztą wynurzają, żeby zapobiec nadmiernej liczbie fałszywych alarmów.

Tak, to oczywiste, że był oficerem marynarki. Czy mógł odnieść rany w służbie ONZ?

\* \* \*

Carl był w znakomitym humorze. Polubił tych policjantów, niemal swoich rówieśników, czuł się jak ich daleki krewny, wszyscy bez wyjątku sprawiali wrażenie uczciwych. Z pewnym zakłopotaniem przyznali, że niekiedy zbyt brutalnie obchodzą się z łobuzami, co bierze się głównie z braku doświadczenia. Dobierali się najczęściej według stopnia brutalności, szukali kolegów wśród siebie podobnych i ci tutaj tworzyli wyjątkowo sympatyczną grupę w dość pokaźnej i barwnej gromadzie VD1. Przynajmniej tak powiadano. I Carl nie wątpił. Byli w porządku. Nie naciskali, gdy udzielał im wymijających odpowiedzi. Chętnie kontynuowałyby tę znajomość. Zwłaszcza że zaczynała mu dokuczać samotność.

Nie mógł uniknąć nurkowania, choć z drugiej strony nic dziwnego, że były płetwonurek radzi sobie lepiej niż policjanci. Bez trudu zrezygnował ze strzelania i z uśmiechem odmówił udziału w zapasach. A jeszcze kilka lat temu chwyciłby pistolet, wpakował w puszkę cały magazynek i cieszył się jak dziecko ze swoich fantastycznych zdolności. Później, niemal dla zabawy, rozłożyłby dwóch najsilniejszych chłopców. Wzbudziłby oczywiście zdumienie i zblądziłby się.

Wspaniale mu się nurkowało w Bałtyku. Pamiętał jeszcze z czasów dzieciństwa półsłodki smak w ustach. Woda była zaskakująco przejrzysta, widoczność poniżej dziesięciu metrów dość dobra. Z niekłamaną radością płynął pośród morskich ziołców i jasnozielonej morskiej trawy na granicy słonecznego światła i mroku. Nurkował również dobrze jak przed laty, wydolność płuc nie pogorszyła się. W wodzie zapominał o swoich lękach, o tym, że się starzeje, że przybiera na wadze i że wkrótce zacznie być może tracić włosy.

Nie sądził, żeby go szpiegowała. Kiedy ją zauważył i wypłynąwszy poza jej pole widzenia, podszedł z tyłu, wyglądała na zwyczajnie zaniepokojoną.

Świetna dziewczyna. Wybrała zawód, w który wierzyła, i była z pewnością dobrą policjantką. Mimo nieco ospowatej twarzy, miała sporo uroku. Fascynował go jej sposób mówienia, osobliwa mieszanka ostrego policyjnego żargonu, czegoś uduchowionego i trochę prowincjonalnego, choć przyprawionego gwarą z Söder.

Dziwiło go wprawdzie, że zjawiała się w restauracji z bronią i kajdankami, ale niewykluczone, że wyrobiła w sobie taki nawyk, pracowała przecież i w dochodzeniówce.

Dręczył go jedynie niepokój, co też się stanie u niej w domu, kiedy po kolacji usiądą na kanapie, żeby podziwiać akwarele albo coś w tym rodzaju. Bał się, że albo ona będzie go uwodzić, albo on ją. Ów szczególnie lęk udawało mu się zazwyczaj skutecznie tłumić, ale nie wobec kobiet, które darzył szacunkiem. Nie miał żadnych obiekcji, będąc z Tessie lub z kobietami całkiem mu obojętnymi. Znacznie gorzej czuł się w towarzystwie policjantki chrześcijanki.

Było późne popołudnie. Zdjął słoneczne okulary i uśmiechnął się na myśl o tym, że tak bardzo pochłania go problem, czy mógłby się przespać z policjantką. Dość w sumie błahe zmartwienie.

Tymczasem nad jego głową rozpętywało się piekło.

### 3

Sir Geoffreyowi Huntowi, zastępcy szefa brytyjskiego wywiadu MI6, dopisywał humor. Właśnie się pożegnał na lotnisku Arlanda ze swoim kolegą po fachu i przyjacielem. Zdąży jeszcze rozegrać w londyńskim klubie partyjkę wista. W Sztokholmie spędził czas dość przyjemnie, mimo że jego misja, przynajmniej dla Szwedów, nie należała do wesołych. Na podstawie zawartej przed trzema laty umowy o współpracy dostarczył im raport Tristana, dzięki czemu opozycja — czyli wedle powszechnie przyjętej w świecie zachodnim terminologii Rosjanie — być może poniesie dotkliwą porażkę.

Chociaż pewności nigdy za wiele. Szwedzcy łowcy szpiegów nie cieszyli się w świecie opinią szczególnie skutecznych. Tak czy inaczej, to nie jego zmartwienie. Po skonsumowaniu wybornego dania z łososia, szwedzkiej specjalności, i wypiciu białego wina nareszcie wracał do domu.

Odprowadzający go kolega był wyraźnie przybity, co tłumaczyła natura sprawy. Zresztą komandor Ulfsson nie wyglądał na wesołka. Podobnie jak większość Szwedów, którzy przypominali mu nieco subtelniejsze wydanie Niemców.

Gdy sir Geoffrey Hunt wsiadł na pokład samolotu British Airway, bardziej od szwedzkich poczynań z raportem Tristana zaprzątnęła go wieczorna partyjka wista. Dla brytyjskiego wywiadu operacja się zakończyła. Teraz na prokuratorze generalnym Korony spoczywał obowiązek oskarżenia trzech agentów radzieckich, którzy się już do wszystkiego przyznali, a Foreign Office być może zażąda deportacji tego czy innego opiekuna opozycji. MI6 przekazał akta Tristana do archiwum. Być może uzupełnią raporty je od szwedzkich kolegów. Choć wzięwszy pod uwagę ich efektywność, mało to prawdopodobne, nie mówiąc już że nawet gdyby, będą miały podrzędne znaczenie.

Ale komandor porucznik Samuel Ulfsson, wracający do domu reprezentacyjnym samochodem Sztabu Obrony całą tę sytuację uważał za wręcz tragiczną.

Nawet więcej. Katastrofalną. Ani słowem nie napomknął bardzo angielskiemu koledze, jakie można wyciągnąć wnioski z raportu Tristana. Jeśli wierzyć zawartym w nim informacjom, Związek Radziecki od niemal dziesięciu lat miał dostęp do wszystkich ważnych danych tak zwanego rosyjskiego biura cywilnej służby bezpieczeństwa, z pochodzącymi ze sztabu głównodowodzącego dyspozycjami taktycznymi wobec radzieckich działań na szwedzkich wodach terytorialnych włącznie. A poza tym... Nie, wołał o tym nie myśleć.



Udał się prosto do gabinetu i poprosił oficera dyżurnego o połączenie go z OB, szefem wydziału operacyjnego, przyszlým szefem, a obecnie zastępcą szefa wydziału operacyjnego, i z szefem wydziału bezpieczeństwa przy Sztabie Obrony. Z szafy pancерnej wyjął raport i położył go na ciemnobrązowym blacie biurka.

Gdy sięgał po paczkę papierosów i popielniczkę, ogarnęła go nagle niepojęta wściekłość. Zmiał blendy z taką siłą, że aż pobielały mu kłykcie, i razem z popielniczką cisnął je do kosza na śmieci.

Osobliwy moment na rzucenie palenia. Czekają go długie, pracowite dni.

I znów zabrał się do czytania raportu.

MI6 udało się zwerbować człowieka z GRU. Co ważne, z inicjatywą wyszli Brytyjczycy, a nie Rosjanin. Tristan, bo nie wiedzieć czemu, taki sobie obrał pseudonim, pracował w londyńskim biurze Aeroflotu. Wdał się w romans z pewną kobietą mającą powiązania, jakiego rodzaju, nie ujawniono, z MI6. Najwyraźniej dlatego sprawa nie trafiła do MI5, choć podlegała ich kompetencjom. Tradycyjnie jednak granice obowiązków służby bezpieczeństwa i wywiadu były w Wielkiej Brytanii o wiele bardziej płynne niż w którymkolwiek państwie zachodniej Europy.

Tak więc operacja powiodła się. Z Heathrow zawieźli go do bezpiecznego mieszkania na przedmieściach Londynu, obiecali mu cały program, a gdy skończyły się kłopoty z Foreign Office i ambasadą radziecką, mogli działać dalej.

Rezultaty okazały się całkiem niezłe. Tristan wydał nie tylko oficerów GRU z Aeroflotu, w tym dwóch, co do których Anglicy nie byli dotąd pewni, ale także grupę szpiegów narodowości brytyjskiej, dzięki czemu trzech z nich przyłapano w domach z dowodami w garści. W wyniku przeszukań przyznali się do winy i czekali teraz na co najmniej dwudziestoletnie odsiadki. W Wielkiej Brytanii szykowała się nie lada afera szpiegowska, którą premier w odpowiednio wybranym czasie przedstawi na forum parlamentu.

Część brytyjska, traktująca o działalności Tristana, nie pozostawiała cienia wątpliwości. Była przejrzysta i zrozumiała. Klasycznie przeprowadzona operacja, szczęśliwy finał.

Problematycznie przedstawiały się natomiast powiązania szwedzkie.

Kilka lat temu Tristan siedział w moskiewskiej Centrali i miał bliskie kontakty z rozpracowującym Skandynawię wydziałem siódmym. Kolega z sąsiedniego pokoju zajmował się finansowymi rozliczeniami z agentami skandynawskimi i kiedyś opowiedział zabawną historię o kłopotach z niektórymi z nich.

Jeden, funkcjonariusz szwedzkiej służby bezpieczeństwa, uwielbiał rzucające się w oczy stroje, zwłaszcza marynarki w dużą kratę, na co zwracali mu uwagę zarówno jego opiekunowie z GRU, jak i przełożeni ze szwedzkiej bezpieki. Powinien ubierać się dyskretniej. Gdyby znalazł się w stuosobowym tłumie, jako jedyny zostałby zapamiętany. Niestety, nawet wspólne wysiłki dwóch pracodawców nie wpłynęły na zmianę jego zwyczajów.

Drugi, który zdaniem kolegi Tristana praktycznie nie schodził z kolan głównodowodzącego, lubił podnosić dodatkowe przeciwsłoneczne szkła na okularach. Wyrastały mu z brwi jak skrzydełka. Obdarzono go więc przydomkiem Rybołów, którego komiczności nie rozumiał.

Samuel Ulfsson nie widział w tym opisie nic śmiesznego, zwłaszcza że natychmiast się zorientował, kim jest Rybołów.

Wypadek trzeciego agenta był zabawny z dwóch powodów. Po pierwsze, porywacze samolotu, którym leciał, w ogóle o tym nie wiedząc, mieli ślepe naboje. A po drugie, zwerbowano go w Kalifornii, gdzie studiował. Czy to nie komiczne? Szwedzki agent zwerbowany przez Rosjan w USA?

Zadzwoił ÖB. Korzystając z wyjącej, chronionej przed podsłuchem linii, Samuel Ulfsson poinformował, że grozi im największy jak dotąd kryzys, i poprosił o pozwolenie zwołania

następnego dnia rano dwóch spotkań, jednego z personelem wojskowym, drugiego z przedstawicielami wydziału bezpieczeństwa przy Sztapie Obrony. Uzyskał je natychmiast. O 6.30 miało się odbyć pierwsze.

Tuż po ÖB odezwał się DG. Z Kiviku.

— Mam bardzo złe wiadomości — zaczął Samuel Ulfsson, szukając papierosów. — Spróbuję się streszczać. Możesz się u mnie stawić jutro o szóstej trzydzieści rano?

— Nie — wymruczał DG. — Pierwszy samolot ze Sturup odlatuje dwadzieścia po szóstej.

— To zabierz się samochodem dzisiaj wieczorem, zorganizujemy transport. Albo dojedź do jakiegoś dywizjonu i podrzucimy cię samolotem. Sprawa jest bardzo ważna.

— Bardzo ważna?

— Tak.

— Czy prócz tego, że ledwie się słyszemy, ta cholerna blokada podsłuchu ma jeszcze jakieś inne zastosowanie?

— Miejmy nadzieję, że tak.

— Mógłbyś powiedzieć, o co chodzi?

— Nie. Dowiesz się jutro w sztabie. Wolisz samochód czy samolot?

— Samochód.

— Okej. Zaraz to załatwię. Zabiorą cię około jedenastej wieczorem. Do zobaczenia!

Samuel Ulfsson wyszedł na pusty korytarz. Rozprostowując kości, pomaszerował nie wiedzieć czemu do najdalszej toalety, zamiast skorzystać ze swojej. Przemył twarz zimną wodą i przez chwilę przyglądał się sobie w lustrze. Były oficer marynarki o przerzedzonej czuprynie, od lat wycierający biurko, stoi teraz przed największą zawodową katastrofą.

Wróciwszy do gabinetu, zadzwonił do domu i uprzedził, że będzie później. Niewiele brakowało, a gruchnęłyby histerycznym śmiechem, kiedy żona, przypominając mu o spotkaniu z przyjaciółmi, którzy lada chwila powinni się zjawić, stwierdziła, że nie ma nic ważniejszego niż towarzyska kolacja.

Obiecał, że postara się przyjść jak najszybciej, i odłożył słuchawkę, by uniknąć wysłuchiwania dalszych argumentów. O ile sobie przypominał, pierwszy raz w ten sposób potraktował żonę.

A potem wydobyl wszystkie materiały, jakimi dysponował jego wydział, o kapitanie marynarki Carlu Gustafie Gilbertcie Hamiltonie.

Jeżeli Hamilton jest radzieckim agentem, trudno przecenić konsekwencje. A jeśli na dokładkę zwerbowano go w Kalifornii, nie ma co marzyć o szkoleniu tam innych szwedzkich wojskowych, nie wspominając o przykrej i nieuniknionej wymianie informacji z Amerykanami.

Hamilton.

Wybraniec DG. Wyłowił go, przesiewając cały rocznik poborowych, i był przy tym niezwykle pedantyczny, ponieważ chodziło o prototyp czegoś, na czym w dowództwie zależało wyłącznie jemu.

Po studiach nie bez trudności umieszczono Hamiltona w charakterze tymczasowego pracownika cywilnej służby bezpieczeństwa. Efektem jego działań była masakra agentów izraelskich w Sztokholmie, za którą z inicjatywy poprzedniego, zamordowanego potem premiera przyznano mu, po raz pierwszy od roku 1905, Medal za Odwagę.

Czy już wtedy był radzieckim agentem? Owszem, ta operacja w żaden sposób nie kłóciła się z interesem Rosjan.

Rok później został wypożyczony zachodniemieckiej Verfassungsschutz. Operacja skończyła się kolejną masakrą. Tym razem niemieckich terrorystów. O konflikcie z interesem Rosjan też trudno mówić.

Ale w ubiegłym roku ten sam Hamilton w dość spektakularny sposób ściągnął do Szwecji radzieckiego uchodźcę.

I tu wszystko zaczyna się komplikować. Jeśli uciekinier prawdziwy, operacja bez wątplenia godziła w dobre imię Związku Radzieckiego. Jeśli natomiast był podstawiony bohaterskie wyczyny Hamiltona miałyby jedynie na celu przekonanie wszystkich o jego autentyczności. Ale Rosjanie znaleźli zbiega i zamordowali go. Był nim dobrze znany wiceadmirał, dowódca okręgu wojskowego w Kaliningradzie itp. itd.

Czy rzeczywiście?

Cała ta sprawa doprowadziła do operacji Big Red, najlepiej strzeżonej w Szwecji tajemnicy wojskowej. Hamilton wraz z dwoma kalifornijskimi pomagierami wysadził trzy bazy radzieckie rozmieszczone na szwedzkich wodach terytorialnych.

Wysadził?

Wiele tu zależy od opinii dwóch kalifornijskich rekrutów. Jeśli ich oczywiście nie zwerbował.

Gdyby tak było, dla szwedzkiego dowództwa wojskowego i niektórych członków rządu oznaczałoby to najpoważniejszy od czasów drugiej wojny światowej kataklizm, starannie zaplanowany i wyreżyserowany przez Związek Radziecki. Można by nawet uznać przebieg wydarzeń za coś w rodzaju wojskowego zamachu stanu. Z Rosjanami u steru.

Lepiej o tym nie myśleć. Anglicy sądzili, że informacje Tristana, choć prawdziwe, są jednak dość trywialne. Nie mieli zielonego pojęcia, jakimi konsekwencjami groziły Szwedom. Nie, lepiej o tym nie myśleć.

\* \* \*

Wyrzuciła go przy Skeppsbron naprzeciwko „Reisen”. Pochyliwszy się, pocałował ją z zażenowaniem w policzek. W policyjnym mundurze wydawała się bardziej pociągająca niż w dzinsach.

Patrzył za nią, dopóki volvo z psią klatką z tyłu nie zniknęło w centrum, a potem podszedł na skraj nabrzeża i przyglądał się trzem masztom „Chapmana” po drugiej stronie kanału.

Czuł się podle. Wszystko poszło tak, jak się niestety obawiał, i kiedy teraz obsesyjnie o tym myślał, zaczęły mu się pocić dłonie. Po prostu nie mógł, nie mógł się kochać z kimś, kogo bardzo lubił, ale nie kochał.

Naturalnie powiedziała, że nie ma się czym przejmować, że to się zdarza wszystkim mężczyznom i tak dalej. Jej cholerna wyrozumiałość jeszcze bardziej pogorszyła sprawę.

Spojrzał w wodę. Tuż przy krawędzi była całkiem przejrzysta, dostrzegł na dnie rower i kosz na śmieci.

Przerzucił przez ramię zamszową kurtkę i zielony wojskowy worek i wolno, ze spuszczoną głową pomaszerował do domu.

Przypomniawszy sobie wczorajszy dzień. Kiedy siedział z dłonią zanurzoną w wodzie, ktoś zauważył HMUB „Västergötland”. W tym momencie po raz pierwszy od lat czuł błogi spokój. Ba, radość. Teraz, zdesperowany i zrozpaczony, zastanawiał się nad dwiema możliwościami. Albo nigdy się już z nią ani jej kolegami nie spotka, albo w bliżej nieokreślony sposób zmobilizuje siły do seksualnego rewanzu.

Nikt nie był w jego mieszkaniu, co zauważył bez zbytniego zainteresowania. Nie rozbierając się, włączył automatyczną sekretarkę, na którą pulsowało zielone światelko.

Sekretarka Sama, Ulrika, prosiła, żeby jak najszybciej udał się do sztabu i natychmiast po odebraniu wiadomości oddzwonił. Było wcześniej, zaledwie dziesięć po ósmej, i miał przecież coś w rodzaju urlopu. Uznał, że sprawa może spokojnie poczekać półtorej godziny. Nie zamierzał z byle powodu rezygnować z treningu.

Wbrew swoim zwyczajom zaczął od strzelania. Chciał się przekonać, jak jego podły nastrój wpłynie na precyzję. W chwilach wściekłości, strachu albo podniecenia powinna być zdecydowanie gorsza.

Wybrał rewolwer i strzelał seriami do odpowiednio zmniejszonych tarcz. Poszło mu zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Na osiem, bo na tyle starczyło jedno opakowanie, siedem bezbłędnych.

Broń go odmieniała. Gdy tylko chwycił rękojeść, zapominał o wszystkim innym. Istniały jedynie impulsy między prawym palcem wskazującym, mózgiem i okiem. Jakby to właśnie stanowiło jego prawdziwą tożsamość, jedyną realność i gwarancję stałości rzeczy.

Wyczyścił rewolwer specjalną oliwą, położył na miejsce i zamknął szafę. A potem przystąpił do ćwiczeń ruchowych, które wykonywał z wściekłą determinacją.

Kiedy się wykapał i ogolił, zadzwonił do sekretarki Sama z informacją, że zjawi się za pół godziny. Nie umiała powiedzieć, o co chodzi, ale to na pewno coś bardzo ważnego, bo od samego rana, gdzieś od szóstej, zanim przysłała do pracy, ciurkiem są zebrania. Nie zna sprawy, w każdym razie wszyscy są podekscytowani.

Zastanawiał się, czyby nie wziąć taksówki, uznał jednak, że lepiej dotrzeć tam później, kiedy rozmowy przyniosą coś na kształt decyzji. W końcu jest tylko operatorem, nie ma wpływu na ustalenia strategów. Może im co najwyżej zgłaszać marginalne propozycje usprawnień technicznych. Postanowił udać się do sztabu na piechotę. Był piękny letni poranek.

\* \* \*

O 9.13 przedstawiciele cywilnej służby bezpieczeństwa wrócili na Kungsholmen, by otworzyć bramy piekieł szefowi rosyjskiego biura, zastępcy komendanta, Stigowi Larssonowi, słynącemu ze swoich ekscentrycznych marynarek.

Z raportu Tristana udostępniono Säpo fragment dotyczący -wyłącznie ich człowieka. Nie wspomniano ani słowem o Carlu i o pułkowniku ze specjalnej jednostki marynarki przy Sztapie Obrony, noszącym rzekomo przydomek Rybołów.

Ponieważ Rybołów przebywał na urlopie w domku letniskowym w Furusund, zdecydowano się jedynie na podsłuch telefoniczny i obserwację. Natomiast Stiga Larssona można od razu wezwać na przesłuchanie i zarządzić rewizję. Ale to sprawa Säpo.

Wojskowi zebrali się w sztabie półtorej godziny przed pojawieniem się reprezentantów bezpieczeństwa. Daleko im było do jedności w kwestii zasadniczej, czy zataić przed kolegami z Kungsholmen ustęp dotyczący Hamiltona. Z czysto prawnego punktu widzenia budziło to pewne wątpliwości. Formalnie szpieczy podlegali policji bezpieczeństwa.

Ale biorąc pod uwagę względy praktyczne i polityczne, rzecz wyglądała inaczej. O tym, co wiedzieli o Carlu i operacji Big Red ÖB, Samuel Ulfsson i DG, nie miał bladego pojęcia szef wojskowego wydziału bezpieczeństwa, podpułkownik Borgström. I on to właśnie domagał się ujawnienia Säpo całego raportu Tristana.

Trudno było jednocześnie przejść obojętnie wobec faktu, że na Borgströmie spocznie obowiązek przesłuchania i zbadania zarzutów wobec kapitana Hamiltona.

Po spotkaniu z ludźmi z Säpo ÖB zwołał kolejne zebranie, na które zaprosił szefa Sztabu Obrony. Borgström miał się tymczasem, tuż po lunchu, zająć przesłuchaniami.

Nim wezwano Hamiltona, należało zdecydować, czy pokazać mu stosowny fragment raportu Tristana. Ponieważ odpytywanie go wcześniej czy później ujawni jego zawartość, ponieważ jest wysoce profesjonalnym oficerem wywiadu, a charakter dochodzenia zakładał pełną współpracę z podejrzanym, w końcu nie chodziło o rozmowy w obecności adwokata, postanowiono zapoznać Hamiltona z raportem. I tak nie będzie wiedział, czy udostępniono mu wszystkie informacje na jego temat, czy tylko ich część.

Carl przesiedział godzinę w gabinecie Samuela Ulfssona. Otrzymał instrukcję, by go nie opuszczał, dopóki nie zostanie wezwany. Uznał to za objaw nerwowej nadgorliwości. Idąc korytarzem na drugi koniec budynku, gdzie urzędował ÖB, myślał, że szykuje się coś poważnego, co przypuszczalnie ma związek z Rosjanami. Opanował go nastrój gorącego oczekiwania.

Ledwie przekroczył próg sali posiedzeń, skierowały się ku niemu przenikliwe spojrzenia zebranych. Przywitali go z rezerwą, a DG odwrócił wzrok. Usiadł u szczytu stołu, od pięciu mężczyzn dzieliło go parę ładnych metrów.

— Przeczytaj raport, który masz przed sobą — krótko i węzłowato polecił ÖB.

Czuł na sobie ich świdrujące spojrzenia. Pobieżnie przerzuciwszy wstęp, który dotyczył powiązań szwedzkich, Przystąpił do lektury tekstu opatrzonego nagłówkiem „Agent III”. Liczył dziesięć linijek.

Po przeczytaniu dwóch miną mu zrzęda. Musiał zacząć od początku. Wytężając całą siłę woli, dobrnął do końca i odłożył raport. Siedzący naprzeciwko ÖB nie odrywał od oczu. W pierwszej chwili zdawało mu się, że wybuchną śmiechem, ubawieni dobrym żartem. W drugiej miał wrażenie, że zaraz zemdleje.

— No? — rzucił ÖB.

Carl czuł kompletną pustkę. Ma się bronić, czy co?

— Jak to skomentujesz?

— Nie wiem, co powiedzieć — zaczął z trudem. Z wrażenia zaschło mu w gardle. — Czy mam się do tego ustosunkować poważnie? O co tu właściwie chodzi?

— Uważasz więc, że informacje są fałszywe?

— Naturalnie.

— I całkiem bezpodstawne?

— Tak jest.

— I nie mowy o żadnym nieporozumieniu? Nic, co dałoby się jakoś wyjaśnić?

— Nie. Informacje są sfabrykowane. I tyle.

— Przekonaj nas!

Carl stłumił nagłą chęć parsknięcia śmiechem. Wydawało mu się, że śni.

— Nie mogę — odparł, desperacko próbując zapanować nad szarymi komórkami. — Żaden z panów zebranych w tym pokoju nie obroniłby się przed tak zręcznie spreparowanym raportem. Mogę tylko powiedzieć, że jestem niewinny i oddaję się do dyspozycji ÖB, jeśli chodzi o wszelkie formy... hm dochodzenia, które wyjaśnią...

— Podaj przynajmniej jakieś argumenty — wtrącił szef Sztabu Obrony. — Zanalizuj po kolei każdy zarzut.

Carl jeszcze raz przeczytał dziesięć linijek. Pięciu mężczyzn czekało w absolutnej ciszy.

— Raport jest oczywiście okrojony?

— Okrojony? — powtórzył poirytowany ÖB.

— Tak przerobiony, że nie można sobie wyrobić opinii o kształcie i sformułowaniach zawartych w oryginale — wyjaśnił z zażenowaniem Samuel Ulfsson. — Owszem, ale być może dlatego, że jest po szwedzku — dodał i natychmiast pożałował.

Mógł sobie darować tę ironię. Współczuł Carlowi, ale oczywiście nie chciał tego okazać.

— Tak... — Carl zaczął odzyskiwać względną przytomność umysłu. — Rozpatrzmy punkt po punkcie. Zwerbowali mnie w Kalifornii... Mogę mówić swobodnie? Nie przejmując się informacjami ściśle tajnymi?

— Oczywiście — rzucił ÖB, błyskając okularami. — Kapitanowi Hamiltonowi wolno z natury rzeczy powiedzieć o wszystkim, co ma związek ze sprawą. No, dalej!

— W zeszłym roku, a raczej przeszło rok temu zaatakowałem z sierżantami Stålhandsem i Lundwallem trzy radzieckie obiekty podwodne na terytorium Szwecji. Zostały zniszczone. Straty strony radzieckiej nie są nam wprawdzie znane, ale biorąc pod uwagę dane wiceadmirała Koskowa, objęły nie mniej niż pięćdziesiąt i nie więcej niż trzysta osób. Jak na radzieckiego agenta, dość niekonwencjonalne zachowanie.

— A jeśli ta operacja jest tylko na papierze? W raporcie kapitana Hamiltona? — rzekł ÖB, wolno akcentując każdą sylabę.

Pięciu mężczyzn intensywnie przyglądało się Carlowi.

— Ale mieliśmy przecież kontakt z przeciwnikiem. Słyszeliśmy go, a z ostatniej bazy próbował się wymknąć. Sierżant Stålhandske ryzykował życie... likwidując cel. Obecny tu Lallerstedt widział nas po akcji, kiedy helikopter wylądował na Lidingö. Mieliśmy symptomy choroby kesonowej, mnie pękła błona bębenkowa... a poza tym trzeba by przyjąć, że wszyscy trzej byliśmy na usługach Związku Radzieckiego. Otóż to! Nic się tu nie mówi o operacji Big Red, bo Rosjanie nie wiedzą, kto ją przeprowadził. To dlatego deptali mi po piętach, dlatego chcieli sprawdzić, ile mam medali za odwagę. Nie są nawet w stanie rzucić na mnie podejrzeń i z tego powodu milczą. Nie mają pojęcia o istnieniu Lundwalla i Stålhandskego. I tu moim zdaniem wszystko bierze w łeb, nie sprawdzili wszystkiego, nie zdawali sobie w pełni sprawy, kogo wrabiają, i jakie to spowoduje konsekwencje.

— Warto się nad tym zastanowić, kapitanie Hamilton, choć nie bez zastrzeżeń. Ale proszę jeszcze pomyśleć. To nie bez znaczenia, do jakich wniosków dojdziemy podczas pierwszego przesłuchania... spotkania — rzekł OB z wyraźnym opanowaniem.

— Czy rozmowa jest nagrywana? — spytał Carl.

Dopiero teraz zauważył, że nikt nie robi notatek.

— Naturalnie. Proszę dalej, kapitanie — mruknął zniecierpliwiony ÖB.

— To ja przywiozłem do kraju wiceadmirała Koskowa — podjął Carl, czując, że pierwsze otępienie mija. — Operacja kosztowała życie trzech osób, w tym dwóch terrorystów. Francuzi ujęli trzeciego i o ile wiem, do tej pory siedzi we francuskim więzieniu. Zabrałem jedną z ich kul i dołączyłem do końcowego raportu. Resztą, to znaczy bronią i amunicją porywaczy, prawdopodobnie zaopiekowali się Francuzi. Z tej amunicji porywacze zabili jedną osobę, myśląc, że to ja. Nie była więc ślepa. Poza tym ludzie z KGB albo z GRU wytropili wiceadmirała w Szwecji i zlikwidowali go. Nie miałem pojęcia, gdzie był u nas trzymany, można jednak ustalić, kto je miał. Ja na pewno nie. Zawsze uważałem, że informacje Koskowa są dla nas bezcenne. Wszystkie zresztą okazały się prawdziwe. Uwzględniając okoliczności towarzyszące operacji Big Red, trzeba byłoby przyjąć, że Rosjanie podrzucają najpierw autentycznego wiceadmirała lub kogoś, kto znakomicie gra jego rolę, pozwalają, by dostarczył nam mnóstwa informacji, a następnie, dziękując za pomoc, o której nie miał pojęcia, rozwalają go. A dokładniej, lokalizują mimo naszych wysiłków, by go jak najlepiej zdekodować, i rozwalają. Ponosiliby takie duże straty? Zresztą jest sposób zdemaskowania tego blefu.

— Jaki? — spytał ÖB, ubiegając nieco pozostałych.

— Wystarczy sprawdzić miejsca naszych akcji. Posłać tam nurków i dźwig i wyciągnąć to żelastwo na powierzchnię. Istnieje co prawda ryzyko, że Rosjanie zdążyli usunąć resztki instalacji, nie bardzo jednak w to wierzę, a gdyby nawet, na pewno nie udało im się wymieść wszystkiego do czysta. Jeśli więc operacja została przeprowadzona tak, jak to przedstawiłem w raporcie, jestem niewinny. Wydaje mi się to dość oczywiste.

— Przyjęliśmy do wiadomości. Czy kapitan Hamilton ma jeszcze jakieś uwagi? — łagodnie spytał ÖB.

Argumenty Carla najwyraźniej trafiły mu do przekonania.

— Może mniej istotne, ale mam. Kilka dni temu nakryłem u siebie w domu złodzieja, któremu zlecono ustalenie liczby moich królewskich medali. W ten sposób Rosjanie poznaliby odpowiedź na pytanie o mój udział w operacji Big Red, w którą przynajmniej oni nie wątpią. W tym względzie wróg darzy mnie większym zaufaniem od mojego kierownictwa.

— Wypraszamy sobie tego typu komentarze, kapitanie! — wtrącił szef Sztabu Obrony.

— Ryzykowałem życie dla Szwecji. Niejeden raz mogłem zginąć...

— Tak, wiemy. Mów dalej, Hamilton, spróbujmy trzymać się tematu — nieco błagalnie przynaglił ÖB.

— Przepraszam. No więc mam na taśmie zeznanie tego złodzieja. Jest zidentyfikowany. Zrobiłem mu zdjęcie, na którym jest data.

— Jakim cudem? — wtrącił szef Sztabu Obrony.

— Dałem mu gazetę z tego dnia. Klasyczny numer. Można go przesłuchać. A jeśli się zdejmie jego zleceniodawcę, którym przypadkiem jest mój dozorca, uzyskamy potwierdzenie, że Rosjanie chcieli się dowiedzieć, czy brałem udział w Big Red.

— Coś jeszcze? — spytał ÖB.

Carl myślał gorączkowo. Znów ogarnęło go dziwne wrażenie absurdalności całej sytuacji.

— Nie — odrzekł wreszcie. — Na razie nic mi nie przychodzi do głowy.

— Wystarczy, kapitanie Hamilton. Zechciałby pan poczekać na zewnątrz?

Carl podniósł się bez słowa, sztywno się uklonił i wyszedł do sekretariatu ÖB. Siedział tam uzbrojony strażnik.

Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Jeden człowiek z regulaminowo zabezpieczoną spluwą. Czysta kpina! Gdyby był radzieckim agentem, zginąłby, nie zdążywszy nawet jej tknąć, a potem poszliby w jego ślady panowie ze Sztabu Obrony. Niewykluczone, że udałoby mu się wymknąć z budynku i jakoś przedrzeć do Związku Radzieckiego.

Gdyby był radzieckim agentem.

Gdyby był radzieckim agentem.

**GDYBY BYŁ RADZIECKIM AGENTEM!**

Chyba zwariowali. Już w Clarté traktował Związek Radziecki jako wroga nie tylko światowego socjalizmu, ale przede wszystkim Szwecji. Dlatego chciał się dostać do elitarniej jednostki. Dlatego DG mógł go zwerbować. Dlatego przez pięć długich lat harował w Kalifornii jak wół. Dlatego ryzykował życie dla Szwecji.

A teraz najzupełniej poważnie zastanawiają się, czy nie jest radzieckim agentem.

Nie wiedział, jak długo czekał. Kiedy go znów wezwali, rzuciwszy ÖB pytające spojrzenie, usiadł przy stole na swoim poprzednim miejscu.

ÖB myślał, jak zacząć, inni złowieszczą milczeli. Gdy szef odchrząknął, wlepili wzrok w jasny blat.

— Podjęliśmy decyzję, kapitanie Hamilton — rzekł z pewnym wysiłkiem OB. — Chciałbym na wstępie zaznaczyć, że informacje są według nas nieprawdziwe, uważamy jednak, że trzeba je dokładnie sprawdzić... — zawiesił głos, widocznie niezbyt zachwycony owym pokrętnym sformułowaniem. — Mamy dodatkowe pytanie — podjął po chwili. — Tristan twierdzi, że werbunek nastąpił w Kalifornii. Jeśli informacja jest fałszywa, należy założyć, że wróg dowiedział się o szkoleniu w Ameryce. Jak można by to wytłumaczyć?

W ciągu pięciu lat spędzonych w Kalifornii nawet Tessie nie zdradził, że oprócz zajęć na uniwersytecie regularnie odwiedza The Sunset Farm, gdzie przechodził specjalne szkolenie wojskowe. Właśnie dlatego rozpadł się ich związek.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć. Przyznaję, że trudno mi to pojąć. Informacje o moim szkoleniu w Kalifornii pochodzą albo z US Navy, albo stąd, ze sztabu. Inne możliwości wykluczam. Na pewno nie dowiedzieli się tego ode mnie.

— Mogłeś się niechcący wygadać — wtrącił Samuel Ulfsson. — Byłeś młody, niedoświadczony i siedziałeś tam przecież pięć lat.

— Z całą pewnością się nie wygadałem. Z tego powodu straciłem kobietę, którą kochałem, czego do tej pory żałuję. W każdym razie informacje o Kalifornii, choć nie znam wszystkich, bo pokazaliście mi tylko ich część, nie pochodzą ode mnie. Tyle mogę w tej sprawie powiedzieć.

Zapadła kłopotliwa cisza. W końcu zabrał głos ÖB.

— Wobec tego przystępuję do przedstawienia naszej decyzji. Musimy wszcząć coś w rodzaju wewnętrznego śledztwa. Nic nie powinno wyjść poza ten gmach. Będzie cię przesłuchiwał Lennart Borgström, zaczniecie zaraz po lunchu. Z jednym zastrzeżeniem. W

żadnym wypadku, powtarzam, w żadnym, nie wolno ci wspomnieć o operacji Big Red. Czy to jasne?

— Tak jest.

— A co ty byś proponował?

— Nie rozumiem.

— Jesteś zawodowcem. Jakie kroki byś poczynił?

Szybko opanowawszy przemożną chęć parsknięcia histerycznym śmiechem, postanowił udzielić fachowej odpowiedzi.

— Po pierwsze — zaczął z wysiłkiem — dokonałbym dogłębnej analizy wszystkich danych wiceadmirała Koskowa. Po drugie, obejrzałbym pozostałości radzieckich baz w naszym archipelagu. Po trzecie, przesłuchałbym sierżantów Stålhandskego i Lundwalla. Po czwarte, przeprowadziłbym badania techniczne kuli, którą wziętem z samolotu linii Air France, i poprosił Francuzów o wyniki ich badań lub o ich umożliwienie. Po piąte, porozmawiałbym ze złodziejem, a potem przyjrzałbym się jego zleceniodawcy, czyli mojemu dozorczy. Nie spieszyłem się jednak z jego zatrzymaniem, chyba że okazałoby się to konieczne. I wreszcie po szóste, choć tu mam pewne wątpliwości, poleciłbym przeszukać moje mieszkanie.

— W dużej mierze pokrywa się to z naszymi planami — mruknął ÖB. — Ale dlaczego byś zwlekał z dozorcą i co masz przeciwko przeszukaniu?

Carl westchnął. Starał się odpowiadać logicznie i profesjonalnie, a wyszło na to, że się wykręca.

— O ile się nie mylę, Lars-Erik Sundberg, to znaczy dozorca właśnie poinformował swoich radzieckich mocodawców, że nie mam nic wspólnego z operacją Big Red. Jeśli go zatrzymamy, wszystko popsujemy. A byłoby szkoda, zwłaszcza że, jak panowie wiedzą, uważam się za niewinnego. A co do przeszukania... No cóż, jeśli jestem radzieckim szpiegiem, to pod pewnymi względami różnię się od innych. Jestem profesjonalistą. Szukalibyście typowych przedmiotów: nadajnika ukrytego w jakimś tranzystorowym radiu, a przede wszystkim klucza do szyfru. Według literatury fachowej radzieccy agenci korzystają z kluczy jednorazowych, co przypomina bloczek, czy jak to nazwać. Wyrzywa się kod po kodzie. Całość jest nie większa od znaczka pocztowego, a w osiemnastowiecznym czteropokojowym mieszkaniu szpieg znajdzie przeszło tysiąc znakomitych skrytek. Mam poza tym dostęp do dziesięciu posesji w Sztokholmie, strychy, piwnice i tak dalej. I wcale nie byłoby mi potrzebne własne radio, mogę przecież nadawać ze służbowego sprzętu. To mniej więcej tyle.

— A więc nie sprzeciwiasz się przeszukaniu? Gdybyś nie wyraził zgody, musielibyśmy wciągnąć w to policję — skwitował ÖB.

— Oczywiście, że nie. Trzy, cztery dni i pobojowisko zamiast mieszkania. Jeśli chcecie, mogę wam przekazać wszystkie szyfry do kas pancernych i zamków.

— Mógłbyś się na ten czas gdzieś wyprowadzić? — po raz pierwszy odezwał się DG.

— Bez problemu. Zakładam, że nie ograniczycie mi swobody poruszania się i że będę mógł pomieszkać na koszt armii w hotelu, kupić sobie trochę ubrań i przybory toaletowe. W czym jeszcze mogę pomóc?

ÖB westchnął.

— Natychmiast zameldujesz się u Borgströma. On się tym zajmie. I wrócisz do domu dopiero wtedy, kiedy ci powiemy. Klucze, kody i wszystko, co będzie potrzebne, przekażesz Borgströmowi. Jasne?

— Tak.

Kiedy Carl udał się do wydziału bezpieczeństwa, mieszczącego się piętro niżej, na drugim końcu korytarza, w gabinecie ÖB zaległa długa cisza.

Pięciu panom odjęło mowę. Żaden nie chciał się wyrywać.



Samuel Ulfsson marzył o papierosie, przypomniał sobie jednak, że skończył z nałogiem, a nie był to odpowiedni moment, by do niego wracać. Zupełnie jakby sprawy bardzo poważne i bardzo błahe zlały mu się w jakąś całość.

W końcu ÖB odchrząknął, wszyscy najwyraźniej czekali na niego, gdyby się nie odezwał, milczeliby po wsze czasy.

— Rodzi się pytanie, kiedy powinienem powiadomić rząd. Czy panowie podzielają moją opinię, że to po prostu nie może być prawda, czy też wyrażam tu pobożne życzenie?

Odpowiedziała mu głucha cisza.

— O pominięciu rządu nie ma raczej mowy — zaczął po chwili szef Sztabu Obrony. — Pytanie, jak im to przedstawić? Otrzymaliśmy informacje od przyjaznego nam państwa i musimy je potraktować poważnie. Wszczęliśmy dochodzenie, będziemy ich informować na bieżąco i tak dalej.

— A czy nie moglibyśmy skorzystać z propozycji Hamiltona? — odezwał się DG, ogromnym wysiłkiem woli poskramiając wzburzenie. — Posłać nurków i obejrzeć radzieckie bazy? To by rozwiązało cały problem, przynajmniej jeśli chodzi o Hamiltona. Jeżeli mówi prawdę, w co jestem skłonny wierzyć, a chciałbym podkreślić, że sam poddał nam tę myśl, mamy sprawę z głowy.

— Niestety — odparł OB — ta droga jest zamknięta. Już w zeszłym roku rząd... konkretnie premier stanowczo zabronił zajmowania się tymi podwodnymi szczątkami. Wszystko by się wydało, martwi radzieccy marynarze i tak dalej. Za wszelką cenę chcieliby tego uniknąć.

Znów zapadła paralizująca cisza, po chwili jednak wszyscy poczuli się nagle zmuszeni do nieco aktywniejszego działania i w ciągu kwadransa podjęto sporo konkretnych decyzji.

Samuel Ulfsson osobiście zadba o to, by ponownie przeanalizowano materiał wiceadmirała Koskowa, i poprosi FMV [FMV — Försvarets materielverk — magazyn armijny wyposażenia bojowego (przyp. tłum.)] o przeprowadzenie badań technicznych kuli, którą Carl zabrał z uprowadzonego samolotu Air France.

Do czasu uzyskania wyników dochodzenia nie będą wtajemniczać w sprawę władz amerykańskich. Na razie dadzą spokój złodziejowi i jego zleceniodawcy.

Pozostawał jedynie mały kłopot praktyczny, związany z przeszukaniem. Eksperci od tych rzeczy siedzieli w cywilnej безпеce. Wciąganie ich na tak wczesnym etapie nie wydawało się szczególnie korzystne. W małpiarni na Kungsholmen wszyscy pytlowali jak najęci. Równie dobrze można by się było od razu zwrócić do „Expressen”.

Poza tym zebrani w gabinecie ÖB nie mieli wątpliwości, że w krajowej służbie bezpieczeństwa istnieje zbyt wiele bezpośrednich powiązań z Moskwą. Dowodem choćby najprawdziwszy donos na szefa rosyjskiego biura.

Postanowili wypożyczyć ludzi z безпеki i zobowiązać ich do zachowania tajemnicy służbowej wobec policyjnych przełożonych.

Na tym spotkanie się skończyło. Na ÖB czekało mnóstwo zaległych spraw i nerwowo przestępujących z nogi na nogę pracowników.

Samuel Ulfsson zastał na swoim biurku przykrą wiadomość. Ma zadzwonić pod dobrze mu znany numer do ambasady amerykańskiej.

Naturalnie, pomyślał. Wielki Brat naszych cichych sprzymierzeńców już wie o raporcie Tristana.

Zaczął szukać papierosów, ale się opamiętał i po raz drugi od przeszło dwudziestu lat odbył rozmowę, nie oddając się nałogowi.

\* \* \*

Carl siedział w skąpo umeblowanym pokoju i gotował się z wściekłości. Po drugiej stronie stołu, na którym zamontowano mikrofony, urzędowali szef wydziału bezpieczeństwa przy Sztabie Obrony i jeden z jego podwładnych. Choć niewiele miał wspólnego z Lennartem

Borgström, wyjątkowo go nie lubił. Być może brało się to stąd, że kiedyś Borgström sprzeciwiał się zatrudnieniu Carla w wojskowości. Jego zdaniem Hamilton ze swoją polityczną przeszłością stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Z powodu tej samej politycznej przeszłości DG z całej masy ewentualnych rekrutów wybrał właśnie jego.

Carl uważał Borgströma za kompletnego idiotę. Starał się jednak o tym nie myśleć. Nie da się sprowokować, nie okaże złości ani palącego go uczucia upokorzenia.

— Aha... — zaczął szef Fst/Säk — czeka nas harowa i chciałbym się najpierw upewnić, czy jesteś skłonny do współpracy.

Carl posępnie skinął głową.

— Musisz odpowiadać słowami, żeby się wszystko nagrało — podjął Borgström takim tonem, jakby mówił do dziecka.

— Owszem, jestem — mruknął Carl. — W miarę swoich możliwości zamierzam dopomóc w dochodzeniu.

— I uważasz się za niewinnie oskarżonego?

Borgström ujmująco się uśmiechnął.

— Tak jest.

— A więc do dzieła. Będziemy robić przerwy na zmianę taśmy, za każdym razem podając dokładny czas. Jest dwudziesty czerwiec, godzina dwunasta piętnaście, znajdujemy się w pomieszczeniach OP5, przesłuchiwany kapitan marynarki Carl Hamilton, przesłuchujący podpułkownik Lennart Borgström. Możemy zaczynać?

Carl skinął głową, szybko się jednak poprawił.

— Tak, możemy — burknął, wpatrując się w mały czarny mikrofon na zielonym stole.

— Czy kapitan zechciałby tytułem wstępu opowiedzieć o tym, w jaki sposób zetknął się z doktryną komunistyczną i jak się do niej przekonał, by wreszcie przystać do ekstremistycznych, wrogich państwu organizacji?

Zadał to pytanie tak, jakby trącał ciężką bilardową kulę, jakby puszczał w ruch ukryte siły. I wyglądał na zadowolonego. Najwyraźniej podobała mu się ta sytuacja. Okulary połyskiwały, na górnej wardze zawisła kropelka potu, twarz lśniła.

Carl przywołał się do porządku. Nie pozwoli się wyprowadzić z równowagi. Spojrzał na Borgströma, ale ten uciekł wzrokiem.

— Możemy zacząć...? — przynaglił łagodnie, patrząc w okno.

Jego pomocnik gapił się na Carla jak zaczarowany, jakby nie wierzył własnym oczom.

— Czy mam to pytanie rozumieć poważnie? — stanowczo i ciut za głośno spytał Carl.

— Naturalnie. Proszę zaczynać.

Coraz trudniej było mu nad sobą panować. Sytuacja z groteski rodem.

— Posłuchaj no, Borgström. Niezależnie od waszych wyobrażeń o mnie i o moich politycznych zaszłościach jestem profesjonalistą. Mam za sobą ponad sześć lat przeszkolenia wojskowego, z czego pięć o charakterze wysoce specjalistycznym z zakresu wywiadu strategicznego i taktycznego, i sześć lat w tajnej służbie w Szwecji.

Urwał. Nie był w stanie mówić dalej.

— Mamy tego świadomość, prosiłbym jednak, aby kapitan zechciał zbliżyć się do sedna sprawy.

Przesłuchujący uprzejmie się uśmiechnął. Zbyt uprzejmie.

— Sedno — wolno podjął Carl — jest takie, że jeśli to przesłuchanie ma się do czegoś przydać, nie wolno sobie pozwalać na wygłupy, nie rozmawiacie ze sprzedawcą kwiatów, tylko z kolegą po fachu. O mojej politycznej przeszłości można przeczytać w papierach, jakie składałem, zatrudniając się tutaj, albo zajrzeć do archiwum służby bezpieczeństwa. Ani myślę tracić nasz cenny czas na bzdury.

— Czy kapitan próbuje nam dać do zrozumienia, że nie jest już zwolennikiem doktryny komunistycznej?

Ton przesłuchującego utwierdził Carla w przeświadczeniu, że uczestniczy w jakiejś sadystycznej zabawie.

— Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych idiotyzmów, obrażają nie tylko mnie, ale całą naszą działalność. Nie siedzimy w piwnicach tajnej policji. To nie lata czterdzieste. Chciałbym pułkownikowi przypomnieć, że znajdujemy się w szwedzkim Sztapie Obrony i niedługo wybije rok dwutysięczny.

Carl wytarł usta i próbował zapanować nad emocjami.

— Czy znaczyłoby to, że kapitan odmawia współpracy?

Carl podniósł się z westchnieniem i wyszedł, spokojnie zamykając drzwi.

Na korytarzu puścił się biegiem, zamiast windy wybrał schody, na parterze skręcił w prawo i ruszył ku wyjściu. Zatrzymał się dopiero na Lidingövägen.

Dęby zdążyły się już wystroić w jasnozielone czapy liści, przenikające przez nie promienie słońca przywiodły mu nagłe na pamięć francuskich impresjonistów, śniadanie na trawie...

Wolno włożył kurtkę i wsunął ręce do kieszeni. Prawa zacisnęła się na czymś, co wyglądało jak szwajcarski wojskowy scyzoryk, a było kombinacją wytrychów i — posługując się określeniem amerykańskiej policji — ukrytej broni.

Lewa dłoń trafiła na pęk kluczy. Cholera, pomyślał, żeby to szlag trafił, przecież miałem je oddać.

I z ociąganiem zawrócił. Wkrótce przyspieszył kroku, na czwarte piętro już wbiegł i zdyszany wpadł do gabinetu Samuela Ulfssona.

Siedzący przy małym stoliku Sam i DG spojrzeli zdumieni.

Carl zamknął drzwi i głęboko odetchnął.

— Siadaj — rzucił Samuel Ulfsson.

Po chwili tłoczyli się przy stole we trójkę. Nad nimi wisiał obraz przedstawiający feldfebla i wiejskiego parobka podczas przymusowego poboru.

— No? — zagał DG.

— Co, no? — mruknął Carl. — Borgström to idiota. Zwariuję, siedząc tam i recytując życiorys. Wiecie, jak zaczął? „Czy kapitan byłby tak miły i opowiedział o tym, w jaki sposób się zetknął z doktryną komunistyczną, jak się do niej przekonał, by w końcu zostać zdrajcą ojczyzny?” Coś w tym stylu. Czy muszę wysłuchiwać takich bredni? Jaki to ma sens?

— Rozumiemy, co czujesz — zgodził się Ulfsson. — Byłoby jednak lepiej, gdybyś nie utrudniał nam pracy.

— Rozumiecie? Wątpię. Idziecie do ÖB i ni stąd, ni zowąd oskarża się was o zdradę ojczyzny. Postawcie się w mojej sytuacji.

— Czego od nas oczekujesz? Z jaką sprawą się tu wdarłeś? — ostro spytał DG, co pozostawało w wyraźnej sprzeczności z jego odczuciami.

— Zdejmijcie mi z pleców tego pawiana. Chętnie się stawię na przesłuchanie, ale...

— Ale nie u szefa wydziału bezpieczeństwa — dopowiedział Samuel Ulfsson. — Weź się w garść, Hamilton. DG i ja trzymamy twoją stronę, oskarżenie dotyczy w pewnym sensie i nas. Dzielimy się teraz różnymi obowiązkami i nie spoczniemy, dopóki tej sprawy nie wyjaśnimy. Ale musisz nam pomóc. Chyba to rozumiesz.

— Co zamierzacie i jak mogę wam pomóc?

— Wybacz, ale o tym, co zamierzamy, wolałbym nie mówić osobie podejrzanej.

Samuel Ulfsson uśmiechnął się krzywo, nie do końca przekonany, czy to właściwa pora na żarty. Nigdy dotąd nie widział Hamiltona w stanie takiego wzburzenia, co — bez względu na to, czy raport Tristana zawierał prawdę, czy nie — można było zrozumieć.

— A po drugie — podjął Ulfsson, odruchowo rozglądając się za paczką papierosów — prosimy cię o jedno: odegraj tę komedię z Borgströmem do końca. Twoje zastrzeżenia wobec, hm, dość konwencjonalnego typu przesłuchań są wprawdzie uzasadnione, ale obiektywnie

rzecz biorąc, nie ma to większego znaczenia. Jego protokoły i tak wylądują w archiwum i prócz kurzu nikt się nimi nie zainteresuje.

— To po co je prowadzić, dlaczego nie przesłuchać mnie porządnie? W dodatku nie wolno mi słowem pisnąć o najważniejszym dowodzie mojej niewinności. Jaki pożytek z przesłuchań, na których mogę tylko zaprzeczać i powtarzać, że nie jestem żadnym zdrajcą?

— ÖB zdecydował, że ta sprawa musi pozostać w rodzinie — zauważył Samuel Ulfsson. — Zdaniem ÖB szef wydziału bezpieczeństwa wydaje się najbardziej odpowiedni do prowadzenia przesłuchań. Możemy oczywiście podważyć jego kompetencje, zwłaszcza po tym, co nam powiedziałeś, ale jakie to ma znaczenie? Nie traktuj tego ze śmiertelną powagą, odwal, co trzeba...

Zadzwoił telefon. Samuel Ulfsson podniósł się ciężko. Wyraz desperacji na jego twarzy brał się raczej z konieczności odbycia kolejnej rozmowy bez papierosa niż z powagi sytuacji.

— Ulfsson! — wrzasnął do słuchawki. — Nie, Hamilton jest u mnie — rzekł po chwili. — Będzie u ciebie za pięć minut. Postaraj się zrozumieć jego złość. Nie, tylko tyle. Zaraz będzie. — Wkurzony, odłożył słuchawkę na widełki. — Słyszałeś, Carl.

— Wracam do pawiana — potwierdził Carl z rezygnacją.

— Określenie wyjątkowo niestosowne, ale obiektywnie rzecz biorąc, trafne!

Carl skinął głową, wstał i wyszedł bez słowa.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Trzeba go zrozumieć — powiedział DG.

— Yhm. A teraz do roboty. Kiedy wyjeżdżasz?

— Jutro.

— Przy odrobinie szczęścia zdążysz na noc świętojańską.

— Najwcześniej. Dzieci, wnuki, kwitnące jabłonie. Mam kilka późnych odmian. Ale najpierw trzeba to załatwić.

— Tak, DG, trzeba. Kiedy przechodzisz na emeryturę?

— Za trzy miesiące. Oczywiście jeśli do tego czasu uporamy się z tą historią.

— Udanego polowania, DG.

— Wzajemnie.

\* \* \*

Carl stał pod drzwiami z dziesięć sekund, nim zapukał. Spodziewał się, że koszmar przesłuchań potrwa trzy dni. Nie sądził, by dręczyciele zrezygnowali ze świąt dla dobrej zabawy w odpytywanie. Trochę się jednak pomylił w kalkulacjach.

Kiedy wszedł, oddał klucze i zapisał na kartce kod do stalowych drzwi i dwóch dużych szaf, w których przechowywał broń. Powiesiwszy kurtkę na oparciu krzesła, usadowił się przed mikrofonem.

— Aha — odezwał się Borgström. — Kontynuujemy przesłuchanie, jest dwunasta pięćdziesiąt osiem, tego samego dnia i w tym samym miejscu, co poprzednio. Czy kapitan marynarki Hamilton zechciałby uprzejmie powiedzieć, jak zetknął się z doktryną komunistyczną i w jaki sposób tak nim zawładnęła, że w konsekwencji przyłączył się do organizacji wrogich państwu?

Carl westchnął. Po raz pierwszy, odkąd wrócił do tego gmachu, okiełznał emocje.

— Początki sięgają czasów wojny wietnamskiej — zaczął, po czym mówił bez przerwy przez dwadzieścia minut.

Podpułkownik sprawdzał jego słowa z materiałem ściągniętym z archiwum, w którym było niemal wszystko.

## 4

DG siedział w samochodzie US Navy. Od celu dzieliła go jeszcze godzinna jazda przez pustynię. Jego nastrój oscylował między przygnębieniem a wściekłością lub co najmniej wściekłą determinacją.

Istniały dwie możliwości.

Pierwsza, przeciwnikowi udało się zwerbować Carla w Kalifornii, co urągałoby zdrowemu rozsądkowi. Operacja Big Red nigdy by się w takim układzie nie odbyła, a to by znaczyło, że Związek Radziecki ma w Szwecji swój ogródek i robi wszystko, żeby skłócić rząd z dowództwem wojskowym. Straszna myśl.

Druga, Rosjanom po raz kolejny powiodła się *maskirowka*. Podstawiony człowiek dostarcza na przynętę mnóstwo prawdziwych informacji, które potem uzupełnia fałszywymi. Żeby wprowadzić trochę zamieszania albo, na co wskazywały angielskie przykłady, żeby napuścić na siebie służby bezpieczeństwa i wywiad. Niech sobie tropią w nieskończoność zdrajcę, który zdrajcą nie jest. Prawdziwi zdrajcy mogli sobie tymczasem spokojnie nękać przesłuchaniami niesłusznie oskarżonych.

DG od dziesięcioleci był zawodowym oficerem wywiadu, niemal trzydzieści lat kierował jego najtajniejszą komórką. Należał do pokolenia, które znacznie lepiej władało niemieckim niż angielskim, toteż przeważnie korzystał z materiałów niemieckich. Nie wiedział zbyt dużo o doświadczeniach Anglików z podrzucanymi, lewymi agentami. Ale powinni raczej być podejrzliwi wobec wszystkich? Chyba potrafiliby zwęszyć prowokację?

Z drugiej strony nie mieli wglądu w informacje służb szwedzkich. Byli więc w stanie ocenić tylko te dane, które dotyczyły powiązań brytyjskich. I zapewne wielu prawdziwych rosyjskich agentów stanęło przed sądem.

Czyżby Rosjanie zdecydowali się spalić swoją siatkę szpiegowską w Anglii, żeby zrobić Hamiltona?

Co chcieli w ten sposób osiągnąć? Na czym im aż tak zależało, że gotowi byli poświęcić cennych agentów?

Nasuwała się tylko jedna odpowiedź. Mogli stworzyć wrażenie, że operacji Big Red nie było, że na szwedzkich wodach terytorialnych nigdy nie istniały żadne radzieckie bazy, że wszystko to blef szwedzkich wojskowych.

Jeśli tak, w ciągu roku musieliby usunąć wszelkie ślady po swoich instalacjach. Albo nie. Mogli dojść do wniosku, że rząd szwedzki za nic nie zgodzi się na inspekcję.

Ta możliwość była równie nieprzyjemna. Oznaczała większą kontrolę Rosjan nad politycznymi i militarnymi poczynaniami Szwecji, niż podejrzewano w chwilach najczarniejszego pesymizmu.

Kto wie, czy nie znajdzie rozwiązania tej zagadki w US Naval Weapon Center, co Carl zwykł nazywać The Sunset Farm, czyli w jednym z najdziwniejszych wojskowych obozów treningowych świata zachodniego. Wychodzili stąd ludzie pokroju Carla Gustafa Gilberta Hamiltona, niedługo zakończy pięcioletnią naukę dwóch innych Szwedów.

Dużo od nich zależy. Albo są radzieckimi agentami, albo — jeśli GRU nie miał pojęcia o istnieniu sierżantów Stålhandskego i Lundwalla — całą tę prowokację wezmą diabli.

W każdym razie wiedzieli co nieco o Kalifornii.

Samochód zatrzymał się przed czymś w rodzaju wartowni. Młodzi oficerowie powitali DG, pułkownika i *assistant director of Swedish military intelligence*, z prawdziwie amerykańską uprzejmością.

Zaprowadzono go do pokoju gościnnego. Gdy się wykąpał i przebrał, młody porucznik wskazał mu drogę do opiekuna Carla i dwóch szwedzkich sierżantów.

W służbowej klitce podpułkownika Skipa Harriera brzęczała klimatyzacja, tu i ówdzie poniewierały się puszki po piwie, a stół zarzucony był mnóstwem najróżniejszych rzeczy, mimo że DG zapowiedział swoją wizytę.

Ostrzyżony na jeża siwowłosy podpułkownik — zdaniem DG tuż przed pięćdziesiątką — przywitał się mocnym uściskiem dłoni, który świetnie pasował do jego fizycznej tężyzny. Lewa strona mundurowej marynarki świadczyła o przeogromnej zaprawie w bojach: pięć rzędów odznaczeń wojskowych. DG nie był zmartwiony, że zjawił się w cywilu.

— No cóż, pułkowniku — zaczął Harrier, ledwie DG zdążył usiąść i z najwyższym osłupieniem przyjąć z jego rąk puszkę piwa — te pieprzone Ruski wysmażyły nam niezły pasztet.

— Co pan ma na myśli? — spytał DG, wstrząśnięty zarówno niewybrednym słownictwem Harriera, jak i jego znajomością rzeczy.

— No bo jeśli... — Skip pociągnął łyk piwa — no bo jeśli te popaprańce zwerbowały Carla, to ja jestem myszka Mickey. Powiem wprost, kocham tego chłopaka. Czy pułkownik chwytą?

— Tak... przyznaję, że żywię do kapitana Hamiltona podobne uczucia. Ale skąd pan o tym wie? Pytam, bo jestem zaskoczony...

— Mielśmy tu wczoraj paru kretynów z Naval Intelligence i z DIA z rewelacjami o brytyjskim raporcie Tristana. Przedstawiłem swój pogląd na prawdopodobieństwo sowieckiego werbowania w The Sunset Farm. Gdyby tak było, ja sam musiałbym chyba rekrutować ludzi. No i bez owijania w bawełnę kazałem im się odpieprzyć.

— Aha — skwitował DB. — I co, zrobili to, to znaczy zadowolili się pańską odpowiedzią?

— Cholera wie, pewnie wywracają teraz San Diego do góry nogami, ale to nie nasza sprawa. Niech mnie diabli porwą, jeśli w The Sunset Farm szwendają się jacyś rusczy rekruci!

— To optymistyczne.

— Optymistyczne? Zdaje pan sobie sprawę, jak trudno się załapać na nasze szkolenie? Ma pan pojęcie, jakie trzeba przejść kontrole? A poza tym wszyscy, którzy tu trafiają, muszą się do tego nadawać, a nadaje się niewielu. I niech pan sobie teraz wyobrazi przemycenie tu infiltratora.

— Tak, rozumiem. A rekruci zagraniczni? Chyba macie nie tylko Szwedów?

— W zasadzie tylko. Większość naszych sojuszników organizuje własne szkolenia. A tych chłopców sami przecież wybraliście i pewnie robicie teraz wszystko, żeby wydusić, co się da, z faceta, który zwerbował Carla.

— No, niezupełnie. Ja go zwerbowałem.

— Gratuluję, pułkowniku. Wobec tego jest pan czekistą albo człowiekiem od podrzucania infiltratorów. Gratuluję odkrycia, to nie lada sukces, żeby wśród ośmiu milionów Szwedów trafić na sowieckiego agenta i genialnego studenta w jednej osobie. Jak powiedzieliby Anglicy, prosty rachunek prawdopodobieństwa, drogi kolego.

— Tak, Anglicy przysporzyli nam trochę kłopotów.

— Dlaczego do cholery bierzecie serio jakieś pieprzone brednie tych pedałów? Od lat czterdziestych ich wywiadem kierują ludzie z Moskwy.

— Jesteśmy dość sceptyczni, ale sprawę trzeba wysświetlić. Czy dwaj szwedzcy sierżanci wiedzą, po co tu przyjechałem?

— Nie. Anglicy napletli tylko trzy po trzy o Carlu. Nie widzi pan, że to zwykła prowokacja? Typowa *maskirowka*. Chcą się odegrać na Carlu za jego akcję.

DG zeszytniał.

— Co pan o tym wie?

— Nie tyle, ile bym chciał. W zeszłym roku Carl zabrał chłopców do kraju na jakąś operację. Nie powiedział ani słowa, ale jakiś pieprzony biurokrata dał mi listę do aprobaty. I wie pan, co na niej było?

— Nie.

— Materiały wybuchowe, bomby do użytku pod wodą, nasze najnowocześniejsze aparaty do nurkowania, Mark piętnaście, czy jak się tam zwa, określonego typu timery i parę innych drobiazgów. Nie jestem wprawdzie jakimś wyrafinowanym znawcą komunistycznej zarazy, ale trochę oleju jeszcze mam. Rzuciłem okiem na mapę i to mi wystarczyło. Sąsiad waszej małej Szwecji słynie z różnych podwodnych wyczynów. Carl przyjeżdża tutaj, wypożycza chłopców, którzy są specjalistami w tej samej branży, a po miesiącu panowie sierzanci wracają i są, że tak powiem, dziwnie nieobecni. Zrozumiałem, że zaliczyli swoją pierwszą prawdziwą akcję. Nic dziwnego, że Rusczy się wkurzyli i postanowili się odwzajemnić. Dobrze mówię, pułkowniku?

— W pańskim rozumowaniu dostrzegam pewną logikę. Czy chłopcy wspomnieli coś o operacji?

— Nic a nic. A z Carla udało mi się wycisnąć tylko tyle, że to było coś dużego. Sam o tym wiedziałem po przejrzeniu listy.

— Kiedy mógłbym ich zobaczyć?

— Kiedy pan tylko zechce, pułkowniku. Czekają na pana w dwóch różnych pokojach. Pomyślałem, że będzie pan wolał rozmawiać z każdym osobno. Proszę mi tylko nie mówić, że to ruscy agenci, bo skonam ze śmiechu.

— Lubi ich pan?

— Tak, to fajni chłopcy. Okazuje się, że w Szwecji rosną nie tylko buraki. Zdarzają się też cenniejsze rośliny.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć o nich coś więcej? Jacy byli po przyjeździe, po e... tej domniemanej operacji.

— W kiepskim stanie. Ale nie beznadziejnym. Chyba normalne objawy nurkowania, kompresji i różnych takich, ale to nie moja broszka. Przez tydzień mieli taryfę ulgową, przeszli przez jakieś testy medyczne i tak dalej.

— Mieli więc jakieś symptomy?

— Niech pan spyta lekarza albo zajrzy do kart choroby.

— A mają takie?

— Wszyscy mają, ja też, pieprzona marskość wątroby, he he.

— Mógłbym dostać kopie?

— Jasne, pułkowniku. Załatwię to, kiedy będzie pan przesłuchiwał chłopców.

— Czy pokój przesłuchań jest na podsłuchu?

— Jeśli tak, to nie na naszym. Maminsynki z Naval Intelligence i z innych agencji nie wściubiają tu nosa. Odpowiadam za nasze bezpieczeństwo. I jesteśmy bezpieczni.

— Nie muszę więc wyciągać chłopców na prerię?

— Na pustynię, pułkowniku. Nie jesteśmy na prerii. Nie musi pan. Ma pan na to moje słowo. I jeśli Carlowi spadnie choćby jeden włos z głowy, wyrwę panu jaja. Czy wyraziłem się jasno, pułkowniku?

— Bardzo. Doceniam pańską bezpośredniość. Nie jestem jednak do tego przyzwyczajony. Zobaczymy się jeszcze, kiedy pan załatwi kopie kart choroby, a ja porozmawiam z chłopcami?

— Jasne. Ile czasu pan potrzebuje?

— Trudno powiedzieć, minimum dzień, maksimum dwa.

DG uśmiechał się pod nosem, gdy ordynans prowadził go do baraku, w którym czekało dwóch nowych Carlów Hamiltonów. Tak to przynajmniej widział.

Joar Lundwall siedział od dwóch godzin w dusznym pokoju. Wiedział tylko tyle, że szef tajnej komórki szwedzkiego wywiadu zamierza odbyć jakąś rozmowę kontrolną.

Przypuszczał, że chodzi o podpisanie albo niepodpisanie stosownych papierów. Dawno się już zdecydował. Podpisze.

Cały ostatni rok poświęcił wyłącznie na intensywne ćwiczenia, nigdy dotąd nie był równie sprawny co teraz. Sprawny, silny i optymistycznie nastawiony.

W ogóle się nie zastanawiał, ile czasu musi czekać. Nauczono go, jak wytrzymywać przesłuchania ciągnące się tygodniami, miesiącami, a nawet latami. Radził sobie na Alasce, mając do dyspozycji wyłącznie nóż i krzesiwo. Potrafił rozszyfrować wiadomość na czas w potwornym jazgocie. Skakał ze spadochronu nocą nad morzem na dużych szybkościach i z małych wysokości, skakał z dziesięciu tysięcy metrów do wyznaczonego celu i całe mile szybował w powietrzu, nim usiadł tam, gdzie mu polecono. Opanował przeszło sto rodzajów broni i mniej więcej tyle samo sposobów zabijania ludzi bez jej użycia. Wkrótce stuknie mu dwadzieścia sześć lat, wkrótce zostanie porucznikiem szwedzkiej artylerii nadbrzeżnej i poczuje się znacznie pewniej. Z nadzieją czekał na spotkanie z szefem, o którym wiedział tylko tyle, że jest starszym panem o nastroszonych brwiach, co nadaje mu wygląd puchacza.

Wszystko się zgadzało. Człowiek, który nagle pojawił się w drzwiach, przypominał puchacza.

Joar Lundwall automatycznie stanął na baczność i patrzył przed siebie. Nie odezwał się słowem, nie szukał spojrzeniem starszego mężczyzny.

Puchacz obszedł go wkoło, mamrotał coś pod nosem, wysunął krzesło i zanim usiadł, odwrócił je. A potem wyłuskał z kieszeni marynarki mały magnetofon i otarł pot z czoła.

— Spocznij! Weź krzesło i usiądź naprzeciwko mnie — odezwał się po chwili.

Joar Lundwall błyskawicznie spełnił polecenie.

— Dzień dobry, sierżancie — podjął DG.

— Dzień dobry, panie podpułkowniku! — wrzasnął Lundwall.

— Może powinniśmy przyjąć szwedzki sposób porozumiewania się. Ze swoim kolegą mówisz po szwedzku czy po angielsku?

— Po angielsku, panie podpułkowniku! — wrzasnął Lundwall ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

DG z westchnieniem poprawił ubranie.

— Chciałbym ci zadać dwa pytania, Joar. Spróbuj się trochę rozluźnić, nie jesteśmy teraz w USA, tylko w Szwecji. Jasne?

— Tak jest, *sir!* E... to znaczy jasne — dodał Lundwall, czując, że się czerwieni.

— Pytanie pierwsze. Czy po skończeniu szkolenia zamierzasz się u mnie zatrudnić?

— Tak.

— Jesteś całkowicie pewien?

— Długo się zastanawiałem, *sir...* przepraszam, długo się zastanawiałem, ale w zeszłym roku podjąłem ostateczną decyzję.

— Po operacji Big Red?

Joar Lundwall zawahał się.

— Możemy o tym mówić?

— Owszem. A więc?

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Myślę...

Joar Lundwall umilkł.

— No?

— Myślę, że ktoś, kto w czymś takim brał udział i *pulled the things*, zaraz, jak to się mówi? Aha, i komu się powiodło, nigdy już nie zrezygnuje.

DG w milczeniu przyglądał się jednej z najtajniejszych i przypuszczalnie najskuteczniejszych broni szwedzkich sił zbrojnych. Przynajmniej taką wyznawał teorię, kiedy wiele lat temu, mimo sprzeciwu niektórych ludzi z dowództwa, przeforsował swój eksperyment.



Młody, świetnie wytrenowany mężczyzna o wyglądzie lekkoatlety, na przykład tyczkarza; młody mężczyzna o wyglądzie Europejczyka, Rosjanina albo Szweda, albo Amerykanina, w stroju treningowym o barwach ochronnych z żółtymi skrzydełkami na prawej piersi.

— Co to takiego? — spytał DG, wskazując na znaczek.

— Złote skrzydełka SEAL, *sir*, przepraszam, podpułkowniku.

— Aha. I?

— Dostaje się to za zaliczenie określonych testów w ramach szkolenia. Osiemnastokaratowe złoto.

— Jakie testy?

— Głównie fizyczne. Nurkowanie, lądowanie na spadochronie nocą, trochę różnych ćwiczeń na przeżycie i tak dalej. Około dziesięciu procent kursantów dostaje skrzydełka.

— A twój kolega je ma?

— Stålhandske? Tak, zdobył je bez większych trudności, kapitan Hamilton oczywiście też. Ale...

— Tak?

— Nie jest to żaden szczegół munduru, to odznaczenie, które mamy prawo nosić jak wszystkie inne.

— Na przykład jak królewski Medal za Odwagę?

— Tak jest.

DG uśmiechnął się. Chłopak ma dwadzieścia sześć lat, nie jest nawet chorążym, a nosi więcej złota na mundurze niż którykolwiek ze szwedzkich generałów.

— Zawsze z tym chodziecie?

— Nie. Trochę się wystroiłem na nasze spotkanie.

— I te skrzydełka ozdobią twój mundur chorążego artylerii nadbrzeżnej w Szwecji?

— Tak, jeśli tylko będę go nosił.

— No dobrze, przejdźmy jednak do spraw mniej przyjemnych. Aha, gratuluję Medalu za Odwagę. Dobrze sobie na to zasłużyłeś.

— Dziękuję, *sir*!

— I przestań mówić mi „*sir*”

— Tak jest, panie podpułkowniku!

DG westchnął.

— Opowiedz mi teraz o operacji Big Red.

Joar Lundwall sądził, że chodzi tu o zwykłą ciekawość, więc pozwolił sobie na zwięzłość.

Tymczasem puchacz domagał się coraz więcej szczegółów, pytał o głębokość, kompresję i mnóstwo innych spraw, na których się nie znał, o czas, przemieszczanie się od obiektu do obiektu, przygotowania, ćwiczenia, różnice między wyposażeniem szwedzkim i amerykańskim, skuteczność ładunków wybuchowych pod wodą, dowody na to, że w bazach byli ludzie, i o to, co się stało w ostatniej, kiedy sierżant Stålhandske zaatakował i zniszczył jakąś podwodną jednostkę pływającą.

Przesłuchanie trwało półtorej godziny. Od czasu do czasu puchacz spokojnie zmieniał kasety w magnetofonie i to, co w pierwszej chwili lekko tylko zaniepokoiło Lundwalla, w końcu zamieniło się w pewność.

Był przesłuchiwany i nic ponadto. Wątpili w operację, podejrzewali, że obiekty nie zostały zniszczone albo coś w tym stylu.

Upewniwszy się co do intencji przesłuchania, Lundwall postanowił skorzystać z okazji i kiedy DG zrobił przerwę na zmianę kasety, powiedział:

— *Permission to speak, sir!* Przepraszam, czy mogę o coś spytać?

— Oczywiście. — DG badawczo spojrzał na rozmówcę. — Proszę, pytaj.

Joar Lundwall przez chwilę zbierał się w sobie.

— Przepraszam, że powiem prosto z mostu, podpułkowniku. Ale to, czym się zajmujecie, to zwyczajne *bullshit*. Słyszeliśmy ich, zabiliśmy ich, ryzykowaliśmy życie. Jeśli celem tego przesłuchania... jeśli macie wątpliwości, wystarczy po prostu obejrzeć szczątki.

— Jak to, ryzykowaliście życie? Chodzi o zbyt długą kompresję? — zapytał DG, puszczając mimo uszu zarzut sierżanta.

— Nie tylko. W ostatniej bazie Rosjanie połapali się, że coś się dzieje, może dostali wiadomość z Kaliningradu albo coś w tym rodzaju, mieli poza tym automatyczne boje alarmowe z nadajnikiem, które wypływały... no, w każdym razie chcieli dać dyla i kapitan Hamilton ustawił timer na tak krótki czas, że ani on, ani my nie byliśmy pewni, czy zdążymy się wymknąć przed eksplozją. A potem rozkazał Stålhandskemu załatwić ten miniokręt. Później krążyliśmy helikopterem nad wodą i myśleliśmy, że nigdy już nie zobaczymy Stålhandskiego...

— Rozkazał? Pod wodą?

— Odciął linię sygnalizacyjną, dał Stålhandskemu RSV i timer i pokazał. Tak to się odbywa pod wodą, jesteśmy odpowiednio szkoleni, a poza tym sporo ćwiczyliśmy przed akcją.

DG wyłączył magnetofon i podniósł się ciężko. Uznał, że dowiedział się wystarczająco dużo.

Joar Lundwall automatycznie stanął na baczność.

— Niestety będę już na emeryturze, kiedy podejmiesz pracę w SSI, sierżancie Lundwall. — DG z uśmiechem wyciągnął dłoń na pożegnanie. — Ale na pociechę mogę powiedzieć, że twoim bezpośrednim przełożonym będzie kapitan Hamilton — dodał po chwili, wiedząc, że może się to okazać czczą obietnicą.

— Dziękuję, *sir!* — z ogromną ulgą wrzasnął Joar Lundwall.

DG uściśnął mu dłoń i wyszedł bez słowa.

Kiedy pięć minut później spotkał się z przyszłym porucznikiem Stålhandskem, z trudem potrafił ukryć zaskoczenie.

Stał przed nim olbrzym, białowłosy fińsko-szwedzki odpowiednik Tarzana, w identycznym mundurze i z identycznymi skrzydełkami na piersi jak jego nieco bardziej ludzki kolega. Powitanie odbyło się według amerykańskich reguł, jak dwie godziny wcześniej.

Przesłuchanie w znacznej mierze dotyczyło udziału Stålhandskiego w zniszczeniu czmychającej z trzeciej bazy minilodzi podwodnej. Przyczepił się do niej, zamocował ładunek i wisiał przez chwilę „jak jakaś cholerna chorągiewka”, jedną ręką trzymając się poręcz, a drugą ustawiając timer. Cały czas myślał, co się stanie, jeśli puści poręcz, pewnie wciągnęłyby go śruby i wypłynąłby w postaci „czekistowskiego strogonowa”. Postanowił zaryzykować, wyciągnął wentyl z kamizelki i wystrzelił na powierzchnię jak korek. Co wcale nie było bezpieczne, ale lepsze niż strogonow.

Uporawszy się z przesłuchaniami w jeden dzień, DG pożegnał się z malowniczym, jak go w duchu nazywał, podpułkownikiem Skipem Harrierem.

— No i co, pułkowniku? Czy chłopcy są ruskimi agentami? — zapytał ubawiony Skip, ani przez chwilę nie traktując tej sprawy poważnie.

— Jeśli oni są agentami, to my dwaj jesteśmy myszkami Mickey — odparł z uśmiechem DG, zadowolony, że po raz pierwszy udało mu się odpowiedzieć Amerykaninowi jak Amerykanin.

— I wróci pan teraz do Szwecji, żeby przywalić komu trzeba?

— Nie, jadę do Londynu.

— Słusznie. Niech pan tym pedałem porządnie da w dupę, pułkowniku. Ode mnie też.

— Hm... — DG uśmiechnął się lekko. — W każdym razie poważnie sobie z nimi porozmawiam.

\* \* \*

W Szwecji była w tym czasie druga rano. W dużym kompleksie wojskowym przy Lidingövägen w Sztokholmie niemal wszędzie dawno pogasły światła.

Smugi brzasku wdierały się przez żaluzje do pokoju przesłuchań, w którym siedziało trzech zarośniętych, czerwonoookich mężczyzn.

Carl nie rozumiał, dlaczego próbują go zmęczyć. Mogą w ten sposób osiągnąć całkiem odwrotny efekt. Dzięki dwóm latom nauki skutecznego przesłuchiwanie w The Sunset Farm potrafiłby wprawić tych ludzi w nie lada osłupienie.

Był przekonany, że jeśli trzeba, wytrzyma niemal wszystkie rodzaje fizycznych tortur, niektóre zaś środki chemiczne oddziałujące na określone czynniki mózgu można, przynajmniej teoretycznie, pokonać nieustanną, bezładną paplaniną.

Staroświecki model przesłuchania, polegający na ciągłym wyłuskiwaniu drobnych kłamstw i sprzeczności, którego teraz na sobie doświadczał, traktował jak osobistą zniewagę.

Poskromił złość, ale im dłużej był świadkiem tej amatorszczyzny, tym bardziej czuł się upokorzony.

Lennart Borgström kierował się prostą do rozszyfrowania hipotezą, że Carl starał się wniknąć do szwedzkiego wywiadu, bo jako uczeń gimnazjalny był komunistą, a komuniści trzymali z Rosją i młodzież proradziecka stanowiła znakomite źródło rekrutacji; więc już w szkole był radzieckim agentem, to znaczy zwolennikiem FNL, co można udowodnić.

Carl usiłował spokojnie i rzeczowo wyjaśnić różnicę między lewicowymi organizacjami proradzieckimi, które zawsze stanowiły mniejszość, no, może nie zawsze, ale przynajmniej w czasach, gdy on wchodził w dorosłe życie, a lewicą jako taką, skoncentrowaną na działaniach antyimperialistycznych.

Ale każdą tego typu dygresję przesłuchujący wykorzystywał do wymuszenia na Carlu wyznania, że był przeciwnikiem „tak zwanego amerykańskiego imperializmu”. Owszem, był. I jest.

W ten sposób chciano mu udowodnić, że niejako automatycznie staje się zwolennikiem imperializmu w wydaniu radzieckim.

Carl przypomniał, że rok temu ofiarował dwa miliony koron na rzecz Afganistanu. Borgström uznał to za zręczny manewr osłonowy.

- Ściągnięcie do Szwecji wiceadmirała Koskova, którego tożsamości nikt nigdy nie kwestionował, Borgström potraktował wyłącznie jako dowód na to, że Carl pomógł radzieckiemu wywiadowi w szerzeniu dezinformacji. Przepuszczalnie Borgström nie miał dostępu do raportu Koskova.

Transportując Koskova do kraju, unieszkodliwił trzech porywaczy samolotu, w tym dwóch definitywnie. Porwanie nie było przypadkowe, wszystkie meldunki i zeznania świadków przemawiały za tym, że zaplanowano je z myślą o Koskowie i o nim.

Dla Borgströma był to kolejny dowód na niezwykle zręczne posunięcie dywersyjne radzieckiego wywiadu. A poza tym „rzekomi porywacze” mieli ślepe naboje.

Carl zwrócił uwagę, że naboje okazały się wystarczająco skuteczne, by uśmiercić amerykańskiego pasażera, którego porywacze przypuszczalnie wzięli za niego. Według Borgströma mogli mieć jedną sztukę ostrej amunicji tylko w tym celu albo morderstwo jest dziełem samego Carla.

Nie podnosząc głosu, Carl zauważył, że dziwna byłaby akcja, której przeprowadzenie wymagałoby od porywaczy opanowania sztuki rozróżniania naboju ślepych od ostrych, nie mówiąc już o tym, że zaczęliby coś podejrzewać i działaliby mniej pewnie. A poza tym istnieją świadkowie, którzy mogą potwierdzić, że nie on zabił Amerykanina.

Borgström poprzestał na stwierdzeniu, że rewelacje Koskova nie doprowadziły do żadnych konkretnych rezultatów.

Carl pokręcił głową i uśmiechnął się w duchu. Nie mógł przecież powiedzieć Borgströmowi o bardzo konkretnym rezultacie pod nazwą operacja Big Red.

Dodał, że Rosjanie zlokalizowali i zabili Koskowa, on nie miał pojęcia o miejscu jego ukrycia, a likwidowanie podstawionych agentów jest co najmniej dziwne.

Borgström znów zaczął wałkować jego lewicową przeszłość, żeby go zmęczyć i zmiękczyć.

I tak trwało przesłuchanie, godzina za godziną, dzień za dniem. Carl opuścił gmach z czerwonej cegły w noc świętojańską. Oddano mu klucze i mógł wrócić do domu.

Zdemolowane mieszkanie przypominało jedno z tych, które widuje się na starych filmach. Podłoga w wielu miejscach wyrwana, kominek w bibliotece rozebrany, kuchnia kompletnie zniszczona, wszystkie książki wyrzucone, a półki połamane.

W sprzęcie grającym brakowało kilku części i nie nadawał się do użytku. Zniknęło kilka sztuk broni. W łazience pobojuwisko. Wziął przybory toaletowe i umył się w kuchni, nad zlewem. Woda była.

\* \* \*

Gdyby przyszłe wybory odbyły się po myśli Petera Sormana, co na razie wydawało się trudne do przesądzenia, najprawdopodobniej byłby jedynym ministrem spraw zagranicznych, który mógłby się poszczycić czarnym pasem w karate.

Wtajemniczeni koledzy partyjni za nic nie potrafili pojąć jego hobby, czy raczej pasji. Nie wtajemniczeni nigdy w życiu by nie uwierzyli, że podsekretarz stanu kilka godzin w tygodniu poświęca na przedziwne wygibasy w białej piżamie, i potraktowałiby to jako zwyczajne oszczerstwo burżuazyjnej prasy.

Peter Sorman uchodził za człowieka chłodnego, niemal całkowicie panującego nad uczuciami i niezwykle inteligentnego. On sam w dużej mierze podzielał tę opinię. W jego mniemaniu azjatycka sztuka walki nauczyła go koncentracji i kontemplacji.

Ciężko pracował, ciężiej niż inni, i uważano go za bystrzejszego od innych, z czym również się zgadzał.

Ze względu na jego pozycję nie było niczym niestosownym, że tego dnia uczestniczył w zebraniu wyższych urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Minister, który po wyborach miał przejść na emeryturę i przekazać mu swoje obowiązki, od kilku dni szczęśliwie bawił na urlopie.

Sorman nie wyrwie się raczej nawet w czasie świąt. Dzieci i dwie ostatnie żony dzwoniły trzy albo cztery razy z archipelagu, dopóki nie wyłączył telefonu.

Przed nim, na rokokowym biurku leżały trzy sterty dokumentów. Choć nie miały z sobą związku, przypominały coś w rodzaju politycznych bomb, które nie rozbrojone, mogłyby zniweczyć kampanię wyborczą. Zaczęłyby się afery i skandale, wypłynęłaby sprawa odpowiedzialności rządu za to, czego nie zrobił, i za to, co zrobili partyjni koledzy, posypałyby się pytania, co rząd wiedział, a czego nie.

W ostatnich latach wszystko tak mniej więcej wyglądało. W wielu wypadkach nasuwały się przypuszczenia, że na klimat polityczny w państwie usiłuje wpłynąć służba bezpieczeństwa, cichcem podając do prasy rozmaite informacje. Po wyborach trzeba z nimi zrobić porządek, żeby nie mieli szans na powtórzenie numerów z przeciekami.

Ostatni skandal był przypuszczalnie ich dziełem. Osoba zbliżona do ścisłej czołówki partii, której Sorman nie znosił, została zatrzymana przez wydział narkotyków za posiadanie heroiny. W swoim mieszkaniu. Na przyjęciu. W obecności dziennikarzy i polityków. Według prasy burżuazyjnej o przestępstwa narkotykowe podejrzewano także inne socjaldemokratyczne szychy. Trudniły się tym procederem od dawna, zawsze jednak stały ponad prawem. Zatrzymano więcej osób, wśród nich pracownika Urzędu Imigracyjnego, zajmującego się problemami uchodźców. On i człowiek zbliżony do ścisłej czołówki partii pół roku temu z niejasnych powodów mieli do dyspozycji starannie dobranych policjantów w charakterze ochrony osobistej. Co naturalnie nadawało zarzucanej im działalności dodatkowego smaczku.

Dwie rzeczy nie dotarły jeszcze do publicznej wiadomości. Pierwsza, że cynk do wydziału narkotyków sztokholmskiej policji pochodził z bezpieki. Dlatego nie wahano się wkroczyć mimo wysokiej pozycji uczestników przyjęcia. Druga była gorsza, nawet jeśli ryzyko jej ujawnienia nie wydawało się zbyt duże. Policjanci z ochrony osobistej byli homoseksualistami, co stanowiło podstawowe kryterium ich wyboru, ponieważ dwie szczyh miały takie właśnie skłonności. Oficjalnie przydzieleni kochankowie.

Taka historia oznaczałaby klęskę w kampanii wyborczej.

Sprawa najmniejsza, przynajmniej objętościowo, dotyczyła domniemanej afery szpiegowskiej. ÖB przekazał pisemną wiadomość o informacjach brytyjskiego wywiadu, z których wynikało, że jednego policjanta z wydziału bezpieczeństwa i dwóch oficerów podejrzewa się o szpiegostwo na rzecz Związku Radzieckiego.

Trudno było przewidzieć skutki polityczne tej afery. Peter Sorman miał nadzieję, że informacje okażą się prawdziwe przynajmniej w wypadku policjanta. Bezpieka nareszcie się zajmie czym innym, a poza tym, kiedy po wyborach przyjdzie czas na rzeźnicki nóż, będzie można obarczyć ją odpowiedzialnością za szpiegowskie ekscesy.

Co do dwóch oficerów dowództwo wojskowe postanowiło najpierw samo zbadać wszystkie dowody, a dopiero później przekazać sprawę cywilnej służbie bezpieczeństwa. Działanie całkiem zrozumiałe. Poza tym mieli bardzo duże wątpliwości co do zarzutów pod adresem oficera z najtajniejszej komórki szwedzkiego wywiadu.

Przed Peterem Sormanem leżały dokumenty dotyczące Carla Gustafa Gilberta Hamiltona. Nigdy się z nim nie spotkał, nie wiedział nawet, jak wygląda, mimo że kilkakrotnie przysporzył Ministerstwu Spraw Zagranicznych kłopotów i pracy. Ale Olof Palme wyrażał się o nim pochlebnie i odznaczył go jakimś medalem.

To Hamilton maczał palce w czymś, co nader nieliczna grupka wtajemniczonych wojskowych nazywała operacją Big Red.

Hamilton i jego pomocnicy byli przeświadczeni, że działają z rozkazu dowództwa i rządu. Tymczasem o akcji zdecydował samowolnie i niemal desperacko pewien, obecnie szczęśliwie emerytowany, szef marynarki wojennej.

Wojskowi mieli teraz wątpliwości, czy Big Red w ogóle przeprowadzono. Sorman uśmiechnął się lekko na myśl o rozterkach dręczących niektóre wydziały Sztabu Obrony.

On wiedział, że operacja się odbyła, ponieważ rozmawiał o niej poufnie z szefem radzieckiego rządu. Podjęto przy tej okazji kilka sensownych decyzji, w znacznej mierze podyktowanych duchem pieriestrojki. Między innymi zgodzono całkowitą obustronną dyskrecję.

Myśl, że Hamilton, jeden z operatorów, miałby być jednocześnie radzieckim agentem, wydawała się oczywiście niedorzeczna. Straty Rosjan były zbyt duże.

Właściwie cała ta szpiegowska historia niewiele miała wspólnego z innymi sprawami. Choć jeśli przyjrzeć się lepiej trzeciemu problemowi, wyłaniały się pewne wątpliwości.

A problem trzeci dotyczył dwóch szwedzkich lekarzy, którzy od trzech dni znajdowali się w rękach jakiejś grupy w Libanie, prawdopodobnie odłamu OWP albo organizacji z nią sprzymierzonej.

Yasser Arafat zapewnił telefonicznie z Tunisu, że OWP nic o tym nie wie i obiecał oddać do dyspozycji wszystkie swoje środki, by uwolnić szwedzkich zakładników.

Taka obietnica właściwie do niczego nie zobowiązuje. Szwecja nie ma w Libanie swoich przedstawicieli dyplomatycznych, a od nielicznego personelu ambasady w Damaszku trudno żądać wyprawy do palestyńskich obozów uchodźców czy gdzie tam jeszcze i podjęcia bezpośredniej współpracy z OWP.

Tymczasem według dokumentów Carl Gustaf Gilbert Hamilton dwukrotnie współdziałał z wywiadem OWP na Bliskim Wschodzie. I dwukrotnie rezultaty okazały się, by użyć ostrożnej frazeologii dyplomatycznej, dramatyczne.

Hamilton najwyraźniej miał bezpośredni kontakt z OWP. I najwyraźniej potrzebuje teraz dowodu zaufania ze strony państwa.

Uratowanie uwięzionych szwedzkich zakładników przyniosłoby w całej tej koszarnej sytuacji niewątpliwie korzyści polityczne. Nie tylko dlatego, że rząd przyczyniłby się do *happy endu*. Tak energiczne zabiegi mogłyby stanowić doskonałą przeciwwagę dla przyszłych skandalizujących publikacji.

Warto się więc przyłożyć, żeby uwolnić szwedzkich zakładników. A Hamilton bardzo by się tu przydał. Zresztą nie miał teraz nic do stracenia.

\* \* \*

Carl trwał w chaosie. Wewnętrznym i zewnętrznym. W kompletnie zdemolowanym domu przemieszczał się ostrożnie między kupkami cegieł i zaprawy. W jednym miejscu wywalili niemal dwumetrowej grubości ścianę. Przed wiekami budowało się solidnie. Zainteresowali się nawet alkoholem. Z butelki whisky wyparowała przynajmniej jedna trzecia zawartości.

Siedział w fotelu w bibliotece, to znaczy w dawnej bibliotece, na rozprutej poduszce, i pił. Opróżniwszy szklaneczkę duszkiem, uświadomił sobie, że właściwie nie ma ochoty na więcej.

Nie mógł się pozbierać. W noc świętojańską powinien być z matką i rodziną w Skanii. Wziąć służbowy wóz i pojechać do nich? Nie przysługują mu już żadne służbowe wozy. A może wynająć? Ale czy uda mu się coś wynająć w takim dniu?

Musi wyremontować mieszkanie, na razie jednak są święta, a potem zaczynają się urlopy.

Chciał zadzwonić do Evy-Britt, ale się rozmyślił. Albo wyłapuje hałaśliwych uczestników wiankowych uroczystości, albo już gdzieś pływa. Jest piękna pogoda.

Miał ochotę zatelefonować do DG, nie był jednak pewien, czy w takiej sytuacji powinien. Myślało mu się wyjątkowo opornie, jakby uwiązł w smole. Próbował się skupić na drobiazgach. Z rozmysłem wypuścił z dłoni szklaneczkę whisky i patrzył, jak się rozpryskuje na kamiennej posadzce.

Kiedy zadzwonił telefon, nie zamierzał odbierać. Ale niewiele osób znało numer, a poza tym to mogła być ona albo DG.

Podniósł słuchawkę po piątym sygnale.

Wyniosły głos sekretarki oznajmił, że czeka na niego podsekretarz stanu. I że sprawa jest pilna.

Słabo zaprotestował. Jest zmęczony i nie ogolony, a poza tym są święta. Słyszac, co mówi, miał uczucie, że jego mózg funkcjonuje na zwolnionych obrotach. Kiedy nieco później, ogolony, w świeżej koszuli, szedł w stronę placu Gustawa Adolfa i Pałacu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wydawało mu się, że bezwolnie pełźnie trotuarem niczym życiowy rozbitek.

Strażnik ABAB [ABAB — Allmänna Bevaknings AB — agencja ochrony (przyp. tłum.)] miał go na liście. Przed drzwiami z szybą pancerną czekał już sekretarz i razem udali się do gabinetu Petera Sormana, olbrzymiego, jasnego pokoju, który przywodził na myśl zdjęcia z reportażu jakiegoś tygodnika o tym, jak to się niegdyś żyło.

Podsekretarz stanu, przywitawszy gościa mocnym uściskiem dłoni, wskazał krzesło stojące przy zdobnym w ornamenty biurku.

— A więc — zaczął, odchylając się na niebieskie, obite aksamitem oparcie i składając palce — jak rozumiem, przeżywasz teraz niewesołe dni? Poza tym czas najwyższy, żebyśmy się spotkali.

Carl milczał ponieważ po retorycznym pytaniu padł nic nie znaczący frazes. Sorman nie zamierzał jednak nic dodawać, więc wkrótce martwą ciszę wypełniło tykanie stojącego w głębi pokoju dużego zegara.

— Tak — przyznał wreszcie Carl. — Nie jest mi najweselej.

— O co cię właściwie podejrzewają? Czy dysponują czymś konkretniejszym niż raport Tristana?

— To przesłuchanie? Nie wiem, czy wolno mi o tym mówić.

— Nie, nic z tych rzeczy. Przeczytałem cały materiał i spokojnie możemy sobie porozmawiać.

— Nic prócz raportu oczywiście nie mają.

— Orientujesz się, o co tu naprawdę chodzi? Czy może to mieć jakiś związek z operacją Big Red?

Carl zaczynał przytomnieć. Obudziła się w nim nieufność.

— Nie rozumiem, dlaczego miałbym dyskutować o tajnych informacjach z kimś nie wtajemniczonym, kogo nawet nie znam.

Peter Sorman uśmiechnął się i znów złożył palce.

— O operacji Big Red wiedzą cztery osoby z kół rządowych. Rozmawiałem o tym później z Rosjanami i mamy sprawę z głowy. A wspominam o operacji dlatego, że twój w niej udział powinien wykluczyć jakiegokolwiek podejrzenia.

— Nie mogę jednak o tym powiedzieć przesłuchującym. Nie mają o niczym pojęcia.

— Hm, twardy orzech do zgryzienia.

— Owszem. O co więc chodzi?

— Słucham?

— Dlaczego mnie tu zaprosiłeś?

Peter Sorman pochylił się, wysunął szufladę i wyjął z niej paszport dyplomatyczny który położył przed Carlem na biurku.

— Czy nadal jest ważny? — spytał Carl dość obojętnie, ponieważ pokazywanie mu starego, wydanego okazjonalnie dokumentu było dlań niezbyt zrozumiałe.

— Tak. Z czysto formalnego punktu widzenia figurujesz u nas jako zastępca attaché wojskowego w Kairze. Choć była to dość krótka wyprawa i piekielnie trudno wyjaśnić niektóre poczynania pana kapitana.

Carlowi z każdą chwilą przybywało energii i coraz bardziej irytowały go uniki rozmówcy. Zamiast odpowiedzi odchylił się na krześle i naśladując Sormana, złożył palce.

Przyglądali się sobie w milczeniu. Wreszcie Sorman postanowił przystąpić do rzeczy.

— Czytałeś chyba o porwaniu naszych lekarzy w Libanie? — zaczął pospiesznie. — Chcemy ich uwolnić, OWP obiecała pomoc, dostałem tę obietnicę od Arafata. Nasz personel dyplomatyczny w Damaszku ma ograniczone pole manewru, ty natomiast, jak wskazują dokumenty, miałeś wspaniałe układy z wywiadem OWP. Czy nic się nie zmieniło?

— O ile wiem, nie — zwięźle odparł Carl, jako że Sorman wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie skończył.

— Chcemy, żebyś pojechał tam na nasz koszt, nawiązał nieoficjalny kontakt z OWP i spróbował ustalić miejsce przetrzymywania zakładników albo zdobył informacje o tym, kto ich porwał i czy istnieją jakieś powiązania z OWP. Chodzi o wzmocnienie naszej karty przetargowej.

Carl powstrzymał się od spontanicznej odpowiedzi, mimo że niejasności w wypowiedzi Sormana, świadome lub nie, zdrowo go wkurzyły. Postanowił zyskać nieco na czasie.

— Jak mi się wydaje — zaczął bez pośpiechu — jestem na razie zawieszony w czynnościach. Dopóki trwa dochodzenie, mam w zasadzie wolne, tyle że muszę być do dyspozycji. A poza tym nie czytałem gazet, bo przez ostatnie dni siedziałem na przesłuchaniu. Nic nie wiem o lekarzach.

— Zawieszony w czynnościach, gdzie? W OP5?

— Pewnie tak. Tam jestem zatrudniony.

— Ale to zadanie dostaniesz od rządu. Nawet lepiej, że jesteś do dyspozycji.

— Wynikałoby z tego, że rząd mi ufa?

— Jak najbardziej. Oskarżenie o szpiegostwo uważamy za nonsens, całkowicie zdajemy się na twoje kontakty w Libanie i możliwości uzyskania cennych dla nas informacji.

— Sądzicie, że za porwaniem stoi OWP? To do nich niepodobne.

— Owszem, niepodobne i wcale tak nie myślimy. Naszym zdaniem istnieje jakieś powiązanie z OWP i im mocniej przyciśniemy OWP, tym większe mamy szanse, że OWP przyciśnie porywaczy.

— No dobrze, ale paszport dyplomatyczny nie wzbudzi tam żadnego szacunku, przybędzie im jedynie jeszcze jeden zakładnik.

— Nie chodzi o to, żebyś odszukał porywaczy, i nie muszę ci chyba mówić o twoim statusie i bezpieczeństwie. Zapewne już się tego wcześniej nasłuchałeś.

— Jestem wysłannikiem rządu i reprezentuję Szwecję, jeśli się wszystko powiedzie. Jeśli nie, jestem samowolnym wojskowym, za którego głupotę rząd nie ponosi odpowiedzialności?

— Mniej więcej. Masz jakieś uwagi?

— Nie. Jak powiedziałeś, znam tę śpiewkę. Chciałbym jednak zadać kilka pytań, choć nie wiem, czy powinienem.

— Może nie powinienem. Aha, nie wolno ci zabierać żadnej broni.

— To oficjalna instrukcja czy jedynie życzenie?

— Gdybym był twoim szefem, powiedziałbym, że to rozkaz.

Carl podniósł się bez słowa i podszedł do okna. Dobiegły go strzępy krótkiej rozmowy telefonicznej. Podsekretarz stanu zapewniał, że wkrótce skończy i za dwie godziny będzie na wyspie.

Na placu Gustawa Adolfa ruch był nikły. Większość siedziała już z rodzinami na wysepkach archipelagu, w Sörmlandii i Upplandii. Za późno na podróż do Skanii, pomyślał. Odwróciwszy się od okna, zarzucił Sormanowi całą serią pytań.

— Jeśli wyruszę dzisiaj, o której będę na miejscu?

— Wieczorem, jeżeli wylecisz za dwie godziny.

— Najpierw ambasada w Damaszku?

— Tak, któryś z pracowników wyjdzie po ciebie na lotnisko.

— Czy oni też pojedą do Libanu?

— Tak. Bejrut jest odpowiedniejszym miejscem negocjacji niż Damaszek.

— Czy kurier mógłby mi później przesłać sprzęt, a jeśli tak, to kiedy?

— Możemy posłać specjalnego kuriera jutro. O jakim sprzęcie myślisz?

— Lornetka, krótkofalówka, noktowizory czy jak to się tam zwie po szwedzku, w każdym razie żadnej broni.

— Zrób mi teraz listę. Kurier ci jutro wszystko dostarczy.

— Przydałoby się trochę dolarów.

— Ile i w jakim celu?

— Trudno powiedzieć. Minimum dwadzieścia tysięcy. Na łapówki. Dokładne rozliczenia później. Załatwisz mi bilety?

— Nie. Zapłacisz ze swoich pieniędzy. Zwrot po powrocie.

— To znaczy, jeśli wszystko się uda? A jeśli nie, byłem na prywatnej wycieczce?

— Bez komentarza.

— I ostatnie pytanie.

Peter Sorman przyzwalająco skinął dłonią. Carl zwlekał, wieloznaczny sposób mówienia podsekretarza nieco go peszył.

— Jeśli mi się poszczęści, skontaktuję się ze znajomymi z OWP. Jeśli rzeczywiście porywaczy coś łączy z OWP, uwolnimy zakładników bez żadnych dyplomatycznych gier z ludźmi z ambasady.

Carl przerwał. Uznał, że w miarę dobrze utrafił w styl rozmowy gospodarza. Spodziewał się usłyszeć mało istotną paplaninę. Tymczasem Sorman wstał i wzburzony wyrzucił z siebie



odpowieź, przydając jej dodatkowego znaczenia uderzeniami krawędzi dłoni w blat biurka. Ten właśnie gest zdumiał Carla bardziej niż wszystko inne. Nie podejrzewał podsekretarza stanu o taką porywczosć.

— Pod żadnym pozorem nie wolno ci podejmować ryzykownych przedsięwzięć. Jedziesz tam przede wszystkim w charakterze zwiadowcy i człowieka wspomagającego negocjacje, a nie kogoś w rodzaju Rambo. Czy wyrażam się jasno?

— Całkowicie — odparł Carl, patrząc w bok.

— Żeby nie było w tej kwestii żadnych nieporozumień — dodał Sorman z tą samą stanowczością.

— Oczywiście. Ale co mogę zaoferować OWP, jeśli nam pomogą?

— Sympatię — rzucił Sorman i opadł na krzesło, jakby sztorm już ucichł.

— Tylko sympatię? — z udawanym zdumieniem spytał Carl. — Czy to nie odrobinę za mało?

— W waszych kręgach mówi się, że... e... no, jak wy to tam...

— *I owe you one*. Trudno to przetłumaczyć. Dowcip polega na tym, że już mi wyświadczyli przysługę.

— Zaproponuj im zwiększoną reprezentację w sztokholmskim biurze OWP. Od dłuższego czasu starają się o wizę dla sekretarza.

— To wciąż za mało. Będę ich prosił o nie wiele.

— Nie ty odpowiadasz za szwedzką politykę zagraniczną.

— Jasne, że nie, ale im lepsze przedstawię warunki, tym większe będą możliwości współpracy. To kwestia czysto praktyczna.

— No to kłam.

— Nie chcę.

— Sądziłem, że to stały element twojej pracy.

— Czasami tak, czasami nie. W tym wypadku, nie.

— Sprawa osobista?

— Osobista i praktyczna. Jak mówiłem, pomogli mi już wcześniej w zamian za równie mgliste obietnice. Moja wiarygodność mocno by ucierpiała.

— Okej. Zaproponuj dwie rzeczy. Licniejszą reprezentację OWP i energiczne działania Szwecji w Radzie Nordyckiej na rzecz wprowadzenia ograniczeń w handlu z Izraelem.

— Mogę im to zagwarantować?

— Nie, możesz złożyć realne zobowiązanie.

— Co to znaczy?

— Jeśli chcesz zdążyć na samolot, powinieneś się pospieszyć.

— Pierwsze mogę im obiecać w stu procentach, a drugie w pięćdziesięciu?

— Mniej więcej. Zdaje mi się, że lecisz przez Berlin.

— Wschodni?

— Tak, ale Rosjanie nie będą cię nękać. Ta historia została pogrzebana. Dosłownie i w znaczeniu politycznym.

— Nie sądzę. Skoro próbują mnie zrobić w szpiegostwo.

— Skąd wiesz, że to oni?

— Chyba nie Anglicy.

— Kiedy wrócisz do kraju, cała ta sprawa przestanie istnieć. A teraz życzę udanego polowania.

Wypowiadając ostatnie słowa, Peter Sorman bez wyraźnych oznak irytacji wziął paszport Carla i przemierzywszy znaczone słonecznymi refleksami perski dywan, stanął przy drzwiach, które dość stanowczo otworzył.

Gdy uścisnęli sobie dłonie, Carl bez słowa włożył paszport do tylnej kieszeni.

— Może któregoś dnia umówimy się na trening karate — z uśmiechem rzekł Sorman.

Carl zdrewniał. Pomyślał, że podsekretarz stanu zwariował.

— Bardzo interesuję się sportem... czarny pas... prezes związku krajowego... — wybąkał Sorman gwoli wyjaśnienia, widząc osłupiałe spojrzenie swojego gościa.

Po raz pierwszy zabrakło mu pewności siebie.

— Myślę, że byłoby to wyjątkowo niestosowne. Przekażę listę wyposażenia strażnikowi na dole — skwitował Carl, uśmiechnął się i wyszedł.

Peter Sorman w zamyśleniu zbierał sterty dokumentów. Warto było spróbować. Jeden uwolniony zakładnik zrównoważy co najmniej dwie mniejsze afery. Od tej chwili postanowił się już niczym nie martwić i skupić się wyłącznie na wypoczynku. Nękało go tylko jedno. Co też ten młody oficer miał na myśli, mówiąc „wyjątkowo niestosowne”. Poczł się lekko urażony.

\* \* \*

DG siedział w skórzanym fotelu w zadymionym pokoju opodal Trafalgar Square. Choć w Londynie była dopiero czwarta po południu, dawała mu się we znaki ośmiogodzinna różnica czasu między Europą a Ameryką. Śmiertelnie zmęczony, z trudem zbierał myśli i ledwie się mógł powstrzymać od ziewania.

Sir Geoffrey stanowił całkowite przeciwieństwo Skipa Harriera. Najpierw stanowczo i niemal arogancko odrzucił wszelkie sceptyczne przypuszczenia, że Tristan przekazał im spreparowane informacje. Poświęcili wiele godzin na dokładne przejrzenie raportu i szwedzcy koledzy mogą w każdej chwili przysłać swoich przesłuchujących. W części dotyczącej Anglii nie doszukano się żadnych przekłamań.

Kiedy sir Geoffrey manifestacyjnie spojrział na zegarek, DG miał dwa wyjścia. Albo nadużyje swoich uprawnień, albo podziękuję i wyjdzie. W Londynie nie świętowano wprawdzie początku lata, ale był piątek i sir Geoffrey zdążył mimochodem zauważyć, że w Chelsea czekają go, jak się wyraził, społeczne obowiązki.

— No cóż, przyjacielu, czy mógłbym ci zaproponować kieliszek na pożegnanie? — spytał nieoczekiwanie sir Geoffrey.

DG aż podskoczył. Zupełnie jakby go wyrwano ze snu. Musi podjąć decyzję.

— Chętnie. Jeśli można, małą whisky z wodą — odpowiedział mechanicznie, zbierając myśli.

Sir Geoffrey przywołał kelnera, złożył zamówienie i spojrział przyjaźnie na DG, wspierając twarz na palcu wskazującym prawej dłoni, jakby go szczerze interesowały kłopoty szwedzkiego wywiadu.

— Znamy się już dość długo, Jeff, myślę więc, że mnie zrozumiesz, jeśli powiem, że muszę nieco nadużyć swoich uprawnień — zaczął DG zdecydowanie.

Zmęczenie powoli ustępowało za sprawą adrenaliny.

— Naturalnie, staruszk, wal, jak powiedzieliby nasi amerykańscy kuzyni. Wal!

— No więc, nie owijając w bawełnę — podjął DG, po czym przerwał, ponieważ kelner przyniósł mu na srebrnej tacy whisky i wodę — powinienem cię na początek spytać, czy słyszałeś o naszym młodym oficerze, któremu z niewiadomej mi przyczyny dano pseudonim Coq Rouge?

— Na miły Bóg, oczywiście! Najbardziej dyskretny oficer wywiadu w Europie Północnej, wasz rodzimy James Bond. Kto by nie słyszał o jego wyczynach! Wciąż go u siebie macie? Przepraszam, że o to pytam.

— Tak. I właśnie on jest jednym z tych...

— Na Jupitera! Teraz rozumiem wasz niepokój... a to ci dopiero. — Z twarzy sir Geoffreya zniknęły ślady uprzejmego zainteresowania. — Mów dalej, na Boga! Opowiedz mi jak najwięcej — rzekł gorączkowo i co prędzej zamówił sobie whisky.

— Ujmując rzecz w skrócie i jeśli pozwolisz dość ogólnikowo — zaczął DG, przeczekawszy kelnera — sprawy tak się mają, że Coq Rouge brał udział w dużej operacji

wymierzonej w opozycję, która należy do najpilniej strzeżonych w Szwecji tajemnic. Rok temu mieliśmy paskudne komplikacje polityczne i nie dość że groziła nam wojna domowa, to jeszcze przez jakiś czas wisiała nad nami inna wojna.

DG przerwał i popijając whisky, zastanawiał się, jakiego rodzaju wykroczenia służbowego właśnie się dopuszcza.

— Mów dalej, przyjacielu, sprawa nabiera całkiem nowych akcentów — przynaglał autentycznie zainteresowany Brytyjczyk.

DG wolno odstawił szklaneczkę.

— Chodzi o to — zaczął z wahaniem — że gdyby wspomniany Coq Rouge...

— Czy on się nie nazywa Hamilton? — wtrącił z jadowitym uśmiechem sir Geoffrey.

— Gdyby wspomniany Coq Rouge — powtórzył DG bez cienia irytacji — był radzieckim agentem, zawaliłby się cały nasz wywiad. Naprawienie szkód, wymiana personelu i sam nie wiem, co jeszcze, zajęłyby nam rok. Poza tym znaczyłyby to, że opozycja ma nad nami niezłą kontrolę i może nas wygrywać przeciwko politykom, kiedy tylko zechce. Krótko mówiąc, chaos. Straszliwe straty. Najdotkliwsza porażka od czasów bitwy pod Połtawą. Wiem, że interesujesz się historią.

— Połtawa, powiadasz?

— Yhm. Ni mniej, ni więcej.

— Bardzo mi przykro, staruszk.

— Dajże spokój, Jeff. I nie nazywaj mnie staruszk. My, Szwedzi, tego nie lubimy. Utwierdza nas to jedynie w przekonaniu, że jesteście bandą pedałów.

— Wobec tego, *sir*, postaram się staranniej dobierać słowa, staruszk.

— Znamy się od dwudziestu lat, prawda?

— Od dwudziestu jeden.

— Niech będzie dwadzieścia jeden. Chodzi nie tylko o to, że martwią mnie potworne konsekwencje rzekomej zdrady Coq Rouge. Każdy na moim miejscu by się martwił.

— Niezawodnie... staruszk.

— Mam dowody, że Coq Rouge jest czysty, i chciałbym tego Tristana w jakiś sposób złamać.

— Trochę to trudne. Dostał azyl, amnestię, nowe papiery, emeryturę, cały ten kram. Oficjalnie nie do ruszenia. Musiałyby istnieć wyjątkowe powody, żeby naślać na niego paru łobuzów, zwłaszcza że doświadcza objawów wdzięczności całego narodu. Jeśli nie masz naprawdę czegoś bardzo konkretnego, obawiam się, że nie pomoże tu nawet dwadzieścia jeden lat.

— Sugerujesz, że musisz znać sprawę?

— Mniej więcej.

— Bo w przeciwnym razie nie złamiecie Tristana?

— Trafiłeś w sedno.

— Po raz pierwszy nie dochowam tajemnicy służbowej.

— I nawet nie dostaniesz za to Krzyża Wiktorii. Ale jak zaznaczyłem, żadne akcje przeciwko Tristanowi nie wchodzi w grę, jeśli nas nie przekonasz.

— Co znaczy „nas”?

— Mnie.

— Ciebie ustnie i żadnych pisemnych raportów.

— Wiesz, że taka obietnica byłaby śmieszna. Ale naturalnie masz na to moje słowo honoru. Przejdziemy się?

Wyszli, nie płacąc, ponieważ od stu trzynastu lat, kiedy to zaszło ponoć coś bardzo przykrego, reguły klubu nie zezwalały na szeleszczenie wśród skórzanych foteli, zielonych lamp i mosiężnych okuć czymś tak wulgarnym jak banknoty. Rachunki dyskretnie przesyłano pocztą, nawet pod tajne adresy pracowników brytyjskiej służby wywiadowczej.

Lało. Pogoda jak zwykle zagrażała rozgrywkom tenisa na Wimbledonie.

DG, pomny wcześniejszych wizyt w Londynie, zaopatrzył się w parasol i teraz dwa parasole stanowiły doskonałą osłonę przed ludźmi i mikrofonami. Kiedy w promieniu pięciu metrów ktoś się pojawiał, milkli.

DG potrzebował około dziesięciu przecznic, by przekonać swojego starego przyjaciela.

Straty w ludziach poniesione przez Rosjan w wyniku operacji Big Red wahają się od pięćdziesięciu do trzystu osób. Nawet najostrożniejszy rachunek oznacza katastrofę. Trzy radzieckie instalacje podwodne na terytorium Szwecji zostały zniszczone, a nieco wcześniej Coq Rouge przywiózł do kraju niejakiego Giennadija Aleksandrowicza Koskowa, który według informacji prasy radzieckiej miał w tajemniczy sposób „zniknąć”.

Sporą część raportu Koskowa przekazano zresztą brytyjskim kolegom. Oto wyjaśnienie, skąd nagle Szwedzi mogli zaoferować tyle smakowitych kąsków w zamian za inne przysługi. Nie był to bynajmniej wynik nagłego przyływu niespotykanej operatywności, ale łup z jednej tylko akcji Coq Rouge.

Informacje Koskowa doprowadziły do bezpośredniego ataku na bazy, które zlikwidowano.

Politycznych konsekwencji operacji można się było jedynie domyślać. W każdym razie Rosjanom powinno zależeć na jej utajnieniu i takim namieszaniu w szwedzkim wywiadzie, żeby stracił wiarygodność i zaufanie polityków.

I jeśli teraz przyjrzeć się bliżej Tristanowi, nasuwa się pytanie. Co on takiego sprzedał?

Trzy płatki z własnej małej siatki agentów i dwóch kolegów z GRU, zatrudnionych w londyńskim Aeroflocie.

Naturalnie informacje są prawdziwe. Ci ludzie stanowili przynętę, o czym Anglicy mieli się już okazję przekonać w przeszłości. Cynk dotyczący układów brytyjskich trzeba więc uznać za kompletnie nieistotny w porównaniu ze skutkami, jakie mógłby przynieść raport Tristana Szwedom, gdyby był zgodny z prawdą.

W tym miejscu DG przerwał i czekał na reakcję. Sir Geoffrey wbrew samemu sobie wyraźnie zaczął się skłaniać ku jego argumentom.

— Wspominałeś coś o dowodach — wymruczał na koniec, kiedy przeszli w milczeniu spory kawałek.

— Jeszcze ci mało?

— Znakomita analiza, przekonująca, prosiłbym jednak o dowody. Dołóżysz jeszcze jedną słomkę i wielbłąd padnie.

— Dobrze. — DG westchnął. — Mam dowody czysto medyczne. Coq Rouge nie był sam, razem z nim nurkowało jeszcze dwóch.

— Na Jupitera! Macie więcej takich Jamesów Bondów? Przecież to pewna kariera w branży filmowej.

— Trudno mi czasem pojąć angielski humor. No więc nurkowali w paskudnych warunkach i przekroczyli normy bezpieczeństwa, w zasadzie wszyscy trzej ryzykowali życie. Są ich karty choroby. Rosjanie jakoś doszli, że Coq Rouge maczał w tym palce...

— Łatwo się domyślić, biorąc pod uwagę kwalifikacje młodego Hamiltona.

— Nie przerywaj mi, staruszk.

— Powiedziałaś „staruszk”.

— Bo mnie denerwujesz. No więc Rosjanie trafnie postawili na Coq Rouge, ale ponieważ nie wiedzieli o dwóch innych oficerach wywiadu biorących udział w operacji, nie mogli przewidzieć, że znajdą się i dowody medyczne, i świadkowie. Chcą, żebyśmy zwątpili w całą sprawę. A jeśli nie my, to przynajmniej politycy.

— Nigdy nie będziesz wiedział, o co im naprawdę chodzi. Jedno wydaje się jasne. Celem tej *maskirowki* nie byliśmy my, ale wy. Żeby to szlag trafił!

— Co?

— Już przez to przechodziliśmy. Kiedy ci... wiesz, kto, zwiali do Rosji, namnożyło się u nas rzekomych zbiegów i blisko piętnaście lat był niezły bałagan. Zawsze to samo. Część informacji prawdziwych, żeby połączyć przynętę, i część fałszywek, żebyśmy się zapodejrzewali na śmierć. Co też, ściśle rzecz biorąc, zrobiliśmy.

— Tak, słyszałem. Ale co ma trafić szlag?

— Nas. Że znów daliśmy się nabrać. Muszę już wracać. Wiesz, jak dojść do hotelu? Zostaniesz jeszcze kilka dni?

— Tak. Tyle, ile będzie trzeba. To co? Jutro rano w biurze?

— Niestety. Ale moje społeczne projekty najpewniej zniweczyłby deszcz. Naturalnie załatwimy sprawę tak, że opozycji raz na zawsze odechce się mieszać w nasze rodzime układy. Dobranoc, staruszku, śpij dobrze.

— Dobranoc, staruszku. I możesz być pewien, że zasnę natychmiast. Ośmiogodzinna różnica czasu, amerykańska, straszliwie niewygodna klasa turystyczna i obsługa jak w zoologu.

— Boże, lataś amerykańskimi liniami? I dlaczego nie pierwszą klasą?

— Stary przesąd. Jestem chyba dość staroświecki. Wydaje mi się, że w turystycznej mniej się czuje niż w pierwszej. Chociaż dzisiaj i tak wszystko jest skomputeryzowane. W każdym razie nigdy więcej nie skorzystam z amerykańskiego przewoźnika, obiecuję. Do zobaczenia jutro.

— Powiedzmy, o ósmej... nie, o dziesiątej. W zasadzie to bez znaczenia, bo i tak nie wypuścimy ptaszka, dopóki nie wyciśniemy z niego całej prawdy.

DG zawirowało przed oczyma, gdy patrzył, jak ów karykaturalnie nieskazitelny dżentelmen znika w deszczu.

Nigdy bodaj nie był bardziej wykończony. Miał wrażenie, że nigdy dotąd aż tak nie ryzykował. Przekazał ściśle tajne informacje, zachował się jak szpieg, a wszystko po to, żeby uratować własną skórę.

Ale DG był człowiekiem praktycznym i jak zwykle rozróżniał prawa Boga i prawa człowieka.

Dziesięć minut później, nawet nie pościeliwszy łóżka, spał głęboko, na wpół rozebrany.

## 5

Był poniedziałkowy ranek. Minione święta mogłyby być najpiękniejszymi, jakie przeżył Samuel Ulfsson. Przez trzy dni panowała cudowna pogoda, dwadzieścia pięć stopni ciepła, i zjechała się cała rodzina, dzieci i wnuki, krokiet na trawniku, karafki schłodzonych czerwonych i żółtych soków, własne drzewko świętojańskie, szczypiorek i matiasy z duńską musztardą, pobzykujące wokół hamaka trzmielce.

A jednak od początku do końca było upiornie. Za swój zły humor winił piekielnie trudne odzwyczajanie się od papierosowego nałogu.

Pierwszy list, jaki otwierał tego ranka, przyniesiony przez gońca z małpiarni na Kungsholmen, zapowiadał katastrofę. Nabrał tej pewności, gdy tylko wziął go do ręki. Przesyłka była wyjątkowo lekka, a lekkie przesyłki, z którymi przychodzi specjalny goniec, niczego innego nie wróżą.

I miał rację.

Stig Larsson, który przeszło trzydzieści lat przepracował w służbie bezpieczeństwa, a od dziesięciu pełnił funkcję szefa tak zwanego biura rosyjskiego, podczas świąt bez przerwy składał zeznania. Jednocześnie przetrząsano jego mieszkanie. W nocy z soboty na niedzielę przeszukanie przyniosło rezultaty. Za szafką w łazience znaleziono schowek zawierający przedmioty zidentyfikowane jako jednorazowe klucze do szyfrów.

Dwie godziny później Stig Larsson przyznał się. Od dziesięciu lat przekazywał informacje radzieckiemu wywiadowi wojskowemu. Dotyczyły one przede wszystkim jego obszaru

zainteresowań, to znaczy tropienia zagrażającej bezpieczeństwu Królestwa Szwecji działalności radzieckich służb.

Na razie odmawiał odpowiedzi na pytanie, jak i gdzie używał kluczy, motywując to tym, że nie chciałby narażać na przykrości niewinnych ludzi.

Do emerytury zostały mu dwa tygodnie. Rosjanie dali mu przydomek Paw.

Obecnie trwały rozmowy, czy w zamian za immunitet, czyli pozostawienie go w spokoju, nie zgodziłby się na współpracę.

Samuel Ulfsson był lekko zdziwiony. Metodę tę stosowano czasem za granicą. Ujawniony zdrajca unikał odpowiedzialności karnej, jeśli przystawał na współpracę. Rządy brytyjski i niemiecki kilka razy podejmowały takie decyzje. Ale czy pójdzie na to rząd szwedzki?

Co by się stało, gdyby ta historia wyszła na jaw? A wyjdzie wcześniej czy później, wystarczy, że się rozniesie po małpiarni. I jak rząd się z tego wytłumaczy, w dodatku w roku wyborów? Prawica natychmiast roztrąbi, gdzie się da, o ustępstwach na rzecz Wielkiego Brata.

Niech się tym martwią politycy.

Gorzej, że raport Tristana okazał się prawdziwy nawet w tych punktach, które dotyczyły Szwecji.

DG zadzwonił z Heathrow z wiadomością, że jak tylko wróci, dość szybko uporają się z problemem. Był w znakomitym humorze, co biorąc pod uwagę rozwój sytuacji, wydawało się nie do pojęcia.

Raport ich wydziału bezpieczeństwa z przesłuchania Carla oraz dołączona analiza wbrew entuzjastycznej interpretacji Lennarta Borgströma kompletnie nic nie przyniosły. Borgström zgodnie z przewidywaniami doszedł do wniosku, że Carl Hamilton był radzieckim agentem już w młodości, z rozmysłem zaangażował się w tajnej komórce obrony jako infiltrator, przed piętnastu laty działał w organizacjach lewicowych, ten wzór dobrze jest znany i tak dalej.

Tymczasem według raportu Tristana rekrutacja miała nastąpić w Kalifornii, czyli długo po zwerbowaniu go przez DG.

Na dokładkę Borgström nie miał pojęcia o operacji Big Red, co w wypadku Carla przesądzało sprawę.

Na razie trzeba się było zastanowić, jak postąpić z niczego jeszcze nie podejrzewającym szefem OP4, pułkownikiem Lennartem Rindströmem alias Rybołowem. Postanowili zacząć od Hamiltona, a Rindströmem zająć się później. Ponieważ z Carlem do niczego nie doszli, muszą ustalić, czy powinni dłużej odkładać rozmowę z Rindströmem.

Samuel Ulfsson nabierał coraz większej pewności, że czeka go tego lata wyjątkowo uciążliwa praca. Nie odważył się jeszcze napomknąć o tym żonie, która zaplanowała wspólny urlop w Brindisi i wycieczkę do Wenecji.

Najprościej i zgodnie z wszelkimi formalnościami byłoby pozostawić decyzję ÖB. Zaraz po wysłuchaniu relacji DG.

Uporządkował protokoły z przeszukania w mieszkaniu Carla, wpiął je do teczki wraz z trzystustronicowym raportem z przesłuchań i analizą i gdy miał poprosić sekretarkę o zabranie dokumentów, sama zapukała do drzwi. Do urlopu został jej tylko tydzień, co zresztą dało się wyczuć.

— Jesteś bardzo zajęty? — zapytała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Zależy, o co chodzi. Weźmiesz ode mnie tę teczkę? No, o co chodzi?

— Przy wartowni sterczy jakiś narwaniec i upiera się, że musi koniecznie rozmawiać z szefem IB. Tak się chyba nazywała kiedyś komórka do zadań specjalnych, prawda?

— Tak, i są tacy, którzy wciąż ją tak nazywają. Ale czego on chce?

— Twierdzi, że chodzi o Związek Radziecki.

— O Związek Radziecki?

— Yhm.

— A konkretniej?

— Powie tylko szefowi IB. Myślę, że mógłbyś go przyjąć.

— Zejdź i jeśli się wylegitymuje, wpuść go. I poproś Larssona albo któregoś z chłopców, żeby posiedział u ciebie, dopóki z nim nie skończę.

— Będziemy nagrywać rozmowę?

— Nie. Zorientujemy się najpierw, o co chodzi.

Dziesięć minut później przed biurkiem szefa szwedzkiej służby wywiadowczej stanął dyrektor BPA [BPA — Bygghägens Produktionsaktiebolag — Spółka Akcyjna Związku Pracowników Budowlanych (przyp. tłum.)], Gunwald Larsson. Gdyby Samuel Ulfsson był przynajmniej jako tako obeznany z literaturą kryminalną, imię i nazwisko gościa przypuszczalnie dałoby mu do myślenia. I przypuszczalnie rozmowa potoczyłaby się ciut inaczej.

— Naprawdę tak się nazywam — zapewnił krzepki mężczyzna, którego wygląd sugerował, że większą część życia strawił na ciężkiej pracy fizycznej.

— Tak...?

— To nie żart — dodał osiłek gwoli wyjaśnienia.

Samuel Ulfsson lekko zbaraniał.

— A czemu to miałyby być żart?

— No, myślę o Sjöwall i Wahlöö.

— Z kim pan właściwie chciał się spotkać?

— Chodzi mi o autorów kryminałów — podjął wyraźnie zakłopotany mężczyzna.

— Autorów kryminałów?

— Tak, tych od Gunwalda Larssona.

— Ma pan z nimi coś wspólnego?

— No właśnie nie mam. Naprawdę nazywam się Gunwald Larsson — z rosnącą irytacją odparł Gunwald Larsson.

— Wierzę. Ale co to ma... jak się nazywają ci pisarze?

— Maj Sjöwall i Per Wahlöö. Z tym, że Per Wahlöö nie żyje.

— Nie żyje?

— Tak.

— Ale chyba nie o tym zamierza mi pan opowiedzieć?

— Naturalnie, że nie. Myślałem, że każdy o tym wie.

— Przykro mi, ja nie.

— Aha, to wyjaśnia sprawę.

— Jaką sprawę?

— Że pan nie zareagował na moje imię i nazwisko. Nazywam się tak, jak jedna z postaci ich kryminałów, jak inspektor policji.

— Jak już powiedziałem, nie mam powodów, żeby panu nie wierzyć. Chyba się pan wylegitymował przed wejściem?

— Oczywiście.

— No, dobrze, o co chodzi?

— Chciałbym się spotkać z szefem IB.

— Dlaczego?

— Tylko jemu to powiem.

— Właśnie wraca z Londynu. Może ja mógłbym w czymś pomóc, skoro pan już tu przyszedł.

— A kim pan jest?

— Szefem wydziału. IB, które teraz nazywa się inaczej, podlega temu wydziałowi.

— I pan tym wszystkim zawiaduje?

— Można by tak powiedzieć. Ale czy nie zechciałby pan przejść do rzeczy? Z czym pan tutaj przyszedł? Zdaje się, że chodzi o Związek Radziecki?

Cierpliwość Samuela Ulfssona została wystawiona na ciężką próbę. Spodziewał się rewelacji w rodzaju tych, jakie od czasu do czasu przekazywali im telefonicznie mniej lub bardziej pijani obywatele, donosząc o genialnych sposobach ostatecznego rozprawienia się z minilodziami podwodnymi. Osilek, który przed nim siedział, nie wydawał się szczególnie błyskotliwy.

— No więc... — zaczął niepewnie i z zażenowaniem — nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie... Jestem socjałem, zawsze byłem, kiedyś, w związku budowlanym, łączyło mnie to i owo z IB... komuniści i tak dalej. Nigdy nie przepadałiśmy za Säpo, więc pomyślałem...

Mężczyzna stracił wątek. Samuel Ulfsson uznał, że być może wynika to z jego wyraźnie wrogiego nastawienia, i postanowił zdobyć się na odrobinę uprzejmości, żeby ta ich rozmowa kiedyś się wreszcie skończyła.

— No cóż — powiedział — już się tymi sprawami nie zajmujemy, nie jestem właściwą osobą do wysłuchiwania pańskich kłopotów z komunistami w związku. Więc?

— E... hm... wracam właśnie z Moskwy. Byłem tam z naszą delegacją, żeby ustalić plan robót na północnych przedmieściach. I... jak mówiłem, nie wiem, czy to was zainteresuje, ale... no, do Säpo z tym nie pójdę, bo im po prostu nie wierzę. A pan?

— Wolałbym tego nie komentować. Pojechał pan zatem z delegacją BPA?

— Tak, na cztery dni.

— I co się stało? Przydarzyło się panu coś przykrego?

— Nie wiem, od czego zacząć. Ale przykre to nie było.

— Może by pan to wreszcie z siebie wydusił? — Samuel Ulfsson nie ukrywał już irytacji, czym jedynie onieśmielił rozmówcę. — Proszę o wszystkim opowiedzieć — dodał łagodniejszym tonem. — Nie będę panu przerywał. No, co się stało?

Mężczyzna wiercił się na krześle.

— No więc to było tak, że... ale nie wiem, czy to was zainteresuje... — Samuel Ulfsson zacisnął zęby. — Przedwczoraj byliśmy w dzielnicy Babuszkin i Miedwiedkowo, żeby zaplanować część budów, na które ewentualnie podpiszemy umowę w przyszłym tygodniu. A potem czekaliśmy na samochód przy stacji w Miedwiedkowie. Dużo prościej byłoby wsiąść do metra. Mają w Moskwie świetne metro. Ale my czekaliśmy. Padał deszcz i pomyślałem sobie, że to wyjątkowo paskudny sposób spędzania świąt. Kiedy po drugiej stronie ulicy zatrzymała się wołga z zasłonkami na tylnej szybie, miałem nadzieję, że przyjechała po nas. Ale nie. Facet, który się z niej wytoczył i ruszył ku nam, potknął się i zaklął. Zaklął po szwedzku. Za kierownicą siedziała młoda dziewczyna, też niezbyt trzeźwa. No i podszedł do nas, a potem się odwrócił, bo jak się okazało, pomylił domy. Poznałem go. Z całą pewnością. Jak powiedziałem, nie wiem, czy to ma dla was jakieś znaczenie, może już wiecie, ale nie chciałem z tym iść do Säpo.

Przerwał i zaczął szukać czegoś w portfelu. Samuelowi Ulfssonowi natychmiast przeszła złość.

— No, kogo pan poznał? — spytał miękko, głosem ściszonej niemal do szeptu.

— Stiga Sandströma. Tego szpiega. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości — odparł mężczyzna, wyluskując dwie fotografie.

— Nieźle, całkiem nieźle.

— Kiedy dziewczyna wyszła, zrobiłem zdjęcie.

— Dziewczyna wyszła?

— Bo to nie ona tam mieszka, tylko on. Wsiadła do samochodu i odjechała. I zrobiłem jej zdjęcie.

— Nic nie zauważyła?



— Nie sędę, pstryknąłem z biodra. Trochę jest zamazane. A potem pstryknąłem jeszcze raz. Po zapalonym świetle domyśliłem się, gdzie mieszka Sandström, zobaczyłem zresztą jego cień w oknie i... Zaznaczyłem mieszkanie krzyżykiem.

Osilek z wahaniem wręczył zdjęcia Ulfssonowi. Kolorowe fotki wykonane zwykłym turystycznym sprzętem. Pierwsza przedstawiała mniej więcej trzydziestoletnią kobietę, na wpół przesłoniętą czarną wołgą, druga cały budynek. Przy narożnym oknie na ostatnim piętrze widniał krzyżyk.

\* \* \*

Mouna była gdzieś na dachu i montowała antenę pośród rozwieszanej bielizny. Carl uporał się z zasłonkami. Lornetka mogła teraz niepostrzeżenie lustrować okolicę. Wszystko poszło wyjątkowo sprawnie, gdy tylko uwolnił się od dyplomatów w Damaszku.

Zajadał małe ogórki i krem z ciecierzycy zwany *houmousem*, zakąszając małymi okrągłymi chlebkami maczanymi w oliwie. Jego pierwszy posiłek co najmniej od doby.

Odczuwał miły wewnętrzny spokój. Usiłował się nad tym nie zastanawiać ani niczemu nie dziwić. Przypuszczalnie rozluźnił się tylko dlatego, że nareszcie robi, co do niego należy, a od podpułkownika Lennarta Borgströma z wydziału bezpieczeństwa przy sztokholmskim Sztabie Obrony dzielą go tysiące kilometrów.

Pokój opróżniono prawie do czysta. W kącie na kamiennej posadzce piętrzyły się materace. Przy oknie stał stół z dwoma krzesłami. Na dłuższej ścianie wisiał kilim przedstawiający galopującego na pustyni Araba lub Persa, w poświęcie księżycy o przesadnie wydłużonym sierpie. Krótszą ścianę zdobiły dwa kolorowe portrety w złotych ramach. Na jednym widniał Yasser Arafat, a na drugim, z czarną szarfą, zapewne Abu Jihad, zamordowany przed kilku laty przez Izraelczyków w Tunisie. Nie licząc kranu na przeciwległej ścianie, w pomieszczeniu nie było nic więcej.

Przedtem mieszkała tutaj dziesięcioosobowa rodzina. Nie wiedział jednak, jak i dokąd została przeniesiona. Ani trochę mu to nie przeszkadzało, ponieważ otrzymali sowitą rekompensatę w postaci nowiutkich banknotów dolarowych. Bez pokwitowania, pomyślał z uśmiechem.

Wszystko udało się nadspodziewanie. Raszid Hussein był uchwytany pod swoim starym numerem telefonu i kiedy Carl zadzwonił do niego z Berlina, pamiętał, że hasło „szesnaście” znaczy przyjazd do Bejrutu. Trzydzieści sześć godzin później ulokował się w tym samym hotelu co niegdyś, a po dwudziestu minutach pieczołowicie się nim zaopiekowano.

OWP, a dokładniej wywiad OWP, czyli Jihaz ar Rased, wiedział, gdzie są przetrzymywani szwedzcy lekarze. I teraz — w niecałą dobę od spotkania z Raszidem Husseinem, który używał imienia Michael być może ze względu na libańską matkę chrześcijankę, a może dla ukrycia swojej palestyńskości — od celu dzieliło go niespełna siedemdziesiąt metrów.

Nalegał, by przydzielono mu do pomocy Mounę. Nie dlatego, że ją znał, i nie dlatego, że mimo oparzeliny na jednym policzku była bardzo piękna, ale dlatego, że uważał ją za wielkiej klasy profesjonalistkę. W Jihaz ar Rased miała stopień odpowiadający mniej więcej podpułkownikowi. Niewielu oficerom operacyjnym OWP udawało się go osiągnąć przed trzydziestką, a co dopiero kobiecie. Przełożeni cenili jej umiejętności równie wysoko jak on.

— Gotowe — oznajmiła, wchodząc do pokoju. — Od czasu do czasu musimy jednak zmieniać suszącą się bieliznę.

Sprawdziwszy, jak Carl sobie poradził z ukryciem lornetki, usiadła, w zamyśleniu ułamała kawałek chleba i przełknęła odrobinę *houmousa*.

Carl skinął głową, włączył nadajnik, wystukał na klawiaturze sygnał wywoławczy, poprawił błąd ortograficzny i wcisnął guzik nadawania.

— Nie szyfrujesz? — zdziwiła się.

— Choć nie przypuszczam, żeby szwedzki był szczególnie popularny w tych okolicach, komputer sam szyfruje informację, którą potem dekoduje — odpowiedział Carl, zerkając w lornetkę.

— Skąd odbiorca wie, jakiego kodu używasz?

W jej głosie nie było śladu ciekawości. Raczej zgłaszała pewne obiekcje.

— Odbiorca otrzymuje na monitorze normalny tekst. Jeśli nie śpią, powinniśmy mieć odpowiedź w ciągu trzydziestu sekund — odparł, nie odrywając wzroku od lornetki.

— Szwedzka produkcja?

— Chyba tak. RA195, dość popularna w naszych jednostkach specjalnych.

— Zasięg?

— W znośnych warunkach połowa kuli ziemskiej.

— Między nami i Tunisem?

— Czyli między tobą i Arafatem? Bez problemu.

— Możesz nam to zostawić?

— Tajny sprzęt szwedzkiej armii oddać komunistycznym terrorystom?

— Nie wygłupiaj się.

— Dobrze. Jeśli wydobędę odbiornik z ambasady szwedzkiej w Damaszku.

— Załatwione.

— Zobaczymy, jak nam pójdzie.

— Widzisz coś?

— Kilka osób na parterze. Okna na górze są zasłonięte.

— Tam ich trzymają.

— Wiemy to?

— Tak.

Nadajnik zapiszczał i na monitorze ukazał się krótki tekst. Pierwszy sekretarz ambasady szwedzkiej w Damaszku Ingemar Stjernstedt informował, że odebrał wiadomość i czeka na następne.

Carl wystukał: „Pozycja: obrzeża Ein el Hilweh pod Saidą. Punkt obserwacyjny założony. Odległość od zakładników i porywaczy 70 metrów. Zakładników nie widać. Czekamy, żeby się upewnić. Wiadomości co dwie godziny. Koniec”.

Wcisnął guzik nadawania, w eter popłynęła seria pisków, za kilka sekund w Damaszku powinni odebrać zdekodowaną treść.

— Co przesłałeś?

— Że jestem na stanowisku, cel w zasięgu wzroku i czekam na potwierdzenie, że obserwujemy właściwy obiekt.

— Uwierzą?

— Nie wiem, może to zbyt piękne, żeby było prawdziwe, przekonamy się.

— Wiedzą, z kim współpracujesz?

— Tylko tyle, że z OWP.

Na monitorze pojawiła się wiadomość: „Nie podejmować żadnych kroków. Zameldować w razie uzyskania niezbitych dowodów. Koniec”.

— O co im chodzi?

— Żeby siedział cicho i zgłosił się, jeśli zobaczę coś ciekawego.

— Całkiem sensownie. Negocjują w Bejrucie.

— Jak im idzie?

— Nie wiem.

— Wprowadź mnie w sytuację.

Znów pochylił się ku lornetce i przygotował się do robienia notatek. Dotąd interesowały ich wyłącznie kwestie praktyczne. O samej sprawie wiedział tylko tyle, że zakładnicy i

porywacze są w domu naprzeciwko, położonym nieco wyżej od innych i dlatego dość trudnym do zdobycia.

Mouna, nie pomijając pewnych szczegółów niezbyt pochlebnych dla OWP, rzeczowo i uczciwie przedstawiła sytuację.

Operacja była dziełem dwóch osób, Taheera i Abdela Kadera al Latifa. Mieszkańcy domu naprzeciwko to ich krewni albo przyjaciele. Dwa miesiące temu wydało się, że Taheer i Abdel Kader maczali palce w jakichś knowaniach przeciwko członkom organizacji wojskowej podlegającym bezpośrednio Yasserowi Arafatowi. Wezwano ich do Tunisu, by dobrowolnie stawili się przed sądem w kwaterze głównej OWP.

Oni jednak postanowili zdobyć odpowiednią kartę przetargową, co w Libanie dość typowe, czyli pod przykrywką takich czy innych motywów politycznych zabawić się w porywaczy.

Teraz grozi im kara śmierci. Dobrze o tym wiedzą i właśnie to stanowi przeszkodę w pertraktacjach. Oczywiście chcą pieniędzy i rodzaju gwarancji, że wszystko ujdzie im na sucho.

Niezależnie od tego, czy takie gwarancje otrzymają, kara ich nie ominie.

Sprawę komplikował dodatkowo fakt, że negocjatorem OWP w Bejrucie jest krewniak Taheera al Latifa, Salah Salah, który usiłował rozpuszczać pogłoski, że za operacją stoi szyicka Hezbollah, obecnie najpracowitsza, jeśli chodzi o liczbę porwań, organizacja libańska.

Ludzie z Hezbollah oczywiście się wściekli, ponieważ o niczym nie mieli pojęcia, i zagrozili, że dokładnie wszystko zbadają i poinformują o wynikach Szwedów lub któregoś z korespondentów zachodnich w Bejrucie. Arafat, zupełnie słusznie, wydał Salahowi jednoznaczne dyrektywy, by zapewnił Szwedów o całkowitym kontrolowaniu sytuacji przez OWP. Odrzucił żądanie Jihaz ar Rased, który miał ochotę wziąć porywaczy szturmem, i obiecał szwedzkiemu rządowi, że żadnemu z zakładników nie spadnie włos z głowy.

Tak więc zależnie od politycznych sympatii bądź antypatii można stwierdzić, że OWP jest lub nie jest winna porwania. Jego sprawcy do niedawna rzeczywiście byli członkami OWP.

Nim skończyła, zapadły ciemności.

Carl przeglądał małe ciężkie torby, szukając odpowiedniego sprzętu, i zastanawiał się, czy nie powinien podjąć tematu, który wcześniej czy później poruszą, zwłaszcza że przez kilka dni będą skazani wyłącznie na siebie.

Niczemu się tym razem nie dziwiła. Musiała już widzieć noktowizory i wzmacniacze. Podał jej parę gogli.

— Załóż, regulacja ostrości jest pośrodku, tak jak w lornetce — oznajmił, mocując nad lornetką odpowiedni wzmacniacz.

— A syryjscy celnicy? Przyjechałeś chyba taksówką? — spytała, przymierzając gogle.

— Paszport dyplomatyczny, żadnej kontroli. A taksówka jest lepsza od publicznych środków transportu. Po co mnożyć szwedzkich zakładników.

— Zmyślny sprzęt. Nie bylibyśmy zmartwieni, gdybyś miał kłopoty z jego wywiezieniem. Ze względu na bezpieczeństwo albo z innych powodów. Człowiek, którego widzisz na dole, to sam Taheer.

— Ten z łysiną?

— Yhm. A z tyłu jeden z jego kuzynów. No, co ty na to?

— Chcesz ubić interes?

— Zawsze to robimy.

— Potrzebuję trochę dodatkowego sprzętu, możemy się wymienić. Będą chyba jeść, prawda? Jedzą o stałych porach?

— Trudno powiedzieć, ale zapadnięcie ciemności wydaje się odpowiednim momentem. Wtedy wystawiają strażę na zewnątrz. W ciągu dnia byłoby to zbyt niebezpieczne.

— A zatem jedzą późno i wtedy wszyscy z wyjątkiem jednego, który pilnuje domu, zbierają się na dole?

— Tak, w najlepszym wypadku. O, jeden właśnie wychodzi, widzisz, co ma w ręku?

— Sądząc po lufie, AK47. Przypuszczalnie ze składaną kolbą.

Wpatrywali się przez chwilę w ciemność. Mężczyzna wolno otworzył drzwi, powiedział coś do kolegów i wyszedł. Szczelniej otulił się kurtką, pod którą ukrył broń, i wolno ruszył wokół domu.

Oboje odruchowo odnotowali czas.

— No to co, kontynuujemy dobijanie targu? — spytała Mouna, gdy strażnik zniknął za węglem, a inni zasiedli do jedzenia.

— Hm... Jeśli załatwicie mi trzy rzeczy, zostawię cały ten kram i zdobędę drugi nadajnik z Damaszku.

— Jakie rzeczy?

— Dwie są proste do zdobycia, jedna nie. Potrzebny mi nóż o długim ostrzu przypominający bagnet, typowy nóż komandoski, najlepiej z obustronnym ostrzem i...

— To są te dwie proste?

— Tak, a teraz trudniejsza. Broń automatyczna z noktowizorem i z tłumikiem. Możecie to zorganizować?

— Czy zależy ci na jakimś konkretnym typie lub marce? — spytała po chwili z nie skrywaną ironią.

— Owszem. Gdybym mógł wybierać, chciałbym egzemplarz Heckler & Koch MP5, wyciszony, przystosowany do strzelania w ciemności. Jak wyglądają wasze magazyny?

— Niemcy nie palą się do robienia z nami interesów. Co jest najważniejsze?

— Broń musi być cicha, nie jestem wybredny, jeśli chodzi o producenta.

— Za żadną cenę nie wolno nam narażać życia zakładników.

— Co za „nam”?

— Na przykład mnie i tobie.

— Ja reprezentuję Królestwo Szwecji, a ty republikę Palestyny, prawda?

— Nie, oboje odpowiadamy za akcję militarną.

— Wszystko zależy od przebiegu negocjacji. Powinniśmy się chyba przygotować na różne ewentualności, nie sądzisz? Jeśli coś nie wypali, wezmę winę na siebie. Lepiej żeby Szwecja ponosiła odpowiedzialność, a nie wy.

— I tak spadnie to na nas.

— Jeśli przeżyję, nie. Jeśli umrę, też nie. Jeśli się nam poszczęści, przypiszę wszystko wam, będziecie mieć dobrą reklamę i obie strony będą zadowolone.

— Pracujesz teraz w wywiadzie wojskowym?

— Tak. Dzięki Bogu, bezpieczeńkę mam już za sobą.

— Dlaczego dzięki Bogu?

— Bo nic mnie już z nimi nie łączy.

— Wydział operacyjny?

— Yhm.

— Stopień?

— Kapitan marynarki, czyli odpowiednik majora.

— Wychodzi zza rogu, widzisz? Ile czasu to trwało? Wynika z tego, że jestem twoim przełożonym.

— Nie było go przeszło trzy minuty, dokładnie trzy minuty i siedem sekund. Owszem, masz wyższy stopień, ale podlegamy różnym jednostkom.

— Możesz podejmować samodzielne decyzje?

— W rozsądnych granicach. Wolno mi na przykład negocjować w sprawach politycznych, o czym wspomniałem już Raszidowi w Bejrucie. Wraca chyba na stanowisko przy drzwiach.

— Tak. I mówi swoim, że wszystko w porządku. Kiedy zjedzą, prawdopodobnie go zmienią. Co powiedziałeś Raszidowi? Czego dotyczą te polityczne interesy?

— Pomagacie nam. Uwolnimy zakładników. Będziecie mieli nowego przedstawiciela OWP w Sztokholmie. Były o to drobne zatargi. I dostaniecie luźne obietnice o większym poparciu Szwecji.

— Możemy wierzyć tym obietnicom?

— Pierwszej raczej tak, drugiej chyba nie.

— Co sądzi o tym Raszid?

— A co ma sądzić? Nasi dyplomaci już zrozumieli, że maczaliście w tym palce. Musicie nam pomóc, a my, to znaczy nasi politycy, wcale nie muszą zbyt wiele proponować w zamian.

— Czy możemy liczyć na waszą pomoc? Myślę o pomocy wojskowych.

— To zależy, kogo i o co poprosicie. Jeśli mnie i o coś w miarę zgodnego z prawem, oczywiście, że pomogę.

— Zmieniają się. Złapałeś czas?

— Tak. Jak mi się zdaje, kuzyni nie będą trzymać warty?

— Nie. Są szefami. To zadanie pozostałej czwórki. Będą na zmianę pilnować zakładników i domu. Masz jakiś wpływ w swojej organizacji?

— Miałem do niedawna, ale teraz nie wygląda to najlepiej. Zobaczmy, jak sobie z tym damy radę.

— Postaram się o broń, jeśli mi coś obiecasz.

— Obiecuję, kiedy obejrzę broń.

— Dlaczego?

— Tłumik i noktowizor są równoznaczne z eliminacją dwóch osób, zanim się połąpią, o co chodzi.

— Strażnika i tego, który wyjdzie zobaczyć, co się dzieje?

— Na przykład. Bez noktowizora i tłumika obietnice będą inne.

— Poczekam z zamówieniem do jutra rana. I tak musimy to ściągnąć z Bejrutu.

— Zajmie dużo czasu?

— Tak.

— Ile?

— Dwadzieścia cztery godziny.

— Okej. Albo negocjacje pójdą dobrze, albo się przeciągną. Czy istnieje jakieś ryzyko, że przeniosą zakładników?

— Nie przypuszczam.

— Czemu?

— Bo nie chcą zginąć. Jeśli podejrzewają, że znamy ich kryjówkę, nie będą się narażać bez potrzeby. Jeśli myślą, że nie wiemy, gdzie są, będą woleli siedzieć cicho, żebyśmy ich nie znaleźli.

— Jesteś dobra, Mouna. W torturowaniu przyjaciół też.

W pokoju zaległa cisza. Nareszcie podjął ten temat.

Ostrożnie przysunęła się do niego z krzesłem, po czym rozpięła mu koszulę i wymacała palcami pięć długich blizn. Bez słowa ją zapięła i długo musiał czekać, aż się odezwie.

— Czytałam, jak się to skończyło. Udało się.

Mówiła niemal szeptem.

— Tak — odszepnął odruchowo — terroryści kupili tę historię, bo wróciłem pokiereszowany. Dużo od tego zależało. Miałas rację i dobrze zrobiłaś.

— Dostaliście wszystkich?

— Trzynaścioro. Dwie osoby się wymknęły. Wolałbym jednak o tym nie mówić. Nigdy mi się ta operacja nie podobała.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jak pierwszy lepszy cholernie naiwny Szwed myślałem, że chodzi o zwabienie jak największej liczby niemieckich, francuskich i belgijskich terrorystów w jedno miejsce, żeby ich zatrzymać i postawić przed sądem.

— Tak, to rzeczywiście dość naiwne.

— A my wszystkich wymordowaliśmy. Czy to ty zawiadomiłaś szwedzką ambasadę w Damaszku, że jestem u Syryjczyków?

— Naturalnie. Inaczej mógłbyś zniknąć albo zaczęliby cię torturować nie na żarty, żeby wyciągnąć informacje. Kiedy włączyła się ambasada, było to niemożliwe.

— Sprytnie.

— Nie bardzo. Raczej rozsądnie.

Cicho się od niego odsunęła i powrócili do obserwacji. W ciągu najbliższej godziny wymieniali jedynie krótkie uwagi.

Było w Mounie coś, czego nie potrafił zrozumieć. Nigdy nie popełniła żadnego operacyjnego błędu. Działała całkowicie racjonalnie, a przynajmniej tak można było sądzić po fakcie. Ale po fakcie i w teorii to jedno, a w rzeczywistości to drugie.

Kiedy Jihaz ar Rased dowiedział się, że zachodni Niemcy terroryści starają się w Damaszku o straszliwą broń do akcji znacznie groźniejszej niż wszystkie dotychczasowe, przeprowadziła operacją na terytorium wroga w taki sposób, że długo by szukać podobnych w brytyjskiej literaturze z okresu drugiej wojny światowej.

Dopadli terrorystów — i Carla — w centrum Damaszku i skradzioną syryjską ciężarówką wojskową przejechali przez trzy albo cztery syryjskie blokady. Taki wyczyn wymagał starannego przygotowania i odpowiedniego zabezpieczenia odwrotu.

I kiedy się okazało, że wśród terrorystów jest Carl, oficer w miarę przyjaznego kraju i żaden terrorysta, poradziła sobie z tym równie gładko, jakby chodziło o coś najbanalniejszego pod słońcem.

Kilka lat szkolila się zapewne w Korei Północnej, a tamtejszych służb wywiadowczych Carl nie znał. Nie ulegało jednak wątpliwości, że znakomicie opanowała podstawy teoretyczne i nie bez kozery jest podpułkownikiem.

Jedno tylko wspominał z przykrością. Choć logiczne i słuszne, napawało go odrazą. Kazała mu zabić dwoje Niemców, żeby udowodnił innym Palestyńczykom z jej oddziału, że nic go nie łączy z terroryzmem. Wręczając mu bagnet, wydała polecenie takim tonem, jakby go prosiła o przyniesienie herbaty.

— Dlaczego chciałaś, żebym zabił tych ludzi?

Ciemności i długie milczenie sprawiły, że jego pytanie nabrało innego znaczenia, niż gdyby je zadał w trakcie rozmowy i w dzień.

— Żeby przekonać ludzi z oddziału — odparła bez chwili wahania. — Nikt nie powinien wątpić w swojego dowódcę. Musieli zginąć, a ty jesteś oficerem.

— Logiczne i proste?

— Owszem. Masz jakieś zastrzeżenia?

— Nie, ale nie podobało mi się to.

— A komu się podobało? Co ty właściwie sobie o nas myślisz? Stawka była bardzo wysoka.

— Zawsze jest.

— Dla nas tak. Musimy przetrwać za wszelką cenę i dobrze o tym wiesz.

— Nie zawahałaś się ani przez chwilę, gdy miałaś mnie ciąć?

— Bardziej mnie niepokoiło strzelanie. W udzie nie ma większych naczyń krwionośnych, więc ryzyko było niewielkie. Co innego pod obojczykiem... u każdego jest trochę inaczej. Zdarzają się arterie w niewłaściwych miejscach.

— Moje najwyraźniej są tam, gdzie trzeba.

— Całe szczęście.

— Pamiętasz, co powiedziałaś?

— Zanim to zrobiłam?

— Tak.

— Powiedziałam, że czuję do ciebie miłość, co nie jest równoznaczne z tym, że cię kocham.

— Co to znaczy? Czy przełożyłaś to z arabskiego?

— Tak, to dobre tłumaczenie. Darzę cię miłością jak brata.

— Prześpij się trochę.

— Dlaczego?

— Wezmę nocną zmianę, żebyś rano, wyspana i rześka, mogła mi załatwić sprzęt.

— Heckler & Koch MP5?

— Najchętniej.

Kiedy oddaliła się w głąb pokoju, żeby położyć materac na podłodze, miał wrażenie, że słyszy jej chichot.

\* \* \*

DG czuł się niczym obrońca w procesie karnym. Mimo pory urlopowej udało mu się zdobyć do pomocy sekretarkę i część pierwsza raportu była już przyzwoicie przepisana.

Co do operacji Big Red nie istniały żadne wątpliwości.

Została przeprowadzona. Sierżanci Stålhandske i Lundwall nurkowali tak głęboko i przebywali pod wodą tak długo, że ryzykowali życie. Było z nimi znacznie gorzej, niż przypuszczali, mimo że powinni sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa.

Wyniki badań lekarskich mówiły same za siebie.

Zeznania sierżantów zgadzały się co do joty. Wypowiedzi kapitanów ścigacza 37 i okrętu podwodnego „Wilk Morski”, a także pilota helikoptera pokrywały się z tym, co mówili Stålhandske i Lundwall.

Choć zeznania pochodziły od osób, które z wyjątkiem sierżantów nie znały charakteru operacji, świadczyły o jednym. Big Red z całą pewnością przeprowadzono i nie ma potrzeby łamać politycznego zakazu oględzin szczątków instalacji.

Etap kolejny w postępowaniu dowodowym był również logiczny. Żaden punkt raportu Koskowa nie dawał podstaw do kwestionowania jego autentyczności. Znaczną część informacji przesłano na przykład Brytyjczykom, którzy sprawdzili je z własnymi danymi i nie dopatrzyli się ani jednego błędu.

Hamilton przewiózł radzieckiego uciekiniera z Kairu do Szwecji. Nie obyło się przy tym bez sensacji.

DG uśmiechnął się na myśl o tym eufemizmie.

Hamilton zniweczył próbę porwania samolotu i przyleciał do Szwecji z Cypru, korzystając z wojskowego herkulesa. Gdyby był radzieckim agentem, nietrudno byłoby tę podróż udaremnić. Tymczasem desperackie wysiłki Rosjan, by Koskow nie dotarł do celu, spaliły na panewce dzięki Hamiltonowi.

A Koskow okazał się najcenniejszym uciekinierem, jaki kiedykolwiek przedostał się ze Związku Radzieckiego na Zachód.

Wskutek operacji Big Red Rosjanie ponieśli znaczne straty w ludziach. Nikt nie przeżył.

Zdrowy rozsądek podpowiadał tylko jeden wniosek. Hamilton nie mógł pracować dla Związku Radzieckiego, Rosjanie nie mieli bladego pojęcia o Lundwallu i Stålhandskem, a przecież tego typu akcje dywersyjne nie były dla nich niczym nowym. Podstaw, co dość zabawne, nauczyli się od Anglików podczas drugiej wojny światowej, jako alianci korzystali w walce z Niemcami z wiedzy i umiejętności zachodnich służb wywiadowczych.

Przynajmniej tak twierdził sir Geoffrey.

Wszystko zaczęło się od operacji Enigma i Double-Cross. Pierwszą, utrzymywaną w ścisłej tajemnicy, uważano za jedną z najważniejszych, jakie przeprowadzono podczas wojny. Anglicy przypadkowo dopadli niemiecki aparat szyfrowy „Enigma”. Wysadzając ciężarówkę, udało im się wprowadzić Niemców w błąd. Myśleli, że w wyniku wybuchu aparat został kompletnie zniszczony.

Później przez całą wojnę pilnie wsłuchiowano się w niemieckie komunikaty wojskowe. Niekiedy ukrywanie źródła informacji nie było łatwe. Na przykład w wypadku pierwszego poważniejszego nalotu bombowego na Wielką Brytanię. Winston Churchill, powiadomiony dzień przed planowanym zbombardowaniem Coventry, musiał podjąć decyzję. Albo zarządzić ewakuację mieszkańców, dając tym samym Niemcom do zrozumienia, że wróg przechwytyuje ich zaszyfrowane instrukcje, albo nikogo nie ostrzegać i zachować przewagę na polu wywiadowczym. Wybrał drugą możliwość, a później był jednym z tych, którzy w rewanżu za Coventry zdecydowali o nalocie bombowym na Drezno.

Zdobycie „Enigmy” pozwoliło wyłapać wszystkich agentów niemieckich przerzucanych do Anglii. Nieważne, czy lądowali nocą na spadochronach, czy docierali do wybrzeży Szkocji na małych łodziach rybackich. Zawsze czekał na nich angielski patrol. I zawsze, bez wyjątku, składano im bardzo prostą ofertę. Albo natychmiast pójdą na współpracę i będą przysyłać do kraju fałszywe informacje, dzieło brytyjskiego wywiadu wojskowego, albo kulka w łeb, zgodnie z prawem wojennym stosowanym wobec szpiegów, nie mogących się pochwalić ani mundurem, ani dystynkcjami.

I co było do przewidzenia — DG uznał po namyśle, że z psychologicznego punktu widzenia to całkiem prawdopodobne — około pięćdziesięciu procent agentów wolało zginąć.

Ci, którzy przeżyli, przypuszczalnie odegrali w operacji Double-Cross większą rolę, niż się powszechnie sądzi.

Sprzymierzeni Rosjanie zdobyli wówczas pełną wiedzę o zasięgu operacji i wykorzystanych w niej metodach. Kiedy w latach pięćdziesiątych nastąpiła zimna wojna, bardzo zręcznie zaczęli robić użytek z tej swojej wiedzy.

Wysyłali na Zachód tabuny udających zdrajców ojczyzny uciekinierów, którzy szpikowali Europę mnóstwem kłamliwych informacji, przyprawiając je prawdziwymi, tyle że mało istotnymi. I tak w krótkim czasie narobili straszliwego zamieszania wśród swoich wrogów. Innymi słowy, *supermaskirowka*.

Ponieważ Amerykanie i Brytyjczycy zaczęli coś podejrzewać, Rosjanie zwiększyli liczbę informacji prawdziwych. W końcu doszło do tego, że nie wahali się poświęcać swoich ludzi.

Brytyjską Secret Service, czyli MI5, i wywiad, czyli MI6, wrobiono w coś na kształt wojny domowej sterowanej z Moskwy.

A działo się to w czasach, kiedy Kim Philby i inni wynieśli się do Związku Radzieckiego. Ich wiadomości o rozmaitych oficerach tajnej służby sprawiły, że podstawieni agenci przyjeżdżali z dość dokładnymi informacjami o różnych pracownikach wywiadu i bezpieczeństwa. Początkowo połykano tę przynętę bez mrugnięcia okiem.

Sir Geoffrey z wyrazem niemal fizycznego wstrętu na twarzy nazwał ten okres „diabelnie przykrym”, co uwzględniając jego sposób wysławiania się, można uznać za synonim „katastrofy”.

Dlatego byłoby naturalnie rzeczą „diabelnie przykrą”, gdyby musieli się zastanawiać, czy Rosjanie znów ich nie wpuścili w kanał.

W jednej sprawie DG i sir Geoffrey byli zgodni. Nie dadzą Tristanowi odczuć, że coś jest na rzeczy. Wręcz przeciwnie, trzeba się do niego odnieść z entuzjazmem.

I tak jak obaj przypuszczali, dwudniowe odpytywanie Tristana gdzieś w Sussex, gdzie obecnie przebywał, którego podjęli się nie wątpiący w autentyczność jego informacji brytyjscy przesłuchujący, przyniosło nowe szczegóły. Przypomniał sobie pewne drobiazgi dotyczące szwedzkich agentów GRU.



Carl na przykład nosił pseudonim Seahawk, choć właściwie mówiono o nim Seal. Z bliżej nieznanego powodu zrezygnowano z mniej bohaterskiej Foki na rzecz wprawdzie pochlebniejszego, lecz dość śmiesznego Morskiego Jastrzębia.

Znakomicie się zgadzało. Rosjanie wiedzieli o szkoleniu Carla w grupach specjalnych amerykańskiej marynarki wojenną SEAL. Stąd informacja o werbunku w Kalifornii.

O agencie ze szwedzkiej służby bezpieczeństwa Tristan z pewnym trudem przypomniał sobie, że nosi pseudonim Peacock, co bezsprzecznie przystawało do jego zachowania, a poza tym wplątał się w jakąś aferę z Polką zatrudnioną w „Orbisie”, przed czym go przestrzegali i Szwedzi, i Rosjanie.

Peacock miał domek letniskowy na jednej z wysepek sztokholmskiego archipelagu. Jego sąsiad hodował świnie, których zapaszek był przyczyną zatargów między nimi. Gdy cztery lata temu udał się tam w tej sprawie pewien radziecki oficer, straszliwie utyskiwał, a nawet pół żartem, pół serio zażądał dodatku do pensji za doznany uszczerbek fizyczny.

Co do Rybołowa ze szwedzkiego Sztabu Obrony Tristan mógł dodać tylko tyle, że kiedy pracował w ONZ, był świadkiem wypadku samochodowego. Rybołów prowadził samochód po pijanemu. Jakoś to po cichu załatwił, dzięki czemu nie miał żadnych problemów ani z władzami szwedzkimi, ani z ONZ. Bardzo jednak na tym ucierpiał jego jaguar i potrzebował pieniędzy na naprawę. GRU pokryło wydatki i tak doszło do werbunku.

Sir Geoffrey zgodził się z wnioskami DG. Jeśli Tristana podstawiono, tego typu informacje uzupełniające o Szwedach wydają się czymś oczywistym, ba, niezbędnym. I z pewnością okazały się prawdziwe.

Sposób działania Rosjan był dość dobrze znany, tyle że tym razem wybrali inny kraj.

Można się było domyślać, dlaczego.

Gdyby udało im się najpierw przekonać Anglików, utrzymujących kontakty z najbardziej podejrzliwymi służbami wywiadowczymi Zachodu w celu zapobiegania radzieckim prowokacjom w postaci fałszywych agentów, Szwedzi otrzymaliby od nich tak niezbite dowody, że natychmiast kupiliby tę historię.

Rozumowali prawidłowo. MI6 bardzo Szwedom imponował. Wyprzedzały go tylko zachodniemiecki BND i izraelski MOSSAD.

DG uznał, że nie wygląda to źle, choć sądził, że niełatwo mu będzie przekonać Samuela Ulfssona.

Mylił się.

Przeszło godzinę referował Ulfssonowi całą sprawę, gdy nieoczekiwanie zupełnie co innego zaprzątnęło ich uwagę, nim ostatni fragment układanki trafił na swoje miejsce.

— Wiesz, gdzie się podziewa Hamilton? — spytał Samuel Ulfsson takim tonem, jakby nagle postanowił zmienić temat rozmowy.

DG zirytowany pokręcił głową. Już miał przystąpić do wysuwania kolejnych argumentów, ale Ulfsson go ubiegł.

— A ja wiem. Od dwóch godzin. Jest w Libanie.

DG osłupiał. Nagle przyszedł mu do głowy Kim Philby, który dotarł do Moskwy przez Liban, tuż po tym, kiedy Anglicy go nakryli, ale z powodów czysto koleżeńskich nie chcieli pozbawiać wolności.

— Dziwne miejsce na spędzanie dni chwilowo wolnych od pracy — zauważył, co prędzej wyrzucając z głowy myśli o Philbym.

— Nie ma wolnego — z rozdrażnieniem odparł Ulfsson. — Nie wiem, co o tym sądzić, ale posłał go tam Sorman. Miałem kontakt z naszą ambasadą w Damaszku.

— Co on u licha robi w Libanie i dlaczego Sorman podkrada nam ludzi? — zdumiał się DG, układając leżące przed nim papiery.

— Chodzi o porwanie. Sormanowi się ubrdalo, że Hamilton może się przydać, i wysłał go z ramienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych i rządu w charakterze zwiadowcy.

— Czy Sorman wie o naszych tarapatach?

— Chodzi ci o podejrzenia wobec Hamiltona? Tak, wie, ale to najwyraźniej w niczym mu nie przeszkadza. Pojęcia nie mam, jakimi ścieżkami błądzą myśli naszych polityków.

— Czy wiadomo o nim coś bliższego?

— Tak, jest w stałym kontakcie z ambasadą w Damaszku. Siedzi gdzieś w Saidzie, na południe od Bejrutu, około siedemdziesięciu metrów od celu.

— To znaczy od szwedzkich zakładników i ich opiekunów?

— Otóż to.

— O mój ty Boże, czy oni nie rozumieją, w co wdepnęli?

— O co ci chodzi? Znaleźli bardzo skutecznego zwiadowcę.

— Owszem, ale nie sądzę, żeby Carl był zrównoważony po... no, po tym, co przeszedł. Zakładnicy mają wyjść cało z tej przygody?

— Na pewno. Myślisz, że naszemu młodemu przyjacielowi może co innego wpaść do głowy?

— Oczywiście. Czy jest uzbrojony, współpracuje z kimś?

— Sorman uznał, że Carl ma tak dobre układy z palestyńskim podziemiem, że szczególnie nadaje się do nawiązania kontaktów, na które nie mogą sobie pozwolić nasi dyplomaci. Na pewno nie sam wytropił miejsce przetrzymywania zakładników.

— Czy jest uzbrojony?

— Sorman nie zezwolił mu na zabranie broni. Nie było jej w wyposażeniu przesłanym do ambasady w Damaszku.

— W jakim wyposażeniu?

— Nadajnik, noktowizory i tak dalej. A co?

DG nie ośmielił się podzielić swoimi przypuszczeniami. Jeśli negocjacje zakończą się fiaskiem, Carl z całą pewnością użyje siły. Zastanawiał się chwilę nad dyplomatyczną odpowiedzią.

— Myślę, że Carl jest w fatalnym stanie psychicznym — zaczął ostrożnie. — Nie czuje się dobrze, zadręcza się najrozmaitszymi sprawami, po prostu nękają go wyrzuty sumienia. A kiedy dodamy do tego podejrzenia o zdradę ojczyzny, nie zdziwiłbym się, gdyby porwał się na coś bardzo niebezpiecznego, coś w rodzaju nieświadomego samobójstwa, żeby udowodnić, że nie jest żadnym zdrajcą.

— Możliwe. Jesteś przecież psychologiem. Dość dziwne wykształcenie jak na człowieka z wywiadu. Niewiele jednak możemy teraz zrobić.

— Dlaczego? Jeśli ambasada jest z nim w kontakcie, my też możemy. Wezwiemy go do kraju?

— Myślę, że opacznie by to zrozumiał.

— Fakt. Uznałby, że znów chcemy go rzucić Borgströmowi na pożarcie.

— A na wysłuchiwanie morałów jest mało podatny. Pozostaje nam jedynie wierzyć, że wszystko dobrze pójdzie. Mam jeszcze dwie nowiny, jedna bardzo zła, a druga być może nie najgorsza. Więc?

— Zacznij od złej.

— Paw się przyznał. Za szafką w łazience znaleziono klucze do szafek.

DG poczuł nagły chłód i zaraz potem zrobiło mu się gorąco. Tristan nie mylił się co do szpiega pracującego w jednej z newralgicznych komórek służby bezpieczeństwa, w wydziale zajmującym się Rosjanami.

— To rzeczywiście bardzo zła wiadomość — wymruczał z rezygnacją, wyluskując pudełeczko z cygaretkami o białych plastikowych ustnikach. — Wierzyć się nie chce, że rzuciłeś palenie. Myślałem, że nigdy tego nie zrobisz. W dodatku w takim momencie — rzekł wolno, zaciągając się pierwszą tego dnia cygaretką.

— Szeryfy? — spytał Samuel Ulfsson.

— Co?  
— Tak się nazywają twoje cygaretki? Kupiłeś je w USA?  
— Nie, są chyba szwedzkie. Albo duńskie. A jaka jest ta dobra wiadomość? Jeśli po tej złej w ogóle można jeszcze mówić o czymś dobrym.  
— Sandström jest w Moskwie. Tam mieszka i chyba mamy jego adres.  
— Co?  
— Tak, dobrze słyszałeś.  
Zaczęli mówić jeden przez drugiego. Nagle wszystko jakby się odmieniło.

\* \* \*

Gordon Ingram, pomyślał Carl. Długość dwadzieścia pięć centymetrów, z podpórką. Miał okazję strzelać z modelu numer dziesięć. O precyzji ani marzyć. Ten egzemplarz to przypuszczalnie model jedenasty, bo w magazynku są naboje kaliber czterdzieści pięć. Niewygodny kaliber w broni automatycznej.

Kolejno przejrzał naboje i wytarł je. Wszystkie bez wyjątku amerykańskie, 45 ACP. Sprężyna w magazynku stosunkowo nowa.

Czarna farba tu i ówdzie się złuszczyła, ale mechanizmom niczego nie brakowało. Rozłożył broń i złożył. Sprężyna powrotna sprawna, zamek bez rdzy.

I jeden trzydziestostrzałowy magazynek.

Gordon Ingram eksportował swoje wyroby przede wszystkim do krajów Ameryki Łacińskiej, ponieważ łatwo je było ukryć pod ubraniem. Gdy trzymać broń magazynkiem w dół, dzięki czworokątnemu kształtowi wygląda z daleka jak małe pudełko albo przenośne radio. Służby bezpieczeństwa bananowych dyktatur wyraźnie ją preferowały, nigdy jednak Gordonowi Ingramowi nie udało się przebić na rynku zachodnioeuropejskim, głównie z powodu kalibru. Na Zachodzie obowiązywała dość powszechnie dziewiątka, zupełnie zresztą wystarczająca. Po co pakować do broni automatycznej największy kaliber?

Lufa mierzyła sto czterdzieści sześć milimetrów, pięciocentymetrowy wystający kawałek wyjaśniał, dlaczego Carlowi dostał się tak nietypowy egzemplarz. Było na nim pięć dużych gwintów do przykręcania pokaźnego tłumika, dłuższego niż cała broń. W roku 1969 albo w 1970 firma Ingrama zbankrutowała i wtedy zaczął produkować tłumiki. Mimo to zaopatrzone w ten drobiazg modele dziesiąty i jedenasty nie zrobiły międzynarodowej kariery.

Nie do wiary, że taka osobliwość znalazła się w posiadaniu Palestyńczyków w Bejrucie. Broń była niewątpliwie cicha, dokręcana czarna lufa miała gładką matową powierzchnię. Można z czegoś takiego strzelać tylko z bliska. Co znacznie ułatwiało sprawę, wykluczało bowiem wiele innych możliwości.

Nawet gdyby zdobyła Heckler & Koch, musiałby go jakoś wypróbować, żeby sprawdzić celowniki. Tutaj niczego takiego nie potrzebował. Albo mierzyć z odległości paru metrów, albo dać sobie spokój. Mniej więcej jak z nożami.

Ambasada w Damaszku poinformowała go, że negocjacje weszły w fazę decydującą, i ostrzegła, by na razie nic nie robił.

Odpowiedział, że porywacze są pod obserwacją i niemal wszystkich udało się zidentyfikować. Puścił w eter ich nazwiska. O tożsamości zakładników nic pewnego na razie nie wiadomo. Zauważył jedynie ich nogi przywiązane do podwójnego łóżka. Ale to, że jest ich dwóch, i dane Jihaz ar Rased dają niemal stuprocentową pewność, że o pomyłce nie ma mowy.

Ambasada potwierdziła jego informacje o tożsamości porywaczy.

Jedli po zapadnięciu ciemności przy zaciągniętych zasłonach, przez które co nieco jednak udawało się dostrzec. Kolejno trzymali straż. Carl wybrał już najłatwiejszy cel, najmłodszego z nich, wyglądającego na siedemnaście, osiemnaście lat. Gdy siadali do posiłku na parterze, zakładnicy byli sami. Później jeden zanosił im jedzenie i z nimi zostawał, drugi zabierał tace i puste talerze. Kolacja zajmowała im około dwudziestu minut. To najodpowiedniejsza pora.

Pistolet, który załatwiła Mouna, nie miał zapasowego magazynka. Colt 45, ulubiona broń Skipa Harriera, ale tylko siedmiostrzałowy. Dodatkowe pudełko z pięćdziesięcioma sztukami 45 ACP nic by nie dało, trzydzieści naboju w Ingramie i siedem w colcie aż nadto wystarczy. Chyba że dojdzie do katastrofy.

Czuł miły wewnętrzny spokój. Nie był ani zmęczony, ani zdenerwowany, gdy zacisnął lewą dłoń na złobionej rękojeści z orzecha. W prawej trzymał pióro, by móc zanotować każdy zaobserwowany szczegół. Zapisał już trzydzieści stron. Na jednej zebrał informacje najważniejsze, strategiczne.

Kto wie, czy to nie jego stacja końcowa. Myśląc o tym, był niemal zadowolony. Nie chciał wracać. Nigdy więcej nie zamierzał oglądać triumfującego Borgströma i jego spoconej górnej wargi.

Kiedy prawdziwi ludzie mają trzydzieści cztery lata, żyją jak prawdziwym ludziom przystało. Z rodzinami, z osobami, które kochają, z dziećmi i kłopotami w rodzaju dwójki z matematyki.

Takim właśnie człowiekiem jest Eva-Britt. Chrześcijanka, o, ospowatej twarzy, krótkowzroczna, nigdy na nikogo nie podniosła broni i kłamała tylko na służbie. Jeśli w ogóle.

Gdyby nie liczyć tłumika, colt jest niewiele krótszy od Ingrama.

Może Jihaz ar Rased miał jakiś szczególny powód, by zaopatrzyć go w amerykańską broń? Musi się obyć bez celownika na podczerwień. Zresztą kto wie, czy dyplomaci nie załatwią wszystkiego w drodze negocjacji. Ci, którym pisana jest śmierć, i tak nie mają wielkich szans, gdyby próbowali się bronić. Szwedzi już ich znają. Powinni wykorzystać ten atut i przycisnąć tego Salaha Salaha.

Jeśli Salah Salah sobie nie poradzi, i tak będzie spalony, o czym pewnie wie. Palestyńczycy są na ogół realistami. Ci, których widział, wcześniej czy później umrą. Mouna z kolegami tak czy inaczej to załatwi.

Oddychała równo i spokojnie. Mimo oparzeliny była piękna. Pochodziła z Gazy, jej braci zabili Izraelczycy. Wysadzili dwa domy należące do jej rodziny, bo domyślali się, że ten, kogo szukają, musi tam być, i winą obarczyli całą rodzinę.

Mounie udało się uciec do Jordanii, gdzie zaopiekował się nią Abu al-Houl. A potem była Korea Północna.

Czy czułby się lepiej, gdyby nosił w sobie tyle nienawiści, co ona? Wmawiał sobie, że nie znosi Näslunda, szefa szwedzkiej bezpieki, i pułkownika Uwe Dee, szefa zachodniemieckiej grupy antyterrorystycznej GSG9, którego prawie nie znał.

Widzieli się tylko raz, kiedy wznosili toast szampanem.

I oczywiście trochę wcześniej, ale to się nie liczyło.

Żłobkowanie na płaszczu colta było tuż nad rękojeścią.

Tak jak w jego beretcie. Podczas załadowywania łatwiej go przytrzymać trochę dłużej.

Nie. Nie odczuwał nienawiści ani do Uwe Dee, ani do Näslunda. A twierdzenie, że wciąż kocha Tessie, nie miało już sensu. Za dużo czasu upłynęło.

Do Mouny, by użyć jej słów, czuł miłość. I do Ewy-Britt, której pewnie już nigdy nie zobaczy, i do DG, i do Lundwalla, i nawet do Stålhandskego.

Sami koledzy.

Wpatrując się w lornetkę, spokojnie podsumowywał swoje życie.

Może to już koniec, uważali go za zdrajcę. Nigdy tego nie udowodnią, bo to nieprawda, a ponieważ nigdy tego nie udowodnią, nigdy nie będą pewni, a ponieważ nigdy nie będą pewni, będzie zmuszony wrócić do normalnego życia.

Czym się wtedy zajmie?

Zgodnie z kamuflażem był eleganckim dyrektorem biura do spraw nieruchomości o radykalnych niegdyś poglądach. Nie bardzo wiedział, gdzie kończy się teatr, a gdzie zaczyna prawda.

Poza teatrem zdawało się nie istnieć żadne prawdziwe życie.

Zacznie się więc ubierać w wygodniejsze ciuchy i co dalej? Sprzeda kamienice i odda się dobroczynności, a potem? Umebluje zdewastowane mieszkanie po swojemu. Nie wiedział, jak. Nie wiedział nawet, czy ma własny gust.

Będzie więcej czytał. Pozbędzie się zawartości swoich szaf na broń. Ale nie całej. Podczas strzelania odzyskuje spokój i wspaniale się koncentruje.

Zacznie uprawiać biegi terenowe zamiast powtarzanych co rano i co wieczór od przeszło dziesięciu lat około setki standardowych ćwiczeń, najskuteczniejszych sposobów okaleczania albo zabijania ludzi. Białe kontury ludzkiej sylwetki na worku z piaskiem zdążył niemal całkowicie zniszczyć.

Czy potrafiłby pokochać kogoś naprawdę, tak jak Tessie? Czy nauczyłby się zmieniać pieluszki i podawać butelki ze smoczką z taką samą łatwością, z jaką sobie radził z nowymi programami komputerowymi? Czy w cywilu chciałby się choć przez chwilę poświęcić branży komputerowej?

W lewej dłoni trzymał colta model 1911 A, co oznaczało, że od roku 1911 nie wprowadzono wielu zmian, mimo że śruby na żłobionej rękojeści z orzecha włoskiego musiały być wytworem lat sześćdziesiątych. Pistoletu używano naprawdę, nie wzięto go z żadnego obozu ćwiczeniowego, kto wie, czy nie był w Wietnamie.

Gdyby go wyrzucili z pracy, czy starczyłoby mu odwagi na skontaktowanie się z Evą-Britt po tym, co zaszło między nimi?

Czy aby nie jest chory psychicznie?

Tych rzeźników w kraju uwolniono. Czy potrafiłby poćwiartować człowieka? Bez wahania. Gdyby tylko istniał powód.

Czy nie dlatego jest spokojny, choć powinien się denerwować, że cierpi na zaburzenia psychiczne?

Mógłby zabić pięć osób, które teraz spały, no, może spały cztery, jedna trzymała wartość. Potraktowałby to wyłącznie jako kwestię techniczną i praktyczną. Z jego punktu widzenia powodzenie negocjacji nie było ważne. Gdyby grzecznie i bez szemrania oddano zakładników, ci tam mogliby długo żyć. To też nie miało dla niego znaczenia.

Uderzyło go, że podsumowuje swoje życie. Nie dlatego, że porywacze mogą się wyjątkowo skutecznie bronić, raczej dlatego, że nie wyobrażał sobie powrotu do zdewastowanego mieszkania, które było jedynie teatralną atrapą, i urządzania go według własnego smaku, zgodnie ze swoją osobowością.

Nie miał żadnej osobowości, miał tylko zawód, z którym się utożsamiał, a którego teraz zamierzano go pozbawić. Przystanie istnieć.

Mógł pozazdrościć Mounie. Nie potraktowałyby go jednak poważnie, gdyby powiedział, że chce zostać w jej oddziale. Uznałaby go za chorego na umyśle, a on za wiele do niej czuł miłości, by ją kochać i by jej słuchać.

Miał trzydzieści cztery lata. Wkrótce wszystko się skończy.

\* \* \*

— Nie wiem, czy spotkałeś DG, ale chyba się orientujesz, kto to taki — zaczął oficjalnie Samuel Ulfsson.

— Owszem, widzieliśmy się raz czy dwa — odparł mężczyzna, który nie miał pojęcia, dlaczego nagle został zmuszony do przerwania urlopu, i który zdaniem DG i Ulfssona nie powinien mieć nic wspólnego z Rybołowem i zdradą.

Opalony, w kraciatej sportowej koszuli, w sandałach i skarpetach na nogach, siedział wygodnie na krześle naprzeciwko Samuela Ulfssona i DG. Do dłoni przywarła łuska śledzia,

a nad optycznymi szklami niczym olbrzymie krzaczaste brwi sterczały słoneczne okulary. Wedle terminologii międzynarodowej był generałem brygady, a wedle szwedzkiej — czterogwiazdkowym pułkownikiem z płacą równą zarobkom młodszego dziennikarza popołudniówki.

Jako szef newralgicznego wydziału Sztabu Obrony, OP4, odpowiadał między innymi za taktyczne metody zwalczania obcych, czyli radzieckich, działań podwodnych. Bardzo szwedzkie zajęcie.

Rozmowa wkrótce miała się okazać bardzo nieszwedzka.

— Sprawa jest poważna, Lennart, chciałbym usłyszeć twoje spontaniczne i zgodne z prawdą odpowiedzi na pewne pytania. Dla twego własnego dobra radziłbym ci mówić szczerze — podjął Samuel Ulfsson ze spokojem, który DG wydał się mocno wysiłony.

Jeszcze chwila, a Sam zacznie się rozglądać za papierosami.

— Oho, zapowiada się cholernie groźnie. Powiedz, o co chodzi.

— Co cię łączyło z Sandströmem? — pewnie i szybko spytał Ulfsson.

Rybołów od razu zmienił postawę. Odruchowo się wyprostował.

— Czy to jakiś rodzaj przesłuchania? — spytał podejrzliwie.

— Tak. Nagrywamy rozmowę — przyznał Ulfsson. — Pytam jeszcze raz. Co cię łączyło z Sandströmem?

— Mówimy o tym szpiegu?

Siedział teraz -wyprostowany jak struna. Brakowało mu jedynie munduru.

— Tak. Chcemy, żebyś powiedział nam jak najwięcej bez dodatkowych pytań. To naprawdę ważne, Lennart.

— Aleś się zrobił oficjalny.

— Jestem oficjalny. No więc?

— Co ja mogę o nim powiedzieć? Wszystko to razem cholernie nieprzyjemne. Myślicie, że pracuję dla Sandströma? O co tu, u diabła, chodzi?

— Chcemy, żebyś odpowiadał na pytania — rzekł po chwili Samuel Ulfsson.

— Chyba nie sądzicie, że jestem szpiegiem? Ładne rzeczy! Aha, to dlatego nigdy ich nie dopadliśmy? O to chodzi?

— Nie zmuszaj mnie do bardziej oficjalnego tonu, Lennart. Jest już wystarczająco źle. Opowiedz o wszystkim, co ma związek z tobą i z Sandströmem, jak się poznaliście i tak dalej.

Samuel Ulfsson w ostatniej chwili zrezygnował z dokładniejszych wyjaśnień.

Mężczyzna nazwany w pewnym raporcie Rybołowem szybko się wziął w garść i zaczął mówić.

Owszem, to prawda, że swego czasu sporo go łączyło z Sandströmem. Nie zameldował o tym później OP5, choć przyznaje, że powinien. W każdym razie to było parę ładnych lat temu.

Obaj byli wtedy majorami, Sandström świeżo po rozwodzie, on słomiany wdowiec. Spotkali się na Cyprze, gdzie służyli w siłach pokojowych ONZ.

Trochę wspólnie popijali, chodzili na panienki. Nie ma się w zasadzie czym chwalić, zwłaszcza gdy się pomyśli o tym, co z tego Sandströma za jeden.

Ale cóż, taka jest prawda. Nie prowadzili się najlepiej, kobiety, alkohol, ale to w żaden sposób nie... ich dość hulaszcze życie prywatne w żaden sposób nie odbijało się na pracy. Z wyjątkiem jednego ranka.

Nie da się ukryć, że z Sandströma był pies na kobiety. Alkohol był tani, a cypryjska brandy zwodnicza, słodkawa i zdecydowanie słabsza od koniaku. Często się ją piło z lodem, często kieliszek lub dwa za dużo. Brali się w garść latem, kiedy żony zjeżdżały do mężów w czasie wakacji. W końcu byli tylko ludźmi.

Niewiele więcej da się o tym okresie powiedzieć, może tylko tyle, że kiedy wyszło na jaw, kim jest Sandström, było mu głupio. Ale wtedy nie wydawał się szczególnie podejrzany, czy już wtedy był szpiegiem?

— O ile wiemy, tak. Opowiedz o samochodzie — wtrącił Ulfsson, kiedy Rybołów skończył.

— O jakim samochodzie? — spytał zgnębiony.

— Wszystko o samochodzie — łagodnie, acz stanowczo powtórzył Ulfsson.

— O jaguarze?

— Do rzeczy. Pierwsza wersja jest najważniejsza.

— To znaczy, że będę jeszcze przesłuchiwany?

— Najprawdopodobniej. No?

Samuel Ulfsson nie tracił spokoju ducha, jakby był kapitanem okrętu i wypytywał o jakieś drobiazgi.

Mężczyzna, którego Rosjanie ochrzcili mianem Rybołowa, głęboko wciągnął powietrze. Pot wystąpił mu na czoło.

Wreszcie zaczął mówić.

Stało się to w piątkowy albo w sobotni wieczór. Wskoczyli do Limassol, mniej więcej godzina jazdy z Lamaki i Camp Victoria. W Limassol była restauracja rybna, która... to może bez znaczenia... nazywała się „Christos”. W drodze powrotnej wpakowali się w nie oświetloną, zaprzęzoną w osły brykę. Nic nie dało się zrobić. Jeden wielki trzask i cześć. Alkohol nie miał tu nic do rzeczy, nie było jednak powodu, żeby wciągać w to policję.

Zapłacili za zniszczony wóz. Ot i cała historia. Było, minęło.

— Ciągłe mówisz „my”. Chodziło o ciebie i Sandströma? — spytał Ulfsson.

— Nie. Musicie wiedzieć, kto to był, kto prowadził i takie tam...?

— Tak.

— Szef batalionu. W drodze powrotnej. Sandström zabrał się z nami do Limassol, ale... no, miał powód, żeby zostać.

— Kobieta?

— Chyba tak.

— I o wypadku dowiedział się później?

— Tak, opowiedziałem mu o tym.

— Jak naprawiłeś samochód?

— Czemu was to interesuje?

— Jak naprawiłeś samochód?

— Trochę mi się spieszyło.

— To nie jest odpowiedź.

— O co wam, do cholery, chodzi? Rozpatrujecie sprawę o prowadzenie wozu po pijaku na służbie sprzed dziesięciu lat? Czy coś takiego nie podlega przedawnieniu?

— Nie odpowiedziałeś na pytanie.

— Okej, poddam się.

— No?

— Zdjęliśmy, to znaczy ja zdjąłem wgnieciony przedni błotnik i zostawiłem samochód w warsztacie, gdzie mi wstawili nowy, zamówiony z Anglii.

— Drogo cię to kosztowało?

— Yhm.

— Jak zapłaciłeś?

— Poszły wszystkie moje oszczędności.

— A gdzie je miałeś?

— Na koncie ONZ. Żeby przynajmniej zatrzymał błotnik, ale ściągnęli nowy, kupę forsę poszło na fracht i mówiąc szczerze, szlag mnie trafił, że muszę do tego wracać. Nie rozumiesz, że to było przeszło dziesięć lat temu?

— Rozumiem, ale jak wiesz, oliwa zawsze na wierzch wypływa. Wydałeś wszystkie oszczędności? Aż tyle?

— Nie, nie wszystkie, ale cholernie dużo, a poza tym chciałem to utrzymać w tajemnicy.

— Łapówki?

— Tak się tego na Cyprze nie traktuje.

— Płaciłeś gotówką?

— Tak.

— Ile?

— Około... podać ci sumę w cypryjskich funtach, czy przeliczyć...

— Nie ma znaczenia. Wystarczy suma.

— Mniej więcej piętnaście patoli. Szwedzkich.

— Podjąłeś je z konta?

— Owszem. Nie trzymam forsę pod materacem.

— Co się potem stało z samochodem?

— Przed powrotem do kraju sprzedałem go. Przestał mi się podobać, a poza tym miał kierownicę nie tam, gdzie trzeba.

— Czy na Cyprze nie ma ruchu lewostronnego?

— Tak, ale jaguar był w wersji brytyjskiej.

— Dziękuję, to wszystko.

— Co?

— Dokładnie to, co powiedziałem.

— Zwariowałeś?

— Mam nadzieję.

— O co właściwie chodzi?

— Nie uwierzysz własnym uszom, kiedy się dowiesz.

— Czy socjaliści wyszperały coś o nieprzedawnianiu wojskowym pijaństwa za kółkiem?

— Nie.

— Tak myślałem. Więc o co chodzi?

— Z tym materiałem zapozna się między innymi ÖB.

— Wobec tego wyłączcie ten pieprzony magnetofon i powiedzcie, o co chodzi.

— Tak czy inaczej, możemy na razie zakończyć rozmowę — zgodził się Ulfsson bez cienia wymuszonego opanowania.

DG wydawało się, że Sam jest zadowolony. Były ku temu powody. To i owo się może wyjaśni. Zabrakło tylko jednego pytania.

— Czy Sandström wiedział o naprawie samochodu? — zainteresował się, jakby przez roztargnienie wtrącał całkiem zbędne pytanie.

— Tak. To on polecił mi warsztat — odrzekł mężczyzna, który wkrótce miał zostać skreślony z krótkiej listy podejrzanych.

W każdym razie uzyskają teraz pewne dowody, kto kłamał, on czy Tristan.

\* \* \*

Brakowało nam tylko afery pedalskiej, pomyślał z westchnieniem Peter Sorman. Jakby nie wystarczyło kokainowej.

Nie miał z tym nic wspólnego. Ani on, ani przypuszczalnie żaden z przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nikt o odmiennych skłonnościach seksualnych nie uczestniczył w tym, co zapewne niedługo gazety nazwą „socjaldemokratycznym gniazdem żmij”. Albo jeszcze gorzej.



Na przedpołudniowej konferencji prasowej premier nakreślił linię obrony. Rzekoma szychy od wielu lat nie piastowała w partii żadnych godności, ponieważ koncentrowała uwagę na spekulacjach giełdowych i pewnej plotkarskiej publikacji, subtelniejszego ponoć rodzaju, po tysiąc koron za egzemplarz.

Fakt, że wśród kolegów inkryminowanej osoby znaleźli się znani socjaldemokraci, jak choćby pewien dziennikarz, nie powinien dziwić. Miała wielu znajomych z partii prawicowej, przypuszczalnie znacznie więcej niż z socjaldemokracji.

Partia nie ma naturalnie nic wspólnego z jej przestępczymi poczynaniami. To zadanie dla odpowiednich organów sprawiedliwości. Rząd nie może ani nie powinien się wtrącać do prac policji.

To, że tydzień wcześniej podejrzany jadł obiad w towarzystwie jednego z szefów policji i ministra sprawiedliwości, o niczym nie świadczy, ponieważ, co oczywiste, żaden z nich nie zażywał wówczas narkotyków. Nie można obarczać ministra sprawiedliwości winą za to, że jego znajomy dopuścił się przestępstwa.

Ściśle rzecz ujmując, afera nie jest żadną aferą, a polityczne podteksty biorą się przypuszczalnie stąd, że w okresie przedwyborczym burżuazyjna opozycja jak zwykle obrzuca przeciwników błotem.

Ani jedna z osób odpowiedzialnych nie popełniła najmniejszego błędu.

Jak dotąd wszystko było w porządku.

Pojawiła się jednak kolejna kwestia. Jak to możliwe, że podejrzany nie tylko zadawał się z szefami policji i ministrem sprawiedliwości, ale miał do dyspozycji prywatną ochronę, złożoną z funkcjonariuszy sztokholmskiej policji?

Od kiedy to siły policyjne wyznaczają ludziom parającym się narkotykowymi machlojkami specjalnych ochroniarzy? I według jakich kryteriów tych ochroniarzy wybrano?

Ostatnie pytanie było najmniej przyjemne.

A populistyczny pismak z „Aftonbladet”, który na konferencjach prasowych zwykł odgrywać dziennikarza w amerykańskim stylu, pozwolił sobie zapytać premiera, czy przypadkiem nie wybrano rzeczonych policjantów pod kątem ich cech osobistych, takich jak wegetariańskie zwyczaje żywieniowe albo szczególne upodobania seksualne.

Premier z pogardą zaprzeczył tym insynuacjom i jednocześnie zauważył, że nie jest to domena rządu, lecz policji.

Oczywiście rozległy się chichoty i nie obyło się bez najdzikszych spekulacji.

Policjantów dobrano jakoby wedle ich przynależności do jednego z najbardziej szemranych klubów masochistycznych pedałów. Gdyby coś takiego dostało się do prasy, powodzenie kampanii wyborczej już na starcie byłoby mocno wątpliwe. Bez względu na to, czy plotka miała jakieś uzasadnienie. Plugawa historia.

Jedynie dwie sprawy mogłyby zapobiec katastrofie, usuwając te rewelacje z pierwszych stron gazet. Pierwsza — to naturalnie afera szpiegowska, druga — uwolnienie zakładników w Libanie, co do niedawna było traktowane na równi ze skandalem wokół zmijowego gniazda socjaldemokratów i narkotyków.

Na godzinę przed tą okropną konferencją prasową premier rozmawiał z ÖB. Jak dotąd nic nie wskazywało na to, by wymienieni w raporcie Tristana oficerowie Sztabu Obrony byli szpiegami.

Choć na wewnętrzne śledztwo wojskowych należało patrzeć dość sceptycznie, osiągnięte z niemalym wysiłkiem rezultaty zostały już przedłożone rządowi. Niezwykle skrupulatnie sprawdzili całą historię z Koskowem i nie znaleźli nic, co upoważniałoby do jej reinterpretacji. Od nowa przyjrzeni się operacji Big Red i doszli do wniosku, że rzeczywiście została przeprowadzona. Gdyby nie powaga sytuacji, można by to uznać za dość komiczne. Jakby drwa do lasu nosić.

On i premier, znając oficjalne stanowisko Rosjan, wiedzieli o tej operacji więcej od wojskowych. Dlatego ich opinię, że kapitan Hamilton nie jest szpiegiem, przyjęli jako całkiem dorzeczną.

W wypadku pułkownika doszukano się w raporcie Tristana decydującego przekłamania. W dokumentach ONZ był przeszło dziesięcioletni wyciąg z konta, który potwierdzał, że podejrzany pokrył koszty naprawy samochodu z własnych środków, a nie z rosyjskich. Na wyciągnięcie ostatecznych wniosków było jednak jeszcze za wcześnie.

W Säpo rzecz miała się inaczej. Zastępca komendanta z biura rosyjskiego przyznał się, znaleziono także materiał dowodowy. Przynajmniej raz Säpo zdobyła się na nieogłaszanie swoich tajemnic w prasie popołudniowej. Nie byłaby to dla nich dobra reklama, ponieważ mogłaby zaszkodzić tylko im, a nie rządowi.

Sytuację komplikował fakt, że pertraktowali ze swoim szpiegiem w kwestii immunitetu. Sam zaproponował współpracę.

Gdy szef Głównego Zarządu Policji poprosił premiera o podjęcie decyzji w ciągu tygodnia, sprawa przyjęła politycznie niebezpieczny obrót. Z praktycznego punktu widzenia dobrze byłoby oczywiście wyciągnąć z tego typka jak najwięcej informacji o jego szpiegowskich czynnościach, ale jeśli wyszłoby na jaw, że rząd „ułaskawił” szpiega i „wyciszył” aferę szpiegowską?

Żeby przynajmniej był socjaldemokratą. Nie byłoby się nad czym zastanawiać, musieliby go skazać. Na osłanianie swoich też nie mogli już sobie pozwolić.

Trzeba to wziąć pod uwagę w rozgrywkach politycznych, decyzja jednak należy do premiera.

Na biurku Petera Sormana leżały papiery dotyczące afery w Libanie. Sytuacja była krytyczna.

Kidnaperzy zażądali dwóch milionów dolarów i wyznaczyli termin. Jeśli złamią zasadę, by nigdy nie negocjować z terrorystami, i rzecz się wyda, w prawicowej prasie odezwą się głosy ostrej krytyki i awantura gotowa. Rząd zyska dużo więcej, odstępując od ustalonych, twardych reguł gry i decydując się na uratowanie życia dwóm Szwedom. A gdyby porywacze wystąpili z kolejnymi żądaniem? Albo gdyby wzięli pieniądze, uciekli i mimo wszystko zabili zakładników? Rząd naciągnięty na ogromną sumę i nieudana próba ocalenia Szwedów.

Pół godziny później matematyczną kalkulację zastąpiły prostsze i dość ponure warianty. Z Tunisu zadzwonił Yasser Arafat. Zapewnił swojego „starego przyjaciela” Sormana, że sprawców uprowadzenia nic nie łączy z OWP, ale bez wątplenia zasłużyli na karę. Jeśli zakładnicy zostaną wypuszczeni, OWP zajmie się ich transportem do Bejrutu, a jeśli pertraktacje nie przyniosą rezultatu, jest gotowa użyć siły.

Peter Sorman stanowczo podziękował za ostatnią propozycję. Gdyby zakładnicy zginęli, Arafat mógłby powiedzieć, że działał na polecenie rządu szwedzkiego. Gdyby przeżyli, OWP sobie przypisałyby zasługę, co w tak gorącej sytuacji politycznej kraju mogłoby mieć nieciekawe konsekwencje.

Ambasada w Damaszku przekazała najświeższą wiadomość o efektach rozmów w bejruckim hotelu „Summerland” między rzekomym mediatorem OWP Salahem Salahem i dwoma szwedzkimi dyplomatami.

Kidnaperzy zażądali po milionie od Szweda i pomocy w wydostaniu się z Bliskiego Wschodu dla sześciu osób. Najchętniej samolotem ze szwedzkimi dyplomatami na pokładzie w charakterze gwarancji.

Oferta politycznie i praktycznie nie do przyjęcia.

Porywaczy podobno czekała śmierć i była to ich jedyna szansa ujscia z życiem. Dali stronie szwedzkiej dwanaście godzin do namysłu. Potem będą ciągnąć losy, którego zakładnika zlikwidować najpierw, jakoś przekażą niezbite dowody jego śmierci i wyznaczą kolejny termin.

Przystanie na ich warunki albo na propozycję OWP nie wchodziło w grę. Trzeba próbować zyskać na czasie, dać do zrozumienia, że okup jest ewentualnie możliwy, nie ma jednak mowy o wyjeździe z Libanu. Wyglądało to wszystko dość ponuro.

Peter Sorman pomyślał nagle o Hamiltonie. Od kryjówki terrorystów dzieli go zaledwie siedemdziesiąt metrów.

Szwedzka próba uwolnienia? Nie, to niedorzeczne. Sorman musiałby wydać coś w rodzaju polecenia. Jeśli się uda, zasługi przypadną wojskowym, jeśli nie — odpowiedzialność spadnie na niego i rząd. Nie ma szans, by przekazać Hamiltonowi sugestię politycznie bezpieczną, którą łatwo byłoby później usprawiedliwić. Hamilton powinien jedynie informować dyplomatów o wynikach swoich obserwacji. Nic poza tym.

\* \* \*

Ostatnia wiadomość, jaką Carl otrzymał od sekretarza ambasady w Damaszku, była krótka i treściwa.

„Kidnaperzy złożyli ofertę nie do przyjęcia. Pieniądze i gwarancja wyjazdu z dyplomatami. Odpowiedź brzmi »nie«. Czas: dwanaście godzin. Informuj o wszystkim, co zauważysz. Koniec”.

Prosto z Tunisu przybył z instrukcjami jeden z ordynansów Mouny. Mają się przygotować do uwolnienia zakładników. Rząd szwedzki wyraża zgodę.

Carl spytał ambasadę, czy może potwierdzić prawdziwość tych informacji. Po godzinie przyszła odpowiedź ze Sztokholmu via Damaszek, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych zdecydowanie je dementuje. Tylko tyle.

Carl miał o czym myśleć. Spierał się potem z Mouną, kto i co powinien robić i czy nie skorzystać z posiłków.

Problem podstawowy polegał na tym, że nie wiedzieli, czy w pokoju, w którym przetrzymywano zakładników, nie umieszczono jakichś ładunków wybuchowych. Wprawdzie nie zaobserwowali niczego, co by na to wskazywało, ale nigdy nie wiadomo. Lepiej nie ryzykować.

Odpada więc rzecz najprostsza, czyli zabicie całej szóstki w chwili, gdy na piętrze byłiby tylko zakładnicy, na przykład podczas kolacji.

O zmierzchu, po sześciu godzinach nieobecności wrócił jeden z porywaczy. Mouna i Carl widzieli ostrą dyskusję, głośniejszą i bardziej nerwową niż kiedykolwiek. Nasuwał się prosty wniosek. Za pośrednictwem Salaha Salaha dostali odpowiedź odmowną od szwedzkich dyplomatów. Pozostawało pytanie, co postanowią w najbliższym czasie. Nie było co marzyć o dwunastu godzinach, bo całkiem możliwe, że zaczęli odliczanie wcześniej, zanim Carl otrzymał wiadomość z ambasady.

Dzięki temu szybciej doszedł z Mouną do porozumienia. Ściągnęła dwa samochody.

Dwie godziny później, kiedy się zupełnie ściemniło, przystąpili do akcji.

Mouna widziała, jak Carl podchodzi do domu. Tuż przy drzwiach, w których — jeśli nagle nie zmienili rozkładu zajęć — powinien się pojawić strażnik, stała duża beczka z wodą. Za nią się schowa i w odpowiednim momencie zaatakuje. Mouna bez problemu wszystko zobaczy i gdy tylko operacja wejdzie w pierwszą fazę, będzie mogła przez radio powiadomić dwóch swoich ludzi, którzy siedzą w jednym z samochodów trzydzieści metrów od ich kryjówki.

Kiedy strażnik wyszedł, poczuła przyspieszone bicie pulsu, niemal na granicy bólu, na chwilę musiała oderwać wzrok od lornetki i wpatrywała się w ciemność.

Strażnik długo stał na schodach, wyglądało na to, że nie ruszy na rutynowy obchód. Zastanawiała się, co Carl zrobi w tej sytuacji. Prawdopodobnie poczeka, aż mężczyzna wejdzie do środka, i przystąpi do drugiej fazy operacji, uznawszy pierwszą za załatwioną.

Z trudem znosiła bierne przyglądanie się wszystkiemu. Nie bardzo знаła możliwości Carla, a tego typu akcja jest łatwa tylko pozornie. W rzeczywistości ryzyko porażki bywa

potwornie duże. Strażnik może ruszyć w innym niż zazwyczaj kierunku, obejść beczkę albo zapalić papierosa i oświetlić przyczajonego napastnika. Carl stał nieruchomo. Zdjął gogle, żeby nic mu nie przeszkadzało, uznał, że nie będzie się już musiał przemieszczać w ciemnościach. Ich szanse pod tym względem się wyrównały. W dłoni trzymał krótki nóż o matowym ostrzu. Wybór broni pozwolił Mounie przewidzieć dalsze wypadki. Metoda była znakomita. Gdyby jednak chybił o centymetr, skutki okazałyby się wręcz katastrofalne.

Nagle strażnik powziął decyzję. Z irracjonalną ulgą zauważyła, że nie jest nim młody chłopiec, i jednocześnie zdjął ją niepokój, ponieważ ten człowiek wydawał się najtrudniejszym przeciwnikiem. Zrobił trzy kroki w kierunku Carla.

Dopiero po dobrej chwili dotarło do niej, co się naprawdę stało. Widziała, jak podtrzymywany przez Carla mężczyzna bezgłośnie osuwa się na ziemię. Carl wraził mu nóż w dolną część kręgosłupa. Przebił nie tylko aortę, ale i rdzeń. Natychmiastowe porażenie i szybka śmierć, spowodowana ustaniem czynności układu oddechowego.

Carl włożył gogle i dał jej znać, że pierwsza faza już za nimi. O czym zresztą mogła się przekonać na własne oczy.

Potem, zamiast podejść do drzwi, zniknął za rogiem. Pewnie uznał, że minęło już trochę czasu i lepiej sprawdzić, co robią pozostali porywacze.

Właśnie kończyli kolację. O tym wiedziała tylko Mouna, ale po chwili wiedział także Carl. Kiedy znów się pojawił, zachowywał się dość hałaśliwie. Najwyraźniej udawał strażnika. Na schodach, nim rozłożył pistolet maszynowy, odbezpieczył go i gwałtownie otworzył drzwi, prawie tupał. Straciła go z pola widzenia. Dalszego ciągu mogła się jedynie domyślać na podstawie reakcji dwóch mężczyzn siedzących za stołem.

Carl wmaszerował do pokoju i oddał trzy strzały z biodra do człowieka trzymającego broń w ręku. Jednocześnie kazał wszystkim położyć się twarzą do podłogi. Kiedy nie posłuchali, wpakował pierwszemu z brzegu trzy kule w kręgosłup. Dopiero wtedy pozostała przy życiu trójka błyskawicznie rozpląszczyła się na podłodze.

Później, tak aby Mouna mogła go zobaczyć, obszedł pokój i pobierał broń. Trzy automaty. Odsunawszy stół, powiesił sobie pistolet na szyi, wyjął magazynki z radzieckich automatów, wyłuskał po naboju z każdej komory i rzucił wszystko na stół.

Na razie sytuacja wydawała się pod kontrolą. Poinformował Mounę przez krótkofalówkę, że faza druga zakończona. Powinna już zresztą o tym wiedzieć. Nim minęło pięć sekund, usłyszał cichy klakson. To znak, że wiadomość dotarła do grupy wspomagającej.

Jeden z postrzelonych poruszył się lekko. Carl najwyraźniej nie był dość dokładny. Zdecydował się jednak go nie dobijać. Podkreślił tylko radio, z którego donośniej zaczęły płynąć wersety Koranu.

Polecił mężczyznom usiąść pod ścianą, tam, gdzie Mouna mogła mieć ich na oku, i położyć ręce na karku. Posłuchali go z ociąganiem, w zwolnionym tempie, co przypuszczalnie było nie tyle wynikiem niechęci do podporządkowania się, ile szoku.

Gdy wreszcie spełnili jego żądanie, usiadł naprzeciwko nich na krześle i uniósł Ingrama. Strzały nie były głośniejsze od kaszlu. Nie wiadomo, co z tego mogło dotrzeć do uszu uwięzionych na piętrze Szwedów. Przypuszczalnie najpierw usłyszeli przesuwanie mebli i kilka zdań wypowiedzianych po angielsku, a później tylko słowa Koranu.

Dwaj mężczyźni wyglądali raczej na zrezygnowanych niż wystraszonych. Śmierć nie była dla nich niczym zaskakującym. Zupełnie inaczej odebrał to młody chłopak, który z niedocieczonych powodów nie miał tego wieczoru warty.

Od tej chwili wszystko powinno się już potoczyć zgodnie z planem.

— Rozumiecie po angielsku? — spytał, starając się nie zagłuszyć Koranu.

Skinęli głową. Starsi, kuzyni al Latifa, którzy mieli później umrzeć, posepnie, chłopiec energicznie, jakby strach przydał tempa jego ruchom.

— Jestem Szwedem, negocjacje dobiegły końca — podjął Carl i umilkł, spodziewając się gwałtownych reakcji i gróźb pod adresem zakładników. Żaden się jednak nie odezwał.

— Nie chcemy przelewu krwi, zależy nam tylko na odzyskaniu naszych ludzi. Nic nas nie obchodzi, jak załatwicie sprawę z OWP — skłamał, uznawszy, że wszystko spoczywa teraz w jego rękach. — Ty tam — zwrócił się do chłopca — jesteś spokrewniony z tymi facetami?

Chłopiec spuścił głowę, jakby zbierało mu się na płacz. Carl nie potrafił zrozumieć tej reakcji. Pomyślał, że muszą się chyba teraz czuć straszliwie upokorzeni, bo tak łatwo dali się podejść. Z całkowitym spokojem, bez najmniejszych oznak niepewności odpowiedział mu Taheer. Ku zdumieniu Carla miał melodyjny, piękny głos.

— Karim jest moim synem. To jeszcze dziecko, które we wszystkim słucha ojca. Dlatego oferuję swoje życie za jego.

Carl, zbity z tropu, błędził spojrzeniem od jednego do drugiego.

— Zrobimy tak — zaczął z wysiłkiem, starając się ukryć wahanie. — Ty, Karim, pójdziesz na górę i uwolnisz zakładników. Odprowadzisz ich do samochodu i wrócisz. Jeśli nie wrócisz, będę musiał zabić twojego ojca. Zrozumiałeś?

Chłopiec gorliwie skinął głową.

— Nie, Karim, powtórz po angielsku, co powiedziałem.

Chłopiec znów skinął głową, nie zamierzał jednak się odezwać, dopóki ojciec go nie ofuknął.

— Ja wziąć zakładnik, uwolnić zakładnik, wyjść z nimi do samochód. Oni usiąść, samochód odjechać, a ja musieć wrócić — wydukał zdenerwowany.

— Dobrze, Karim. Wyprowadzisz ich tylnym wyjściem, nie powinni nas widzieć, bo mogliby się przestraszyć. Rozumiesz?

— Wyjść tyłem... powiedzieć, że są wolni?

Chłopak zaczynał brać się w garść, może wstąpiła w niego nadzieja, że nie umrze.

— Tak, Karim. Powiesz im, że pojedą do hotelu w Bejrucie, gdzie czekają na nich szwedzcy dyplomaci. A potem wracaj, żebyśmy już nie strzelali. Nie próbuj uciekać, Karim, bo jest nas tutaj więcej. Moi szwedzcy koledzy musieliby cię zabić, a ja musiałbym zabić twojego ojca i kuzyna. Wszystko rozumiałeś?

Chłopiec szybko powtórzył jego słowa po angielsku. Carl wolno przytakiwał.

— No, Taheer, masz jakieś uwagi?

— Co z nami zrobicie? — spytał posępnie starszy mężczyzna.

— Dotrzymam wam towarzystwa, dopóki samochód nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Potem odejdę i wasza w tym głowa, jak sobie dalej poradzicie. Rząd szwedzki jest zainteresowany wyłącznie uwolnieniem naszych ludzi. Wami się nie przejmujemy, już nam zapłaciliście.

Carl wskazał na dwóch zastrzelonych mężczyzn.

— Nasza pozycja nie jest zbyt mocna — wymruczał Taheer i uśmiechnął się lekko z niezamierzenie komicznego eufemizmu.

— Owszem, nie jest — potwierdził Carl i powiadomił Mounę, że faza trzecia skończona.

— Zapamiętaj jedno, Karim — zwrócił się do chłopca. — Jeśli zrobisz zakładnikom coś złego, najpierw umrą twój ojciec i kuzyn, a potem ty. Jasne?

Karim już otwierał usta, ale Carl odprawił go machnięciem ręki. Jednocześnie usłyszeli podjeżdżający pod dom samochód.

Gdy chłopiec wyszedł z pokoju, Carl wyłączył radio i nakazał mężczyznom milczenie.

Nasłuchiwał. Z góry dobiegały strzępy rozmowy. Nie rozróżniał słów. Nikt jednak nie wydawał się wzburzony, nie było więc na razie powodów do niepokoju.

Po chwili na schodach rozległy się kroki. Padło kilka zdań po szwedzku. Poczł w tym momencie ogromną ulgę, jakby wszystko się już skończyło. Szybko sobie jednak przypomniał, że niestety tak nie jest.

Dobiegł ich trzask drzwiczek mercedesa i ledwie samochód ruszył, do pokoju wszedł Karim, po chwili wahania usiadł obok ojca, a po kolejnej chwili splótł dłonie na karku.

Carl patrzył na nich markotnie. Dał znać Mounie, że można przystąpić do fazy piątej.

Zastanawiał się, o czym myślał. Żyli, oddychali i przypuszczalnie mieli nadzieję. Przykre. Zwłaszcza jeśli chodzi o chłopca. Przecież to nieważne, że mógłby opowiedzieć znajomym, jak się wszystko odbyło. Był Palestyńczykiem, sprawiał wrażenie inteligentnego dziecka i wykonywał jedynie polecenia ojca. Jakiego arabskiego siedemnastolatka można za to winić, który z nich sprzeciwiłby się woli ojca? Nawet siedemnastoletnia Mouna nie postąpiłaby inaczej, równie dobrze to ona mogłaby tu teraz siedzieć i oddychać z coraz większą ulgą, mimo że na podłodze leżeli martwi ludzie.

Mouna zapukała do drzwi, tak jak się umówili, i weszła do pokoju z goglami w dłoni. Zmrużyła oczy. Miała na sobie połowy mundur w barwach ochronnych. Na naramiennikach widniały orzeł i gwiazdka. Jej postawa nie pozostawiała cienia wątpliwości, kto jest dowódcą. Carl z trudem powstrzymał się od oddania honorów należnych przełożonym.

Gdy wymienili krótkie spojrzenia, podeszła do niego i pstryknięciem palcami zażądała amerykańskiego pistoletu.

Dopiero teraz dwaj mężczyźni zaczęli rozumieć, co się święci. Chyba Mounę poznali, a jeśli nie, jej mundur rozwiął ich złudzenia. Na lewym rękawie miała znaczek palestyńskiej służby wywiadowczej i cyfrę siedemnaście, symbol gwardii osobistej Yassera Arafata.

Carl podniósł się ciężko i ruszył do wyjścia. Taheer zalał Mounę potokiem słów. Gdy Carl był przy drzwiach, usłyszał zdławione kasznięcie Ingrama. Trzy razy cztery.

Sześć plus dwanaście, osiemnaście, w magazynku zostało dwanaście naboju, pomyślał odruchowo. Przystanął na werandzie, spojrzał w rozgwieżdżone pogodne niebo i głęboko wciągnął powietrze. Podeszedł później do martwego strażnika, zarzucił go sobie na ramiona i schylił się po automat leżący obok beczki.

Kręgosłup nieboszczyka chrzęścił i trzeszczał. Najwyraźniej go przeciął. To się czasem zdarza. Pamiętał takie sytuacje z ćwiczeń, kiedy wprawiali się na uśpionych świniach.

Złożył wartownika obok ciała chłopca, jego ojca i kuzyna. Mouna była już chyba na górze i szukała dokumentów.

Usiadł na krześle i chwilę przyglądał się zabitym. Wszyscy z wyjątkiem Karima leżeli na brzuchu. Karim miał otwarte oczy, mogło się wydawać, że żyje. Gdyby on trzymał wartę, Carl bez wahania zadałby mu cios w kręgosłup. Musiał to przecież załatwić po cichu.

Ale tak? To zupełnie co innego.

Mouna zeszła z torbą w rękę, najwyraźniej znalazła to, czego szukała. Znaczącym gestem uniosła gogle i zgasiła światło. Carl włożył swoje. Blask księżyca odbijał się ostro w oczach Karima, przydając im wyrazu nagany.

Carl wolno się podniósł i ruszył za Mouną. Kiedy wrócili do swojego pokoju, przesłał krótką wiadomość. „Zakładnicy wolni po udanych negocjacjach. Za godzinę będą w hotelu »Summerland«. Likwiduję stanowisko. Koniec”.

Spakowali sprzęt, który zanieśli do samochodu dwaj podwładni Mouny z grupy rezerwowej. Mouna dopiero teraz przyznała się, że wbrew ustaleniom zdecydowała się na dodatkowe posiłki. A konkretniej na całą palestyńską kompanię, składającą się z dwudziestu mężczyzn.

## 6

Samuel Ulfsson, jeśli nie liczyć palenia, był zwolennikiem umiaru. Nawet w życiu uczuciowym. Pod tym względem niczym się nie różnił od typowych Szwedów. Dobre wiadomości nie wprawiały go w nagły optymizm, nie wpadał też w rozpacz, kiedy dowiadywał się o coś strasznym.

Ludzi, z którymi współpracował ani nie nienawdził, ani nie kochał — mimo że w tym fachu dziwaków nie brakowało — i rzadko odczuwał coś w rodzaju osobistej sympatii lub antypatii do nieustannie nachodzących go mężczyzn, którzy siadali przed nim i donosili o mniej lub bardziej tajnych sprawach, lepiej lub gorzej je motywując.

Wyjątek stanowił Henrik P. Näslund, szef wydziału E do zwalczania szpiegów i terrorystów, nazywanego niegdyś Biurem B, który mieścił się w małpiarni na Kungsholmen, jak Samuel Ulfsson i jego koledzy zwykli między sobą mówić o służbie bezpieczeństwa, najmniej efektywnej i potwornie niekompetentnej instytucji w państwie. Jej działalność polegała mianowicie na niewywiązywaniu się z obowiązków, czyli ujmując rzecz prościej, nigdy nie udało im się złapać ani jednego szpiega.

Teraz wreszcie dopięli swego. Szpieg ochrzczony przez Rosjan przydomkiem Paw przyznał się do winy. Na podstawie informacji od Rosjan za pośrednictwem podstawionego Tristana i sir Geoffreya z MI6 całkowicie samodzielnie doszli do wniosku, że powinni podejrzanego przesłuchać i starannie przeszukać jego mieszkanie. Akcja przyniosła rezultaty. Obecnie pertraktowali z Pawiem o immunitecie, a z rządem o zgodzie na takie rozwiązanie. Była to sprawa między małpiarnią a politykami, toteż Samuel Ulfsson nie widział najmniejszych powodów, by dzielić się z Näslundem swoimi spostrzeżeniami.

— To wasza sprawa, nie będziemy się wtrącać w wasze układy z politykami — oświadczył, starając się nadać głosowi ton całkowicie obojętny, wykluczający jakiegokolwiek podteksty.

Näslund wyjął metalowy grzebień i przesunął nim energicznie po szesanych do tyłu włosach. Zwykł to robić, kiedy się nad czymś zastanawiał, najwyraźniej kompletnie sobie nie uświadamiając, jak inni odbierają ten jego zwyczaj.

— Jak wiesz, mamy dobre kontakty z Anglikami — zaczął Näslund.

Było oczywiste, że ukrywa coś w zanadrzu.

— My zajmujemy się wywiadem, wy bezpieczeństwem, co wydaje się dość rozsądne — odparł Ulfsson wymijająco.

— Właśnie — podchwycił Näslund, chowając grzebień.

— Nasze źródła w MI5 donoszą, że w raporcie Tristana jest mowa o dwóch innych agentach noszących pseudonimy Osprey i Seahawk, czyli Rybołów i Wydrzyk.

— Wydrzyk?

— Tak, to taki ptak, która gania mewy i zmusza je, żeby zwróciły wszystko, co mają w wolach. Rodzaj powietrznego pirata. Myślałem, że o tym wiesz.

— Owszem, czasem je widywałem. Zapuszczają się dość daleko w morze. Interesujące ptaki.

— No dobrze, ale nie przyszedłem tu rozprawać o ornitologii.

— Nie ja zacząłem.

— No?

— Co, „no”?

— Czy u was też są wtyczki?

— Nie sądzę. Ale oczywiście nigdy nic nie wiadomo. U was kilku siedziało przez dwadzieścia lat, jeśli nie przez trzydzieści.

— Kto kryje się pod pseudonimami Osprey i Seahawk? Żarty się skończyły. Samuel Ulfsson poczuł nieprzepartą chęć zapalenia papierosa. Musi się zdecydować. Kłamać, powiedzieć prawdę, czy wymyślić coś pomiędzy.

— Sprawy tak się mają — zaczął, ciągle niezdecydowany — że w raporcie Tristana rzeczywiście wymieniono jeszcze dwie osoby, ale na podstawie niezbitych dowodów doszliśmy do wniosku, że to nieprawda.

— Więc Tristan nie kłamał tylko w wypadku naszego człowieka?

— Do takiej opinii się skłaniamy.

— Podejrzenia o szpiegostwo to sprawa policji bezpieczeństwa.

— Zależy od stopnia ich zasadności. Jeśli są słabo umotywowane, możemy się tym sami zająć, a jeśli masz zastrzeżenia, zwróć się do rządu. Sądzę jednak, że rząd nas poprze. Zresztą dostaliśmy już jego opinię w tej sprawie. Podziela nasze zdanie co do jednej osoby.

— Chodzi o Seahawka?

— Tak.

— Czyli z Ospreyem jeszcze nic pewnego?

— Tego bym nie powiedział.

— A po co wam wyniki przesłuchań naszego człowieka o jego związkach z Sandströmem?

— Przeprowadziliście je?

— Tak. Mam tu protokoły. Wasze hipotezy były chyba słuszne. Chciałbym jednak poznać powód.

— Powód, dla którego szukaliśmy związku między Sandströmem i waszym człowiekiem?

— Naturalnie.

Näslund z trudem ukrywał irytację lub może zniecierpliwienie, co Samuel Ulfsson był w stanie zrozumieć. Na dokładkę nie uda mu się wykręcić od wyjaśnień, zwłaszcza że powiązania między ich szpiegiem a Sandströmem okazały się oczywiste. Pora na szczerą, acz w określonych granicach.

— Sądźmy, że informacje Tristana pochodzą od Sandströma, zarówno jeśli chodzi o waszego Peacocka, jak też naszego Seahawka i Ospreya. Z tą tylko różnicą, że Peacock rzeczywiście jest szpiegiem. Do czego się zresztą przyznał. Mamy powody przypuszczać, że Sandström siedzi w Moskwie i pracuje dla Rosjan. Operacja w rosyjskim stylu. Chcą u nas namieszać.

Näslund milczał. Wydawało się, że znów wyjmie grzebień, ale w ostatnim momencie najwyraźniej się rozmyślił.

— Jeśli tak, to załatwili swojego człowieka.

— Nie da się ukryć.

Näslund intensywnie się zastanawiał. Jego wysiłek umysłowy był niemal widoczny.

— Trudno uwierzyć — rzekł w końcu — by chcieli poświęcić prawdziwego szpiega tylko po to, żebyście pomyśleli, że roi się u was od wtyczek. A poza tym Tristan wsypał swoją siatkę w Anglii. Ktoś bardziej podejrzliwy ode mnie doszedłby raczej do przekonania, że chcecie uchronić własną firmę przed skandalem. Czy też prowadzicie negocjacje w sprawie immunitetu?

Näslund był zadowolony, jakby wreszcie udało mu się przejrzeć całą sprawę. Samuel Ulfsson powstrzymał się od przytaknięcia, żeby zakończyć tę dyskusję. Wyobraził sobie nagłówki gazet. W małpiarni nikt nie miałby zahamowań przed ujawnieniem tego i owego, zwłaszcza gdyby sami czuli się naciskani.

— Nie — odparł demonstracyjnie cierpko. — Nie rozmawiamy o immunitecie. Bardzo głęboko przeanalizowaliśmy dane i jak powiedziałem, rząd w znacznej mierze podziela naszą ocenę. Tristan częściowo kłamie i częściowo trzyma się prawdy. To, co dotyczy jego siatki i waszego człowieka, jest prawdą, a to, co dwóch osób od nas, jest kłamstwem. Tak to wygląda.

— I ja mam w to uwierzyć?

— Tak. Taka jest nasza opinia w tej sprawie. I rządu. Jeśli coś się zmieni, oczywiście zwrócimy się do policji. Na razie nie ma ku temu powodów.

— To wasz obowiązek.

— Co?

— Zwracać się do policji z takimi podejrzeniami. To my decydujemy, co można skreślić, a czego nie.



Näslund ani myślał się poddać. Samuel Ulfsson miał tylko jedną odpowiedź.

— Coś ci się nie podoba, odwołaj się do rządu. Jeśli pojawi się coś godnego uwagi policji, odezwiemy się.

Przyłapał się na tym, że zaczyna być agresywny. Nie powinien dać się sprowokować.

Näslund milczał. Chyba miał już dosyć, bo otworzył wreszcie teczkę, położył na uprzątniętym, wolnym od śladów tytoniu biurku Ulfssona brązową teczkę z napisem „Główny Zarząd Policji”, skinął głową i wyszedł.

Ulfsson natychmiast rzucił się do czytania protokołów. Wszystko się zgadzało. Odetchnąwszy z ulgą, odruchowo rozejrział się za papierosami.

Przez interkom polecił sekretarce, żeby ściągnęła DG. Ale ten stary puchacz już do niego szedł, jakby wiedział, kiedy Näslund wreszcie się odczepi i wyniesie.

Ulfsson przeniósł się do małego stolika pod obrazem przedstawiającym feldfebla i przymusowo zwerbowanego do wojska parobka. Ledwie położył przed sobą papiery Säpo, zjawił się wyjątkowo zadowolony DG. Puchaczowi brwi przesłaniały spory kawałek czoła.

— Od kiedy jesteś przeciwnikiem okrutnych eksperymentów na zwierzętach? — rzekł na powitanie.

— Słucham? — zdziwił się Ulfsson, nie wiedząc, czy nie powinien się przypadkiem rozeźmiać.

— Nie widziałeś? — z niezmiennie radosną miną podjął DG, usiadł i wziął dokumenty z małpiarni. — Tuż nad guzikiem, który trzeba wcisnąć, żeby uzyskać informację, czy wolno do ciebie wejść, czy też rozmawiasz przez telefon i trzeba poczekać, wisi malutkie polityczne hasło. „Przeciwko okrutnym eksperymentom na zwierzętach”. Po niemiecku. No tak, oczywiście się zgadza, można się tego było spodziewać, a ci z małpiarni pewnie nic nie rozumieją.

DG czytał protokoły, trzymając je tuż przy twarzy, z okularami na czole.

— Nie korzystam z tego guzika i nic nie zauważyłem. Po niemiecku?

— Yhm. Jeszcze lepsza sentencja wisi nad guzikami przy drzwiach prowadzących na korytarz niewolników. Tego też nie widziałeś?

DG czytał szybko i pobieżnie, jakby chodziło o potwierdzenie rzeczy oczywistej.

— To angielski aforyzm — podjął DG, nie doczekawszy się odpowiedzi — chyba już go kiedyś słyszałem. Całkiem niezły. Nad kodem. Nie zwróciłeś uwagi?

— Nie. A co tam jest napisane?

— W wolnym tłumaczeniu brzmiałoby to mniej więcej tak: „Szpiegostwo to jeden z dwóch najstarszych zawodów świata. Tyle że w tym drugim jest mniej amatorów i większa moralność”. Dość dobrze przystaje do dzisiejszych wprawek, co?

— Nie, nie widziałem. Owszem, całkiem dobrze.

DG skończył lekturę i wsunął okulary do kieszonki marynarki.

A potem podsumowali sytuację.

Po pierwsze, Sandström pracuje w Moskwie. Dokumenty z małpiarni potwierdzały to, o czym chcieli się upewnić. Sandström odwiedził Pawia w tym czasie, kiedy były śwynie. Poza tym ci dwaj szpiegowie nie mieli z sobą nic wspólnego.

A więc Rosjanie wyspali jednego ze swoich. Wkrótce wybierał się na emeryturę, więc nie mieliby z niego większego pożytku. Z jakiegoś powodu uznali, że Tristan powinien być maksymalnie wiarygodny, i dlatego poświęcili więcej swoich agentów, a wśród nich przynajmniej jednego ważnego. Strasznie im zależało na tym, by szwedzka armia pozbyła się Hamiltona, popadła w stan rozprzężenia, zwątpiła w Big Red i w prawdziwość informacji Koskova.

Gdyby im się udało, sparaliżowałiby na jakiś czas szwedzki wywiad wojskowy. Pewnie taki był mniej więcej motyw operacji Tristana.

Siedzący w Moskwie Sandström oznaczał duże obciążenia finansowe na kilka ładnych lat. Czeka ich nie tylko rekonstrukcja informacji strategicznych, jakimi dysponował, ale przegląd wszystkich kręgów jego znajomych w wojsku i w policji, żeby się odpowiednio zabezpieczyć przed nowymi prowokacjami.

Mogli oczywiście dać Rosjanom do zrozumienia, że wiedzą o poczynaniach Sandströma. Ale to rozwiązywałoby jedynie problemy psychologiczne i przypuszczalnie zapobiegło fałszywym oskarżeniom o szpiegostwo, fabrykowanym w takim sposób, jak te teraz.

Ponury aspekt całej sprawy stanowiły naturalnie pieniądze. Rzecz nieunikniona.

Pieniądze mogą uzyskać od ÖB, który z kolei musi je wyciągnąć od polityków. A politycy nie zapłacą za gdybanie, że Sandström jest zatrudniony w GRU. Nie dadzą nic, dopóki nie dostarczą im się dowodów. A o dowodach nie ma raczej co marzyć.

— Chyba że się Sandströma sfotografuje — stwierdził nagle DG. — Znamy przecież jego adres.

Zaczął szukać papierosów, ale na myśl o trudnej walce z nałogiem Ulfssona zrezygnował i przystąpił do referowania.

Można by upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, robienie cichcem zdjęć szwedzkiemu szpiegowi na peryferiach Moskwy trudno uznać za zadanie dla podstarzałych pułkowników z wojskowego ataszatu. Po drugie, trzeba udowodnić Rosjanom, że ich prowokacja spaliła na panewce. Radzieckiego szpiega nie mianuje się raczej attaché wojskowym. Po trzecie, Carlowi dobrze by zrobiła spokojna praca, z dala od przykrości, jakie go ostatnio spotykały.

Bo gdy się bliżej zastanowić, pozostawienie Hamiltona w tajnej komórce specjalnej nie byłoby teraz najszcześniejsze. A praktyka w charakterze attaché marynarki wojennej bardzo by mu się przydała. Zresztą to właśnie Sam decyduje o nominacjach.

I w ten sposób udowodniliby nie tylko Rosjanom, ale i Hamiltonowi, że armia darzy go całkowitym zaufaniem. ÖB mógłby może o tym wspomnieć?

Samuel Ulfsson zastanawiał się, a DG nie próbował go przynaglać.

To naturalnie zaskakująca propozycja. Rosjanie raczej się nie odważą tknąć Hamiltona, ponieważ nie obyłoby się bez rozgłosu, wyszłaby między innymi na jaw sprawa Big Red, czego bodaj najmniej by sobie życzyli.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, przywrócenie Hamiltona do tajnej służby nie należałoby do rzeczy prostych. Poza tym rosyjski personel operacyjny dostarczał mu w Sztokholmie mnóstwa dodatkowych zajęć. A przecież niedługo pojawią się w OP5 nowi ludzie i byłoby lepiej, gdyby się zainstalowali w ciszy i spokoju, zamiast zaprzętać sobie głowę prześladowcami Hamiltona.

Zdjęcie Sandströma rozwiązałoby całą masę kłopotów praktycznych i finansowych, choćby kwestię dotacji dla wywiadu, o którą musieliby prosić ÖB. A ÖB polityków.

Tak, to dobry pomysł. Nawet więcej, to znakomity pomysł.

— Jesteś przywiązany do tego chłopaka? — spytał Ulfsson, nie zdradzając się z wnioskami, do których doszedł.

— Tak — z westchnieniem odparł DG. — Bardzo. Nie tylko dlatego, że sam to wszystko wymyśliłem. Uważam, że spoczywa na nas pewnego rodzaju odpowiedzialność, czysto ludzka. Wskutek splotu przeróżnych okoliczności sporo przeszedł w ostatnich latach.

— Jak on się twoim zdaniem czuje?

— Trudno powiedzieć. Podczas zadania potrafi się skoncentrować wręcz niesamowicie, upodabnia się wtedy do swoich komputerów. To chyba jedna z cech jego osobowości. Bardzo go to jednak niszczy i kiedy nie pracuje, popada w depresję.

— Niepokoisz się o niego?

— Kiedy nie pracuje, tak. To znaczy mam na myśli pracę w jego rozumieniu. Tej papierkowej dłubaniny za taką nie uważa.

— Ale świetnie sobie z tym radzi.

— Tylko tego brakowało, żeby było inaczej. Jest lepiej wykształcony niż ktokolwiek z nas, a poza tym ma głowę nie od parady. Nie jest wprawdzie geniuszem, ale bystry z niego chłopak.

— Więc w Moskwie trochę sobie wypocznie i popracuje?

— A my załatwimy sprawę, dzięki czemu odpadnie nam część kłopotów.

— Owszem. Ciekawe, czy zaakceptuje to ÖB.

— Twoja w tym głowa, żeby go przekonać.

— A jak ty go przekonywałeś?

— Zwykle informowałem po fakcie. Nigdy jednak nie mianowałem attaché wojskowych. Myślisz, że związki złączą rozrabiać?

— Jasne, że tak. Ile on ma lat?

— Trzydzieści cztery. Niewiele jak na komandora podporucznika.

— Komandora podporucznika?

— Mógłbyś to zaproponować ÖB, w którego gestii leży podejmowanie decyzji o wyjątkowych awansach. Jako wyraz naszego uznania, to znaczy uznania armii. Szykownie będzie się prezentował na balach... Z orderem Legii Honorowej i tak dalej.

— Czy rząd to kupi? Nowych attaché musi przecież zatwierdzić minister obrony.

— Posłali go do Libanu w charakterze zastępcy attaché. Zakładnicy zostali uwolnieni wczoraj wieczorem. Niedługo wróci do kraju.

— W końcu wszystko poszło gładko. Pozostaje nam wierzyć, że wywiązał się z zadania bez zarzutu i obejdzie się bez komplikacji.

— Miał tylko zdobyć informacje i najwyraźniej to zrobił. Ale co sądzisz o projekcie?

— Chyba się uda. Wydaje mi się, że przekonam ÖB.

— A związki?

— To sprawa ÖB. Ze zgodą ÖB negocjacje są zazwyczaj krótkie.

— A Rosjanie?

— Nie rozumiem.

— Chyba zatwierdzą nowego attaché?

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Samuel Ulfsson gruchnął śmiechem. Nie wyobrażał sobie, by Rosjanie mogli mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia wobec nowego attaché. W każdym razie nie takie, o których chcieliby otwarcie porozmawiać.

\* \* \*

Nad Smalandią wisały wysokie na milę formacje chmur, przypominające strzeliste wieże katedralne. W zawrotnie przepastnej szczelinie Carl dostrzegł nagle Ölandsbron. Samolot z Damaszku wreszcie dotarł nad terytorium Szwecji. Jeśli to w ogóle miało jakieś znaczenie.

Z głową przy oknie podziwiał kształty chmur i usiłował nie myśleć. Niedługo wszystko się skończy, jeszcze kilka godzin i koniec, jeszcze jeden drobiazg i ostatnia operacja zamknięta.

Widział ją przed sobą bardzo wyraźnie. Siedziała na skalistym brzegu, z kolanami pod brodą. Tuż obok ktoś łowił ryby długą wędką z ciężarkiem. Nigdy nie widział, żeby komukolwiek udało się tutaj coś złapać, nie miał nawet pojęcia, jakie tu są ryby.

Była w pielęgniarskim stroju, on w dzinsach. Obeszli sale szpitalne w obozie dla uchodźców. Od czasu do czasu robił notatki, udając dziennikarza. Nawet kiedy znaleźli się nad brzegiem, ciągle trzymał bloczek w dłoni.

Ostre słońce zaczerwieniło jej oparzony policzek. Nie umiał podjąć tematu. Było już po wszystkim, niczego się nie da odwrócić. W końcu zdobył się tylko na jedno słowo:

— Karim?

Milczała. Spłotła dłonie na łydkach, brodę wsparła na kolanach, trudno było ją sobie wyobrazić w cętkowanym mundurze polowym z dystynkcjami podpułkownika i siedemnastką

wyglądającą jak rzymskie IV. Ale jej życie, tak jak jego, polegało na symulacji, w której była dobra.

Świetnie rozumiała, o co pyta, długo jednak zwlekała z odpowiedzią, niekoniecznie dlatego, że musiała się zastanowić. Wolała udać namysł, żeby nie stwarzać wrażenia, że to dla niej łatwe.

Na terenach okupowanych Izraelczycy zabijają średnio jednego Palestyńczyka dziennie. Ze strategicznego i taktycznego punktu widzenia intifada usuwa w cień wszystko inne. Tymczasem mogłaby ponieść nieodwracalną stratę, gdyby tych dwóch szwedzkich lekarzy zginęło z rąk kilku szaleńców słusznie czy niesłusznie kojarzonych z OWP. Przystępstwo jest zdradą i decyzję podjęło najwyższe dowództwo OWP w Tunisie. Tak się rzeczy mają pod względem czysto prawnym. Co do Karima, można naturalnie przyznać, że sprawa jest przykra, był przecież bardzo młody. Nikomu jednak nie wolno o niczym opowiadać, nikt się nie może dowiedzieć, że OWP miała cokolwiek wspólnego z porwaniem Szwedów. Zresztą porywacze nie należeli do OWP, to zdrajcy. Ci, którzy zostali przez Izraelczyków zastrzeleni, zatłuczeni pałkami, zagazowani, pochowani żywcem albo spaleni, byli niewinni. Ci, którzy działają na szkodę intifady, są winni.

Wcześniej czy później spotkałby ich ten sam los, może tylko zginęliby mniej przyjemnie.

Carl nic nie mówił. Pogrążył się na chwilę w dręczących wspomnieniach. Najpierw widział wszystko w kolorach i w zwolnionym tempie, dopiero po akcji tempo wzrosło i zniknął kolor. Dopiero kiedy zabił, uwolnił się od wątpliwości, zupełnie jakby bardzo szybko prowadził samochód, w pełnej koncentracji, nie odczuwając strachu ani podniecenia.

A teraz wszystko wróciło. Wiedział, że nigdy nie zapomni szeroko otwartych oczu Karima, jakby ktoś je przyspawał do miedzianych płytek jego pamięci. Zawsze to w nim będzie, w kolorze, w spowolniałym tempie, kryształowo wyraźne.

Przeszła do spraw bardziej praktycznych, wiedziała chyba, że w ten sposób pozwoli mu się otrząsnąć z bierności i wybawi od smutku. Najpierw drobiazgi. Nadajnik może zostawić w palestyńskim sklepie z pamiątkami na bazarze Hammediyah, trafi bez problemów, był tam wielokrotnie. Pistolet zwróci po zorganizowaniu transportu do Damaszku.

I wreszcie koszty polityczne.

Nie miał nic przeciwko temu. Dowiedzieli się z radia, że zakładnicy są w Europie, jeszcze jeden przelot i będą w Szwecji. Naturalnie bierze na siebie koszty polityczne, rachunek między nimi mniej więcej się wyrówna. Rzecz jasna wspiera ruch palestyński, zawsze go wspierał, przynajmniej odkąd się znają. Zrobi to.

Kiedy zmienił ton na bardziej osobisty, zaczęła się wykręcać. Na pytanie, dlaczego nie wyszła za mąż, odpowiedziała, że tak jak Arafat wzięła ślub z rewolucją, pełni taką funkcję, że każdego dnia może zginąć, trudno w takich warunkach być matką i żoną, nie potrafi sobie zresztą wyobrazić siebie w roli posłusznej palestyńskiej małżonki.

Rozbawiwszy go tym ostatnim wyjaśnieniem, podniosła się i oświadczyła, że pora się przygotować do wyjazdu.

Z zamyślenia wyrwało go uderzenie gumowych kółek samolotu o asfaltowy pas. Mignęły mu przed oczyma połyskujące aluminium budynki terminalu.

Czekając na walizkę, zawierającą jedynie brudną bieliznę i nieco więcej polowych ciuchów, niż należałoby się spodziewać w bagażu szwedzkiego dyplomaty, zatopił się w myślach. W hali przylotów było dość tłoczno, Szwedzi na urlopie, karni podatnicy, niby tacy sami jak on, dumał sennie, a jednak bardziej obcy niż Mouna i jej podwładni. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby spytać, czy mógłby zostać w jej oddziale. Kiedy siedzieli nad brzegiem, wydawało się rzeczą oczywistą, że jest kimś z innej gliny, kimś w rodzaju przyzwoitego Szweda. Ale wśród prawdziwych przyzwoitych Szwedów wszystko wyglądało inaczej.

Wyszedł zielonym przejściem, żaden celnik nawet na niego nie spojrzał. Tym razem nie miał kompletnie nic godnego uwagi.

Udał się wprost do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z taksówki powiadomił telefonicznie o swoim przybyciu. Przyglądał się potem bezmyślnie letniemu szwedzkiemu krajobrazowi. Pasące się krowy, czerwone obory, kamienne kościoły.

Zostawił walizkę na wartowni, sam powędrował do Sormana i nacisnął guzik. Natychmiast zapłonęło czerwone światelko.

Najpierw krążył po wyłożonym perskim dywanem pustym korytarzu, potem usiadł zniecierpliwiony na skrzypiącym rokokowym krześle, przy czarnym marmurowym stoliku o złożonych nogach. Sekretarka przyniosła mu kawę w plastikowym kubku i trzy pierniczki na plastikowym talerzyku z malutką niebieską serwetką. Bez słowa wręczył jej dwanaście dolarów. Dopiero po chwili wyjaśnił, że zwraca resztę pieniędzy, które dostał na podróż, i chciałby otrzymać pokwitowanie. Gdy wpatrywała się w banknoty z lekkim obrzydzeniem, jakby zupełnie nie pasowały do pomieszczeń ministerstwa, pomyślał, że przynajmniej one są czyste i nie pomięte, nie poplamione krwią ani żadnym paskudztwem. Odeszła, trzymając pieniądze w wyciągniętej dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym. Najchętniej niosłaby je pewnie pałeczkami.

W końcu zaświeciło zielone światelko i Carl ruszył ku białym wysokim drzwiom prowadzącym bezpośrednio do gabinetu Sormana.

— Witaj w kraju. Siadaj, proszę. Mam nadzieję, że miałeś dobrą podróż — chłodno i oficjalnie przywitał go Sorman, wskazując ręką błękitne krzesło przy biurku.

Nawet sobie nie podali dłoni.

— Zakładnicy wrócili i wszystko, jak przypuszczam, jest w porządku? — odezwał się Carl, żeby jakoś zacząć.

Teraz pora na rozliczenie się z kosztów politycznych, co ku własnemu zdumieniu uznał za wcale przyjemne, chyba dlatego, że instynktownie nie lubił Sormana.

— Tak, zakończenie pomyślne, wszystko dobrze — potwierdził podsekretarz stanu ze sztucznym uśmiechem. — Wygląda na to, że poszło gładko.

Carl parsknął niepohamowanym śmiechem. Sorman spokojnie czekał na wyjaśnienia.

— Zakładnicy zostali uwolnieni dzięki wspólnym wysiłkom. Byłem na miejscu razem z oficerem wywiadu OWP. OWP prosiła, żebym cię o tym powiadomił. Ponieważ upływał termin wyznaczony przez porywaczy, ich warunki okazały się nie do przyjęcia i obserwując ich, spostrzegliśmy, że są coraz bardziej zdenerwowani, uwolniliśmy zakładników z użyciem siły. To właśnie miałem ci przekazać.

Carl odchylił się na krześle. Spodobała mu się ta sytuacja, z przyjemnością patrzył, jak znakomicie dotąd opanowany Sorman traci pewność siebie i intensywnie się zastanawia nad tym, co usłyszał i o co właściwie powinien spytać. Carl z rozbawieniem obserwował jego duszne zmagania, wcale tego nie ukrywając.

— Chcesz powiedzieć, że uwolniliście zakładników siłą?

— Tak. Porywaczy było tylko sześciu, żadna większa organizacja.

— Co się z nimi stało?

— Zastrzeliliśmy ich.

— Wszystkich?

— Tak jest.

— Brałeś w tym udział?

— Tak. Wszedłem do akcji pierwszy. Zlikwidowałem strażnika, a potem zabiłem jeszcze dwóch w środku i opanowałem sytuację. Potem włączyła się OWP. Operacja dobrze przeprowadzona taktycznie. Zanim uderzyliśmy, dokładnie wszystko rozpracowaliśmy.

— A co się stało z resztą?

— Chodzi ci o porywaczy?

— Tak.

— Kiedy zakładnicy byli już bezpieczni, OWP pozbyła się ich.

— Byłeś przy tym?

— Nie. Pomogłem tylko posprzątać.

Peterowi Sormanowi pot wystąpił na czoło. Dobłą chwilę siedział w milczeniu, trawiając to, co usłyszał. Informacje były wprawdzie konkretne i jasne, ale niełatwe do przebrnięcia. Carl w dalszym ciągu bawił się sytuacją i nie odczuwał najmniejszego niepokoju. Nic mu nie mogą zrobić, boją się ewentualnego nagłośnienia, a nawet gdyby, wcale by się tym nie przejął.

Sorman pozbierał się wreszcie. Przeszło dwie minuty trwali w milczeniu, nim był gotów pytać dalej.

— Zakładnikom nic nie groziło? — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Nie... według naszego rozeznania raczej nie. Było ich zaledwie sześciu, ruszyliśmy dopiero wtedy, kiedy wszyscy zebrali się na parterze. Dom stał trochę na uboczu, co miało pewne zalety nie tylko dla porywaczy, ale i dla nas. Zakładników trzymali na piętrze, więc w chwili konfrontacji byli całkowicie bezpieczni. Prawdopodobnie wcale się nie zorientowali, co się stało, wątpię, żeby cokolwiek zrozumieli.

— Dlaczego?

— Słyszałem ich dość wesołe głosy, a poza tym nie widzieli tego całego kramu, w którym wtedy tkwiłem. Gdyby zobaczyli albo cokolwiek podejrzewali, nie rozmawialiby tak bez troski. Sądziłem, że wasza inicjatywa polityczna zakończyła się sukcesem.

Nie odmówił sobie lekko ironicznego tonu. Sorman, z trudem pohamowawszy wybuch wściekłości, kontynuował przesłuchanie.

— Czyżby nie słyszeli wystrzałów? To chyba mało prawdopodobne?

— Ani trochę — z demonstracyjnym spokojem, niemal nonszalancko odparł Carl. — Miałem dobrą wyciszoną broń, w którą zaopatrzyli mnie Palestyńczycy. Moim zdaniem w ogóle się nie połapali, co zaszło. A eliminacja pozostałych porywaczy odbyła się, jak już wspominałem, dopiero po wyjściu Szwedów. Zresztą nawet wtedy użyto tłumika. A zatem w Szwecji tylko my dwaj o tym wiemy.

Dlaczego, do cholery, mi o tym mówisz?! — po raz pierwszy wrzasnął Sorman.

Dlatego, że prosiła mnie o to OWP. Sam rozumiesz, że w zamian za pomoc byłem im winien przysługę, z czego się właśnie wywiązałem. Pieniądze zwróciłem twojej sekretarce. Część wyposażenia zostawiłem.

— Broń?

— Przecież wiesz, że nie brałem żadnej broni, zgodnie z twoimi instrukcjami. Zorganizowała ją OWP, a zostawiłem im trochę sprzętu, noktowizory i takie tam drobiazgi, nic nadzwyczajnego.

Peter Sorman podniósł się z wysiłkiem — Carl zauważył, że jak na swój wiek jest w znakomitej kondycji — i podszedł do okna. Role się zmieniły. Teraz Sorman musiał wytężyć umysł i rozmyślać nad moralnością, jeśli wiedział, co to takiego. Carl cierpliwie czekał, zaintrygowany, jak polityk poradzi sobie z sytuacją, która sądząc z wyrazu jego twarzy, była dość kłopotliwa.

Wreszcie odwrócił się od okna i oparł obiema dłońmi na parapecie.

— Po pierwsze — rzekł stanowczo — sprawa w żadnym wypadku nie może się wydać.

— Oczywiście. Niczego takiego nie planowałem — z lekkim uśmiechem zgodził się Carl.

Co on sobie wyobraża, pomyślał. Że polecę do „Expressen”?

— Po drugie, zostanie to między nami. Ja nie powiem nic rządowi, a ty niczego nie zdradzisz swoim szefom. Dobrze?

— Naturalnie — skłamał, nie wierząc ani przez moment w obietnicę Sormana.

— A po trzecie, ciekaw jestem, co wy wyprawiacie w tym OP5. Czy to ty byłeś przy porwaniu samolotu w zeszłym roku?

— Owszem. Rosjanin musiał dotrzeć do Szwecji. Takie dostałem instrukcje i wykonałem je.

— Zabijając dwóch porywaczy, a jednego biorąc do niewoli?

— Tak, na szczęście.

— Zastanawiam się, czy przypadkiem nie macie... czy nie mamy w Szwecji oficerów wywiadu, którym wolno... którzy są *licensed to kill*?

— Nie sądzę, aby jakakolwiek służba wywiadowcza na świecie miała jakieś specjalne licencje. Na przykład Anglicy mówią o prerogatywie, przyznanej im dawno temu przez władzę królewską, która w interesie narodu daje im prawo do wszystkiego.

— A jakie są wasze prerogatywy?

— Nie mamy żadnych. I bardzo dobrze. Jeśli operacja się powiedzie, nie będziecie narzekać, ani ty, ani nikt inny.

— A jeśli się nie powiedzie?

— Wtedy to już nie moja w tym głowa, żeby cokolwiek wyjaśniać i prosić o wybaczenie. Uważasz, że powinienem im raczej pozwolić zabić zakładników, niż zastosować... jak wy to nazywacie... niekonwencjonalne metody?

— Bez impertynencji, łaskawco. Nie ma z czego żartować. Ale jeśli wam się ubrdało, że możecie sobie jeździć po całym świecie i zabijać ludzi, wcześniej czy później dojdzie do politycznej katastrofy. Już z tym samolotem nie było łatwo. Chyba jesteś tego świadom.

— Tak, ale się udało. Teraz też. I nic nie wskazuje na to, byśmy znów się znaleźli w podobnej sytuacji. Chciałbym zwrócić uwagę, że nie są to działania rutynowe.

— Ile osób z OP5 dysponuje takimi możliwościami jak ty?

— Nie bardzo rozumiem.

— Więc powiem inaczej. Ile osób mogłoby przeprowadzić taką operację?

— Trzy.

— Trzy?

— Tak.

— Łącznie z tobą?

— Tak. Ja i jeszcze dwóch.

— Macie jakieś specjalne przygotowanie? Jeśli tak, kto o tym zdecydował?

— Mamy. A o to, kto zdecydował, spytaj dowództwo, bo ja nie mam prawa odpowiadać na takie pytania.

— Co ty wygadujesz?!

— Pytasz o tajne informacje wojskowe, których nie wolno mi zdradzać. Dlatego zwróć się na przykład do ÖB.

— Moim zdaniem to bezczelność.

— Żadna bezczelność. Podejrzewam, że moja służba dyplomatyczna dobiegła końca.

Carl wyjął paszport z tylnej kieszeni i rzucił go na biurko Sormana.

Sorman skinął głową, jakby coś potwierdzał albo uznał swoje przemyślenia za słuszne i mądre.

— Ani słowa, wszystko zostaje między nami — rzekł po chwili i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Wszystko zostaje między nami — powtórzył Carl, ściskając dłoń Sormana.

Na schodach poczuł się jak balon, z którego uszło powietrze. Teraz wszystko skończone.

Z niewiadomej przyczyny Sorman w ogóle nie spytał o tożsamość porywaczy ani o ich organizacyjną przynależność, jakby nie miało to najmniejszego znaczenia, dzięki czemu Carl nie musiał kłamać, żeby w całości spłacić swój dług.

Sprawa była jasna. OWP wyświadczyła Szwecji przysługę. Szwecja jest dłużnikiem OWP.

Odebrawszy walizkę od strażników, postanowił pojechać do domu. Na myśl o zdemolowanym mieszkaniu poczuł jednak wyraźną niechęć. Czy to w ogóle jest jego mieszkanie, czy raczej fasada dla szpiega, który ma sprawiać wrażenie bystrego faceta od nieruchomości? Brzegiem Strömmen poszedł w kierunku Riksbron i patrzył przez chwilę na człowieka w zielonej łodzi, który siedział z podrywką na rufie. Kiedy ją wyciągnął, na dnie trzepotał się leszcz. Zgromadzeni wokół gapie zaczęli nagle bić brawo.

Żał mu się zrobiło ryby umierającej wśród oklasków i spytał sam siebie, kto chciałby jeść martwego leszcza. Jak się go przyrzadza?

Minął most i doszedł do przejścia między dwoma budynkami parlamentu. Jak zwykle latem był zamknięty, chyba że przed wyborami dotrze do wiadomości obywateli jakiś skandal. Politycy zdawali się toczyć między sobą ostre boje.

U wylotu Västerlånggatan, gdzie paradowały chmary turystów w szortach, był sklepik tytoniowy, przed którym nagłówki popołudniówek obwieszczały pomyślne zakończenie dramatycznej przygody zakładników. Obok widniały duże zdjęcia przedstawiające szczęśliwie połączone rodziny.

Przyjrzał się tym dwóm mężczyznom, ich żonom i dzieciom. Widział ich po raz pierwszy, mimo że niespełna dwa dni temu dzieliło go od nich zaledwie kilka metrów. Prawdziwe rodziny, prawdziwi ludzie.

Kupił gazetę i ruszył Västerlånggatan. W połowie drogi do domu usiadł na ławce przed Domem Giełdowym obok cuchnącego uryną pijaczka w średnim wieku i zabrał się do czytania.

W gazecie królował niepodzielnie temat zakładników. Nie było tu nic, czego być nie powinno. Bardzo mgliście nadmieniano o tajemniczym i niezwykle zręcznym szwedzkim dyplomacie, co prawdopodobnie nie miało nic wspólnego z tym, czego początkowo się spodziewał.

Na jednej ze stron był artykuł o „kokainowym szwindlu socjałów” — kupił popołudniówkę prawicy, ponieważ zazwyczaj przekazywała opinie służby bezpieczeństwa — ale kiedy zaczął czytać, pogubił się. Kompletne szaleństwo. Czyżby rząd miał faworytów wśród socjaldemokratycznych bonzów, którzy z niewiadomych powodów mogli sobie dobierać policjantów na osobistych ochroniarzy?

Zastanawiał się chwilę, co też oznaczały owe „niewiadome powody”, wkrótce jednak doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi. Zwinąwszy gazetę, włożył ją do kosza i ruszył do domu.

Wolał nie myśleć, co zastanie w mieszkaniu, więc skoncentrował uwagę na podsekretarzu stanu Peterze Sormanie.

Jeden z najbardziej wtajemniczonych i najważniejszych ludzi w rządzie. Jeden z nielicznych, którzy wiedzieli o operacji Big Red. Nigdy nie brał udziału w nieczystych zapasach. I na dokładkę cynik pierwszej wody. Prawdziwa szara eminencja.

Sorman nie zaprzętał sobie tego dnia głowy ludźmi z pierwszych stron gazet. Myślał o politycznych sukcesach. Nie przejął się śmiercią Karima, wolałby jednak, żeby nie wyszło na jaw, że do rozwiązania tego problemu przyczynił się ktoś jeszcze prócz UD [UD — Utrikesdepartementet — szwedzkie Ministerstwo Spraw Zagranicznych (przyp. tłum.)]. Może trzydzieści lat w dyplomacji albo w tajnej służbie robi swoje. Carl zaczął liczyć. Spędził w firmie przeszło dziesięć lat. Zniszczyła jego osobowość, zmieniła życie w teatralną kulisę i uczyniła mordercą. Blisko połowę jego ofiar stanowili Palestyńczycy. Jeśli nie brać pod uwagę nieznaney liczby potopionych Rosjan.

Zmusił się, by użyć słowa „morderca”. W żargonie służby wywiadowczej istniało mniej więcej pół tuzina eufemizmów, poczynawszy od niemal poetyckiego „specjalisty od mokrej



roboty”, a skończywszy na bardziej bezpośrednim amerykańskim „rzeźniku”. Wszystkie i tak znaczący to samo.

Przyszło mu nagle do głowy, czyby nie zostać gliną, prawdziwym policjantem, tak jak ona, szybko jednak ten pomysł odrzucił. Zapewne znów wylądowałby w małpiarni na Kungsholmen. Lepiej zająć się czymś zupełnie innym, na przykład stworzyć fundusz na rzecz kultury i organizować coroczne koncerty muzyki barokowej z udziałem oryginalnych instrumentów. Takie imprezy ze względu na koszty odbywały się sporadycznie. Albo fundusz dla młodych, zaangażowanych politycznie artystów, zwłaszcza malarzy, którzy dopóki nie przetrucili się na portrety rodziny królewskiej, jak jeden z jego przyjaciół w Clarté, nierzadko przymierali głodem.

Nie mógł zaprzeczyć, że ma bardzo dużo pieniędzy i że można by je przeznaczyć na szlachetne cele. Trochę lepsze niż... nie, nie tyle lepsze, ile trwalsze niż afgański ruch wyzwolenczy, na który ofiarował w zeszłym roku dwa miliony koron. Rosjanie się już wycofali, co naturalnie nie miało nic wspólnego z jego pieniędzmi. Musi wymyślić jakiś sposób pożytecznego ich wykorzystywania. Na razie jedynie się mnożą.

Opodal bramy przy Drakens gränd musiał się przeciskać między robotnikami, którzy uwijali się z taczkami pośród kładek, zaprawy murarskiej i innych rupieci. Ktoś zaczął prace budowlane w jego kamienicy. Przystanąwszy, odruchowo sięgnął z lewej strony, by skonstatować, że nie ma przy sobie broni. Kiedy chciał się już puścić pędem po schodach, zdał sobie sprawę ze swojej reakcji. Nie, pomyślał, to koniec, zwykły Szwed ma prawo wejść do swojego mieszkania nie uzbrojony. Gdy dotarł wyżej, potwierdziły się jego podejrzenia. Robotnicy pracowali u niego. Na środku pokoju stał komandor porucznik Fison Lallerstedt i niczym z mostku kapitańskiego, gdzie zresztą było jego miejsce, wydawał rozkazy.

Bezpośredni przełożony Carla w wydziale operacyjno-badawczym był jak zwykle czerwony na twarzy. Carl postawił walizkę i przyglądał mu się z osłupieniem. Oficer, prawdziwy wilk morski, pomyślał, a jednak stoi tutaj.

— Dobrze, że jesteś, Hamilton! — zakrzyknął Lallerstedt tonem komendy. — Jak widzisz, sprzątam. Chciałem przy tym być, żeby nie wbudowano ci niczego niepożądanego. Jak ci poszło, chłopcze?

— Tak sobie, trochę jestem śpiący — odparł zdumiony.

— Znakomicie, że się zjawiłeś! — rzekł głośno, po czym uznawszy, że przynajmniej wobec Carla nie musi się tak wydzierać, zmienił ton. — Udało się wszystko, jak trzeba?

— Tak, operacja przebiegła dobrze. Co ty, do cholery, wyprawiasz?

— Restauruję mieszkanie oficera. Co zrobimy z pokojem, do którego nie możemy wejść?

— To zależy od robotników.

— To nasi ludzie.

— Wobec tego mogę wam otworzyć, ale to pomieszczenie nie jest specjalnie zniszczone, nie ma tam wiele więcej niż... sam wiesz.

— W kartonach, do których jeszcze nie zaglądaliśmy, są podobno różne przedmioty, czy jak to nazwać...

— Co za przedmioty?

— Przypuszczalnie z twoich zamkniętych włości. Wejdźmy, zdaje mi się, że masz tam telefon.

Carl wzruszył ramionami, otworzył pierwsze drzwi podniesieniem klamki, a elektroniczny zamek drugich za pomocą kodu.

— Po wizycie stada małą zmieniłem kombinację — wyjaśnił, gdy weszli do środka.

Podłoga w rogach była wyłamana, lufcik w okratowanym oknie zerwany, a na środku leżał niczym zdechła foka worek piasku.

— To chyba coś potwornego, kiedy w czyimś mieszkaniu wężą tabuny ludzi — zauważył Lallerstedt.

— Owszem. Telefon jest obok szafy na broń. Oczywiście na podsłuchu.

— Nie sędzę.

Lallerstedt sprężystym krokiem podszedł do aparatu i wykręcił siedem cyfr, których Carl podświadomie się spodziewał.

— Seahawk jest w domu... tak, na to wygląda... przekażę... za pół godziny, tak, zrozumiałem.

Konwersacja zajęła Lallerstedtowi niespełna trzydzieści sekund.

— Co powiedział Sam? — spytał matowym głosem Carl, patrząc na jedną z tarcz celowniczych w głębi pokoju.

Nie zdjął jej, jak miał w zwyczaju, jeden nabój wylądował poza dziesiątką. Nie wiedzieć czemu, poczuł się zażenowany, jakby spodziewał się, że Lallerstedt zechce zgłosić jakieś zastrzeżenia.

— Masz się stawić u ÖB. Polecałbym mundur — odrzekł Lallerstedt, puszcżając oko.

— Mundur? Chcą mi zerwać epolety, czy co?

— Raczej przeciwnie. ÖB i Sam przyjmą cię za trzydzieści minut. A ja będę na posterunku i dopilnuję robót.

— Wiesz przecież, że mam tylko połowę galowego stroju. Korzystałem z twoich spodni — mruknął Carl, powziąwszy decyzję, że mimo prac remontowo-budowlanych nie zostanie w czymś, co kiedyś było jego domem.

Usiłował nie myśleć o czekającym go spotkaniu.

— Więc idź po cywilnemu, nie zaszkodziłoby jednak, żebyś się ogolił — wesoło oznajmił Lallerstedt.

— Co miałeś na myśli, mówiąc o Seahawku? — spytał Carl.

— Rosjanie dali ci taki pseudonim.

— Co to niby ma znaczyć?

— Sprawa się wyjaśniła, szczegółów nie znam, ale usłyszysz je na pewno od ÖB albo od Sama. W każdym razie miałeś robić za agenta o tym przydomku czy coś w tym rodzaju. Ale już po wszystkim, możesz być spokojny. Wiesz, co znaczy „Seahawk”?

— Wiem, co to takiego, ale czyżby miało znaczyć coś szczególnego?

— Dobrze, dobrze, ogol się i ruszaj, a ja wrócę do robót fortyfikacyjnych. Idą zresztą na rachunek armii. Meble możesz kupić na zamówienie, koszty pokryjemy później.

Carl wzruszył ramionami i powędrował do kuchni, gdzie jeszcze nie zabrano się do pracy. Ogolił się, zmienił koszulę i wyszedł, nie pożegnawszy się z Lallerstedtem, który przystąpił do równie irytującego, co zbytecznego komenderowania ludźmi z magazynów wojskowych, czy skąd tam byli.

Kiedy mijał „Grand Hotel”, zreflektował się. Albo się spóźni, albo dotrze na miejsce spocony. Wziął więc taksówkę.

ÖB wyglądał niezwykle uroczyście i oficjalnie.

Takie było jego pierwsze spostrzeżenie. Drugie, które właściwie powinno być pierwszym, dotyczyło zgromadzenia osób. W niskich fotelach, a nie przy konferencyjnym stole, jak poprzednio, siedzieli ÖB, Sam i nowo mianowany CM, czyli szef marynarki wojennej.

Ledwie wszedł, wstali. Ponieważ tylko on był w cywilnym ubraniu, musiał obejść towarzystwo i uściskać każdemu dłoń wedle starszeństwa. ÖB usiadł pierwszy, Carl ostatni. Nie był pewien, jakie są w tym względzie wymagania wojskowej etykiety, ale nie zrobił chyba niczego niewłaściwego. Miał wrażenie, że nic go już nie zaskoczy, nie odczuwał najmniejszych emocji.

— Tak, okropna historia... — zaczął ÖB, odchrząkując.

Carl zastanawiał się, po co Sam wbił się w mundur, robił to wyłącznie w sytuacjach oficjalnych, kiedy udzielał wywiadów dla prasy albo coś w tym stylu.

— Ale — podjął ÖB, poprawiając okulary — wyszliśmy wreszcie na prostą, można by rzec, że dobrnęliśmy do końca tunelu. Po pierwsze, muszę jako szef naszej firmy przeprosić za przykrości, jakie cię spotkały w związku z tą sprawą.

Carl nie bardzo wiedział, czy powinien zareagować. Wybrał milczenie.

— A więc... — kontynuował ÖB, rozglądając się, jakby szukał gotowego tekstu wystąpienia — a więc, żeby się nie rozwodzić, o szczegółach poinformuje cię później Sam, powiem, że w porozumieniu z CM postanowiliśmy cię awansować. Nie próbujemy w ten sposób czegokolwiek zacierać. To, co zrobiliśmy, musiało zostać zrobione. Awans jest dowodem naszego uznania dla twoich szczególnych zasług. I naszego niezachwianego zaufania.

ÖB podniósł się nagle i wziął leżący przed nim na stole dokument. Carl też wstał, widząc, że inni zamierzają pójść w ślady ÖB.

— Niechaj będzie mi wolno wręczyć dokument mianowania naszemu najmłodszemu komandorowi podporucznikowi. Gratuluję!

Carl już miał zaszutować, kiedy znów sobie uświadomił, że jest w tym gronie jedyną osobą po cywilnemu. Zgodnie z zasadami etykiety ucisnął najpierw dłoń ÖB, a potem szefa marynarki i Sama. Kiedy odebrał gratulacje, wszyscy usiedli i poborowi wnieśli na tacy białe wino.

— Chciałbym cię teraz o coś poprosić... — zaczął ÖB, gdy rozlano trunki do kieliszków. — Na zdrowie, komandorze podporuczniku! Twoje zdrowie!

Carl wznosił toast i gestem odpowiedział każdemu przełożonemu po kolei, wedle ich rangi, po czym szwedzkim zwyczajem patrząc sobie w oczy, w milczeniu wypili. Niemieckie wino, pomyślał Carl, przypuszczalnie reńskie. Niezłe. Ale postanowił czym prędzej odpędzić niemieckie wspomnienia.

— Hm, no tak... — podjął ÖB — kiedy się zapoznasz z dokumentami, zorientujesz się, że dokonaliśmy pewnego przegrupowania. Od przyszłego miesiąca będziesz pełnić funkcję zastępcy attaché wojskowego w Moskwie.

ÖB uśmiechnął się, widząc zaskoczenie Carla, które całkiem odjęło mu mowę.

— Czy pańskim zdaniem Rosjanie naprawdę mają aż poczucie humoru? — wyjąkał po chwili. Towarzystwo gruchnęło śmiechem.

— Poczucie humoru nie ma tu nic do rzeczy. Rosjanie rozumieją, że z Seahawkim, swoją drogą niezły pseudonim, nic wyszło, ale są znacznie ważniejsze powody. Sam wprowadzi cię w to dokładniej. To bardzo ważne.

Carl przyglądał się mężczyźnie w okularach, najwyższemu szefowi szwedzkich sił zbrojnych, i nie umiał rozstrzygnąć, czy poddają go jakiemuś testowi — na co raczej nie wskazywały łagodne oblicza dwóch pozostałych panów — czy zawładnął nim długo utajony obłąd.

Spojrzał na dłoń. Całkiem pewnie trzymał kieliszek z bursztynowym płynem, tak, to chyba spätlese. Kiedy wreszcie przyszedł do siebie, było już za późno.

ÖB podniósł się, podnieśli się też inni, wyciągnął rękę na pożegnanie i jeszcze raz złożył mu gratulacje, potem szef marynarki zrobił dokładnie to samo, a Ulfsson dyskretnie dał mu do zrozumienia, że czas się zbierać. I tak nowo mianowany komandor podporucznik i komandor porucznik wyszli z pokoju.

— Co to ma, do cholery, znaczyć? — spytał Carl, gdy tylko znaleźli się za drzwiami i ruszyli korytarzem w drugi koniec budynku, gdzie mieściły się ich gabinety.

— Jak tam twój rosyjski?

— Marnie. Znam około sześciuset najpopularniejszych zwrotów wojskowych i pewnie byłbym w stanie zamówić barszcz. Większość zapomniałem.

— Nic nie szkodzi, podciągniesz się na intensywnym kursie, masz cały miesiąc — odparł wesoło Samuel Ulfsson.

— Ale o co właściwie chodzi? — powtórzył Carl, gdy dotarli do swojego rewiru.

— O Sandströma. O szczegółach porozmawiamy u mnie — odpowiedział Ulfsson, nie mając już cienia wątpliwości, że Carl wyjedzie do Moskwy.

Wydawało mu się, że bardzo dobrze wie, jakie jest zadanie świeżo upieczonego komandora podporucznika. Nie wiedział.

## 7

Jurij Cziwarszew przeżył najgorszy tydzień całego swojego rezydowania w Szwecji.

Nie dość, że operacja Reorganizacja się nie udała, na domiar złego do jej zakończenia mogło być jeszcze daleko.

W szwedzkiej służbie bezpieczeństwa wydawało się wszystko w porządku. Słabą mieli reprezentację w wydziale zwanym biurem rosyjskim, ponieważ Paw zbliżał się do emerytury i już się w zasadzie nie liczył. Trzymanie emeryta, który nie może normalną drogą zdobywać informacji, byłoby szkodliwe.

Zakładano, że operacja spowoduje dochodzenia wśród Szwedów, w których wyniku dojdzie do paru kosmetycznych zmian i przetasowań. Wszyscy Szwedzi, nawet policjanci z безпеکی, byli zatrudniani dożywotnio. Działalność antyradziecka powinna przypaść w udziale nowym ludziom, o dobrych kwalifikacjach, przeniesionym z innych wydziałów, nie mających dotąd żadnych kontaktów z biurem rosyjskim. Istniały spore szanse, że kilku informatorów GRU ku własnemu zdumieniu trafi właśnie do owego skompromitowanego wydziału, którego były szef pracował dla wroga numer jeden.

Taki był cel operacji i gdyby Centrala zadowolila się tym kąskiem, wszystko by się przypuszczalnie odbyło zgodnie z planem. Tymczasem któryś z biurkowych agentów w Moskwie ubrdał sobie, że lepiej upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i jednocześnie uderzyć w wywiad wojskowy.

Teoretycznie sprawa była prosta. Szwedzi przelkną informacje z Londynu, ponieważ ich prawdziwość co do Pawia, doskonale zresztą pasujący do tej figury pseudonim, i co do agentów na terenie Wielkiej Brytanii każe im także uwierzyć w zdradę Hamiltona i szefa OP4.

W szwedzkim dowództwie wojskowym zapanowałby oczywiście straszliwy chaos. Wspaniała *maskirowka*. Teoretycznie.

Plan nie był jednak wolny od błędów politycznych i psychologicznych. Polityczne polegały na tym, że odgrzebano szwedzką rolę w zniszczeniu baz Cziczagow, Bodisko i Apraksin. Człowiek, który nad tym siedział w Moskwie, musiał wiedzieć o tragedii. Rozgrzebanie groziło nagłośnieniem i pogorszeniem stosunków zagranicznych. To doprowadziłoby kierownictwo polityczne do białej gorączki, bo mogłoby wyglądać na sabotaż nowego kursu partii zmierzającego do odprężenia i *glasnosti*. A kogoś, kto sabotuje politykę Związku Radzieckiego, nie ochronią żadne generalskie dystynkcje i stanowisko w wywiadzie, zwłaszcza w tych czasach.

Błędy psychologiczne operacji brały się z niedokładnego przemyślenia sprawy. Żądano od Szwedów nie byle czego. Mieli przyjąć do wiadomości, że Hamilton jest agentem radzieckiego wywiadu. I najwyraźniej nie przyjęli.

Według raportu z „Aeroflotu” DG osobiście wyprawił się w świat. Poleciał do Kalifornii i do Londynu klasą turystyczną. Nietrudno się było domyślić celu. Cokolwiek Hamilton robił u specjalistów SEAL, amerykańskie organa bezpieczeństwa nie spoczną, póki nie wywrócą wszystkiego do góry nogami.

Centrala wiedziała, niestety, zbyt mało o poczynaniach Hamiltona w Kalifornii. Wątpliwości nie budziło jedynie jego bardzo szczególne odznaczenie, skrzydełka i szpon trzymający trójząb.

Jurij Cziwarszew westchnął. To on zdobył tę informację, z czego był wtedy dość zadowolony. Kolorowe zdjęcie Hamiltona w mundurze, gdy wychodził z ambasady francuskiej, powiększenie jego odznaczeń na piersi. A potem jakiś na nieszczęście zdolny pracownik moskiewskiej komórki informacyjnej rozwiązał zagadkę i już wiadano o szkoleniu Hamiltona u specjalistów SEAL, które prowadzono wyłącznie w Kalifornii.

Gdyby to zdjęcie zrobiono sekundę później — Jurij Cziwarszew przez pewien czas często się w nie wpatrywał i zapamiętał, że podmuch wiatru odchylił na moment połę peleryny, odsłaniając odznaczenia na piersi — sytuacja byłaby teraz znacznie korzystniejsza. Pomysł dyskredytacji właśnie Hamiltona, choć można zrozumieć chęć zniszczenia wydziału szwedzkiej obrony, w którym działał, okazał się zasadniczym błędem.

Szwedzi na to nie poszli i pozostawało pytanie, jakie wyciągną wnioski. Co myślą Samuel Ulfsson, ÖB i DG? Jak tłumaczą okoliczność, że informacje z Anglii były prawdziwe nie tylko w części brytyjskiej, ale również w wypadku ich własnej bezpieki.

Przypuszczalnie uznali, że operację wymierzono wyłącznie w nich. Przypuszczalnie gardzą swoją służbą bezpieczeństwa tego stopnia, że dostrzegli w niej jedynie przynętę.

Związek Radziecki poświęcił świetnie ulokowanego agenta, żeby zlikwidować szwedzką wojskową służbę wywiadowczą?

Tak, chyba do takich konkluzji powinni dojść.

Antagonizmy między szwedzkimi organami spowodują zapewne sporo problemów. W policji bezpieczeństwa wiadano, że Tristan wymienił również dwóch wojskowych. Czy zadowolą się mglistymi wyjaśnieniami, że w punktach dotyczących wywiadu wojskowego raport okazał się fałszywy? Mało prawdopodobne.

Sytuację komplikowało i to, że bezpieka zaczęła pertraktować z Pawiem. Ponieważ zbliżyły się wybory, sprawa pewnie wyjdzie na jaw i będzie się mówiło, że rząd aprobuje niedopuszczalne w Szwecji metody. Udziela agentowi immunitetu w zamian za pełną współpracę.

Po wyborach, o czym wiedzieli wszyscy, służba bezpieczeństwa zostanie zreorganizowana. Gdyby jej funkcjonariusze mogli zaszkodzić rządowi, wykorzystując starym zwyczajem którąś z popołudniówek, niejeden poczułby się zobowiązany do przekazania obywatelom rzetelnych wiadomości.

Doszłoby do skandalu, to i owo wypłynęłoby na wierzch, w najgorszym razie opinia publiczna dowiedziałaby się, że radzieckiego agenta ujęto na podstawie informacji z zagranicy.

Gdyby Säpo wywlekła na światło dzienne sprawę rzekomych szpiegów w wojsku, Sztab Obrony mógłby w desperacji zwalić całą winę na GRU.

Nie byłoby to szczególnie fortunate. GRU zapewniał swoich przyszłych rekrutów i osoby już zwerbowane w charakterze donosicieli lub informatorów, że będą chronieni, wymieniani, że mają zagwarantowaną pracę w Moskwie, a jeśli zajdzie potrzeba, wyciągnie się ich z więzienia. Przypuszczalnie znaleźliby się na liście płac GRU w Szwecji i tacy, którzy mogliby żywić tego typu rojenia odnośnie do Sandströma.

Publikacje o tym, że GRU poświęca ludzi niczym pionki na szachownicy, gdy tylko któryś z generałów w Centrali uzna to za słuszne, wyrządziłyby niepowetowane szkody, ucierpiałby zwłaszcza werbunek nowych agentów. Niełatwo byłoby je naprawić.

Szwedzka służba bezpieczeństwa była bardzo zawodna, jeśli chodzi o kształtowanie opinii publicznej za pośrednictwem popołudniówek.

Mogło się to bardzo źle skończyć, nie pozostawało jednak na razie nic innego niż nadzieja, że wojskowi nie prześlą swoich wniosków dotyczących raportu Tristana.

Na te poważne i trudne do przewidzenia kłopoty nakładała się jeszcze sprawa Hamiltona.

Coś niesamowitego. Moskwa domagała się czegoś w rodzaju analizy. Rzecz była pilna, chodziło o formalne podstawy, które pozwoliłyby im zaakceptować lub odrzucić Hamiltona jako dyplomatę. Po pierwsze, powody, a po drugie, ewentualne zastrzeżenia.

Jurij Cziwarszew nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego Szwedzi przenoszą Hamiltona z tajnej służby do wywiadu jawnego i dlaczego wysyłają go akurat do Moskwy. Mógł się jedynie domyślać, ale nie zwykł dzielić się w raportach domysłami.

Tę Moskwę dawało się jeszcze jakoś zrozumieć, jego wykształcenie świetnie można tam spożytkować. Taki specjalista jak Hamilton nigdy sobie pewnie nie wyobrażał innego wroga niż Związek Radziecki i w tym kierunku go szkolono.

Ale legalny wywiad? Szwedzi, co dość komiczne, uważali obserwatorów wojskowych za legalnych pracowników. Czyżby miał już nie wrócić do tajnej służby?

Czyżby Hamiltona nie traktowano w szwedzkim wywiadzie wojskowym jak beniaminka? Samuel Ulfsson i DG wkrótce przejdą na emeryturę. DG i tak to czeka za kilka miesięcy.

Nie, Hamilton jest za młody do tej pracy i ma zbyt małe doświadczenie. Najlogiczniej byłoby go zatrzymać w tajnej komórce nowego wydziału operacyjnego. Większość państw nie praktykowało powierzania stanowisk szefów ludziom pracującym w terenie. Ale ze Szwedami nigdy nic nie wiadomo.

Czy za wyborem Moskwy kryje się jakiś żart? Arogancki gest w stylu: sami widzicie, co warte są wasze prowokacje, nigdy byśmy nie wysłali do Moskwy radzieckiego agenta ani kogokolwiek w najmniejszym choćby stopniu podejrzanego.

Nie, tak zachowywali się Anglicy.

A może zamieszanie i wewnętrzne śledztwo doprowadziły do takich tarć, że Hamilton dla świętego spokoju musi zmienić zajęcie? Albo ostatecznie stracili do niego zaufanie? Ale wtedy nie pchnęliby go chyba do Moskwy?

Tak więc pytanie „dlaczego” musiało zostać bez odpowiedzi. Można było jedynie snuć domysły.

Odpowiedź dotycząca ewentualnych zastrzeżeń też nie była łatwa. Jeśliby Hamilton znalazł się w Moskwie, mieliby przynajmniej jednego Szweda do wydalenia, gdyby Szwedzi w wyniku ujawnienia afery Pawia zdecydowali się na wyrzucenie kogoś od nich.

Ostatni przełożony Pawia opuścił Szwecję przed dwoma miesiącami, a jego poprzednicy rozproszyli się po świecie. Większość siedziała w kraju, w Skandynawii nie został nikt. Szwedzi mogliby jednak usunąć kogokolwiek, gdyby domagały się tego względy polityki i opinia publiczna.

Hamilton w Moskwie stwarzał zatem interesującą możliwość, a dla Szwedów utrudnienie w pozbywaniu się pracowników ambasady radzieckiej. Czyżby o tym nie pomyśleli?

Chyba nie, zbyt byli poszufladkowani. Wojskowi myśleli tylko o sprawach wojskowych, politycy o sprawach politycznych i szczycili się nawet tym wariackim systemem.

A poza tym, czy Hamilton ze swoimi nawykami z tajnej służby będzie umiał się przystosować do oficjalnych zajęć pracownika ambasady? Czy nie wystawi się na ryzyko? Warto by go poobserwować, a może nawet wcześniej czy później podejść?

Mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Może jest zgorzkniały i rozczarowany.

W każdym razie należy zaakceptować nowego attaché bez mrugnięcia okiem.

Jurij Cziwarszew wezwał swojego osobistego szyfranta. Zamierzał przesłać bardzo krótką wiadomość do Centrali, zawierającą odpowiedź na jedno z wielu postawionych mu pytań.

Inne na razie muszą zostać bez odpowiedzi.

\* \* \*

Komandor podporucznik Carl Gustaf Gilbert Hamilton miał za sobą szczególny tydzień. Prócz czasu, jaki spędzał w wydziale do spraw ataszatów Sztabu Obrony, gdzie ku jego zdumieniu traktowano go jak kolegę po fachu i gdzie uczył się reguł dyplomacji, cztery

godziny dziennie wkuwał język w laboratorium i nękał równego mu teraz stopniem Lallerstedta pytaniami o mundurowe detale i tajniki marynarskiego żargonu.

Jedno z istotnych pytań dotyczyło baretok. W jakiej powinny być kolejności? Umieszczenie ich w jednym rządku nie wchodziło w grę, ponieważ nie powinien zawierać więcej niż trzy. Odznaczenia najważniejsze dla ich właściciela lokuje się najbliżej serca, a dalej ewentualne komandorie.

W zasadzie istniało tylko jedno sensowne wyjście z sytuacji. W pierwszym rządku Carl wedle wskazówek Lallerstedta przyczepił niebiesko-żółtą baretkę królewskiego Medalu za Odwagę, karmazynową wstążkę komandorii Legii Honorowej i komandorię zachodnioniemieckiego Bundesverdienstkreutz. W drugim znalazła się następna baretka Medalu za Odwagę, a na drugiej piersi złote skrzydełka SEAL. Nie było już powodu ukrywać skrzydełek przed Rosjanami, ponieważ najpewniej o nich wiedzieli.

Niewielu umieściłoby Legię Honorową na drugim miejscu. Każdy oficer zachodnioniemiecki poczułby się dotknięty, gdyby zobaczył odznaczenie swojego kraju na samym końcu. Ale pierwsze miejsce szwedzkiego wyróżnienia było dla szwedzkiego komandora podporucznika czymś równie oczywistym, jak dla radzieckiego kapitana marynarki noszenie najbliżej serca Orderu Lenina, Czerwonego Sztandaru czy Czerwonej Gwiazdy.

Mimo pozorów arogancji kolejność wydawała się bez zarzutu.

Jeśli chodzi o sam obiekt, zdrając Sandströma, zrezygnowano z dodatkowych obserwacji. Zdaniem Samuela Ulfssona rysopis i adres powinny z powodzeniem wystarczyć. Carl nie podzielał tej opinii.

Najważniejszy był jednak rosyjski i możliwość swobodnego poruszania się po Moskwie. Najszybszym sposobem ściągnięcia do ambasady szwedzkiej radzieckiego wozu okazał się zakup w Finlandii. Mała żółta łada, mimo dyplomatycznych tablic rejestracyjnych, będzie w Moskwie zdecydowanie sprawniejszym i dyskretniejszym środkiem lokomocji niż wzbudzające uwagę zachodnie volvo.

Zadanie wydawało się fajne, zupełnie jakby zmienił zawód, w dodatku na bardziej realny niż zawód policjanta czy mecenasa sztuki.

Humor mu dopisywał, próbował patrzeć na sprawy z uśmiechem, w każdym razie perspektywa dość zabawnego zadania pozwalała mu wierzyć, że w taki właśnie sposób prawdziwi ludzie przygotowują się do swoich wakacyjnych podróży.

W tym nastroju wziął parę dni wolnych i pobrawszy samochód za pokwitowaniem, pojechał do DG.

Jabłka były już spore. DG niepokoiły szkodniki i rodzaj rdzy na liściach, mającej przypuszczalnie jakiś związek z zanieczyszczeniem środowiska naturalnego w Polsce. Milion niedojrzałych jabłek. Jest się o co martwić.

Większą część wieczoru poświęcili rozmowie o degradacji środowiska. Wokół ujścia Weichsel, rzeka nazywała się po polsku inaczej, ale DG dorastał i kształcił się w czasach niemieckich, pozamykano kąpieliska. Duże hotele stały puste, nawet ten w Sopocie, gdzie DG wielokrotnie się zatrzymywał, kiedy w wywiadzie działali dżentelmeni i panowała zdrowa, sportowa rywalizacja.

Wokół ujścia Weichsel czaiła się śmierć, na plażach umieszczono tablice zakazujące kąpeli. Patrząc z Kiviku, to dokładnie po drugiej stronie.

Wyczerpawszy temat zniszczenia środowiska, DG przyniósł, chichocząc ze śmiechu, kilka gazet i gdy Carl jak zwykle zajął się kominkiem, zaczął czytać na głos.

Podsekretarz stanu Peter Sorman raczył wziąć udział w konferencji prasowej, na której pravicowi dziennikarze pytali, czy prowadzono pertraktacje z terrorystami, czy dyplomaci wykonują, co do nich należy, i tak dalej.

Nic w tym dziwnego. Dziwiło jedynie to, że Peter Sorman bodaj po raz pierwszy był wyraźnie wzburzony i nie do końca nad sobą panował. I w tym stanie umysłu wymknęło mu się, że „pewien Szwed pozostający w służbie dyplomatycznej z narażeniem własnego życia udał się w taki rejon Libanu, gdzie za zabicie białego dostaje się nagrodę, i wy dostał dwóch Szwedów”.

Wywołało to rozliczne spekulacje i gazety wytypowały trzech kandydatów do głównej roli w tym tajemniczym dramacie „Czerwonego goździka”: ambasadora Rolfa Gauffina, ambasadora Ingemara Stjernberga i sekretarza ambasady Beliusa.

Wszyscy trzej udzielili dość powściągliwych wypowiedzi o Szwedzie w służbie dyplomatycznej. Ani jeden dziennikarz nie dostrzegł tego subtelny niuansu, że ktoś „w służbie dyplomatycznej” wcale nie musi być dyplomatą.

„Nie sądzę, żeby ktokolwiek potrafił powiedzieć, kogo właściwie ma na myśli Peter Sorman”, stwierdził Rolf Gauffin. „W każdym razie ja nie potrafię”.

Sekretarz ambasady Belius utrzymywał, że był w tym czasie w Damaszku, i nie miał nic więcej do dodania. Ambasador Stjernberg odsyłał zainteresowanych do UD i Petera Sormana, a minister, którego odszukano na urlopie, powiedział tylko tyle, że „Petera Sormana najwyraźniej sprowokowano podczas konferencji i że mówiąc o tajnej dyplomacji, miał na myśli jedynie to, że wszystko należało załatwić w tajemnicy”.

— Nieźle, co? — zarechotał DG. — W roku wyborów z byle czego robią aferę. Co się tam właściwie stało?

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — spytał Carl, nie odwracając się od kominka.

DG miał coś w rodzaju żelaznej konstrukcji, rzekomo praktycznej, ale drwa często gasły.

Milczeli. Rozsyczały się płomienie.

Gdy DG wyszedł bez słowa, Carl usadowił się na kanapie. Zapadał zmierzch, pora, w której zazwyczaj zapala się światło. Carl wołał jednak półmrok.

DG wrócił z butelką nielegalnego cydru domowej roboty, czyli calvadosu, i dwoma kieliszkami. Carl domyślił się, że nieprędko pójną spać.

— Myślałem, że pójdziemy nad morze — niewinnie zagaił DG, wręczając Carlowi pełny kieliszek. — Ale — podjął po chwili, napełniając swój i wznosząc go w toaście — coś mi się zdaje, że mamy przed sobą długą noc. Na zdrowie! A więc, co się stało?

— OWP i ja uwolniliśmy zakładników i wysłaliśmy ich do dyplomatów w Bejrucie, do hotelu „Summerland”, czy jak on się tam zwie. Zakładnicy nie połapali się, co właściwie zaszło, bo używaliśmy tłumików. Sądząc z enuncjacji prasowych, dyplomaci też nie — odpowiedział Carl na jednym oddechu.

Bramy do piekieł, które jako tako udało mu się pozamykać, znów stały otworem.

DG obracał koniakówkę w dłoni. Carl czekał na serię nieuniknionych pytań.

— A więc zakładnicy niczego nie zauważyli? — zapytał DG z westchnieniem, jakby robił to z przymusem.

— Nie, nie zauważyli.

Carl pociągnął zbyt duży łyk zalatującego fuzlem samogonu i o mały włos się nie zakrztusił.

— Ilu było porywaczy?

— Sześciu.

— Czy któryś przeżył?

— Nie.

— Ilu załatwiłeś?

— Trzech. Wszedłem pierwszy, jako przedstawiciel Szwecji miałem, że tak powiem, ten obowiązek.

— Przykrości?

— Duże. Nie wtedy, później.



— Coś szczególnego?

— Tak. Jeden z nich miał szesnaście, siedemnaście lat, zginął, kiedy Szwedzi już odjechali.

— Ty?

— Nie, do cholery, OWP. Ja tylko zacząłem.

— Więc ilu zabiłeś?

— Już powiedziałem. Trzech.

— Wszystko podczas natarcia?

— Tak.

— Za innych nie możesz przecież odpowiadać.

— Ich oficer też tak uważał.

— Ale ty tego nie podzielasz?

— Naturalnie, że nie.

— Na zdrowie. Jak przypuszczałem, noc będzie długa — z westchnieniem stwierdził DG.

Siedzieli w półmroku, którego żaden z nich nie śmiał lub nie chciał rozproszyć, ponieważ światło przysporzyłoby bólu może nie tylko ich oczom.

DG zaczął snuć opowieść o latach czterdziestych.

Kiedyś we Włoszech siedział w wysokim sitowiu ze strzelbą, żeby po raz pierwszy zabić. Sytuacja wydawała mu się kompletnie nierzeczywista, może dlatego, że świeciło słońce i bardziej mu dokuczały insekty niż rozterki moralne.

Nie było jednak innego wyjścia. W przeciwnym razie zostałyby zniszczona znaczna część zachodniej siatki agentów na Wschodzie. Albo więc ten człowiek kryjący się w trzcinach, albo dziesięć innych osób.

Później, kiedy zgromadzili się wokół ofiary, wszyscy w psychologicznym odruchu samoobrony zaczęli operować terminologią łowiecką, jakby to było najzwyczajniejsze polowanie.

I można nie wiadomo jak długo przemawiać sobie do rozumu, a i tak okaże się, że logika i rozsądek to jedno, a uczucia to coś zupełnie innego.

Carl wtrącił nagle, że czasem wydaje mu się, że ogarnia go obłąd.

DG zapewnił, że to całkiem zdrowa reakcja. Gdyby Carl nie wiedział, że ma do czynienia z dyplomowanym psychologiem, uznałby opinię DG za niedorzeczną.

Żaden rozsądny człowiek nie zabija z premedytacją, z bliska, nie stawiając sobie tych pytań. Podczas wojny wygląda to prawdopodobnie inaczej, zwłaszcza im dalej jest się od wroga i im bardziej abstrakcyjne są zadania. Na przykład wiedząc, że o zrzuceniu bomb decydują komputery, piloci spokojnie grają w karty, kiedy spadają te śmiertelne ładunki. Tak było w Wietnamie.

Z drugiej jednak strony wielu Amerykanów ze Special Forces wróciło do kraju z poważnymi psychozami, mimo że żaden z nich nie zabił nawet połowy ludzi, którzy ginęli od jednej bomby.

To normalne. Zamęczenie się wyrzutami sumienia stanowi zaprzeczenie obłąd. Okoliczności sprawiły, że Coq Rouge był na linii walki częściej, niż można by oczekiwać, nie jest jednak wykluczone, że już się to nie powtórzy.

— Skąd się wziął ten idiotyczny pseudonim? — z nagłym zainteresowaniem spytał Carl, lekko znużony kazaniem DG.

— Chyba Näslund go wymyślił — mruknął DG, straciwszy chęć do kontynuowania wywodu.

— Näslund? Czyżby znał francuski?

— Nie. Był w Paryżu na spotkaniu grupy Kilowat tuż przed ostatnią fazą izraelskiej akcji w Sztokholmie i pewnie mu dopomógł jakiś francuski kolega.

— Siedział tam i plotkował o swoich ludziach?

— Jak dwa i dwa jest cztery. Policjanci nie potrafią trzymać języka za zębami.

— Ale co właściwie znaczy to przezwisko?

— Nie mam pojęcia. Gdybyśmy mogli jednak wrócić do...

— Nie, chciałbym wiedzieć. Ile osób o tym wie?

— Część ludzi z małpiarni na Kungsholmen, stamtąd się to rozniosło, i wszystkie komputery, przynajmniej te na Zachodzie. A odsyła on chyba do, hm, do piosenki z czasów wojny domowej w Hiszpanii. „Czerwony”, jak ci wiadomo, oznacza socjalistę, a „kogut” tego, kto walczy.

— „Czerwony” może równie dobrze znaczyć „krwawy” — ponuro zauważył Carl.

— Nie, przynajmniej na początku nie o to chodziło. Czy wiesz, ile osób zabiłeś, i czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie? Myślę o liczbie.

— Oczywiście, że wiem, i oczywiście, że ma to znaczenie. Czterech Izraelczyków w pierwszym roku w Sztokholmie, kiedy pracowałem w małpiarni. Rok później dwie osoby plus jedna z Niemiec Zachodnich w Syrii i w Hamburgu, a potem to już kwestia zinterpretowania mojego udziału w akcji hamburskiej, podczas której zamordowano dwanaście osób. W zeszłym roku dwóch Palestyńczyków i całkiem niewinna polska imigrantka. A teraz trzech Palestyńczyków. W sumie pięciu Palestyńczyków, czterech Izraelczyków i czworo Europejczyków.

— Skończyłeś?

— Słucham?

— W twoich wyliczeniach jest dramatyczny błąd, który potwierdza to, o czym przed chwilą mówiliśmy.

— Chodzi ci o Rosjan?

— Naturalnie. Ty, Stålhandske i Lundwall, wysadzając podwodne bazy, zatopiliście od pięćdziesięciu do trzystu Rosjan. Dlaczego w tym wypadku nie gryzą cię wyrzuty sumienia? Nie wchodzi tu przecież w grę względy narodowościowe.

— Przywykłem nie myśleć o operacji Big Red. Mogę o niej mówić jedynie z tobą, z Samem i może jeszcze ze Stålhandskem i z Lundwallem.

— Akurat! Różnica polega na tym, że Big Red była regularnym działaniem wojennym i wszyscy trzej tak to odebraliście. Nie jest to może zbyt racjonalne, ale w ten sposób myślimy i czujemy. Innych akcji nie traktujesz jak działań wojennych.

— Uważasz, że zabijanie podczas wojny nie przysparza cierpień?

— Nie, skąd! Nie sądzę, żebyś sobie szczególnie dobrze radził w Wietnamie pod dowództwem Skipa Harriera.

— Widziałeś się z nim? Co powiedział?

— Sporo. Bardzo dobrze mówił o tobie, coś w rodzaju *I just love that boy and don't you fuck with him because if you do I gonna cut your balls out*. Nie bardzo wiem, jak to przełożyć na cywilizowany język, w każdym razie wyraził w ten sposób swoje ogromne uznanie dla ciebie. Jak byś to przetłumaczył?

Po raz pierwszy podczas ich rozmowy w ciemnościach Carl parsknął śmiechem.

— Mniej więcej tak — powiedział. — „Kapitan marynarki wojennej Hamilton jest wyjątkowo uczciwym młodym oficerem i bardzo byłbym zaskoczony, gdyby na podstawie tak nikłych przesłanek zdecydował się pan, panie pułkowniku, przysporzyć mu kłopotów”. Amerykański jest o wiele bardziej bezpośredni niż szwedzki czy niemiecki.

Roześmiali się. Śmiech przyniósł im ulgę. DG, skorzystawszy z chwilowego rozluźnienia, wymknął się do toalety i wrócił z butelką białego wina. Po drodze zapalił dyskretne światło. Lepiej, żeby się widzieli podczas rozmowy.

— Nie jesteś chyba szczególnym amatorem domowego calvadosu — zaczął usprawiedliwiająco DG, rozlewając do kieliszków nowy trunek. — No, jak to się odbyło? — spytał prosto z mostu, kiedy skosztowali wina i odruchowo skinęli głowami.

— W Saidzie?

— Tak.

— Od razu powiesz, że każdy zrobiłby tak samo, i tak dalej.

— Niekoniecznie — spokojnie skłamał DG. — A nie było innego wyjścia?

— Nie. Postawili warunki nie do spełnienia. Chcieli, żeby im zapewnić wywóz z kraju pod szwedzką ochroną dyplomatyczną. W przeciwnym razie zlikwidowałyby ich OWP. Istniało spore ryzyko, że rzeczywiście zabiją jednego z zakładników. Widzieliśmy, jak się spierali w tej kwestii.

— Mielście ich na podsłuchu?

— Nie, brakowało nam odpowiedniego sprzętu, zresztą nie warto było ryzykować, zwłaszcza że siedzieliśmy w znakomitym punkcie obserwacyjnym. To, co zobaczyliśmy, było dostatecznie niepokojące. Znaliśmy rozkład ich zajęć, wiedzieliśmy, kiedy zbierają się w jednym pomieszczeniu. W czasie kolacji.

— I wtedy zdecydowaliście się uderzyć?

— Oczywiście. Zakładnicy byli na piętrze, a porywacze na parterze.

— No, dobrze, i co dalej?

— Mielśmy noktowizory, które dały nam sporą przewagę. Podszedłem do budynku, wyeliminowałem wartownika, a potem wdarłem się do środka, zastrzeliłem dwóch i kiedy opanowałem sytuację, wezwałem palestyńską obstawę.

— Jak wam się udało tak uwolnić zakładników, żeby się w niczym nie połapali?

— Chłopiec sprowadził ich do samochodu. A potem wrócił.

— Czemu nie uciekł?

— Bo cały czas mierzyłem z czterdziestki piątki do jego ojca i krewniaka.

— Wspaniała akcja. Wzorowa, niczym w podręczniku. To fantastyczne, jak łatwo coś podobnego przeprowadzić kameralnie, bez wielkiego huku w niemieckim stylu. Fenomenalnie, Carl, szczerze ci gratuluję.

Jego entuzjazm wydawał się nieco przesadny, ale ponieważ Carl dobrze znał DG, wiedział, że może być autentyczny.

— Chcesz, żebym znów się tłumaczył — odezwał się po chwili Carl. — Za każdym razem kończy się podobną dyskusją. Za każdym razem okazuje się, że wszystko było dokładnie tak, jak trzeba, wszelkie inne możliwości wykluczone i w każdej sytuacji zachowałem się właściwie. Nie ironizuję. Po każdej naszej rozmowie dochodziłem do wniosku, że w zasadzie masz rację. Problem polega na tym, że seria jest zbyt długa, żeby mówić o zbiegach okoliczności. Stałem się kimś w rodzaju zalegalizowanego przez państwo mordercy i w tym tkwi istota sprawy.

DG milczał jakiś czas, po czym postanowił zmienić temat.

— Co myślisz o nowej pracy w Moskwie? — spytał, niczym się nie zdradzając ze swoimi obawami.

— Fajna — pospieszenie odparł Carl, mieniając się na twarzy. — Dość fajna. Będę dyplomatą, półcywilem, dostałem wyraźne instrukcje zakazujące mi wwozu broni, z czego bardzo się cieszę. Poznam Rosjan i pobawię się w oficera i dżentelmena. Zadanie jest proste. Nawet jeśli coś nie wyjdzie, nie ma powodów do zmartwień.

— Jak to zamierzasz zrobić? Z bliska czy z pewnej odległości? Jak długo chcesz czekać?

— Chodzi ci o zdjęcie? Oczywiście, że z bliska, nie będę się przecież przyczajał z teleobiektywem, zresztą nie sądzę, żeby to w Moskwie było w ogóle możliwe. A więc z bliska, po kilku miesiącach, kiedy Rosjanie się do mnie przyzwyczają.

— Nie będziesz chyba czekał przed jego domem, a już na pewno nie przed siedzibą GRU.

— Jasne, że nie. Któregoś wieczoru pojedę do niego i jeśli zobaczę światło w oknie, po prostu wejdem, grzecznie powiem „dobry wieczór”, przedstawię się i zaproponuję mu, żeby poszedł ze mną. Oczywiście, jeśli znudził się już Moskwą.

— O, do licha! — DG zdumiał się do tego stopnia, że jego brwi przyjęły pozycję właściwą upierzeniu puchacza. — Najpierw zapukasz, czy jak? Co zrobisz z bramą?

— W nowszych blokach w Moskwie zaczęli instalować zamki szyfrowe typu zachodniego. Mam na nie sposób. Zwykłe zamki rosyjskie odpowiadają abloyom. Otwiera się je szpilką do włosów, jak w kinie.

— Więc wejdiesz jakby nigdy nic i podczas luźnej konwersacji zrobisz mu zdjęcie?

— Mniej więcej.

— A jeśli mu się to nie spodoba?

— Na pewno mu się nie spodoba, ale każdy w takiej sytuacji byłby straszliwie zaskoczony.

— Myślałem o broni. A jeśli będzie uzbrojony?

— Mimo wszystko zdążę go pstryknąć i uskoczyć, ale podejrzewam, że raczej wda się ze mną w dyskusję. Do której się zresztą wcześniej przygotuję.

— Hm. A jak się będziesz prowadził w Moskwie, zanim wybije godzina zero?

— Jak nieco opieszwały dyplomata, który zawsze zachowuje się zgodnie z prawem raczej z powodu fartu niż biegłej jego znajomości. Zbyt często odwiedzam knajpy, mówię za dużo, jestem niezadowolony, że odsunięto mnie od poprzednich obowiązków, daję do zrozumienia, że w pewnym sensie zostałem wykopany i że Moskwa to rodzaj kary. Jeśli się uda, spróbuję się do mnie zbliżyć. Byłoby klawo.

— Nie odprawisz ich?

— Ani nie odprawię, ani nie zachęcę. Ale o takiej zabawie nie ma co marzyć. Rosjanie nie są głupi.

— To dość ogólnikowy plan.

— Przyznaję, że się zanadto nad sprawą nie zastanawiałem. Jest jeszcze mnóstwo czasu. Muszę poznać miasto i nauczyć się nowego zawodu. Wystarczy mi krótki moment zaskoczenia.

DG myślał chwilę, nim znów zmienił temat.

— A co będziesz robił po powrocie?

— Nie wiem. Do tajnych operacji w terenie na szczęście się już nie nadaję, na razie się tym nie martwię. Zobaczymy.

— Lallerstedt za kilka miesięcy kończy, znowu chce pływać i bardzo dobrze, bo tam jest jego miejsce. Nie przejąłbyś jego działki?

— Pachnie mi to jakąś pułapką.

— Ani trochę. Obiecałem Joarowi Lundwallowi, że kiedy wróci do kraju, jego szefem będzie kapitan Carl Hamilton. Powiedziałem „kapitan”, ale komandor podporucznik też ujdzie.

— Trochę mnie zaskoczyłeś.

— Sam wiesz, że musimy dbać o nasz dom. Ja za dwa miesiące odchodzę na zasłużony odpoczynek, Sam zbliża się do emerytury, pora pomyśleć o młodych. Chłopcami powinien się zająć ktoś kompetentny. Chyba to rozumiesz?

— Tajna służba i więcej komputerów niż noży?

— Mniej więcej. Chyba będzie ci to odpowiadać. Tobie, a przede wszystkim naszym przyszlým, świeżo upieczonym porucznikom.

— Kiedy wracają?

— Sądę, że wkrótce. Jak przyjedziesz z Moskwy, będą już oswojeni i okielznani.

— Nieglupio.

— Sam widzisz. Zanim się położymy, chciałbym ci coś powiedzieć, coś przykrego.

Carl zeszywniał. Kiedy DG mówi „przykry”, nie ma w tym ani grama przesady.

— Dowiedziałem się wczoraj. Amerykanie, czego się oczywiście należało spodziewać, zapoznali się dzięki swoim kuzynom w Londynie z raportem Tristana. Dlatego nie zadowolili

się ani moimi wnioskami, ani oceną Skipa Harriera, nie usatysfakcjonowały ich nawet wiadomości od Jeffa.

— Jeffa? — łamiącym się głosem powtórzył Carl, przeczuwając coś nie milego.

— Tak, sir Geoffreya z MI6. Amerykanie postanowili, że choćby mieli nie zostawić kamienia na kamieniu, definitywnie wyjaśnią tę sprawę. I nie zostawią.

— I?

— Oni, to znaczy DIA i FBI, połapali twoich znajomych na przesłuchania, które, o ile się nie mylę, w niektórych wypadkach okazały się bardzo ciężkie. Mają na to wspaniały eufemizm. *Duress*.

— A Tessie? — zapytał, mimo że znał odpowiedź.

— Też. Twoja Tessie O'Connor też.

— Jak?

— Trzy, cztery dni w jakimś lochu. I standardowy program wykrywania radzieckich agentów.

— Więcej nie musisz mi mówić. Ćwiczyli go na nas, mieliśmy opanować technikę przetrzymania tych przesłuchań. Znam to na pamięć. A Tessie była mi najbliższa.

— Wiem — cicho przyznał DG.

— Banda pawianów z DIA i Tessie przez trzy, cztery dni...

Urwał. Zalała go fala smutku przemieszanego z nienawiścią.

I wtedy DG postawił kropkę nad „i”.

— To wszystko przez Sandströma, Carl — powiedział wolno, niemal melancholijnie. — I to dopiero początek.

Mogłoby się wydawać, że Carl nie słyszy, DG nie miał jednak wątpliwości, że jest inaczej.

— No, pora się kłaść, musimy rano wstać.

DG podniósł się i ruszył do toalety. Czuł się nieswojo.

Zachował się okrutnie wobec kogoś, kogo pokochał jak syna.

Szybka chirurgiczna operacja. Czasami konieczna nawet wobec najbliższych.

\* \* \*

Żaden z nich nie spał tej nocy. Takie przynajmniej odnosili wrażenie. Na początku czerwca wcześniej wstawał dzień. Pora słowików już minęła, natura milczała.

Kiedy Carl położył się w pokoju gościnnym, którego okno wychodziło na podjazd, dzięki czemu niczym w wartowni zbudziły go najmniejszy chrzęst żwiru, wiedział, że nie zaśnie. Wróciło wspomnienie Tessie. Tessie, którą, kochał w czasach, gdy był prawdziwym człowiekiem.

Usłyszał muzykę, tak wyraźnie, jakby rozbrzmiewała nie w nim, lecz tuż obok. Coś z odległych lat, na trzeszczącej siedemdziesięcioobrotowej płycie.

Po chwili, kiedy głuche, rozwlekłe pasaży nabrały tempa, zorientował się, że to Horowitz gra „Funerailles” Liszta. Była to w zasadzie muzyka pogrzebowa z elementami - marsza, jakby chowano bohatera udekorowanego na przykład orderem Legii Honorowej.

Usiłował się roześmiać i zafundować sobie odrobinę cynizmu, ale znów do niego wróciła, przesłuchiwana przez goryli z DIA.

— „Okej, ty komunistyczna fładro, to nie zabawa, niech ci się nie zdaje, że jesteś Amerykanką.

Na pewno ci dużo opowiadał, powiedział, że jest komunistą, a ty nie miałaś nic przeciwko temu.

— Pieprzysz się tylko z komunistami, dziwko?! Co mówił o swojej pracy dla Rosjan?

— Biedni i gnębieni, co? Możesz to sobie w tyłek wsadzić, *baby*, jak skończymy, niewiele ci tego tyłka zostanie.

— Co znaczy, zaskarżyć nas! Ty nędzna adwokatko, jakaś cholerna dziwka różną się z komunistami będzie nam się tu zasłaniać amerykańską konstytucją! My jesteśmy amerykańska konstytucja, dziecińo. Co ci powiedział? Jakich użył słów, kiedy po raz pierwszy wyznał ci, że pracuje dla Rosjan, jak cię zwerbował? Pieprzył o biednych wynędzniałych *chikano* albo nielegalnych Meksykanach?

— Tylko bez numerów, wiemy, że pracowałaś z Meksykanami. Kapitalizm się nie podoba, co?

— Wiedziałaś, że jest komunistą, i różnęłaś się z nim?”

Horowitz wciąż grał „Funerailles”.

Carl płakał. Nie potrafił się wyłączyć. Nadal słyszał muzykę i pytania goryli, którzy przesłuchiwali w ten sposób kilka dni, powołując się przy tym na przepisy wyjątkowe dotyczące bezpieczeństwa państwa. Rozmowy bez świadków i bez adwokatów. Kiedy ją w końcu wypuszczą, co się na pewno stanie, nigdzie nie będzie śladu, że takie przesłuchanie się odbyło.

DG myślał głównie o swojej matce. Co by teraz powiedziała ta smalandka o swoim synu? Że człowiek zawsze powinien się przeciwstawić złu, bez względu na cenę, jaką przyjdzie zapłacić za wytrwałość? Taką miał nadzieję. Złu nigdy nie wolno ustępować pola.

Carl wyjdzie z tego. Wystarczy, że obejmie nową funkcję. Wtedy zamieni się w samolot bojowy, który niemal prostopadle wzbija się tam, gdzie czeka go walka, a później wszystko zależy już od odruchów i komputerów. Pomoże mu jego własna nienawiść. Pomoże także Szwecji. A potem zostanie wrażliwym, niezwykle doświadczonym szefem jeszcze nie ujeżdżonych mustangów z USA. I tak powinno być. Choć to niełatwe, tak być powinno.

Cicha, bezwietrzna letnia noc i snu ani na lekarstwo.

Matce nie spodobałaby się jego ostatnia myśl.

\* \* \*

Z zaczerwienionymi oczyma zasiedli do śniadania, przy którym DG nieudolnie próbował żartować na temat zgubnych skutków domowej roboty calvadosu. Obaj nie mieli apetytu.

A kiedy zaproponował Carlowi spacer nad morze, żeby zobaczył, które z dwóch miejsc zostało ostatecznie wybrane na grill, Carl ani przez chwilę nie pomyślał, że idą tam tylko po to, żeby swobodnie porozmawiać, nie narażając się na podsłuch.

— Jak widzisz, stanęło na twoim — powiedział DG, wskazując miejsce książką oprawioną w półskórek.

Carl bez entuzjazmu skinął głową.

— Uznałem, że pośród drzew będzie lepiej osłonięte od wiatru. Tamto przy skałach jest dobre w słoneczne dni, ale tutaj znacznie przyjemniej sobie posiedzieć i co nieco zjeść — rzekł uprzejmie.

Przycupnęli przy dębowym stole na klockach służących za ławki, opodal kamiennego paleniska. Promienie słońca przesiewały się przez liście jesionu i wysokich krzewów leszczyny. Za nimi usypiająco szumiały fale. Wiał łagodny wiatr.

— Czy i ty jesteś zdania, że Rosjanie nie są mściwi? — spytał Carl takim tonem, jakby miał nadzieję, że jest wręcz przeciwnie.

— Tak, nie byłoby to w duchu *glasnosti*, Gorbaczowa i tego wszystkiego, co się tam dzieje. Za Stalina nie pozwolilibyśmy sobie na taką bezczelność, ale czy Sam z tobą nie rozmawiał?

— Jasne, że rozmawiał.

Wydawało się, że Carl błądzi myślami gdzie indziej. DG, wzięwszy głęboki oddech, postanowił posypać trochę soli na ranę.

— Przykra historia — zaczął ostrożnie, niemal obojętnym tonem, jakby mówił o czymś najzwyczajszym w świecie.

— Przypuszczam, że te przesłuchania są dość parszywe.

— Owszem.

— Sandström znów może nam coś takiego zrobić — podjął po chwili DG. — Tobie albo mnie, chociaż ja chyba odpadam, ale wielu innym. Dopóki będzie tam pracował, czyli prawdopodobnie przez jakieś dziesięć, może piętnaście lat, nie da nam spokoju.

I westchnął, jakby myślał o czymś wyjątkowo smutnym. Carl zwlekał z odpowiedzią. Być może już nabrał podejrzeń i instynktownie wyczuwał, czym się to skończy.

— Tak, sfotografuję tego sukinsyna. Czy nie można go potem spalić?

— Chodzi ci o podrzucenie zdjęcia do prasy?

— Właśnie.

— Nic z tego. Mimo że spalenie go, zabawne określenie, prawda, byłoby z pewnością skuteczne.

— Więc czemu nie?

— Rząd. Sorman i cała reszta.

— Nie zgodzą się?

— Za nic. Polityka, układy zagraniczne i cały ten kram.

— Czyli dodatkowe fundusze to jedyna korzyść z jego fotografii?

DG zdecydował się przypuścić atak.

— Młody komandorze podporuczniku, jak powiedzieliby Rosjanie, muszę ci przypomnieć, że wchodzisz w skład jednostki permanentnie zmobilizowanej. Dla nas nie ma wojny lub pokoju bądź czegoś pomiędzy, my zawsze jesteśmy w stanie wojny.

DG nie był całkowicie pewien, czy Carl już wie, dlatego kontynuował, zgodnie z tym, co sobie dokładnie obmyślił nocą.

— Lubisz poezję?

— Nie. Nie czytam wierszy, odkąd skończyłem szkołę.

— No, dobrze, wobec tego usłyszysz wiersz, który podczas całej mojej zawodowej kariery znaczył dla mnie więcej niż jakikolwiek tekst albo raport, z jakim się zetknąłem. Pomyśl, kiedy został napisany. Autorem jest jeden z naszych noblistów, w książce widnieje rok tysiąc dziewięćset czterdziesty, ale powstał wcześniej, już w trzydziestym dziewiątym.

I DG otworzył książkę w miejscu, w którym rzeczywiście roilo się od znaczków.

— Nosi tytuł „Nowa broń”.

Odczekawszy, aż wiatr wyszumi się w koronach jesionów, zaczął czytać. Wolno i z namaszczeniem, na jakie tekst zasługiwał.

*Odegnaj zamyślenie z czoła  
i gotuj się na bój,  
przemoc ten obezwładnić zdoła,  
kto przemógł umysł swój.  
W duchu się bawiąc blaskiem mieczy,  
nie możesz rozbić w puch  
tego, kto w ślepym szale przeczy,  
że jest gdzieś jakiś duch.*

*Spójrz, barbarzyńca broń wybiera,  
bądź gotów oddać cios,  
Gdy dzikie zwierzę pysk otwiera,  
niech milczy myśli głos.*

*W świecie gróźb pełnym wznies do cięcia  
straszny miecz ducha — tnij,  
stopą człowieka i zwierzęcia  
zetrzyj to gniazdo żmij.*

*Bądź mądry, nie wierz wraz z głupcami,  
że nie jest dobrem miecz,  
gdy zło uderza i krwią plami  
każdą na świecie rzecz.  
Wiedz, jeśli z twoją wiarą bieda  
pośród bitewnych burz,  
początku nowym czasom nie da  
żadna z krwawiących zórz.*

[Wiersz Pära Lagerkvista „Nowa broń” przełożył Leszek Engelking.]

Zamknął książkę i czekał. Następny ruch należał do Carla.

Carl patrzył w ziemię, trudno było dociec, którędy biegną jego myśli. Możliwe, że w kilku kierunkach jednocześnie.

— To chyba Pär Lagerkvist? — wychrypiał wreszcie.

— Owszem.

— Czy to rozkaz? — spytał nieoczekiwanie i ze zdumiewającym spokojem.

— Tak. Ostatni. Kiedy wrócisz, będę już na emeryturze — odparł DG.

Zaschło mu w gardle.

— To wszystko?

DG lekko się zaniepokoił. Nie umiał sobie wytłumaczyć opanowania Carla.

— Z pewnym zastrzeżeniem. — Zwilżył wargi językiem, żeby wydobyć głos. — Że nie złożysz Samowi raportu przed powrotem.

Carl kreślił gałązką kółka na piasku. Nagle podniósł głowę i przyglądał się DG ze smutkiem raczej niż z lękiem.

— Rozkaz zrozumiałem i wykonam.

DG nie miał odwagi odetchnąć z ulgą, miały nim zresztą sprzeczne uczucia. Na koniec uznał, że powinien coś powiedzieć.

— Czy to, że nie możesz mieć broni, sprawi ci jakąś szczególną trudność? Może moglibyśmy temu zaradzić?

Ledwie spytał Carla, już się przeklinał w duchu za biurokratyczny język w tak drażliwej sytuacji.

Carl patrzył na niego niemal z rozbawieniem.

— Nie, nie trzeba — odparł, wstając. — Żadna trudność. Mówimy nie o kłopotach technicznych, ale moralnych.

I jakby nigdy nic ruszył w kierunku domku. DG dogonił go i prawie całą drogę pośród jabłoni przebyli w milczeniu, zanim Carl się odezwał.

— Wybacz mi, ale muszę już wracać do Sztokholmu. Nie czytałem dotąd wiele o Sandströmie. Muszę lepiej poznać sukinsyna — rzekł lekkim tonem, jakby omawiali jakieś praktyczne drobiazgi.

DG doszedł do wniosku, że przestał go rozumieć.



**Moskwa**

# 1

W sierpniu gazety donosiły, że nie było w Moskwie takich upałów od blisko stu lat. Mógł więc chodzić w dżinsach i bawełnianej koszulce z krótkimi rękawami, nie musiał wkładać dyplomatycznego garnituru. Całkiem zrozumiałe wydawało się też kilkugodzinne siedzenie w chłodnych pomieszczeniach metra.

Pilnował, by nie poruszać się za szybko, co jakiś czas spacerował wzdłuż peronów, autentycznie zafascynowany marmurami, szlifowanym granitem, żyrandolami i dziełami sztuki, z których mniej więcej połowa przedstawiała heroiczne wydarzenia z historii radzieckiej władzy, reszta zaś wielkich rosyjskich pisarzy i poetów.

Nie rozstawał się z planem metra, za wszelką cenę starał się wyglądać jak turysta, co wbrew pozorom było niezwykle trudne. Spośród ośmiu milionów pasażerów, którzy codziennie przewijali się na stu trzydziestu sześciu stacjach, przynajmniej pół miliona stanowili młodzi mężczyźni w dżinsach.

W ciągu dwóch godzin aż trzykrotnie pytano go po rosyjsku o drogę albo o miejsce przesiadki.

Pociągi jeździły często, średnio co cztery minuty, w pasażach łączących poszczególne linie tłumy waliły w zawrotnym tempie, ciągle ktoś go wyprzedzał.

Posadzki lśniły czystością, nie dostrzegł choćby papierka po irysach. Śledzenie kogoś, kto chciałby się pozbyć ogona, było całkowicie nierealne.

Pewnego pięknego dnia lub wieczoru rozplynie się w oceanie ludzi zmierzających we wszelkich możliwych kierunkach i pojeździ około godziny, by dotrzeć do stacji końcowej linii Kałusko-Ryskiej. Jedyne mankament to pokonanie aż siedmiu przystanków z rzędu po przesiadce na Prospekcje Mira.

Ponieważ na Zachodzie czekałby zawsze korzystają z metra, nabraliby sporych podejrzeń, gdyby zbyt często się w nim pokazywał. Wstrzyma się od przejażdżek przez tydzień. Minimum. Jeśli go śledzą, mogliby za nim pognać.

Wolno ruszył z ambasady Mosfilmowską w stronę uniwersytetu na Wzgórzu Lenina, gdzie chętnie się fotografowali nowożeńcy i skąd był wspaniały widok na miasto. Zatrzymał się tam przez chwilę, wsparty o kamienną balustradę.

Choć upał i zapadający zmierzch ograniczały widoczność, wyraźnie rozróżniał pięcioramienne gwiazdy Kremla. Na wzgórzu spacerowali młodzi, szczęśliwi ludzie; niemal wyłącznie młode pary i ich przyjaciele. Zastanowiła go nieobecność rodziców i postanowił o to zapytać w ambasadzie.

Poczłapał później ku stacji Uniwersytet. Demonstracyjnie rozłożywszy mapę dokładnie ją przestudiował, nim wsiadł w pociąg linii Kirowsko-Frunzeńskiej.

We Frunze znajdowała się jedna z radzieckich akademii wojskowych, w których między innymi kształcono przyszłą elitę GRU.

W wagonach było czysto, ławki umieszczone tak, jak w metrze nowojorskim, tyle że tutaj panowała całkiem inna atmosfera. Ani śladu bazgrołów na ścianach i spokój, żadnego uczucia zagrożenia. Większość podróżujących samotnie coś czytała, książki lub gazety, równie dobrze mogli to być Puszkina i Gogol albo kolumny sportowe.

Szybko przestał się czuć jak wróg, wszelkimi sposobami usiłował odsunąć od siebie sprawę zasadniczą, a mianowicie powód, dla którego znalazł się w tym mieście. Był wrogiem, wrogiem tych młodych zadowolonych ludzi z uniwersyteckiego wzgórza, tego starca z medalami z Wojny Ojczyźnianej — w górnym rzędku dostrzegł Order Lenina — który spytał go o coś, na co nie potrafił odpowiedzieć. Był wrogiem wszystkich czytających w metrze pasażerów i naturalnie wszystkich mężczyzn w mundurach, stanowiących dość wyraźny akcent w tłumie. Co najmniej połowa oficerów, których spotykał, przewyższała go rangą, jakby stopień majora należał w Moskwie do najniższych. W stolicy mieściło się centrum wszystkich sztabów. Dominowali biurkowi karierowicze, co zdradzały mundury, jako że lewa

ich pierś, w przeciwieństwie do obwieszanej baretkami lub medalami lewej strony wytartych cywilnych garniturów starszych mężczyzn, ziała pustką.

Grupka dziarskich komandosów w niebieskich beretach ściągniętych na kark — Amerykanie nosili je zupełnie inaczej — paradowała ze znaczkami świadczącymi o tym, że ich posiadacze wyróżnili się w walce.

Pewnie w Afganistanie.

Potrzebował tego typu obserwacji. Komandosi w Afganistanie, supermocarstwo przeciwko prymitywnie uzbrojonym wiejskim chłopcom.

Gdy czekając na Turgieniewskiej, rozłożył mapę i doszedł do wniosku, że powinien dostać się na Kirowską i pojechać pomarańczową linią, od której zaczął podróż, na peronie zatrzymał się pociąg. Na wagonie, tuż przed sobą, zobaczył godło państwowe.

Wpatrywał się jak zaczarowany. Była to pierwsza rzecz, jaką ujrzał w dniu przyjazdu na czapce oficera, który długo i beznamiętnie sprawdzał jego paszport na lotnisku.

O ile wiedział, mapka na godle powinna przedstawiać Związek Radziecki. Tymczasem na niemal wojskowiezielonym wagonie zobaczył Związek Radziecki zajmujący połowę kuli ziemskiej, podczas gdy Afryka, Europa i Ameryka Północna stanowiły coś kompletnie nieistotnego.

Ów szczególnie świat opasywały dwa snopy zboża, a pomiędzy nimi, w górnej części koła, widniała oczywiście czerwona pięcioramienna gwiazda, nad nią zaś litery: „СССР”. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, nie dziwiły oplatające krągłe snopy czerwone wstążki ani skrzyżowany z młotem klucz francuski na samym dole. Zdumiał go Punkt centralny kompozycji. Między młotem i sierpem ujrzał Szwecję. Młot spoczywał na północnej Norwegii, a cała Skandynawia znajdowała się w zamkniętym kręgu. Poniżej Afryki wschodziło słońce, chyba wschodziło, choć to całkiem obojętne.

Pociąg odjechał, godło wraz z nim, a on stał jeszcze z obrazem Szwecji pomiędzy sierpem i młotem, przekonany, że wzrok go nie zmylił.

Wolno pomaszerował ku Kirowskiej i z radością stwierdził, że stacja poprzedzająca tę, na której miał wysiąść, nosi nazwę Dzierżyńskaja. Metro przejeżdża więc pod placem Dzierżyńskiego, wydawało mu się, że tuż pod KGB.

Na końcu długich ruchomych schodów oświetlonych niezliczonymi lampami, na swój sposób przypominającymi pochodnie, uderzyła go fala ciepła. Marudził nieco z mapą i nieudolnie odczytywał napisy na tabliczkach, zanim dostrzegł strzałkę w kierunku placu Czerwonego.

Gdy wydostał się na ulicę i postawił stopę na miękkim asfalcie, jego wzrok od razu, niemal instynktownie, spoczął na iluminowanej świątyni Wasyla.

Zdecydował się obejść mur. Ruch był niewielki, więc zamiast skorzystać z podziemnego przejścia, przeciął ulicę, co chyba było zabronione. Szybko tego pożałował, widząc dwóch milicjantów w jasnoniebieskich koszulach. Palili papierosy i najwyraźniej nie zwracali na niego uwagi.

Minąwszy bramę parku Aleksandrowskiego, dotarł do Grobu Nieznanego Żołnierza. W pięcioramiennej gwiazdzie połyskiwał błękitny płomień. Wokół nagle zrobiło się pusto. Może z powodu upału, który zdążył mu już przykleić koszulę do ciała, albo z powodu dość późnej pory, a może z obu naraz.

Za wiecznie płonącym ogniem na dużych czarnych kamiennych blokach dostrzegł nazwy radzieckich miast. Odcyfrował Smoleńsk, Kijów, Leningrad, Stalingrad i tak dalej, aż sobie uzmysłowił, że to nie ławki, jak początkowo myślał, lecz prawdziwe sarkofagi ze szczątkami osób z wymienionych miast.

Na płycie Smoleńska leżał mały bukiet kwiatów. W pierwszej chwili sądził, że ktoś go zapomniał zabrać. Tymczasem złożyli go pewnie jacyś krewni z tamtych stron.

Nad rzeką był już zupełnie sam. Szedł wolno, przechadzał się, odzwyczajając się od zerkania na boki. Choć bez wątplenia spacerował, złapał się na tym, że nawet teraz coś gra, jakby nie wierzył, że potrafi cokolwiek zrobić naprawdę.

Gdy wędrując wzdłuż zakola rzeki, dostrzegł sylwetę podświetlonej reflektorami świątyni Wasyla, nie miał już wyboru. Wszedł na chodnik pod murem i z odległości niespełna pięćdziesięciu metrów przypatrywał się budowli, która wyglądała identycznie jak na słynnych zdjęciach. Dzięki temu, że był tak blisko, rozróżnił czerwone cegły, murów nie pokrywały tynki.

Nagle krzyknął na niego jakiś strażnik.

Znieruchomiał z rękami lekko odsuniętymi od ciała. Wkrótce zdał sobie sprawę, że to nic poważnego. Stał opodal bramy wjazdowej Kremla, metr od niego wisiał łańcuch i świeciło czerwone, przesadnie duże światło sygnalizacyjne.

Gestem dłoni przeprosił strażnika za gafę, odszedł, by po chwili spojrzeć na wielobarwne cebulaste kopuły i ruszyć na środek placu.

Pocił się, mimo że szedł bardzo powoli. Plac Czerwony wymiotło z ludzi. Pusto jak we śnie.

Pomyślał, że ciepła czerwień wielkich pięcioramiennych neonowych gwiazd jest wyjątkowo udana.

Niesamowite. Oto plac Czerwony i on dokładnie pośrodku, na bruku poznaczonym liniami, żeby parady odbywały się „pod sznurek”. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Przed Mauzoleum Lenina tkwili dwaj młodzi wartownicy. Zatrzymał się przy łańcuchu, w odległości kilku metrów. Usiłowali się nie poruszać. Sądząc z mundurów, nie byli prostymi żołnierzami, lecz kadetami. Stali po obu stronach drzwi prowadzących do wypchanego Lenina, który leżał w szklanej gablocie.

Przed nimi sterczał jedyny turysta, przyglądał się szczegółom ich mundurów i wypolerowanym bagnetom, turysta — wróg.

Z wysokiej wieży zegar o czarnej tarczy i złotych cyfrach zaczął hałaśliwie wybijać godziny i gdy spojrział w tamtym kierunku, zobaczył zmienników idących krokiem defiladowym przypominającym nazistowski.

Chwilę później, po straszliwie skomplikowanych manewrach i śmiertelnie poważnym dreptaniu w miejscu, zmienieni wartownicy odmaszerowali, a ich posterunki zajęli dwaj nowi w tego samego rodzaju mundurach, którzy znieruchomieli tam, gdzie przedtem stali lekko się kołyszący koledzy.

Zmiana warty dla jednego widza. Ich wroga.

Wrócił na środek placu i oddychał głęboko. Piękny widok, pomyślał. I szybko się poprawił: imponujący. Próbował sobie wmówić, że to efekt uczuciowych rozterek, ponieważ to, co widział, było wręcz niesamowicie rzeczywiste. Nie oglądał obrazu ani filmu, oddychał i pocił się, zerkał ku kopule pokrytej zieloną od śniedzi miedzianą blachą, a może zwykłą, tak, pewnie zwykłą. Na szczycie powiewała jedwabista, oświetlona reflektorami czerwona flaga z sierpem i młotem, wspaniale rozpostarta, jakby wiały dla niej idealne wiatry estetyczno-polityczne.

Kiedyś w Clarté podczas demonstracji spalił taką flagę wraz z flagą gwiazdzistą. Teraz miał przed sobą oryginał.

Jeszcze miesiąc temu Moskwa wydawała mu się ostatnim miejscem, w którym mógłby się znaleźć.

Nagle udał się stanowczym krokiem do tej samej stacji metra, z której wyszedł. Ale tuż przez muzeum pojawiła się samotna taksówka. Prawie jak na zamówienie.

Pomachał ręką i gdy żółta wołga zatrzymała się przy krawężniku, usiadł z tyłu i poprosił o kurs do szwedzkiej ambasady na Mosfilmowską 60. Taksówkarz bez słowa ruszył w przeciwnym kierunku.

Carl przewidywał, że będzie musiał powtórzyć adres, ponieważ nie wierzył swoim językowym umiejętnościom. Po minucie, kiedy się upewnił, że oddalają się od ambasady i zmierzają ku KGB, dwa razy powtórzywszy w myślach stosowne zdanie, spytał, czy pan kierowca dobrze go zrozumiał i czy rzeczywiście jadą w dobrym kierunku.

Owszem, zrozumiał, ale trzeba się trochę pokręcić, żeby skręcić we właściwą ulicę, i oczywiście jadą do szwedzkiej ambasady. Trzy korony. Hokej. Czy zna Tumbę?

Taksówka objechała duży szary gmach z wysokimi granitowymi kolumnami i zmienili kierunek. Próbował wytłumaczyć, że rosyjski hokej jest bardzo dobry. Szwedzi podziwiają radzieckich sportowców. On też, chociaż mieszkał w USA, woli hokej europejski, taki jak w Szwecji i w Związku Radzieckim.

Poszło mu znośnie, taksówkarz rozumiał jego rosyjski i podzielał jego zdanie na temat hokeja.

Jeśli pojawienie się taksówki zawdzięczał wrogom, dowiedzą się, że mieszkał w Stanach, co nie było dla nich nowiną. Nie zamierzał niczego w Moskwie ukrywać, niczego z wyjątkiem operacji.

Na budynku ambasady rzeczywiście widniały trzy duże złote korony, czego wcześniej nie zauważył. Minąwszy radzieckiego wartownika, który zatrzymał samochód i obrzucił spojrzeniem jego pasażera, podjechali od tyłu pod bramę bloku E.

Taksówkarz nie włączył taksometru i teraz zażądał dziesięciu rubli, pewnie trzy razy za dużo. Carlowi nasunęło to przypuszczenie, że ma być może do czynienia ze zwykłym cywilem, i natychmiast wyjął plik czerwonych dziesięciorublowek, których odbiór pokwitował tego dnia. Wyłuskał jeden banknot i zadowolony wręczył go kierowcy, który nie potrafił ukryć zdumienia, że obyło się bez targów i że nie wie, czemu, Szwed tryska radością.

— *I'll rip you off some day* — oznajmił Carl, nie próbując nawet tego tłumaczyć na rosyjski.

Zatrzasnąwszy drzwiczki, powędrował obok kortów tenisowych, skręcił i już był w całkowicie szwedzkim mieszkaniu, które zajmował od kilku godzin i które, jak mu napomknęto, było na podsłuchu, podobnie zresztą jak wszystkie inne pomieszczenia na terenie ambasady.

Trzy pokoje wyposażono w meble z IKEI i pakistańskie dywany, zupełnie normalne lokum dla pomniejszych dyplomatów. Czuł się tu jak w hotelu.

Nowo przybyli zjawiali się zazwyczaj z własnym dobytkiem, żonami i dziećmi. Był jedynym kawalerem w ambasadzie i prawdopodobnie jednym z nielicznych nieżonatych attaché wojskowych w Moskwie.

I bardzo dobrze. Będą mieli co robić.

Położył się na szydełkowej narzucie, zrzucił buty, splótł dłonie na karku i patrzył w biały szwedzki sufit.

Nie poznacie moich myśli, pomyślał z niejakim triumfem.

Nie wziął ani jednego świstka o Sandströmie, żadnych fotografii, nic. Wszystko ma w głowie, obejdzie się bez notatek.

Ósme piętro, jeśli traktować parter jako pierwsze, szczytowe mieszkanie po lewej, licząc od rogu, sześć okien, a potem balkony. Szarobiały dom, pewnie kiedyś lśnił bielą. Sąsiednie budynki, z czerwonej cegły, były nowocześniejsze. Osiem balkonów wychodziło na blok Sandströma. Na dole trzy budki telefoniczne. Wszystko to widać od razu po wyjściu ze stacji metra. Stąd zrobiono zdjęcia. Na dachu, między czwartym i piątym oknem, stał czerwono-biały maszt. Zbiło ich to nieco z tropu, ale później technicy doszli do wniosku, że nie ma on nic wspólnego z Sandströmem, a poza tym jest zbyt duży i niewymiarowy.

Nigdy tego nie zapomni.

Sam Sandström nie stanowił żadnego problemu. Znęcał się nad wszystkimi swoimi kobietami, specjalizował się w podduszaniu i rozdawaniu policzków. Mimo że maltretowanie trwało długo i mimo że tracił — jak kolejno zeznawały na przesłuchaniach — panowanie nad sobą, fundował im jedynie siniaki i ból szyi.

W młodości uprawiał boks, ale po pierwszym nokaucie natychmiast zrezygnował. Raz brał udział w bójce w jakiejś knajpie na Cyprze i zdrowo oberwał. Ale jego przeciwnikami byli wówczas najwyraźniej mężczyźni.

Nie dysponował imponującą kolekcją broni. Zaledwie tym, co wchodzi w skład wyposażenia poborowych.

Sumując, był bezbronny, jeśli nie miał za przeciwnika mniej lub bardziej pijanej kobiety. Jego porywczosć zawsze wiązała się z alkoholem.

Ponadto cierpiał na wszystkie możliwe przypadłości, poczynawszy od guza przysadki mózgowej po mitomanię i chorobę umysłową. Wznowienie postępowania sądowego motywowano po części zaburzeniami psychicznymi. Kiedyś upadł tak nieszczęśliwie, że stracił przytomność, i znaleziono go dopiero po trzydziestu godzinach. Nie obyło się bez hospitalizacji.

Siedem lat spędził w abstynencji w dwóch szwedzkich więzieniach. W ciągu ostatnich dwóch, kiedy przypuszczalnie zaczął planować ucieczkę, doszedł do wniosku, że mógłby nabrać tę nieszczęsną kobietę na małżeństwo i czmychnąć promem do Finlandii.

Carl zakładał, że nie ma jej w Moskwie. Wedle policyjnego żargonu Sandström gustował raczej w lafiryndach, a ona do takich nie należy. Albo nie należała.

Był przekonany, że z nim nie jest. Podejrzewał, że Sandström jeszcze raz sprawdził swoje umiejętności dusiciela. I zapewne skuteczniej.

Nie obyłyby się bez komplikacji, gdyby zastał ją w mieszkaniu. Mógłby jej ewentualnie zaproponować podwiezienie do szwedzkiej ambasady. Nikt jednak, może z wyjątkiem jej samej, jej rodziny i popołudniowych gazet, nie byłby ani trochę zachwycony takim rozwiązaniem. Wróciłyby do kraju w świetle reflektorów, stanęłyby przed sądem, zaczęłyby się dyplomatyczne przepychanki. Carl uśmiechnął się ironicznie na myśl, jak też Peter Sorman poradziłby sobie z tym problemem. Poza tym byłaby świadkiem. A świadkowie nie są mile widziani.

Szybko zajął się innymi aspektami sprawy dręczyciela kobiet i zdrajcy ojczyzny. Chętniej myślał o Sandströmie w takich kategoriach. Unikał nazwiska.

Jego kariera szpiegowska wyglądała dość komicznie. Aż do ucieczki był jednym wielkim nieudacznikiem. Zrezygnował z gimnazjum tuż przed maturą. Zaciągnął się, co w owych czasach było jeszcze możliwe, do artylerii nadbrzeżnej, skąd po dziesięciu miesiącach się wyniósł. Najkrótszy kontrakt odpowiadający najkrótszej zasadniczej służbie wojskowej.

Potem został przyjęty do szkoły policyjnej. Jako policjant ożenił się, oczywiście pechowo, i wylądował ostatecznie w mieszkaniu z drugiej ręki i z obowiązkiem łożenia na utrzymanie eks-żony.

Wtedy zgłosił się do szkoły marynarki wojennej, a gdy ją opuścił w stopniu chorążego, wrócił do pracy w policji.

Prowadził radiowóz, zajmował się rodzinnymi burdami i samobójstwami.

Uzyskał pozwolenie na wyjazd do jednostek pokojowych ONZ i gdy zabawiał się na Cyprze, pewien bystrzak z безпеکی od łowienia talentów zwrócił na niego uwagę, z całkiem jednak błędnych powodów, i zwerbował jako darmowego kapusia w zamian za obietnicę szepnięcia dobrego słowa, gdy będzie starał się o pracę w firmie.

Po powrocie z Cypru dostał się do sekcji zagranicznej policji, gdzie przesłuchiwał amerykańskich dezertersów z Wietnamu. Mimo kompletnej nieprzydatności do tej pracy rok później trafił do biura rosyjskiego w służbie bezpieczeństwa.

Pro memoria ostrzegające przed niezrównoważonym oficerem sił pokojowych ONZ zniknęły w Säpo.

W Säpo zaczął karierę od spóźnień i fałszowania raportów śledczych. Choć go na tym przyłapano, nie został zwolniony. Notatki służbowe w tej sprawie dziwnym trafem wyparowały.

Jeszcze raz podjął służbę w jednostkach ONZ i wbrew wszelkim zasadom zdrowego rozsądku nadal był oficerem bezpieczeństwa. Przypuszczalnie wtedy zwerbował go Rosjanin, a może sam im się sprzedał. Tak czy inaczej, stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

Wróciwszy do Szwecji, zgłosił chęć pracy w wydziale bezpieczeństwa przy Sztabie Obrony. W tym momencie powinny rozbrzmieć donośnie wszystkie dzwonki alarmowe. Nic podobnego się jednak nie stało. Szef Fst/Säk, komandor podporucznik, którego później wyrzucono za alkoholizm, stwarzanie zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa i kompromitację w pewnej aferze związanej ze szpiegostwem na krajowym sejmiku rekrutów, oczywiście go zatrudnił. Zanim to jednak zrobił, zadzwonił do naczelnego Säpo, znanego szaleńca, poprzednika Listonosza, którego mimo malwersacji mianowano potem szwedzkim zwyczajem na stanowisko komendanta wojewódzkiego policji. Szaleniec wystawił szpiegowi wspaniałą rekomendację.

Ponieważ szef Fst/Säk nigdy nie trzeźwiał, Sandström nie musiał się zbytnio wysilać. Zupełnie jakby okradał dziecko. Jako oficer wojskowej służby bezpieczeństwa, miał wgląd we wszystkie tajne dokumenty, a tuż przed jego pokojem służbowym stała kserokopiarka. Starannie skopiował nawet zawartość kasy pancernej komandora, gdy ten, wybierając się na urlop, zapomniał ją zamknąć. Nie bardzo wiadomo, czy się tego wstydić, śmiać się czy płakać.

Po jakimś czasie szpiega wywalono z Fst/Säk za... zbyt częste znikanie z pracy. Teraz GRU nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

Ale oczywiście wrócił do swych poprzednich zajęć w firmie, po czym natychmiast najął się do sił pokojowych ONZ i pojechał na Bliski Wschód. Tam chlał i bił, naturalnie wyłącznie kobiety, podduszając to jedną, to drugą.

Jego *case officer* z bejruckiej sekcji GRU, Sergiej Aleksandrowicz Jermołajew, nie miał z nim lekkiego życia.

Później usiłował szantażować pewnego szwedzkiego generała za składanie ostrych, zjadliwych raportów. I raporty zniknęły.

Jeszcze później, już w Sztokholmie, maltretowana przez niego kobieta zgłosiła się na policję, oskarżając go o fizyczne znęcanie się i szpiegostwo. Najwyraźniej miał zwyczaj opowiadać wybrankom swego serca, że pracuje dla Rosjan.

Säpo przesłuchała kobietę i jego, po czym uznała, że nie istnieją podstawy do oskarżeń o szpiegostwo. Ze znęcaniem się nie poszło już tak gładko i żeby dać mu nauczkę, przeniesiono go z biura rosyjskiego do sekcji dochodzeniowo-śledczej. Tutaj miał jeszcze lepszy wgląd w pracę szwedzkiej służby bezpieczeństwa. Na przykład uprzedził swoich mocodawców, że jeden z ich oficerów wywiadu operujący w Sztokholmie zamierza przejść na stronę Szwedów. Rosjanina ściągnięto do kraju i wywieziono do gułagu.

Potem znów Bliski Wschód, znów alkohol, maltretowanie kobiet i raporty do Säpo rozjuszonych oficerów ONZ. Ale i te gdzieś zniknęły.

I tak to się ciągnęło aż do roku 1979, kiedy zatrzymała go izraelska służba bezpieczeństwa i poddała zupełnie innego typu przesłuchaniom niż w Szwecji. Od razu przyznał się do wszystkiego.

Wreszcie ekstradycja i proces. I ucieczka, ponieważ koledzy z Säk raczyli pilnować tylko jednego wyjścia, gdy otrzymał tak zwaną przepustkę bez nadzoru.

Carl przeczytał w tej sprawie przeszło pięć tysięcy stron. Jedno wydawało się dość oczywiste.

Zdrajca był kryty. Ktoś w Säk niszczył raporty, w których wskazywano, że Sandström stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa, ktoś przyjął go do pracy w biurze rosyjskim już wówczas, gdy nie skończył się jeszcze próbny okres zatrudnienia. Ktoś podjął wielkie ryzyko, by osłaniać szpiega w firmie. Ktoś raz po raz chował ostrzegawcze pro memoria.

Zapewne rosyjski szpieg. Nieźle to pasowało do Pawia, szefa biura rosyjskiego. Wiecznie wybaczącego i pobłażliwego przełożonego Sandströma.

Czy Rosjanie uznali Pawia za spalonego? Czyżby przeceniali szwedzką policję bezpieczeństwa? Czyżby wierzyli, że po schwytaniu Sandströma przez Izraelczyków dojdzie ona do wniosku, że ktoś cały czas osłaniał rosyjskiego szpiega?

Takiego ktosia nie czekałoby w GRU zbyt długie życie. Równie krótko cieszyłby się wolnością, gdyby pracował w którejś z zachodnich służb bezpieczeństwa lub wywiadu. Tylko w Szwecji ludziom jego pokroju wszystko uchodziło na sucho, tylko w Szwecji mianowano szaleńców na stanowiska szefów najbardziej newralgicznych wydziałów bezpieki i wywiadu.

Nawet gdyby Rosjanie otrzymali informację, że protektor Sandströma nie jest nękany, nie daliby temu wiary. Węszyliby raczej jakiś wyrafinowany podstęp. Coś w ich stylu.

A więc fakt, że Paw nie wpadł w związku z ujawnieniem Sandströma, oznaczał coś przeciwnego? Że wpadł?

I Rosjanie okazali się w tej sytuacji sprytniejsi i spalili swojego agenta, który ich zdaniem był już spalony?

Gdyby tylko wiedzieli, pomyślał Carl, chichocząc w duchu.

Nasuwał się bardzo niepokojący wniosek, że Rosjanie mogą prowadzić swobodną politykę werbowania w szwedzkiej cywilnej służbie bezpieczeństwa. Mają zatem duży wpływ na działalność małpiarni na Kungsholmen.

Ale Sandström nie był udanym nabytkiem. Ktoś, kto zagraża bezpieczeństwu swojego kraju, jest zazwyczaj równie groźny dla kraju werbującego. O czym Rosjanie mieli się okazać przekonani. Pewnie sobie teraz rwali włosy z głowy.

Ciekawe, jak udało im się przysposobić Sandströma do jakiegokolwiek pracy wymagającej inteligencji. Jak go musztrują? Leczenie i ostry trening? Zasadnicza służba wojskowa, codziennie rano jogging i specjalnie dobrane kobiety, które nie pozwalają się dusić?

Nie, takie spekulacje nie mają sensu. Przecież go przystosowali. Zatrudnili w dziale analiz strategicznych i kazali prowadzić wojnę przeciwko Szwecji. Koniec, kropka.

\* \* \*

Następnego dnia rano, wykonawszy kilka ćwiczeń rozluźniających na pakistańskim dywanie w salonie swojego nowego trzypokojowego mieszkania, wybiegł w lekkim stroju treningowym na dwór. Okrążył dom, minął korty tenisowe i parking, po czym przemknął obok wartownika, który powinien sobie teraz zakonotować w pamięci godzinę.

Biegł Mosfilmowską mniej więcej na trzy czwarte gwizdka, równym rytmem, żeby nie zdradzić się z celowo mniejszym tempem. Nie było powodu informować ich o prawdziwych możliwościach kondycyjnych. Poza tym powinien się pokazać od lepszej strony, zanim zacznie biegi na kacu. Na samą myśl odczuwał silną niechęć. Nigdy nie trenował na kacu, nie mówiąc o tym, że bardzo rzadko doprowadzał się do takiego stanu. A teraz miało mu to wejść w krew.

Zawrócił po dwudziestu minutach, kiedy z umiarkowaną szybkością pokonał około sześciu kilometrów. Szeroka ulica była niemal całkowicie wyludniona. Dwa duże kasztany opodal bocznego wejścia do „Mosfilmu” staną się od tej chwili jego półmetkiem, a czas, dwadzieścia minut, stopniowo się będzie pogarszał.

Na razie, dopóki przygnębienie, melancholia i nadużywanie alkoholu jeszcze mu nie zagrażają, jest w znakomitej formie i może sobie pozwolić na skrócenie czasu powrotu do osiemnastu minut.

Tak więc trzydziestu ośmiu minut nie wolno mu już potem osiągnąć.



Mimo wczesnej pory było około dwudziestu pięciu stopni i gdy dobiegał do upiornej stalowej konstrukcji, rzekomo dzieła sztuki, i trzech koron na dachu ambasady, nielicho się spocił. Znow ogarnęło go obrzydzenie na myśl o joggingu w stanie średnio trzeźwym. Na dokładkę powinien chyba pić wódkę, której dotąd nie tykał, uważając ją za jakieś chemiczne świństwo i raczej środek znieczulający niż trunek.

Wykąpał się, po czym włożył jasnoszary garnitur, jasnoniebieski krawat i białą koszulę z dyskretnym niebieskim szlaczkiem na kołnierzyku. Tak sobie wyobrażał młodszych szwedzkich dyplomatów.

W lodówce jakiś nieznanymi ofiarodawca zostawił trochę jedzenia. Początkowo miał wątpliwości, ale kiedy zobaczył nie otworzony karton szwedzkiego soku pomarańczowego i datę ważności, wyjął z szafki szklankę i wypił połowę. Na jej dnie widniała nalepka informująca, że wyrób pochodzi z huty drogiego szkła w Smalandii.

W ogóle nie chciało mu się jeść. Albo z upału, albo ze wstrętu do przyszłych, obcych mu nawyków, którym będzie się musiał oddawać.

Za pięć dziewiąta, minąwszy bungalowy wyższych dyplomatów, dotarł do głównego wejścia ambasady.

Urzędujący za szybą pancerną młody recepcjonista zażądał okazania legitymacji, po czym wojskowym tonem poprosił go, by zechciał poczekać.

Ze szkoły tłumaczy, pomyślał Carl. Mówią przyzwoicie po rosyjsku i szkolą się w przesłuchiowaniu jeńców.

Minąwszy służbę, znalazł się w dziale otwartym ambasady. Gdy stał przed dwiema gablotami z jakimiś szwedzkimi dziełami sztuki — w jednej oświetlone szklane jajka, w drugiej fantazyjny szklany kot albo tygrys z przesadnie długim ogonem — kręconymi schodami zszedł jego bezpośredni przełożony, któremu będzie podlegał może dwa, a może cztery miesiące. Schody okalała mosiężna balustradka z brązową poręczą ze szlachetnego drewna. Gustowna i bardzo szwedzka, pomyślał Carl, zastanawiając się jednocześnie, czy ma w ogóle jakiś własny gust, skoro żyje pośród teatralnych dekoracji.

— Witam w pracy, Hamilton.

Sześćdziesięcioletni mężczyzna w okularach wyciągnął dłoń na powitanie.

— Dzień dobry, pułkowniku Nordlander.

— Ach, dajmy spokój tytułom. Nie jesteśmy tu zbyt licznie reprezentowani. Jak minęła podróż?

I wskazał dłonią na schody. Carl ruszył za nim.

— Dziękuję, wspaniale. Dziwnie się tu czuję.

— Zdażyłeś się trochę rozejrzeć po mieście? — spytał jego przełożony, gdy stanęli przed jasnymi drewnianymi drzwiami prowadzącymi do działu zamkniętego.

— Tak, zrobiłem sobie wczoraj spacer i przejechałem się metrem — odpowiedział Carl, z zainteresowaniem przyglądając się szyfrowemu zamkowi.

Szwedzki typ, dość łatwy do sforsowania.

Zaczęli od obejścia innych sektorów. Carl przedstawiał się przypadkowo spotykanym osobom. Gdy minęli jeszcze jedne drzwi z szyfrowym zamkiem, znaleźli się w sektorze zamkniętym działu zamkniętego. Carl zwizytował swój gabinet wyglądający jak pierwszy lepszy szwedzki pokój biurowy, z tą tylko różnicą, że tutaj stały kasa pancerna i monitor.

— Słyszałem, że znasz się na tych zabawkach. — Pułkownik kiwnął głową w kierunku komputera. — Odpowiada?

— Tak — odparł Carl z lekkim roztargnieniem, ponieważ natychmiast poczuł się w tym pomieszczeniu uwięziony. — Świetny sprzęt i na pewno coś się na nim zdziało.

— Podobno potrafisz?

— Tak. To jedna z dwóch rzeczy, na których się znam.

— Aha, a jaka jest ta, hm, druga?

— Tajny wywiad wojskowy, coś, co Rosjanie nazywają wywiadem nielegalnym.

Pułkownik zeszywniał.

— Chodźmy do mnie — rzucił krótko.

Sąsiedni pokój - nie był tak bezosobowy. Zdobiły go powszechnie spotykane pamiątki, takie jak zdjęcia rodziny, psów albo łodzi.

— A więc — zaczął jego szef, szukając tytoniu do fajki w kieszeni marynarki — przede wszystkim chciałbym cię u nas serdecznie powitać. Jeśli dobrze zrozumiałem, twoje zadanie ma polegać na systematyzacji naszej wiedzy. Najpierw jednak chciałbym zaznaczyć, że wszystko, co tutaj powiemy, może być podsłuchiwane.

— Mniej więcej rok temu trochę tego znaleźliście. Czy od tamtej pory nie sprzątaлиście? — zdumiał się Carl.

— Owszem, byli tu... ale z Säpo.

— Ach, tak.

Westchnął z rezygnacją.

— Lepiej więc, żebyśmy o tym cały czas pamiętali. A czy komputerów nie można w jakiś sposób podsłuchiwać? To znaczy, chodzi mi o to, czy nie ryzykujemy, przenosząc nasze archiwa na dyskietki?

— Naturalnie, że tak... Czy nie macie tutaj ani jednego czystego pokoju?

— Mamy, dwa kąciki w korytarzu, tuż obok wejścia do tego działu.

— Jeśli tak, niektóre aspekty techniczne wolałbym omówić później.

— Znakomicie. A więc wracamy do powitalnej porcji morałów. Tego, co za chwilę powiem, wymaga mój służbowy obowiązek. Czy to jasne?

— Tak, jasne.

— Dobrze. Zatrudnianie osób stanu wolnego należy u nas do wyjątków, jesteś jak dotąd jedyny i... zasadniczo jakiegokolwiek bratanie się z Rosjanami i, hm, Rosjankami jest wbrew przepisom. Na planie Moskwy zobaczysz czerwone koło. Gdybyś chciał udać się gdzieś dalej, musisz to zgłosić dwie doby wcześniej, to samo dotyczy twoich ewentualnych gości. Podczas przejazdów masz ściśle przestrzegać reguł, przede wszystkim zakazu fotografowania. Robienie notatek jest dozwolone. My zazwyczaj wszędzie wybieramy się z żonami, nie tylko dlatego, że... no, sam rozumiesz, ale i dlatego, że dobrze mieć przy sobie świadka w razie jakichś dyskusji o tym, co się stało albo nie stało... i tak dalej. Więc przydzielimy ci do towarzystwa któregoś z naszych młodych tłumaczy. Chyba wiesz, po co? Jeśli chodzi o twój czas wolny, nie zamierzamy ci oczywiście niczego narzucać, ale jako dyplomata i przedstawiciel Szwecji, nie możesz wymieniać pieniędzy na czarno ani nic w tym rodzaju. Nie tylko dlatego, że powinniśmy się trzymać z dala od przestępstw, ale i dlatego, że zdarzają się rozmaite prowokacje z udziałem kobiet i...

— Przepraszam, pułkowniku, że przerwę — powiedział Carl, z trudem powściągając zniecierpliwienie.

— Tak?

— Mam za sobą pięcioletnie przeszkolenie specjalne w wywiadzie wojskowy i równie długi staż w służbach specjalnych.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko niego skończył żmudne, wyjątkowo staranne nabijanie fajki i wolno ją zapalił, zastanawiając się, jak zareagować na ukrytą przyganę Carla.

— Okej — rzekł z niepewnym uśmiechem — zostawmy to. Regulaminową porcję morałów już dostałeś. A teraz chodźmy porozmawiać o kwestiach technicznych.

Wyszli na korytarz i pułkownik otworzył siedmiozapadkowy zamek do pokoju o solidnie wygłuszonych ścianach. Umebłowanie składało się z okrągłego stołu, dużej plastikowej kopuły i dwóch krzeseł.

Kiedy zasiedli pod przypominającym klosz do przykrywania sera abażurem pułkownik zmienił ton i zachowanie.

— Chciałbym wrócić na moment do wstępnego kazania — zaczął stanowczo. — Z papierów wiem, że masz wysokie kwalifikacje w czymś, co nazwałeś nielegalną działalnością. Otóż z całą mocą podkreślam, że tutaj żadnej nielegalnej działalności nie prowadzimy- Łamanie reguł nie jest dla nas sportem, a zdobywania informacji w sposób niedozwolony nie traktujemy jako zasługi. Zrozumiano?

— Owszem — spokojnie odrzekł Carl. — Przeniosłem się do legalnej i względnie otwartej komórki wywiadu. Nie mam zamiaru się zbłąźnić i orientuję się, na czym polega moja praca. A dla uniknięcia nieporozumień, nie wiem, co o mnie wyczytałeś, chciałbym dodać, że nie mam przy sobie broni i nie będę miał, dopóki tutaj jestem.

— Tego tylko by brakowało. Jak wiesz, nigdy nie pokazujemy się z bronią. No dobrze, co z tymi cholernymi zabawkami?

Carl wdał się w dłuższy wykład. Z tego, co usłyszał od Sama, raporty z Moskwy były wyrwykowe i bardzo różne jakościowo. Według Sama wynikało to z niedostatecznej systematyzacji i obróbki materiału na miejscu. Wydział do spraw ataszatów Sztabu Obrony był niekiedy zmuszony wyławiać nowe informacje spośród już znanych.

Dość dyplomatycznie dał do zrozumienia, że attaché wojskowi w Moskwie wiedli może nazbyt wygodne życie: siedzieli w swoich pokojach, sylabizowali pismo wojskowe „Krasnaja Zwiezda”, po czym na chybił trafił pichcili raport.

Systematyzacja, główne zadanie Carla, będzie polegała na opracowaniu łatwego w użyciu i zadowalającego z punktu widzenia bezpieczeństwa programu komputerowego umożliwiającego obróbkę danych już tutaj. Nie powinno być z tym kłopotów, ponieważ się specjalizował w tworzeniu najrozmaitszych programów.

Można podzielić informacje na trzy grupy; w czerwonej znalazłyby się te najdrażliwsze, w pomarańczowej jawne, a w zieloną czysto archiwalne. Materiały czerwone wprowadzałyby się do systemu dopiero po uruchomieniu określonych programów. Wymagałoby to przejścia na własne źródło zasilania, niezależne od sieci. Tak, by wyglądało to jak wyłączenie urządzenia albo wyciągnięcie wtyczki z kontaktu.

Przygotowując nowy raport, można będzie na przykład zadać pytanie o zawartość raportu poprzedniego i w ten sposób uniknąć powtórek, albo ustalić, co nowego ma się do przekazania.

Ułatwi to pracę komórek opracowywania informacji w kraju i w stosunkowo krótkim czasie usystematyzuje wiadomości.

Nawet ktoś, kto nigdy dotąd nie posługiwał się komputerem, szybko opanuje technikę współpracy z systemem i wprowadzania danych.

Tak się przedstawiał jego oficjalny plan zajęć, który oczywiście zamierzał wykonać. Bez względu na kaca. Ale to zatrzymał dla siebie.

Kiedy wyszli z pokoju rozmów, Carl obejrzał materiały czekające na klasyfikację. Zacznie od najświeższych, a skończy na najstarszych, potrzebuje przynajmniej miesiąca na wypracowanie jako takiego systemu operacyjnego. Ale później pójdzie już znacznie łatwiej.

Otrzymał jeszcze kilka informacji. Mniej więcej za trzy minuty powinien się stawić u ambasadora, a następnego dnia uda się w mundurze do UWS, czyli Wydziału Spraw Zagranicznych, po odbiór akredytacji.

Gabinet ambasadora Thunborga był niemal spartański w swej stonowanej szwedzkości, przynajmniej meble. Jasna skórzana kanapa i dwa fotele bez śladów zagnieceń, między nimi ława, dwa białe kinkiety i jasnoniebieska wełniana wykładzina dywanowa.

Biurko Thunborga, z brązowego tekowego drewna, o lekko zaokrąglonych liniach, nie było ani ostentacyjnie zagracone, ani pedantycznie uprzątnięte. Jego użytkownik siedział w rozluźnionym krawacie, co nadawało mu wygląd osoby zapracowanej. Na blacie lampka z białym globusowatym abażurem z materiału, przed nim dwa krzesła dla gości z tego samego drewna i w tym samym prostym, acz wytwornym stylu co biurko.

Wszystko byłoby precyzyjnie przemyślane i sterylne, gdyby nie abstrakcyjne, niezrozumiałe dzieła sztuki, które psuły harmonię pokoju.

Potem przyjrzał się ambasadorowi, który ścisnął mu dłoń z miną mocno ironiczną, choć stanowczo uprzejmą. Tak, nie była to zwyczajna uprzejmość, ale właśnie stanowcza.

Wyjątkowo niski, Thunborg nadrabiał chyba niedostatki wzrostu pewną władczością spojrzenia i donośnym głosem.

— Proszę siadać, komandorze. Chciałbym cię serdecznie przywitać i wyrazić nadzieję, że twoja praca przyniesie zadowolenie wszystkim stronom.

Nie wszystkim, pomyślał Carl, ale nie musisz o tym wiedzieć.

— Naturalnie, też mam taką nadzieję.

— Mówiąc jednak bez ogródek — podjął Thunborg, wspierając się na łokciach — usiłowałem dociec celu twojej misji, a sam rozumiesz, że nie brak mi kontaktów i... ale najpierw chciałbym zaznaczyć, że to, co tu powiemy, może być podsłuchiwane.

— Tak, rozumiem — odrzekł Carl i założył nogę na nogę, czekając na następne kazanie.

— Mimo że nasi gospodarze prawdopodobnie słuchają, pragnąłbym zauważyć, że nie do końca pojmuję ten pośpiech, z jakim cię tutaj wysłano. Pobież, hm, szczególny rekord... co w tym mieście nie byłoby dobrze widziane. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

— Oczywiście, ale właśnie zmieniłem pracę.

— Rozmawiałem z moim starym przyjacielem Peterem z UD.

— Z Peterem Sormanem?

— Tak. Odniosłem wrażenie, że Moskwa to miejsce najmniej odległe, w jakim chciałby cię trzymać, ponieważ żałował, że nie mamy przedstawicielstwa w Ulan Bator. Domyślasz się więc, że to dość niepokojące.

— Owszem. I rozumiem, o co Sormanowi chodziło, nie ma to jednak nic wspólnego z moją obecną służbą.

— O co mu chodziło?

— Obiecałem mu, że nikomu tego nie zdradzę. Mogę jedynie powiedzieć, że odnosiło się to do moich wcześniejszych zajęć.

— Hm. Brałeś udział w paru dość spektakularnych wydarzeniach?

— Tak. Ale jestem spalony i nie mogę się już podejmować tego typu zadań operacyjnych. Dlatego przeszedłem do pracy jawnej.

— A na czym dokładnie ma ona polegać?

— Wszystko wyjaśniłem pułkownikowi Nordlanderowi. Pod kloszem. Ogólnie mogę powiedzieć, że chodzi o systematyzację działań służby wywiadu i stworzenie odpowiedniego programu komputerowego. Zdobyłem stosowne wykształcenie.

— W armii?

— Nie, w...

Carl napisał w powietrzu trzy litery, USA. Thunborg w zamyśleniu kiwał głową.

— Ale czy tych komputerów nie... — zaczął ambasador.

— Właśnie ten problem zamierzam rozwiązać — przerwał Carl lodowatym, niemal nienawistnym tonem. — Omówiłem już te sprawy z pułkownikiem Nordlanderem. Pod kloszem.

— Pozwól, że ci o czymś przypomnę. — Thunborg znów się pochylił i wsparł na łokciach, przyjmując pozycję ofensywną. — Nie chcę słyszeć o niczym, co miałyby jakkolwiek związek z twoją poprzednią działalnością. Nie życzymy sobie odsyłania szwedzkich dyplomatów.

— Uznałbym to za wielką porażkę, gdyby mnie odesłano — szczerze przyznał Carl. — Nie przyjechałem tutaj, żeby przegrać.

— Dobrze — oznajmił Thunborg i szybko się podniósł.

Miał wyraźne kłopoty z oddychaniem. Wyjął z kieszeni spodni mały inhalator. Czyżby astma?

Carl wstał i udając, że nic nie widzi, czekał, aż minie atak.

— To... chyba rozumiesz... biorąc pod uwagę raporty na twój temat... całkiem naturalne, że jesteśmy wobec ciebie trochę podejrzliwi... hm, ostrożni. Ale jesteś mile widziany... i życzę ci powodzenia — walcząc z oddechem, powiedział ambasador.

Pożegnali się przy drzwiach. Carl wrócił do swojego pokoju. Pułkownik nie przekazał mu kodu otwierającego sektor zamknięty działu zamkniętego, ale mniej więcej pamiętał ruchy jego palców, więc po niespełna trzydziestu sekundach sforsował zamek. Obyło się bez alarmu.

Powinien chyba komuś zwrócić na to uwagę.

Wniósłszy do pokoju sterty raportów, przystąpił do ich klasyfikacji. Wszystkie, które uznał za „czerwone”, zamknął w szafie pancерnej, a resztę po kolei wprowadził do komputera, co być może natychmiast przechwytywał wróg. Tym lepiej. Uzyskają obraz śmiesznie prymitywnego i niegroźnego stanu wiedzy zgromadzonej przez Szwedów.

Materiał czerwony będzie musiał poczekać, aż w jakiś dyskretny sposób uporają się z dodatkowym źródłem energii.

Zrezygnował z przerwy na lunch między pierwszą a wpół do trzeciej i niemal jak oszalały pracował do piątej. Po krótkim wahaniu zafundował sobie jeszcze godzinę.

Niewykluczone, że to jego ostatni dzień bez alkoholu. Już na starcie chciał zrobić jak najwięcej. Nie wiedział, w jakim stopniu wódka wpływa na intelekt, i lekko się z tego powodu niepokoił.

Gdy wykąpany i przebrany szykował się do wieczornego pijaństwa, zadzwonił pułkownik Nordlander, by go zaprosić na powitalną kolację.

Naturalnie się zgodził i naturalnie była to bardzo szwedzka, nieco za obficie zakrapiana alkoholem, kolacja oficerska, podczas której niemal z ulgą mógł odmówić wypicia drugiego kieliszka koniaku do kawy.

Pułkownik mieszkał w jednym z bungalowów ambasady. Wchodząc, miało się wrażenie, że to pierwsza lepsza szwedzka willa gdzieś w Djursholm. Ściągnęli tutaj wszystkie swoje sprzęty.

Konwersacja dotyczyła wyłącznie spraw obojętnych. Początkowo Carl sądził, że to z powodu obecności kobiety, potem jednak doszedł do wniosku, że żona oficera o przeszło trzydziestoletnim stażu z pewnością była już świadkiem wielu wojskowych rozmów. Uznał, że taki jest po prostu styl pracy w Moskwie. Wszyscy liczyli się z tym, że w każdej chwili mogą być podsłuchiwani.

Niedorzeczne. Ilu dyplomatów jest w Moskwie? Sześć, siedem tysięcy? To jedna z metropolii świata.

Nagrywanie wielu tysięcy rozmów dziennie prowadzonych przez personel dyplomatyczny — a do tego trzeba by jeszcze dodać dwa razy tyle ludzi w hotelach, zagranicznych dziennikarzy i biznesmenów — wymagałoby co najmniej trzydziestu tysięcy osób zajmujących się wyłącznie podsłuchem, systematyzacją, przepisywaniem, przekładem, analizą i archiwizacją.

Boże, wysłuchiwać tyle paplaniny!

Bzdura. Rosjanie mają najlepszych szpiegów, są w tym równie dobrzy jak w balecie, muzyce klasycznej i hokeju, ale w kwestiach podstawowych nie mogą się przecież zasadniczo różnić od Zachodu. A może mogą?

Nie. Metro było metrem, a moskiewskie wydawało się wręcz koszarne dla każdej grupy obserwatorów, bez względu na stopień zgrania i sprawność.

Mniej więcej jak z hokejem. Przeważnie byli trochę lepsi i wygrywali. Ale gra jest jednakowa w Ameryce Północnej i w Europie i w wyjątkowych wypadkach zdarzało się wygrywać innym, nawet Szwecji.

I to jest taki wypadek szczególnie. Musi przyjąć takie założenie. Inaczej sobie nie poradzi.

\* \* \*

Następnego wieczoru w sposób najlepszy z możliwych przystąpił do stopniowej samozagłady. Poprosił sekretarkę działu zamkniętego, aby zarezerwowała mu stolik w czymś prawdziwie rosyjskim, ponieważ nigdy nie jadł rosyjskiego kawioru i tak dalej. Nie było w tym nic dziwnego. Wybrała restaurację staroświeckiego hotelu „National”.

Miał wrażenie, że śni. Zupełnie jak pierwszego wieczoru na placu Czerwonym. Tradycyjna sala na piętrze, jasnoniebieski sufit ze złoceniami, białe lniane obrusy i duże okna z widokiem na Kreml i świątynię Wasyla. Przyjemny chłód i klimatyzacja. Dostał stolik przy oknie.

Już na korytarzu, wyścielonym grubym czerwonym chodnikiem, usłyszał dźwięki muzyki. Wspaniale wykonywany „Marsz turecki” Mozarta. Podejrzał, że z płyty. Tymczasem w głębi sali, w odległości kilku metrów od jego stolika, stał fortepian, przy którym siedziała bardzo wysoka, kruczowłosa kobieta. Ciężkie powieki przydawały jej twarzy wyrazu pewnej obojętności. Gdy po chwili zagrała poloneza Chopina, jakby to była rzecz najoczywistsza w świecie, zapatrzył się w okno. Tam upał i popołudniowe słońce na idealnie udrapowanej, powiewającej na dachu Kremla radzieckiej fladze, tutaj miły chłód, srebrna zastawa i Chopin.

Nagle zagrała coś lejszego, bodaj muzykę z filmu, przestał się więc wsłuchiwać i usiłował przestudiować kartę dań. Kilka stron dziwnie znanych mu nazw i trochę potraw wyglądających na rosyjskie.

Kelner szybko rozwiał jego wątpliwości, proponując jako przystawkę kawior, jako danie główne kurczę po kijowsku, a do picia szampana. Nie wiedział, że odtąd będzie na to skazany. Tyle bowiem mogła mu zaoferować restauracja w swoim prawdziwym, nie zaś drukowanym menu.

Zdecydował się na złotego szampana. Nie miał pojęcia, czym się różni od zwykłego, ale wydawał mu się przynajmniej z nazwy wytworniejszy.

Gdy uporał się z zamówieniem, znów wsłuchał się w muzykę. Ze zdumieniem wyłowił kilka nieśmiałych taktów z „Doktora Żywago”. Zaraz. Melodia nosiła tytuł „Temat Lary”. „Doktor Żywago”, Borys Pasternak, to przecież powinno być zakazane, a w każdym razie niestosowne. Ale zagrała tak zręcznie, że nikt by się nie mógł przyczepić.

Porozumiewawczo kiwnął głową. Spojrzała na niego i jeszcze raz popłynęły podejrzone pasażerki. Opuściła wzrok, uśmiechając się znacząco. Nie potrafił odczytać jej myśli. Błyskawicznie, niemal niezauważalnie zmieniła temat muzyczny.

Kiedy dostał szampana, grała pozornie prostego Beethovena, „Wariacje na temat »Mrugaj gwiazdko«”. Przyglądał się butelce stojącej pośrodku stołu. Bez wiaderka z lodem, jakby szkoda było na takie rzeczy czasu. Jasne przezroczyste szkło, płaskie dno, żółtawy staniol wokół szyjki i brązowa nalepka. Korek okazał się plastikowy.

*Sowietskoje szampanskoje*, przesylabizował. Na razie wszystko jasne. A pod spodem *zolatoje*. Prawdopodobnie „złote”, „ze złota” albo coś w tym rodzaju. Czyli złoty szampan z płaskim dnem.

Zawahał się, jakby chciał przedłużyć chwile trzeźwości. Rosyjski car musiał kiedyś zamówić szampana z firmy Louisa Roederera. Właśnie ona używała butelek z jasnego szkła, zamiast ciemnozielonego, i o płaskim dnie. Swoje wyroby oferuje i dzisiaj. Bardzo tanio sprzedawano je na lotniskach. Kosztowały od trzydziestu do czterdziestu dolarów. Nigdy tego nie pił, w ogóle nie przepadał za szampanem ani za jego rozmaitymi imitacjami, które kojarzyły mu się wyłącznie z nieudanymi przyjęciami.

Ostrożnie, prawie ze strachem podniósł rżnięty kieliszek ze złotym obrzeżem i patrzył na kolor i bąbelki. Nie najgorzej. Małe pęcherzyki powietrza w równych smużkach, piękna barwa.

Zerknął ku świątyni Wasyla, rozmyślił się i skierował kieliszek ku szykującej się do wyjścia pianistce.

Za słodki. Znalazł na etykietce słowo *połusuchoje*. Pewnie znaczy „półwytrawne” albo „półsłodkie”.

Przechodząc, uśmiechnęła się do niego. Nuty leżały obok fortepianu, a więc wróci.

Zjawił się kelner z dużym garniowanym półmiskiem wędzonego łososia, wędzonego węgorka i czegoś w plastrach, łudzaco podobnego do gotowanej szynki. Pośrodku królowała oszroniona szklana miseczką z górą kawioru. Z dodatków zauważył kwaśną śmietanę i bliny. Czyli wszystko, co trzeba.

— Co znaczy *połusuchoje*, wino jest za *sweet...* e... *trocken*, chciałem powiedzieć, że to wino *niet trocken* — wydukał łamaną ruszczyzną.

— Może pan dostać wytrawne — odparł kelner po niemiecku.

— *Charaszo* — Carl obstawał przy rosyjskim — proszę mi je przynieść.

— Czy tę butelkę mam zabrać? — ze zdumieniem spytał kelner, wciąż po niemiecku.

— Tak. Natychmiast.

Zabrzmiało to trochę jak z militarnego rosyjskiego żargonu, którego wyuczył się w kraju.

— Ale już otworzyliśmy...

Kelner wyglądał na zmartwionego.

— Żaden problem, proszę dopisać do rachunku i przynieść *trocken*.

Kelner wzruszył ramionami, skrzywił się i zabrał butelkę.

Od tej chwili będziesz mnie pamiętał, przyjacielu, pomyślał Carl, sącząc szampana z kieliszka, którego kelner nie wziął. A potem przystąpił do jedzenia. Skosztowawszy rzodkiewki, rzucił się na kawior. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio go jadł, pewnie w dzieciństwie, gdy ojciec chciał się postawić i udowodnić, że niektórzy z radością raczą się czymś znacznie wytworniejszym od innych. Nie widział ojca przez ostatnie pięć lat jego życia. Staruszek nigdy mu nie wybaczył „tego tam komunizmu”, wybryków w rodzaju palenia amerykańskiej flagi i zdjęć w gazecie, które mogli obejrzeć wszyscy krewni.

Dostał szampana z napisem *igristoje*. Lepszy, choć też zalatywał chemikaliami. W każdym razie nie za słodki do słonego, metalicznego w smaku kawioru.

To, co wyglądało jak szynka, miało chrząstki. Pewnie jesiotr. Nawet smaczny. W miarę jedzenia i popijania coraz bardziej poprawiał mu się humor. Już teraz musi ćwiczyć się w picciu wina w innym niż dotąd tempie.

Pianistka wróciła, gdy konsumował kurczę po kijowsku. Przywitał ją oklaskami, żeby zwrócić na siebie uwagę gości, ale ku jego zdumieniu gromadka fińskich biznesmenów przy sąsiednim stoliku też zaczęła bić brawo. Kobieta skłoniła się lekko i zaczerwieniła. Miała buty na płaskim obcasie. Przypuszczalnie ze względu na wzrost. Zaczęła od Bacha, nie mógł się zorientować, co to takiego. Pewnie napisał to na inny instrument, dlatego utwór wydał mu się jednocześnie znany i nie znany.

Jednym haustem wychylił kieliszek i niewiele brakowało, by się zakrztusił.

Nagle przerzuciła się na ragtime. Grała technicznie bezbłędnie, ale trochę bez wyrazu, jak śpiewaczka operowa, która z obrzmiałym podniebieniem śpiewa muzykę popularną. Nie miała pierścionków ani obrączki, była dość ładna. Przypuszczał, że jest pianistką koncertową, a tutaj po prostu sobie dorabia.

Szybko uporał się z *Kentucky Fried Chicken* w rosyjskim stylu. Najbardziej zdumiewające było niewątpliwie zestawienie tej potrawy z musującym winem.

Szukał w pamięci jakiejś w miarę długiej frazy z jakiejś w miarę znanej sonaty fortepianowej Mozarta, ponieważ najczęściej go grała. Nie może to być coś mało znanego, ale i nie nazbyt pospolitego. W ten czy inny sposób powinien ją wykorzystać.

Wezwał kelnera i po niemiecku zapytał, czy może poprosić o zagranie wybranego utworu, czy się to praktykuje i czy się za to płaci.

Kelner wyjaśnił szorstko, że nie wolno płacić pianistce i że ewentualnie on sam do niej podejdzie, za odpowiednim wynagrodzeniem, i przekaże kartkę.

Carl zanotował swoje życzenie i wręczył kelnerowi pięć rubli, co powinno stanowić godziwą zapłatę, jeśli rzeczywiście wedle oficjalnego kursu jeden rubel odpowiadał dwóm dolarom.

Grała właśnie coś rosyjskiego, stawiał na Rimskiego-Korsakowa. Gdy kelner wsunął jej kartkę, skinęła głową i odwróciła się do Carla z przesadnym uśmiechem.

Zrezygnował z deseru i na wszelki wypadek poprosił o dodatkowy kieliszek. Kelner odchrząknął i pochyliwszy się ni to dyskretnie, ni to niedyskretnie, wyjaśnił niby-szeptem, że nikomu z personelu nie wolno przysiądać się do gości, co również dotyczy pianistek.

Kiedy po chwili namysłu Carl spytał, jak wobec tego może zaprosić pianistkę na szampana, kelner gorliwie zapewnił, że da się to załatwić, oczywiście odpłatnie, mniej więcej za pół godziny.

Wyjął kolejny banknot pięciorublowy i przykrywszy go dłonią, poprosił o przekazanie dziewczynie pozdrowień od podziwającego ją gościa, hrabiego Hamiltona. Nie był pewien, jakie wrażenie wywrze ten tytuł. Jeśli pamięć go nie myliła, po raz pierwszy się nim posłużył.

Po tej mało socjalistycznej prezentacji kelner wydawał się raczej unижony niż wrogi, chwycił pieniądze, mrugnął i uczynił gest, który mógł znaczyć, że zajmie się sprawą.

Zaczęła grać Mozarta, którego zamówił. Bez nut. Przybrawszy skupiony wyraz twarzy, nie spuszczał z niej oczu, ponieważ dostrzegł, że zerka w jego stronę.

Wolno sączył wino, w drugiej butelce została jeszcze jedna trzecia i czuł się lekko zawiany.

W połowie drugiego pasażu obrzuciła go zalotnym spojrzeniem. Uciekł wzrokiem i zaczerwienił się. Nie z jej powodu, ale dlatego, że wszystko robił nie tak, choć w zgodzie z wcześniejszymi założeniami.

Dawał się poznać jako najbardziej nieostrożny i niedyskretny attaché wojskowy, jakiego Szwecja kiedykolwiek miała w Moskwie, i nie przychodziło mu to wcale z łatwością. Ale było konieczne.

Kiedy skończyła, zaczął gromko bić brawo, co podchwyciła spora część gości. Za oknem zapadał zmierzch. Gwiazdy na kremlowskiej wieży lśniły czerwienią.

Zanim zaczęła kolejny utwór, podbiegł do niej kelner i odbyli krótką szeptaną rozmowę. Na koniec twierdząco kiwnęła głową.

Kelner był na tyle przytomny, by nie gnać od razu do Carla. Zajął się najpierw czym innym. Podeszedł do stolika, gdy grała amerykańską muzykę filmową. Wyjaśnił, że zorganizował butelkę złotego wytrawnego szampana w barze. Pianistka skończy za dwadzieścia minut i byłoby dobrze, gdyby Carl udał się tam wcześniej.

Zapytał, kiedy będzie znów grała. Za dwa dni. Wobec tego chciałby zamówić ten sam stolik za dwa dni. Okazało się to dość trudne, bo obowiązują jakieś wysoce skomplikowane reguły biurokracji, ale za odpowiednim wynagrodzeniem może się coś załatwi.

Carl poprosił o rachunek. Dziewięćdziesiąt rubli. Nie potrafił ocenić, czy to dużo, czy mało, ale zapłacił sto dwadzieścia. Dwanaście małych czerwonych banknotów niepokojąco uszczupliło jego zasoby. Ale miał przecież nimi szastać.

Opróżnił butelkę do dna, co wymagało nie lada samozaparcia, poczekał na pauzę w muzyce, poklaskał, skłonił się pianistce i wyszedł.



Kelner dopadł go przy drzwiach, serdecznie podziękował, tytułując go po niemiecku hrabią, wyprowadził na korytarz i szepcząc, wskazał „Wostok”. Bar o tej nazwie okazał się ponurym pomieszczeniem z przyciemnionym światłem i szklaną ladą. Tabliczka przy wejściu informowała, że przyjmuje się tu tylko zachodnią walutę i karty kredytowe. Z ulgą skonstatował, że na szczęście nie wyjął z portfela swoich kart. Sądził, że w Moskwie nie będzie z nich żadnego pożytku. Pomylił się. We wszystkich dużych hotelach akceptowano karty kredytowe, a w barach na ogół nie przyjmowano rodzimych pieniędzy.

Mimo to „Wostok” był ponurym miejscem.

Na jednym z brązowych bakelitowych stolików w rogu mroził się szampan. Obok stały dwa kieliszki. Bar był tylko częściowo wypełniony, przeważały kobiety. Miał wrażenie, że to prostytutki, i zastanawiał się, jak one płacą. Czy wolno im w ogóle posiadać walutę?

A może po raz pierwszy widzi na własne oczy słynne mewy KGB i GRU? Jeśli tak, nie mają żadnych problemów z wejściem czy płaceniem dolarami. Kiedy siedziały same lub z koleżankami, piły wyłącznie napoje orzeźwiające. Tylko w towarzystwie mężczyzn pozwalały sobie na coś mocniejszego.

Carl głęboko wciągnął powietrze, odwrócił się i poszedł do toalety. Pozbył się zawartości przynajmniej jednej butelki szampana, opłukał dłonie zimną wodą i na talerzyku przy drzwiach położył obok bilonu banknot jednorublowy. Cały personel hotelu powinien go dobrze zapamiętać.

Wracając do baru, kilka razy odetchnął. Z restauracji wciąż dobiegały dźwięki fortepianu. Stanowczym krokiem podszedł do stolika z szampanem i usiadł.

Nie chciało mu się wierzyć, żeby kobieta, która całe swoje dorosłe życie poświęciła muzyce, była prostytutką albo dla nich pracowała. Z drugiej jednak strony przyjęcie jego zaproszenia uznał za dziwne. Przestał sobie zawracać głowę tą sprawą, ponieważ nie miało to żadnego znaczenia. Musi się zachowywać niedyskretnie i jak na razie nieźle mu to idzie.

Nagle zjawiła się w salce z nutami pod lewą pachą i długim krokiem ruszyła od razu do jego stolika. W połowie drogi wyciągnęła dłoń w taki sposób, jakby miał ją pocałować, co też prawie uczynił.

Przedstawili się. Poprawił jej krzesło. Nazywała się Irina Dzierżyńska.

Zmartwił. Zupełnie jakby go wystawili na niewybredny żart. Jakby go od razu przejrżeli. Zdławiwszy pierwszy impuls, by spytać ją dokładniej o nazwisko, pochwalił jej grę i przeprosił za natarczywość. Nie mógł się jednak powstrzymać. Jeśli się nie próbuje, niczego się przecież nie zyska. Wyjął plastikowy korek i nalał szampana do kieliszków. Wypili. Za jej muzykę. Za muzykę całego świata, dodała.

\* \* \*

— To bardzo proste, zwykła formalność — zapewnił komandor Gustaf Hessulf, strzepując nie istniejące pyłki z kantów spodni, gdy po dłuższym namyśle podjął rozmowę. — Spotkamy się z komandorem i z porucznikiem, zamienimy kilka słów o moskiewskich upałach, o klimacie skandynawskim i o tym, że w Leningradzie też są białe noce, jak w Sztokholmie, im się wydaje, że wszyscy oficerowie pochodzą ze Sztokholmu, a potem zjawi się marynarz z kawą, wymienimy uściski dłoni i będziesz akredytowany. Czysta formalność.

— Nie częstują wódką? — z niepokojem spytał Carl.

— Nie. Wódka od czasów Gorbaczowa jest mniej lub bardziej zabroniona, podwoiła się za to produkcja cukru i drożdży. Żeby sprostać zapotrzebowaniu.

— Zwiększają produkcję, jeśli rośnie zapotrzebowanie? To nie mają tu gospodarki planowej?

— *Pieriestrojka*, sam rozumiesz. Nie jestem jednak pewien, bo podobno w całym Związku Radzieckim brakuje i cukru, i drożdży, ale w Moskwie prawie się tego nie odczuwa.

Carl pocił się. W swoim mundurze ze złotym sznurkiem na lewym ramieniu czuł się nieco operetkowo. Volvo było ciasne i niewygodne, pozbawione klimatyzacji.

Poranny bieg nie okazał się tak przykry, jak zakładał, pewnie dlatego, że daleko mu jeszcze do alkoholizmu.

Komandor wrócił właśnie z Leningradzkiego Okręgu Wojskowego i spotkali się kilka minut przed wyprawą do UWS. Gdy pomagał Carlowi uporać się z tym przeklętym złotym sznurkiem, zgodnie z przewidywaniami замуrowało go na widok baretek. Nie potrafił ukryć zdumienia.

— Prawdziwe? — spytał podejrzliwie. — Wiesz chyba, że gadzety są zabronione?

— Wiem — z udawaną obojętnością odrzekł Carl. — Szef marynarki pozwolił mi nosić odznaczenia zagraniczne i szwedzkie.

— Czy to Legia Honorowa? — z osłupieniem zapytał przełożony.

— Tak, order komandorski — z największą obojętnością przyznał Carl i wsiadł do samochodu, dając do zrozumienia, że nie ma o czym mówić.

— Ale chyba nie stacjonowałeś w Niemczech... myślę o... Bundesverdienstkreuz... — podjął komandor, wcisnąwszy się na siedzenie obok.

— Parę lat temu wykonywałem tam pewne zadania.

— A te niebiesko-żółte? Przecież nie służyłeś dwadzieścia pięć lat?

— Nie. To nie jest odznaczenie, o którym myślisz. To królewski Medal za Odwagę i powinien być, jak miemam, najbliżej serca.

Kilka kilometrów przejechali w milczeniu. Gdy podjęli rozmowę, skupili się wyłącznie na sprawach formalnych, które, jak się wkrótce miało okazać, wcale nie będą takie formalne.

Wojskowy Wydział Spraw Zagranicznych mieścił się w malowniczym pistacjowozielonym domu w zaułku Janisiejewa, dosłownie i przenośnie w cieniu monumentalnego marmurowego gmachu Sztabu Generalnego, przystrojonego rzeźbami i czarnymi kutymi w żelazie dekoracjami.

Nie chciało się wierzyć, że te dwa światy mają ze sobą cokolwiek wspólnego. Drewniane drzwi lekko zaskrzypiały, gdy przekraczali próg urządzonego na modłę dziewiętnastowieczną domku. Niezwykle uprzejmi kadeci zajęli się ich dość skąpym wierzchnim okryciem — w Moskwie nadal panował upał — i wprowadzili do pokoju przyjęć, gdzie miało dojść do rutynowego spotkania z komandorem i porucznikiem.

Czekali na nich w postawie wysoce uroczystej trzej oficerowie marynarki. Na czele wiceadmirał, a za nim dwóch komandorów. Kadeci zaanonsowali przybycie gości.

Carl wpatrywał się jak urzeczony w mundur wiceadmirała. Natychmiast go rozpoznał. Identyczny nosił zamordowany przez nich Koskow, którego Carl przywiózł z Kairu do Sztokholmu. Nie obyło się oczywiście bez przygód, co Peter Sorman przypuszczalnie potępił.

Przywitali się, oddając honory i ściskając sobie dłonie. Jeden z komandorów był tłumaczem. Zapewne najwyższy rangą tłumacz, z jakim kiedykolwiek spotkał się szwedzki komandor.

Na zapraszający gest wiceadmirała dwie grupy usiadły naprzeciwko siebie przy dużym stole, zastawionym butelkami wody mineralnej i kryształowymi szklaneczkami. Kadeci rozlewali ją niczym najprzedniejsze wino.

Następnie odezwał się wiceadmirał, lekko się przy tym uśmiechając. Mówił bardzo szybko, głośno i bezceremonialnie. Carl miał wrażenie, że się przestyszał. Jego przełożony myślał podobnie. Ale tłumaczenie przeszło ich najśmielsze oczekiwania.

— Panie Czerwony Kogucie! A może bardziej oficjalnie, panie komandorze podporuczniku Hamilton! W imieniu radzieckich sił zbrojnych, a zwłaszcza w imieniu radzieckiej marynarki wojennej, serdecznie witamy w Moskwie. Z największym zainteresowaniem przyjęliśmy pańskie przenosiny do służby dyplomatycznej i poczytujemy sobie za zaszczyt, że marynarka szwedzka wysłała do naszej stolicy jednego z najbardziej

kompetentnych oficerów wywiadu. Jak pan wie, komandorze podporuczniku, stosunki między naszymi państwami są lepsze niż kiedykolwiek. Czy pan się z tym zgadza?

Kiedy tłumacz nagle przerwał i Carl zrozumiał, że pytanie zostało skierowane do niego, nie bardzo się mógł pozbierać.

— Powinieneś coś powiedzieć — szepnął przełożony, częstując go kuksańcem.

— *Sir...* panie wiceadmirał — wydusił po angielsku — naturalnie w pełni się z panem zgadzam. Z największym optymizmem i zadowoleniem patrzymy nie tylko na rozwój waszego kraju, ale także na coraz lepsze stosunki między naszymi państwami.

Odetchnął i gdy tłumacz, zapewne niepotrzebnie, zajął się przekładem, obrzucił szybkim spojrzeniem komandora Hessulfa. Nim tłumacz skończył, wiceadmirał zadał kolejne pytanie, które wprawiło Szwedów w kompletne osłupienie.

— Co zamierza pan szpiegować w najbliższym czasie?

Tego rodzaju pytanie dzieliły od etykiety oraz wyobrażeń Carla o formalnych rozmowach z formalnymi Rosjanami całe lata świetlne. Na dokładkę ten stary wilk morski roześmiał się.

— Zaniechałem działalności wywiadowczej i pragnę w miarę swych możliwości jak najlepiej wykonywać obowiązki dyplomatyczne w waszej stolicy — odpowiedział Carl, coraz bardziej się kontrolując.

— Tak, tak. — Rosjanin zarechotał i przeszedł na angielski, zdumiewająco dobry mimo wyraźnego akcentu. — Jakimi obiektami będzie się pan szczególnie interesował w ramach legalnej działalności wywiadowczej? Proszę powiedzieć, może panu pomożemy?

— Myślałem o wypadach do republik nadbałtyckich, powodów nie muszę chyba w tym towarzystwie podawać, ale skoro pan pyta, przyznaję, że niezwykle by mnie również interesowały wasze tajne instalacje w Murmańsku.

Rosjanin wybuchnął hałaśliwym śmiechem. Po chwili wahania dwaj komandorzy poszli w jego ślady.

— Nie grzeszy pan brakiem inwencji, młody oficerze! Z Murmańskiem jest tak jak z waszą bazą Muskö. Takie miejsca pozwala się oglądać bardzo starym ludziom, którzy mają dużo złota na dystynkcjach, ale nie zobaczą tyle, ile młodzi komandorzy podporucznicy. Niech wolno mi będzie zauważyć, że głównodowodzący Związku Radzieckiego odwiedził Muskö, a później jeden z waszych generałów był w Murmańsku. Inne propozycje, młody człowieku?

Carl nie mógł się powstrzymać. Pokusa była zbyt silna.

— *Sir*, skoro Murmańsk jest zastrzeżony dla starszych oficerów, zadowolę się mniejszym obiektem taktycznym, wchodzącym w skład waszej jednostki miniłodzi podwodnych i dywersji. Postawiliśmy sobie w Szwecji parę pytań w tej kwestii.

Kiedy skończył, uśmiechnął się. Sytuacja była groteskowa. Groźna i nieodparcie komiczna zarazem.

Trzej Rosjanie jednocześnie parsknęli śmiechem. Wiceadmirał sięgnął po wodę mineralną i wszyscy wokół stołu automatycznie zrobili to samo. Pragnął chyba skierować rozmowę na inne tory, jakby posunęli się już za daleko.

— Jak sam pan zauważył, młody oficerze, stosunki między naszymi państwami w ciągu ostatnich lat stale się poprawiają. Mamy szczerą nadzieję, że owo pozytywne zjawisko nie zostanie zahamowane. Dlatego nie odpowiem na pańskie żartobliwe pytanie, które traktuję jako dowcip. Chciałbym natomiast w imieniu swoim i dwóch pańskich kolegów jeszcze raz serdecznie pana powitać w naszym mieście. Wierzę, że nie będzie się pan wzdrażał prosić nas o przysługi, jesteśmy do dyspozycji. Byłbym rad spotkać się z panem w okolicznościach mniej formalnych, sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Carl nie wiedział, co odpowiedzieć. Domyślał się, dlaczego wiceadmirał nazwał komandorów jego kolegami. Jeden nosił baretkę Orderu Lenina z czterema złotymi paskami i Orderu Czerwonej Gwiazdy, drugi oprócz Orderu Czerwonej Gwiazdy miał coś niebiesko-

srebrnego, przypuszczalnie za odwagę na polu walki. A ponieważ „pole walki” nie mogło w tym wypadku oznaczać Afganistanu, bo radziecka flota się tam nie udzielała, pozostawał Bałtyk. Wyglądało to na diablo wyrafinowaną ironię, nie pozbawioną jednak pewnej dozy humoru, co odbierało sytuacji grozę.

— Pochlebia mi pańska życzliwość, wiceadmirał, jeśli mnie pan zaprosi, chętnie przyjdę, naturalnie po uzyskaniu zgody moich przełożonych w ambasadzie.

Czuł się wyjątkowo niezręcznie w roli dyplomaty.

Wiceadmirał wstał. Podnieśli się wszyscy. I dopełnili formalności. Według zasady starszeństwa podali sobie dłonie i tym sposobem Carl został akredytowany w Moskwie.

Nie był to jednak koniec. Gdy wychodzili, jeden z komandorów popukał Carla w prawą pierś.

— *Seal. Very good.* My też takie mamy i też są bardzo dobre — rzekł, puszczając oko, po czym serdecznie się roześmiał i uściśnął Carlowi rękę.

— Coś okropnego, ni cholery nie rozumiem — wysapał Hessulf, gdy wcisnęli się na niesamowicie rozgrzane tylne siedzenie volvo. — Nic a nic. Nigdy nie byłem świadkiem czegoś równie nierosyjskiego. Albo oni dostali udaru od tego pieprzonego upadu, albo ja.

Carl milczał. Usiłował właśnie opuścić szybę. Bez powodzenia. Prawdopodobnie sprężyna o coś zaczepiła.

— O co mu, do diabła, chodziło z tym czerwonym kogutem? — podjął komandor i rozpiąwszy marynarkę, bez problemów odkręcił swoją szybę.

— Nie mam pojęcia, kojarzy mi się tylko z piosenką z czasów hiszpańskiej wojny domowej — odparł Carl z irytacją, bo okno nie zamierzało się poddać.

— Hiszpańskiej wojny domowej?

— Tak. O czerwonym kogucie i o czarnym kogucie. Czerwony jest po ich stronie, czyli to pewnie komplement.

— Ty miałbyś być po ich stronie?

— Może chodzi o moje zapatrywania polityczne na studiach, ale i wtedy były one zdecydowanie antyradzieckie.

— Jesteś jednym z tych studenckich okupantów?

— Nie. Byłem na to za młody.

— Tak czy inaczej, zrobił się jeden wielki burdel. Czy przypadkiem nie posunąłeś się za daleko z tymi miniłodziemi?

— Próbowałem się tylko dostosować do surowego, ale serdecznego tonu, zresztą nie przyjęli tego źle, a poza tym sami zaczęli.

— Owszem, przyznaję. Muszę jednak o tym zameldować ambasadorowi.

— Zbłądziłem się?

— Nie. Osobiście uważam, że zrobiłeś słusznie, odpłacając im tą samą monetą. Ale ich dzisiejsze zachowanie było czymś absolutnie wyjątkowym. Nie mówiąc już o tym, że podnieśli poprzeczkę. Jeden wiceadmirał i dwóch komandorów!

Carl widział inne wytłumaczenie, wołał się jednak nie zdradzić ze swoimi przypuszczeniami. Kolega, który popukał go w skrzydełka i nazwał „Seal”, otwarcie przekazał mu wiadomość dwojakiej treści. Wiemy, kim jesteś, ale wszystko, co było, minęło. Albo: wiemy kim jesteś, i miej się na baczności.

Na wszelki wypadek postanowił trzymać się drugiej wersji. A w ambasadzie niech sobie myślą, co chcą. Że to efekt upału, *glasnosti* lub jednego i drugiego.

Z czasem będzie to można uznać za zabawną historię. Jeżeli nie zajdzie coś nieprzewidzianego.

— Co z programem komputerowym? — spytał przełożony, wyraźnie rezygnując z zagłębiania się w inne, równie niewytłumaczalne przejawy *glasnosti* i upału.

— Dziękuję, dobrze. Za jakiś tydzień zacznę wam udzielać lekcji i wdrożymy system na trzy pary rąk.

— Jestem za stary na takie rzeczy, ni cholery się w tym nie wyznaję, nie sędzę, aby nasz kochany przyjaciel z żołdaterii był o wiele lepszy ode mnie.

— Z żołdaterii?

— Yhm. Ci w zielonych mundurach. Czyli żołdateria.

— Aha. Nic się nie martw. Kiedy tylko program będzie gotowy, wszystko pójdzie jak po maśle. Zdziwicie się, że to takie proste.

— Wątpię. Obyś miał rację.

Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle. Do środka wdarła się fala gorąca.

Nagrywali spotkanie na wideo. Carl był o tym całkowicie przekonany, ponieważ nie najlepiej ukryta pod futryną kamera kilkakrotnie się przesunęła. Kąt jej ustawienia sugerował, że główny obiekt zainteresowania stanowił starszy kolega Carla.

Co chcieli uzyskać rejestrując reakcje Hessulfa na ich figlarne prowokacje? Może postanowili sprawdzić, czy komandor jest bardziej zaniepokojony niż zdumiony, czy wie o Carlu dostatecznie dużo. I wreszcie, czy Carl przyjechał do Moskwy, żeby kontynuować swoje dotychczasowe zajęcia, czy też naprawdę przeniósł się do dyplomacji.

Jeśli tak, myśleli typowo po rosyjsku: Hessulf jako „rezydent” powinien znać zarówno plany ewentualnych operacji, jak i historię Czerwonego Koguta.

Może tak, a może nie. W każdym razie niczego nie zostawiali przypadkowi. Są przecież najlepsi.

Słowem nie piśnie o kamerze. I bez tego sytuacja jest niewesoła. Nie da się przechytryć ani podejść. Jest tutaj, żeby ich pokonać. Mimo że cena wydawała się bardzo wysoka.

\* \* \*

Wynajął w „Intourście” żółtą ładę 1600 i po pracy, przed wypadami do restauracji, kilka godzin dziennie jeździł po mieście. Musiał się nauczyć poruszania po ulicach Moskwy, każde miasto ma w tym względzie swoje tajemnice.

Prowadzono tutaj dość szybko, nie przejmując się zbytnio kierowcami mniej ważnych pojazdów i traktując pieszych bez cienia szacunku. Człowiek w samochodzie był zawsze ważniejszy od tego na jezdni, nie miał zwyczaju ustępować i niechętnie hamował, kiedy ktoś znalazł się w zasięgu rzutu kamieniem.

Z pasa zarezerwowanego dla władz, czegoś, co radni Sztokholmu zamierzali właśnie wprowadzić, korzystały obecnie nie tylko partyjne szychy, poruszające się limuzynami z czarnymi zasłonkami na tylnej szybie, czy właściciele pozornie prywatnych samochodów o charakterystycznych numerach rejestracyjnych; starszy mężczyzna w podkoszulku w ładzie albo w wołdze bez zasłonek, z których wystawała wędka, niekoniecznie musiał być zwykłym obywatelem zażywającym *glasnosti*. Jego numer przypuszczalnie informował milicję, że to jakaś gruba ryba.

Ze specjalnych pasów mogły też korzystać samochody korpusu dyplomatycznego zaopatrzone w czerwone tablice, taksówki i pojazdy z żółtymi tablicami należące do przedstawicielstw handlowych.

Carl dostosował się do najmniejszej z możliwych szybkości. Na głównych bulwarach dochodziła do stu kilometrów na godzinę. Najpierw musi opanować sposób jazdy, potem nauczyć się trafiać. Na przykład z dowolnego punktu centrum znaleźć najkrótszą drogę do ambasady. To wcale nie było łatwe. Ambasada leżała nieco na uboczu, a jego cel po drugiej stronie rzeki.

Nie przekraczał granic śródmieścia, poruszał się w obrębie szprychowego systemu bulwarów zbiegających się w centrum. Pomagało mu w tym siedem strzelistych pałaców, zwanych smoczymi zębami. Znakomite punkty orientacyjne.

Przypuszczalnie obserwowano go podczas tych pozornie chaotycznych przejażdżek w koło. Niewykluczone, że nabiorą podejrzeń, i dlatego, kiedy przyjdzie na to czas, nie posłuży się samochodem. Zaparkuje ładę przed stacją metra i skorzysta z pociągu. Mogliby na przykład zamontować malutki nadajnik radiowy, co pozwoliłoby im zawsze go zlokalizować.

Choć możliwe, że uważają te wyprawy za przejaw zainteresowania nowym miejscem pracy lub za dość typowy odruch oficera wywiadu.

Ponieważ przed cowiecznymi pijaństwami zawsze odstawiał samochód pod ambasadę, dużo spacerował. Z pozycji pieszego miasto sprawiało zupełnie inne wrażenie. Budynki emanowały siłą, człowiek czuł się śmiesznie mały, znacznie mniejszy niż na Manhattanie, mimo że moskiewskie domy rzadko liczyły ponad siedem piętér. Zrozumienie przyczyny zajęło mu trochę czasu.

Po pierwsze, ulice były nieproporcjonalnie szerokie i tylko dla pojazdów, ciągle trzeba się było rozglądać za podziemnymi przejściami. Po drugie, bramy domów i wysokie partery sugerowały, że mieszkają tam olbrzymy. Niewielki, ale za to bardzo szybki ruch na jezdniach potęgował jedynie odczucie ogromnych przestrzeni, w których niknęły tłumy pieszych.

Nieważne, jakie przyświecały temu cele, w każdym razie tak to funkcjonowało.

Ale można było znaleźć coś wręcz przeciwnego. Niedaleko teutońskiego gmachu Sztabu Generalnego, w okolicach stacji Arbackaja jest ulica Arbat, miejsce spotkań ulicznych artystów i pieśniarzy. Mieszkańcy Moskwy z podszytym strachem zdumieniem słuchają tu wykonawców protestsongów, którzy w oczach Carla byli co najwyżej trzeciej kategorii punkami. Nie rozumiał, co znaczą te protesty i agresja, jego pracowicie szlifowany rosyjski okazał się mimo wysiłków zbyt ubogi. Pocieszał się, że większość słuchaczy w średnim wieku wydawała się równie skonsternowana jak on. Po każdym koncercie rozlegały się rachityczne brawa. A w zasięgu wzroku ani jednego milicjanta, przynajmniej w mundurze.

W jakiś sposób posłuży się dziewczyną, bez względu na to, czy pracuje dla KGB, co zresztą całkiem prawdopodobne, ponieważ ma kontakty z cudzoziemcami, gra w dużym hotelu i od razu dała się zaprosić. Spróbuje obrócić to na swoją korzyść.

Zastanawiał się nad tym dwie godziny, bo tyle czasu zajęło mu dostanie się do Mauzoleum Lenina. Dla takich jak on są inne kolejki, podobnie jak w niektórych dyskotekach i restauracjach sztokholmskich osobno wpuszcza się ludzi z branży muzycznej i ich prawdziwych lub rzekomych przyjaciół. Jednak z powodów czysto sentymentalnych, choć zdradził lata swojej młodości, wczesnej młodości, nie chciał odwiedzać Lenina w ten sposób. Wolał stać w wiecznej kolejce.

Kiedyś sterczał w równie długiej na wysepce na południe od Manhattanu. Wszedł do środka po dwóch godzinach i wspiąwszy się po wąskich spiralnych schodach, na których mieści się tylko jedna osoba, dotarł w końcu do zabezpieczonej pleksiglasem korony Bogini Wolności. Niewiele dało się zobaczyć, o zdjęciach ani marzyć. Mimo to miliony Amerykanów zawzięcie pstrykały.

Mało brakowało, a przegapiłby mumię, ponieważ jego uwagę przykuły oznaczenia na rękawach trzymających wartość żołnierzy. Do tej pory nie wykuł ich na pamięć, chociaż w dziale zamkniętym w ambasadzie wisiały kolorowe plansze przedstawiające je ze wszystkimi szczegółami.

Spojrzał na Lenina w szklanej gablocie, garnitur kupiono mu być może w sztokholmskim PUB-ie, i wyszedł. Zaliczył kamienny sarkofag, jak czynią to co roku miliony radzieckich obywateli.

Zalała go fala upału. Wewnątrz musieli mieć klimatyzację. Zrezygnował ze spaceru i postanowił pojechać na spotkanie metrem. Od czasu do czasu studiował plan, wkuwając po kolei nazwy stacji i koncentrując się na wszystkich punktach, w których krzyżowały się linie: żółta, Kałusko-Ryska, szara, brązowa, pomarańczowa, zielona i liliowa.

Teraz powinien wysiąść na Oktiabrskiej, czyli linia brązowa lub żółta. Jeśli pojedzie z Prospektu Marksa Kirowsko-Frunzeńską, na Kirowskiej musi się przesiąść i z Turgieniewskiej dotrzeć do Prospektu Mira, skąd linia brązowa, okrężna, dowiedzie go do Oktiabrskiej.

To jedna z czterech lub pięciu możliwości. Powtarzał ją raz po raz, wrzucając pięć kopiejek do automatu blokującego przejście. Gdy czerwone światelko zgasło i zapaliło się białe — czy w kraju socjalistycznym nie powinno być odwrotnie? — zjechał ruchomymi schodami do podziemi. Głębokość moskiewskiego metra była imponująca i tajna, ponieważ uważano je za część systemu obrony.

W wagonie zauważył, że nad co drugimi drzwiami wiszą plany metra. Nie musi się zatem uczyć wszystkich stacji na pamięć, wystarczy, jeśli zapamięta ogólny ich rozkład i miejsca przesiadek.

Nie powinien zaniedbywać swoich ewentualnych prześladowców. Nie wolno mu schodzić im z oczu. To ważne. Do czasu.

Nieco jednak przyspieszył, żeby go bez przerwy nie wyprzedzano i żeby w najistotniejszym momencie jego zachowanie nie odbiegało zbyt mocno od tutejszej normy.

Znów nasunęła mu się niemiła myśl, że ci ludzie są jego wrogami, a raczej, że on jest ich wrogiem. Był dla nich tym, kim straszyla ich propaganda, wyolbrzymiając wszystko w stopniu tak niesamowitym, że pewnie nie wierzyli, że ktoś taki w ogóle istnieje: zachodni szpieg z zakusami wobec pokoju i władzy radzieckiej.

Pociągi przyjeżdżały w perfekcyjnie zsynchronizowanych czterominutowych odstępach i mimo okrężnej trasy, jaką wybrał, po niespełna trzydziestu minutach dotarł do celu.

Znów upał i znów przyklejająca się do pleców koszula. W szerokich jasnych spodniach z lnu i T-shircie musiał chyba wyglądać jak cudzoziemiec, ponieważ co bystrzejsi mieszkańcy Moskwy bez cienia wahania po angielsku lub po niemiecku proponowali mu wymianę pieniędzy. Naturalnie odmawiał. Bez względu na zdumienie ewentualnych obserwatorów nigdy nie popełni najmniejszego wykroczenia, ani razu nie siądzie pijany za kierownicą. Wielu radzieckich oficerów wywiadu usuwano ze Sztokholmu z tej właśnie przyczyny. Nie uda im się teraz wziąć rewanżu jego kosztem. O wymianie na czarno mógł zapomnieć, bo choć oszczędzanie wydawało się pożądane — o ile się zdążył zorientować, za dolara płacili osiem rubli, czyli osiemdziesiąt za obiad to równoważnik zaledwie dziesięciu dolarów — zwrócą mu później wszystko co do öre. A jeśli nawet nie, nie ma to większego znaczenia. Wystawne życie w Moskwie jest tańsze niż w Sztokholmie, gdzie butelka białego burgunda kosztuje tyle, ile cały wieczór w Moskwie.

Miała czekać przy wypożyczalni łodzi w parku im. Gorkiego. Przyszedł za wcześnie. Zdławił chęć obserwowania miejsca, w którym się umówili. Nie jest przecież szpiegiem, tylko nieudolnym szwedzkim dyplomatą, który nie respektuje zasad bezpieczeństwa swojego kraju.

Zszedł więc na nabrzeże Puszkina i usiadł w cieniu nie znanych mu drzew. Dobrze widoczny, łatwy obiekt do śledzenia. Powinni się do tego przyzwycząić.

Przede wszystkim postara się przeniknąć do grona jej znajomych, poszerzy krąg swoich niestosownych kontaktów. Jeśli się uda, nawiąże z nią coś w rodzaju romansu. Nawet gdyby dla nich nie pracowała, wkrótce będzie do tego zmuszona.

Nie bardzo wiedział, jak się odnosić do hotelowych prostytutek. Korzystanie z ich usług jest chyba karalne, mimo że oficjalnie nie istnieją. Ale czy Rosjanie zamiast rozpętać dyplomatyczną aferę nie ucieszyliby się z tej jego słabostki?

Może. Nigdy nie wiadomo.

Rzeką płynęły długie łodzie z tabunami turystów. Do łagodnie opadającego kamiennego nabrzeża mogłyby przybijać amfibiae. Opodal kąpała się grupka dzieci i nastolatków.

Przypomniały mu się słowa DG o dewastacji środowiska, która doprowadziła do zakazu kąpieli przy ujściu Weichsel. Rosjanie najwyraźniej nie mieli zatrutych rzek. Nie skontaktuje się z DG, nie skorzysta z poczty dyplomatycznej, nie przekaże informacji, że Sandström musi mieć w szwedzkiej bezpiece opiekuna. Cokolwiek zrobi, nie może w żaden sposób odsyłać do Sandströma.

Do czasu. Zdrajcami w kraju zajmą się później, jego własny dozorca ciągle jest na wolności. Radziecki informator chodzi sobie samopas. Opieczętował mieszkanie i wszystkie kwiaty przekazał Lallerstedtowi, żeby po powrocie nie oglądać ich smętnych pozostałości.

Za dziesięć minut będzie w parku Gorkiego, przy wypożyczalni łódek nad jeziorkiem. Dlaczego chciała się tutaj spotkać? Czyżby od razu pragnęła dać mu do zrozumienia, że nikt ich nie będzie podsłuchiwać? Jakby łódka na jeziorze mogła udaremnić zamiary wroga?

Nieważne. Znajdzie na nią sposób bez względu na to, czy dla nich pracuje lub będzie pracować.

Na domiar wszystkiego nazywa się Dzierżyńska, co jako żywo przywodzi na myśl czarny humor, którego doświadczył w UWS.

Wynajęcie łódki, różowej lub pistacjowozielonej, kosztowało grosze. Chichocząc, wybrała różową, ponieważ lepiej pasowała do ciemnej zieleni jej bawełnianej sukienki, która zbyt by się kłóciła z innym odcieniem tego koloru.

Wolno wiosłując, wpłynął pod rozłożyste wierzby i zadawał jej pytania tak spokojnie, jakby konwersował o muzyce.

Naturalnie jest pianistką, właśnie niedawno, w wieku trzydziestu lat, zakończyła naukę i chciałyby koncertować.

Z wdziękiem zanurzyła smukłą dłoń w wodzie. Tak, naprawdę nazywa się Dzierżyńska, ale nie ma to nic wspólnego z placem, na którym stoi pomnik Dzierżyńskiego. Zaśmiała się.

Nic mu nie mówi nazwisko Dzierżyński? Feliks Dzierżyński, twórca tajnej policji? Teraz jest tam KGB, zawsze była, w dużym żółtym gmachu, każdy o tym wie. Gdyby nie *glasnost*, nie odważyłaby się powiedzieć tego głośno.

Jeśli miałyby takich krewnych albo takie powiązania, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, nie byłaby *otkaznikiem*.

Carl udawał, że nie rozumie.

*Otkaznik* to ktoś, komu odmówiono zezwolenia na wyjazd z kraju. Dużo się ryzykuje, składając podanie o takie zezwolenie, bo bardzo często nie zgadzają się z zupełnie niezrozumiałych powodów, ale tu niczego nie można przewidzieć. A po odmowie ziemia się człowiekowi usuwa spod nóg. Muzyk, który nie jest wystarczająco dobry, żeby występować jako solista, nie ma w Rosji żadnej przyszłości. Powiedziała „w Rosji”, a nie „w Związku Radzieckim”.

Chciałyby się przenieść do Finlandii i tam występować. Wprawdzie ze względów formalnych powinna składać podanie o wyjazd do Izraela, ale kiedy się już człowiek wydostanie, może wybierać. Ma krewnych w Kanadzie i w Nowym Jorku, którzy w ten sposób wyjechali.

Rodzinie *otkaznika* nie wiedzie się najlepiej. Jej rodzicom nic nie grozi, oboje pracują naukowo, mama jest fizykiem, ojciec poświęcił się medycynie, ale jej rodzeństwo znalazło się w kłopotliwej sytuacji.

*Glasnost* może i sporo w Moskwie zmieniła. Żydom jednak żyje się jak dawniej i nawet krążą o tym dowcipy.

Kontakty z cudzoziemcami nie są w stanie pogorszyć jej położenia. Jest wystarczająco zła. Kiedy otrzymała odmowę, zaczęli się od niej odsuwać nieżydowscy przyjaciele. Kontakty z cudzoziemcami mają swoje dobre strony.



Nie powiedziała tego wprost, ale tak to odebrał. Może zakładała, że znajomość ze szwedzkim dyplomatą raczej jej pomoże, niż zaszkodzi, że dzięki temu łatwiej otrzyma upragnione pozwolenie.

Symbioza, pomyślał Carl. Ona chce wykorzystać mnie, a ja ją. Przewidywał, czym się to może skończyć. Romansom i mglistą obietnicą, że ułatwi jej wydostanie się stąd lub się z nią ożeni, co wychodzi na jedno.

Zmienił temat. Opowiadał o wrażeniu, jakie zrobiła na nim Moskwa, o ruchu na ulicach i o wynajętym samochodzie.

Okazało się, że jej ojciec też ma ładę 1600, ale przeważnie ona nią jeździ.

— Cieszyłbym się, gdybyśmy mogli razem wybrać się do teatru, mój rosyjski jest za słaby, żeby odważyć się pójść tam sam — przyznał Carl, dostrzegając całkiem nową możliwość.

Jej samochód i teatr stwarzały nieoczekiwaną szansę rozwiązania problemu.

Większość łódek kołysała się w długich różowo-zielonych rzędach przy brzegu sztucznego jeziora. Pływało ich niewiele. Mniej więcej w co drugiej wiosłował młody mężczyzna, a młoda kobieta siedziała na rufowej ławeczce. Powszechnie praktykowany w Moskwie sposób nawiązywania romansów.

Mieli oczywiście wspaniałe możliwości szantażu i wykazałyby się nieudolnością dorównującą właściwej Säpo, gdyby zmarnowali taką okazję. Zmuszą ją do donosicielstwa, jeśli do tej pory się tym nie parała. I bardzo mu to dogadzało.

## 2

Jurij Cziwarszew miał wiele powodów do niezadowolenia. Od tygodnia bez przerwy lał deszcz, w Sztokholmie zapowiadała się wczesna, chłodna i mokra jesień. Zbliżały się wybory, co najprawdopodobniej oznaczać będzie kłopoty.

Na domiar złego musiał się zwrócić do czekistów, od których instynktownie go odrzucało. Jakiegokolwiek związki z KGB były tradycyjnie niemile widziane, nikt nie chciał być ich dłużnikiem.

Ale zbieranie informacji w szwedzkich kręgach rządowych należało do ich obowiązków. I niestety mieli tak pewne kanały, że ich wiedza zawsze okazywała się niepodważalna. Stąd czasami po prostu nie można się było bez nich obyć.

Rząd szwedzki wyraził w końcu zgodę na przyznanie immunitetu Pawiowi. Oficjalnie decyzję w tej sprawie podjął minister sprawiedliwości, po czym zaakceptował ją prokurator generalny, swojego rodzaju rzecznik partii na usługach rządu. Podpisano dokumenty, oczywiście ściśle tajne.

Z własnych źródeł Jurij Cziwarszew wiedział, że rzecz się rozniosła w Säpo, i niektórzy zdrowo utyskiwali.

I teraz, kiedy Paw ma papiery w garści, musi dotrzymać umowy. Zapewne opowie, w jaki sposób ochraniał tego nieszczęsnego Sandströma, raz czy dwa podejmując działania na bezpośrednie polecenie radzieckiego opiekuna.

Ta informacja również trafi do zbyt licznych uszu w tak zwanym wariatkowie, czyli małpiarni.

Siły burżuazyjne jak zwykle zwrócą się do swoich reporterów z „Expressen” i jak zwykle wybuchnie w Szwecji polityczny skandal przedwyborczy. Rząd zostanie oskarżony o osłanianie szpiegów i zaufanych szefów z policji bezpieczeństwa.

Plotkarze z Säpo wyciągną na wierzch aspekt militarny, w przekonaniu, że wojskowi też mieli swój udział w obronie ujawnionych agentów radzieckich, a wojskowi w odpowiedzi ogłoszą wszem i wobec, że raport Tristana to radziecka prowokacja.

Powstawało więc pytanie, w jakim stopniu cała ta historia wpłynie na morale radzieckiej siatki agentów w Szwecji i czy nie utrudni akcji werbunkowej. Najgorsze ze wszystkiego jest

to, że Związek Radziecki, przynajmniej w opinii Zachodu, wyszedłby na sprzedającego własnych ludzi.

A gdyby tak ktoś ze szwedzkiej bezpieki puścił w obieg informacje, że pewni niezwykle inteligentni funkcjonariusze sami doszli do wniosku, że Sandström ma swojego anioła stróża, i że wiedzeni swą niezwykłą inteligencją doprowadzili do jego wykrycia?

W kręgach szwedzkiej bezpieki nie brakowało idiotów, którzy mogliby upowszechnić tę dość kuszącą historię.

Te zakute łby ani przez chwilę nie pomyślały, że Sandström może mieć opiekuna. W tym sensie operacja Reorganizacja była zupełnie niepotrzebna.

Nie do końca wiadomo, jak owe skandale wpłyną na wynik wyborów, zresztą to już sprawa czekistów. Nowy rząd prawicowy mógłby jednak odciąć ich od informacji pochodzących z samej góry, chyba że uzyskiwali je za pomocą środków technicznych. Choć biorąc pod uwagę jakość materiału, najprawdopodobniej dostarczał go człowiek, a nie urządzenia elektroniczne.

Tak więc KGB nie chciała żadnych politycznych skandali, bez względu na to, w jakim stopniu mogłyby one zaszkodzić GRU. A z punktu widzenia GRU rząd socjaldemokratów był naturalnie lepszy od prawicowego. Przynajmniej raz łączył ich wspólny interes.

Wszystko jednak zależało od tego, co ludzie ze szwedzkiej służby bezpieczeństwa przekażą do publicznej wiadomości. Dopiero wtedy będzie można ocenić możliwości przeciwdziałania.

Do wyborów zostało zaledwie dziesięć dni. Săpo już wkrótce powinna ujawnić swoje stanowisko w prasie. Najwyższa zatem pora na przeciwnatarcie. Niebywała przenikliwość policji bezpieczeństwa pozwoliła zdemaskować Pawia, inicjatywa przyznania immunitetu nie wyszła od rządu, lecz od superinteligentnej służby bezpieczeństwa.

Popołudniówce nie zabraknie w najbliższym czasie materiałów do rozpętania skandalu.

Jurij Cziwarszew złożył grubą teczkę z ręcznie wypisanym nagłówkiem: D-46/71 PAW. Niewiele zdziałał, ale zawsze coś.

Poczyniwszy krótkie notatki na wieczorną odprawę, zamknął akta Pawia w wysokiej szafie pancernej z nadzieją, że przez jakiś czas nie będzie ich oglądał.

Resztę popołudnia miał poświęcić na przejrzanie grubego raportu z Moskwy. Zdumiał się jego objętością, gdy zobaczył, czego dotyczy.

Hamilton nie powinien dawać powodów do tak obszernych sprawozdań, to do niego niepodobne.

Jurij Cziwarszew położył papiery na uprzątniętym biurku i podszedł do okna. Patrzył na niebieski neon po przeciwnej stronie ulicy, który obwieszczał, że właśnie tutaj mieści się najbardziej antyradziecki dziennik w Europie Północnej, mogący w ciągu dwóch tygodni stać się organem rządowym.

Gdyby ludzie z wariatkowa zaczęli rozpuszczać pogłoski w popołudniówce o wojskowych agentach, którym także przysługuje nietykalność, dziennik bez wahania wzięłby wojskowych i ich sztab w obronę.

Poprosił sekretarza o herbatę, po czym zasiadł do czytania raportu. Już pierwsza strona mocno go zdumiała. Młody komandor podporucznik wiódł w Moskwie hulaszczę życie. Każdego wieczora odwiedzał bary „Intouristu” i „National”, codziennie jadał mocno zakrapiane kolacje, szastając pieniędzmi na lewo i prawo, jak jakiś waluciarz. Każdy banknot pochodził jednak, co sprawdzono, z legalnego źródła, ze szwedzkiej ambasady. Do domu wracał najczęściej pijany, nigdy w tym stanie nie prowadził samochodu.

Jurij Cziwarszew uśmiechnął się pod nosem. Tak, będąc oficerem wywiadu, najrozsądniej unikać siadania za kierownicą po pijaku. Nie wszyscy, niestety, to przekonanie podzielali.

Hamilton nie stronił od prostytutek, tych, które były na ich usługach, i tych, które działały — efekt *pieriestrojki* — na własną rękę. Nigdy jednak nie posunął się za daleko, mimo że wielokrotnie im stawał.

Dwie wycieczki, do Leningradu i do Kaliningradu, odbył w towarzystwie młodego uroczego chłopca z ambasady. Zastanawiano się, czy ów czarujący partner nie tłumaczy niechęci Hamiltona do łóżkowych przygód z prostytutkami.

Jurij Cziwarszew obruszył się. Musi istnieć jakaś granica w zamięszeniu Szwedów do takich świństw. Podejrzewanie o podobne skłonności tak wspaniałego kolegi sprawiło mu niemal przykrość.

Poza tym przeczyły temu informacje na następnych stronach. Młody Hamilton pozostawał w dość intymnym związku z panną Iriną Dzierżyńską. Zabawne nazwisko. Chyba nie jest spokrewniona z Feliksem?

Często ich razem widywano. Gdy grała w „Nationalu”, była pianistką, jadał tam wystawne obiady. Wielokrotnie składał jej wizyty w domu, raz pod nieobecność rodziców. Dwa wieczory w tygodniu spędzali w teatrze.

Prowadził urozmaicone i czasochłonne życie. Jego praca w ambasadzie szwedzkiej miała, o ile im było wiadomo, charakter techniczny, trudno oczywiście ocenić, jak sobie radził i czy jego zajęcia służbowe dają się pogodzić z niepokojąco dużą konsumpcją alkoholu.

Prostytutki, własne i *pieriestrojkowe*, nakreśliły podczas przesłuchań dość jednolity obraz. Bez wątplenia znajdował się na granicy gadulstwa. Mówił, że jest wojskowym, że miał fascynujące zadania za granicą, że wskutek intryg w kraju został wysłany do idiotycznej pracy poniżej jego kwalifikacji i że tęskni za domem.

Często snuł się sam ulicami, najwyraźniej bez celu (włożono niemało wysiłku, żeby doszukać się powodów tych wędrówek), zachowywał się jak turysta, chodził do parków, jeździł metrem albo samochodem. Nie nawiązał jak dotąd żadnego kontaktu, który mógłby zagrażać radzieckiemu bezpieczeństwu.

Czyżby Szwedzi zamierzali spisać na straty jednego ze swoich najlepszych operatorów? Dając mu błahе zadania w Moskwie, pragnęli, żeby zgorzkniał i gotował się z chęci zemsty? I czy rzeczywiście tak dużo pił?

Zbyt ładnie to wyglądało. Hamilton pokazał przecieź, co potrafi. Jest niezwykle zdolnym oficerem. Czy rzeczywiście mógł się tak szybko stoczyć?

Centrala przychyliła się do tej opinii. Już podjęli pewne działania, między innymi zwerbowali pianistkę. Miała się czym martwić. Zależało jej na wyjeździe z kraju.

Brali też pod uwagę młodych chłopców. Można było założyć, że jeśli Hamiltona wysłano do Moskwy, bo w Szwecji zawadzał, nie chciałby od razu stamtąd wylecieć. Czyżby stary jak świat szantaż?

Jurij Cziwarszew pokręcił głową. Po pierwsze, takie metody stosowano zwykle wobec osób mniej świadomych kwestii bezpieczeństwa i bardziej dbałych o swój prestiż niż młody zawodowy oficer wywiadu. Po drugie, było to całkowicie fałszywe psychologicznie, o ile Jurij Cziwarszew mógł cokolwiek powiedzieć o człowieku, którego wprawdzie nie spotkał, ale którym sporo się zajmował.

Hamilton czułby się głęboko urażony, że próbuje się go szantażować jak pierwszego lepszego komiwojażera. Znacznie lepiej zbliżyć się do niego otwarcie. Ale wówczas trzeba by odczekać co najmniej pół roku. Może dłużej. Sądząc jednak z jego zachowania, można się spodziewać, że przełożeni odesłają go do kraju i ptaszek wyfrunie.

A zatem przez pół roku przyglądać się bacznie rozwojowi sytuacji i potem zamiast prowokacji wybrać bezpośredni kontakt.

Oto odpowiedź na pytanie Moskwy.

Mało zadowolająca. Dlaczego taki profesjonalista popełnia tyle klasycznych błędów? Jak to się dzieje, że zachowuje zdolność prawidłowej oceny sytuacji? Nie popełnił na przykład najmniejszego choćby wykroczenia.

Może ma to we krwi, może w miarę postępującej degrengolady przestanie się kontrolować? Ustalono, że w porównaniu ze stanem sprzed kilku miesięcy o dziesięć, piętnaście procent pogorszyła się jego kondycja fizyczna.

Skąd to wiadomo?

Jest tak niewygodny w kraju, jak to opowiadał rozmaitym kurwom? Wspomniano coś o powodach politycznych, o jakimś bubku z rządu, który go nie lubił.

Jurij Cziwarszew westchnął. Tak, trzeba to sprawdzić. To ważne, jeśli informacja okaże się prawdziwa. Nie ma więc wyboru, musi się zwrócić do kolegi czekisty.

Sprawy nieprzyjemne lepiej mieć jak najszybciej za sobą. Jurij Cziwarszew podejmował w swoim życiu dostatecznie dużo nieprzyjemnych decyzji, żeby wyrobić sobie niezbite przeświadczenie, że zwłoka nic nie daje. Trzeba załatwić to od razu, pozbyć się niczym bolącego zęba.

Zamknął raport o Hamiltonie w szafie pancерnej i zadzwonił do kolegi urzędującego w drugim skrzydle gmachu. Tak, naturalnie, może przyjść natychmiast. Ciężkim krokiem ruszył do rezydentury KGB, skąd widok na wodę i miasto dogadzałby mu znacznie bardziej niż ponura ceglana fasada wściekle antyradzieckiego dziennika.

I rzeczywiście. Poszło tak, jak podczas wyrywania zęba. Szybko, nieprzyjemnie, ale skutecznie.

KGB wiedziała, o co chodzi, i potwierdziła, że Hamilton popadł w niełaskę. Naraził się podsekretarzowi stanu Peterowi Sormanowi, a powodem była operacja na Bliskim Wschodzie. Wedle wersji oficjalnej do uwolnienia szwedzkich lekarzy z rąk bliskowschodnich bandytów doszło dzięki fenomenalnej zręczności szwedzkich dyplomatów. Tymczasem prawda była taka, że Hamilton odbił ich siłą. Peter Sorman nie chciał, żeby sprawa wyszła na jaw, i dlatego wysłano go do wszystkich diabłów, to znaczy daleko, do Moskwy.

Jurij Cziwarszew wrócił do względnie przytulnej części swojego sektora w ambasadzie dość zadowolony. Warto było się facygować, uzyskał bardzo ważną informację.

Hipoteza miała ręce i nogi. Hamilton czuł się dotknięty sposobem, w jaki został potraktowany. Nie dość, że był podejrzany o szpiegowskie konszachty z ZSRR, na dodatek wyrzucono go akurat do Moskwy, i to tylko dlatego, że nie podobał się jakiejś politycznej szyszce.

Tak, to mogło się zgadzać.

A jednak sporo rzeczy wyglądało za dobrze. Pod więcej niż jednym względem prowadził podwójne życie. Nabierał swoich, parodiując faceta, który zagraża bezpieczeństwu państwa. Czasem upijał się jak świnia, czasem zaś zachowywał się przyzwoicie, zwłaszcza w towarzystwie pianistki o tym zabawnym nazwisku.

Grał alkoholika? Jeśli tak, to czy miał jakiś inny powód prócz tego, żeby wpoić przeciwnikowi, że nie można go traktować poważnie? I dlaczego chciał uśpić ich czujność?

Specjalnością Hamiltona była bez wątpienia mokra robota, czyli mówiąc po prostu, mordowanie ludzi i sabotaż.

Nie, absurd. Szwedzi tak nie pracują. Zresztą kto mógłby stanowić obiekt takiej akcji w Moskwie?

Dobrą zasadą jest niewyciąganie zbyt pochopnych wniosków i nieuleganie złudnemu przeświadczeniu, że jest tak, jak nam się wydaje.

A zatem trzeba zdecydowanie odrzucić wszelkie prowokacje wobec Hamiltona. Czekać na szczegółowsze raporty, co teraz będzie możliwe dzięki pomocy tej pianistki. I wstrzymać się

z działaniami przez co najmniej pół roku, chyba że pojawią się jakieś nieprzewidziane zmiany. A potem szukać bezpośredniego kontaktu.

Ta metoda pozwoli im nie przegrać do końca. Jeśli Hamilton odmówi, nikogo to ani nie zdziwi, ani nie oburzy. Jeśli później zmieni zdanie, jego w tym głowa, żeby ich znaleźć.

Na dobrą sprawę natychmiastowa zgoda byłaby bardziej kłopotliwa. Na razie jednak mają czas. Teczka Hamiltona w szafie pancерnej Jurija Cziwarszewa będzie wówczas jedną z najgrubszych i zdecydowanie najciekawszą.

Szczególny gość. Zaledwie trzydziestoczeroletni, a tyle zebrał doświadczeń w działalności taktyczno-operacyjnej, ile komuś innemu nie udałoby się przez całe życie. I choć Jurij Cziwarszew widział Hamiltona tylko na zdjęciu, miał wrażenie, że zna go najlepiej.

Uśmiechnął się, zadowolony ze swojego pomysłu. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, może osobiście nawiąże z nim kontakt? Całkiem prawdopodobne, że zajmie się tym ktoś, kto dużo wie o Hamiltonie, zna Szwecję i jego szwedzkie zaplecze.

Byłoby to bardzo interesujące. Bez względu na wynik. Mniej więcej za pół roku i tak przyjdzie ustąpić miejsca w szwedzkiej rezydenturze komuś innemu.

Piękna myśl. Zwieńczenie pracy w Szwecji rekrutacją ich najlepszego człowieka. Może teraz Hamilton nie wydaje się aż tak ważny. Ale jest młody, zdołał się dochrapać stopnia komandora podporucznika i odniósł pewien sukces towarzyski w kręgach zachodnich attaché wojskowych w Moskwie. Miał powiązania o kapitalnym znaczeniu i w szwedzkim wywiadzie postrzegano go zapewne jako kandydata na przyszłego szefa. Coś przecież musi robić po powrocie do kraju, a o tajnej służbie mógł zapomnieć. Jeśli dobrze rozegra swoją partię, szybko zrobi karierę. Albo, co jeszcze lepsze, GRU mu w tej partii pomoże.

Oczywiście jeszcze za wcześnie przesądzać o powodzeniu akcji werbunkowej. Radzili sobie z trudniejszymi przypadkami, ale też ponosili porażkę w łatwiejszych.

W każdym razie myśl była piękna. W ciągu najbliższych sześciu miesięcy zdobędą dużo lepsze rozeznanie. Na razie trzeba czekać, mieć nadzieję, że Carl nie zaniedba swoich obowiązków i przełożeni nie dowiedzą się o jego podwójnym życiu w Moskwie.

\* \* \*

Carl leżał na podłodze w gabinecie i kłął, bledząc się nad schematami połączeń, które zajmowały pół pokoju. Nareszcie dotarł pocztą dyplomatyczną via Sztokholm po załatwieniu biurokratycznych formalności w UD specjalny agregat.

Teoretycznie wszystko wydawało się proste. Baterie ładowało się z normalnej sieci, a potem pozostawało jedynie podłączyć komputer do agregatu. Istniały jednak różne systemy zabezpieczające, które na przykład uniemożliwiały pominięcie gniazdka łączącego komputer ze światem zewnętrznym. Chcąc z nich zrezygnować, nie wystarczyło wcisnąć guzik. Kilka obwodów powinno działać jednocześnie, nietrudno zatem o pomyłkę. Na razie z niezawodnym wyczuciem udało mu się dokonać złego wyboru. Znał się niemal wyłącznie na programowaniu, oprzyrządowanie stanowiło jego najsłabszą stronę.

Gdy sobie w końcu z tym poradził i odetchnął z ulgą, do wpółotwartych drzwi zapukał pułkownik Nordlander.

— No, jak tam? Czy maszyna piekielna będzie działać?! — wrzasnął, jakby chciał przekrzyknąć nieodmiennie cichy system komputerowy.

— Owszem — wymruczał Carl i wstał, zebrawszy schematy z podłogi. — Na szczęście gdy się z tym raz uporać, potem wszystko idzie jak z płatka. Niedługo zaczniemy ćwiczyć...

Carl wskazał na sufit, jako że tam zwykle bywały zakładane podsłuchy.

— Tak, wiem — szybko odrzekł przełożony. — Jest pewien problem. Skarżą się na ciebie.

Carl usiadł, zaniepokojony, i gestem zaprosił Nordlandera do zajęcia miejsca przy biurku. W jego pokoju było jedno krzesło dla gości, w pokojach przełożonych dwa. Wszystko zgodnie z regulaminem Urzędu do spraw Nieruchomości Państwowych.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego? — spytał obojętnie.

— Niestety, tak — odparł Nordlander z zatroskaną miną i po chwili lekko się uśmiechnął.

— UWS zgłosił coś w rodzaju zastrzeżenia, które dotyczy twojego samochodu.

— Samochodu?

— Tak. Nie dość, że jeździsz rosyjskim wozem, to na domiar złego wynająłeś go w „Intourisie”. Poruszanie się po mieście bez dyplomatycznych oznakowań uznano za niestosowne.

— Biurokracja. Parę ładnych tygodni temu miałem dostać samochód z Helsinek. Wedle ostatnich wiadomości jest już w Moskwie. Możemy im odpowiedzieć, że zrezygnuję z wynajętej łady, gdy tylko moje auto przejdzie przez tę biurokratyczną maszynę. Im szybciej, tym lepiej.

— Całkiem rozsądnie. Co to będzie? 740?

— O nie, nie volvo. To, co mam teraz, łada 1600.

— Cholera!

— Dlaczego od razu „cholera”? Rosyjski samochód w Rosji to chyba nic nadzwyczajnego. Skoro trzymamy się lokalnych win, czemuż by nie lokalnych samochodów?

— Trochę to ekscentryczne. W najlepszym razie.

— A w najgorszym?

— Podejrzone i niepotrzebne.

— Dlaczego podejrzone? Czyżby uważali swoje wozy za nic niewarte?

— Ta marka nie cieszy się szczególną popularnością wśród kolegów z Zachodu. Wygląda na to, że zależy ci na większej dyskrecji.

— Niech sobie myślą, co chcą. Niczego podejrzanego nie robię.

— Pewnie, że nie. Ale byłoby lepiej, gdyby tak nie myśleli. Zresztą co się stało, to się nie odstanie. Niedługo przybędzie nam łada?

— Prawdopodobnie.

— Ale jutro wieczorem weź nasz samochód. Słyszałem, że zostałeś zaproszony do ambasady francuskiej. Zrobiłeś się strasznie popularny. Czy trudno się tam wybrać bez żony?

— Tak, wezmę nasz wóz z szoferem, już zamówiłem. A co do żony, nie ma problemu, po prostu posadzą mnie obok jakiejś interesującej damy, której mąż nie jest attaché wojskowym.

— Aha. Przyjemnej zabawy. Jak wiesz, jutro o dziewiątej rano mamy konferencję.

Carl usiłował zachować obojętny wyraz twarzy, gdy jego przełożony wstał, skinął głową i wyszedł. Zarówno pułkownik, jak i komandor uważali za niesprawiedliwe i nawet trochę dziwne, że tylko Carl dostaje zaproszenia do zachodnich przedstawicielstw dyplomatycznych. Nie miał ochoty niczego im tłumaczyć.

Od czasu małego powitalnego przyjęcia w tydzień po jego przyjeździe, jakie zorganizował w swoim bungalowie Nordlander, zasypywano go zaproszeniami.

Nie zawdzięczał tego swoim wyjątkowym talentom towarzyskim ani wybitnie interesującym poglądom na jakieś sprawy. Powód był bardzo prosty: społeczny.

Zachodniemieckie przedstawicielstwo wojskowe nie mogło zapomnieć o kimś, kto, choć młody i zielony, nosił Bundesverdienstkreuz. Dla Francuzów z kolei komandor Legii Honorowej stanowił przedmiot kultu równego religijnemu. A kiedy przedstawiono Carla attaché amerykańskiej marynarki wojennej, oczy Amerykanina natychmiast wpiły się w złote skrzydełka i szpon trzymający trójząb. Przy oficjalnych okazjach, nawet na najzwyczajniejsze cocktail party, musieli wkładać mundury.

I nim się obejrzał, dwa, trzy razy w tygodniu był gdzieś zapraszany.

Bardzo mu to dogadzało. Usprawiedliwiała jego nieobecność na znacznie trudniejszym posterunku w „Heineken Beer Bar” w hotelu „National” albo w pułapce dla turystów i barze dziwek na drugim piętrze „Intouristu”.

Dzisiejszego wieczoru też nie musi występować w roli pijanego jak świnia, ponieważ będzie na obiedzie u Iriny i jej rodziców. Nie przepadali za alkoholem.

Jak na rosyjskie warunki mieszkali wspaniale. Wprawdzie nie w centrum i obok linii metra, ale przestronnie i elegancko. Trzy pokoje przy ulicy Bolszaja Akademiczeskaja z widokiem na park i duży sztuczny staw. Dostali je ze względu na naukowe kwalifikacje. W salonie królował fortepian, przy którym zbierali się codziennie przed obiadem, by posłuchać muzyki.

Rozmowy w rodzinie Dzierżyńskich krążyły wokół Gorbaczowa, *glasnosti*, mniejszego zagrożenia wojennego na świecie, końca nieszczęsnej interwencji w Afganistanie, wizyty Busha. Mówili o tym, co napawało optymizmem wielu Rosjan i o czym rozprawiali jego koledzy z ataszatów wojskowych, tyle że dopisywali koszmarny koniec. Jeśli *pieriestrojkę* wezmą diabli i władzę przejmą stare siły, świat wróci do stanu zimnej wojny.

Była to trzecia szansa Rosjan na odwilż i zdaniem personelu zachodnich ambasad, w tym szwedzkiej, ostatnia.

Rodzinie Dzierżyńskich powinno się dobrze powodzić. Córki zdobyły wykształcenie, rodzice mieli dobre posady, dorobili się nawet małej daczki, do której jeździli na weekendy. Swoim samochodem.

Decyzja Iriny o wyjeździe, co w konsekwencji przyniosło jej status *otkaznika*, wisiała nad całą rodziną niczym czarna chmura. Choć naturalnie tego nie okazywali. Matka była członkiem partii, delegatką na zjazd, który umocnił pozycję Gorbaczowa.

Wiedział, że im zaszkodzi. Będą podejrzewani o współudział, a gdyby się to działo za Stalina lub nawet za Breżniewa, zostaliby uwięzieni albo zgładzeni. Teraz nie było to takie oczywiste.

Pojechał metrem do stacji Ryskiej i przesiadł się w trolejbus. Skasował pięciokopiejkowy bilet w przytwierdzonym do ściany kasowniku, niczym posłuszny obywatel radziecki.

Nigdy dotąd nie przychodził tu sam. Postanowił pomajstrować przy kodzie u wejścia do budynku, żeby sprawdzić, czy działa tak, jak myślał. Owszem. Uporał się z kombinacją cyfrową w niespełną minutę.

W decydującym momencie minuta wyda mu się pewnie wiecznością.

Otworzyła mu drzwi. Ku jego zdumieniu była sama. Rodzice wyprawili się do daczki i prosili, by go pozdrowić.

Niezdarnie wręczył jej dwie butelki beaujolais royal, które miało jakiś związek ze szwedzką rodziną królewską i którego w ambasadzie nie brakowało.

Na jej wyraźne życzenie ulokował się w skórzanym wytartym fotelu ojca, ona zaś siadła do fortepianu i grała przez bite pół godziny, jak na prawdziwym koncercie. Sonata fortepianowa Beethovena, numeru nie pamiętał.

Pokój, miejsce rodzinnych spotkań, stanowił kombinację salonu muzycznego, biblioteki i jadalni. Przez spore okno widział dalekie światła masztu radiowo-telewizyjnego. Mniej więcej w takiej samej odległości od masztu, na północ, znajdowały się dzielnice Bibiriewo, Miedwiedkowo i Babuszkina oraz końcowa stacja metra Miedwiedkowo. Mało luksusowe przedmieście. Co innego południowe rejony Moskwy.

Gdy skończyła sonatę, a on wolno, acz dobitnie zaczął bić brawo, odwróciła się i patrzyła na niego w milczeniu.

— Czy myślisz, że zagram kiedyś przed fińską publicznością? — spytała z powątpiewaniem w głosie.

— *Kanieszno* — skłamał bez chwili wahania.

Wiedział, że nigdy nie dostanie pozwolenia na wyjazd.

Podeszła do fotela, uklękła na kazachskim dywanie i położyła ręce na jego udach.

— Jesteś piękną, czarującą kobietą — powiedział z absolutną szczerością.

Zanurzył palce prawej dłoni w jej gęstych czarnych włosach, przyciągnął do siebie i pocałował. Pierwszy raz byli sami.

Spodziewał się, że się sprzeciwi lub przynajmniej odpowie z rezerwą na pocałunek, tymczasem całowała go z zadziwiającą pasją i wyprostowawszy się, najpierw zdjęła mu krawat, a potem marynarkę. Ostrożnie wstał i zaniósł ją do pokoju, który zajmowała z siostrą, ponieważ nie sądził, żeby wybrała sypialnię rodziców.

W jej miłości było coś desperackiego, miał wrażenie, że ona prowadzi, a on się jedynie temu poddaje, jak w żywiołowym latynoskim tańcu. Zdążyła mu jedynie przemknąć przez głowę myśl, że przynajmniej na służbie nie ma z kobietami najmniejszych kłopotów.

Leżała później na brzuchu z twarzą wciśniętą w poduszkę, jakby się wstydziła. Nie bardzo w to jednak wierzył, biorąc pod uwagę sposób, w jaki ulegała namiętnościom. Głaskał ją po plecach. Była szczupła, niemal chuda, palce prześlizgiwały się po kręgach.

Wreszcie odwróciła się, z zażenowaniem, nieśmiało pocałowała go w szyję i wtuliła usta tuż obok.

Wpatrywał się przez chwilę w sufit. Na dworze było ciemno, a na suficie nie brakowało pęknięć. Czekał na coś.

— Kim ty właściwie jesteś, hrabio Hamilton, i co robisz w Moskwie? Tak mało o tobie wiem — wyszeptala.

Domyślił się reszty.

— Jestem nie tylko dyplomatą — powiedział spokojnie i dość głośno. — Jestem attaché wojskowym, a to znaczy, że legalnie zbieram informacje o siłach obrony Związku Radzieckiego, tak jak radzieccy dyplomaci robią to u nas. Żebyśmy więcej o sobie wiedzieli. Nie ma w tym nic dziwnego.

Ledwie położyła głowę na poduszce, jej szczupłym ciałem wstrząsnęły dreszcze. Szlochała. Nagle odwróciła się z twarzą poczerwieniałą od płaczu i śladami tuszu pod oczyma i szepnęła, że chciałaby się przejść. Muszą wyjść, żeby porozmawiać.

Pokręcił głową, nie umiając ukryć rozbawienia. Jeśli istniało coś, czego właśnie teraz nie powinien robić, to wypuszczać się na przechadzki.

— Nie — odrzekł. — To byłoby błędem.

I pochyliwszy się ku niej, szybko wyszeptał miejsce i porę spotkania. Delikatnie otarł jej łzy, a potem czule całował twarz. Gdy sięgnął ust, poczuł rosnące podniecenie. Zamiast wyjść mogli zacząć od początku. Jego nie wypowiedzianą propozycję przyjęła niemal desperacko.

Opuścił ją po północy, wyjaśniając, że codziennie musi wracać do swojego mieszkania na terenie ambasady, ponieważ wartownicy odnotowują każdą nieobecność.

Kiedy stanął na ciemnej cichej ulicy, dość odległej od centrum miasta, uzmysłowił sobie, że nie tak łatwo będzie mu się stąd wydostać. Od nieco ruchliwszych arterii, gdzie mógłby złapać taksówkę, dzielił go kawał drogi.

Toteż gdy dziwnym zbiegiem okoliczności pojawiła się przed nim taksówka i kierowca, opuściwszy szybę, spytał, czy go podwieźć, podziękował, rozbawiony. Na ponowione pytanie znów odpowiedział odmownie.

Pół godziny maszerował do śródmieścia, po raz pierwszy czując, że jest obserwowany. Zdławił jednak chęć dociekania, jak się naprawdę sprawy mają.

Wnioski wydawały się oczywiste. Jak można się było spodziewać, namierzili i ją, i zapewne jej rodzinę. Wykorzysta to w najmniej przez nich oczekiwany sposób.

Czy sytuacja rzeczywiście wygląda tak różowo, przekona się nie wcześniej niż jutro. Na razie nie ma sensu zaprzętać sobie tym głowy.

Niesamowicie szeroki bulwar, niewielki ruch, wyludnione przejścia. Taksówka, która chciała go zabrać, musiała się zatrzymać w odległości dziesięciu metrów.

Roześmiany, podszedł do samochodu. Skoro są tacy uparci, niech go odwożą.



Kiedy taksówkarz spytał, czy nie wymieniłby pieniędzy, parsknął śmiechem, czym uciął wszelkie dyskusje. Żółta wołga pomknęła prosto do szwedzkiej ambasady. Mimo że nie podał adresu.

W mieszkaniu rozejrzał się za śladami cudzej obecności. Do tej pory niczego takiego nie zauważył. Mogli tu wprawdzie przebywać jedynie pracownicy ambasady, ale nikt nie miał wątpliwości, że przynajmniej połowę miejscowych stanowią ludzie z KGB.

Ktoś po raz pierwszy szalenie dyskretnie i profesjonalnie przepatrywał jego skąpy dobytek. Nie znaleźli nic podejrzanego. Gdyby myśleli jak szwedzcy funkcjonariusze bezpieczeństwa, doszliby do wniosku, że to bardzo podejrzanego. Może powinien zostawić jakieś niewinne papiery służbowe, żeby mieli o czym zameldować. Przypuszczalnie nie mogli się wdrzeć do działu zamkniętego ambasady.

Patrzył w ciemność za oknem. Nawet w dzień miał stąd ponury widok na budowę, gdzie między dwiema ambasadami, przy ulicze, którą Rosjanie kurtuazyjnie nazwali Olofa Palmego, gdy odsłonięto żelazną tablicę pamiątkową ku czci zamordowanego premiera, stawiano gmach nowej ambasady zachodnioniemieckiej.

A może tylko ten odcinek Mosfilmowskiej, przy którym znajdowała się ambasada Szwecji, przechrzczono na Olofa Palmego?

Od dawna nie był tak trzeźwy. Cieszył się z tego, jak cieszy się alkoholik, wychylając pierwszego drinka.

Zmywszy pod prysznicem mieszaninę zapachów ich obojga, usiadł przy biurku i po raz pierwszy od wielu lat napisał długi list miłosny. W swoim rodzimym języku, do jednej ze swoich, do policjantki.

\* \* \*

Gdy znów się spotkali koło wypożyczalni łódek w parku im. Gorkiego, miała rozbiegane samie oczy. Mżyło, pogoda nie sprzyjała przejazdów. Z parasolem czuł się niczym angielski gentleman. Przełożył go do lewej ręki i ucałował dziewczynę w oba policzki, podał jej prawe ramię.

Czeka ich chyba długi spacer, do niej należy pierwszy ruch. Długo się wahała, od czasu do czasu patrzyła na boki, jakby wiedziała lub podejrzewała, że są obserwowani. Nieważne, w końcu jest obywatelką radziecką i tak została wychowana.

— Carl, kochanie, muszę być wobec ciebie absolutnie szczerą — zaczęła sympatycznie łamaną angielszczyzną. — Stało się coś okropnego i gdyby oni się dowiedzieli, że ci to mówię, miałabym poważne kłopoty.

Nagle odwaga ją opuściła i umilkła.

— Jacy „oni”? KGB czy GRU? — spytał najspokojniej, jak umiał.

— Nie, nie KGB, wojskowi.

— Czyli GRU. Nie sądzę, Irino, żeby to było aż tak niebezpieczne. Robią, co do nich należy, we wszystkich krajach są tacy ludzie, u nas też. Najpierw węszą, a potem piszą raporty, które lądują w archiwach, i na tym się często kończy.

— Mówią, że jesteś szpiegiem.

— No cóż — rzekł z uśmiechem i spojrzał na dziewczynę, usiłując ją zarazić swoim spokojem. — W pewnym sensie mają rację. Nic w tym zresztą dziwnego. Są szpiegowie legalni i nielegalni, u was i u nas. Przez wiele lat pracowałem jako szpieg nielegalny, o czym wiedzą. Kiedy człowiek dość długo siedzi w tym fachu, znają go wszyscy inni szpiegowie. Wtedy jest spalony i musi z tym skończyć. Zostaje na przykład attaché wojskowym. Jak ja. Ale to legalne dyplomatyczne zajęcie i nie ma się czym przejmować.

— Mówią, że muszę z nimi współpracować, bo inaczej... to straszne!

— Bo inaczej nie dostaniesz pozwolenia na wyjazd i tak dalej. Takie są reguły gry. Dawniej było znacznie gorzej, mogliby ci grozić zsyłką do gułagu. Z całą rodziną. W najlepszym wypadku.

— I ty to przyjmujesz tak spokojnie?! Nie rozumiesz, w jakiej jestem sytuacji przez ciebie?

— Rozumiem, Irino. Gdybym był nielegalnym szpiegiem, oboje mielibyśmy kłopoty. Ale tak nie jest, nie widzę więc powodu do zmartwień.

— Jak możesz coś podobnego mówić? Nie jesteś jednym z nas, nie rozumiesz. Dorastamy w przeświadczeniu, że istnieje wokół nas jakiś cień, słyszymy najróżniejsze historie. Jest nierzeczywisty, przypomina senny koszmar. Ale pewnego dnia się materializuje i całe nasze życie zostaje zrujnowane.

Naturalnie miała rację. Wplątała się, gdzieś w mieście miała swojego *case officer*, może w Centrali przy starym lotnisku, była sprawą, kolejnym numerem z własną teczką, opatrzoną nazwiskiem i miejscem urodzenia. Stało się.

A teraz grozi jej jeszcze jeden *case officer*. Pewnie to potem zrozumieją i mając do wyboru ją i jej rosyjskiego opiekuna, prawdopodobnie ją obarczą winą.

Nie była głupia, to nie brak inteligencji, ale strach stał się jej wrogiem i właśnie to wykorzysta. Mimochodem zauważył, że on też jest jej wrogiem. Dość długo milczał, dlatego jego słowa mogły się wydać starannie przemyślane.

— To prawda, Irino, nie jestem jednym z was, nie jestem Rosjaninem i nie mieszkałem w kraju, w którym stoi na placu pomnik Dzierżyńskiego.

— Udawałeś, że nie masz pojęcia, kto to taki!

— Nie chciałem cię niepokoić. Ty z kolei nie jesteś nikim z nas, nie jesteś i nigdy nie byłeś szpiegiem. Ale ja znam rosyjskich szpiegów, a oni znają mnie. Jesteśmy kolegami po fachu. Oficerami służącymi swoim krajom, Rosji i Szwecji. Wiem, jak myślą, i dlatego jestem spokojny. Nie przerywaj, pozwól mi wyjaśnić. Naturalnie orientują się, czym się kiedyś zajmowałem, mogą to nawet odczytać z mojego munduru.

— Masz mundur? Nie jesteś dyplomatą, tylko żołnierzem?

— Nie. Wszyscy attaché wojskowi mają mundury, w tym zawodzie działa się otwarcie, takie obowiązują umowy. W mundurze nie popełnia się przestępstw. W każdym razie chcą jedynie sprawdzić, czy rzeczywiście ograniczam się do jawnej działalności. Zwyczajna rutynowa rzecz. Zachowuję się nieco dziwacznie, dlatego wolą mnie skontrolować, to samo zrobilibyśmy u siebie, gdyby jakiś Rosjanin poczynał sobie tak jak ja.

— Ale co ty takiego zrobiłeś?

— To ty, Irino, jesteś problemem. Nie powinienem był cię poznać, nie powinienem się w tobie zakochiwać ani się z tobą spotykać. Takie zachowanie uważa się za nieostrożne, ludzie mojego pokroju muszą być podejrzliwi i czujni. Ale mnie to już dopiekło, nie chcę żyć jak szpieg, jestem zwykłym człowiekiem, zwykłym mężczyzną ze zwykłymi męskimi słabościami. Kiedy usłyszałem, jak grasz, natychmiast im uległem i to właśnie jest ich zdaniem dziwne.

— Głuptas jesteś.

— Owszem.

Szła obok niego w milczeniu, chwilowo udobruchana i nieco spokojniejsza. Dotarli do buchającego dymem grilla.

— *Pieriestrojka* — skwitowała ze śmiechem. — Chodźmy, jestem głodna. Od dwóch dni prawie nic nie jadłam.

— Jak to *pieriestrojka*? — zdziwił się, pozwalając się prowadzić do kopącego grilla.

— Chłopcy z jakiejś wiejskiej spółdzielni zrobili kielbasy i teraz je sprzedają z kapitalistycznym profitem.

— To nie jest kapitalistyczny profit, Irino, tylko wyzysk. Usprawniają radziecką gospodarkę dzięki dozwolonej inicjatywie.

Roześmiali się jednocześnie, co przyniosło im ulgę.

Na grillu smażyły się duże obwarzanki kielbasy, kolejka jak na Moskwę wydawała się zdumiewająco krótka. Nie było piwa, musieli się więc zadowolić pepsi-colą. Carl jadł ciępką, mocno uwędzoną kielbaskę z umiarkowanym entuzjazmem. Irinie dopisywał wilczy apetyt.

— Nie masz nic przeciwko tej *pieriestrojkowej* świni?

Zażartował, by odsunąć czekającą ich rozmowę. Dowcip był średnio zabawny, ale jej nie uraził.

— Nic a nic, jesteśmy społeczeństwem świeckim, a Rosjanin, który nie je wieprzowiny, w ogóle nie jada za dużo mięsa. Jesteśmy świniózni, chyba nie uszło to twojej uwagi?

— Sądziłem, że lubicie też piwo. Dlaczego nie ma piwa do wieprzowiny?

— Gorbaczow. Od dwóch lat nie wolno pić alkoholu w moskiewskich parkach, to element kampanii antyalkoholowej.

— I dlatego znikają ze sklepów cukier i drożdże.

— No właśnie. Kobiety są wściekłe i nie podoba im się *pieriestrojka*, ich mężowie też są wściekli, bo tak trudno o wódkę. *Pieriestrojka* nie jest wolna od problemów.

— Żeby się tylko powiodła.

— Chcecie tego?

— Tak, to dla nas bardzo ważne, żeby Gorbaczowowi się udało. Nie dlatego, że żywimy jakieś sentymenty do *Matuszki Rossiji*, ale dlatego, że sprawnie funkcjonujący Związek Radziecki mniej będzie skłonny do wojny.

— Widzicie w nas wyłącznie wrogów żadnych wojny, jakbyśmy to my mieli ją zacząć. A wy nie?

— Tak to mniej więcej wygląda. Zaszкодilibyśmy wam bardziej niż wy nam, nikt by jednak nie wygrał.

— Związek Radziecki nigdy by się nie zdobył na rozpętanie wojny atomowej.

— Tak, kochacie pokój, cierpieliście podczas wielkiej wojny ojczyźnianej, w Rosji nigdy się to nie powtórzy i tak dalej. Tak czy inaczej, wszystkim będzie lepiej, jeśli Gorbaczowowi i jego *pieriestrojce* się powiedzie. To sprawa najważniejsza, ważniejsza niż *glasnost*'.

— Dlaczego?

— Nowy Breżniew oznaczałby wzrost podejrzliwości, zwiększenie tempa zbrojeń, nasilenie nieufności wobec zbrojeń i wzmożone zbrojenia, czyli powrót do zimnej wojny.

— Pytałam, dlaczego *glasnost*' jest mniej ważna.

— Dlatego, że należy do oprawy, stanowi coś w rodzaju nadbudowy. Wolność słowa jest całkiem przyjemna, podobnie kapele punkowe na Arbacie czy liberalniejsza polityka emigracyjna, ale jeśli diabli wezmą *pieriestrojkę*, automatycznie zniknie *glasnost*', i u was, i w świecie.

— Myślisz, że dostanę pozwolenie na wyjazd, teraz, kiedy...

— Zjadłaś?

— Tak.

— To chodźmy.

Podniosła się natychmiast, chciała wrócić do przerwanej rozmowy. W milczeniu ruszyli ku fontanom, może pragnęli uwolnić się od ewentualnych podsłuchujących, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Sądził, że podejmie temat, ale coś ją nagle naszło i chichocząc, pociągnęła go w stronę budek ze strzelnicami. Ucieszył się, że mimo wszystko potrafi się śmiać.

— Jeśli jesteś żołnierzem, pokaż mi, jak strzela szwedzki wojskowy — zaproponowała zupełnie poważnie, jakby rzeczywiście zamierzała go sprawdzić.

Kupowało się naboje do wiatrówki po trzy kopiejki za sztukę i ładowało. Cel stanowiły ruchome zwierzątka z czarno-czerwonej blachy i groteskowe maski z tarczami wielkości

pięciokopiejkowej monety wiszącymi na drucie pod szyją. Po udanym strzale maska wykrzywiła się, wydawała dźwięki i błyskała czerwonymi lampkami oczu.

Carl wymierzył w plamkę na ścianie i strzelił dwa razy.

— Spudłowałeś!

— Nie — odparł. — Teraz wiem, że powinienem celować dwa centymetry niżej i trochę w lewo. Którą maskę uśmiercić?

— Drugą z lewej.

Wpakował dziesięć strzałów jeden po drugim. Maski robiła bolesciwe miny. Po raz pierwszy od wielu miesięcy, najdłuższa przerwa od blisko trzynastu lat, trzymał w ręku broń. Czuł się wyśmienicie, jakby wszystko już minęło, jakby wrócił do życia po występach w teatrze.

— Przyjrzyj się masce — powiedziała ze stężoną twarzą, kiedy przekazał wiatrówkę kobiecie czekającej w kolejce.

— Jakieś monstrum, a co?

— Nie widzisz?

— Nie. Czerwona maska z tektury i blachy.

— To Żyd. Antysemitka karykatura.

— Wydaje ci się. Zwyczajny fajny potwór.

Popatrzył na maskę. Haczykowany nos, broda i coś, co można by uznać za pejsy.

— Nie znasz Rosji, zapewniam cię, że to Żyd, najpopularniejsza tarcza, na strzelnicach i w innych miejscach.

Poszli ku fontanom. Przygłębił ją wizerunek, który sporą dozą paranoidalnej wyobraźni mogła skojarzyć z Żydem.

— Co myślisz o pozwoleniu? Czy nie wszystko jeszcze stracone? — spytała po chwili.

Wstrzymał się z odpowiedzią. Popatrzył na rozłożyste korony drzew, których liście zaczęły przybierać jesienne barwy. Przestało padać, nieśmiało słońce dodatkowo podkreślało bliskość jesieni.

— Nie — odrzekł na koniec. — Rób tylko, co ci każą, odpowiadaj na wszystkie pytania dotyczące mojej osoby i niczego nie zatajaj. Z wyjątkiem jednego. Popełniłeś błąd, mówiąc mi, że cię zmusili do donosicielstwa, bo oczywiście na pewno zabronili ci o tym wspominać.

— Tak.

— Więc nie mów, że mi powiedziałaś. Kłamiąc, trzeba pamiętać, w jakich sprawach się kłamie, dlatego lepiej mieć tych spraw jak najmniej.

— Mówisz jak ekspert.

— Sporo się nakłamałem w poprzednim fachu, ale teraz już tego nie robię. Szczerze odpowiadaj na wszystkie ich pytania. Sprawdzą twoje informacje i przekonają się, że nie kłamiesz. Potem operację zakończą, materiały powędrują do archiwum, równie dobrze mogliby się bez nich obyć.

— Operację?

— Tak się to nazywa. Oficerowi przydziela się zadanie, odpowiednie środki i odpowiednich współpracowników. Musi rozwiązać problem, znaleźć odpowiedzi na określone pytania, a ty im pomagasz.

— Jakie pytania?

— Dlaczego Szwedzi wysłali Hamiltona do ZSRR? Jakie są jego służbowe obowiązki w ambasadzie? Jak sobie radzi w pracy? Co sądzi o życiu w Moskwie? Dlaczego tak nonszalancko traktuje zasady bezpieczeństwa? Co opowiada paniom? Czy rzeczywiście można wyciągnąć wniosek, że przeszedł do działalności jawnej? Coś w tym stylu. Zwyczajna rutyna.

— Ale do czego ja się tu przydam? Dlaczego przyczepili się akurat do mnie?

— Myślą, że tobie opowiadam znacznie więcej niż komukolwiek. Większość szpiegów wpadła dlatego, że w chwili słabości zbyt dużo wypaplała kobietom.

— Ale nie ty.

— Kochana, najdroższa Irino, mam już za sobą dotychczasowe życie, więc czemu miałbym ci o nim opowiadać, skoro sam wolałbym zapomnieć? Uciekłabyś, wystraszyłbym cię moimi starymi zmartwieniami. To były fatalne lata, uważałem je za coś już zamkniętego i pogrzebanego. Tymczasem muszę ci trochę opowiedzieć, żeby dostali to, czego chcą. Tylko w ten sposób się ich pozbędziemy, a raczej ty się ich pozbędziesz. Mnie nic nie zrobią, jestem dyplomatą i przestrzegam reguł gry.

— Jeśli mnie okłamujesz, co na pewno potrafisz, bo jesteś szpiegiem, ja wpadnę, a ty, jako dyplomata, wyjdiesz z tego cało. A co się stanie ze mną?

— To nie tak, Irino. Gdybym był szpiegiem i dowiedział się o tym, że przeciwnik szykuje operację, żeby mnie sprawdzić, natychmiast pojechałbym do kraju złożyć raport w tej sprawie i pewnie nie wróciłbym już do Moskwy. Podziękowałbym za wiadomość i spakował manatki. A z ciebie wydusiliby wyjaśnienia, wydałoby się, że o wszystkim mi powiedziałaś, i z twojej winy operację trafiłby szlag. Gdybym był szpiegiem, uratowałabyś mnie, co zostałoby prawdopodobnie potraktowane jako brak przeczności.

— Nie chodzi tylko o mnie, ale o całą moją rodzinę.

— Myślisz, że o tym nie wiem? Nie jestem szpiegiem, nie muszę uciekać, nie musimy się zachowywać jak ludzie, którzy mają coś na sumieniu, wystarczy, że powiem ci o sobie coś, czego nigdy nie zamierzałem powiedzieć, ty przekazesz im i problem z głowy.

— Jeśli mnie nie nabierzesz.

— Oczywiście. Gdybym skłamał, dobiarą się nie tylko do ciebie, ale i do mnie. Dlatego cię nie oszukam i będziemy się spotykać jak do tej pory, tyle że o niektórych sprawach wolałbym nie wspominać.

— Powiesz mi, co robiłeś jako szpieg?

— Tak, ale w pewnych granicach. Głupio by to zresztą wyglądało, gdybym ci się zwierzył ze wszystkiego. Może dzięki temu lepiej mnie zrozumiesz, zrozumiesz, czemu musiałem zrezygnować z dotychczasowych zadań.

— Nie wytrzymałeś?

— To też, ale nie tylko. Chcieli się mnie pozbyć niektórzy politycy, bo za dużo wiedziałem o ich łgarstwach. Nasz świat nie różni się od waszego tak bardzo, jak to sobie czasem wyobrażacie.

— I kiedy w końcu dadzą za wygraną, kiedy im pomogę i nie będę kłamać, pozwolą mi wyjechać?

Przygryzła wargę i spuściła głowę, zawstydzona pytaniem, które zbyt jawnie świadczyło o jej egoizmie.

Wyszli z parku niedaleko Stadionu im. Lenina. Zapomniał, jak się nazywa most, ale po drugiej stronie rzeki, dwadzieścia minut piechotą od wybrzeża Frunzego powinna być stacja metra Sportiwnaja, skąd pomarańczową linią, Kirowsko-Frunzeńską, można dojechać do Kirowskiej, przejść pasażem na Turgieniewską i żółtą linią udać się do Miedwedkowa.

— Chciałbym dwóch rzeczy — zaczął, by przerwać ciszę.

— Nigdy mnie nie spotkać i być teraz w innym mieście i w innym kraju — powiedziała ze smutkiem, jakby nie był to dobry sposób pocieszenia się.

— Wcale nie. Po pierwsze, chciałbym, żebyśmy częściej chodzili do teatru, możesz mi tłumaczyć to, czego nie zrozumiem, bardzo lubię prawdziwy teatr. A po drugie, żebyśmy pojechali do ciebie i kochali się przez całą noc.

Spojrzała na niego zdumiona, po czym parsknęła śmiechem.

— Chodzi ci o to, żeby mogli nas słyszeć? — spytała, szybko się opanowawszy.

— Chyba nas nie podsłuchują, wolą się wszystkiego dowiedzieć od ciebie. To wcale nie takie zabawne, jak się zdaje, nagrywać na taśmę kochające się pary, niewiele można zrozumieć, co mówią, słysząc tylko rzeczy kompletnie nieistotne. Chciałbym się po prostu częściej z tobą kochać, nie mogą popsuć tego, co nas łączy, a że twoich rodziców nie ma, szkoda tracić okazję.

— Nie jesteś aby bezczelny?

— Nie, zostało mi ze szpiegowskich czasów. Opowiem ci o nich później.

— I nie skłamiesz?

— Naturalnie, że nie, wszystko bym w ten sposób zepsuł. Dosłownie wszystko, Irino. Możesz mi ufać, nigdy cię nie okłamię, wolałbym raczej odejść.

Uśmiechnęła się do niego, pierwszy uśmiech od chwili, gdy dowcipkowali przy grillu o *pieriestrojkowej* kielbasce bez piwa. Zdziwił się, że niemal cały czas mówił prawdę, i niemal bez kłamstw zwerbował agenta w moskiewskim parku, bezpośredniego łącznika z przeciwnikiem. Udało mu się nawet wyłgać od odpowiedzi na najważniejsze dla niej pytanie.

A prawda była taka, że ktoś, kto dobrowolnie lub pod przymusem uczestniczy w operacji przeciwko zachodniemu oficerowi wywiadu, nigdy nie opuści kraju.

— Tęsknię za domem — powiedziała z uśmiechem.

— Jak tylko wyjdziemy z parku, złapiemy taksówkę na ulicy, no, jak jej tam?

— O tej porze trudno o taksówkę — odparła z obojętną pewnością.

Mieli dla siebie pół dnia i całą noc.

— Coś mi się zdaje, że tym razem będzie łatwo, wystarczy, że pokażemy się na chodniku.

Pocałował ją w policzek, jakby to było coś najnormalniejszego w świecie.

Wrzesień. Początek jesieni. Sandström powinien dokończyć żywota przed nastaniem zimy. A spora część winy spadnie na nią.

Taksówka podjechała niemal natychmiast.

\* \* \*

Wrzesień w Kiviku to bardzo gorący okres. Dojrzewają kolejne odmiany jabłek. Wrzesień jest jednym z miesięcy najobfitszych zbiorów.

Urząd Imigracyjny wspólnie z tą przekłętą policją zablokowały dopływ dodatkowej siły roboczej w postaci niezwykle pracowitych polskich studentów.

Ale DG miał dwóch nowych pomocników, którzy krzatali się tak, jakby w całym swoim życiu nie zamierzali robić nic innego prócz zbierania jabłek. Ciężka praca wydawała im się czymś całkowicie naturalnym i gdyby nie ich wyjątkowa wręcz kondycja i siła, mogliby uchodzić za niedawno przybyłych do Szwecji studentów amerykańskich. Zachowywali się jak kuci na cztery nogi kłamcy i tak przekonująco, że DG lekko się na ich widok wzruszył.

Obaj podpisali co trzeba bez wahania. Od tygodnia porucznicy Lundwall i Stålhandske byli zatrudnieni w nowo powstałym wydziale operacyjnym SSI. Związali się na wieki nie tylko z sobą, ale i z Carlem, który przypuszczalnie zostanie ich szefem. A połączyła ich operacja Big Red.

Nikogo nie dziwiło, że obaj zbieracze jabłek mieszkają w jego willi, w sezonie niewiele łóżek stało pustych w Kiviku.

Mógł więc poświęcić wieczory na zorientowanie się w ich umiejętnościach i poznanie ich oczekiwań. Siedzieli przy kominku ze szklaneczkami cydru, co miało podkreślać nie tylko znaczną różnicę stopnia między nimi a Carlem, ale i dystans DG w stosunku do tych młodych kogutów. Na razie wolał go zachować, choć w pewnym sensie sam ich stworzył. Wkrótce jednak przejdzie na emeryturę i kto inny zastąpi go w tej służbie.

W ciągu ostatnich lat udało mu się wprowadzić pewne zmiany organizacyjne. Komandor podporucznik Hamilton i porucznicy Lundwall i Stålhandske stanowili szczególne wzmocnienie na tym polu działania szwedzkiej służby wywiadowczej, które dotąd, co trzeba przyznać, miało swoje słabe strony.

Chłopcy sprawiali sympatyczne wrażenie. Aż trudno było sobie wyobrazić, że dysponują takimi samymi umiejętnościami jak Carl.

Do San Diego wyjechało dwóch następnych komandosów na pięcioletnie szkolenie. Nie było z tym lekko, ale ÖB w końcu uległ, czyniąc gest wobec odchodzącego dyrektora i dostrzegając pewne praktyczne skutki tego typu nauki.

Carl stanowił w tym względzie najlepszą reklamę. Stary dyrektor mógł więc spokojnie pogodzić się z myślą o rychłym odejściu ze służby i związaniu reszty swego życia z jabłoniemi.

— Kiedy Hamilton wróci? — po raz trzeci, z nienaganną uprzejmością spytał Joar Lundwall.

— Jeśli dmuchniesz trochę mocniej pod okratowaniem, będzie chyba lepiej — powiedział DG i od razu pożałował. — Niestety, mamy w tym roku wybory — podjął, ale natychmiast się zreflektował. — No cóż, Niestety jak Niestety. W każdym razie rząd decyduje o nominacjach, nas dotyczą trzy, dwie z nich są w gestii polityków. Wybór osoby na moje miejsce zależy od składu przyszłego rządu. Niektórzy są przeciwnikami socjałów, niektórzy ich zwolennikami. Istnieją zatem dwie możliwości. Nie wiadomo co z Lallerstedtem i z Samem. Wszystko w rękach polityków. Niestety.

— No dobrze, ale co Carl ma wspólnego z polityką, co mu do socjałów czy pravicowców? — wtrącił dźwięcznym fińsko-szwedzkim Stålhandske.

— W zasadzie nic, chodzi jednak o to, żeby Carl wszedł na miejsce Lallerstedta, a Lallerstedt znów wyprawił się za siedem mórz, co mu prawdopodobnie sprawi przyjemność. Szefa waszego wydziału wyznacza szef OP5, dlatego powstaje pytanie, czy Carl zdąży wrócić, zanim znajdzie się nowy kierownik OP5.

— Nie lepiej ściągnąć go z Moskwy zawczasu? — spytał łagodnie Lundwall.

— Naturalnie — przyznał DG — ale musi najpierw przygotować program komputerowy, który usystematyzuje nieco nasze moskiewskie raporty.

— Powinien się z tym uporać w dwa miesiące — zauważył Lundwall.

Cholernie trudno oszukać inteligentnych ludzi, pomyślał DG, po czym demonstracyjnie zmienił temat.

— Ty też jesteś specjalistą od programów? — spytał.

— Tak, mam za sobą te same studia, co Hamilton.

— I twoim zdaniem można przygotować taki program w dwa miesiące?

— Oczywiście. Zależy to wprawdzie od obszerności materiału wyjściowego i stopnia jego uporządkowania, ale dwa miesiące powinny wystarczyć.

— Hm. A ty, Stålhandske? Dałeś sobie chyba spokój z komputerami?

— Pomyślałem, że na cholerę nam trzech komputerowych zapaleńców, nie bardzo mi to zresztą pasowało i przerzuciłem się na technikę.

— Jeśli dobrze pamiętam, w nie pozbawionym ironii raporcie naszego szacownego komandora podporucznika wyczytałem, że twoja technika wiąże się z literaturą amerykańską. Kto wie, może się przyda — z uśmiechem stwierdził DG, uniósłszy brwi.

— Z tą literaturą to niezupełnie tak — zaczął Stålhandske z lekkim zażenowaniem.

DG spojrział na niego rozbawiony. Osilek, na którego każdy zwróci uwagę, przynajmniej w dzień. Już samo to ograniczało jego operacyjne możliwości, tymczasem wyszło na jaw, że tych ograniczeń jest więcej.

— Czy porucznik zechciałby zatem wydusić z siebie tę smutną prawdę i tylko prawdę? — zaproponował wesoło.

— Przez ostatnie dwa i pół roku zajmowałem się techniką podsłuchu — wyznał olbrzym falsetem, co pewnie wynikało ze zdenerwowania.

— Czym? — podniesionym głosem i z autentyczną konsternacją spytał DG.

— No, e... podsłuchem — z wahaniem wydukał Stålhandske.

— I co? Czego się nauczyłeś?

— Można by powiedzieć, że wiem prawie wszystko o podsłuchu, jakich użyć wihajsterków i jak coś takiego unieszkodliwić — ostrożnie wyjaśnił osiłek.

— Cudownie! — wykrzyknął ze szczerym zachwytem DG. — W tej branży byliśmy daleko w tyle. No, jest to wprawdzie wbrew przepisom i tak dalej, ale przecież cholernie praktyczne. Pozostaje jedynie problem, jak te rzeczy ściągnąć do kraju, zanim dojdzie do zmiany warty i moje miejsce zajmie jakiś gość z prawicy, któremu się będzie wydawać, że tylko socjaldemokraci rozróżniają prawa boskie i prawa ludzkie.

Joar Lundwall z coraz większym trudem powstrzymywał się od parsknięcia śmiechem. W końcu nie wytrzymał.

— Powiedz, Al, lepiej mieć to z głowy — zwrócił się bez cienia wrogości do wyraźnie zatroskanego kolegi.

— No więc sprawy tak się mają, że zabrałem z sobą trochę sprzętu ćwiczeniowego — wymruczał zawstydzony Stålhandske.

DG przypatrywał się młodym ludziom w osłupieniu. Wyglądali cholernie niewinnie w swoich tenisówkach i kalifornijskich bawełnianych koszulkach, świadczących o pobycie w San Diego. Ciągle nie potrafił ich traktować jak dwóch nowych Carlów.

— Co zrobiłeś? — spytał, demonstrując maksimum autorytetu, jaki był w stanie wykrzesać.

— Wziąłem dwie walizki różnych materiałów i wyszedłem z Arlandy zielonym przejściem. Zatrzymali mnie, bo miałem trochę za dużo whisky, ale dało się to jakoś załatwić. Nie zajrzeli do walizek. Sprzęt jest w naszym nowym sztokholmskim lokalu.

Åke Stålhandske spojrział w podłogę. Joar Lundwall usiłował przybrać obojętny wyraz twarzy.

DG na kilka sekund zamurowało, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

— Fenomenalne, głupie, ale wspaniałe, niesamowicie głupie, ale Bóg strzeże głupców. Zresztą taki sprzęt może się nam w każdej chwili przydać. Przynajmniej do... że tak powiem, realnych wprawek.

I zaniósł się śmiechem tak donośnym, że wkrótce zaraził nim dwóch operatorów.

— A niech to kule biją! Zasłużyliście sobie na calvados mojej roboty. Czy któryś z was widział zabronione mi przez lekarza cygara?

Wstał i rechocząc pod nosem, poszedł do kuchni po rzeczy zakazane.

Porucznicy wymienili pełne ulgi spojrzenia. Mieli problem z głowy.

\* \* \*

Jurijowi Cziwarszewowi bardzo się nie podobała operacja. Działania w stylu czekistów nie licowały z charakterem pracy GRU. GRU to poważna służba wywiadowcza, a nie jakaś tam zbieranina politycznych intrygantów w rodzaju tych z KGB.

Angażowanie środków do szpikowania szwedzkich pism żerujących na skandalach dezinformacją było wprawdzie absurdalne, lecz niezbędne.

Bo naturalnie ludzie z wariatkowa zaczęli zwykłymi sobie kanałami i za pośrednictwem określonych dziennikarzy przemycać do burżuazyjnej popołudniówki informacje o Pawiu i jego immunitecie, o rządzie, który chroni rosyjskich szpiegów ze względów partyjno-taktycznych, żeby nie dopuścić do tak zwanych afer przedwyborczych. Jednocześnie wałkowano dość odrażającą sprawę przedstawicieli partyjnej nomenklatury, którzy uwikłali się w narkotyki, a na dokładkę mieli swoich policyjnych goryli. Według informacji GRU, pochodzących z wariatkowa, podanie do publicznej wiadomości pogłosek o homoseksualnych skłonnościach ochroniarzy było kwestią czasu. Prędzej czy później znajdą się na łamach rzeczony popołudniówki.

Tymczasem dziennikarze drugiej popołudniówki, uznawani za tropicieli szpiegów — co w przekładzie na rosyjski brzmiało kompletnie niezrozumiale — wyjaśniali, że grupa specjalna



Säpo od wielu lat próbowała zdemaskować Pawia, o czym wiedziało niewielu, ponieważ obawiano się przecieku.

A sprawa nietykalności ujawnionych szpiegów wcale nie jest tak kontrowersyjna. Podobne praktyki istnieją w Anglii, USA i Niemczech Zachodnich, to dobrze znana metoda, stosowana przez duże organizacje kontrwywiadowcze. I efektywna, ponieważ dla bezpieczeństwa państwa uzyskanie informacji jest najważniejsze. I równie oczywista jak choćby wymiana szpiegów. Wobec bezpieczeństwa państwa ukaranie winnego jest mniej istotne.

Inteligentna myśl o immunitecie zrodziła się w Säpo, która nie bez kłopotów przekonała rząd o słuszności postąpienia według modelu przyjętego na Zachodzie.

Tak więc dziennikarze z socjaldemokratycznej popołudniówki mogli za podszeptem GRU powiadomić opinię publiczną, iż załatwiono tę sprawę najlepiej, jak było można, i rząd działał bardzo rozsądnie. Co naturalnie szybko podchwyciły serwisy informacyjne państwowej telewizji.

Nieźle to wyglądało, na razie udało się wyciszyć wymierzoną w rząd kampanię przeciwko policji bezpieczeństwa, prowadzoną przez prawicową popołudniówkę. Pozostawała jedynie wątpliwość, czy zdecydują się nagłośnić sprawę raportu Tristana i podejrzanych wojskowych.

To był właśnie najdrażliwszy punkt. Wojskowi mogliby wyjaśnić w prawicowym dzienniku, którego gmach zasłaniał Jurijowi Cziwarszewowi widok z okna, że żadnych podejrzanych nie ma, ponieważ cały raport jest prowokacją.

Niewykluczone, że Szwedzi nie uznaliby tych argumentów za wiarygodne, a co ważniejsze, że nie trafiłyby one również do przekonania siatce radzieckich agentów.

Lepiej atakować, niż się bronić. Dlatego Jurij Cziwarszew postanowił rozegrać tę kartę.

Dziennikarze Säpo puszcza wiadomość, że Paw działał w charakterze zasłony dymnej Sandströma i dlatego właśnie dzięki nieprawdopodobnie inteligentnym posunięciom udało się do niego dotrzeć.

Paw już się do tego przyznał podczas przesłuchań, ponieważ pomyślnie rozstrzygnięto kwestię przyznania immunitetu. Sporo osób w wariatkowie mogło o tym wiedzieć, dlatego nikogo nie powinno dziwić, że informacja pojawi się w prasie.

Jakoś się to w końcu uładzi. Tyle że bawienie się w czekistowskie podchody było bezsprzecznie osobliwe.

Zanotował polecenia, jakie musi wydać na popołudniowej odprawie, uprzątnął gazetową papkę i z dużo większym zapalem zabrał się do lektury ostatniego raportu o Hamiltonie.

Dochodzenie zdumiewająco szybko przyniosło pozytywne rezultaty. Według zeznań Skowronka — dobry pseudonim, biorąc pod uwagę jej muzyczne wykształcenie — Hamilton w chwili męskiej słabości opowiedział jej niektóre epizody ze swojego życia.

Za nim pchnięto go do Moskwy, odwalił swoją ostatnią, jak się później okazało, mokrą robotę, najmniej zresztą przyjemną, bo jedną z ofiar był niespełna szesnastoletni palestyński chłopiec. A ponieważ pewien czołowy polityk chciał sobie przypisać powodzenie operacji, Hamiltona postanowiono unieszkodliwić, wysyłając go jak najdalej od kraju.

W odsyłaczu wyjaśniono, że według odnalezionego w archiwum zapisu rozmowy telefonicznej, którą wiele miesięcy temu przeprowadzili szwedzki ambasador i rzeczywisty szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ten ostatni w sposób lekko zawoalowany wyraził ubolewanie, że nie udało się wysłać Hamiltona do Ułan Bator.

Wówczas uznano to za żart. Obecnie nie było już wątpliwości. Peter Sorman powiedział, że chciałby się pozbyć Hamiltona, co potwierdzało informacje czekistów i ich własne. Hamiltona odsunięto od tajnej służby i wydalono z kraju z bardzo dwuznacznych pobudek.

Hamilton wyjawiał Skowronkowi również inne sprawdzalne informacje. Nękało go wspomnienie operacji przeprowadzonej ładnych parę lat temu w Niemczech Zachodnich, mówił nawet o nazistowskich metodach.

Jednostka specjalna policji niemieckiej wytlukła tuzin terrorystów w Hamburgu. Hamilton był infiltratorem w organizacji terrorystycznej i to on wezwał tych speców. Odczuwał skruchę.

Rzecz trudna do pojęcia. Był przecież oficerem, a za przeciwnika miał w tym wypadku terrorystów.

Tak czy inaczej, klocki pasowały do układanki. Wiedziano, że Hamilton przebywał w Niemczech Zachodnich, przez pewien czas leżał w szpitalu wojskowym w Syrii, gdzie przesłuchiwali go ludzie z wywiadu. Kopie z Damaszku jeszcze nie dotarły.

A wydarzenie tej miary co ostateczne rozprawienie się przez Niemców z rodzimymi terrorystami nie uszło niczyjej uwagi. Jurij Cziwarszew domyślał się, że Hamilton maczał palce w tej operacji. Teraz doczekał się potwierdzenia. W teczce, którą przechowywał w szafie pancernej, miał trochę notatek. Pokrywały się z informacjami Skowronka.

Wyglądało na to, że sytuacja się przejaśnia. Hamiltona wykopano z tajnej służby, złożono na ołtarzu polityki i jak na ironię wysłano do Moskwy, żeby zajął się dość trywialnym problemem uporządkowania systemu przekazywania meldunków przez attaché wojskowych, co zapewne uważa za bezsensowną rutynę w porównaniu z dotychczasowymi zadaniami.

Trzydzieści cztery lata, kawaler i na dokładkę zdumiewająco sentymentalny. Nie traktował swej pracy poważnie, lekcewał wszelkie reguły bezpieczeństwa, wyraźnie kombinując za plecami przełożonych. Często widywano go na przyjęciach w zachodnich ambasadach. Za dużo pił i zaprzętał sobie głowę rozmyślaniami.

Wyglądało to wręcz wspaniale. Klasyczny wzór. Toteż rodziło się nieuniknione pytanie, czy przypadkiem nie za wspaniale. Hamilton, choć młody, nie był nieopierzonym młokosem. Czyżby krótka seria niepowodzeń rozkleiła go do tego stopnia, że zwierzał się nawet kobietom?

Jednym słowem, dobrze, acz może zbyt dobrze. Nigdy nie wolno nie doceniać przeciwnika, trzeba wychodzić z założenia, że jest inteligentniejszy i lepiej poinformowany.

Zdecydowanie za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski operacyjne. Jurij Cziwarszew nie podzielał teorii, jakie zaczynali tworzyć huraoptymiści z Centrali.

### 3

Jego nowa lada 1600 mknęła niczym strzała, zupełnie jakby GRU ją specjalnie podregulował, montując przy okazji nadajnik pod lewym błotnikiem. W każdym razie coś tam dyskretnie przyspawali.

Ciekawe, jak wymieniają baterie. Domagają się naprawy samochodu? To zresztą bez znaczenia, nie będzie z niego i korzystał podczas operacji.

Próbował się skupić na tym, co go czeka. Mniej więcej za tydzień tylko dwie rzeczy będą się liczyć.

Szosa Leningradzka wkrótce przejdzie w Prospekt Leningradzki, przy którym mieści się jeden z teatrów, Cygański Teatr „Romen”. Irina już go tutaj zabrała. Całą jesień będą grali sztukę „My Cyganie”, która przed dwunastu laty stała się wielkim wydarzeniem. Najlepsza rzecz, jaką dotychczas widział. Nikołaj Sliczenko odniósłby nieprawdopodobny sukces, gdyby wojażowali z tym na Zachodzie. Ale na razie *glasnost* nie zaszła aż tak daleko.

Przedstawienie już widzieli, a poza tym była tylko jedna przerwa. Wolałby balet lub sztukę z dwoma antraktami.

Drogę z Prospektu Leningradzkiego znał wystarczająco dobrze. Trudniejsza prowadziła niemal obok jej domu, łatwiejsza obwodnicą, ale prawdopodobnie tej drugiej pilnowali milicjanci w mundurach i w cywilu.

Teatr Bolszoi był lepiej usytuowany. Skończy się więc na trzyaktowej sztuce tutaj.

Kiedy wjechał na Prospekt Leningradzki w drodze z Szeremietiewa II, wzięły górę sprawy osobiste. Nie potrafił ocenić, co myślała o tych dwóch dniach, nie mówiąc o tym, że zaproszenie policjantki było błędem. Wprowadzi pewien zamęt w GRU.

Ale jej potrzebował, potrzebował dwóch dni bez odstawiania teatru, żeby się przekonać, czy zostało w nim jeszcze coś autentycznego.

Zresztą na wielkim balu attaché wojskowych wymagano towarzystwa kobiet. W tym roku gospodarzem była ambasada chińska. Przyjęcie niczym z Tołstoja, pięćset mundurów galowych, walc między marmurowymi kolumnami, olbrzymie żyrandole, blask biżuterii i orderów, złotych pasków i galonów. Jak w bajce lub w operetce. I może ciut śmiesznie.

Pewnie ją to bawiło, śmiała się z niego, kiedy z desperacją, niezdarnie manipulował przy sztywnym białym kołnierzyku i biedził się nad równym zawieszeniem dwóch krzyży. Pomogła mu w końcu, przypiąwszy je małymi agrafkami.

W każdym razie przyjechała, spodobał się jej list, obiecał, że niedługo wróci do domu, co klóciło się z wszelkimi zasadami zdrowego rozsądku.

Wolał już o tym nie myśleć i wjechawszy na pas zarezerwowany dla władz, przyspieszył, by zająć uwagę prowadzeniem samochodu. Przeszkodził mu w tym obraz wspólnie spędzonej nocy. Natychmiast spoczęły mu się dłonie. To nie do pojęcia, że ilekroć mu na kimś zależało, paraliżował go strach.

Z Iriną na przykład odstawiali wspaniałe numery dla podsłuchujących przeciwników. Chyba podsłuchiwali, musieli ją przecież jakoś kontrolować.

Prospekt Leningradzki przeszedł w ulicę Gorkiego. Niemal odruchowo zatrzymał się przed „Intouristem”, jakby zamierzał wpaść do któregoś z odrażających barów na paskudne wino albo na równie paskudnego złotego szampana.

Udał się jednak w stronę Teatru Bolszoi, żeby raz jeszcze utrwalić sobie to i owo w pamięci. Była niedziela, Centralnyj Uniwersmag ział pustką, za to w podcieniach, którymi zapewne można dotrzeć do parkingu, gdzie przypuszczalnie Irina zaparkuje, na niewielkich straganach handlowano różnymi bibelotami i owocami. Najdłuższe kolejki wiły się przy zielonych bananach i jabłkach.

Na jednym ze straganów dostrzegł zestawy narzędzi, a wśród nich śrubokręt gwiazdkowy, zwykły wkrętak i szydło w małym plastikowym etui, wszystkie około piętnastocentymetrowej długości. Przyglądał się przez chwilę pięciu zestawom, każdy kosztował jednego rubla. Zupełnie jak znak z niebios, ostatni etap przygotowań. Kupił komplet, wsunął go do kieszeni i doszedł podcieniami do małej uliczki, przy której stała budka z lodami. Najwyraźniej nigdy nie przestaną jeść lodów ani pić kwasu.

Kupił kwas i lustrując parking wraz z przyległymi ulicami, starał się jak najwięcej zapamiętać.

Już ustalili, że pójdą do Teatru Bolszoi. Jeśli przedstawienie będzie miało więcej niż dwa akty, zabierze się do dzieła.

Uzmysłowił sobie, że prosił ją o przyjazd do Moskwy, żeby się pożegnać, ale tego nie zrobił.

W kieszonce na piersiach nosił niebieski identyfikator, *diplomaticzeskiju kartoczku*. Trafiała wprawdzie do przekonania wiecznie skwaszonym strażnikom w „Intouriscie”, ale nic by mu z niej nie przyszło, gdyby spotkał się z opozycją w Miedwedkowie.

Po powrocie do ambasady włożył dres. Trenował teraz co drugi dzień zgodnie z przyjętym planem. Ale w najbliższych dniach nie weźmie już do ust alkoholu.

Połowę dystansu przebył cichą szeroką ulicą najwolniej, umiał, włókł się raczej, niż biegł. Spojrzał potem na zegarek. Tak, zgadzało się.

Wracał z maksymalną szybkością, łącznym czasem i tak nie zaimponuje swoim obserwatorom, nagle poczuł się lekki niczym wznoszący się pionowo Viggen, który tuż po

schowaniu podwozia uruchamia dopalacz. Nareszcie jest *airborne*, jak większość specjalnych jednostek radzieckich.

Nieźle dał do wiwatu swojemu ciału, zauważył, że nawet przytył. Ale pierwszy akt już się skończył.

\* \* \*

Przez dwa dni intensywnie szkolił pułkownika i komandora. Jak można się było spodziewać, obaj przejawiali chłopięcy entuzjazm do czarodziejskich sztuczek komputerowego systemu.

W ćwiczeniach posłużył się danymi o myśliwcu bombardującym SU-24, czyli używając języka NATO, o Fencerze.

Informacje umieszczono w systemie pomarańczowym i czerwonym. Korzystając z normalnej sieci, można było uzyskać niemal wszystkie znane parametry samolotu, a także odsyłacze do niektórych raportów w kraju zawierających dodatkowe dane o SU-24, radzieckim odpowiedniku amerykańskiego F-111.

Po uruchomieniu rezerwowego zasilania, kiedy ustawało wszelkie teoretyczne i praktyczne połączenie ze światem zewnętrznym, pojawiały się tak zwane czerwone informacje, na przykład raporty o zaobserwowaniu samolotu bez oznakowań na jednym z mniejszych lotnisk w Rydze, wnioski dotyczące przegrupowań na Bałtyku najcięższego i najlepiej uzbrojonego myśliwca oraz konsekwencji dla Szwecji z uwagi na jego siłę rażenia i zasięg.

Warianty rozwoju sytuacji, B i C, również zaliczył do systemu czerwonego. W typie B uwzględnił samoloty strategiczne wyposażone w broń jądrową, w typie C wyłącznie rakiety przeznaczone do zwalczania celów morskich na obszarze Bałtyku.

Ostatnie raporty, sklasyfikowane częściowo jako czerwone, a częściowo jako pomarańczowe, donosiły o wycofywaniu groźnej dla Szwecji broni — dopóki znajdowała się w Leningradzkim Okręgu Wojskowym albo w Bałtyckim w Rydze — sugerując, że może to mieć związek z *glasnostią* i z oszczędnościami.

Pod hasłem „oszczędności” widniały numery raportów o najróżniejszych sprawach, z których wynikało niezbicie, że Rosjanie oszczędzają na środkach obrony w strefie szwedzkiej. Czyli mówiąc krótko, militarna *pieriestrojka*.

System obejmował informacje o marynarce wojennej, lotnictwie wojskowym i siłach lądowych, zaszerogowane tak prosto, że dwaj starsi mężczyźni, którzy nigdy nie przypuszczali, że sobie poradzą z tymi przekłętymi guzikami, teraz niemal się prześcigali w pomysłach i demonstrowaniu manualnej sprawności.

Nowy program był teraz *airborne*. A oficjalne zadanie Carla wykonane.

Spotkali się później na zaimprovizowanym przyjęciu w pięknym dziewiętnastowiecznym domu, w którym mieszkał komandor. Ambasador zamierzał mu jednak odebrać tę okazałą rezydencję, by przeznaczyć ją na coś w rodzaju szwedzkiej placówki kulturalnej.

Carl znów poczuł, że pora powiedzieć „żegnajcie”, i pił bardzo ostrożnie.

Na ulicy Pietrowka, vis-a-vis Centralnego Uniwersytetu, znajdują się osłonięte dachem boczne wyjścia z Teatru Bolszoi. Wystarczy piętnaście sekund, by znaleźć się w podcieniach domu towarowego, a niespełna czterdzieści, by dotrzeć do Nieglinnej opodal kiosków i parkingu. Stamtąd do Prospektu Marksa jest już tylko jedna przecznica.

Carl stał na rogu Nieglinnej i Prospektu Marksa, obserwując ruch na ulicach. Irina przyjedzie zapewne z drugiej strony.

Nikt nie skręcał w lewo po linii ciągłej, oznaczałoby to wykroczenie, zbyt daleko by nie pojechał i musiałby strawić miesiąc na przygotowanie nowego planu. Na początek trzeba więc skręcić w prawo.

Do żelaznego repertuaru Teatru Bolszoi należała „Ramonda” Głazunowa, grana w swej pierwotnej wersji z 1898 roku. Zdobycie biletów na wieczorne przedstawienie wymagało

sporo zachodu, ponieważ główną rolę kobiecą miała tańczyć Nina Ananszwili, a rolę męską, Jeana de Brienne'a, wielka gwiazda, Andres Leipa.

Trzyaktowe przedstawienie trwało kilka godzin.

Zaczęło padać. Gdy podszedł do przejścia naprzeciwko tyłów domu towarowego, z rosnącym niepokojem obserwował wypełniający się parking. Schroniwszy się pod daszkiem, widział, że udało jej się znaleźć jedno z ostatnich miejsc po tej samej stronie ulicy, po której stał. Znakomicie. Nie mogło być lepiej.

Podskoczyła na jego widok. Pospieszenie wyjaśnił, że w zatłoczonym teatrze trudniej byłoby się im odszukać. Miał wrażenie, że jest bardziej wystraszona niż dotychczas i piękniejsza niż zazwyczaj, mimo butów na niskim obcasie. Wyraźnie starała się ukryć swój wzrost. A może nie miała innych? Nic by nie przeszkadzało, gdyby była od niego parę centymetrów wyższa, ale widocznie nabawiła się kompleksu już w dzieciństwie.

W teatrze pachniało naftaliną. Siedzieli na galerii, właściwie patrzyli z góry na olbrzymią scenę z niesamowitymi kulisami daleko w głębi, by zrobić miejsce zwłaszcza dla Leipy, gdy zaczęła się ekwilibrystyczne popisy w trzecim akcie.

Akt pierwszy był niewypowiedzianie nudny, w dziewiętnastowiecznym francuskim stylu dworskim. Od czasu do czasu połyskiwał na widowni niebieski flesz. Obywatele radzieccy pragnęli zachować wspomnienia na całe życie. Niewiele jednak im na tych zdjęciach wyjdzie, parę głów, a nad nimi zamglona scena bez detali. Carl ku własnemu zdumieniu spostrzegł, że zaczyna przysypiać.

Podczas pierwszej przerwy zeszli piętro niżej i ustawili się w typowej tu kolejce po napoje.

Kiedy rozległy się dzwonki, przypomniał sobie, że musi udać się do ambasady, by odpowiedzieć na telegram. Pożyczył od niej kluczyki do samochodu, pocałował w policzek i odczekał, aż zniknie wraz z publicznością zajmującą miejsca na galerii. Wszystko poszło gładko, nawet się nie zaniepokoiła. Obiecał, że wróci na trzeci akt. Miał godzinę i dziesięć minut.

Wsteczny w samochodzie rodziny Dzierżyńskich wszedł dość opornie, gdy wrzucił dwójkę, w skrzyni biegów coś złowieszczo zazgrzytało. Wolno dojechał do skrzyżowania Nieglinnej z Prospektem Marksa. Ruch był niewielki, zastanawiał się przez chwilę, czy od razu wbrew przepisom nie skręcić w lewo. Ponieważ nikt za nim nie jechał, zrezygnował. Skręciwszy w prawo, przyspieszył. Na początku zwiedzanie miasta, pomyślał z rozbawieniem, patrząc na różową fasadę Teatru Bolszoi.

Samotnie okrążył plac o dziwacznej nazwie, 50-lecia Października, i obrzucił spojrzeniem dużą czerwoną flagę, jak zwykle oświetloną i jak zwykle, mimo deszczu, dumnie powiewającą. Dwukrotnie mignęła mu świątynia Wasyla, potem w lewo i postój na czerwonych światłach, który naturalnie zdawał się nieskończenie długi. Ustawiły się za nim wołga z zasłonkami na tylnej szybie i żółta taksówka. Uznał, że chyba nie są aż tak niemądry.

Szybko pomknął Prospektem Marksa i przy placu KGB w ostatniej chwili przejechał na zielonym. Dwa samochody spokojnie się zatrzymały.

Mżyło. Fasada wielkiego żółtego gmachu KGB o szarej kamiennej podmurówce nie była iluminowana, jedynie na pierwszym piętrze paliło się światło.

Gdy przeciął Sadowoje Kolco, kierując się ulicą Dzierżyńskiego, której przedłużenie zwało się Sretienka, dodał gazu. Na razie dobrze znał trasę.

Na ogromnym Prospekie Mira zaśmiał się na myśl o tym, że około siedmiu minut będzie mu dane sunąć tą „aleją pokoju”.

Był środek tygodnia. Wieczór. Mało prawdopodobne, by Sandström o tej porze pracował albo się gdzieś zabawiał w dobrym starym stylu. Istniało za to spore ryzyko, że jest z nim

jakaś kobieta, na której ćwiczony swoje duszeczne umiejętności. Nie może być żadnych świadków.

Przy parku radzieckiej kultury i nauki, a może parku republik radzieckich o skrócie WDNCh, kończył się Prospekt Mira i zaczynał obcy Carlowi teren. Aleja przybrała teraz nazwę Szosy Jarosławskiej i musiał wybierać między pięcioma przedmiejskimi trasami, ryzykując, że zabłądzi. Ale tutaj z pewnością zauważyłby ogon. Był u celu po dwudziestu minutach. Pojechał bezbłędnie i nikt go nie śledził.

Wokół stacji metra trwała wielka budowa, stawiano nowe osiedle. Skręcił przy stacji, nie wrzucając migacza. Żaden z dwóch sunących za nim samochodów nie poszedł w jego ślady. Tak, na pewno jest sam i przypuszczalnie nikt go się tutaj nie spodziewa.

Zaparkował ładne pięćdziesiąt metrów od stacji obok innych wozów. Na przedmieściach Moskwy najwyraźniej nie było kłopotów z parkowaniem.

Ledwie dotarł na peron, nadjechało metro. Wysiadło kilku pasażerów, prawie wszyscy z siatkami, zawsze gotowi ustawić się w kolejce po najróżniejsze „rzucane” towary.

Przed ponurą betonową bryłą stacji był zamknięty kiosk z papierosami, obok — też zamknięte — automaty z wodą mineralną i z kwasem.

Gdy stanął na chodniku, przyjrzał się najpierw trzem budkom telefonicznym po lewej stronie, a później zerknął na ósme szczytowe okno białego budynku naprzeciwko. Palilo się światło.

Ulżyło mu, poczuł ogarniającą go błogość, jakby wszystko miał już za sobą. Najchętniej by tutaj został, w ciszy i spokoju, zauważył jedynie trzy oddalające się osoby.

Powinien jednak wrócić na przerwę między drugim a trzecim aktem. Głęboko wciągnąwszy powietrze, wolno przeciął asfaltową jezdnię.

Na tyłach budynku zobaczył nieco zapuszczone pole do gry w hokeja. Opodal stały huśtawki, solidny rosyjski model o stalowych ramionach zamiast łańcuchów.

Skierował się do wejścia. Obok straszyla rozeschnięta zielona ławka ze zdezelowanym oparciem. Niebieskie drzwi otwierały się bez kodu. Wszedł, nawet się nie oglądając, i tak było na to za późno. Albo już tam siedzą i jeśli rzeczywiście są najlepsi w świecie, nigdy by ich nie zauważył. Albo ich nie ma.

Winda stała pewnie na jednym z niższych pięter, bo prawie natychmiast zjechała. Typowy rosyjski system: podwójne drzwi i zamknięcie obiegu przez zatrzaśnięcie drzwi wewnętrznych. Nacisnął guzik piętra niżej. W kabinie, jak przewidywał, ani śladu bazgrołów.

Klatka ciasna i ciemna. Wąskie schody, trudno byłoby z nich zbiec szybko i bez hałasu. Niewiele brakowało, a potknąłby się o trzykołowy rowerek. Odstawił go i nie zamykając drzwi windy, odszukał kontakt. Musi przecież widzieć zamek.

Na piętrze ani żywej duszy, tylko stłumione dźwięki z telewizora i muzyka. Jego wytworzone buty w drobne dziurki miały miękkie gumowe podeszwy. Sprawdził, czy sznurowadła są porządnie zawiązane i czy nic nie brakuje jego ubraniu. Włożywszy jasne skórzane rękawiczki, lustrował zamek. Oszacował go na góra dziesięć sekund. Jeśli drzwi zabezpiecza łańcuch, będzie musiał zapukać i powiedzieć parę słów po rosyjsku.

Uporał się z tym szybciej, niż myślał. Innych przeszkód nie było. Z wnętrza dobiegały odgłosy rozmowy i telewizora. Uchyliwszy drzwi na kilka centymetrów, nasłuchiwał. W przedpokoju nie paliło się światło. By uniknąć skrzywienia, szybko i zdecydowanie wszedł do środka, niemal całkowicie zamknął drzwi i przez chwilę stał nieruchomo.

Rozmawiają po angielsku. Kobieta i mężczyzna. Wyjął etui z narzędziami, ukrył szydło w prawej dłoni, resztę wsunął do kieszeni marynarki.

Choć nie było powodu, przez moment wypoczywał, zdumiony, że nie jest ani trochę zdenerwowany. Jakby wszystko miał z głowy.

Pospiesznie minąwszy pustą ciemną kuchnię, wszedł do pokoju i wyszczerzył się w uśmiechu.

— Jak miło, że pana widzę, panie Sandström, nazywam się Hamilton i pracuję w szwedzkiej ambasadzie — powiedział po szwedzku.

I zanim osłupiały zdrajca, wyglądający tak jak na ostatnich zdjęciach, zdążył postawić kieliszek, wyjaśnił dziewczynie po angielsku, że jest z ambasady. A po szwedzku dodał, że chętnie by sobie z panem Sandströmem pogawędzili. Z uśmiechem wyciągnął dłoń i gdy zdumiony mężczyzna się podniósł, jakby zamierzał się przywitać, Carl ciosem dłoni pozbawił go przytomności.

Podszedł później do dziewczyny i przejrzał jej torebkę. Żadnej broni. Siedziała jak sparalizowana. Wrócił do zdrajcy i nogą przewrócił go na brzuch.

Zwykły rosyjski pokój kogoś, komu się nieco lepiej powodzi, zachodni sprzęt stereo, fiński telewizor i nowe, acz toporne meble. Czysto.

Przyglądał się dziewczynie. Wiek około trzydziestki, a może mniej. Rosjanki przeważnie wyglądają starszej. Dość elegancko ubrana, bez cienia wulgarności. Blondynka, fińskiej urody.

— Kim pani jest? — spytał po rosyjsku.

Pokręciła głową. Była przerażona.

— Muszę to wiedzieć — rzekł oficjalnym tonem.

Znów nie doczekał się odpowiedzi.

Pochylił się, wsunął lewą rękę pod ramię zdrajcy, przesunął mu głowę do przodu, po czym prawą dłonią wbił sztydło w dołek powyżej dużego kręgu i kilkakrotnie je przesunął. Początkowo nie zaobserwował żadnej reakcji, wreszcie noga Sandströma drgnęła gwałtownie.

Wstał i raz jeszcze spojrział na dziewczynę. Nie poruszyła się ani o centymetr. Nie miał pojęcia, czy dotarło do niej, że człowiek, z którym przed chwilą rozmawiała, nie żyje. Podczas normalnej, rutynowej obdukcji nie zauważono by, że śmierć nastąpiła wskutek przerwania rdzenia kręgowego ostrym narzędziem, ale w obecnej sytuacji o normalnej obdukcji nie było co marzyć. Dwa „zwykłe zawały” rzadko zdarzają się jednocześnie.

— Spiesz się — oświadczył, sadowiac się na oparciu kanapy.

Siedziała niespełna metr od niego. Milczała.

— Jestem oficerem szwedzkiego wywiadu — powiedział pośpiesznie, mając świadomość uciekającego czasu — a ten mężczyzna był zdrajcą, skazanym u nas na śmierć. Jeśli jest pani jego sąsiadką albo przyjaciółką, panią również będę musiał zabić. Ale jeśli jest pani kimś z nas, koleżanką, nie ma o tym mowy. No?

Zastanawiała się nad tym, co powiedział. Jego słowa były zrozumiałe tylko dla kogoś z wywiadu. Osoba postronna nigdy by się nie wykręciła.

— *Głównoje razwiedowatielnoje uprawlenie* — wyszeptała ochryple i odchrząknęła, utkwivszy wzrok w podłozie.

Niewielu obywateli radzieckich znało pełną nazwę GRU.

— Stopień i wydział? — spytał, zerkając na zegarek.

— Nie powiem.

— Musi pani, bo inaczej nie uwierzę. Nazwisko nie ma znaczenia, wystarczy stopień i wydział.

— Podporucznik, pierwsza dyrekcja, drugi zarząd, wydział studiów skandynawskich — odparła cicho i przymknęła oczy.

Carl odetchnął. Wszystko jasne.

— Jesteśmy kolegami — stwierdził. — Traktujemy to nie jako działalność wymierzoną w Związek Radziecki, ale jako naszą powinność wobec narodu. Chciałbym teraz przez pół godziny mieć wolną rękę. Rozumie pani?

Uśmiechnęła się ironicznie. Jej twarz odzyskała swój normalny kolor.

— Owszem, tylko jak mogłabym coś takiego zagwarantować? — wymruczała.

— Proszę mi więc wybaczyć przykrość, jaką będę musiał pani sprawić. I proszę przekazać wyrazy szacunku pani bezpośrednim przełożonym — wyrzucił jednym tchem i błyskawicznie zdzielił ją w kark.

Osunęła się bezgłośnie na kanapę. Uchylił jej powiekę.

Była nieprzytomna, ale żyła. Kark nie był uszkodzony. Przeniósł ją na podłogę, ułożył na boku i rozpiął, co mógł, żeby ułatwić oddychanie. Tętno wydawało się w normie, oddech równy.

Wstał, podszedł do denata i wyjął z kieszeni malutki aparat fotograficzny. Zaczął od zbliżeń głowy i karku, w którym tkwiło szydło. Następnie je do połowy wysunął, zrobił kolejne zdjęcia, po czym odwrócił ciało, a szydło wyciągnął i starł krople krwi z milimetrowej ranki, która niemal całkowicie się zasklepiła.

Pstryknął jeszcze parę fotek, zbliżenia twarzy z otwartymi oczami i całej postaci. Włożył potem wytarte szydło do plastikowego etui i zostawił na stole obok kanapy. Wychodząc, cicho zamknął drzwi.

\* \* \*

W trzecim akcie przyszła wreszcie kolej na elementy ekwilibrystyczne, co po raz pierwszy ujawniło cały kunszt Andresa Leipy i rozjaśniło twarze markotnych dotąd widzów.

Było w tym coś bardziej autentycznego. Nareszcie prawdziwie rosyjski balet na najsłynniejszej scenie świata.

Carl siedział na swoim miejscu, absolutnie spokojny, acz nieco rozdwojony. Gdy jedna półkula mózgu zdawała się pochłonięta przedstawieniem, druga próbowała ustalić plusy i minusy operacji.

Pani podporucznik o wyglądzie Finki była przypuszczalnie kimś w rodzaju opiekunki Sandströma. Nie, jeśli pracuje w pierwszej dyrekcji, jest analitykiem. Mogłaby pełnić funkcję ochroniarza albo operatora, gdyby pracowała w piątej. Wychodziło na to, że są kolegami.

Naturalnie nie ulegało wątpliwości, że jest oficerem GRU, żaden zwykły obywatel radziecki nie udzieliłby prawidłowej odpowiedzi na pytanie o stanowisko w wojskowej służbie wywiadowczej.

Czy dobrze zrobił, zostawiając świadka?

Uznał, że niedostatecznie się przygotował, nie obmyślił zawczasu sposobu załatwienia sprawy w wypadku zastania u Sandströma gości. Miał nadzieję, że zdrajca będzie sam.

A więc, co? Najpierw udusić kobietę, pozorując robotę Sandströma, a potem kazać mu z rozpaczony wyskoczyć przez okno?

Nie, ósme piętro wcale nie gwarantuje śmierci. Musiałby go przedtem załatwić, a wówczas spece od medycyny sądowej dość łatwo doszliby prawdy. Poza tym trudniej byłoby mu się wymknąć.

I ze szwedzkiego, i z radzieckiego punktu widzenia napaść na obywatela radzieckiego uznano by za zbrodniczą. Teraz zaś mogą co najwyżej stwierdzić, że „pomocniczy attaché marynarki wojennej w ambasadzie szwedzkiej dopuścił się działań sprzecznych z jego pozycją dyplomaty”, co równie dobrze oznacza jazdę po pijanemu i coś poważniejszego.

Rosjanie wiedzą teraz dokładnie, co się wydarzyło. I tak by zresztą do tego doszli przy pomocy biegłego lekarza sądowego i Iriny, która zeznałaby na przesłuchaniu, że Carl w chwili śmierci zdrajcy załatwiał jakąś pilną sprawę.

Znajomość faktów w obydwu wypadkach identyczna. Ale różnica praktyczna dość istotna: szwedzki wywiad wojskowy zachował się bez zarzutu wobec swojego radzieckiego odpowiednika.

Powinno to zapobiec akcjom odwetowym. Rosjanie zwykli postępować w takich sytuacjach bardzo rozważnie. Czego nie można powiedzieć o innych. Na przykład we Francji operator oberwałby za swoje.



Prawdopodobnie mógł spokojnie powędrować do ambasady, nawet jeśli na którymś z dziewięciu pięter Centrali opodal lotniska Chodinka gorączkowo analizują sytuację.

Irina być może uprzedziła ich o „Rajmondzie”. Jeśli tak, niewykluczone, że będą czekać przed teatrem.

Nie przejął się tą myślą. Już po wszystkim, operacja skończona, cel zlikwidowany. Lepiej wprawdzie, żeby wszystkie samoloty wróciły bezpiecznie do bazy, ale nie to jest najważniejsze.

Została zapłata, czysty ludzki wymiar.

Nie czekali przed teatrem.

Dochodziła jedenasta, nie chciał się jednak od razu z nią rozstawać, mimo że nie bardzo mieli gdzie pójść. Ona też nie spieszyła się do domu.

Zaparkowali na tyłach świątyni Wasyla i dzięki dyskretnie wręczonej łapówce dostali się do jednego z tak zwanych nocnych klubów w hotelu „Rossija”.

Do tańca przygrywała orkiestra, w której przeważały saksofony. Skąpe oświetlenie przypuszczalnie nie ułatwiało jej zadania. Chybotliwe plastikowe krzesła, dym i hałas. W niezbyt zapelnionym lokalu bawili się głównie Rosjanie, sezon turystyczny w Moskwie dawno już się skończył.

Nie rozmawiali wiele, za co tylko po części winę ponosiła głośna muzyka; zupełnie jak na Zachodzie.

Chcieli zamówić butelkę mołdawskiego białego wina, okazało się jednak za tanie, więc musieli się zadowolić złotym szampanem.

Po raz ostatni *sowietskoje zolotoje szampanskoje*, pomyślał Carl, bez względu na to, co się stanie.

Trzymał ją za rękę. Była smutna, jakby się domyślała, że to już koniec. Choć oczywiście nie mogła wiedzieć. Pewnie będą na nią czekać przed domem. Ale i wtedy nie muszą o niczym mówić.

Spojrzał na jej dłoń. Typowa dłoń pianistki. Wyraźnie widoczne żyłki, długa i wąska, krótkie, wspaniale spiłowane paznokcie, dyskretny różowy lakier.

Zastanawiał się, czyby jej nie przygotować na to, co wkrótce nastąpi. Może powinien ich za jej pośrednictwem pozdrowić, dając do zrozumienia, że wykorzystał dziewczynę bez jej wiedzy.

Nie, niewykluczone, że nie zamierzają Irinie mówić zbyt dużo. A skoro nie będzie wiedziała, wytrzyma przesłuchania. Mógł jej powiedzieć tylko jedno.

Wrażeniami z przedstawienia zdążyli się podzielić w samochodzie, nie przychodził mu do głowy żaden temat do dyskusji. W końcu to ona przerwała milczenie pośród saksofonowego jazgotu.

— Jesteś smutny, *Carlunku*, rubel za twoje myśli.

— Tak, Irino — odparł, rozglądając się. Zalaatywało rosyjskim tytoniem, perfumami i potem, kobiety przy sąsiednim stoliku wyglądały na prostytutki. — Takie miejsca nie są szczególnie romantyczne.

— Nie są. Powtarzam, rubel za twoje myśli.

— Nie okłamuj ich nigdy. W żadnej sprawie. O cokolwiek zapytają, mów prawdę.

— Już to słyszałam.

— Ale to ważne, Irino. Nigdy nie kłam.

Wybrał temat najgorszy z możliwych. I ostatni. Spytają ją o to i będzie to rodzaj wiadomości. Irina o niczym nie wiedziała. Nie tylko wy się nią posłużyliście. Ja też. Przeanalizujcie sytuację, koledzy, a dojdziecie do wniosku, że to jedyne sensowne wytłumaczenie.

Pożegnał się przy samochodzie, wykręcając się bólem głowy. Ucałował ją szybko w oba policzki, ostrożnie, żeby nie uszkodzić rozchwierutanego zamka, zatrzasnął drzwi i czekał, dopóki czerwone tylne światła lady nie rozpląnęły się w ulicznym ruchu.

Przeciął plac Czerwony niczym samobójca. Stanowił doskonały cel. Nie czuł jednak z tego powodu przyspieszonego bicia serca. Jakby nic go już nie obchodziło. Deszczowa, wietrzna pustka.

Pokonawszy olbrzymie połączenie kocich łbów, dotarł do placu 50-lecia Października. Spodziewał się, że jak zwykle pojawi się znikąd żółta wołga. Tym razem się pomylił, taksówki ani śladu. Szczelniej owinąwszy się płaszczem, ruszył w kierunku ambasady.

A więc nie zależało im na informacjach o jego poczynaniach dzisiejszego wieczoru, uznali, że całkowicie panują nad sytuacją. Ich narada nie była zapewne przyjemna.

Mniej więcej za pięć minut zatrzyma się przed domem, gdzie będą na nią czekać w dwóch czarnych wołgach. Pięć minut wolności. Rosyjscy przesłuchujący podobni są do goryli z DIA i FBI, którzy przed kilkoma miesiącami pastwili się nad Tessie w Santa Barbara. Męczyli ją z powodu Sandströma, teraz to samo spotka Irinę, ale z jego powodu.

Udało mu się w końcu złapać taksówkę. Kierowca nie miał pojęcia, gdzie jest szwedzka ambasada. Deszcz wzmógł się, ulice wymiotło z ludzi.

Strażnicy nie zareagowali, kiedy samochód wjechał na teren obcej placówki dyplomatycznej.

Przesyłanie wiadomości od razu nie miało sensu, zajmie się tym jutro z samego rana.

## 4

Jurij Cziwarszew wyprawiał się na długi samotny spacer w pierwszy od dwóch tygodni ładny jesienny dzień. Maszerował wzdłuż kanału Djurgården pod żółtymi kasztanami, z dłońmi splecionymi z tyłu i wzrokiem wbitym w ziemię. Miał o czym myśleć.

Za dużo było niejasności w kwestiach sztokholmskich, jak i moskiewskich.

Zmiana rządu wstrząsnęła niebem i ziemią. W Säpo wrzało. Spiskowano, gdzie się tylko dało, spekulowano, co prawicowy rząd zamierza, a czego nie zamierza zrobić. Panowało powszechne przekonanie, że powinno się zlikwidować jedną z większych sekcji antyterrorystycznych, żeby wzmocnić wydziały zajmujące się zwalczaniem Układu Warszawskiego. Gdyby utrzymali się przy władzy socjaldemokraci, reformy poszłyby w przeciwnym kierunku. Krążyły pogłoski, jakoby grono konspiratorów szykowało coś w rodzaju ofensywy przeciwko własnym siłom zbrojnym.

W kręgu wtajemniczonych najwyraźniej istniał wewnętrzny krąg, w którego skład wchodził ktoś spoza tak zwanej firmy. Organizacją przypominał coś w rodzaju masonerii.

Żadnemu z informatorów GRU nie udało się go spenetrować, przypuszczalnie zaczęli tracić kontrolę nad szwedzką służbą bezpieczeństwa. Trudno było przewidzieć, jaką siłą dysponuje nowe centrum decyzyjne i co zamierza wysmażyć. Można się jedynie domyślać, że rozpętają kampanię prasową przeciwko własnym siłom zbrojnym, oskarżając je o ochronę ludzi podejrzanych o szpiegostwo, żeby polityczni decydenci zaczęli się interesować reformą wojska i odczepili się od służby bezpieczeństwa.

Co by to mogło oznaczać dla GRU, nie wiadomo. Doświadczenie podpowiadało, że każdy nowy rząd szwedzki rzucał się do mieszania w garnku Säpo, gorliwych kucharzy nigdy nie brakowało. Pracowników przetasowywano niczym w loteryjnym bębnie i nigdy nie można było przewidzieć, gdzie wylądują ich ludzie. Jak na loterii. Wygrana albo porażka.

Problem moskiewski był znacznie konkretniejszy. Po pierwsze, Hamilton i jego przełożeni wyprowadzili ich w pole. Nic na to nie można poradzić. Pozostaje jedynie konstatacja.

Przedstawienie z Hamiltonem w roli głównej dobiegło końca. Od trzech dni nie opuszczał terenu ambasady.

Przesłuchania Skowronka niczego nie przyniosły. Albo wbrew wszelkim przewidywaniom udowodniła bezsilność wiedzy medycznej, albo nic nie wiedziała o planach Hamiltona. Raczej to drugie. Po prostu ją wykorzystał w charakterze łącznika z przeciwnikiem. Trzeba przyznać, że bardzo sprytnie.

Jurij Cziwarszew przeklinał siebie w duchu, że nie posłuchał intuicji, kiedy podpowiadała mu, że wszystko wygląda za dobrze. Hamilton nie przekazał Skowronkowi ani jednej ważnej informacji, nic, o czym by wcześniej nie wiedzieli. Zostali pokonani własną bronią. Pojechał do Moskwy i pod ich nosem przeprowadził operację w rosyjskim stylu. Gdyby nie powaga sprawy, można by się zdrowo uśmieć z takiej bezczelności.

Strata Sandströma się nie liczyła. Jego przydatność, biorąc pod uwagę umysłowe niedostatki, była bardzo średnia. Chodziło o ewentualną zdradę. Ktoś podał Szwedom adres Sandströma. Hamilton nie dotarł do Miedwiedkowa na własną rękę. Ktoś tę informację przekazał. Albo Szwedom, albo jednej z zachodnich organizacji szpiegowskich, która sprzedała ją zainteresowanym. Nie wchodził w grę ani on, ani nikt inny ze szwedzkiej rezydentury. Nie mieli po prostu pojęcia, gdzie mieszka Sandström, choć wiedzieli, gdzie pracuje.

Przesłuchanie podporucznik Tatiany Aleksiejewny Lublimowej nie dało żadnego rezultatu. Zakładano, że specjalista pokroju Hamiltona nie zostawia świadków na miejscu przestępstwa. Niektórym wydawało się wręcz nieprawdopodobne, by bawił się w jakieś dyplomatyczne reweranse. Usuwanie świadków mokrej roboty było przecież czymś elementarnym, toteż ten i ów uważał inne zachowanie za dowód bezczelności, podejrzewano wręcz, że mogła maczać w tym palce Tatiana Aleksiejewna.

Jurij Cziwarszew szczerze w to wątpił. Po pierwsze dlatego, że wybór czasu operacji akurat kiedy była w mieszkaniu obiektu wydawał się wyjątkowo niefortunny. Powinna przewidzieć następstwa i stanowczo odrzucić taki pomysł. A po drugie dlatego, że pasowało to do psychiki Hamiltona. W zostawieniu świadka było coś szwedzkiego i rosyjskiego zarazem; kolegów się nie usuwa.

Równie dobrze mógł założyć, że przeciwnik bez trudu połapie się w sytuacji. Nawet gdyby szalenie dyskretnie zlikwidował Sandströma, Skowronek wyśpiewałby wszystko o jego chwilowej nieobecności w teatrze.

Jurij Cziwarszew zaklął w duchu. W Moskwie byli tak pewni, że szykują werbunek młodego nieostrożnego kolegi, że tydzień wcześniej zaprzestali obserwacji. Niewykluczone, że Hamilton tylko na to czekał i kiedy bez najmniejszego ryzyka mógł dotrzeć do celu, natychmiast przystąpił do operacji.

Między komórką piątej dysekcji, odpowiedzialną za werbunek Hamiltona, a ludźmi z pierwszej dysekcji, którzy znali adres Sandströma, nie istniały żadne powiązania. Mało prawdopodobne, by z Hamiltonem współpracowało jednocześnie dwóch donosicieli.

Tak, miał szczęście. Zresztą wcale nie wiadomo, czy obserwatorom udałoby się go śledzić, kiedy ni stąd, ni zowąd, urwał się z przedstawienia.

Mógł zrezygnować z pozbycia się świadka, bo na przykład zabraniały mu tego instrukcje. Bardzo szwedzkie. Albo rosyjskie.

Mógł dojść do wniosku, że ponieważ sprawa i tak się wyda, nie warto niczego ukrywać. Zostawienie Tatiany Aleksiejewny przy życiu byłoby więc wedle jego własnych słów „koleżeńskim gestem”.

Może liczył na to, że zyska zaufanie — Lublimowa z nim nie współpracowała i widziała go po raz pierwszy — i zapewni sobie bezpieczeństwo na czas pobytu w Moskwie.

Akcje odwetowe i tak nie wchodziły w grę. Nikomu nie byłoby na rękę, gdyby GRU skrytobójczo zamordował dyplomatę. Wręcz przeciwnie, cała historia mogłaby wyjść na jaw, wzbudzając powszechne oburzenie korpusu dyplomatycznego i stawiając pod znakiem

zapytania stosunki między Szwecją a Związkiem Radzieckim. Tak, nagłośnienie afery byłoby ze wszech miar niepożądane.

A ponieważ wskutek akcji odwetowej wypłynęłaby sprawa Sandströma, na dokładkę by się ośmieszili. Nie, zemsta odpada, nawet jeśli pewien generał z Chodinki coś o tym przebąkiwał.

Pozostawał problem zasadniczy: kto dał Hamiltonowi adres szwedzkiego zdrajcy?

Ktoś to przecież zrobił.

\* \* \*

Telegram przeleżał w UD trzy dni, zanim raczono go dostarczyć Samuelowi Ulfssonowi. Szef OP5 dwa razy zaklął, raz, kiedy otrzymał wiadomość, drugi, kiedy ją odszyfrowano. Krótki tekst brzmiał dramatycznie:

*Natychmiast wezwijcie mnie do kraju. BPA nie wymaga już dodatkowych środków. Nowy program komputerowy pod kontrolą. Hamilton*

Poczyniono odpowiednie kroki i człowiek, którego kiedyś sfotografował ktoś z BPA, znów doczekał się zdjęcia. Wspaniale.

Samuel Ulfsson podniósł słuchawkę i pogwizdując pod nosem, wykręcił numer DG. Stary łowca szpiegów zareagował po szóstym sygnale.

— Dzień dobry, jabłoniarzu, czy zbiory nie powinny już być pod dachem?

— Owszem, a co? — z rezerwą odparł DG.

— Myślałem, że wałasasz się pośród jabłoni, tyle czasu zwlekałeś.

— Nie. Złapałeś mnie z opuszczonymi spodniami.

— Dosłownie?

— Yhm. Zaczekaj chwilę. — DG odłożył słuchawkę, by przypuszczalnie podciągnąć gacie. — Ciekawe, że ilekroć człowiek myśli, że ktoś dzwoni w jakiejś ważnej sprawie, tylekroć się okazuje, że to tylko szef.

— Mimo wszystko to ważne. Mógłbyś przyjechać pojutrze?

— Jeśli naprawdę masz coś istotnego. Nie zapominaj, że jestem emerytem.

— Dopiero kiedy prawica znajdzie odpowiedniego zastępcę. Na razie miotła nie dotarła do naszego małego wydziału. To ważne. Carl wraca.

— Tak?

— Dzisiaj go wezwę. Powinien przylecieć pojutrze, SAS-em.

— A to czemu?

— Zawsze latamy SAS-em, nie zwykliśmy trwonić pieniędzy na Aeroflot.

— Pytałem, czemu wraca.

— Bo sprawa się wyjaśniła. Sami go mianujemy, zanim, jak mówisz, wmieszają się burżuje.

DG milczał.

— Halo, jesteś tam? — zaniepokoił się Ulfsson. — Tak, jestem.

— Mamy trochę rzeczy do omówienia. Słyszałem, że Borgström interesuje się tym stołkiem, chyba rozumiesz konsekwencje?

— Przecież on nie ma kwalifikacji.

— Nie ma, ale dla naszego nowego ministra obrony jest dostatecznie prawicowy.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

— Wybacz poganinowi, uważam jednak, że sami powinniśmy się z tym uporać. To co, przyjeżdżasz?

— Przyjeżdżam. Jest o czym pogadać.

Samuel Ulfsson odłożył słuchawkę, co prędzej wysmażył nakaz powrotu i poprosił sekretarkę, by pchnęła go jutrzejszą pocztą dyplomatyczną.

Potem zabrał się do opracowywania raportu dla ÖB, co nie było zbyt trudne. Mianowanie szefa jednostki operacyjnej SSI należało do ÖB i trzeba się z tym pospieszyć, zanim lider

partii prawicowej zacznie się szarogęścić. Choć może nie zgłosi zastrzeżeń wobec Carla — nie ma żadnego powodu eksponować jego polityczną przeszłość — który bezsprzecznie najbardziej się nadaje do przeprowadzenia dwóm nowym operatorom.

Z politykami nigdy jednak dość ostrożności, dlatego lepiej kuć żelazo póki gorące.

Przeciwko mianowaniu Borgströma szefem SSI można byłoby wówczas wytoczyć kontrargumenty. Szef wydziału operacyjnego nadaje na innych falach niż Borgström, a ponieważ już pełni swoją funkcję, więc... i tak dalej.

Hamilton nie mógł wybrać lepszej pory do załatwienia porachunków z Sandströmem.

Zmiana rządu mogłaby doprowadzić do straszliwego bałaganu. A tak uniknie się niepotrzebnych zgrzytów.

I w spokoju dotrwa do emerytury.

\* \* \*

Po trzech dniach oczekiwania, które Carl strawił głównie na uczeniu dwóch starszych kolegów obsługi nowego programu komputerowego, wszystko rozegrało się niemal błyskawicznie.

Ledwie ambasada przekazała mu wiadomość, że ma jechać do kraju na konsultacje, przyszło wezwanie z UWS. Chcieli się z nim bezzwłocznie spotkać. Zgodnie z przepisami każdy nowy attaché, by uzyskać ostateczną akredytację, mniej więcej po trzech miesiącach musiał się zgłosić na drugą rozmowę. Zazwyczaj uczestniczył w niej także radziecki głównodowodzący.

Ponieważ głównodowodzący to z reguły człowiek dość zajęty, wydawało się dziwne, że znalazł czas na spotkanie, gdy tylko Carla poproszono o chwilowy powrót do kraju.

Carl usiłował uniknąć tej wizyty, ale musiałby na to wyrazić zgodę ambasador, co wymagało podania wyjątkowo ważnych powodów. Inaczej wzięto by odmowę za impertynencję.

Carl czuł się jak w pułapce. Nie mógł przedstawić ambasadorowi swoich wątpliwości, ponieważ ambasador reprezentuje Szwecję, a Szwecja o niczym nie może wiedzieć.

W końcu uznał, że to bez znaczenia. Przecież go nie zlikwidują na oczach szwedzkiego kolegi. Chociaż, czemu nie? Lekkie ukłucie na „do widzenia” albo na „dzień dobry” i choroba po kilku dniach albo nawet później, trudna do wykrycia i oczywiście nieuleczalna.

Wmówił sobie, że i to nie ma znaczenia. Równie dobrze mogą się zdecydować na ten krok wszędzie, na sztokholmskiej ulicy lub na Drakens gränd.

Ich sprawa. Jeśli zechcą się zemścić, zrobią to w taki albo inny sposób. Ciekawe, czy wiedzą, ile osób w Szwecji zorientowałoby się, o co chodzi. Im mniej, tym więcej ryzykuje.

Na razie oprócz niego zna sytuację jeden człowiek. DG niebawem się dowie, ale mimo najszczerzej nawet żałoby nie puści tego w obieg.

W volvo próbował podsumować swoje życie, w czym przeszkadzały mu dowcipy kolegi, który wspomniawszy ich pierwsze, dość niekonwencjonalne spotkanie w UWS, przestrzegł Carla przed odszczekiwaniem się głównodowodzącemu Związku Radzieckiego.

Koniec w trzydziestym czwartym roku życia uznał za coś w jego wypadku całkiem naturalnego. Jako człowiek przegrał, jako morderca wygrał. Wmawiał sobie, że mieć do wyboru rolę życiowego nieudacznika albo zabójcy to perspektywa nieszczególnie pociągająca.

Ogarnęła go błogość, jak wówczas gdy stał przed domem zdrajcy. Przemknęło mu przez myśl, czy nie mógłby czegoś zrobić dla Iriny. Bzdura. Jego rekomendacja raczej nie poprawi jej sytuacji.

Spotkanie odbiegało od oczekiwań optymistycznego komandora i pesymistycznego komandora podporucznika. Choć było równie zagadkowe jak pierwsze. Przynajmniej dla komandora.

Nie przybył ani radziecki głównodowodzący, ani radziecki szef Sztabu. Przyjął ich dowódca marynarki wojennej i komandor pełniący funkcję tłumacza, którego poznali wcześniej.

Kiedy czterej panowie, wymieniwszy słowa powitania, usiedli przy brązowym połyskliwym stole, wszystko potoczyło się bardzo szybko.

— Ponieważ opuszcza nas pan — zaczął prosto z mostu radziecki admirał — proszę zapamiętać, że z ogromnym szacunkiem odnosimy się do pańskich kompetencji, co może potwierdzić mój, a raczej pański kolega. Pragniemy dobrych stosunków między naszymi państwami, bez względu na techniczne drobiazgi, i nie zamierzamy ich zakłócać. Takie jest stanowisko Biura Politycznego, rządu i radzieckich sił zbrojnych. Żałujemy tylko, że pański pobyt w Moskwie był tak krótki. Niczego innego nie żałujemy.

Obaj Szwedzi mniej więcej zrozumieli szorstko, z przerwami wypowiedane zdania. Musieli jednak poczekać na tłumaczenie, żeby się przekonać, czy nie mylą ich uszy. Tylko Carl pojął ich sens i jemu przypadło sformułowanie odpowiedzi.

— Z prawdziwym szacunkiem — zaczął, nie bardzo wiedząc, o co mu właściwie chodzi — wysłuchałem pańskich słów. Szwecja również pragnie coraz lepszych stosunków między naszymi państwami. Bez względu na techniczne drobiazgi.

Ledwie tłumacz uporał się z przekładem, radziecki admirał wstał. Trzej panowie też się podnieśli. Spotkanie dobiegło końca.

Szef radzieckiej marynarki wojennej oschle się pożegnał i wyszedł. Do drzwi miał ich odprowadzić komandor Hessulfa zamurowało. Carla zamurowało chwilę później, gdy kierując się ku wyjściu, komandor, pracownik GRU, przekazał mu pozdrowienia od niejakiej Tatiany.

— Tatiana Aleksiejewna serdecznie pana pozdrawia i przesyła wyrazy podziękowania.

Rosjanin zachował kamienną twarz. Carl, przepuściwszy szefa przodem, zatrzymał się w drzwiach.

— Nie przypominam sobie, żebym poznał Tatianę Aleksiejewną — odrzekł z wahaniem.

— Och, na pewno. Choć możliwe, że podała tylko stopień i funkcję.

— Podporucznik z pierwszej dyrekcji?

— Zgadza się.

— Miło mi słyszeć, że Tatianie Aleksiejewnie nie brak animuszu ani humoru.

— Zgadza się. Nam również.

— Czy wolno mi poczynić pewną uwagę?

— Proszę.

Carl rozejrzał się. Przełożony stał kilka metrów dalej, zajęty wkładaniem płaszcza, który podawał mu usłużnie jeden z marynarzy.

— Irina o niczym nie wiedziała — wyszeptał pospiesznie.

— Też jesteśmy tego zdania — szeptem odrzekł komandor, nie zmieniając wyrazu twarzy, po czym gestem wskazał Carlowi marynarza trzymającego jego wojskowy płaszcz.

— Co to, do cholery, było?! — wydarł się komandor Hessulf, gdy tylko znaleźli się w volvo.

Carl milczał, pogrążony w myślach. Sam próbował cokolwiek zrozumieć. Najwyraźniej naprawili klimatyzację w samochodzie.

— O co im, do diabła, chodziło? Co to znaczy, że nas opuszczasz? Wygląda na to, że chcą cię wyrzucić!

— Nie wiem, poruszę tę sprawę w kraju. Przypuszczalnie już nie wrócę, ale skąd się o tym dowiedzieli, nie mam pojęcia.

— Dlaczego nie wrócisz?

— Chyba szykują dla mnie nową pracę, może to mieć związek ze zmianą rządu, szczegóły poznam na miejscu, kiedy się spotkam z Samem.

- Jakim cudem to wywęszyli?
- Tak, to niepokojące.
- I co to za „techniczne drobiazgi”?
- Też sobie zadaję to pytanie.
- O jakiej dziewczynie szepcacie?
- To sprawa prywatna.
- Zbrukałeś honor w rysztoke?
- Zamelduję o tym Samowi.
- Tak chyba będzie najlepiej.
- Chyba tak.

\* \* \*

Całą Rosję spowijały chmury, dopiero nad wybrzeżem łotewskim zaczęło się przejaśniać. Zobaczył morze. Zatoka a chwilę później ciągnące się kilometrami plaże i dwie spore wyspy, zapewne Dagö i Ösel. Samolot nie opuścił jeszcze terytorium radzieckiego, wkrótce znajdą się tam, gdzie Rosjanie przed laty, zanim Carl się urodził, zestrzelili szwedzką maszynę szpiegową. Zajmowała się nasłuchem radiowym i radiolokacją, co w końcu znudziło się Rosjanom. Przypuszczalnie się domyślili, że chodzi o informacje dla strategicznych bombowców amerykańskich B49. Miały wystartować z Norwegii i mniej więcej tym korytarzem dotrzeć do wielkich miast Rosji, Białorusi i Ukrainy. Taki był ich zasięg w tamtych czasach.

Ani społeczeństwo szwedzkie, ani radzieckie nigdy nie poznało prawdy.

Usiłował obliczyć w pamięci. Granica o długości dwunastu mil. Od międzynarodowej przestrzeni powietrznej dzielą ich minuty. Nie zaatakują samolotu SAS-u, który pojawił się już na ekranach radarów w Arlandzie.

Nielatwo ich zrozumieć. Dobre stosunki między państwami bez względu na techniczne drobiazgi.

Komandor Hessulf nieźle się musiał wysilić, w dodatku na próżno, żeby dopatrzeć się jakiegś logiki w tych słowach. Nie było mu jednak do śmiechu.

Wydawało mu się, że już coś podobnego przeżył. Morze, chmury, a w oddali twarz kobiety. Tym razem miała na imię Irina.

Bardzo smutne spojrzenie spod ciężkich powiek. Niewinne. Złożona w ofierze, ot, techniczny drobiazg. Nie, nie ma sensu się rozczulać. To ofiara wojny, przypadkowo znalazła się w niewłaściwym budynku i o złej porze. Różnica jest tylko taka, że teraz pilot bombowca zna swoją ofiarę. Podczas wielkiej wojny ojczyźnianej w Związku Radzieckim zginęło od dwudziestu do trzydziestu milionów ludzi.

Zrezygnował w serwowanego na pokładzie posiłku, nie miał też ochoty na gratisowego drinka. Jeśli dopłaci się do biletu tysiąc koron, przysługuje na przykład ćwiartka szampana, który normalnie kosztuje dwadzieścia koron. Od wyjścia z ambasady nie miał nic w ustach. Nie wiedział, czy to podświadomy lęk przed otruciem, czy po prostu brak apetytu.

Zazwyczaj dobrze mu się spało w samolocie, teraz uznał, że nie warto się nawet przymierzać.

Szwedzkie wybrzeże, wysepki w słońcu, złote i brunatne kolory późnej jesieni nad Upplandią. I nagle czarny pas lotniska, obrazek jak z końcówki starych filmów krótkometrażowych. Poczul w ustach smak żelaza i zdrząły mu dłonie w dziwnym skurczu.

Przez moment chyba stracił przytomność, choć nie był tego pewien. Kiedy samolot kołował na swój pas, odruchowo zmierzył puls. Normalny. Odezwał się za to silny ból głowy.

\* \* \*

Samuel Ulfsson z trudem znosił dym cichcem wypalanych przez DG cygaretek. Czekał na Carla, rozważali różne warianty personalne, obmyślali rozmaite posunięcia i ewentualne intrygi pomocne w osiągnięciu pożądanego celu.

Na biurku Samuela Ulfssona leżała nie wywołana rolka filmu, która sądząc z etykiety, powinna zawierać najzwyczajniejszy kolorowy negatyw Kodaka. Ale bynajmniej nie musiała.

Gdy Carl wszedł do pokoju, spojrzeli na niego w napięciu. Zmęczona, wymizierowana, lekko spuchnięta twarz. Jego postawa nie zachęcała do serdeczności.

— A więc w Moskwie wszystko poszło dobrze? — zaczął Ulfsson dość swobodnie, by wprowadzić weselszy nastrój.

— Zadanie wykonane — odrzekł Carl, wpatrując się w kant spodni, który właśnie wygładził.

— Tutaj też mamy trochę dobrych wiadomości. Zajmiesz miejsce Lallerstedta. Znów wybiera się za siedem mórz — z entuzjazmem podjął Ulfsson.

Carl wciągnął powietrze.

— Sandström zmarł we wtorek o dwudziestej pierwszej zero trzy. Zgodnie z rozkazem DG nie zameldowałem o tym od razu szefowi OP5 i robię to teraz — na jednym oddechu wyrecytował Carl.

Samuel Ulfsson wolno odchylił się na krześle. Spojrzał pytająco na DG.

— Tak jest. Zgadza się. Jeśli trzeba, jestem gotów zrezygnować z zajmowanego stanowiska — z najwyższym trudem powstrzymując się od śmiechu, przyznał DG.

Dorabiający emeryt nieszczególnie się nadawał do wykopania.

— Poczęstuj mnie tymi swoimi cygarami! — polecił Samuel Ulfsson.

DG pospiesznie podał od pół roku wolnemu od nałogu szefowi czerwone pudełko w kratkę i zapalniczkę.

Szef zapalił i łączywie się zaciągnął. Odrobinę drżała mu ręka, ale poza tym panował nad sytuacją.

— To się za żadną cenę nie może wydać — rzekł, wydmuchując dym.

— Ryzyko wydaje się minimalne — oschle zauważył DG.

— Kto o tym wie?

— Ty, DG, ja i Rosjanie — powiedział Carl.

— Wiedzą, że to twoja robota?

— Oczywiście. Przekazali nam nawet wiadomość, że o ile dobrze zrozumiałem, nie mają zamiaru rozrabiwać.

— Napiszesz raport w tej sprawie?

— Nie. Jeśli pozwolisz, chciałbym zrelacjonować to ustnie. Tu i teraz.

— Dobrze. Rozsądnie powiedziane. A rolka filmu? Nie wywołaliśmy, bo nie podałeś metody.

— Biorąc pod uwagę, co przedstawiają, uznałem, że może się to okazać nie najwłaściwsze. Zanim dostałbyś zdjęcia, obejrzałyby je trzy, cztery osoby.

— Co masz na myśli? — spytał palący na całego Ulfsson.

— Zrobiłem kilka różnych ujęć. Na pierwszych jest kark Sandströma z dziesięciocentymetrowym szydełkiem wbitym w rdzeń kręgowy tuż pod podstawą czaszki. Na pozostałych są zbliżenia twarzy po śmierci. Jedno zdjęcie przedstawia drzwi do jego mieszkania, a ostatnie dom. Było ciemno, więc widać tylko sylwetkę i okno. Zamierzałem sam to wywołać.

— Po cholere w ogóle robiłeś te zdjęcia? I chodziłeś z nimi po Moskwie? — zdumiał się Ulfsson, zerkając na rolkę filmu.

— Nawet gdyby mi je zabrali, nigdy by tego nie wywołali. Jako domniemany radziecki szpieg nie chciałem wracać do kraju bez dowodów śmierci Sandströma.

— Fotografie można sfalszować — wtrącił DG, zapalając cygaretkę.

— Tyle że ryzyko ujawnienia fałszerstwa jest całkiem spore. Poza tym na zdjęciach jest z całą pewnością Sandström. Uwzględniając możliwość publikacji, danie wam takich zdjęć



wydaje mi się mało rosyjskie. To się nie trzyma kupy. Gdyby to opublikować, byłbym spalony.

— Rozumiem twoją troskę, czy jak to nazwać, ale nie jestem pewien, czy możemy przechowywać w tym budynku tego typu dokumenty — stwierdził Ulfsson, po czym wyjął film z kasety i wrzucił go do kosza.

— Można to jeszcze wywołać, jeśli chcesz zniszczyć, spal — z cieniem uśmiechu zauważył Carl.

— To chyba niemożliwe?

— Owszem, możliwe. Jeśli mi uwierzyles, że Sandström jest martwy, mógłbyś mi chyba zaufać i w takim technicznym drobiazgu.

Carla zatkało, ledwie powiedział dwa ostatnie słowa.

— Naturalnie.

Samuel Ulfsson wyjął film z kosza i umieściwszy go w czystej od miesiący kryształowej popielniczce, podpalił. Negatyw z chrzęstem i jękiem skręcał się w zielonych płomyczkach.

DG patrzył na to z taką miną, jakby płonęło milion koron.

— No tak — podjął Samuel Ulfsson, kiedy z filmu została jedynie lepka czarna papka. — A więc, powiadasz, że wiemy o tym tylko my trzej i Rosjanie? Mógłbyś nam teraz zrelacjonować wszystko dokładnie?

\* \* \*

Później tego samego dnia, kiedy DG zabrał Carla na coś w rodzaju rozgrzeszającej spowiedzi i powitalny obiad w jednym z zakonspirowanych mieszkań, gdzie stawili się dwaj świeżo zatrudnieni porucznicy, Samuel Ulfsson udał się do ÖB na rutynową naradę. Chodziło głównie o przedstawienie wyników nasłuchu radiowego i zgłoszenie propozycji niektórych zmian personalnych.

Naturalnie trudno było nie wspomnieć o śmierci zdrajcy. ÖB zarządził przeciw operację mającą na celu ustalenie, czy Sandström przebywa w Moskwie, by zażądać dotacji na jak najskuteczniejsze zapobieganie poczynaniom szwedzkiego oficera GRU.

Samuel Ulfsson powiedział o tym, dopiero gdy omówili wszystkie inne sprawy i wstali z kanapy.

— Jest jeszcze coś — zaczął, zebrawszy swoje papiery.

— Chodzi o Sandströma w Moskwie.

— Ach tak, rzeczywiście — zainteresował się ÖB. — Jak poszło?

— Nadspodziewanie dobrze. Sandström zmarł we wtorek o dwudziestej pierwszej zero trzy — odparł Ulfsson, jakby informował, która godzina, i ruszył ku drzwiom, sprawiając wrażenie kogoś zaprzątniętego innymi myślami.

Oczywiście ÖB go zatrzymał.

— Czy to pewna wiadomość, wiemy to z całą pewnością? — spytał zastępując mu drogę, jakby za wszelką cenę chciał przeszkodzić rozmówcy w opuszczeniu pokoju.

— Tak, z całą pewnością, nie ma żadnych wątpliwości.

— Ale jak, u licha, do tego doszło?

— Czy jesteś w stu procentach przekonany, że chcesz to wiedzieć? — rzekł Ulfsson, patrząc prosto w oczy głównego szefa sił zbrojnych.

ÖB, nieporuszony, zastanawiał się pięć sekund, które Samuelowi zdały się dziwnie długie.

— To chyba już na dzisiaj wszystko. Dzięki, Sam, zobaczymy się pojutrze — oznajmił i podszedł do biurka.

Samuel Ulfsson cicho zamknął za sobą drzwi. Straszliwie chciało mu się palić.

**Wrogowie naszych wrogów...**

# 1

Nie dość, że dopuszczono się ohydneho mordu, który w opinii lekarzy sądowych „cechowało niepojęte, wyjątkowe „okrucieństwo”, na domiar złego stanowił on nie lada zagadkę. Między dwiema ofiarami nie istniały żadne powiązania, a przynajmniej niczego takiego podczas dziesięciodniowych poszukiwań się nie dopatrzono.

Denaci, piloci bojowi z jednego dywizjonu, zostali wykończeni mniej więcej w ciągu godziny przez tego samego sprawcę lub sprawców, gdy obaj przebywali w swoich domach, ponieważ obaj mieli wolny dzień.

Mówiąc po prostu, zatłuczono ich na śmierć. Lekarze lakonicznie informowali o kilkunastu śmiertelnych ranach. Ze zdjęć niewiele się można było zorientować.

Obaj kapitanowie znajdowali się wówczas sami w domach, każdy z innego powodu. Żona i dzieci pierwszego były z wizytą u babci. Żona i dzieci drugiego udały się na dziecięce przyjęcie. Przesłuchania i poszukiwania nie wykazały śladu jakichkolwiek związków. Rodziny nie znały się bliżej i oczywiście nie spotykały. Skąd morderca lub mordercy wiedzieli, że droga wolna?

Obydwu morderstw dokonano w salonach szeregowych domków. Oficerowie wpuścili więc wroga, nie stawiając oporu, a później zostali zatłuczeni w niebywale brutalny sposób, co kazało myśleć o potwornej nienawiści i wściekłości.

Nie istniał żaden punkt zaczepienia, wszelkie próby znalezienia powiązań między ofiarami, prócz zawodowych, nie przyniosły żadnego rezultatu.

Komisarz Rune Jansson, nowo mianowany szef wydziału zabójstw w Norrköping, był w desperacji. Liczył się teraz każdy drobiazg.

Choć nie zwykł ufać dziennikarskim spekulacjom, popołudniówka „Expressen” podsunęła mu pewien pomysł. Opatrzone olbrzymimi nagłówkami artykuły donosiły o działaniach wojennych obcego mocarstwa, przypuszczalnie Związku Radzieckiego, sugerując, że być może chodzi o akcję odwetową, ponieważ według anonimowych źródeł policji bezpieczeństwa szwedzkie i radzieckie siły zbrojne znalazły się na krawędzi wojny.

Ale kiedy Rune Jansson chciał uzyskać potwierdzenie od Näslunda ze sztokholmskiej bezpieki, został zbyty. Usłyszał, że popołudniówki dbają wyłącznie o nakład i najprawdopodobniej nie istnieją żadne tak zwane wysoko postawione anonimowe źródła informacji w Säk.

Tak czy inaczej, gazetowe kłamstwa dały mu sporo do myślenia. Niektórzy wojskowi są przecież specjalistami od przemocy, z jednym miał nawet do czynienia w związku z morderstwem, którego nigdy się nie wyjaśni, popełnionym ze zdumiewającą perfidią.

Musiał przejść krętą służbową drogę, zaczynając od szefa bezpieczeństwa dywizjonu, który zwrócił się do jakiejś szczy w Sztokholmie, po czym szczy zadzwoniła i powiedziała, że chętnie wyślą dwie osoby, ale pod warunkiem, że ich udział nie zostanie nagłośniony i nie trafi do raportów dochodzeniowych.

Hamiltona w pewnym sensie już znał. Drugi, który siedział z tyłu, nie sprawiał wrażenia twardziela. Choć Hamilton też nie, jeśli się nie wiedziało, kto zacz i co potrafi. Na przykład poderżnąć porywaczowi gardło.

Rune Jansson zgodnie z umową sam ich odebrał z dworca i zawiózł prosto do lekarza sądowego w Linköping. Po drodze przedstawił sytuację. Słuchali go w milczeniu.

Wydawało mu się, że Hamilton się zmienił. Miał ostre, wręcz antypatyczne spojrzenie, a blizna na policzku dodatkowo potęgowała wrażenie uczuciowego chłodu i brutalności.

Drugi, który przedstawił się tylko imieniem, wyglądał jak nauczyciel albo muzyk, delikatny chłopak w dżinsach i ciepłej bawełnianej koszulce z napisem UCSD na piersiach. Jansson domyślał się, że to pewnie jakiś amerykański uniwersytet.

Padał deszcz ze śniegiem, po raz pierwszy w listopadzie. Pluchowata, paskudna pogoda. Kiedy Rune Jansson skończył relację, byli już w Linköping. Rozmowa się nie kleiła. Nie mieli pytań.

Zanim wyszli z samochodu, rozejrzeli się, jakby ich ktoś śledził. Pewnie patrzyli, czy nie ma w pobliżu dziennikarzy. Tymczasem jeśli od jakichś wojskowych morderca powinien się trzymać z daleka, to właśnie od nich, pomyślał Rune Jansson. Ten młodszy też był wedle informacji specem od przemocy, może tego samego kalibru co Hamilton.

Lekarz omówił zdjęcia i wymienił rodzaje zadanych ran. Hamilton z kolegą natychmiast zainteresowali się jednym z ciosów. Obie ofiary miały identycznie zmiażdżoną krtani. Bardzo ich to zajęło. Przez chwilę wydawało się, że wszyscy trzej konfrontują swoje wiadomości.

Poprosili potem o pokazanie ciał. Po krótkim wahaniu lekarz zaprowadził ich do pomieszczenia, w którym przechowywano zwłoki, i wysunął dwie szuflady z nierdzewnej stali zawierające szczątki szwedzkich pilotów bojowych.

Chcieli zostać sami, żeby — jak stwierdził Hamilton — móc swobodniej rozmawiać, ale lekarz, powołujący się na jakieś zasady etyki zawodowej, odmówił.

Bez sprzeciwu przyjęli to do wiadomości i przystąpili do oględzin posiniąłych zwłok. Coś sobie pokazywali, szeptali i kiwali głowami. Po chwili uznali, że zobaczyli, co trzeba, i mają jako takie rozeznanie. Gdy ciała wsunięto do lodówki, towarzystwo udało się do sąsiedniego pokoju, gdzie czekała kawa i piętrzyły się białe plastikowe kubki. Młodszy wojskowy obsłużył ich, po czym, gdy już usiedli, Hamilton oznajmił, że należałoby wykluczyć udział wojska, i poprosił swojego kolegę o przedstawienie wniosków, do jakich doszli.

— Na wstępie trzeba zaznaczyć — zaczął Joar Lundwall bez cienia nerwowości i niepewności — że przemoc zawsze wygląda dość podobnie, w każdym razie stawia sobie identyczny cel, bez względu na przynależność państwową i zawodową sprawcy. To, co zobaczyliśmy, obce jest wszelkim znanym wojsku doświadczeniom, być może z wyjątkiem jednego. Chodzi o cios w krtani, zadany w obu wypadkach niezwykle precyzyjnie. Ofiara ma natychmiast problemy z oddychaniem, odczuwa silny ból i traci przytomność. Taki był początek. A potem sprawcy skopali tych ludzi na śmierć.

— Sprawcy? — przerwał Runę Jansson. — Na jakiej podstawie twierdzicie, że było ich kilku, a nie jeden?

— Całkiem pewni nie jesteśmy, ale to uzasadnione przypuszczenie. Jeden człowiek szybko by się zmęczył, raczej było ich dwóch i każdy kopał ze swojej strony. Mieli jako takie pojęcie o funkcjach poszczególnych organów, bo zniszczyli wątrobę i śledzionę ofiar, większość kopniaków zadali z rozmysłem, nie na oślep. Poza tym przynajmniej jeden z nich potrafi pozbawić człowieka przytomności jednym uderzeniem, a to wymaga lat treningu i, że się tak wyrażę, pewnego zainteresowania techniką.

— Jak się zadaje taki cios? — spytał nieprzyjemnie zafascynowany Jansson.

— Może mógłbym zademonstrować — podjął Lundwall, zerkając na Hamiltona, który odstawił kubek z kawą i wstał. — Robi się to z zaskoczenia, ofiara jest bezbronna i niczego nie podejrzewa, trzyma ręce na wysokości talii, tak jak komandor Hamilton, konwersujemy w najlepsze i...

Joar Lundwall błyskawicznie i z dużą siłą wymierzył cios w szyję Hamiltona, który równie błyskawicznie go odparował.

— Mniej więcej tak — dodał Lundwall. — Amator nie ma oczywiście żadnych szans obrony, a efekty już znamy.

Hamilton usiadł i sięgnąwszy po kawę, słuchał wywodu kolegi.

O, cholera, pomyślał Jansson, to byłby cios!

— Pole trafienia mieści się w granicach dwóch centymetrów, obydwie ofiary zaatakowano bezbłędnie. Jak dotąd możemy sądzić, że mamy do czynienia z kimś, kto dałby się

ewentualnie zaliczyć do grona wojskowych. Ale ciąg dalszy jest naszym zdaniem kompletnie niezrozumiały i zdecydowanie niewojskowy.

— Dlaczego? Jak wy byście się zachowali w tej sytuacji? — zainteresował się Rune Jansson, ale widząc uniesione brwi lekarza sądowego, natychmiast pożałował.

— Zamierzałem o tym powiedzieć — podjął Lundwall, najwyraźniej nie mając nic przeciwko zbyt może osobistemu pytaniu. — Gdybyśmy otrzymali z komandorem Hamiltonem zadanie zlikwidowania dwóch osób, tylko pierwszy cios byłby identyczny, jeśli chodzi o efekt. Łatwo jednak chybić, a wówczas zaczęłoby się piekło. Istnieją pewniejsze metody pozbawienia obiektu przytomności. Przymuszczałnie w ogóle nie byłibyście w stanie ustalić przyczyny zgonu. Załatwilibyśmy się z tym bardzo szybko i na pewno nie zostalibyśmy ani minuty dłużej, żeby pastwić się nad trupem. Wojsko działa cicho i szybko, a to, co widzieliśmy, jest tego zaprzeczeniem. Niewykluczone, że użylibyśmy broni.

— Jakiej? — spytał Runę Jansson.

— Zależałoby to od tego, czy trzeba by było ukryć przyczynę śmierci. Jeśli nie, najważniejsza wydaje się broń palna, bo jest najszybsza i najskuteczniejsza.

— A gdybyście chcieli ukryć przyczynę śmierci? — wtrącił sceptycznie lekarz.

— Wystarczyłoby nakłuć rdzeń kręgowy jakimś ostrym, wąskim narzędziem. To najpowszechniejszy sposób. Małutka dziurka zasklepia się później tak szczelnie, że nie widać żadnych obrażeń zewnętrznych. Żeby znaleźć przyczynę śmierci, trzeba podejrzliwości. Choć nawet nacięcie rdzenia nie gwarantuje, że uda się wypatrzeć ukłucie.

Lekarz skinął głową i jęknął. Jego zachowanie w pełni potwierdzało słowa Lundwalla.

— Są też różne środki chemiczne. Można wstrzyknąć trudny do wykrycia preparat, który pozoruje zawał, ale tymi technikami posługują się głównie w Europie Wschodniej — podjął Lundwall. — W każdym razie nigdy nie zostaje się na miejscu morderstwa dłużej niż to konieczne i nie postępuje tak jak nasi sprawcy. To nie tylko niezgodne z etyką wojskową, ale i nazbyt ryzykowne. Trudno nam sobie wyobrazić, że to robota wojskowych.

— Czy Rosjanie są szkoleni podobnie jak my? — spytał Jansson. — Mam na myśli artykuł w „Expressen” o chłopcach z jednostek specjalnych i takich tam...

— Techniki są dość podobne — odparł Carl. — Jak myśliwce. Mają mniej więcej te same zalety i te same funkcje bez względu na to, czy są na nich trzy korony, czy czerwona gwiazda. Podzielam oczywiście opinię kolegi, że nie ma w tym śladu logiki właściwej wojskowym.

— Więc dlaczego sprawcy zachowali się w taki sposób?

Carl wzruszył ramionami.

— Pozostają nam jedynie domysły. Każdemu przyszlaby do głowy nienawiść. Ale ten motyw raczej odpada, bo ofiar nic z sobą nie łączyło. Do tego stopnia można nienawidzić jednego pilota. Ale dwóch? To już wasza sprawa. Musicie szukać jednej lub kilku osób zabawiających się w karateków. Jak powiedział mój kolega, nikt nie zada takiego ciosu w krtani bez intensywnego treningu. Odnoszę dziwne wrażenie, że mordercy chcieli nam dać coś do zrozumienia.

— Tak? — z napięciem wtrącił Runę Jansson. — Co takiego?

— To tylko przecucie, ale wydaje mi się, że zabili na pokaz. Jakby zależało im na wzbudzeniu sensacji, jak największego rozgłosu i najrozmaitszych spekulacji, niezupełnie tego rodzaju, co nasze.

— A więc nie wierzycie w historię z Rosjanami — skonstatował Runę Jansson.

Obaj wojskowi zdecydowanie pokręcili głowami.

— Ani trochę — rzekł Carl. — Coś takiego niesie z sobą olbrzymie ryzyko polityczne. Trudno powiedzieć, co mogłoby być aż tyle warte. A poza tym ofiary i z politycznego, i z wojskowego punktu widzenia są stosunkowo mało ważne. Dlatego, jak zaznaczyłem, wojskowi z wielu powodów nigdy by tak nie postąpili. Ani my, ani wróg. Nigdy.

\* \* \*

Samuel Ulfsson, zaciągnawszy się dwa razy swoim blendem, obrzucił siedzącego naprzeciwko mężczyznę spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Przynajmniej odległość była w sam raz. Szefa biura, Henrika P. Näslunda, nie powinno się dopuszczać bliżej niż na trzy długości ramienia.

Samuel Ulfsson był wściekły, co zdarzało mu się bardzo rzadko. W znacznym stopniu przyczynił się do tego wywiad, jakiego pół godziny przed przybyciem Näslunda musiał udzielić wyjątkowo bezczelnemu dziennikarzowi TV. W wieczornym wydaniu „Rapportu” zapewne uznają rewelacje „Expressen” za najprawdziwsze, a jego zaprzeczenia staną się pośrednim potwierdzeniem. Każde wyjście było złe. Jeśli odmówi człowiek komentarza, potraktują to jako potwierdzenie, jeśli się zgodzi, to stanowcze dementi skomponują z takim ujęciem twarzy, które będzie sprzeczne z wypowiedzianymi zdaniem.

Näslund skulił się na krześle, jakby przeczuwał, co się święci.

— Gdyby jakiś wrogi wywiad chciał u nas namieszać, a uwzględniając twoje zainteresowania, zakładam, że wiesz, o jakim myślę, o specjalistach od takich manewrów — zaczął Ulfsson, akcentując każde słowo, jakby mówił przez zaciśnięte zęby — nie mogliby załatwić tego lepiej niż ty ze swoimi ludźmi z „Expressen”.

— Zgadzam się, że sytuacja jest drażliwa, ale nie zgadzam się z twoją interpretacją — cicho odparł Näslund.

Za wszelką cenę pragnął uniknąć kłótni.

— Dlaczego, u licha, publikujecie takie brednie?

— To nie my, tylko „Expressen”.

— Tere-fero. Od kiedy to „Expressen” wyciąga od was informacje bez waszego łaskawego przyzwolenia? O co wam właściwie chodzi?

— Sam chciałbym wiedzieć. Nie widzę w tym sensu, wszyscy w firmie zadają sobie podobne pytanie.

— A więc „Expressen” wysłał sobie z palca, że waszym zdaniem pilotów zamordowali Rosjanie i że my też tak uważamy? Napisali to czarno na białym, dosyć dużymi literami. Przecież dobrze wiesz, że w sztabie ani przez chwilę nie wierzyliśmy w tę idiotyczną teorię rosyjską.

Näslund wygrzebał z teczki kilkustronicowy raport, który w pierwszym odruchu zamierzał pchnąć po stole, jak to się czasem robi z piwem na kowbojskich filmach, ale zmienił zdanie, wstał, położył go na biurku Ulfssona i wrócił na miejsce.

— Kiedy się dowiedzieli, co będzie w „Expressen”, minister obrony zażądał ode mnie raportu w porze lunchu — wyjaśnił. — Przeczytaj.

Jego treść rozwiewała wszelkie niejasności. Zdaniem wydziału bezpieczeństwa Głównego Zarządu Policji nie ma żadnych dowodów na to, że mordu w Norrköping dokonał obcy wywiad, podzielały tę opinię odnośnie wydziały Sztabu Obrony.

Informacje w „Expressen” wydawały się więc bezpodstawne i Näslund uznał za mało prawdopodobne, by ktokolwiek z jego wydziału celowo siał dezinformację.

— No tak — rzekł Ulfsson, zapoznawszy się z raportem. — Nie mam naturalnie powodów, by podejrzewać cię o składanie naszemu prawicowemu ministrowi obrony fałszywych wyjaśnień. Jest jednak faktem, że ogłosił te rewelacje jeden z dziennikarzy, których wykorzystujecie do ujawniania tajnych informacji. Dlaczego nagle zaczął zmyślać, skoro zawsze mu podrzucaliście materiały?

— Też tego nie rozumiem. Robiliśmy tak, jak mówisz, tylko w określonych sytuacjach. Wydział od lat pracuje nad uzyskaniem podstaw do deportacji rosyjskich oficerów wywiadu. A gdy się to nam w końcu udaje, UD za wszelką cenę chce sprawę utajnić. Można by spytać, dlaczego. Ktoś więc dochodzi do wniosku, że szwedzkie społeczeństwo ma prawo się dowiedzieć, że w firmie nie siedzą sami idioci. Stąd publikacje.

— Z poparciem twoim albo szefa wydziału.

— Nie nazwałbym tego poparciem. W każdym razie nie odczuwamy pilnej potrzeby ścigania i karania tego, który powiedział za dużo.

— Teraz powinniście ją czuć.

— To nie takie proste. Wiesz, że prawo chroni informatorów gazet.

— Przekazywanie tajnych informacji jest chyba wykroczeniem i ochrona nie obowiązuje?

— Niezupełnie. Po pierwsze, ktoś rzeczywiście musiałby ujawnić tajne materiały, po drugie, trzeba do sprawy wciągnąć doradcę prawnego rządu, a po trzecie, tego typu dochodzenia do niczego nie prowadzą. Szkopuł polega na tym, że nic się nie zgadza. Informacje są fałszywe, nie ma więc mowy o rozpowszechnianiu tajnych materiałów.

— Ale sianie dezinformacji jest chyba wbrew prawu?

— Można by sprawę potraktować jako nadużycie służbowe albo coś w tym rodzaju. Nie uchyla to jednak zasady ochrony informatorów.

— Chcesz powiedzieć, że jeśli masz w firmie jednego kilku dywersantów, którzy szykują nam i wam straszliwe, nieobliczalne wręcz szkody, nie istnieją żadne prawne... to niedorzeczność.

— Owszem, sytuacja jest niedorzeczna.

— Znasz tego reportera z „Expressen”?

— Tak, miałem z nim co nieco do czynienia.

— Zadzwoń do niego i powiedz, że wszystko jest pomyłką.

— Uznają to za potwierdzenie, jeśli mają inne źródło.

Gdy Samuel Ulfsson zapalił kolejnego papierosa, Näslund swoim zwyczajem wyjął metalowy grzebyk i dwa razy przesunął nim po włosach.

— Jak idzie policji, doszli do czegoś? — spytał Ulfsson po chwili.

Minęła mu złość, wierzył Näslundowi.

— Harują w Norrköping i robią, co mogą, ale nie znaleźli powiązań między ofiarami, dlatego trudno im ruszyć z miejsca. Nie ma żadnego sensownego motywu.

— Tak, niełatwo to zrozumieć. Może to jakiś wariat, ktoś, kto nie został pilotem, bo na przykład oblał matematykę, cokolwiek.

— Też brałem to pod uwagę. Rosjanie na pewno nie - wchodzi w grę.

— Tak, sprawą powinna się zająć policja, a nie służba bezpieczeństwa, ale propaganda zmusza nas do podjęcia określonych działań. Kto to jest i o co mu chodzi?

— Sam chciałbym wiedzieć. „Expressen” jak zwykle łaknie sensacji, ale tym razem nie zamierza napadać na rząd.

— Wy chyba też nie zamierzacie. „Tym razem”?

Insynuację Ulfssona Näslund odebrał jak policzek, przyjął ją jednak z zimną krwią i przeszedł nad tym do porządku dziennego.

— Nie wierzę, żeby wszystko wymyślił dziennikarz. Zwykle w tym, co piszą, jest ziarenko prawdy. Czyli ich informator z całą premedytacją chce zaszkodzić państwu albo armii.

— Sprawa dotyczy zatem bezpieczeństwa?

— O to mi chodzi.

— Więc się nią zajmijcie. Złapcie sukinsyna i uduście albo wyrzućcie, jeśli nie zaprotestuje związek zawodowy.

— Chyba znalazłeś furtkę prawną, możemy to potraktować jako kwestię bezpieczeństwa, podejrzenie o obcą działalność dezinformacyjną. Będziemy mogli przynajmniej zbadać sprawę.

— Przesłuchajcie dziennikarza.

— Odpada, to tylko wszystko pogorszy i narobi hałasu. Nie możemy go przecież torturować. Zgadzam się z tobą, że sytuacja jest poważna, i zrobię wszystko, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie.

Samuel Ulfsson skinął głową. O ile się nie mylił, nigdy dotąd nie był z Näsłundem jednego zdania.

\* \* \*

Na dyskretnej etykietce widniały czarne duże litery: CHATEAU MEURSAULT. Dobra jakość nie potrzebuje ozdóbek. Pili ten sam rocznik, co za pierwszym razem, 1984. I po raz pierwszy od przeszło miesiąca miał w ustach alkohol. Sama myśl o trunkach przypominała mu Moskwę.

Eva-Britt Jönsson, obecnie inspektor policji lub po prostu inspektor, coraz bardziej się do niego przekonywała, aż doszła do tego, że zaczęła sobie zadawać pytanie, jak bardzo jest w nim zakochana. Przykre doświadczenia nauczyły ją niewyciągania zbyt pochopnie wniosków. Pragnęła się jednak z nim spotykać jak najczęściej, uważała, że się zmienił, odtajał nieco po moskiewskich mrozach. Wciąż jednak bał się porażki, w ostatniej chwili się wykręcał i nie miał odwagi o tym mówić.

Głaszcząc delikatnie jej dłoń, patrzył na pluchę za oknem, która ciepłemu światłu kolorowych lampionów, lustrom i mosiężnym okuciom w „Reisen” przydawała przytulności. Przepęniała go nieopisana wręcz radość, jakby zaczął nowe życie.

Ubierał się prościej, postarał się o nowocześniejsze meble, mogło się wydawać, że za maskami szuka siebie, próbuje stać się prawdziwym człowiekiem. Wmawiał sobie, że wszystko inne już minęło. Jest szefem biura, w którym nikt nie chodzi w mundurze i które interesuje się wyłącznie komputerami i pracą natury intelektualnej.

— Czy morderstwo w Norrköping ma jakiś związek z armią? — spytała.

— Czy pani inspektor zajmuje się dochodzeniem w tej sprawie? — odparł pytaniem, żartobliwie uchylając się od odpowiedzi.

— Nie, zwyczajnie jestem ciekawa, nie wiadomo, co o tym myśleć, jednego dnia mówią jedno, drugiego co innego. Wygląda na trudne dochodzenie, żadnych motywów, żadnego związku między ofiarami.

— Tylko taki, że byli pilotami w jednym dywizjonie.

— I dziwny, obrzydliwy sposób pozbycia się ich. Czy tak działają wojskowi?

— Nie wiem, moją domeną są komputery. W każdym razie w Sztabie Obrony nikt nie wierzy w teorię rosyjską.

— Mógł to przecież być wojskowy.

— Jak to?

— Prosta policyjna logika. Ofiary wpuściły mordercę, ponieważ był wojskowym.

— Jeśli tak, to na pewno nie w mundurze armii radzieckiej. Równie dobrze mógł pokazać legitymację policyjną.

Oślupiała.

— Masz rację — szepnęła po chwili. — Logiczne wytłumaczenie, nieprzyjemne, ale logiczne. Ciekawe, czy o tym pomyśleli.

— Istnieją jednak pewne granice, których wasi najokrutniejsi prześladowcy pijaków chyba nie przekraczają. Czy policjanci trenują karate albo coś w tym rodzaju?

— Sposób, w jaki dokonano zbrodni, raczej nie wskazuje na sportowe zapędy.

— Po prostu byłem ciekaw.

— Trenują, ale nie w moich kręgach.

— Jak mam to rozumieć?

— Ja tutaj prowadzę przesłuchanie. Nie czułeś się w Moskwie najlepiej?

— Nie.

— Dlaczego?

— Byłem bardzo samotny i miałem dość nudną pracę. Unowocześniałem system składania raportów i uczyłem kilku starszych panów obsługi komputera. Nic zabawnego. Gwoździem programu okazał się twój przyjazd.



— Trochę to było śmieszne, jakieś operetkowe. Ale klawo zobaczyć plac Czerwony na własne oczy.

— I wypchanego Lenina.

— Potem pójdziemy do ciebie.

— Nie wiem... jutro wcześniej zaczynam...

Zdecydowała, że właśnie teraz poruszy ten temat.

Początkowo się wzbraniał, czuł się zażenowany, wyznał, że w czasach, kiedy był zaręczony, kiedy studiował w USA, nigdy nie miał z tym żadnych problemów, później z przypadkowymi dziewczynami też nie. Ale kiedy żywił do kogoś prawdziwe uczucie, kiedy nie chodziło o teatr ani o zabawę, ogarniał go niepokój i zaczynało się błędne koło: nie wolno mi o tym myśleć, bo będzie tak jak ostatnim razem, i natychmiast się o tym myśli, i jest tak jak ostatnim razem.

Powiedziała, żeby sobie nie roił, że nim gardzi albo że zamierza zerwać znajomość, jeśli nie pójdą do łóżka. Tak nie jest. Mają mnóstwo czasu, przynajmniej chce, żeby mieli.

— Nie jesteśmy w Moskwie, mieszkamy tutaj. Jest jesień, wkrótce nastanie zima, po niej przyjdzie wiosna, po wiosnie lato i znów jesień. I my cały czas tu będziemy, będziemy harować i pić za drogie wina.

— Zacząłem przemeblowywać mieszkanie — odparł z ulgą. — Chodźmy, powiesz mi, co o tym sądzisz.

## 2

Morderstwo przywodziło na myśl scenę z amerykańskiego filmu gangsterskiego, a sposób, w jaki go dokonano, świadczył o profesjonalizmie.

W czwartkowe popołudnie dwóch mężczyzn siedziało samotnie w cukierce w Näsbypark. O tej porze pracownicy są najmniej zajęci, a ponieważ lokal ma duże okna, ktoś mógł spokojnie poczekać w ciemnościach na odpowiedni moment, nie zwracając niczyjej uwagi.

Kierowniczka cukierni i ekspedientka niewiele umiały powiedzieć. Dwaj mężczyźni wzięli kawę i drożdżówki, zamawiający mówił po szwedzku, a potem siedzieli w tej samej salce, opodal gablot z ciastkami.

Tylko raz opuściły gości, kiedy w lokalu nie było klientów, żeby rzucić okiem na szwankujący odpływ. Wtedy usłyszały strzały. Początkowo bały się wyrzeć, potem zerknęły przez szybkę w drzwiach i zobaczyły mężczyzn leżących na podłodze, to znaczy jeden leżał, a drugi siedział z głową na stoliku.

Widziały też dwóch wychodzących z cukierni osobników w czarnych skórzanych kurtkach, ale u żadnego nie dostrzegły broni.

Samochód zaparkowali najprawdopodobniej przy stacji kolejowej, w pobliżu biurowca, w którym mieściła się cukiernia. Wolnych miejsc nie brakowało. Mgliste wypowiedzi świadków wskazywały na volvo 740 albo 760.

Strzelono dwa razy z odległości niespełna metra, z typowej szwedzkiej piątki o zasięgu dwudziestu pięciu metrów śrutem używanym do polowania na zajęce lub sarny. Z bliska takie strzały uśmiercają natychmiast, wystarczy trafić w klatkę piersiową.

Biorąc pod uwagę rozrzut i szacunkową odległość, strzelby albo strzelba musiały być spiłowane. Czyli obrzyn. Albo obrzyn.

W ów dżdżysty, słotny dzień w cukierni roilo się od rozmazanych błotnistych śladów. O zdjęciu odcisków nie było więc mowy.

Już sam sposób popełnienia podwójnego morderstwa wzbudziłby niezłą sensację i trafił na pierwsze strony popołudniówek. Nawet gdyby jego ofiarą padli pierwsi lepsi Szwedzi.

Tymczasem jednym z denatów okazał się Igor Terasimow, oficjalnie trzeci sekretarz ambasady Związku Radzieckiego, a faktycznie oficer rezydentury KGB w Sztokholmie.

Drugim zaś podsekretarz stanu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, Erland Winblad, dość blisko związany z ministrem poprzedniego rządu.

Zanim jednak nastąpiły komplikacje dyplomatyczne, policja zdążyła przedsięwziąć rutynowe działania, które od chwili znalezienia w kieszeni jednej z ofiar dyplomatycznego dokumentu można uznać za bezprawne. Wówczas wezwano ludzi z policji bezpieczeństwa i przekazano sprawę Näsłundowi.

Sporządzono i wprowadzono do protokołu wykaz części garderoby denatów oraz przedmiotów, które mieli przy sobie, między innymi teczki. U Rosjanina znaleziono pod marynarką dwudziestostronicowy ściśle tajny raport UD, nieco pokrwawiony i zniszczony. U Szweda zaś kopertę z ośmioma banknotami tysiąckoronowymi o kolejnych numerach.

Näsłund polecił pobrać odciski palców Rosjanina, co z dyplomatycznego punktu widzenia nie było oczywiście właściwe. Ale zgodnie z przewidywaniami dość szybko wykryto identyczne na kopercie i na dwóch banknotach, pierwszym i ostatnim.

W tym punkcie sprawa nie budziła najmniejszych wątpliwości. Radziecki oficer wywiadu i jego szwedzki informator dokonali wymiany i zginęli.

Błyskawicznie powiadomione Ministerstwo Spraw Zagranicznych przekazało decyzję rządu o konieczności zachowania całkowitej dyskrecji w kwestii ujawnienia szpiega, do czego świadomie lub nieświadomie przyczynili się mordercy.

Ze względu na obce mocarstwo. I tak było rzeczą dość kłopotliwą wytłumaczenie powodów zastrzelenia radzieckiego dyplomaty na modłę gangsterską. Przez kogoś, kto o tym konspiracyjnym spotkaniu. Mogło powstać wrażenie, że maczały w tym palce władze szwedzkie.

Utajnienie naturalnie się nie powiodło.

Wręcz przeciwnie. „Expressen”, który jął publikować teksty pod wspólnym nagłówkiem „WOJNA AGENTÓW”, sugerował, że UD niepokoi możliwość rzucenia podejrzeń na władze szwedzkie (co zostało sformułowane bardziej bezpośrednio i dobitnie), i znów powołał się na źródło związane z policją bezpieczeństwa, która jest przekonana, że w ten sposób szwedzki wywiad wojskowy wziął odwet za zabójstwo pilotów popełnione przez Rosjan.

Podchwyciły to szybko inne mass media, ponieważ Per L. Wennström od lat zwykł się zajmować publikowaniem przecieków z policji.

Dementi, jedno wściekle ze Sztabu Obrony, naturalnie zlekceważono, twierdząc, że zaprzeczanie należy w takich okolicznościach do „reguł gry” i że organizacje szpiegowskie, szwedzkie i zagraniczne, nie mają zwyczaju przyznawać się do jatek, chyba że zostaną przyłapane na gorącym uczynku, co się na przykład przytrafiło wywiadowi francuskiemu, kiedy wysadził w Nowej Zelandii „Rainbow Warrior”, statek obrońców środowiska. W artykułach wyliczano naturalnie znane lub rzekomo znane dintojry agentów z ostatnich dziesięcioleci.

Już pierwszego dnia wyglądało to okropnie. A drugiego „Expressen” częściowo odsłonił „kulisy”. Dobrze poinformowane źródła z Säpo uważały, że między wywiadem szwedzkim i radzieckim trwa wendeta. Rosjanie mieli powód do zemsty, ponieważ wywiad szwedzki zlikwidował gdzieś za granicą rosyjskiego agenta. Przypuszczalnie chcieli w ten sposób dać do zrozumienia sąsiadowi, żeby się nie bawił w mocarstwo. W rewanżu Szwecja odpowiedziała wysłaniem specjalnego komanda morderców, co można by potraktować jako oświadczenie, że „w Szwecji decydują Szwedzi”.

Wspomnianemu „komandemu morderców” poświęcono i tekst zatytułowany „Prawo do zabijania?” Wyjaśniał, że w najtajniejszej komórce szwedzkiego wywiadu wojskowego operują osoby lub osoba, które można by porównać z Jamesem Bondem i które w sytuacjach ekstremalnych są *licensed to kill*. Jako przykład podano głośne porwanie samolotu, kiedy to dziennikarze prasy światowej bezskutecznie ścigali tajemniczego Amerykanina, który

udaremnił uprowadzenie maszyny Air France na trasie Kair-Marsylia. Wreszcie sam Peter Sorman z UD, świeżo upieczony ambasador na Kubie, potwierdził, że porwaniu w sposób spektakularny zapobiegł, zabijając trzech porywaczy, „oficer służb specjalnych, którego tożsamości naturalnie nie wyjawiono z uwagi na bezpieczeństwo personelu wojskowego”. Dalszych komentarzy odmówił.

Artykuł kończyło pytanie, czy w ostatniej akcji nie brał przypadkiem udziału ten sam tajemniczy oficer.

\* \* \*

W sali odpraw ÖB w Sztapie Obrony trwała narada. ÖB w niej nie uczestniczył, ponieważ cokolwiek by postanowiono, i tak uznane zostanie za jego decyzję, czyli całej szwedzkiej obrony. Jeśli przyszłość pokaże, że popełniono błąd, ani ÖB, ani siły zbrojne nie ponoszą za to odpowiedzialności. Istniało natomiast spore ryzyko, że na spotkaniu skupiającym tak znamienite, zaskakująco zestawione i podniecone grono dowie się zbyt dużo, co wytrąci mu z ręki broń zwaną spychotechniką. To, co szef służby wywiadowczej przedstawi mu później w cztery oczy, niekoniecznie ograniczy możliwość posłużenia się nią, ogłoszenia dementi, czy mówiąc prościej, strugania wariata.

Zamiast ÖB zjawił się szef Sztabu Obrony. Cywilów reprezentowali Näslund i szef Säpo, którego nie nazywano inaczej jak Listonosz, co odnosiło się do jego poprzedniego zawodu lub stosunku do rządu.

Prócz przedstawicieli strony wojskowej, szefa OP5, Samuela Ulfssona, ustępującego szefa SSI, DG, szefa wydziału bezpieczeństwa przy Sztapie Obrony, podpułkownika Lennarta Borgströma, i nowo mianowanego szefa wydziału operacyjnego SSI, Hamiltona, których obecność była dość oczywista, znalazł się tu człowiek postrzegany przez wszystkich, jak obcy, świeżo upieczony szef SSI, w pewnym sensie cywil. Jak powiadano, objął to stanowisko dlatego, że zawsze interesował się powieściami szpiegowskimi i przyjaźnił się z nowym ministrem obrony. Po kilkudniowej praktyce u DG zaczął się wdrażać do rutynowych zajęć. To spotkanie z trudem jednak dawało się do nich zaliczyć.

Samuel Ulfsson usiłował przewodniczyć, co nie było proste, jako że raz po raz wybuchały kłótnie. Najgorszą wywołał Borgström, nagabując Carla o alibi na dzień morderstwa.

Carl usiłował go zbyć, pytając, o które morderstwo chodzi, co być może nie było najfortunniesze. Borgström dodał więc, że mówi o ostatnim.

Wtedy eksplodował DG. Odwołując się do sformułowań protokolarnych, ostro zakwestionował inteligencję, a nawet poczytalność C Fst/Säk, po czym wygłosił krótką mowę na temat ograniczonego zastosowania obrzynów w armii, która, tak się składa, w razie konieczności użycia siły ma dyspozycji znacznie lepsze sposoby i ciut lepszą broń.

Kiedy Samuelowi Ulfssonowi udało się wreszcie uspokoić towarzystwo, a Carl, „żeby formalnościom stało się zadość”, powiedział, że w chwili popełnienia morderstwa przebywał w pracy z grupą sześciu, siedmiu osób zatrudnionych w Sztapie, zajęto się zapewnieniami. Armia zapewniła kategorycznie, że nie ma mowy o niczym, co mogłoby choć trochę przypominać sugerowany przez dziennikarza „Expressen” stan wojenny. Następnie dwaj szefowie Säpo zapewnili, że u nich nikt nikogo nie posądza o wendetę, i po prostu nie wierzą, żeby „Expressen” miał w ich wydziale jakiegokolwiek źródła.

Jak było do przewidzenia, oddano się spekulacjom, które zrodziły kolejne awantury.

Pytanie pierwsze dotyczyło osób mogących wiedzieć o tajnym spotkaniu oficera KGB z płatnym agentem.

Lennart Borgström doszedł do wniosku, że to robota GRU, i uznał, że morderstwa w Linköping i w Näsbyark miały stworzyć wrażenie wendety, którą tak malowniczo | opisano w „Expressen”. Mogła to być jedna z dobrze znanych operacji destabilizujących GRU.

DG zaznaczył oschle, że nawet minimalna znajomość zasad działania radzieckiego wywiadu dowodzi niezbicie, że GRU nie ma pojęcia o operacjach KGB i odwrotnie. Choćby

z tego powodu GRU można spokojnie wykluczyć. Poza tym mordowanie oficera KGB z pobudek czysto teatralnych wydaje się dość pikantne. Warto też zadać pytanie, czy w dobie *glasnosti* GRU odczuwa nieprzepartą chęć ryzykowania politycznej katastrofy, swojej i Związku Radzieckiego.

Kiedy jego uwagi nie zyskały akceptacji, między innymi dlatego, że Listonosz i cywil skłaniali się ku opinii Borgströma, kwaśno stwierdził, że jedynym miejscem, gdzie ewentualnie wiedziano o spotkaniu, nie licząc KGB, choć nawet tam niekoniecznie, jest Säpo.

Wtedy eksplodował Näslund.

Najpierw zastanawiał się głośno, czy nie powinien tego potraktować jako insynuację. Potem niezamierzenie rozbawił towarzystwo, argumentując, że Säpo, która nigdy dotąd nie schwytała żadnego szwedzkiego agenta KGB na gorącym uczynku, gdyby taka okazja się jej trafiła, z pewnością zadowoliliby się zwyczajnym zatrzymaniem.

Zgodzono się tylko co do jednego. Ani w armii, ani w cywilnej służbie bezpieczeństwa nie istniały najmniejsze ślady wsparcia spekulacji „Expressen”.

Gdy towarzystwo zbierało się do wyjścia, zjawił się adiutant ÖB z popołudniówkami.

Na pierwszej stronie „Expressen” widniało olbrzymie zdjęcie Sandströma, a tytuł artykułu zawierał trzy słowa i znak zapytania: „ZAMORDOWANY W MOSKWIE?”

Pod zdjęciem wyjaśniano, że przyczyną trwającej wojny agentów mogło się stać, zdaniem wysoko postawionych źródeł Säpo, zlikwidowanie Sandströma przez Szwedów („tak zaczęła się wojna agentów”).

Samuel Ulfsson, zdobywszy się na żart, że przynajmniej raz raczono przecenić możliwości wojska, wprowadził DG i Carla do swojego gabinetu, zamykając drzwi przed nosem nowo mianowanego szefa SSI.

— To przechodzi ludzkie pojęcie — rzekł, rzucając na stół swój egzemplarz gazety, po czym zapalił papierosa.

— W jaki sposób ta informacja dostała się do małpiarni na Kungsholmen? — zastanawiał się przygnębiony DG.

— To niemożliwe — wtrącił porywczo Carl. — Wykluczone. Powiedziałem o tym tylko wam.

— Nie mam wprawdzie ochoty zadawać tego pytania — zaczął posepnie Ulfsson, zaciągawszy się kilka razy ale muszę. ÖB dowiedział się tylko tyle, że Sandström nie żyje. Nie poruszałem tej sprawy z nikim innym. Carl już przedstawił swoje stanowisko, więc teraz muszę spytać ciebie, DG.

— Nie pora na żarty — stwierdził DG.

— Czy mam rozumieć, że nikomu o niczym nie wspomniałeś?

— Naturalnie.

— Tu przynajmniej mamy jasność. Czyli z małpiarni nie może być żadnych przecieków, bo nic tam nie wiedzą. Oprócz nas zostaje GRU, ale wydaje się nieprawdopodobne, żeby...

Przerwał, gdy na stercie papierów dostrzegł kopertę. Niemal się na nią rzucił, brutalnie rozerwał i co prędzej przystąpił do lektury.

Choć wiadomość była krótka, przeczytał ją trzy razy, za każdym razem wolniej. Zgasił papierosa, natychmiast zapalił następnego i milczał.

— Masz — rzekł na koniec i pchnął kartkę po stole. — Przeczytaj głośno, Carl.

W lewym górnym rogu widniało godło Związku Radzieckiego. Carl nerwowo odchrząknął i zaczął:

— „Panie komandorze poruczniku! Jako szef sekcji wojskowej ambasady Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, pragnąłbym nawiązać z Wami oficjalny kontakt dla uniknięcia wszelkich nieporozumień. Sprawa jest wielkiej wagi i dotyczy naszego wspólnego bezpieczeństwa oraz dobrych stosunków między naszymi państwami. Ze szczególnych powodów chciałbym jak najszybciej spotkać się z Waszym przedstawicielem, komandorem

podporucznikiem Carlem Hamiltonem, by dokładniej wszystko wyjaśnić. Czekam na rychłą odpowiedź. Szef sekcji wojskowej Cziwarszew”. Sam rezydent, jak mniemam — skwitował Carl, przeczytawszy list.

— Tak jest, rezydent GRU chce cię tylko dla siebie — odparł Ulfsson, wypuszczając kłęby dymu.

— Jeśli to ma być operacja destabilizująca, gorszej *maskirowki* w życiu nie widziałem — z dziwną rezygnacją w głosie zauważył DG.

— Dlaczego chce się spotkać akurat z Carlem? — zdziwił się Ulfsson.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć — odrzekł Carl.

— To dość niebezpieczne.

— Bo ja wiem — z westchnieniem wtrącił DG. — Nie byłbym wcale taki pewien. Dotąd nie stali oficjalnych próśb w mokrych operacjach. Powinniśmy jednak uwzględnić, że GRU zwrócił się do nas na piśmie, w dodatku przez swojego szefa, który podkreśla, że sprawa jest oficjalna. A to znaczy, że rzeczywiście jest oficjalna, ustalona z Moskwą.

— Pisze, że chce coś wyjaśnić i przekazać informacje — skonstatował Ulfsson. — Całkiem możliwe, że wie coś, czego my nie wiemy.

— I o czym chce mówić w interesie obu naszych krajów — dodał DG. — Sądzę, że zorganizujemy to spotkanie, jeśli oczywiście Carl nie ma zastrzeżeń.

Obaj szefowie wpatrywali się w Carla. Nie było mu do śmiechu. Bynajmniej nie z powodu ewentualnego ryzyka.

— Trochę to dziwne — zaczął wolno — że rezydent wybrał akurat podejrzanego o szpiegostwo Hamiltona. Nie jest to najprzyjemniejsze, ale nie widzę żadnego ryzyka. Gdyby chcieli się na mnie zasadzić, w co nie wierzę nie tylko dlatego, że sami postanowili o sprawie zapomnieć, nie musieliby pisemnie zapraszać mnie na własny pogrzeb. GRU nie ma zwyczaju zostawiać takich dokumentów.

— Może list jest fałszywy? Może to żart albo robota „Expressen”? — zastanawiał się Samuel Ulfsson.

— Przekonamy się — skwitował DG.

— Tak, tak, nie widzę przeszkód w przyjmowaniu informacji, nawet ze Wschodu. Żadnych przeszkód formalnych. Ale aranżując spotkanie, trzeba zachować ostrożność — rzekł Ulfsson, dając do zrozumienia, że dyskusja skończona.

\* \* \*

Spotkali się na stacji metra Sankt Eriksplan równo z uderzeniem godziny i gdy się poznali, podziękowali obstawom i przystąpili do rutynowych czynności; na zmianę decydowali o przesiadkach.

Pół godziny później wysiedli na Brommaplan i spacerkiem ruszyli w stronę willowego osiedla. Na razie nie zamienili ani jednego ważnego słowa.

Carl czuł się dziwnie nierzeczywiście. Idący obok szczupły siwowłosy mężczyzna koło sześćdziesiątki był szefem wojskowych szpiegów radzieckich w Szwecji. Wrogiem. Trudno sobie wyobrazić osobliwszego towarzysza przechadzki dla oficera szwedzkiego wywiadu.

Od czasu do czasu dyskretnie się rozglądali. Ogony nie byłyby im raczej na rękę. Wydawało się, że są sami.

— Myślę, że chyba możemy zacząć — powiedział Jurij Cziwarszew, zatrzymując się i ściągając rękawiczkę z prawej dłoni. — Jako oficer i kolega, chciałbym najpierw pogratulować wspaniałej akcji w Moskwie.

Gdy uściśniły sobie ręce, Carl był tak zbity z tropu, że nie wydusił ani słowa.

— Mogę zrozumieć pana zdumienie, komandorze podporuczniku Hamilton — z uśmiechem stwierdził Cziwarszew, kiedy wolno ruszyli przed siebie. — Naturalnie ubolewamy, że udało się panu wyeliminować szwedzkiego informatora, przysporzyło to nam

kłopotów, lecz jako oficer i kolega, gratuluję znakomicie przeprowadzonej operacji. Jest już po wszystkim.

— Niezupełnie. Wolałbym nie omawiać z panem, pułkowniku Cziwarszew, moich domniemanych zadań — odparł Carl, siłąc się na oficjalność.

— Oczywiście. Ale kiedy jesteśmy sami, możemy sobie chyba pozwolić na szczerłość nawet w tak drażliwej kwestii.

— Czy dlatego chciał się pan spotkać właśnie ze mną?

— Częściowo. O ile się orientuję, zajmuje pan także kluczową pozycję w szwedzkiej służbie wywiadowczej. W każdym razie dobrze pan wie, co zaszło w Moskwie, my natomiast nie wiemy, ilu Szwedów wtajemniczono w tę sprawę. Tylko z panem mogę mówić otwarcie, a likwidacja Sandströma ma pewne znaczenie dla tych, którzy działają przeciwko nam.

— Wie pan, kim są?

— Niech pan nie będzie w gorącej wodzie kąpany, mój młody kolego, po kolei. Zresztą jest pan już spalony, znamy pana choćby z akcji w Moskwie, więc fakt, że wystąpi pan w roli łącznika między naszymi organizacjami nie zdradzi nam waszych szwedzkich układów personalnych.

— Bardzo dyplomatycznie pomyślane.

— Owszem. Jesteśmy przecież i dyplomatami. Czy nie powiedziano panu tego w Moskwie? Ależ pan nas nabrał!

— Do rzeczy.

— Młody człowieku, spokojnie, w kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, musimy działać z rozwagą. Po pierwsze, chciałbym oficjalnie powtórzyć, że Związek Radziecki kwestię Sandströma uważa za zamkniętą, jeśli chodzi o nasze wzajemne stosunki. Wiemy, że to wy dokonaliście eliminacji. Przestrzegamy jednak zasady, by w takich wypadkach nie wsadzać kija w mrowisko.

— Tak też myślałem. A po drugie?

— Po drugie, chciałbym powiedzieć, że ani przez chwilę, podkreślam, ani przez chwilę nie wierzyliśmy, że zamordowania naszego, hm, kolegi z KGB i jego informatora dopuścił się pan albo jakiś inny oficer. A teraz przechodzimy do sprawy trzeciej i musi pan sam zdecydować, czy udzielić odpowiedzi, czy nie. Nie wierzymy, abyście podejrzewali nas lub inną organizację radziecką o akcję terrorystyczną w... jak się to miasto nazywa?

— Norrköping. To prawda. Nie podejrzewamy. Ani trochę. Klóci się to z radzieckim stylem działań operacyjnych i sytuacją polityczną. Oto moja odpowiedź, nie mamy w tym względzie wątpliwości.

— Więc myślicie także w kategoriach politycznych. Bardzo dobrze. Przejdźmy zatem do sedna sprawy. Ktoś usiłuje stworzyć wrażenie, że wymordowujemy w Szwecji swoich oficerów.

— Tak. Przynajmniej „Expressen”.

— Chyba pan nie przypuszcza, że sami wszystko zmyślili?

— Nie, ktoś im dostarcza fałszywych informacji, a ostatnia z nich mogłaby wskazywać tylko na dwa źródła, GRU albo Sztab Obrony. My odpadamy.

— My też, godziłoby to w nasze interesy, co pan chyba przyzna.

— Trudno się połapać, o czyje interesy tu chodzi. Szczerze mówiąc, nie mamy pojęcia. Rozumiemy, że nie leży to w waszym interesie, ale informacje o Sandströmie mogą pochodzić tylko od was albo od nas. Od nas nie pochodzą.

— Popełnia pan błąd, młody człowieku. Informacje mogą pochodzić od szwedzkiej policji bezpieczeństwa, tak jak podaje dziennik.

— Ale oni nie wiedzą, że Sandström nie żyje.

— Niestety wiedzą.

— Skąd pan wie?

— Tego oczywiście powiedzieć nie mogę. W każdym razie po zmianie rządu zmieniły się obyczaje w waszym Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Informacje, które poprzedni rząd trzymał w tajemnicy przed policją bezpieczeństwa, ten ujawnia.

— No dobrze, ale przecież UD nie mogło przesłać Säpo wiadomości o śmierci Sandströma.

— I nie przesłało. Poinformowało jedynie, że komandor podporucznik Hamilton niespodziewanie został odwołany z Moskwy do nowych zadań w Szwecji.

— Co w dalszym ciągu nie prowadzi do wniosku, że Sandström nie żyje.

— Tak, ale jednocześnie z wydziału bezpieczeństwa przy Sztapie Obrony nadeszła inna wiadomość, tej mianowicie treści, że problem szpiega Sandströma oraz jego przypuszczalnego pobytu w Moskwie przestał być aktualny, ponieważ rzeczona osoba nie żyje.

— Czy to prawda?

— Niestety. Jestem zresztą przekonany, że może pan to sprawdzić.

— Co za niezręczność!

— Takie rzeczy zdarzają się wszędzie, nie zdziwiłbym się, gdyby coś takiego przytrafiło się u nas. Wniosek jest więc taki, że przy odrobinie inteligencji, którą się czasem wykazują w... jak wy to mówicie? Wariatkowo z Kungsholmen?

— Nie. Małpiarnia na Kungsholmen.

— Zawsze miałem z tym kłopoty. Tak, pracował pan u nich wcześniej, kiedy Izraelczycy zorganizowali akcję terrorystyczną w Sztokholmie i kiedy rozprawiał się pan z terrorystami w Niemczech.

— Jest pan dobrze poinformowany.

— Miło mi to słyszeć. Na tym polega nasza praca, pan pewnie też wie o nas niejedno. Z przyjemnością śledziłem pańskie poczynania. Zresztą wcale nietrudno dodać dwa do dwóch, nawet w... małpiarni. Hamilton, specjalista od mokrej roboty, nieoczekiwanie wraca z Moskwy. Sandström, szpieg, który uciekł na przepustce, w co niełatwo było początkowo uwierzyć, dopiero pan rozwiął ostatecznie wszystkie wątpliwości, umiera równie nieoczekiwanie.

— To tylko poszlaka.

— Tak myślelibyśmy pan albo ja, ale nie nasi wrogowie. Wydaje im się, że tak właśnie jest, i budują swój świat na czymś, co dałoby się obalić wyłącznie nagłym pojawieniem się Sandströma. A to, jak wiemy, nie wchodzi w grę.

— Czyli w szwedzkiej policji bezpieczeństwa pracuje ktoś, kto bruździ wam i nam. Czy taki jest pański wniosek?

— Tak. Jest waszym wrogiem z powodów dla mnie niejasnych i naszym. W naszym wspólnym interesie byłaby więc obrona przed wrogiem wroga.

— Ma pan jakieś konkretne propozycje?

— Owszem. Jako szef rezydentury, chciałbym oficjalnie zaproponować pańskiemu szefowi, abyśmy wspólnym wysiłkiem i z użyciem wspólnych środków wytropili i unieszkodliwili wroga wroga.

— To chyba najbardziej zdumiewające słowa, jakie kiedykolwiek człowiek na pańskim stanowisku powiedział w Szwecji do kogoś na moim stanowisku.

— Też tak uważam. Stoimy jednak wobec wyjątkowej i groźnej sytuacji, dlatego powinniśmy odejść od ustalonych reguł i... konwencji.

— Proponuje pan podjęcie bezpośredniej współpracy? Proponuję rozeznanie się w możliwościach ewentualnego współdziałania.

— Czy ustaliliście jakąś hierarchię ważności działań operacyjnych?

— Tak. Po pierwsze, znaleźć dezinformatora w szwedzkiej bezpiece, po drugie, prześledzić cele strategiczne gazety, a po trzecie, wytropić tych, którzy zabili waszych oficerów i naszego.

— *Search and destroy?*

— Tak jest.

— Nie umiem panu teraz odpowiedzieć, pułkownikowi Cziwarszew. nie wyobrażam sobie jednak, byśmy się zgodzili na wasze operacje w Szwecji. Moim przełożonym będzie dość niezręcznie atakować szwedzką instytucję, ale jeśli chodzi o przyjmowanie od was informacji, będziemy przypuszczalnie otwarci.

— A czy moglibyście się rewanżować informacjami?

Po raz pierwszy podczas tej poważnej rozmowy Carl wybuchnął śmiechem. Nagła ulga.

— Werbuje mnie pan, pułkownik? Jeśli tak, to jest to najbardziej pokrętny radziecki werbunek, o jakim słyszałem.

— Jeżeli nie będziemy się wymieniać informacjami, odbije się to na ich kompletności i analizie — kwaśno zauważył rosyjski szef szpiegów.

— Naturalnie. Nie zamierzałem odmawiać, po prostu pytanie wydało mi się komiczne. Mówiąc serio, o ile się orientuję, otrzymacie od nas potrzebne informacje, jeśli w zamian przekażecie nam swoje. Tak jak to robią szpiedzy.

Zaśmiali się obaj.

— Jeszcze jedno — dodał po chwili pułkownik. — Być może to oczywiste, ale... Cokolwiek w tej kampanii dezinformacyjnej będzie się twierdzić, Związek Radziecki zamierza temu oficjalnie zaprzeczać. Sandström nigdy nie był Moskwie, a tym bardziej nie został wyeliminowany. Uznamy to za propagandę głoszoną przez te koła, które chcą zakłócić dobre stosunki między naszymi państwami.

— To ostatnie może być prawdziwe. Natychmiast przekażę sprawę swojemu szefowi, a jutro mógłbym panu dać oficjalną odpowiedź.

— Nie moglibyśmy się zobaczyć jeszcze dzisiejszej nocy?

— Trudno mi powiedzieć, ile potrwa podjęcie decyzji, ale ustalmy spotkanie w nocy i na wszelki wypadek jeszcze jedno, jutro, o tej samej porze co dzisiaj.

Szybko omówili szczegóły.

Dwie godziny później Samuel Ulfsson, mamrocząc pod nosem, wsiadł do samochodu przed swoją willą w Tyresö i udał się do Sztokholmu. W jednym z konspiracyjnych mieszkań DG na Grevgatan wespół z DG i Carlem błyskawicznie doszli do określonych wniosków i niespełna trzydzieści minut później mógł wracać do domu.

A trzy godziny później Carl znów maszerował u boku radzieckiego szefa wywiadu.

Sztab Obrony w żadnym razie nie będzie tolerował radzieckich działań operacyjnych na terytorium Szwecji. Wszelkie akcje muszą być przeprowadzane przez ekipę szwedzką. Każda informacja, jaką zechce przekazać radziecka służba wywiadowcza, zostanie przyjęta z wdzięcznością i z zainteresowaniem przestudiowana. Każda informacja strony szwedzkiej, nim zostanie przekazana stronie radzieckiej, musi być najpierw przedstawiona szefowi OP5.

Jurij Cziwarszew wysłuchał Carla w milczeniu. Splótł dłonie na plecach i zmarszczył czoło.

— Proszę mi powiedzieć, komandorze podporuczniku, czy zawsze przestrzegacie prawa? — zapytał na koniec.

— Jeśli to tylko możliwe, tak.

Cziwarszew lekko się uśmiechnął.

— Dobrze, młody oficerze, bardzo dobrze. To właściwie dość komiczne, że proszę pana o pozwolenie na podjęcie pewnych czynności operacyjnych. Wykracza poza utarte zasady działania. Związek Radziecki zastrzega sobie zatem prawo do samodzielnej oceny sposobu realizacji naszego planu. Proszę mi powiedzieć, który obiekt byłby dla was, biorąc pod uwagę



wasze przepisy i problemy natury biurokratycznej, trudniejszy do namierzenia, dziennik czy służba bezpieczeństwa?

— Zdecydowanie dziennik. Byłoby to złamanie zasad konstytucji, czego nam absolutnie robić nie wolno.

— Interesujące. Nie możecie nawet złożyć podsłuchu dziennikarzowi, żeby się dowiedzieć, kto jest jego źródłem w Säpo?

— Nie, wykluczone.

— Dobrze. Choć to z mojego punktu widzenia trochę postawione na głowie. Wolelibyśmy nie operować przeciwko waszej bezpiece inaczej niż dotychczas.

— Za pośrednictwem informatorów?

— Współpraca między nami powinna się odbywać bez zarzutu. Mam nadzieję, że nie usiłuje mnie pan teraz werbować?

— Proszę o wybaczenie, zapytałem impulsywnie, ale jest chyba rzeczą dość oczywistą, że dysponujecie informacjami z Säpo. Wiedzieliście więcej od nas o raportach z UD i wydziału służby bezpieczeństwa przy Sztapie Obrony.

— Obawiam się, że przyjdzie nam zapłacić pewną cenę za współpracę. Uważam jednak, że to konieczne dla wspólnego dobra. O minusach pomyślimy później. Tymczasem zajmijmy się kontaktami dziennikarza z jego mocodawcą. Nie kłóci się to w żaden sposób z naszą konstytucją. Miejsca i pory spotkań możemy ustalić już teraz, będę się do pana zgłaszał telefonicznie.

— Jeśli zobaczy nas Säpo, jednego weźmie za agenta, drugiego za *case officer*.

— Zabawny aspekt. Nie wydaje mi się jednak, żeby Säpo nas zauważyła, nie jesteśmy przecież amatorami.

— Waszego kolegę z KGB i jego szwedzkiego informatora zauważyła.

— Owszem. I dowiemy się, jak. Ale czekaści bywają niekiedy nieudolni.

— Powiedział pan „czekaści”? Myślałem, że tylko my tak mówimy.

— Tak więc wymieniliśmy się informacjami. Lekceważące określenie szwedzkiej służby bezpieczeństwa to małpiarnia na Kungsholmen, a o KGB mówimy „czeka” lub „czekisci”. Czy zgadzały się informacje dotyczące raportów z UD i Fst/Säk przesłanych do małpiarni?

— Jeszcze nie sprawdziliśmy.

— No, na razie ma pan u mnie dług, mam jednak nadzieję, że wkrótce wyrównamy rachunki.

— Oby nasza wspólna wiedza wystarczyła do rozprawienia się z prowokacją, żeby posłużyć się waszą frazeologią.

— Nieźle. Zgadza się.

### 3

Była to tej jesieni zdecydowanie ostatnia wyprawa na kurki. Samuel Ulfsson ciągle ją odkładał, niezmiennie zapewniając żonę, że dotrzyma obietnicy. Jako komandor porucznik, miał pensję znacznie niższą od jej uniwersyteckich zarobków i przypuszczalnie niższą od najwykleszego reportera popołudniówki, a mimo to oczekiwano, że od czasu do czasu będzie organizował w domu wystawne obiady.

Kurkom zatem, zdaniem żony, prócz czysto kulinarnego należało również przypisać znaczenie społeczne i ekonomiczne.

Od lat mieli swoje stałe miejsca, wystarczyło tylko trafić, a wszystko odbywało się sprawnie i szybko. Nie opłacało się narzekać, że po godzinie sztywnieją mu z zimna palce, bo wtedy towarzysząca jego życiu znów wyjechałaby ze sprawą powrotu do nałogu, znowu by się nasłuchał o zawałach, zwężeniach naczyń i nielojalności, ponieważ pałac, przedwcześnie ją opuści.

Chodzili więc w milczeniu. Intensywnie pachniała wilgotna trawa, w powietrzu czuło się już bliskość zimy. Natknęli się na sarnę i dwoje małych, które po dwudziestu minutach obcowania na odległość z człowiekiem niechętnie porzuciły wygrzane legowisko.

Starał się uporządkować myśli, rozważając wszystkie za i przeciw. Po pierwsze, nie ma żadnej wojny agentów. Już przerabiał tę najbardziej paranoidalną i przerażającą wersję. Że dwaj nowi operatorzy zdecydowali się na coś w rodzaju amerykańskiej akcji, uznawszy, że trzeba się rozprawić z KGB, bo cywilna bezpieka jak dotąd nigdy nie złapała radzieckiego agenta.

Nie byli jednak narwańcami, DG wybrał ich dość starannie. Zresztą, by użyć terminologii Lennarta Borgströma, zarówno oni, jak i Carl wraz z czterema ludźmi z wydziału mieli alibi na czas morderstwa radzieckiego dyplomaty i szwedzkiego podsekretarza stanu w ministerstwie.

W każdym razie jedna z rzekomych stron w wojnie agentów nie brała w tym udziału.

Kolejny problem stanowiło zabójstwo pilotów w Norrköping. GRU w nic takiego by się nie wdał bez politycznej motywacji, co uwzględniając obecne układy, trzeba uznać za niemożliwe. Poza tym sposób działania wykluczał akcję wojskową. Dlaczego druga strona miałaby działać po wariacku?

Tutaj rodził się absurdalny dylemat, czy można wierzyć radzieckiej służbie wywiadowczej. Nielatwo było sobie wyobrazić wątpliwą uczciwość ich zamiarów.

Jednak wiadomości Cziwarszewa potwierdziły się. Borgström otrzymał od ÖB okólnik, w którym wzmiankowano przypuszczalnym zejściu Sandströma w Moskwie, a ponieważ sprawa w najwyższym stopniu dotyczyła cywilnej bezpieki, Borgström „rutynowo” o niej nadmienił w jednym ze swoich cotygodniowych raportów.

Ów raport zbiegł się z notatką UD, w której donoszono o nagłym zakończeniu dyplomatycznej kariery Hamiltona.

Cziwarszew miał zatem rację. Przy minimum inteligencji i wyobraźni każdy, kto wiedział o wcześniejszych poczynaniach Hamiltona, mógł złożyć to do kupy.

Informacja Cziwarszewa była cenna i z innego powodu. Sugerowała, że GRU ma wgląd w to, co dzieje się w Säpo, a nie powinien. Mimo to pułkownik Cziwarszew zdecydował się zapłacić tę cenę, zapewne wiedząc, że w Säpo przystąpi się wkrótce do wyłapywania wtyczek i śpiochów.

Możliwe, że to część ich projektu. Próbuje rozpętać wojnę między Säpo i Sztabem Obrony, czego już kiedyś dokonali w Anglii, na przeszło dziesięć lat zamieniając MI5 i MI6 w psa i kota. Dzięki fałszywym informacjom, które wyglądały na prawdziwe, albo dzięki prawdziwym informacjom, których przekazanie niewiele kosztowało.

Tego typu rozumowanie rozbijało się jednak o trudne do przyjęcia założenie, że dwie największe radzieckie instytucje wymordowują się przy otwartej kurtynie w sąsiednim kraju. Radziecką dyplomację i wywiad cechowały długofalowość, myślenie strategiczne i ścisłe nadzorowanie każdego zaplanowanego posunięcia. Obecne miało wszelkie dane po temu, by zbroczyć w kierunku kompletnie niezgodnym z zamierzeniami.

Ten, kto ponosił odpowiedzialność za kampanię w „Expressen”, mógłby od biedy mieć wpływ na dziennikarzy gazety, ale nie na inne mass media i ich oceny polityczne.

Związek Radziecki nie posługuje się metodami wymykającymi się spod kontroli.

Jeśli więc za wszystko odpowiada Säpo, na co wskazywałaby kampania prasowa, godzi to w interesy bezpieczeństwa. Do kogo się z tym zwrócić? Do Säpo?

Częściowo może uda się rozwiązać problem metodami politycznymi. Po południu ma się stawić na odprawę do nowego ministra obrony. Poproszono tam także ÖB.

Wracali do domu z koszami pełnymi ciężkich mokrych kurek. Nie rozmawiali wiele. I tak wiedziała, że wybiera się do ministra, przeczytała o tym w gazecie. Zażartował, że być może

szybciej, niż podejrzewał, będzie miał więcej czasu na zbieranie grzybów. Obiad zjedzą sami, wtedy jej wszystko opowie.

Wziął gorący prysznic, długo rozcierał zmarznięte palce, włożył szary garnitur i wsiadł do mercedesa przysłanego przez Ministerstwo Obrony.

W jednym z kiosków zwrócił jego uwagę nagłówek ze zdjęciem Carla. Był widoczny z daleka: „MORDERCA SANDSTRÖMA?” Samuel Ulfsson poprosił szofera, by się na chwilę zatrzymał, i kupił gazetę.

Przyjrząwszy się zdjęciu, bodaj paszportowemu, na którym Carl nie był szczególnie podobny, postanowił spokojnie przeczytać artykuły pomieszczone na piątej stronie.

Pierwszy, ozdobiony fotografią Carla i Sandströma, informował, że rola dyplomaty służyła Hamiltonowi za przykrywkę, w rzeczywistości został wysłany do Moskwy, by zlikwidować Sandströma, co jest w Säpo powszechnie znane ponieważ wraz z nagłym odwołaniem go z Moskwy do pracy w służbie tajnej dotarła ze Sztabu Obrony wiadomość, że kwestia Sandströma już nie istnieje.

Artykuł drugi dotyczył izraelskiej akcji terrorystycznej w Sztokholmie sprzed kilku lat, podczas której Carl, wówczas funkcjonariusz Säpo, zabił w Täby czterech izraelskich komandosów.

Artykuł trzeci w znacznej mierze opierał się na domysłach i fałszywych wnioskach. Autor twierdził, iż Carla wysłano do Kairu jako attaché wojskowego, aby nawiązał kontakt z niektórymi odłamami OWP. W ten sposób trafiono na ślad akcji uprowadzenia samolotu i Hamilton, na zlecenie Szwedzkiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zaatakował porywaczy, członków OWP. Dalej przytoczono garść cytatów z prasy światowej, wśród nich wypowiedzi pasażerów AF129 o tym, jak mężczyzna brany przez wszystkich za Amerykanina rozprawił się z porywaczami, tylko jednego zostawiając przy życiu.

W ostatnim artykule przypomniano, że przed kilku laty, kiedy Carl pracował jeszcze w Säpo, zachodnioniemiecka Verfassungsschutz wypożyczyła go do poprowadzenia operacji przeciwko niedobitkom Baader-Meinhof RAF, którą wojskowi zakończyli masakrą.

W rubryce „Czy rząd socjaldemokratyczny wiedział?” roiło się od spekulacji, które najwyraźniej miały na celu zrzucenie odpowiedzialności na poprzedni rząd. Jako dowód podano, że Carlowi co najmniej raz, a może dwa decyzją rządu przyznano królewski Medal za Odagę. Znaczyłoby to więc, że cały czas działał za jego przyzwoleniem i aprobatą.

Następnie zamieszczono kilka oficjalnych zaprzeczeń i trochę „żadnych komentarzy”, po których wypowiadali oburzeni przedstawiciele prawicy. Na końcu odsyłano do lektury wstępniaka.

Samuel Ulfsson drżącą dłonią zapalił papierosa i odnalazł wskazany tekst. Wywiad wojskowy dotknęła największa za czasów jego szefowania katastrofa. To pierwszy i najprostszy wniosek. Drugi był taki, że w dzienniku znalazły się informacje znane Säpo, zabrakło natomiast tych, których Säpo nie miało, a które mogłyby tę katastrofę jeszcze powiększyć.

„Od IB do SSI”. Myśl przewodnia zasadzała się na tym, że socjaldemokraci nigdy się nie nauczyli podchodzić poważnie do spraw związanych z bezpieczeństwem państwa, zawsze działali za pośrednictwem prywatnych zwiadowców, traktując tajne służby albo jako kompletnie niegodne zaufania, albo jako instrument polityczny. Bez względu na zgubne skutki tej polityki uparcie trwali przy swoim.

Pora uprać te brudy. Skoro niefrasobliwość doprowadziła do wojny agentów, w kraju za wszelką cenę należy przywrócić porządek, a pierwszym krokiem w tym kierunku powinno być zbadanie odpowiedzialności poprzedniego rządu za panujący obecnie chaos, bez względu na zasady tajności.

„Do komisji konstytucyjnej!” — brzmiało ostatnie zdanie artykułu redakcyjnego.

Samochód zatrzymał się na tyłach Ministerstwa Obrony. ÖB już siedział w poczekalni ministra.

— Czytałeś „Expressen”? — spytał krótko.

— Tak, po drodze.

— I jakie wyciągnąłeś wnioski?

— Wszystko pochodzi z Säpo, ale za nic nie mogę zrozumieć celu.

Kiedy sekretarka wpuściła ich do dużego jasnego pokoju z widokiem na zamek i Strömmen, poczuli się jak uczniowie wezwani do dyrektora, który za chwilę releguje ich ze szkoły.

W pokoju poniewierały się wszędzie teczki i dokumenty, jakby nowy minister chciał co prędzej zapoznać się ze wszystkim, co obecna opozycja dotąd skrzętnie i ze złośliwą radością przed nim ukrywała.

Przed biurkiem stały już dwa krzesła, znak, że spotkanie będzie miało raczej charakter przesłuchania, a nie zwykłej pogawędki na kanapie. Atmosfera była wyjątkowo nieprzyjemna. Nim usiedli, krótko się przywitali.

— Zaczniemy od Sandströma — zagaił minister strasznie stanowczym tonem — i żeby formalnościom stało się zadość na wstępie powiem, że po południu zdam relację z naszej rozmowy premierowi. Rząd domaga się absolutnie szczerych i absolutnie wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie pytania. Czy to jasne?

Dwaj oficerowie ponuro skinęli głowami.

— A więc Sandström. Jaka jest prawda? — spytał minister staccato, błyskając okularami.

— Są, hm, e... poszlaki, że Sandström po opuszczeniu więzienia przebywał w Moskwie, gdzie podobno zmarł — wolno, nie spuszczać wzroku z ministra, odparł ÖB.

— Podobno?

— Tak, takie dostałem informacje.

— Od Sama?

— Tak.

— Mógłbyś to uściślić, Sam?

— To prawda, to właśnie przekazałem ÖB.

— Czy to ty wysłałeś Hamiltona do Moskwy?

— Tak, ja.

— W jakim celu?

— W dwóch celach. Pierwszy to opracowanie programu komputerowego usprawniającego system składania raportów i zabezpieczenie go przed osobami niepowołanymi.

— Czy Hamilton się na tym zna?

— Tak. W tym kierunku się kształcił.

— A drugie zadanie? Drugi cel?

Samuell Ulfsson odtechnął głęboko, zastanawiając się, czy nie poprosić o pozwolenie zapalenia papierosa. Zrezygnował jednak.

— Drugim celem było sfotografowanie Sandströma, byśmy uzyskali niezbity dowód jego działalności w Moskwie. Dostaliśmy bowiem tego typu wskazówki. Niezbity dowód ułatwiłby nam wyegzekwowanie dodatkowych środków na przeciwdziałanie szkodliwym skutkom pracy Sandströma.

— Takie dokładnie wydałeś mu polecenie?

— Tak.

— Żadnego innego?

— Nie.

— I wykonał je?

— Tak, przywiózł film, który kazałem zniszczyć.

— Dlaczego?

— Dlatego, że... według informacji Hamiltona zdjęcia przedstawiały martwego Sandströma... i... uznałem za niewłaściwe, aby tego rodzaju dokumenty znajdowały się w Sztabie i żeby ktoś z pracowników je oglądał.

— Ty też ich nie widziałeś?

— Nie.

— Ale uważasz, że Sandström nie żyje?

— Tak.

Minister obrony nagle umilkł, jakby zdał sobie sprawę, że wkracza na teren zaminowany. Zawahał się, nim zadał nieuniknione w tej sytuacji pytanie, które w pewnym sensie okazało się do uniknięcia.

— Czy Hamiltonowi pozostawiono wolną rękę?

— Nie.

— Wobec tego rodzi się bardzo interesująca kwestia. Czy mógł dostać rozkaz nie od panów, ale na przykład od byłego rządu?

Pytanie skierował do ÖB.

— Teoretycznie tak. Nie ma jednak powodów do przypuszczeń, że poprzedni rząd miał jakikolwiek związek z tą sprawą.

— Musieli jednak zaakceptować wyjazd Hamiltona do Moskwy i na pewno wiedzieli to i owo o jego bardzo specjalnych kwalifikacjach.

— Sorman chciał się pozbyć Hamiltona z zupełnie innych powodów, co się przypadkiem zbiegło z naszymi zamierzeniami — pospieszył z odsieczą Samuel Ulfsson.

— Dlaczego Sorman chciał się pozbyć Hamiltona?

— To skomplikowana historia, która nie ma tu właściwie nic do rzeczy.

Ulfsson usiłował się jakoś wykręcić.

— Ale obecny rząd bardzo byłby ciekaw usłyszeć odpowiedź. Mogą sobie panowie kłamać, ile dusza zapagnie, w gazetach, ale nie tutaj. No więc?

— Wiąże się to z... z uwolnieniem szwedzkich lekarzy w Libanie.

— Tych, których wolność wynegocjowało UD?

— Nie, prawda wygląda trochę inaczej. Sorman wysłał Hamiltona, by zorientował się w sytuacji, i dał mu bardzo ogólnikowe instrukcje. Skończyło się na tym, że Hamilton z oddziałem OWP zaatakował porywaczy, zabił ich, a zakładników odstawił taksówką do szwedzkich dyplomatów, którzy... którym się potem wydawało, że operacja powiodła się dzięki ich zabiegom.

Po raz drugi minister obrony na kilka chwil zaniemówił.

— Podsumowując — zaczął powoli, wyraźnie się nad czymś zastanawiając — Hamilton wyjechał z polecenia Sorman'a czyli rządu, z zadaniem asystowania przy uwalnianiu obywateli szwedzkich. Hamilton oswobodził ich siłą, a Sorman, przedstawivszy sprawę jako dzieło fenomenalnej szwedzkiej dyplomacji, chciał się go pozbyć z powodów czysto politycznych, ponieważ hm... za dużo wiedział.

— Nie mnie to oceniać — ostrożnie zauważył Ulfsson. — Nie wdajemy się w oceny polityczne. Ryzyko, że Hamilton poszedłby z tym do „Expressen”, było i jest żadne.

— Nawet teraz?

— Zwłaszcza teraz.

— Idźmy dalej. Hamilton wyjeżdża do Moskwy z zadaniem sfotografowania Sandströma. I UD, wiedząc, co to za jeden nie zgłasza sprzeciwu?

— Tak można by to ująć.

— Wobec tego rodzi się pytanie zasadnicze. Czy Hamilton otrzymał jakieś rozkazy od innego wojskowego zwierzchnika prócz Sama? Co nam powie ÖB?

— Instrukcje, jakie mu dałem, Sam już przedstawił. Ale zadzwonił do mnie dzisiaj szef SSI i ustnie złożył rezygnację. Po ukazaniu się „Expressen”.

W pokoju zaległa cisza. Samuel Ulfsson próbował zapanować nad uśmiechem. Stary został emerytem, a na dodatek złożył rezygnację. Sprytnie. Pytanie, czy takie poświęcenie wystarczy, czy nie spadnie więcej głów.

— Chyba rozumiem — skwitował minister. — Trzymajmy więc dzisiejszej popołudniówki. Znajdujemy w niej opowieść o uprowadzeniu samolotu. Sorman potwierdził wówczas, że był w nie zamieszany szwedzki oficer. Czy też chodziło o Hamiltona, ÖB?

— Tak.

— Na czym polegało jego zadanie?

ÖB nerwowo poprawił się na krześle.

— Dotyczyło jednej z najdrażliwszych i przynajmniej do tej pory najlepiej strzeżonych tajemnic — odrzekł ÖB takim tonem, jakby załatwił rzecz definitywnie.

— To znaczy?

Minister nie dawał za wygraną i nie spuszczał wzroku z ÖB.

— Hamilton miał sprowadzić do Szwecji radzieckiego admirała, niejakiego Koskowa, któremu między innymi podlegały działania dywersyjne na Bałtyku. Próbę uprowadzenia samolotu uważamy za jedno z ogniw radzieckiego planu mającego, oczywiście przy pomocy pośredników, przeszkodzić w bezpiecznym dostarczeniu uciekiniera do Szwecji.

— Ale go dostarczył?

— Tak.

— I co to dało?

— Po pierwsze, najobszerniejsze materiały, jakie kiedykolwiek przekazał Zachodowi uciekinier ze Związku Radzieckiego.

— Czy są gdzieś zebrane?

— Tak, w tak zwanej teczce Koskowa i tylko w jednym egzemplarzu.

— Wobec tego chciałbym tę teczkę jak najszybciej dostać. To po pierwsze, a po drugie?

— Wiedziały o tym tylko cztery osoby z armii i cztery osoby z byłego rządu.

— Czy jesteście wśród nich?

— Tak.

— Proszę więc przedstawić sprawę.

— Zajmie to sporo czasu.

— Proszę, ÖB.

Samuel Ulfsson odchylił się na krześle i splótł dłonie na pasku, co mogło się wydawać dość swobodną pozycją.

Czuł niestosowność sytuacji. Dość młody człowiek w okularach do niedawna stał sobie na uboczu i w żadnych okolicznościach nie usłyszałby nawet wzmianki o wypadkach, które można łącznie określić mianem operacji Big Red, a teraz jest ministrem obrony. Takie obowiązują reguły gry, reguły demokracji. Nie sposób temu zaradzić. Między innymi dla dobra tego właśnie systemu miał działać niczym antena wywiad wojskowy, w obronie demokracji, a zatem i prawa obecnego tu polityka do pełnej wiedzy o wszystkim.

ÖB zwięźle naświetlił sytuację, co zajęło mu pół godziny, i gdy zamilkł, minister popadł w zamyślenie. Samuel Ulfsson zgadywał, że miotają nim sprzeczne uczucia. Pokusa zrobienia sprawy z kompletnej niezdolności poprzedniego rządu do zażegnania kryzysu i jego rozważań o sprzedaniu radzieckiego uciekiniera walczyła ze zrozumieniem dość oczywistej konieczności utrzymania tych informacji w tajemnicy.

— Czy celem prowadzonej w „Expressen” kampanii, czy jak to nazwać, może być wyciągnięcie na światło dzienne operacji Big Red i doprowadzenie w ten sposób do kryzysu w naszych stosunkach ze Związkiem Radzieckim? — Zapytał minister, zdławivszy ewentualne pokusy polityczno-partyjne.

— Nic na to na razie nie wskazuje — odparł Samuel Ulfsson. — „Expressen” donosi tylko o tym, o czym mógł wiedzieć wydział bezpieczeństwa Głównego Zarządu Policji. Ani słowem nie wspomina o operacjach i incydentach znanych wyłącznie wojsku lub rządowi.

— Czy obce mocarstwo mogłoby w tym mieć jakiś cel?

— Choć tego nie wykluczamy, trudno się dopatrzeć w tego rodzaju publikacjach jakichkolwiek korzyści dla Rosjan.

— A tak zwana wojna agentów?

— Nie wierzymy w to — odrzekł ÖB.

— Zemsta za Moskwę?

— Nie, zależy im raczej na milczeniu. Rozgłos mógłby spowodować ujawnienie operacji Big Red. A tego na pewno nie chcą.

— Może więc jakiś inny nasz wróg działa za pośrednictwem Säpo?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ponieważ panowie nie mieli pojęcia, kto zaopatruje dziennikarza „Expressen” w tajne informacje, nie znali też motywów owego ktosia.

Rząd nie mógł naturalnie zaatakować dziennika, wojsko tym bardziej.

\* \* \*

Carl był w dobrym, niemal wyśmienitym humorze. Po porannym treningu i wprawkach strzeleckich wziął się do robienia porządków i jednocześnie słuchał muzyki. Sporą część mebli w stylu spotykanym w angielskich męskich klubach wymienił na jaśniejsze. W bibliotece stała przytulna włoska kanapa narożna ze szmaragdowozielonej skóry, przed którą pysznił się stół z jasnoczerwonym granitowym blatem. Główne oświetlenie stanowiła lampa osłonięta abażurem z materiału przypominającego alabaster. Białe światło znakomicie się komponowało z czerwienią granitu i szmaragdem skóry.

Zastanawiał się, czy takie umeblowanie — poprzednie przekazał spółce obracającej nieruchomościami — jest prawdziwsze, czy bardziej oddaje jego własny gust, czy mniej w nim teatralnej scenografii, czy spodoba się Evie-Britt. Może uzna, że jest zbyt drogie. Naturalnie nie mało zapłacił, nie chodziło mu jednak o epatowanie kosztami.

Przelał butelkę cortona do karafki, którą ustawił na srebrnej tacy obok dwóch kieliszków. Początkowo umieścił ją na środku stołu, później zdecydował się jednak przysunąć trunek bliżej krawędzi. W lodówce czekały dwie kanapki z pasztetem, jak zapewne powiedziałyby o gęsich wątróbkach.

Wyłączył telefon. Chciał się skupić tylko na niej, praca mogła poczekać do jutra. Zamówił stolik w zajeździe w Urliksdal, za kilka godzin już tam będą. Czuł, że pomału zaczyna się ze wszystkiego wyzwalać.

Siedział wygodnie rozparty na zielonym fotelu i zamknąwszy oczy, słuchał koncertu skrzypcowego Brahmsa. Być może trochę za głośno i sąsiadom wpadnie do głowy zadzwonić do gospodarza domu ze skargą. Do niego nikt się nie dodzwoni, miał zastrzeżony numer, a na dodatek wyłączył telefon. Podwójne zabezpieczenie.

Nacisnęła dzwonek, gdy słuchał spokojnego początku drugiej części koncertu. Podskoczył i z promiennym uśmiechem podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczył siebie. Eva-Britt bez słowa pokazała mu „Expressen”, który trzymała kciukiem i palcem wskazującym jak coś wyjątkowo obrzydliwego.

Poprosiwszy ją do środka, odruchowo pomógł jej zdjąć płaszcz z gazetą w ręku powędrował za nią do biblioteki. Pokiwała z uznaniem głową, powiedziała, że jest fajnie, i usiadła w fotelu. Nieosiągalna.

Wyłączył muzykę — wydawała się teraz zbyt rzewna i sentymentalna — i dał jej znać gazetą, że chciałby przeczytać. Gdy skinęła głową, nie potrafił rozszyfrować wyrazu jej twarzy.

Pobieżnie przejrzawszy „Expressen”, ostrożnie nalał wino do kieliszków, wstał, podał jej i wrócił na kanapę. Wypili w milczeniu. Z hukiem odstawiła kieliszek. Mógł się stłuc. Kamienny blat i stare odziedziczone szkło to nie najlepsze zestawienie, pomyślał.

— Czy to prawda? — spytała, wskazując „Expressen”.

Spojrzał w dół, myśląc, jak odpowiedzieć.

— Tak. Część jest prawdą, część nie — wydusił w końcu.

— A więc tym zajmowałeś się w Moskwie. Kiedy tańczyliśmy na tym bajabongu, spokojnie obmyślałeś morderstwo?

— Nie mogę ci powiedzieć, ani tobie, ani nikomu innemu, co jest prawdą, a co kłamstwem — odparł wolno, nie mając odwagi spojrzeć na nią.

— Ale trochę prawdy w tym jest?

— Tak.

— Jeździsz sobie po świecie i zabijasz ludzi?

— Nie możesz mnie przesłuchiwać. Wszystko to stanowi tajemnicę państwową i dotyczy bezpieczeństwa państwa. Złamałbym prawo, wyjaśniając ci cokolwiek. Jako policjantka powinnaś to respektować.

— Zadurzyłam się w fantastycznym facecie, nie ma co. Super. Zerwałam kiedyś z kolegą, bo dosyć nerwowo traktował chuliganów. Wychodzili spod jego ręki z siniakami i takie tam rzeczy, sam wiesz.

— Nie można tego porównywać.

— Jasne, że nie. Nie ta skala przemocy. Jak do jasnej cholery, przepraszam za wyrażenie, mogłeś mnie tak nabierać? Powinnaś się domyślić. Ale głupiego łatwo oszukać.

— Nie oszukałam cię.

— Tak? To już, kurde, szczyt wszystkiego!

— Do tej pory nie klęś.

— Bo nie byłam tak cholernie wkurzona!

— Ani cię nie nabrałem, ani nie okłamałem. Po prostu nie poruszałem kwestii objętych tajemnicą państwową. Gdybym to zrobił, oboje dopuścilibyśmy się przestępstwa, co nie jest niczym przyjemnym dla policjantki i oficera służb specjalnych. Nie ma w tym nic dziwniejszego niż w obsłudze radaru.

— Owszem, możesz to i tak nazwać, zaraz, jak to było, aha, „nie poruszałeś kwestii objętych tajemnicą państwową”, ale czy nie rozumiesz, jak ja się teraz czuję? Zakochuję się w facecie, rozbieram się przed nim i kocham się z... no, na szczęście niezupełnie, i raptem się okazuje, że to tylko teatr, że się zadawałam z kimś całkiem innym, przerażającym. Kapujesz?

Carl milczał i patrzył w podłogę. Nagle zdała sobie sprawę, że wyraźnie zbiera mu się na płacz.

— Przepraszam — powiedziała nieco łagodniejszym tonem — wygłupiłam się, wcale tak nie myślę. Musisz jednak zrozumieć, że czuję się oszukana. Jak ty byś się czuł, gdybym cię tak załatwiła?

— Gdyby chodziło o pracę, wcale bym się nie przejął, gdyby chodziło o nasze prywatne sprawy, byłbym dotknięty — odrzekł, z wysiłkiem panując nad emocjami. — Zresztą i ty mnie nabrałaś.

— Czyżby?

— Na pierwsze spotkanie w „Reisen” przysłałaś uzbrojona. Nie przejąłem się tym i o nic cię nie pytałem.

— Skąd wiesz?

— Zmiana ról. Sądząc z ciężaru twojej torebki, miałaś jeden egzemplarz sig sauera, kaliber dziewięć milimetrów, piętnaście naboju w magazynku, i parę kajdanek.

— Owszem, nawet się zgadza, ale to moje narzędzia pracy.

— Trudno mi zrozumieć, po co je zabierałaś na kolację ze mną.



— To sprawy zawodowe, namierzaliśmy dość niebezpiecznych osobników, nie tylko ja musiałam być w pogotowiu nawet w formalnie wolnym czasie.

— Sama widzisz.

— Niby co?

— Chodzisz z pistoletem w torebce, gotowa go użyć. Różnica polega na tym, że dotąd nie musiałaś tego robić.

— Nie wydaje mi się, żeby to dało się porównać. Jestem gliniarzem. Mamy prawo użyć przemocy na służbie, ale nie zabijamy ludzi jak popadnie.

— Nam również przysługuje prawo użycia przemocy na służbie.

— Co za „nam”?

— Tajnej komórce szwedzkiej... W „Expressen” podali to w miarę precyzyjnie. Z definicji stanowimy część armii w stanie stałej mobilizacji. Krótko mówiąc, zawsze jesteśmy w gotowości bojowej.

— Nagle wpadną do twojego mieszkania Rosjanie, czy jak?

— Nie sądzę. Wojna agentów nie istnieje.

— I ja mam w to wierzyć?

— Tak. Inaczej byłbym zobowiązany tajemnicą i nie powiedziałbym ani słowa. Żadnej wojny agentów nie ma.

— Ilu ludzi zabiłeś?

— Nie wiem.

— To chyba niemożliwe, żebyś stracił rachubę?

— Po prostu nie wiem. I nie mogę odpowiadać na takie pytania.

— Kim ty właściwie jesteś? Czy spotkałam ciebie, czy twojego uroczego brata bliźniaka w cywilnym wydaniu?

— Mnie. Takiego, jakim chciałbym, a raczej staram się być.

— Zwykłego urzędnika z wojskowego biura, który ślęczy nad dziwnymi komputerowymi wydrukami?

— To prawda. Rzeczywiście się tym zajmuję, zwłaszcza obecnie. Działalność operacyjna, o której pisze „Expressen”, stanowi dla mnie zamknięty rozdział. Czeka mnie praca w biurze, jeśli w ogóle zostanę w wojsku.

— Czy to prawda? Żałujesz?

— Pytasz jak policjant na przesłuchaniu.

— Może bierze się to stąd, że jestem policjantem. A więc? Czy to prawda i czy żałujesz?

— Prawda, choćby z powodów czysto operacyjnych. Jestem spalony, bardziej niż jakikolwiek szwedzki oficer.

— Jak to „spalony”?

— Tak się to nazywa w naszym zawodowym żargonie. Dowcip z tajną służbą polega na anonimowości. Gdy czyjeś nazwisko i zdjęcie trafią na łamy „Expressen”, może sobie szukać innej roboty. Nie ja pierwszy i nie ostatni. Można też na to spojrzeć jak na rodzaj wyzwolenia.

— Czyli właśnie wypadłeś z gry?

— Nie wiem, ile to jeszcze potrwa i jak zostanie ostatecznie załatwione. Popołudniówka pośredniczy we wrogiej nam kampanii, w której ja jestem nie celem, ale pretekstem pozwalającym zwiększać nagłówki i chaos. Nie mam pojęcia, co teraz będzie, i dopóki tu jesteś, nie chcę go mieć.

— Czy mam sobie pójść?

— Nie, źle mnie zrozumiałaś. Chodzi mi o to, że nie zamierzam włączać telefonu i do jutra rana ani myślę zajmować się czymkolwiek innym prócz nas. Czekałem na ten wieczór, miałem nadzieję na nowy początek, zamówiłem nawet stolik w romantycznej restauracji.

— Ale teraz, kiedy stałeś się sławny, to chyba odpada.

— Chyba tak. Wszystko, co mam, to dwie kanapki w lodówce. Chcesz, żebym je przyniósł?

— Chcę, żebyś mi o sobie opowiedział. Z kanapkami albo bez.

— Mniej więcej dziesięć lat temu rozstałem się z najbliższą mi osobą dlatego, że niczego jej nie zdradziłem. Ani jednej wojskowej tajemnicy. Sądziła, że mam jakiś romans na boku i że jej nie ufam. Jesteśmy w bardzo podobnej sytuacji.

— Więc nie powtarzaj tego samego błędu.

Uśmiechnęła się. Mimo nie najweselszego położenia nie mógł się powstrzymać od pójścia w jej ślady.

Wyszukał pierwszą sonatę skrzypcową Paganiniego, zmienił płytę i poszedł do kuchni. Wyjął kanapki. Na ich widok, samotnych w środku oświetlonej lodówki, niemal się rozplakał. Ostrożnie, żeby nie rozciapnąć gęsich wątróbek, ściągnął folię i wrócił do biblioteki. Przykręcił ściemniacz lampy, którego zamocowanie przysporzyło mu kilka godzin temu trochę kłopotów. Chciał jednak wszystko zapiąć na ostatni guzik i usłyszeć jej pochwały.

Ściszył nieco muzykę i usiadłszy na kanapie, przystąpił do opowiadania o sobie. Ledwie zaczął, zorientował się, że opowiada także dla siebie. Kim jest Carl Gustaf Gilbert Hamilton?

Naturalnie bogaty z domu. Naturalnie urodzony w bardzo konserwatywnej rodzinie. Dzieciństwo w Skanii, pierwsze polowanie na bażanty w dwunastym roku życia. Potem Sztokholm, gimnazjum i zatargi z rodziną z powodu politycznych fascynacji. Jakiś czas wstydział się nazwiska Hamilton, nosił robociarskie ubranie z szelkami, szybko jednak przeszło. W Clarté poznał różnicę między przynależnością klasową a klasowym światopoglądem i to ostatnie przesądziło sprawę. Zwłaszcza biorąc pod uwagę przynależność klasową członków Clarté.

Do tego stopnia był skłócony z ojcem, że staruszek, jak się to kiedyś mówiło, „zdjął z syna swoją dłoń”. Nie widział ojca przez ostatnie pięć lat jego życia, mieszkał sam w jednopokojowym mieszkanku na Östermalmie.

Po skończeniu gimnazjum pojawił się problem służby wojskowej. Clarté nie była bynajmniej organizacją pacyfistyczną, wręcz przeciwnie. Wiązało się to przede wszystkim z wojną w Wietnamie.

W sprawach wojskowych Clarté stała na stanowisku, że towarzysze powinni przenikać do armii, a nie odmawiać służby jak to praktykowały pewne ugrupowania lewicowe hołdujące tradycyjnym przekonaniom, że armia jest burżuazyjnym instrumentem wyzysku klasy robotniczej i tak dalej. Zakładano, że ludzie sprawni fizycznie będą się zgłaszać do jednostek elitarnych, na przykład do oddziałów komandosów morskich, a uzdolnieni intelektualnie do zadań tajnych, na przykład do szkoły tłumaczy w Uppsali. Nie chodziło o szpiegowanie ani o sabotaż, tylko o wzmocnienie sił zbrojnych. On wylądował w marynarce wojennej i ukończył kurs dla pletwonurków. Tak, właśnie dlatego tak dobrze sobie wtedy poradził pod wodą. Gdy odbywał szkolenie, zwerbował go szwedzki wywiad wojskowy.

Pomogła mu w tym ekstremistycznie lewicowa przeszłość. Można to uznać za zabawne, ale w wywiadzie wszystko wygląda inaczej, niż się powszechnie sądzi.

W ciągu pięciu lat spędzonych w USA studiował informatykę na kalifornijskim uniwersytecie w San Diego. Nie ma sensu omawiać teraz szczegółów. Ale oddawał się oczywiście nie tylko studiom cywilnym. Druga część kształcenia miała charakter tajny, z czym nigdy się nie zdradził przed swoją dziewczyną.

Miała na imię Tessie, była pół-Irlandką i pół-Meksykanką, katoliczką, która pragnęła studiować prawo, by poświęcić się obronie nielegalnie pracujących meksykańskich chłopów i ich racji.

Wszystko się między nimi skończyło, ponieważ nie mógł jej wyjaśnić, dlaczego znika na całe dni. A nie mógł, bo musiał to zachować w tajemnicy. Możliwe, że ich związek rozpadłby

się i tak. Ona nie wyobrażała sobie przeprowadzki do Szwecji, a on nie chciał mieszkać na stałe w USA. W każdym razie teraz jest żoną innego, ma dziecko i sprawa jest zamknięta.

Do Szwecji przyjechał już jako oficer, stopień uzyskał na podstawie pewnych przepisów wyjątkowych, które można pominąć. W tym właśnie momencie musiał podjąć decyzję i szczerze mówiąc, nie bardzo wie, dlaczego się zgodził. Chyba z powodów grzecznościowych. Nie wypadało mu odmówić, armia wydała na jego podwójną edukację dużo pieniędzy.

Praktykę zawodową odbywał w Säpo, do czego mógł się przyznać, jako że „Expressen” dość obszernie się o tym rozpisywał. Oficjalnie siedząc w sekcji komputerowej, włączył się do grupy policjantów prowadzących dochodzenie w sprawie morderstwa zastępcy komendanta, niejakiego Axela Folkessona. W konsekwencji doszło do konfrontacji z izraelskimi terrorystami. Tak, to wszystko prawda.

Innych informacji podanych w „Expressen” nie będzie rozwijał, ponieważ zdradzałby tajemnicę wojskową, ale historia z Izraelczykami należała do spraw czysto policyjnych.

Przez pewien czas byli więc kolegami. Zabijał ludzi, to prawda. Ale jako policjant.

Odstawiał teatr, grał kogoś w rodzaju arystokratycznego bogacza, właściciela licznych nieruchomości. Stanowiło to coś więcej niż kamuflaż, ponieważ rzeczywiście nim był. Ale zarówno sposób ubierania się, jak i urządzenie mieszkania stały się elementem gry, teatru, maską. Dlatego czasem tak trudno mu się odnaleźć, na przykład teraz, kiedy powiada o czymś, o czym wcześniej nawet by nie napomknął.

Nic jednak, co ma związek z nią, przynajmniej jeśli chodzi o jego uczucia, nie jest grą. Kiedy go przyłapała nazbyt szybkiej jeździe, niczego sobie nie planował i nie stosował żadnych trików. Działał impulsywnie, powodował się instynktem, niczym więcej. Na swój sposób od dawna stanowiła centrum jego życia, była rzeczywista i prawdziwa — tak zwykł o tym myśleć — nie miała nic wspólnego z jego światem.

Po powrocie z Moskwy dostał nową pracę, jest szefem wydziału, zajmuje się bardziej komputerami i techniką niż bronią. Żywi nadzieję, że się nareszcie odnajdzie, że etap operatora, jak się to eufemistycznie nazywa, ma już za sobą.

Włączyła TV na „Rapport”. W pierwszej chwili zaprotestował. Powiedziała, że to ważne. Zaczęło się tak, jak można było przewidzieć, od zdjęcia paszportowego. Potem przeprowadzono wywiad z kimś w rodzaju rzecznika prasowego Sztabu Obrony, którego Carl nigdy nie widział na oczy, mimo że jego wydział mieścił się w tym samym skrzydle, dokładnie dwa piętra niżej. Rzecznik utrzymywał, że armia nie może ani potwierdzić informacji opublikowanych w „Expressen”, ani im zaprzeczyć, „bez względu na to, jak by się wydawały niedorzeczne”, ponieważ pryncypia polityki obronnej zabraniają komentowania spraw dotyczących wywiadu wojskowego. Choć wydać się to może niefortunne, zwłaszcza dla wspomnianego oficera, takie są niestety wymagania polityki. Potem dość ostro wystąpił bardzo zakłopotany minister obrony, który uznał zamieszczone w „Expressen” rewelacje o wojnie agentów za czysty nonsens, nie mający oparcia w faktach.

Obecna kampania prasowa, kontynuował minister, pośrednio szkodzi szwedzkim siłom zbrojnym i bezpieczeństwu Szwecji. Należy ją uznać za najbardziej niepoczytalną od czasów afery z IB, którą rozpętano przeszło piętnaście lat temu. Nie ma powodu zwoływać komisji konstytucyjnej, ponieważ nie istnieją żadne podstawy do podejrzeń, że na rządzie socjaldemokratów ciąży odpowiedzialność za morderstwa za granicą i podobne brednie rozpowszechniane przez „Expressen” i inne publikacje. O ile ministrowi obrony wiadomo, a jest nieźle poinformowany, poprzedni rząd nigdy takich decyzji nie podejmował i nawet po fakcie nie miał o niczym pojęcia.

Minister nie potrafił powiedzieć, czy szpieg Sandström zginął, czy nie.

Na tym się materiał zakończył.

— O co mu chodziło z tym Sandströmem? — spytała cicho, wyłączwszy TV.

— Że albo nie wie, albo z powodów dyskrecjonalnych nie może powiedzieć — zaczępnie odparł Carl.

Domyślał się następnego pytania.

— A jaki jest twój komentarz?

— Sama chyba rozumiesz, że muszę cię odesłać do rzecznika Sztabu Obrony.

Zaległa cisza. Podniósł się i nastawił płytę z najsubtelniejszą i najpiękniejszą muzyką, jaka mu przysłała do głowy, koncert na klarnet Mozarta z 1791 roku, ostatniego roku życia Wolfganga Amadeusza.

\* \* \*

W wydziale zabójstw w Norrköping nareszcie nastąpił przełom w śledztwie. Stało się to zupełnie oczywiste, kiedy w poniedziałek wczesnym rankiem znaleziono samochód.

Odkąd zaczęto beznadziejne poszukiwania motywu i związku między ofiarami, Rune Jansson po raz pierwszy poczuł coś na kształt optymizmu. Nie dlatego, że nabrał przekonania, iż uda im się wykryć mordercę lub morderców, lecz prostu dlatego, że nareszcie przestali poruszać się po omacku.

Przeforsował swój pomysł nie bez kłopotów, mimo że formalnie kierował wydziałem. Sztokholmczycy z kryminalnej, jak było do przewidzenia, traktowali go jak prymitywnego wiejskiego gliniarza i z niekłamaną radością naśladowali jego dialekt. W końcu się jednak poddali, a teraz z pewnym zażenowaniem przeprosili. Pomysł był prosty. A jeśli oficerów łączyło tylko to, że latali w jednym dywizjonie i tego samego dnia mieli wolne?

Dlatego odwiedzano wszystkich pilotów w Norrköping i Linköping. Z trudem udało mu się wyciągnąć adresy od szefa bezpieczeństwa dywizjonu. Były bowiem tajne.

Rezultat uzyskali po niespełna dwudziestu czterech godzinach. Ciemnoniebieskie volvo 240 dość dziwnie sobie poczynało w dniu morderstwa w pobliżu domu pilotów. W Norrköping zjawilo się czterdzieści minut przed pierwszym zabójstwem, w Linköping pewien rencista z sąsiedztwa zauważył je dwie godziny wcześniej.

A zatem ktoś wyprawił się samochodem na rekonesans, jeździł od domu do domu w obu miastach, aż znalazł dwie ofiary.

Poza tym żona pilota z Linköping mogła widzieć ewentualnych sprawców. Wychodząc z domu, zastała w ogrodzie jakiegoś mężczyznę. Okazał legitymację policyjną, wyjaśnił, że ostatnio dużo na tym terenie włamań, i — jak w pierwszej chwili zeznała — poszedł do wozu policyjnego. Choć oczywiście samochód był cywilny, co później stwierdziła. Ale to chyba normalne, że wywiadowcy jeżdżą nie oznakowanymi wozami, prawda?

Z numeru rejestracyjnego zapamiętała ósemkę. Mężczyzna był osiłkiem, wyglądał jak typowy szwedzki policjant, tyle że nie mówił dialektem Östgötland. Sama pochodzi z Mjölby, więc mogła to zauważyć.

I samochód znaleziono. Olbrzymim nakładem sił i środków. Wszczęto poszukiwania wszystkich skradzionych ostatnio w okolicach Norrköping i Linköping volvo 240. Został zwiedzony w dniu morderstwa i porzucony na parkingu opodal rzeki. Za wycieraczką tkwiły dwa mandaty. SKL [SKL — Statens kriminaltekniska laboratorium — Państwowe Laboratorium Kryminalistyki (przyp. tłum.)] od razu się do tego zabrało, chodziło przede wszystkim o sprawdzenie, czy mikroślady lub cokolwiek w samochodzie odpowiadają znalezionym w mieszkaniach ofiar.

Wezwał szefa bezpieczeństwa dywizjonu — zawsze najlepiej spotykać się z wojskowymi na własnym, a nie na ich podwórku, bo od razu zaczynają wydawać rozkazy — i niemal wymusił listę ewentualnych posiadaczy adresów pilotów. Nie było ich wielu:

1. Obcy — w okolicy grasowali polscy handlarze obrazów, jak się domyślano, badając warunki mieszkaniowe pilotów dywizjonu.

2. Dywizjon. Szef bezpieczeństwa, oficer odpowiedzialny za stan gotowości, oficer dyżurny i ewentualnie personel biura, który mógł mieć dostęp do danych.

3. Policja bezpieczeństwa.

4. Organ zwierzchni, na przykład Sztab Lotnictwa.

Rune Jansson nieśmiało zakwestionował taką kolejność, ale był rad. Otwierały się konkretne możliwości dalszych działań. Między innymi zarządzi przesłuchania pewnej liczby wojskowych. Bez względu na to, co pan podpułkownik o tym sądzi.

Zamordowano ich więc przez przypadek, dlatego że akurat tego dnia zostali sami w domu. Między ofiarami i mordercami nie istniały żadne powiązania. Ofiary wpuściły jednak swoich katów. Złoczyńcy mogli okazać na przykład legitymacje policyjne, jak zrobił to jeden z nich kilka godzin wcześniej. Tymczasem na rzeczonym terenie nie prowadzono żadnych czynności wywiadowczych. Wybór samochodu, volvo 240, również wskazywałby na policjantów.

Logiczne i bardzo nieprzyjemne. Nie tylko dlatego, że czekała ich rzeczywiście droga przez mękę, ilekroć na horyzoncie pojawiali się policyjni koledzy. Zwłaszcza gdy nie chodziło o zwykłą policję, lecz o tę jej część, która cieszyła się wyjątkowymi przywilejami i pozostawała w szczególnych układach z najwyższą władzą polityczną i prawem: Säk.

Rune Jansson miał niemiłe wspomnienia ze śledztwa w sprawie morderstwa, które otarło się o szczyty społeczne, narodowe interesy i ściśle tajne informacje. Doprowadziło one do osób, których nawet nie wolno przesłuchiwać pod ich prawdziwymi nazwiskami. Wyniki spoczywały teraz w piwnicy w tekturowym pudle opatrzonym napisem: „Brak rezultatów”.

Co w zasadzie nie było prawdą. Rezultatów nie brakowało. Sprawca został zidentyfikowany. Rune Jansson widział się z nim ostatnio. Wystąpił w roli eksperta w zakresie ekstremalnych metod zadawania gwałtu. Nawet go awansowali na komandora podporucznika.

Nielatwo było sobie wyobrazić, jakież to narodowe interesy kryły się za sprawą Marii Szepelińskiej-Adamsson. Teraz wydawało się to jeszcze trudniejsze. Mordowanie przez policjantów dwóch oficerów powietrznych sił zbrojnych, na dokładkę w tak obrzydliwy sposób, raczej nie leżało w interesie narodu.

Tym razem, pomyślał, Rune Jansson się nie podda.

\* \* \*

Cały poniedziałek Carl pracował jak nakręcony. Mimo że cztery godziny z okładem spędził na jeżdżeniu metrem i temu podobnych manewrach, żeby niezauważenie stawić się na spotkanie z Jurijem Cziwarszewem, a potem u siebie w biurze. Odkąd jego zdjęcie opublikowały wszystkie gazety istniało spore prawdopodobieństwo, że w dużym budynku, w którym pod szyldem firmy komputerowej mieściły się lokale wydziału operacyjnego, ktoś rozpozna go na przykład w windzie. Zmienił styl ubierania się. W przyciemnionych okularach wyglądał jak przerośnięty student amerykański: biegówki, dzinsy, workowaty bawełniany sweter z amerykańskim napisem i puchowa nylonowa kurtka.

Jurij Cziwarszew lekko się zdziwił, że Carl, zamiast wysłać zastępcę, osobiście przyszedł na spotkanie. Nie ustalili jednak wcześniej takiej ewentualności, dopiero teraz wymyślili hasło i odzew „Tatiana” — „Aleksiejewna”, nie grzeszące profesjonalizmem, ale według pułkownika GRU na tyle komiczne, że możliwe do zaakceptowania. Poza tym ze względu na bezpieczeństwo Carl nie był zwolennikiem skrzynek kontaktowych. Nic przyjemnego wsuwać dłoń w coś, o czym nie ma się pojęcia, co zawiera. Powinni unikać niepewnych sytuacji, najlepszy jest nawiązany kontakt osobisty.

Jurij Cziwarszew przekazał Carlowi teczkę, którą uprzednio otworzył, by pokazać zawartość. Znajdowały się w niej ponumerowane i opatrzone datami kasety magnetofonowe. Carla lekko zatkało. Zrozumiał, że najgorsze już się stało.

Pułkownik zaznaczył, że nie ma powodu teraz o tym dyskutować. Porozmawiają na kolejnym spotkaniu, „kiedy szwedzcy towarzysze zdążą się ze wszystkim zapoznać i dokonają analizy”.

Nie ulegało wątpliwości, że przyjęcie kontrowersyjnych materiałów bez świadomości, czego dotyczą, było dla Carla o wiele korzystniejsze. Gdyby się potem musiał tłumaczyć różnym szefom.

Opłótkami dostał się na Gärdet, z garażu dużych zakładów elektronicznych pojechał windą na ostatnie piętro, do wydziału operacyjnego. Obyło się bez komplikacji.

Natychmiast udał się na zaplecze i wezwał do siebie Lundwalla i Stålhandskego. Miał wyrzuty sumienia, że tak mało im ostatnio poświęcał czasu, teraz jednak przypuszczalnie się to zmieni. Czekwały ich zadania techniczne i operacyjne.

Ograniczył dyskusję o publikacjach w prasie do minimum, przeważnie odpowiadał półsłówkami i kiwał głową, a potem od razu wzięli się do roboty.

Na kasetach, zgodnie z przewidywaniami, były nagrane rozmowy telefoniczne. Zamurowało ich już na dźwięk pierwszych słów na taśmie oznaczonej numerem jeden. Kiedy telefonistka odpowiedziała „Expressen”, założono więc podsłuch w centrali, usłyszeli:

— Halo, tu Wennström, „Expressen”...

Kasety zawierały rozmowy prowadzone przez dziennikarza w ostatnich dniach z telefonu służbowego.

Podzielili materiał na trzy części. Stålhandske szybko przegrał nie interesujące ich rzeczy na osobną taśmę. Znalazły się na niej pogawędki z kolegami dziennikarzami, dywagacje czy ktokolwiek może zagrozić Wennströmowi w zdobyciu bezwzględnie mu przysługującej Nagrody Dziennikarza Roku, opowieści o jakichś skokach w bok i tak dalej.

Na drugiej taśmie zgromadzili rozmowy Wennströma z informatorem, facetem z policji bezpieczeństwa, który się nie przedstawiał. Panowie dość dobrze się znali. Wybrawszy fragmenty, najpierw wycięli dziennikarza, a potem ogólne wynurzenia informatora, które nie pozwalały zidentyfikować go jako gliniarza i „źródła”. W ten sposób uzyskali próbki głosów.

Kolejny etap wymagał krótkiej narady. Carl się z oczywistych powodów nie nadawał, mogłoby się później coś wydać i spowodować niepotrzebne komplikacje. Stålhandske odpadał względu na swój fińsko-szwedzki. Dlatego do dziennikarza „Expressen” zadzwonił Lundwall, a Carl Stålhandske nagrywali.

Lundwall przedstawił się jako anonimowy pracownik wywiadu wojskowego i pełnym zatroskania tonem wytknął „Expressen” stosowane metody, brak odpowiedzialności, kłamstwa, spekulacje i tak dalej, na co dziennikarz odpowiedział dość wyniosłą długą mową, wystarczającą, by mogli przystąpić do czysto technicznego stadium.

Stålhandske, zanalizowawszy zarejestrowany dźwięk, szukał miejsc nadających się do montażu.

Carl i Joar obliczyli częstotliwość drgań obu głosów, które przynajmniej na oko mogły należeć do tej samej osoby. Komputer oczywiście wykryłby bez trudu różnicę.

W efekcie taśmy wyglądały na prawdziwe i nie montowane. Ze stuprocentową pewnością to dziennikarz Wennström konwersował z nie zidentyfikowanym źródłem.

Dopiero wtedy zainteresowali się treścią rozmów. Słuchali według określonego schematu, podczas gdy personel techniczny w sąsiednim pokoju ślęczał nad przepisywaniem. Zapisy sukcesywnie kopiowano. Jedna kopia służyła jako materiał roboczy, na którym notowano uwagi, druga — miała stanowić materiał do raportu.

Zasób przekazywanych wiadomości nie był szczególnie zaskakujący. Źródło donosiło o Hamiltonie i jego poczynaniach, o tym, że rząd musiał wiedzieć, co się święci, wydawało mu się, że może wysyłać wariatów i Jamesów Bondów, gdzie popadnie. To doprowadziło w końcu do katastrofy i wojny agentów.

Tylko jedno bardzo Carla zdumiało. Puszczali ten fragment kilkakrotnie.

„Daję głowę, że to robota socjałów, oni, rozumiesz, nie mają zaufania do Säpo, Säpo tu, Säpo tam, dlatego załatwiają wszystko w SSI, tak jak przedtem w IB, jak jakaś pieprzona безпеka. Bo dlaczego by dawali skurczysynowi medale za odwagę, do tego potrzebna jest

decyzja rządu, a niczego takiego oficjalnie nie ma, próbowałem sprawdzić. Więc po pierwsze, trzymają to w tajemnicy, no nie? A po drugie, idę o zakład, że ten medal dali mu dwa razy. Sprawdzaliśmy, ale nie do końca wierzę naszym źródłom”.

Potem rozmowa zбочyła na inne tory.

— Jest sposób zidentyfikowania tego cholernego informatora — rzekł Carl z namysłem po trzykrotnym wysłuchaniu interesującego go fragmentu. — Ale musielibyśmy wdepnąć na podwórko policji.

— Znam gorsze rzeczy — chłodno zauważył Stålhandske. — Nie pójdziemy z tym przecież do Säpo i nie poprosimy, żeby puścili taśmy w obieg, a potem nam powiedzieli, co to za gnojek.

— No, nie, ale może dałoby się załatwić sprawę z naruszeniem tylko jednego paragrafu — stwierdził Carl. — Choć wcale nie jestem pewien, czy to sprzeczne z prawem. Mógłbyś zainstalować u mnie w domu pewien drobiazg, Åke?

— Jasne.

— Weź klucze, wiesz, gdzie mieszkam. Przygotuj w bibliotece wszystko do nagrania rozmowy, magnetofon ustaw w jadalni.

Stålhandske zaopatrzył się w niezbędne przedmioty i zniknął, a Carl z Joarem dokonczyli porządkowania materiałów z próbkami głosów i zebrali raporty.

Carl zadzwonił później do kogoś, by zaprosić go do siebie wieczorem na chwilę rozmowy. Tak sformułował zaproszenie, że gość bez wątpienia powinien się zjawić.

\* \* \*

DG mimo mnóstwa spotkań, które spowodowała afera, dostrzegał w całej tej sprawie tyle momentów komicznych i humorystycznych, że sam był tym zdumiony.

Choć po części emeryt, po części zaś pracownik na wymówieniu, uczestniczył w gorączkowej działalności. W dodatku wespół z pewnym cywilem, który poleciał do ministra obrony ze skargą, że czuje się odsunięty, i dlatego teraz musiał we wszystkim brać udział.

Zdaniem DG, abstrahując od ryzyka kolejnego zamachu, w niedzielne popołudnie, kiedy na pierwszej stronie „Expressen” pojawiło się zdjęcie Carla, sytuacja znalazła się pod znacznie lepszą kontrolą, niż można było przypuszczać.

Nowy minister obrony najwyraźniej doszedł do wniosku, że skandalu nie należy zanadto rozdmuchiwać. Operacja Big Red kładła się cieniem także na jego poczynaniach.

Dotychczasowa kariera Carla naturalnie legła w gruzach. Praca w terenie nie wchodziła w grę. Z drugiej jednak strony już go przeniesiono do Sztabu, nominację na szefa wydziału operacyjnego miał w kieszeni. Z czysto psychologicznego punktu widzenia było to dla niego i dla jego chłopców najlepsze rozwiązanie. Ludzie pewnie nie są tak oburzeni jak popołudniówka, że zdrajcę ojczyzny spotkała śmierć. Afera z IB była w pewnym sensie gorsza, odnosił wrażenie, że już kiedyś przez coś podobnego przeszedł.

Ze Sztabu Obrony nic nie wyciekło, wiadomościami zawartymi w publikacjach dysponowało w takiej czy innej formie tylko Säpo, a w Säpo nie mieli aż tylu smakowitych kąsków, by cała sprawa zakończyła się jednym wielkim kryzysem światowym.

Taka bowiem myśl nasza DG, kiedy zobaczył wczorajszą gazetę: światowy rozgłos wokół likwidacji Sandströma i operacji Big Red to prosta droga do krachu w Związku Radzieckim. Konserwatywne skrzydło stalinowskie skorzystałoby z okazji, żeby utracić Gorbaczowa, i gdyby mu się to udało powrót do zimnej wojny gotowy.

W kwestii najbardziej przerażających możliwości nie było więc powodu do obaw. Spore w tym względzie pokładał nadzieje w dziennikarzu z „Expressen”, który zawierzył jakiemuś fanatykowi z Säpo czy komu tam.

Ostatnie spotkanie nie było pozbawione akcentów humorystycznych.

Kiedy Carl przyszedł zdać relację z rozmowy z szefem GRU, niewiele się spodziewano usłyszeć, zwłaszcza że świeżo upieczony komandor podporucznik stawił się dość późno. I

DG, i Samuela Ulfssona nieco zaskoczył jego luźny strój. Poświęcili tej kwestii trochę uwagi, co odsunęło w czasie moment eksplozji.

Gdy Carl, zreferowawszy sprawę, wyciągnął kasety, zapisy nagranych rozmów, analizę zawartości i analizę techniczną, DG zachichotał, Samuel Ulfsson zbladł, a cywil sprawiał wrażenie kogoś, komu odjęło słuch.

W końcu Ulfsson oczywiście zapalił papierosa, intensywnie rozmyślając, jak powinien zareagować.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — zaczął — wywiad radziecki założył podsłuch w „Expressen” i przekazał nam uzyskane tym sposobem materiały.

W tym punkcie nie mogło być cienia wątpliwości.

— Tak jest — uprzejmie odparł Carl.

Wyglądał chłopięco i zdumiewająco wręcz niewinnie w swoim dziwnym przebraniu.

— Związek Radziecki na naszych oczach i niemal z naszym przyzwoleniem złamał prawo, naruszył zasady szwedzkiej konstytucji i dopuścił się szpiegostwa.

— To ostatecznie niezupełnie się zgadza — wtrącił wesoło DG. — Pochodzący z przestępstwa materiał przekazali nam, a nie swoim. My tylko go przyjęliśmy. Od nas zależy, czy powiemy o tym policji, myślę jednak, że nie byłoby to rozsądne, a zważywszy na okoliczności, dość niegrzeczne.

— Wyjaśnij to albo złóż kolejne wymówienie — warknął Ulfsson tonem, który Carl słyszał u swojego szefa po raz pierwszy.

— Z przyjemnością — z życzliwym rozbawieniem odparł DG. — Rzecz wcale nie jest skomplikowana. Carl, co naturalnie możemy przyjąć za pewnik, dokładnie przekazał radzieckiemu personelowi dyplomatycznemu zgłoszone przez ciebie ograniczenia, między innymi dotyczące zakazu prowadzenia jakichkolwiek operacji i tak dalej. A więc nie przyłożyliśmy ręki do żadnego przestępstwa, wręcz przeciwnie. Dopuściła się go druga strona, ale nie może zostać za to ukarana. Mamy prawo przyjmować informacje uzyskane w drodze przestępstwa, tak mówią nasze przepisy. Możemy też patrzeć na nie przez palce, jeśli uznamy jego motywów za uzasadnione. Tak to wygląda.

Przyglądali mu się zdumieni.

— Nazywa się to konstytucyjną obroną konieczną — stwierdził ironicznie, a może śmiertelnie poważnie, czego nie potrafili rozstrzygnąć, ponieważ twarz DG przybrała obojętny wyraz.

Samuel Ulfsson postanowił co prędzej zakończyć spotkanie, żeby w drażliwą decyzję, jaką należało teraz podjąć, nie wtajemniczać za dużo osób. Bo decyzji nie unikną. Materiał z przestępstwa w postaci schludnych czarnych skoroszytów i plastikowego pojemnika ze starannie ponumerowanymi kasetami leżał na jego biurku. Trudno o dowód bardziej namacalny.

Poprosił DG i cywila o opuszczenie gabinetu. Grzecznie, ale stanowczo.

— Czy wydział operacyjny przygotował jakieś plany działania na najbliższy okres, a jeśli tak, to jakie? — spytał Carla wprost, gdy zostali sami.

— Tak. Chcielibyśmy się skoncentrować na ustaleniu tożsamości nieznanego źródła w Säpo.

— Nie wolno wam korzystać z nagranych materiałów. Czy to jasne?

— Tak, rozkaz zrozumiałem i wykonam.

Samuel Ulfsson zamyślił się. Carl odpowiedział bez zająknięcia, jakby miał w zanadrzu inne rozwiązanie. Pozostaje mu więc wprowadzić w operacyjnym coś w rodzaju bezwzględnego zakazu działania i przekazywania informacji.

— Kiedy następne spotkanie z GRU? — spytał z udaną ostrożnością, chichocząc w duchu z absurdalności sytuacji.

Jeden z szefów wywiadu wojskowego stawia tego typu pytanie podwładnemu.



— Jutro o dwudziestej pierwszej albo o północy, albo o dwudziestej pierwszej pojutrze — zwięźle odparł Carl, nie dostrzegając tej absurdalności.

— Operacyjny pod żadnym pozorem nie może złamać prawa, jasne?

— Oczywiście, że tak.

— Dobrze. Przejdźmy zatem do następnej kwestii, która jak sądzę, nie będzie dla ciebie najprzyjemniejsza. Mamy podstawy przypuszczać, że komisja konstytucyjna mimo wypowiedzi ministra, który rozumie nasze położenie, przeprowadzi publiczne przesłuchanie w związku z tym piwem, jakiego nawarzył „Expressen”.

Samuel Ulfsson przerwał na chwilę, by sięgnąć po nową paczkę blendów.

— Tak?

Carl nie bardzo wiedział, co to ma z nim wspólnego. Co mogą obchodzić wydział operacyjny zagrywki polityków i prasy?

— Według informacji, jakie mamy z ministerstwa, będą się musieli ugiąć i... no cóż, ciebie wezwą w pierwszej kolejności.

Carl miał wrażenie, jakby dostał obuchem w głowę. Upokorzony i zdumiony, odetchnął głęboko, nic jednak nie powiedział.

— Dyskutowaliśmy o tym — podjął Ulfsson. — ÖB zajął stanowisko wobec ewentualnych problemów i wydał stosowne zalecenia. Ponieważ mamy gorące dni i w dodatku jesteśmy sami, skorzystam z okazji, żeby ci je od razu przekazać. No, co ty na to?

— Tak, naturalnie.

— A więc masz wsparcie ÖB i oczywiście wsparcie wydziału. Gdybyś został wezwany przed oblicze komisji, stawisz się w mundurze. Jeśli nie rozumiesz dlaczego, zaraz ci to wyjaśnię.

— Tak, proszę.

— W mundurze wystąpisz nie tylko jako jednostka, ale jako reprezentant sił zbrojnych, nie jesteś byle chłystkiem, jesteś komandorem podporucznikiem Hamiltonem z OP5.

— Miło mi to słyszeć.

— Daruj sobie tę ironię. Pod żadnym pozorem nie wolno ci kłamać, lecz przez wzgląd na bezpieczeństwo państwa musisz uchylić się od odpowiedzi na niektóre pytania.

— Jak można przewidzieć pytania i zawczasu ustalić taktykę postępowania?

— Prościej, niż ci się zdaje. Wszystko, co dotyczy działalności operacyjnej związanej ze Związkiem Radzieckim albo z Układem Warszawskim, trzeba uznać za tajne, nie wolno o tym napomykać nawet przy drzwiach zamkniętych, w każdym takim wypadku powinieneś odsyłać do ÖB. On też zostanie wezwany.

— A inne sprawy?

— Udzielaj szczerych, prostych odpowiedzi.

— O uprowadzeniu samolotu, terrorystach z RAF i tak dalej?

— Tak. Weźmy choćby tę historię z samolotem. Wszystkie szczegóły zająć na pokładzie są jawne. Wszystko, co dotyczy Koskowa, jest tajne. To dla nas dość sensowny sposób, żeby z tego wybrnąć, bez problemów powinieneś rozróżnić rzeczy jawne i tajne. Tam, gdzie zamajaczy cień sierpa i młota, zaczyna się tajemnica, poza tym możesz mówić do woli.

— Kiedy mnie to czeka?

— Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu. Masz jakieś pytania?

— Tak, o mundur. Z przyległościami czy bez?

— Oczywiście, że z przyległościami, i chyba nie muszę ci tłumaczyć, dlaczego „Expressen” chce pokazać społeczeństwu łobuza, a my kogoś całkiem innego.

— To dość osobliwe, by oficer wywiadu występował w charakterze słupa reklamowego.

— Owszem. Szwecja to kraj niekonwencjonalnych metod. Nie widzimy jednak innego wyjścia, chcemy wygrać i mam nadzieję, że i tobie o to chodzi.

— Rozkaz zrozumiałem i wykonam — odrzekł Carl, siląc się na sarkazm, co mu kompletnie nie wyszło.

W każdym razie Samuel Ulfsson zdawał się go nie wyczuwać.

\* \* \*

Niespełna godzinę później Carl przystąpił do przesłuchania. Wszystko zostało dobrze przygotowane, zdążył nawet włożyć stosowniejsze ubranie. Mężczyzna, który siedział naprzeciw niego na szmaragdowozielonej kanapie, był wyraźnie zdenerwowany i doskonale świadom, że ma do czynienia z kimś, kogo „Expressen” tudzież inne media obwołały pozbawionym skrupułów mordercą, szwedzkim Jamesem Bondem.

— Domyślasz się pewnie, Lelle, że czeka nas bardzo poważna rozmowa — zaczął Carl z wystudiowanym spokojem.

— Tak, mówiłeś, że chciałbyś podyskutować o moim stanowisku — cicho, ze spuszczoną głową odparł dozorca. — Mam formalny etat.

— Całkiem możliwe, obawiam się jednak, że to coś znacznie poważniejszego niż sprawa odpowiedzialności pracodawcy. W tym względzie też miałbym istotne zastrzeżenia. Chciałbym z tobą porozmawiać o dość szczególnych kwestiach.

Przerwał i podniósł raport w taki sposób, by mężczyzna mógł się zorientować, co jest na pierwszej stronie. Czerwona pieczęć „Ścisłe tajne” i tytuł:

„Włamanie z przypuszczalnym zamiarem szpiegostwa  
640117-1279 Kenneth Henrik Carlsson  
510606-1377 Lars-Erik Sundberg”

Zamknął raport i położył go na stole, gdy uznał, że Lelle zdążył przeczytać to, co najważniejsze.

— Wynająłeś niejakiego Kentę — podjął — do popełnienia przestępstwa i dałeś mu klucz. Miał dostać tysiąc pięćset koron przed robotą i tysiąc pięćset potem. Prawda?

— Nie mogę na to odpowiedzieć, zobowiązałem się do chowania tajemnicy zawodowej — odparł Lars-Erik Sundberg.

— Komu?

— Też nie mogę powiedzieć.

— To ja ci powiem. Rozumiesz chyba, że jesteś podejrzany o szpiegostwo. Jak zapewne czytałeś w gazetach, w Säpo latem wykryto wtyczkę, rosyjskiego szpiega. Nie pracowałeś dla żadnych szwedzkich władz, tylko dla kogoś zupełnie innego.

Zrobił pauzę. Nie powinien sobie pozwalać na pogrożki, bo to nie najlepiej wygląda w zapisie. Ale do tego przypuszczalnie mimowolnego szpiega jeszcze nic nie dotarło i wyraźnie nie zamierzał mówić. Zaczął się za to bać, co pewnie było zasługą „Expressen”, a nie jego.

— To czy rząd szwedzki wyróżnił mnie jednym czy dwoma medalami — podjął Carl nieco ostrzejszym tonem — ma znaczenie dla polityki zagranicznej i stanowi przedmiot szczególnego zainteresowania pewnego obcego mocarstwa. Jeśli podstępem wciągnięto cię do pracy na jego rzecz, wmawiając, że pozostajesz na usługach Säpo, niewykluczone, że wyjdiesz z tego cało. Musiałbyś mi jednak o tym powiedzieć.

Wyglądało na to, że Sundberg mięknie.

— Myślałem, że to Säpo — rzekł nagle.

— Myślałeś, że to Säpo. Aha. Można to zrozumieć. Wiedziałeś, że twój zleceniodawca pracuje w Säpo?

— Tak. Wylegitymował się i przyszedł z facetem, który też był z policji. Powiedzieli, że jesteś o coś podejrzany.

— Jak się te typki nazywają?

— Szef nazywa się Glücher, Hans Glücher.

— A ten drugi?

— Nie przedstawił się.

- Ale pokazał legitymację?
- Tak, tyle że nie zdążyłem przeczytać.
- Ale co do Hansa Glüchera jesteś pewien?
- Tak, to dość szczególne nazwisko.
- Możesz opisać tego drugiego?
- Jasne, to proste.
- Dlaczego?

— Miał co najmniej sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i wyglądał jak Tarzan. Z tą różnicą, że krótko ostrzyżony i blondyn.

— Dobrze. Zanim uzupełnisz ten rysopis, chciałbym ci o czymś powiedzieć. Nagrywamy tę rozmowę. Mam nadzieję że to rozumiesz.

— Nagrywacie? Ale przecież nie ma tu żadnego...

— Jesteśmy z wywiadu wojskowego, nie z Säpo. Pracujemy trochę dyskretniej. A teraz zabierzmy się do rysopisów, zaraz kogoś zobaczysz dla porównania. Åke, możesz już wejść!

Otworzyły się drzwi do jadalni i do pokoju wkroczył teatralnie groźny olbrzym Stålhandske.

Oczyszczony z winy szpieg zaniemówił.

— Mniej więcej tych gabarytów? — łagodnie spytał Carl.

\* \* \*

Samuel Ulfsson długo się zżymał na myśl o spotkaniu z Näslundem. Nie widział jednak innego wyjścia i choć wielu ludzi z wydziału nie przepadało za nim i jego chamowatym sposobem bycia, nie było powodu kwestionować jego lojalności, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo państwa. Hamiltonowi i jeszcze paru osobom mogła się nie podobać na przykład jego niezależność w kontaktach z niektórymi zagranicznymi partnerami ze służb bezpieczeństwa. Ale teraz chodzi o wspólnego wroga.

Ponieważ Samuel Ulfsson już się zdecydował, pominął wszelkie grzecznościowe formułki i owijanie w bawełnę. Gdy tylko Näslund usiadł, włączył magnetofon i puścił taśmę z wybranymi wypowiedziami informatora „Expressen”.

Näslund słuchał uważnie, ze zmarszczonym czołem. Po kilku minutach Samuel Ulfsson zatrzymał taśmę.

— Wiesz, który to z twoich pracowników? — zapytał najspokojniej, jak umiał.

— Tak, nie mam cienia wątpliwości. Czy to spreparowana informacja?

Ulfsson uniósł brwi. Nie podejrzewał Näslunda o znajomość takich pojęć.

— Naturalnie. No, kto to jest?

— Najpierw powinieneś się wytłumaczyć z tych sztuczek.

— Powiem więc, że właśnie ten człowiek rozpętał aferę, zaopatrując „Expressen” w informacje i polityczne komentarze.

— O cholera!

— Owszem, cholera. No, jak on się nazywa?

— Chyba nie mogę ci tego powiedzieć.

— Żartujesz!

— Bynajmniej. W wydziale trwa postępowanie przygotowawcze w sprawie złamania przepisów o ochronie tajemnicy i szerzenia nieprawdziwych informacji. Popęliłbym wykroczenie służbowe, zdradzając ci dane z dochodzenia.

Samuel Ulfsson westchnął. Poczul się nabity w butelkę, sam się tak urządził, co w niewielkim tylko stopniu go pocieszało.

— Sytuacja jest poważna — oświadczył. — Jakiś człowiek z premedytacją działa na szkodę naszego państwa i naszej obronności, a ty wiesz, kto to jest. Czy i my nie powinniśmy wiedzieć?

— Nie, nie powinniście. To sprawa policji, a nie wojska. W ilu procentach jesteście pewni?

— W stu. Nie w dziewięćdziesięciu dziewięciu, ale w stu.

— Znaczyłyby to, że macie na taśmie rozmowę tego gościa z dziennikarzem.

— To twój wniosek.

— Robienie takich nagrań jest karalne.

— Tylko mi nie mów, że wdrożycie przeciwko mnie postępowanie przygotowawcze.

— Nie, nie wdrożymy. Po prostu stwierdzam fakt. Mógłbym się zapoznać z innymi taśmami?

— Nie sądzę. Nawet gdyby takowe istniały i zostały pozyskane w drodze przestępstwa. Musisz się zadowolić moim zapewnieniem, że jesteśmy stuprocentowo pewni. A poza tym ani myślę ci zdradzać, jak doszliśmy do tego wniosku. Powiem tylko tyle, że nie popełniliśmy żadnego przestępstwa i nie robiliśmy żadnych nagrań.

— Czy możemy liczyć na waszą pomoc? Gdybyśmy potrzebowali dowodów, a ten człowiek wszystkiego się wyprze?

— Posłuchaj no, Näslund, istnieją pewne granice. Radziłbym ci bardzo wolno i ostrożnie pchać tę sprawę do przodu. Chciałbyś poznać moje zdanie?

— Chętnie.

— Najgorsze, co ten ptaszek od was mógł zrobić, już zrobił, przynajmniej jeśli chodzi o nas. Niczego więcej o Hamiltonie i sprawach bezpośrednio nas dotyczących już nie usłyszymy. Zgadzasz się?

— Chyba tak.

— Wiemy, kto to jest, ale nie wiemy, dlaczego to zrobił ani w czyim interesie. To chyba dosyć ważne, prawda?

Näslund oddał się rozmyślaniom, tym razem nie sięgając po metalowy grzebyk, a Samuel Ulfsson zapalił papierosa. Chwilę się sobie przyglądali, nie tyle wrogo, ile z namysłem.

— Sytuacja przedstawia się następująco — zaczął Näslund. — Mamy kompletnie niezrozumiałe morderstwa i żaden z nas nie wierzy w wojnę agentów, co chce nam wmówić... ten człowiek. Albo skwapliwie wykorzystał splot wydarzeń dla jakichś własnych celów, albo istnieje związek między kampanią w sprawie wojny agentów a morderstwami. Czy tak właśnie myślisz?

— Oczywiście. Kontaktowałeś się z policją w Norrköping? Przepraszam, że się wtrącam, ale ciekaw jestem, czy są jakieś widoki na pomyślne zakończenie sprawy?

— Zadzwoiłem do komisarza, który kieruje śledztwem. Nie był jednak szczególnie usłużny, ani szczególnie grzeczny, raczej podejrzliwy.

— Może ma swoje powody.

— To znaczy?

— A jeśli zaczyna się domyślać, że trop prowadzi do Säpo? To by tłumaczyło jego opryskliwość względem ciebie.

— Tak, racja.

— Chciałbym więc, żebyś ostrożnie pchał naprzód dochodzenie w sprawie złamania przepisów o tajemnicy służbowej, czekając na inne możliwości i wyjaśnienia. Da się to zrobić?

— Naturalnie, zwłoka niczym nam nie grozi.

— Jak mam to rozumieć?

— Że już doszło do ujawnienia tajemnicy, że można spokojnie trzymać palec na spuście i jednocześnie, jak powiedziałaś, skoncentrować się na odkrywaniu szerszych perspektyw.

— Miło mi to słyszeć. Moglibyśmy w czymś pomóc?

— Nie, dziękuję! To sprawa policji. Wy macie oko na wroga za granicą, my rozprawiamy się z przestępczością w kraju.

— Ale jeśli trudno ci się zabezpieczyć przed przeciekami, moglibyśmy oddać do waszej dyspozycji odpowiednie siły i środki...

— Dziękuję, nie! Skoro nie ma żadnej wojny agentów, nie będziemy jej wszczynać. Muszę się porządnie zastanowić nad działaniami czysto operacyjnymi, ale, jak już parę razy mówiłem, to wyłącznie nasza sprawa. Mógłbym wziąć tę taśmę?

— Tak, proszę.

Henrik P. Näslund energicznie się podniósł, poprawił marynarkę, której mocno watowane ramiona przydawały mu wyglądu regularnego czworokąta, i kołysząc się na boki, podszedł do Samuela Ulfssona. Odebrał taśmę, którą tamten wyjął z magnetofonu, mocno uściśnął mu dłoń i wymaszerował z pokoju.

Ulfsson opadł na krzesło, wypalił półtora papierosa, a gdy wreszcie spojrzął na zegarek, stwierdził, że już od minuty powinien być u ÖB.

ÖB dyskretnie zerknął na zegarek, nic jednak nie powiedział. Szef wywiadu był jednym z tych, którzy mieli prawo się spóźniać.

— No — rzekł bez żadnych wstępów — jak Hamilton to przyjął?

— Trudno wyczuć, ale dostawał już bardziej skomplikowane rozkazy.

ÖB ledwie powstrzymał się od śmiechu. Część owych „bardziej skomplikowanych rozkazów” przysporzyła pewnych kłopotów.

— Sporo czasu poświęciłem dzisiaj na doksztalcenie się w zakresie sztuki propagandy — podjął ÖB, podchodząc do kanapy, by w ten sposób podkreślić mniej formalny charakter rozmowy. — I mimo najlepszych chęci nie mogłbym stwierdzić, że my, wojskowi, jesteśmy w tej dziedzinie szczególnie biegli. Zasięgnęliśmy jednak opinii kilku ekspertów, ludzi z obrony psychologicznej, którzy się na tym znają.

— Krótko mówiąc, dziennikarzy?

— Yhm. I po pierwsze, wedle tego, czego się dowiedziałem, musimy wyznaczyć pośrednika między mną a Hamiltonem. I ty nim będziesz.

— Po co?

— Jeżeli komisja zapyta go na przykład: „Kiedy ostatnio widziałeś się z ÖB?” — będzie mógł odpowiedzieć, że dawno temu. Żeby nie wyglądało na to, że coś wspólnie knuliśmy, przygotuję sobie dodatkowe pole manewru.

— Tak?

Dziennikarstwo i propaganda nie leżały w centrum zainteresowań Samuela Ulfssona.

ÖB z przyjemnością zrobił mu wykład. Dość łopatologiczny. Powinni wypracować strategię zgodną z wypróbowaną metodą, iż najlepszą formą obrony jest atak. A więc, po pierwsze, Hamilton jest wprawdzie nieodwołalnie spalony, ale to wcale nie znaczy, że się nie przyda w wywiadzie, prawda? Po drugie, krąży już zbyt dużo najrozmaitszych domysłów o jego wyczynach, dlatego wycofywanie się, zaprzeczanie i wykręcanie zaszkodziłyby jeszcze bardziej. I przedłużyły męczarnie. Po trzecie, kontrofensywa w postaci potwierdzeń i wyjaśnień tego, co już roztrąbiono, i innych rzeczy, które ewentualnie wypłyną, wywrze zdecydowanie korzystniejsze wrażenie niż ukrywanie się za pieczęciami „ściśle tajne” i tym podobnymi, co mają w zwyczaju mężowie stanu.

W sumie powinni wygrać ze wszystkimi politykami. Trzeba jednak zadbać o taktyczne niuanse. Hamilton może na przykład, idąc w ślady rozmaitych urzędników z ministerstwa i policji, napuścić na siebie mass media. ÖB dowiedział się, że jeśli ktoś zawsze wypowiada się tylko w jednej południówce, może ją tak zbałamucić, że w podzięce za komercyjną pomoc będzie tańczyła, jak jej zagra. Identycznie rzecz się ma z radiem i telewizją, wystarczy wybrać jedno z nich i się go trzymać. I w ten sposób kierować grą.

Gdy ÖB z entuzjazmem dzielił się świeżo zdobytą wiedzą, Samuel Ulfsson miał coraz więcej wątpliwości.

Był szefem wojskowej służby wywiadowczej, instytucji w najwyższym stopniu poważnej. Siedział u szefa sił zbrojnych, który udzielał mu lekcji i wskazówek, jak spiskować z mass mediami. Czymś takim mogli się bawić w małpiarni na Kungsholmen, to nie jest zajęcie dla wojska.

\* \* \*

Późnym wieczorem Carl zakończył długą rozmowę z Joarem Lundwallem i Åke Stålhandskem. Glüchera należy obserwować, ale stosując tylko legalne, powszechnie przyjęte metody. Przede wszystkim trzeba sprawdzić jego kontakty legalnie. Żadnego podsłuchu. Niestety.

Åke Stålhandske ściągnął do mieszkania Carla blisko pięćdziesiąt kilogramów sprzętu. Samo jego posiadanie, przynajmniej części, można było uznać za niezgodne z prawem. Choć w wielu wypadkach przepisy nie wydawały się przejrzyste.

Na przykład by wypróbować swój sprzęt, Stålhandske przeczesał całe mieszkanie Carla, poszukując ewentualnych urządzeń podsłuchowych. Z rezultatem negatywnym, dzięki czemu mogli swobodnie rozmawiać.

Do rana snuli wspomnienia z Ameryki.

## 4

Partia Liberalna i Partia Centrum uparczywie obstawały przy dokładnym zbadaniu sprawy Hamiltona przez komisję konstytucyjną. Jako powód podawano konieczność formalnej weryfikacji twierdzeń „Expressen”, że poprzedni rząd wykorzystywał wywiad wojskowy w charakterze organizacji szpiegowskiej sterowanej przez partie lub ministerstwa i tak dalej.

Prawdziwy powód był przypuszczalnie zupełnie inny, bardziej ludzki. Żaden z przesłuchiwanym przez komisję konstytucyjną i przed kamerami TV polityków, finansistów, biurokratów, łobuzów, paranoików czy mitomanów, policjantów czy bezpieczniaków nie emanował charyzmą równą mitowi „szwedzkiego Jamesa Bonda”.

Ludzie pragnęli go po prostu zobaczyć. I ta nieodparta chęć szybko przełamała opór prawicy i socjaldemokratów. Obie partie utrzymywały, że sprawa ma zbyt wiele aspektów związanych z tajemnicą państwową, które dotyczą obcego mocarstwa i szwedzkiej obronności. Daremnie. Wiarygodność socjaldemokratów podważało naturalnie to, że badaniu miano przecież poddać ich ewentualne nadużycia. Prawica natomiast nie mogła się wyłamywać z koalicji, zwłaszcza że przez jakiś czas wydawało się, że broni łajdactw socjaldemokratów. Nawet starania dwóch mało przychylnych poprzedniemu rządowi partii, by przesłuchania odbywały się przy drzwiach zamkniętych, spaliły na panewce. Żądza sensacji była powszechna.

Carl nie denerwował się. Rozpierała go chęć walki, niemal się cieszył na myśl o tym, co się wkrótce stanie. Jego motywy były jednak czysto osobiste. Eva-Britt spędziła z nim noc, piękną noc, nigdy nie czuł się jej równie bliski. Gdy tylko się dowiedział o czekającym go przesłuchaniu, niemal z entuzjazmem jej o tym doniósł. Nareszcie wyzna jej to, co dotychczas musiał taić, zobligowany zakazami, dyscypliną, obowiązkiem dochowania tajemnicy i przestrzegania prawa. Polecono mu przecież mówić prawdę, dając dość duży zakres swobody. Wzięła wolne na to przedpołudnie, żeby zasiąść u niego na szmaragdowozielonej kanapie i oglądać w TV, jak odpowiada na wszystkie jej pytania.

Ubierał się w nastroju uroczystym i nim zszedł do czarnego samochodu, długo się całowali. Do gmachu parlamentu przez wzgląd na bezpieczeństwo mieli się dostać tylnym wejściem.

Na galerii dla publiczności kłębił się tłum. Wszyscy czekali w napięciu. Kiedy Carl punktualnie co do sekundy pojawił się w bocznych drzwiach w towarzystwie trzech funkcjonariuszy bezpieki, temperatura na sali wzrosła. Trzymając czapkę pod pachą, podszedł

do swojego miejsca, lekko skłonił się członkom komisji, którzy patrzyli na niego jak na osobliwe zwierzę, i usiadł.

Zgodnie z zasadami nowego porządku w państwie opozycja miała teraz prawo kierowania pracami komisji i tak się złożyło, że jej przewodniczącym został człowiek pełniący tę funkcję za poprzednich rządów, niechętny piętnowaniu socjaldemokratów.

Lekko uderzywszy młotkiem w stół, zaczął od kilku rutynowych formułek, żeby uciszyć gwar na sali. Carl siedział nieco spięty, wyprostowany, założył nogę na nogę, dłonie oparł na blacie przed sobą.

— Tak... hm... więc... Przystępujemy zatem do przesłuchania — rzekł przewodniczący. — Witamy komandora podporucznika Hamiltona w naszej komisji. Na początek chciałbym powiedzieć to, co mówimy wszystkim innym tutaj — e... Jeśli komandor podporucznik Hamilton życzy sobie wygłosić mowę wstępną, to bardzo proszę.

Carl, lekko zbity z tropu uśmiechem nie schodzącym z oblicza zagajającego, dopiero po chwili połapał się, że teraz jego kolej.

— Nie, dziękuję, panie przewodniczący — odparł z wahaniem. — Nie jestem tutaj w charakterze oskarżonego i nie czuję potrzeby wygłaszania jakichkolwiek mów. Ponadto nie bardzo wiem, co pragnęliby usłyszeć szanowni członkowie komisji. Oczekuję na pytania, na które postaram się odpowiedzieć z największą dokładnością.

Teraz przewodniczący potrzebował czasu, by pojąć, że znów przekazano mu pałeczkę. Ponieważ komisja najczęściej miała do czynienia z politykami, był przygotowany na długą mowę i rozmaite proklamacje.

— Aha... nie, no więc... Wobec tego przystępuję do pytań. Komandor podporucznik Hamilton jest zatrudniony w SSI, czy tak?

— Tak.

— A wcześniej był pan w eseka?

— Słucham?

— W eseka. S-ä-k.

— Ach, chodzi panu o wydział bezpieczeństwa Głównego Zarządu Policji? Tak, pracowałem tam.

— I czym się pan zajmował?

— Przetwarzaniem danych i opracowywaniem niektórych rejestrów.

— Była to więc w pewnym sensie praca czysto umysłowa?

— Taką mam nadzieję.

— A jakie jest pańskie obecne stanowisko? Mógłby pan o tym coś powiedzieć?

— Tak. W SSI podlega mi wydział komputerowo-operacyjny.

— Aha. Czyli pańskie obowiązki są tajne.

— Do niedawna były. Obecnie najlepsze nawet chęci nie pozwalają uznać, że moja praca jest szczególnie tajna, mimo że powinna.

Na sali rozległy się chichoty, co rozczerowało Carla.

— Niech mi więc wolno będzie spytać, czy wywiad wojskowy ma prawo do zabijania i czy rząd jest za to współodpowiedzialny? — kontynuował przewodniczący, przewertowawszy jakieś papiery.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, teraz jednak wyraźnie kontrastował z nastrojem sali.

— Zarówno rząd, jak i parlament ponoszą odpowiedzialność za przepisy obowiązujące w siłach zbrojnych. O ile wiem, każda broń jest śmiertelna, na tym między innymi opiera się elementarne szkolenie poborowych. To dość oczywiste.

— Owszem, chodzi mi jednak o okres pokoju.

— Wówczas komórki operacyjne wywiadu wojskowego, w których służyłem, znajdują się mniej więcej w podobnej sytuacji, co morskie jednostki ochrony wybrzeża i będące w stanie gotowości jednostki sił powietrznych.

— Mógłby pan to wyjaśnić trochę dokładniej?

— Tak. Oficer marynarki w moim stopniu, jeśli jest dowódcą okrętu, może otworzyć ogień do obcych łodzi podwodnych poruszających się na wodach terytorialnych Szwecji. Pilot ma nie tylko prawo, lecz obowiązek ostrzelenia obcego samolotu wojskowego, który znalazł się w szwedzkiej przestrzeni powietrznej i nie zamierza jej opuścić.

— No, dobrze, ale przecież nie może to dotyczyć wojskowej służby wywiadowczej.

— Naturalnie, że nie. Chciałem jedynie wykazać, że prawo do zabijania w szczególnych okolicznościach nie jest czymś aż tak osobliwym, jak mogłoby się wydawać. To w niektórych sytuacjach obowiązek szwedzkiego oficera. Sekcje operacyjne wywiadu wojskowego pozostają w stanie stałej gotowości. Dla nas nie ma pokoju, jak dla innych jednostek sił zbrojnych. O obowiązku użycia ognia skutecznego lub podobnych środków decydują konkretne sytuacje. Niekiedy mamy nie prawo, ale obowiązek użycia przemocy.

— Nie otrzymujecie więc w tej kwestii żadnych specjalnych rozkazów od rządu?

— Nie, tylko gdy chodzi o naszą obronność.

— Tak... Czy wolno mi zatem zapytać, ile jest prawdy w twierdzeniu, że... że dostał pan bezpośrednie rozkazy od rządu?

— Chodzi panu o jakiegoś ministra?

— Tak.

— Nie, nigdy nie rozmawiałem z żadnym ministrem i nigdy nie otrzymałem bezpośrednich instrukcji od żadnego członka tak poprzedniego, jak też obecnego rządu.

— Pytam o to, bo mamy zbadać problem odpowiedzialności rządu. Czy to prawda, że jako attaché wojskowy w Moskwie, zabił pan na rozkaz lub bez rozkazu skazanego za szpiegostwo Sandströma?

— Nie mogę, niestety, odpowiedzieć na to pytanie.

— Czy mamy to rozumieć jako dementi?

— Ani jako dementi, ani jako jego przeciwieństwo. Głównodowodzący udzielił mi dokładnych instrukcji, na jakie pytania mogę odpowiadać, a kiedy powinienem odsyłać do niego. Niektóre sprawy sam zechce panom wyjaśnić podczas przesłuchania.

Na sali wzmógł się gwar, który niemal zagłuszył ostatnie pytanie przewodniczącego.

— A więc w ogóle nie otrzymał pan poleceń od rządu?

— Nie. Jak już powiedziałem, żaden z ministrów niczego mi nie zlecał.

— Wobec tego dziękuję i oddaję głos swojemu zastępcy. Wiceprzewodniczącym miały sprzeczne uczucia. Jako reprezentant Partii Umiarkowanej, nie chciał namieszać w newralgicznej komórce sił zbrojnych. Zauważył jednak coś w słowach Carla, co przesądziło o charakterze jego pytań, które dość szybko nadały przesłuchaniu całkiem niespodziewany obrót.

— Dziękuję, panie przewodniczący. Zdaje się, że do Pańskiej odpowiedzi, komandorze podporuczniku Hamilton, wkradła się pewna nieścisłość. Czy otrzymywał pan Polecenia od przedstawicieli rządu?

— Tak.

— Od kogo i czego dotyczyła sprawa?

— Od podsekretarza stanu, Petera Sormana. Sprawa dotyczyła wyjazdu do Libanu i wspomagania zabiegów mających na celu uwolnienie szwedzkich lekarzy uprowadzonych w lecie.

— I zrobił pan to?

— Tak.

— Co dokładnie?

— Kierowałem akcją przeprowadzoną wspólnie z jednostkami służby wywiadowczej OWP. Odbiliśmy zakładników siłą i taksówką odesłaliśmy do szwedzkich dyplomatów w Bejrucie.



Przyciszone rozmowy i szelest przewracanych papierów ustały w jednej chwili. Członkowie komisji konstytucyjnej zamarli. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w mężczyznę w mundurze szwedzkiej marynarki wojennej. Nawet zazwyczaj nonszalancki wiceprzewodniczący na moment stracił pewność siebie.

— Czy dobrze pana rozumiem, komandorze podporuczniku Hamilton — zaczął, nie bardzo wiedząc, o co zamierza spytać — że na polecenie Petera Sormana pojechał pan do Libanu, nawiązał współpracę z partyzantką OWP, a potem siłą uwolnił szwedzkich zakładników?

— Tak, dobrze pan rozumie.

— Jak to się stało, że nic o tym nie słyszeliśmy?

— Zakładnicy nie zorientowali się, o co chodzi, nie przeżył ani jeden świadek, a ani strona palestyńska, ani szwedzka nie były zainteresowane w nagłośnieniu tej historii. Taki jest przynajmniej mój punkt widzenia.

— Czy to znaczy, że porywacze zginęli?

— Tak.

— Brał pan w tym udział?

— Tak.

— Osobiście zabił pan porywaczy?

— Trzech. Innych zlikwidowała OWP, byli przez nią skazani na śmierć za poważne przestępstwa.

— Czy takie rzeczy... wchodzą w zakres pańskich obowiązków?

— Słucham?

— No, czy pozostaje to w zgodzie z... czy pozwalało na to pańskie stanowisko oficera szwedzkiej służby wywiadowczej?

— Tak, naturalnie.

— Ma pan więc prawo zabijać?

— Tak, jeśli to bezwzględnie konieczne, dla ratowania życia Szwedów na przykład.

— W tej sytuacji tak właśnie pańskim zdaniem było?

— Tak, bez wątplenia. Porywacze wysunęli nierealne żądania. Zabiliby zakładników, gdyby nie wydostali się z Libanu samolotem ze szwedzkimi dyplomatami na pokładzie jako gwarancją bezpieczeństwa i okazałą sumą w kieszeni. O ile pamiętam, chodziło o dwa miliony dolarów. Szwedzcy negocjatorzy oczywiście odrzucili te żądania. Porywacze wyznaczyli termin, a po jego upływie mieli kolejno zabijać lekarzy. Stamtąd, gdzie się znajdowałem, mogłem obserwować ich przygotowania. Istniało duże ryzyko, że zamiast kontynuować negocjacje, zlikwidują zakładników i spróbują zbiec. W takiej sytuacji uznałem za konieczne użycie siły.

— Czy otrzymał pan w tym względzie wskazówki od Petera Sormana?

— Wskazówki Sormana dotyczyły przede wszystkim pozyskania informacji i przekazania ich drogą radiową szwedzkim negocjatorom. Resztę pozostawiono mojej ocenie, co zostało ujęte w mglistych sformułowaniach, z którymi często mamy do czynienia w wywiadzie.

— Mógłby pan podać przykład tego rodzaju sformułowań?

— Że powinienem przede wszystkim operować jako zwiadowca i bez potrzeby nie ryzykować. Gdyby coś poszło nie tak, odpowiedzialność spadłaby na mnie, rząd by się do niczego nie przyznał i tak dalej. A na pożegnanie Peter Sorman życzył mi udanego polowania. Trudno tego nie zrozumieć.

— Aha. I kiedy pan wrócił do kraju, zameldował pan o tym, co zaszło, Sormanowi?

— Tak.

— I co on na to?

— Pierwsze jego słowa brzmiały: „Dlaczego, u diabła, o tym mówisz?!” Następnie stwierdził, że po pierwsze, nie może to absolutnie wyjść na jaw, a po drugie, musi zostać między nami.

— I zostało?

— Oczywiście, że nie. Nie podlegam Ministerstwu Spraw Zagranicznych, jestem oficerem szwedzkiego wywiadu i nic ponadto. Złożyłem raport mojemu bezpośredniemu przełożonemu w SSI.

— A on w odróżnieniu od ministerialnego socjaldemokraty nie zbeształ pana, że zdał pan relację z przebiegu tej akcji?

— Nie, uznał operację za wspaniałą i wzorowo przeprowadzoną, pogratulował mi. Podzielił moją opinię, że gdybyśmy nie interweniowali, lekarze by dzisiaj nie żyli.

— Czy zainteresowani o tym wiedzą?

— Jeśli oglądają telewizję, to właśnie mają okazję się dowiedzieć.

— Czy otrzymywał pan polecenia od innych osób zbliżonych do rządu bądź do reprezentantów rządu?

— Nie. Wszystkie polecenia otrzymywałem od dowództwa wojskowego.

— Czy kiedykolwiek kazano panu zabić człowieka?

— Na to pytanie nie mogę, niestety, odpowiedzieć. Odsyłam do głównodowodzącego.

— Proszę przynajmniej powiedzieć „nie”. Przyjmijmy, że tak brzmi właściwa odpowiedź.

— Przykro mi, muszę się jednak stosować do poleceń.

— ÖB?

— Tak.

— Czy instruował pana osobiście?

— Nie. Za pośrednictwem szefa wywiadu wojskowego, komandora Samuela Ulfssona.

— Kiedy się pan ostatnio widział z ÖB?

— Bodaj tuż po nocy świętojańskiej.

— Dziękuję, panie przewodniczący. Jest naturalnie wiele innych spraw, o które chciałoby się zapytać... Aha, jeszcze jedno. Jakie uzyskał pan instrukcje co do tego przesłuchania, komandorze Hamilton? Mógłby nam pan powiedzieć?

— Jestem komandorem podporucznikiem, a nie komandorem. Więc po pierwsze, zabroniono mi kłamać, a po drugie, informować o sprawach objętych tajemnicą służbową. Nie wolno mi ani potwierdzać, ani zaprzeczać. Jak już wspomniałem, muszę odsyłać w takich wypadkach do ÖB.

— Dziękuję, panie przewodniczący. Zważywszy na to, czego się przez lata w komisji nasłuchaliśmy, powinniśmy być niezmiernie wdzięczni, że przynajmniej jednej osobie kazano nie kłamać. Taką postawę należałoby zalecić kolegom socjaldemokratom, z których, co trzeba uznać za wątpliwą przyjemność, niepodobna było wydobyć słowa prawdy. Dziękuję, na razie nie mam więcej pytań.

Głos zabrał członek Partii Centrum, prawnik, specjalista w dziedzinie prawa publicznego. Oderwał się od swoich notatek, które studiował, kiedy jego poprzednik uprawiał zwykłą agitację polityczną.

— Tak, komandorze podporuczniku Hamilton, ogromnie to interesujące i dziwne, że jeden z wojskowych decydentów gdzieś tam sobie ustalił, co powinna wiedzieć komisja konstytucyjna, a czego nie powinna. Nie uważa pan?

— Nie.

— Dlaczego?

— ÖB decyduje, co należy utajnić, a co podać do wiadomości, komandor podporucznik nie może sobie przywłaszczyć tego prawa.

— Komandor podporucznik nie odmawia sobie jednak prawa do decyzji, gdy chodzi o sprawy poważne, choćby takie jak pozbawianie życia ludzi poza granicami naszego kraju. Czy w Szwecji też pan to robił?

— Na to pytanie również nie wolno mi z wiadomych powodów odpowiedzieć. Proszę je postawić ÖB.

— Niech nam pan wyjaśni, komandorze podporuczniku Hamilton, kiedy daje pan sobie prawo do mordowania, bo przyznał pan wyraźnie, że takowe posiada, co stanowi jego podstawę prócz, oczywiście, prawa silniejszego?

— Obrona konieczna.

— Rozstrzygnięcia w tym zakresie pan naturalnie opanował jak tabliczkę mnożenia?

— Nie. Tego bym nie powiedział. Jestem oficerem, a nie prawnikiem.

— Chętnie byśmy jednak usłyszeli, czym się pan kieruje. Może jakaś próbka z dziedziny prawa obrony koniecznej?

Na to jedno pytanie Carl się przygotował. A raczej został przygotowany. Spojrzawszy prosto w kamerę za plecami przewodniczącego, odpowiedział:

— Ten, kto jest zmuszony do działań w obronie własnego życia i zdrowia, nie ponosi odpowiedzialności, jeżeli działanie ze względu na charakter niebezpieczeństwa, wyrządzoną szkodę i okoliczności można uznać za usprawiedliwione.

— Trzeba przyznać, że się pan solidnie przygotował... Gdybyśmy jednak zastosowali tę definicję do opisanej przez pana sytuacji, konieczność sprowadzałaby się do tego, że musiał pan zabić, żeby uwolnić szwedzkich lekarzy. Czy tak mam to rozumieć?

— Tak.

— A nie wystarczyłoby dać im po głowie?

— Nie.

— Czemu?

— Musiało się to odbyć bez najmniejszego hałasu. Przed domem, w którym trzymano zakładników, był strażnik. Niełatwo dać komuś, jak pan powiada, po głowie w ciemnościach. Ryzyko jest zbyt duże.

— I pan czuje się uprawniony do takich ocen?

— Właśnie w takich sprawach czuję się kompetentny.

— A pozostałe dwie osoby? Jak się to odbyło?

— Wszedłem do domu. Obie były uzbrojone. Strzeliłem pierwszy.

— Strzelał pan, żeby zabić?

— Strzelałem, żeby trafić, co w wypadku nowoczesnej broni na jedno wychodzi, bo mierzy się w środek celu.

— Rutynowo?

— Nie, gdy zmuszają do tego czas i sytuacja. A tak właśnie było w omawianym wypadku.

— Dziękuję, panie przewodniczący, kontynuowanie uważam za rzecz wstrętą. To raczej sprawa dla prokuratury niż dla parlamentarnej komisji konstytucyjnej i być może byłoby błędem dociekać tu i teraz przestępstw pana komandora podporucznika. Nie mam na razie więcej pytań.

Do głosu doszła przedstawicielka Partii Liberalnej, jedna z inspiratorek wielkiej dyskusji, czy powierzyć zbadanie sprawy komisji. Carla uprzedzono, by miał się na baczności nie pozwolić się zwieść złudzeniu, że łatwiej mu pójdzie z kobietą. Tę ostatnią radę uznał za zbędną. Udzielił mu jej człowiek z zupełnie innego pokolenia.

— Dziękuję, panie przewodniczący. Jesteśmy tu po to, żeby przede wszystkim określić odpowiedzialność rządu, a nie wdawać się w szczegóły operacji, bez względu na to, jak wydawałyby się fascynujące czy osobliwe. Chciałabym więc zacząć od pytania, czy dobrze zrozumiałam, komandorze podporuczniku, że nie jesteś podwładnym Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

Carl zastanawiał się chwilę. Przeczuwał jakąś pułapkę.

— Podlegam naturalnie moim szefom ze Sztabu Obrony — odrzekł defensywnie.

— Powiedziałeś przecież, że nie mogłeś spełnić żadnych żądań Petera Sormana, tak przynajmniej usłyszałam, jeśli chodzi o nieprzekazywanie sprawy dalej. Zameldowałeś o wszystkim, co zaszło w Libanie, swojemu szefowi.

— Tak, zgadza się.

— Ale dlaczego Sorman właśnie ciebie wysłał do Libanu?

— Sam go o to spytałem. Powiedział, że dyspozycje pochodzą od rządu. A domaganie się, bym nie mówił, odebrałem jako osobistą prośbę, a nie rozkaz.

— A to twoim zdaniem co innego?

— Oczywiście.

— Więc nie wyprawiłbyś się do Libanu bez polecenia rządu?

— Nie.

— Czy Peter Sorman powiedział wyraźnie, że decyzję podjął rząd?

— Owszem, wyraźnie, ponieważ go o to prosiłem. Następnie powiadomił Sztab Obrony, że zostałem w pewnym sensie wypożyczony.

— Jak to sformułowano?

— Nie wiem. Możliwe, że ÖB udzieli odpowiedzi.

— Tak... Ty jednak nie miałeś żadnych wątpliwości, że jedziesz z ramienia rządu?

— Ani przez chwilę.

— Dlaczego?

— Sorman wyraził się bardzo jasno, zajmował się przecież polityką zagraniczną Szwecji i zaopatrzył mnie w paszport dyplomatyczny. Nie miałem powodu kwestionować jego uprawnień.

— Jeśli dobrze rozumiem, będziemy zmuszeni, panie przewodniczący, wezwać ambasadora Sormana, by poznać opinię drugiej strony. Tymczasem idźmy dalej. Chciałabym podkreślić, że moje pytania mają na celu wyjaśnienie kwestii odpowiedzialności rządu. Czy kiedykolwiek zostałeś nagrodzony przez rząd szwedzki?

— Tak, dwukrotnie.

— Tymi świcidelkami... przepraszam, nie wiem, jak się nazywają...

— Baretki.

— Aha, i te... baretki informują, jakie dostałeś odznaczenia za swoją działalność?

— Tak.

— Mógłbyś je wymienić? Nie bardzo się na tym znamy.

— Owszem. Niebiesko-żółte to królewskie medale za odwagę, czerwono-czarno-żółta to komandoria zachodnioniemieckiego Bundesverdienstkreutz, czerwona to odpowiednia klasa Legii Honorowej, a złote skrzydełka to odznaczenie amerykańskie, czy raczej wyraz uznania zasług.

— I zdobyłeś je za działalność wojskową?

— Tak.

— A kto decydował o ich przyznaniu?

— Prezydent Francji, przewodniczący Bundestagu, rząd szwedzki i jak sądzę, szef amerykańskiej marynarki wojennej.

— Najwyraźniej wiele podróżowałaś, nas jednak interesuje tylko szwedzki rząd, który odznaczył cię dwa razy, czy tak?

— Tak.

— Który rząd?

— O ile wiem, jeden otrzymałem decyzją byłego premiera, a drugi jego poprzednika.

— Czy decyzje zapadły na posiedzeniu Rady Ministrów, czy podjęli je premierzy?

— Tego nie wiem.

— Wspominasz jednak o premierach.

— Medali nie wręczali mi osobiście.

— Tak... A za jakąż to działalność rząd lub premierzy postanowili cię nagrodzić?

— Mogę opowiedzieć jedynie o tym, co się wiąże z pierwszym medalem. Kiedy pracowałem w wydziale bezpieczeństwa Głównego Zarządu Policji, zostałem przydzielony do zespołu prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstwa zastępcy komendanta policji Axela Folkessona. W fazie końcowej doszło do konfrontacji z czterema izraelskimi terrorystami w pewnej willi w Täby. Niestety zjawiłem się za późno, by przeszkodzić w masakrze, którą rozpoczęli.

— Tak, to bardzo znane wydarzenie. A więc to, o czym donosiła prasa, że Izraelczyków zabił kapitan Hamilton, jest prawdą?

— Tak.

— I za to zostałeś odznaczony przez rząd albo ówczesnego premiera?

— Zgadza się.

— A ten drugi przypadek, kiedy były premier albo jego rząd zdecydowali się przyznać ci ten medal... Na jakiej podstawie?

— Nie wolno mi odpowiedzieć na to pytanie.

— Operacja, która się z tym wiąże, objęta jest tajemnicą służbową, o czym komandor podporucznik Hamilton wspomniał wcześniej?

— Tak.

— Ale decyzja odznaczenia cię za tę tajną operację wyszła od rządu lub od premiera?

— Tak.

— Można więc uznać, że rząd wyraził swoją aprobatę dla operacji?

— Tak, interpretacja wydaje mi się słuszna.

— Nie dotyczyło to morderstwa Sandströma w Moskwie?

— Nie wolno mi odpowiedzieć na to pytanie.

— Nie możesz nawet zaprzeczyć?

— Nie. Nie mogę ani zaprzeczyć, ani potwierdzić.

— Wiesz może, czy Sandström żyje?

— Nie wolno mi odpowiedzieć na to pytanie.

— Dziękuję, panie przewodniczący. Na razie nie mam więcej pytań.

Później głos zabrała jedna z płotek, pewien starszy przedstawiciel Partii Umiarkowanej, który z wypowiedzi Carla wysnuł wniosek, że współpraca z palestyńskimi terrorystami wchodzi w zakres obowiązków szwedzkiego oficera.

Carl, po raz pierwszy lekko sprowokowany, odparł, że po pierwsze, nie podziela oceny, jaka kryje się w słowach członka komisji, a po drugie, otrzymał wyraźne polecenie od Sormana, by nawiązał tego typu operacyjną współpracę właśnie z wywiadem wojskowym OWP, z którym zresztą kilkakrotnie skutecznie współdziałał, a po trzecie, szwedzki wywiad wojskowy nie żywi żadnych przesądów ograniczających wybór partnerów.

Pytanie, czy wobec tego dochodzi również do współpracy ze Wschodem, Carl skwitował dobrze już komisji znaną formułką, że nie wolno mu odpowiedzieć, ponieważ obowiązują go specjalne instrukcje, co wszyscy na sali potraktowali jako potwierdzenie.

Płotka stała się agresywniejsza i pozwoliła sobie na pytanie, czy Hamilton jako żołnierz najemny nie był wypożyczany przez instytucje zagraniczne.

Carl, zdławiwszy impulsywną chęć odparowania impertynencji o „żołnierzu najemnym”, oświadczył, że jak rozumie, pytanie odnosi się do tego, czy w ramach obowiązków służbowych współpracował z zagranicznymi organami bezpieczeństwa i wywiadu. Może na to odpowiedzieć twierdząco, owszem, raz miał ku temu okazję jako funkcjonariusz policji, co jest dość powszechnie przyjęte między zachodnioeuropejskimi jednostkami policyjnymi i nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Przeciwnik szukał przez chwilę nowych punktów zaczepienia, by w końcu rzucić pytanie, czy zachodnie odznaczenie uzyskał za udział w akcji, do której został wynajęty, gdy pracował na Kungsholmen, i czy jest prawdą, że maczał palce w likwidacji terrorystów.

Carl przyznał, że przez pewien czas mieszkał z niemieckimi terrorystami, po czym do decydującej konfrontacji wezwał oddział specjalny. Informacje publikowane w „Expressen” są w dużej mierze prawdziwe, choć przeceniają jego rolę w końcowym etapie operacji.

Następnie płotka zdobyła się na dość banalne pytanie o powód wręczenia Carlowi orderu Legii Honorowej. Carl znów odwołał się do danych prasowych. Udaremnił porwanie samolotu Air France, mniej więcej tak, jak to podawały media.

— Jeśli dobrze pana komandora podporucznika zrozumiałem, w swej zbrodniczej działalności stawia pan na równi Arabów i Izraelczyków, słyszeliśmy bowiem, że kilka lat temu uznał pan za konieczne zabić czterech oficerów izraelskich w Täby, lecz równie dobrze może pan zlikwidować Arabów.

Indagujący sprawiał wrażenie zadowolonego, że w końcu udało mu się przyszpilić przeciwnika. Carl milczał.

— Mógłbym ewentualnie usłyszeć odpowiedź? — przynaglił reprezentant Partii Umiarkowanej.

— Nie odebrałem tego jako pytania, tylko jako pańskie osobiste refleksje i niemal impertynencję — oświadczył Carl, nie podnosząc głosu.

Na samym końcu, zgodnie z ustalonym wcześniej porządkiem, przyszła kolej na komunistów.

Przedstawiciel Vpk [Vpk — Vänsterpartiet Kommunisterna — Komuniści — Partia Lewicy (Przyp. tłum.)] nie był bynajmniej idiotą, ale oczywiście występował jako zdecydowany przeciwnik wojska i policji, zwłaszcza tajnej. I z tego powodu przesłuchanie odebrał jak mękę. Ponieważ miał dziennikarską praktykę, bez trudu pojął, że tłumom na galerii i zapewne milionowej widowni przyklejonej do telewizorów podsuwa się bohatera narodowego gigantycznych rozmiarów i zarówno wysiłki polityków zmierzające do okiełznania tej działalności, jak i zakusy prokuratury, by zakwalifikować przestępcze poczynania Carla jako morderstwa, spalą na panewce. W pewnym sensie uważał za swój polityczny obowiązek nazwać ten obłąkany proceder po imieniu.

— Muszę przyznać, panie przewodniczący, że nie uczestniczyłem dotąd w czymś równie osobliwym, by nie powiedzieć, podejrzanie osobliwym. Opowiada się nam o czynach, które moim zdaniem, używając terminologii kodeksu karnego, należy uznać za morderstwa i fizyczne znęcanie się, a członkowie komisji jakby nie do końca zdają sobie sprawę, z jakim straszliwym bezprawiem mamy tu do czynienia. Przychodzi mi na myśl przesłuchanie przeprowadzone kilka lat temu przez komisję amerykańską, podczas którego pułkownik Oliver North, bodaj tej samej rangi co komandor podporucznik, został potraktowany jak bohater, kiedy opowiadał o wyczynach w stylu Rambo. Myślę, że to swojego rodzaju skandal, że dajemy się wciągnąć w podobną sytuację.

— Przepraszam, jak brzmi pytanie? — odezwał się Carl, kiedy przedstawiciel Vpk skończył.

Po raz pierwszy telewidzowie dostrzegli wzbierającą w nim złość.

— Ach, tak, no więc, czy nie czuje się pan jak Oliver North?

Carl nie odpowiedział od razu, skoncentrował się niczym strzelec przed strzałem. Spokojnie, pomyślał, tylko spokojnie. Żadnych przypadkowych ruchów, łagodnie naciśnij spust.

— Czy naprawdę mam odpowiedzieć?

Wyszedł z założenia, że replika może być tylko jedna i potrzebował nieco czasu na jej doprecyzowanie.

— Tak, proszę.

— Wobec tego najpierw chciałbym zauważyć, że jest to impertynencja nie tylko wobec mnie, lecz także wobec całego narodu. W pytaniu kryje się bowiem porównywanie Szwecji do imperialistycznego supermocarstwa. Jakby szwedzka armia kierowała swoje siły i środki do dławienia wolności państw Trzeciego Świata. Tymczasem koncentrujemy się przede wszystkim na obronie naszego kraju i naszych interesów w świecie zdominowanym przez supermocarstwa, które wysyłają swoich gangsterów, tak jak armady swoje myśliwce, czyli gdzie im się spodoba. Nie potrafię pojąć, nie wiem, jak mam to rozumieć, że poseł Vpk mógł wpaść na coś równie bezsensownego jak porównanie naszego kraju z supermocarstwem. Jeśli o mnie chodzi, niech wolno mi będzie powiedzieć, że za młodu brałem udział w akcjach solidarnościowych wymierzonych w imperializm i swoje polityczne sympatie ulokowałem w stowarzyszeniu studenckim Clarté. Nigdy nie głosowałem na Vpk nie tylko dlatego, że pańska partia, proszę szanownego członka komisji konstytucyjnej, jest przeżytkiem i ostoją konserwatyzmu, ale również dlatego, że ma tak silne więzy z innym imperialistycznym supermocarstwem.

Była to jedyna w tym wielogodzinnym odpytywaniu agresywna wypowiedź Carla. Z pewnością zacytują ją nie tylko szwedzkie, ale i światowe serwisy informacyjne.

Kiedy skończył, członkowie komisji ani drgnęli, skamieniali ze zdumienia. Wreszcie przewodniczący się otrząsnął, pochylił lekko i z nie schodzącym z twarzy uśmiechem spytał reprezentanta Vpk, czy chce jeszcze coś dodać.

— Owszem, panie przewodniczący... Muszę przyznać, że nie przestaje mnie pan zadziwiać, komandorze podporuczniku Hamilton. Czy mam rozumieć, że w najtajniejszych wydziałach naszych sił zbrojnych znalazła się osoba o takim nastawieniu politycznym, które tradycyjnie w każdym widzi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa? Trochę inne mamy wyobrażenia o szwedzkich oficerach.

— Nie mogę ponosić odpowiedzialności za wyobrażenia o szwedzkich oficerach — chłodno zareplikował Carl. Już się opanował. — Mogę powiedzieć tylko tyle, że w służbie wywiadowczej nie zwraca się uwagi na polityczne przekonania pracowników. Obowiązują lojalność wobec Szwecji, zawodowa kompetencja i dyskrecja. Nie sądzę jednak, by mój pogląd na imperialistyczne supermocarstwa był w firmie czymś wyjątkowym.

— W firmie?

— Przepraszam, w wywiadzie, tak go nazywamy.

Później znów padały pytania różnych członków komisji, a na końcu odbył się seans, w trakcie którego przewodniczący sam sobie odpowiadał długimi oracjami zmierzającymi do jednego wniosku, że Carl nigdy nie otrzymał polecenia bezpośrednio od rządu, co trudno było komentować.

Wiceprzewodniczący komisji powstrzymał się od wielu pytań, nie uważał bowiem za stosowne, jak oświadczył, wyciągać przy otwartej kurtynie szczegółów, które w jego mniemaniu powinny pozostać tajne. Zresztą przygotował już parę ciekawych pytań do osób wyżej postawionych od komandora podporucznika Hamiltona.

Potem po raz drugi dorwał się do głosu prawnik z Partii Centrum.

— Tak, panie Hamilton, uzyskaliśmy wgląd w pański bezsprzecznie przerażający sposób myślenia, chciałbym wierzyć, że nie jest on reprezentatywny dla szwedzkich oficerów. Nie cofa się pan przed mordowaniem ludzi w najrozmaitszych sytuacjach i wszelkimi dostępnymi metodami. O ile się nie mylę, powiedział pan przy okazji referowania tej historii z porwaniem samolotu, że zabił pan człowieka nożem, siedząc w fotelu lotniczym jak pierwszy lepszy pasażer.

— Nie myli się pan.

— I jeśli dobrze pojąłem tok pańskiego rozumowania, uważa pan, że i wtedy działał pan w obronie koniecznej?

— Tak, dobrze pan pojął.

— Tej osoby też nie mógł pan po prostu uderzyć w głowę, tylko musiał ją pan zarznąć. Czy mając specjalne przeszkolenie, nie potrafi pan pozbawić człowieka przytomności?

— Tak, naturalnie. Ale nie wtedy, kiedy siedzę przypięty pasem bezpieczeństwa do fotela. Jak próbowałem wcześniej wyjaśnić, byłem stosunkowo daleko od kabiny pilota, a porywacze znajdowali się z przodu. Uznałem więc za konieczne unieszkodliwić jednego z nich, żeby zbliżyć się do innych. A poza tym, rzecz jasna, musiało się to odbyć bez hałasu.

— Nie robi na panu wrażenia podrzynanie ludziom gardeł?

— Owszem, robi, bardzo duże.

— A mimo to żadnego wahania?

— Nie w sytuacji, o której mówimy. Jeśli podczas operacji przeżywa się rozterki, powinno się poprosić o przeniesienie do innego wydziału służby wywiadowczej.

— Ale pan nie poprosił?

— Jakiś czas byłem zatrudniony w wydziale do spraw ataszatów przy Sztapie Obrony, teraz zajmuję się pracą biurową, a po tym wszystkim już nigdy nie wrócę do zadań operacyjnych.

— To znaczy po przesłuchaniu przez komisję konstytucyjną?

— Tak.

— Czy pańskim zdaniem oficer musi słuchać rozkazów bez względu na wszystko?

— Nie. Nie bez względu na wszystko, co wykazały procesy w Norymberdze. Choć z drugiej strony muszę przyznać, że taką sytuację trudno sobie wyobrazić w naszym kraju.

— Więc gdyby pan dostał rozkaz zamordowania szwedzkiego szpiega w Moskwie, odmówiłby pan jego wykonania?

— To hipotetyczne pytanie.

— Naturalnie, ale tak zwykli odpowiadać nasi szacowni koledzy z kręgów politycznych, a jeśli dobrze pana zrozumiałem, polecono panu odpowiadać zgodnie z prawdą na wszystkie pytania z wyjątkiem tych, które dotyczą spraw bezpieczeństwa.

— Zgadza się. I próbuję to robić.

— Wobec tego powtarzam pytanie. Rządzących naszym krajem może zainteresować wgląd w to, co możliwe i niemożliwe. Czy zechciałby pan odpowiedzieć?

Carl musiał się zastanowić. Czy obowiązek dochowania tajemnicy służbowej obejmuje również kwestie hipotetyczne? Doszedł do wniosku, że im dłużej się waha, tym dokładniej przyglądają mu się kamery telewizyjne. I patrzy na niego Eva-Britt.

— Gdybym dostał taki rozkaz, do głowy by mi nie przyszło odmawiać ani myśleć o procesie norymberskim — stwierdził.

— Ale w dalszym ciągu nie może pan powiedzieć, czy dostał pan taki rozkaz, a jeśli tak, to od kogo? Jako dyplomata, podlegał pan UD?

— Nie, attache wojskowi podlegają wydziałowi do spraw ataszatów przy Sztapie Obrony, który stanowi jawną część służby wywiadowczej.

— Mimo to w dalszym ciągu nie może pan powiedzieć, czy otrzymał pan taki rozkaz?

— Przykro mi, ale nie mogę. Ponownie odsyłam do ÖB.

— Uważa pan, że podejrzenie gardła temu człowiekowi było czynem chwalebnym?

— Nie odpowiem z powodów osobistych, ponieważ uważam pytanie za bezczelne. Prezydent Francji uznał w każdym razie, że uwolnienie z rąk porywaczy przeszło dwustu pasażerów warte jest Legii Honorowej.

Weteran z Partii Centrum nie zwykł być przygważdżany przez tych, których odpytywał. Zdecydował się więc dać odpór, czym zwrócił uwagę światowych stacji telewizyjnych, powtarzających później ten ustęp do znudzenia.

— Skoro komandor podporucznik chce mówić o aspektach międzynarodowych, nie mam nic przeciwko temu. Można by w związku z tym spytać, czy trwająca obecnie tak zwana wojna agentów nie jest skutkiem pańskich rozmaitych działań w obronie koniecznej, czy to w



samolocie, czy w Moskwie, czy też w miejscach, których zgodnie z rozkazami, jakie pan otrzymał, nie wolno panu wymienić.

Carl nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Nie ma żadnej wojny agentów.

— Jest pan tego absolutnie pewien?

— Tak. Bez względu na to, jak rozumieć to nieco przesadne określenie, albo osobiście byłbym w nią zamieszany, albo przynajmniej coś bym o niej wiedział. Między nami i Związkiem Radzieckim czy jakimś innym obcym państwem nie toczy się żadna wojna agentów.

— Niektóre wydarzenia zdają się temu zaprzeczać.

— Mam inne zdanie w tej sprawie. Wszystko wymyślił jakiś dziennikarz z gatunku pożytecznych idiotów w dobrej wierze czy w niezmierzonej swej głupocie albo może pisze pod czyjeś dyktando, jak mają najwyraźniej w zwyczaju niektórzy żurnaliści. W każdym razie to nieprawda.

— Więc komandor podporucznik twierdzi, że dziennikarze są idiotami?

— Nie. Powiedziałem „pożyteczny idiota”, a to nie to samo.

— Proszę wybaczyć ignorantowi, ale nie bardzo pojmuję różnicę.

— Już wyjaśniam. Określenie wywodzi się z rosyjskiej terminologii szpiegowskiej. Chodzi o osobę, która wysługuje się na przykład innym państwom lub rodzimym instytucjom, nie rozumiejąc, że to robi.

— I takie rzeczy nie powinny się pańskim zdaniem znaleźć w gazecie?

— Uważam, że nie powinny, i ubolewam, że tak się stało.

— Więc może zdaniem komandora podporucznika powinniśmy znieść wolność słowa i druku, żeby komandor podporucznik w sposób bardziej nieskrępowany kontynuował swoją działalność?

Carl przez chwilę spoglądał obojętnie. Nagle jego oczy przybrały taki wyraz, który bez wątplenia można by nazwać lodowatym. Odpowiedział wolno i ciszej, lecz z siłą, której nikt nie mógł nie zauważyć.

— Podczas wykonywania moich obowiązków, o których się pan wyraża z taką pogardą, kilka razy mogłem stracić życie. Ale tę świadomość łatwo znieść, gdy się wie, że celem nadrzędnym jest to, by w moim kraju i pańskim też, szanowny członku komisji konstytucyjnej, pożyteczni idioci mieli prawo pisać, co chcą, a politycy w parlamencie mogli sobie pozwalać na impertynencje. Wszystko ma swoją cenę. A moje życie nie jest ceną za wysoką za prawo nas wszystkich do rozwoju naszej demokracji.

W ten sposób reprezentant Partii Centrum został załatwiony odmownie. Uznał, że sytuacja nie sprzyja ironicznym docinkom, i zrezygnował z dalszych pytań, jakby chciał jak najszybciej usunąć się z oczu telewizyjnych kamer.

Później znów doszły do głosu płotki, które na ogół stawiały wcześniej już zadane pytania, na które Carl starał się odpowiadać bez zniecierpliwienia i najuprzejmiej, jak umiał.

Ostatnia na liście mówców była przedstawicielka socjaldemokratów, pani w średnim wieku. Zaznaczywszy, że pytanie, które zamierza zadać, zadał już jej przedmówca, wyznała, że przyszło jej do głowy zapytać o coś kompletnie nie mającego związku z polityką, a wynikającego z jej prywatnych przemyśleń.

— Sporo w tym przesłuchaniu dramatyzmu, a ja nie mogę się nadziwić, jak człowiek pańskiego pokroju, komandorze podporuczniku Hamilton, jest w stanie tak spokojnie opowiadać najokropniejsze rzeczy bez najmniejszego wzruszenia. Czy nigdy nie bywa panu ciężko i nigdy się pan nie boi?

Carl natychmiast wyobraził sobie Evę-Britt siedzącą na kanapie na Drakens gränd, bezwiednie odnalazł wzrokiem kamerę stojącą gdzieś za plecami przewodniczącego i patrząc w oczy trzem milionom widzów, wcale o tym nie wiedząc, przesądził sprawę.

— Bardzo trudno zwięźle odpowiedzieć na to pytanie. Możliwe, że starałem się zachować zimną krew, nie bierze się to jednak tylko stąd, że znalazłem się tutaj na polecenie przełożonych i jako reprezentant sił zbrojnych. Wszystko, o co mnie pytacie i na co jestem zobowiązany odpowiedzieć, dotyczy bowiem mojej duszy. Owszem, jest mi ogromnie ciężko. Jeśli się pracuje w wydziale operacyjnym szwedzkiej służby wywiadowczej, codziennie trzeba sobie zadawać bardzo bolesne pytania. Przede wszystkim boi się człowiek utracić tych, których kocha, boi się nie śmierci, lecz jej konsekwencji. A jeśli się na dokładkę krzywdzi innych, w chwilach samotności rodzą się wątpliwości, czy warto, czy postępuje się słusznie. Zadaję sobie te pytania od lat, odbywałem długie rozmowy z jednym z szefów, który jest mi dość bliski. Odpowiedź jest mniej więcej taka, że zostałem oficerem z przekonania i zawsze pragnąłem wykorzystywać swoje umiejętności w obronie Szwecji, już w Clarté. Przed niczym nie uciekam, chcę tylko wykonywać zadania tak trudne, że niewielu by sobie z nimi poradziło. Trzeba je wykonać, to element naszej obrony, której jestem częścią. Działając cały czas w zgodzie z własnym sumieniem, a przynajmniej usiłując, mogę się obawiać wyłącznie jednego: utraty wolności lub kogoś, kogo kocham. Niczego więcej.

Gdy skończył, stało się coś bezprecedensowego w historii posiedzeń komisji konstytucyjnej. Na galerii, nawet wśród stłoczonych dziennikarzy gruchnęły oklaski. Zupełnie jakby nareszcie znalazły ujście długo tłumione uczucia.

Na sali wciąż panował zamęt, kiedy nieodmiennie uśmiechnięty przewodniczący podziękował komandorowi podporucznikowi za łaskawe przybycie i udzielenie komisji wyjaśnień. A potem szykującego się do wyjścia Carla opadła horda fotoreporterów.

Gdy zmieszany rozejrzał się za ochroniarzami, którzy stali dość daleko od niego, z gromadki fotografów wyłonił się pulchny osobnik w okularach i wyciągnąwszy rękę na powitanie, oznajmił, że nazywa się Wennström, jest z „Expressen”, też wykonuje tylko to, co do niego należy, i chciałby uzyskać wywiad.

Carl zeszytywniał. Popatrzywszy z obrzydzeniem na wyciągniętą dłoń, spojrzął w twarz dziennikarzowi z takim wyrazem, który mógłby się przyśnić. W ciągu paru sekund uprzejmość, jaką prezentował podczas przesłuchania, rozplynęła się bez śladu.

— Nie rozmawiam ze zdrajcami ojczyzny — oświadczył przez zaciśnięte zęby i zaczął się przeciskać ku ochroniarzom.

Podziemnymi przejściami wyszedł z drugiej strony parlamentu, gdzie czekały nań samochód Sztabu Obrony i gromada dziennikarzy, którzy przejechali manewr Carla.

Ku jego rozczarowaniu w samochodzie nie było telefonu, a chętnie by zadzwonił do Evy-Britt.

Zawieziono go od razu na Lidingövägen, gdzie zastał nie tylko ÖB. Miał wrażenie, że w gabinecie zebrała się połowa dowództwa wojskowego. Przed wyłączonym telewizorem stało półkolem kilkanaście krzeseł, na których wisiały szamerowane złotymi galonami marynarki. W pomieszczeniu zalatywało papierosowym dymem, potem i piwem. Nie licząc Samuela Ulfssona i obsługi, która wynosiła pełne popielniczki i puste szklanki, a wносиła czyste, tylko Carl miał niższy stopień od generała dywizji. Większość mężczyzn była mu kompletnie nie znana.

OB, też bez marynarki, precyzyjnie się do Carla, długo ścisnął mu dłoń, po czym przedstawił komandora podporucznika poklepując go po plecach oficerom.

Wniesiono szampana. Carl nie wierzył własnym oczom. Przez moment zastanawiał się z przerażeniem, czy gdzieś w pobliżu nie kręcą się dziennikarze. Gdy wszyscy zaopatrzyli się w kieliszki, ÖB wznosił toast.

— Wygraliśmy, a raczej Hamilton dla nas wygrał — obwieścił, podnosząc kieliszek.

Nastrój zapanował niemal euforyczny, wszyscy nagle pragnęli porozmawiać z Carlem na osobności, nie nawykli do tego, żeby ktoś w ich towarzystwie mógł się pochwalić tą samą lub większą liczbą odznaczeń.

ÖB odciągnął Carla w kąt pokoju.

— Fantastyczny wyczyn, Hamilton — rzekł z uśmiechem i jeszcze raz podniósł kieliszek.

— Przyznaję, że zaskakuje mnie wasz entuzjazm — cicho odparł Carl, mechanicznie odpowiadając na gest ÖB.

— Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy z efektu?

ÖB był autentycznie zdziwiony.

— Prawdę mówiąc, nie.

W tym momencie zbliżył się do nich szef marynarki i poklepał Carla po plecach. Z kieliszka prysnęło kilka kropel szampana.

— Po kilkugodzinnym siedzeniu przed telewizorem wyrobiliśmy sobie jednoznaczną opinię — podjął ÖB, kiedy Carl zapanował nad kieliszkiem. — Szczersze wystąpienie w tej wyjątkowo trudnej sytuacji niełatwo sobie wyobrazić. O ile się zdołaliśmy zorientować, naród szwedzki nareszcie ma oficera bohatera. Twoje spojrzenie do kamery podczas ostatniej wypowiedzi i nauczka, jaką dałeś temu komuniście, były fenomenalne.

— No dobrze, ale zostało sporo kwestii, których nie wyjaśniłem i z którymi pan będzie się musiał wkrótce zmierzyć. Nie wiem, jak pan ten problem rozwiąże, ale choć to naturalnie nie moja sprawa, trudno mi o tym nie myśleć.

— To wcale nie takie trudne, rozwinąłeś front, a mnie, że tak powiem, przypadnie w udziale jedynie zdławienie ostatnich ognisk oporu.

— Będą stawiali kłopotliwe pytania.

— Oczywiście. Ale od tej chwili nie ma mowy o polityce otwartych drzwi. Jako głównodowodzący, wystąpię po pierwsze bez świadków przez wzgląd na bezpieczeństwo państwa, a po drugie nie odpowiem na żadne pytanie, powołując się na owo bezpieczeństwo i wsparcie obecnego ministra obrony.

— Wydaje się to zbyt proste.

— Socjaldemokraci nie chcą nam zaszkodzić, bo sami zostaliby w to wmieszani, a prawica rozumie nasze delikatne układy z, hm, opozycją i ma większość. Dlatego komuniści, działacze chłopscy i kościelni mogą krzyczeć do woli, żądając naszej krwi, a dokładniej, twojej. Domagali się twojej głowy, a teraz sami wiszą w oczach opinii publicznej.

— Uważam, że zademonstrowaliśmy zdumiewającą otwartość.

— Możliwe, lecz potwierdziliśmy jedynie rzeczy znane, a gdybyśmy się migali, jak to mają w zwyczaju politycy, po pierwsze, przedłużylibyśmy te męki, a po drugie, nie odnieśliśmy takiego zwycięstwa.

— Czy ÖB jest pewien, że to zwycięstwo?

— Całkowicie.

— Czy ÖB wie, co zaszło w Moskwie?

— Nie. Jak się wyraził ten podsekretarz stanu? „Nic mi, do cholery, nie mów!” Czy tak?

Szef wydziału informacji przy Sztabie Obrony przerwał im niezwykle owocną rozmowę. Mass media dobijały się o wywiady. Najważniejsze były zdaniem wydziału ABC, NBC, CBS, „New York Times”, „Time Magazine”, „Newsweek” i „Washington Post” z USA, „Le Monde” i „Le Figaro” z Francji, „Die Zeit”, „Neue Züricher Zeitung” i „Der Spiegel” z Niemiec, czy gdzie tam się ten drugi dziennik ukazywał, „The Times”, BBC i inne sieci telewizyjne z Wielkiej Brytanii. Tak, te są najbardziej godne uwagi, ale oczywiście nadchodzą i inne zgłoszenia, trzeba przyznać, że nigdy dotąd, nawet gdy chodziło o najgorsze afery z łodziami podwodnymi, coś podobnego się nie zdarzyło.

W Carlu narastało uczucie paniki, na szczęście kiedy poprosił ÖB o pozwolenie na nieudzielanie wywiadów, od razu uzyskał zgodę.

Zdaniem ÖB chwilowo nie należało mówić nic więcej.

Gdy po godzinie udało mu się wymknąć z piwiarni głównodowodzącego, zadzwonił do domu.

Dowiedział się, że Drakens gränd okupują dziennikarze. Na dachach niektórych samochodów zainstalowano kamery, a z innych wystają anteny. Musiała wyłączyć dzwonek, bo nie zdejmowali palca z domofonu.

Ustalili, że spotkają się u niej. Powinna tylko uważać, by nikt za nią nie pojechał.

Wydawała się w znakomitym humorze, zażartowała nawet, że w jej wypadku mogłoby jedynie chodzić o wywiad do „Svensk Damtidning”, ale postara się wymknąć.

\* \* \*

Casus Hamiltona przysporzył Szwecji więcej rozgłosu w światowej prasie niż cokolwiek innego w ostatnich latach. Przypuszczalnie co najmniej miliard ludzi zobaczyło szwedzkiego Jamesa Bonda, przesłuchiwanego przez parlamentarną komisję konstytucyjną. Szwedzka TV zarobiła krocie na sprzedaży praw do emisji.

Stanowisko prasy okazało się bardzo proste. Bez zastrzeżeń relacjonowano historię jako potwierdzoną. Zachodni agent, jak się to zwykle formułowało w dziennikarskim żargonie, dostał się do matecznika Niedźwiedzia i pod jego nosem zlikwidował zdrajcę ojczyzny. Ten sam człowiek jest owym tajemniczym szwedzkim oficerem, który jakiś czas temu udaremnił porwanie samolotu.

Tak miało trwać przez najbliższy tydzień. Na przykład „Time Magazine” zamieścił na okładce zdjęcie Carla patrzącego prosto w kamerę, opatrując je podpisem: „Szpieg, który dokonał rzeczy niemożliwej”.

Reakcje prasy szwedzkiej nie były tak jednolite, nie tak jednoznacznie powoływano się na mit agenta i bohatera. „Expressen”, przywiązany do swojej linii, nie bardzo podzielał zachwyty innych i wespół z sympatyzującą z Moskwą „Norrskensflamman” i „Dagens Nyheter” usiłował przywołać społeczeństwo do opamiętania, wskazując, że wojskowi pozwalają sobie wykonywać wyroki na obywatelach, co jest sprzeczne z konstytucją.

Ale ich pogląd utonął w powodzi zachwytów czytelników innych gazet i telewizorów. Popołudniówki pierwszego dnia zamieściły całokolumnowe artykuły o uratowanych szwedzkich lekarzach, ze zdjęciami przedstawiającymi ich żony i dzieci, którzy w imieniu swoim i rodzin dziękowali Carlowi Hamiltonowi i wojskowej służbie wywiadowczej za to, że żyją. Potem następowały wywiady. Członkowie rodzin opowiadali, co czuli, kiedy siedząc przed telewizorem, usłyszeli z ust Hamiltona prawdziwą wersję uwolnienia ich mężów i ojców z rąk porywaczy w Libanie.

Trudno się oprzeć tego typu tekstom. Zaowocowały one mnóstwem listów do redakcji oraz doniesieniami o trzydziestu sześciu tysiącach telegramów i dwudziestu dwóch tysiącach bukietów, które zasypały Sztab Obrony dzień po telewizyjnej transmisji. TV pokazała ciężarówkę kwiatów.

Bardzo niewielu polityków mogło w atmosferze takiego entuzjazmu zdobyć się na pryncypialne zastrzeżenia w kwestii legalności. A ponieważ byli politykami, woleli tego nie robić.

Doradca prawny rządu stwierdził krótko, że nie pojawiły się żadne domniemania o przestępstwie, które mogłyby stanowić podstawę bliższego zbadania sprawy.

Minister obrony stanowczo utrzymywał, że Carl Hamilton oddał krajowi nieocenione usługi i gdyby wówczas był w rządzie, ani przez chwilę by się nie zawahał przyznać mu odznaczenia. Dotyczy to również operacji, która na zawsze pozostanie tajna ze względu na stosunki Szwecji z obcym mocarstwem. Owszem, zna jej kulisy. Medal za Odwagę jest najskromniejszym wyróżnieniem, jakie można sobie wyobrazić. Gdyby socjaldemokraci nie znieśli przyznawania orderów, komandor podporucznik Hamilton zasługiwałby na pewno na komandorię miecza, jeśli nie więcej.

Zniknęły zatem powody do krytykowania poprzedniego rządu za sprawy dotyczące wywiadu i wojska.

Urząd marszałka poinformował w komunikacie prasowym, że Jego Wysokość postanowił przyznać Hamiltonowi Medal Królewski, którego wręczenie odbędzie się w dniu imienin Carla, dwudziestego ósmego stycznia przyszłego roku. Medal nosi się na jasnoniebieskiej wstążce Orderu Serafickiego lub jako baretkę w tym samym kolorze.

Nawet tygodnikom udzielił się powszechny entuzjizm.

Dla „Expressen”, komunistycznej „Norrskensflamman” z Norrbotten i garstki rozproszonych przeciwników nastąpiły ciężkie czasy.

Szwecja nagle zasłynęła w świecie z najwspanialszego szpiega. I najbardziej fetowanego.

## 5

Joar Lundwall nie czuł chłodu ani nie niecierpliwił się. Podczas ćwiczeń na Alasce siedział kiedyś trzydzieści sześć godzin na podobnym stanowisku, tyle że w siarczysty mróz. Teraz było niewiele poniżej zera, na ziemi trochę puszystego śniegu, w powietrzu chyba więcej. Mogą zostać ślady. Na jego swobodę poruszania to jednak nie wpłynie, co innego Stålhandske.

Dzieliła ich odległość niespełna kilometra, zasadniczo mieli kontakt radiowy. Ale śmiesznie mały dystans, potrzeba ograniczenia ilości sprzętu, a także konieczność swobodnego przemieszczania się sprawiły, że wybrali zwykłe radio nadające i odbierające na częstotliwości łatwej do namierzenia. Nawet szyfr mógł wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie. Dlatego dopóki nic się nie wydarzy, powinni zachować ciszę w eterze.

Matka nabrała podejrzeń. Naturalnie jak wszyscy inni, siedziała przyklejona do telewizora, kiedy Hamilton odpowiadał na pytania parlamentarnej komisji konstytucyjnej. Nie była podejrzliwa, ale nie była też głupia. O synu wiedziała tyle, że uzyskał stopień Master of Science z informatyki i pracuje, z dość skromnym wynagrodzeniem, w wojsku. Kiedy kilkakrotnie usiłowała się do niego dodzwonić, w centrali oznajmiano, że nic im nie wiadomo o poruczniku Lundwallu ze Sztabu Obrony. Wraz z zatrudnieniem on i Stålhandske otrzymali stopień porucznika artylerii nadbrzeżnej.

Zaczęła się zastanawiać, zorientowała się przecież, że Hamilton działa w jakiejś komórce komputerowej, ale gdy zapytała czy go zna, źle zareagował. Próba dania jej do zrozumienia, że nie wolno mu na takie pytania odpowiadać, niemal skończyła się kłótnią. Nietrudno jednak pojąć niepokój matki, która nabrała podejrzeń, że syn zajmuje się w rzeczywistości czymś bardzo niebezpiecznym. Musi to jakoś wyjaśnić.

Stålhandske przypuszczalnie nie ma takich problemów.

Joar Lundwall w pewnym stopniu, acz z oporami zmodyfikował swoje zdanie o koledze. Jako człowiek nic się nie zmienił. Najsilniejszy na świecie, największy twardziel, bufon najgorszego pokroju, który nie miałby nic przeciwko temu, by w knajpie zaczepili go niczego nieświadomi chuligani, co pozwoliłoby mu popisać się nabytymi w wojsku umiejętnościami.

Trochę się jednak opamiętał. Lundwall przed wyprawą do Szwecji i operacją Big Red był przeświadczony, że Stålhandske nigdy w życiu nie podola normalnym studiom w San Diego. Ale po operacji wziął się w garść. Choć technika nasłuchu wcale nie okazała się prostsza do opanowania niż komputery, poradził sobie. O ile Joar Lundwall się na tym znał, a powinien, Stålhandske był w tym świetny.

Hamilton nie orientował się zapewne we wszystkich umiejętnościach Stålhandskego, bo ostatnio zbyt dużo rzeczy im przeszkadzało. Jak na ironię, stanowczo im zabroniono korzystania z praktycznych umiejętności Åke. Hamilton ujął to w taki sposób i takim tonem, że o żadnych podtekstach nie mogło być mowy. A Hamiltona uważał Stålhandske za jedyne silniejszego od siebie. Oczywiście nie fizycznie. W niektórych ćwiczeniach Carl miał trudności z pokonaniem i Stålhandskego, i Lundwalla. Ale w życiu, kiedy już nie chodziło o ćwiczenia? Wówczas nawet Åke mógł stracić wiarę w siebie.

Teraz wydawało się, że wszystkich trzech łączy niepisane przymierze. Mimo że wydział operacyjny nie był na podsłuchu, nigdy o tym nie mówili. Od czasu do czasu obrzucali się spojrzeciami, które dla postronnych nic nie znaczyły, a im wyjaśniały wszystko.

To oni przeprowadzili we trzech operację Big Red, tylko oni, nikt inny. I tym, który się najbardziej zmienił i dojrzał, był Stålhandske.

W każdym razie jedno wydawało się jasne. Operacja ze Stålhandsem nie nastroczała żadnych problemów. Można mu ufać pod każdym względem.

\* \* \*

Åke Stålhandske był w siódmym niebie. Cieszyły go trudności, umiejętność panowania nad sobą i nieokazywania zniecierpliwienia. Siedzieli już drugą dobę, wkrótce się ściemni i z niektórych sprzętów nie będzie pożytku, ale przypuszczalnie nikt się nie zjawi.

To jednak prawdziwa robota. Czuł ciepły, bezpieczny ciężar magnum. Na nogach miał grube amerykańskie buty typu polarnego, w których nogi pociły się nawet w temperaturze dziesięciu stopni poniżej zera, na głowie czapkę z otokiem z rosomaczej skóry.

Na polanie bliżej domu było najwyraźniej coś jadalnego, bo przed kilkoma minutami zawitały tam dwie sarny. Kręciły się teraz w odległości niespełna dziesięciu metrów od niego. Teoretycznie mógłby je zastrzelić z rewolweru. Skoro go nie zwietrzyły, znaczyłoby to, że jest wystarczająco dobrze ukryty i oczywiście sprzyja mu kierunek wiatru.

Åke Stålhandske był zachwycony. Od czasu do czasu sarny niespokojnie podnosiły głowy i nasłuchiwały, widział, jak strzygą uszami. A potem wracały do jedzenia, by po chwili znów nasłuchiwać.

Myślał o Joarze. Na początku traktował go jak gnojka. W dodatku pedał, a za pedałami nigdy nie przepadał. Ale ktoś, kto brał udział w operacji Big Red, nie jest gnojkiem. Joar jest dobry, bardzo dobry. Trudno tego nie przyznać, nie ma zresztą powodów. Najważniejsze, że Joar, pedał czy nie, spisał się na medal. *He wouldn't crack*. Czasem nadal myślał po angielsku.

Nie dało rady przemilczeć prawdy przed ojcem, jedyną osobą, której coś tam wcześniej napomknął. Ale ojciec, stary oficer, walczył w dwóch wojnach przeciwko Rosjanom, a do tego po pierwsze, nie był głupi, a po drugie, umiał dochować tajemnicy wojskowej.

Bez trudu dodał dwa do dwóch. Studia w USA fundowane przez armię zaowocowały stopniem oficerskim, mimo nieuczęszczania do szkoły kadetów, i pracą w służbie tajnej.

Natychmiast przyznał, że pracuje z Hamiltonem, który jest jego bezpośrednim szefem. Ojciec wzruszył się prawie do łez i po raz pierwszy od lat serdecznie go uściskał. Wtedy niewiele brakowało, by opowiedział o operacji Big Red. Na szczęście jednak tego nie zrobił.

Nic się bowiem nie wydało, politycy z komisji konstytucyjnej nie mieli o sprawie błędnego pojęcia. Z drugiej strony, dzięki przesłuchaniu on sam dowiedział się całkiem nowych rzeczy o Hamiltonie.

Cholera, ale szef! Zawieść zaufanie kogoś takiego? Nigdy! Ale już zdążył działać!

Jednak operacja Big Red była największa ze wszystkich dotychczasowych i jeśliby kiedykolwiek doszło do jej ujawnienia, nie on, Stålhandske, przyłożył do tego ręki. Chociaż właściwie szkoda, że ani Szwedzi, ani Finoszwedzi nie dowiedzą się, jak Rosjanie dostali po ryju.

Tylko trzy osoby na świecie wiedzą, jak się to naprawdę odbyło. Jedna z nich siedzi kilometr dalej i przynajmniej jedno jest jasne: operacje z Joarem nie przysparzają najmniejszych problemów. Można mu ufać pod każdym względem.

Usłyszał sygnał. Po nim wiadomość o dwóch samochodach z trzema lub czterema osobami.

Otóż to. Zawsze można na niego liczyć. Pedał czy nie, to bez znaczenia. Åke Stålhandske sprawdził sprzęt. Wszystko w porządku. Od własnego oddechu i temperatury ciała poczynając, a na urządzeniach kończąc.

\* \* \*

Inspektor policji Eva-Britt Jönsson, która w dalszym ciągu nie chciała, by ją nazywać „inspektorem”, ze śmiechem wkładała mundur. Myślała, że wpadnie na krótką pogawędkę, tymczasem rozmawiali niewiele.

Patrzyła na Carla. Leżał na materacu na podłodze i wyglądał na wykończonego lub tylko udawał, może dla zabawy, a może dla siebie, dla niej albo dla nich obojga. Oddychał przesadnie ciężko, w świetle stojącej lampy lśniły jego długie blizny. Całe wyposażenie pokoju składało się z materaca, lampy i czarnego wojskowego radia.

Wydawał się szczęśliwy. Po przesłuchaniu przez komisję konstytucyjną jakby się zmienił, bardziej przypominał tego Carla, którego zapamiętała z początku ich znajomości, kiedy latem wspólnie żeglowali. Twierdził, że nareszcie uwolnił się od przeszłości, wszystko minęło i pomалу staje się zwyczajnym człowiekiem, nie, prawdziwym człowiekiem, który ma zwykłą pracę, taką, o jakiej dawniej opowiadał. Jakby rzeczywistość doganiała prawdę lub odwrotnie.

Czekała ją wieczorem służba, brakowało kadry, dlatego musiała włożyć mundur.

Postanowiła traktować go jak pilota bojowego, który jest już za stary, by uczestniczyć w akcjach, i siedzi w Sztapie. Sam jej to zaproponował. I choć zdrowy rozsądek się temu sprzeciwiał, dzięki zmianie osobowości udało mu się przekonać uczucie. Śmiał się i żartował, kochał, jakby nigdy z tym nie miał żadnych problemów, potrafił się nawet bawić, dziecinne igraszki, podczas których udawali na przykład króliki i tak dalej. Wszystko to stało się silniejsze od mroku i zagrożeń, jakie dostrzegała w jego zwięzłych relacjach pokazywanych w TV. W pracy przez ostatni tydzień o niczym innym właściwie nie rozmawiano. Nie ulegało wątpliwości, że większość jej kolegów na swój sposób uwielbia komandora podporucznika Hamiltona i poświęciłaby lata życia, byle tylko zamienić swoje mundury na jego. Gdyby wiedzieli...

Niektórzy oczywiście wiedzieli, ale poprosiła, by siedzieli cicho. I posłuchali. W żeglarskiej gromadce dobrze pamiętali oficera marynarki nurkującego jak foka.

Nie zabezpieczała się, powiedział, że nie ma znaczenia, czy zajdzie w ciążę, czy nie, chociaż zaraz, powiedział inaczej, że bardzo by chciał, żeby miała dziecko, ponieważ prawdziwi ludzie zwykle je mają.

— No, wreszcie zwarta i gotowa. I spóźniona. Łobuzeria się poprzeziębła, jak się nie pospieszę — powiedziała wesoło, zapinając ostatnie guziki bluzki z dystynkcjami na lewym ramieniu i słowem policja na lewej piersi.

— Masz czas na obejrzenie kilku zdjęć? — spytał, mrużąc oczy od światła.

Wyjął spod materaca plik powiększonych fotografii i szybko rozłożył je pod lampą. Podeszła, niczego nie podejrzewając. Przypominały te, jakie robią ludzie od narkotyków, teleobiektyw, nie najlepsze światło, mężczyźni wsiadający do samochodów i wysiadający z nich, nic nadzwyczajnego.

— Gliniarze — oznajmił. — Pozostaje jedynie pytanie, co to za gliniarze.

Przyjrzała się zdjęciom i pokiwała głową.

— Skórzana Banda — odparła krótko z rosnącym niepokojem. — Dlaczego ich pstrykacie?

— Może dlatego, że mordują szwedzkich oficerów.

Usiadł po turecku.

— Skąd wiesz?

— Nie wiem, przypuszczam. Co znaczy w waszych kręgach Skórzana Banda?

— Pytasz mnie jako gliniarza, czy jako przyszłą matkę?

— Jako gliniarza.

— Chyba nie wolno wam prowadzić śledztwa?

— Otóż to. A więc komu jako gliniarz możesz zameldować o domniemaniu przestępstwa?

— Chyba przełożonym.

Ukłęka i jeszcze raz przeglądała zdjęcia.

— A czy nie mogłabyś, nie naruszając prawa, powiadomić o tym gliniarza, który zajmuje się dochodzeniem?

— Owszem, to jeszcze lepsze. Słuchaj, trochę się spieszę.

— Na odwrocie tego zdjęcia są nazwisko i numer telefonu komisarza z Norrköping, który prowadzi sprawę. Postaraj się, żeby dostał fotki, i pozdrów go ode mnie. Jestem mu co nieco winien, tylko pamiętaj, że źródło ma pozostać anonimowe, czy jak to tam nazywacie. Zidentyfikować możesz ich sama.

— Czy to przełom w śledztwie?

— Nie wiem. Może. Sądźmy, że te typy mają coś wspólnego ze sprawą. Ten w środku nazywa się Glücher i jest informatorem „Expressen”. Innych nie znamy, ale ty znasz. Później porozmawiamy o Skórzanej Bandzie.

— Mało romantyczne pożegnanie.

— Wcale nie. Gdybym zaczął o nich mówić, kiedy tylko przyszedł, bylibyśmy gliniarzami, a nie królikami, a tak, na szczęście byliśmy i jednym, i drugim. Tak jest znacznie romantyczniej.

Zaraził ją swoim śmiechem.

— Chyba trafisz? Najpierw do przecznicy, a potem w dół do Strandvägen.

— Bądź spokojny, teren podlega VD1, to nasz rewir.

— Trzymaj się.

— Ty też.

Spojrząwszy na zegarek, szybko zebrała zdjęcia. Już w drzwiach zatrzymała się na moment i puściła do niego oko.

— Królik! — rzekła, wychodząc.

Pomaszerował pod prysznic. W łazience były mydło, pasta do zębów i szampon do włosów w plastikowej butelce. Żadnego ręcznika.

W drugim, kompletnie pustym pokoju pośrodku świeżo wycyklinowanego dębowego parkietu stała walizka. Było to jedno z mieszkań DG, dotąd nie używanych. Carl nie mógł mieszkać u siebie, przede wszystkim z powodu nieprzerwanego obłączenia dziennikarzy. A po drugie ze względów bezpieczeństwa. Policja, jak ironicznie się wyrażał o bezpieczeństwie DG, wpadła na całkiem dorzeczną myśl, że życiu Carla zagraża niebezpieczeństwo. Nie dlatego, że dybie na niego jakaś obca służba, ale dlatego, że co najmniej tysiąc fińskich Szwedów chciałoby przejść do historii w charakterze *the man who shot Liberty Valance*.

Carl Hamilton zdaniem Näslunda stał się w oczach rozmaitej maści szaleńców czymś w rodzaju północnoamerykańskiego łosia o porożu z trzydziestoma wyrostkami. W konsekwencji Säpo zaoferowała mu towarzystwo, co zarówno on, jak i Sztab Obrony z mieszaniną wstrętu i przerażenia odrzucili. Grzecznie, acz stanowczo podziękowano za pomoc, powołując się na przyczyny operacyjne oraz fakt, że wywiadowi wojskowemu nie brak własnych sił i środków, by zapewnić ochronę pracownikom lub odpowiednio ich ukryć.

Zatem w dalszym ciągu należało zachować sporą ostrożność. Jakby nie wystarczyło, że prowadzą sprawę przeciwko własnej służbie bezpieczeństwa.

Näslund był zmartwiony. Od czasów plotek, że odpowiedzialność za zamordowanie byłego premiera ponosi nieudolność Säpo, nikt nie chciał znów świecić oczami, gdyby doszło do kolejnej zbrodni politycznej. Tak powiedział, choć przypuszczalnie się przejęczył.

Przed wyjściem Carl wystukał umówiony szyfr na swoim nadajniku. Oznaczało to, że Lundwall i Stålhandske w ciągu minuty wyjadą samochodami z garażu wydziału operacyjnego i skierują się ku różnym stacjom kolejki podziemnej.

Nie miało większego znaczenia, czy Säpo prowadzi dyskretną obserwację, czy nie.

Po półgodzinnej jeździe Carl zaparkował w pobliżu stacji metra. Schodząc na peron, musiał zaufać kamuflażowi w postaci przyciemnionych okularów i dość swobodnego stroju.



Ludzie nie byli jednak w stanie sobie wyobrazić, że mężczyzna, który przypomina im kogoś, kogo gdzieś już widzieli, jest Carlem Gustafem Gilbertem Hamiltonem, najslynniejszym obecnie szpiegiem świata.

Potem przesiadka do innego samochodu, rutynowe manewry i dość spokojny dojazd na miejsce spotkania w Hässelby.

Jurij Cziwarszew zjawił się co do sekundy na rogu ulicy, gdzie się umówili. Carl nie musiał się nawet na dłużej zatrzymywać, by szef radzieckich szpiegów usadowił się na przednim siedzeniu i zapiął pasy. Zupełnie jakby był Szwedem.

— Miło mieć do czynienia z zawodowcami, wedle powszechnej opinii Zachodu ciągle jesteście najlepsi — rzekł Carl na przywitanie, kierując się ku najciemniejszemu zakątkom.

— Bardzo pan uprzejmy, komandorze podporuczniku zachichotał Cziwarszew. — Jak daleko się pan posunął w poszukiwaniach wroga? — spytał już bardziej oficjalnie.

— Sytuacja jest skomplikowana — odpowiedział Carl, szczerze zatroskany. — Nie technicznie ani operacyjnie, tylko z prawnego punktu widzenia. Mam bardzo rygorystyczne instrukcje. Nasz wróg urzęduje w szwedzkiej policji, prawda?

— To już wiemy — sucho odparł Cziwarszew.

— Akcja naszego wywiadu przeciwko innej szwedzkiej instytucji byłaby tym samym, czym atak pańskiej firmy na czekistów. Łączą się z tym pewne problemy.

— Ale w takim wypadku można chyba uzyskać akceptację partii, to znaczy chciałem powiedzieć, rządu?

— Może po fakcie. Na razie wskutek ostatnich wydarzeń mam dość ograniczoną swobodę manewru.

Jurij Cziwarszew wybuchnął śmiechem.

— Młody komandorze podporuczniku, nie dość, że praktykuje pan ekscentryczne w naszym fachu pokazywanie się we wszystkich stacjach telewizyjnych świata, ma pan też poczucie humoru.

Carl uśmiechnął się niepewnie.

— Co pan sądzi o tym przedstawieniu?

— Z punktu widzenia radzieckich interesów nie mam zastrzeżeń. Ci z bezpieki, zaraz, jak to było? Z małpiarni? Ani ci z małpiarni, ani ci z parlamentu nie wiedzą o pańskich podwodnych wyczynach, prawda?

— Ale, jak mniemam, pan wie, pułkowniku?

Carl patrzył przez chwilę we wsteczne lusterko. Samochód, który jakiś czas jechał za nimi, właśnie skręcił.

— Tak, komandorze podporuczniku. Tajemnice z reguły nie wychodzą na jaw. Czasem się to zdarza, ale bardzo rzadko. Na nasze nieszczęście. Ma pan jakieś propozycje?

— Owszem, tyle że musiałbym się stać niemal radzieckim szpiegiem, co nie bardzo mi się uśmiecha.

Jurij Cziwarszew znów zachichotał, tym razem mniej przekonująco.

— Wie pan co, komandorze podporuczniku? Zamierzałem zakończyć moją długą służbę zwerbowaniem pana, naprawdę tak myślałem, obserwując pańską znakomitą grę w Moskwie. Młody nieszczęśliwy attaché wojskowy rozgoryczony odsunięciem przez szefów od ważnych zadań i tak dalej. Podejrzewam, że mniej więcej o to panu chodziło?

— Tak. Czasem wydawało mi się to zbyt przejaskrawione.

— I było, ale w tak rosyjskim stylu, że nie sądziliśmy, by starczyło panu zuchwałości w Moskwie. No cóż, mamy to już za sobą. Czy ubijemy jakiś wspólny interes?

— Właśnie się zastanawiam. Chodzi o to, czy możemy się posunąć dalej bez wzajemnego werbowania.

— Albo jest pan bezczelny, albo pan nie wie, co mówi.

— Na tylnym siedzeniu jest koperta, a w niej wszystkie informacje o Glücherze, tak się nazywa źródło „Expressen”, i jak przypuszczamy, zdjęcia jego towarzyszy spiskowców. Jeszcze nie ustaliliśmy ich tożsamości.

— Na czym polega problem?

— Że nie możemy im założyć podsłuchu, to wbrew szwedzkiemu prawu. Naturalnie nie wolno mi pana prosić o tę przysługę ani nawet o tym napomknąć, ponieważ złamałbym rozkaz i prawo.

— Oczywiście, rozumiem. I?

— Chciałbym dobić targu.

— Czyli wyrównać długi, żeby rewidenci nie dobrali się do pańskich ksiąg rachunkowych?

— Mniej więcej. Czy ma pan, pułkowniku, coś do zaproponowania?

Zamilkli. Carl skoncentrował się na jeździe. Po raz drugi grał Rosjanina z Rosjaninem. Lekkomysłność. Ale inaczej cała zasługa wytropienia i unieszkodliwienia wroga wrogów przypadłaby szwedzkiej bezpiece, w jego przekonaniu najgorszej ze służb bezpieczeństwa. Wybór między GRU a Säpo nie budził żadnych wątpliwości. Dopóki chodziło o wroga wrogów.

— Młody komandorze podporuczniku — odezwał się po dłuższym milczeniu Jurij Cziwarszew — byłoby wspaniale, gdyby został pan jednym z nas. To tylko taka ogólna refleksja. Mam następującą propozycję. Proszę mi dać te materiały i wycofać swoich operatorów. Jeśli dostarczę informacji umożliwiających przeprowadzenie ostatniej fazy, dobijemy targu. Uważam, że to najwłaściwszy sposób rozliczenia się.

— Kończą fazę, jeśli taka będzie, musicie bezwzględnie pozostawić nam.

— Tak, to oczywiste. Boże broń przed innymi rozwiązaniami, przecież chodzi o waszą policję, o waszych czekistów.

— Dobrze. Mógłby pan szeptnąć słówko o cenie, jeśli się wszystko powiedzie?

— Owszem. Mamy bardzo poważny kłopot. Spędza nam sen z powiek.

— Mianowicie?

— W jaki sposób znaleźliście tego, no, jak on się tam zowie, informatora w Moskwie?

— Sandströma?

— Właśnie.

— I to jest ten wasz kłopot?

— Tak.

— Kto w GRU zdradził albo czy istnieje jakieś inne wytłumaczenie?

— Tak. Taka jest cena.

— Wysadzę pana przy następnej stacji metra.

Jechali w ciszy. Carl próbował uporządkować swoje wiadomości o tym, w jaki sposób prawo odróżnia szpiegostwo od nieszpiegostwa. Zakładał, że gdyby Cziwarszew reprezentował to drugie supermocarstwo, nie byłoby żadnych problemów, ani prawnych, ani moralnych. Ale reprezentował, niestety, GRU, czyli wroga i nic ponadto.

Zwalniając, zerknął na pasażera. Nie dostrzegł wyrazu jego twarzy, było zbyt ciemno.

— Okej — powiedział, zatrzymując samochód. — Zgoda. Dostanie pan to, o co pan prosi, ale wówczas ustalę inną cenę, która nie będzie od pana wymagała działań niezgodnych z prawem. Wiem, że pan ją zapłaci. Spotykamy się zgodnie z dotychczasowym harmonogramem?

— Tak — odparł Cziwarszew, po czym wyciągnął rękę na pożegnanie i mocno uściśnął Carlowi dłoń.

Gdy wysiadł, odwrócił się z szerokim uśmiechem.

— Zobaczymy, kto kogo zwerbuję, któremu z nas uda się ta sztuka, panu czy mnie.

Szybko zamknąwszy drzwiczki, wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni palta.

Carl był pewien, że to żart. Znał jednak cenę tej transakcji, nie była wygórowana, dla wroga oznaczała ulgę.

Miał prawo do zapłaty, na którą w sposób nieuczciwy zasłużył. Prawdopodobnie dopuścił się wykroczenia. Nie może jednak jej otrzymać, dopóki nie zostanie wyeliminowany wróg wrogów, dopóki nie nastąpi, by użyć rosyjskiego określenia, ostateczna faza.

Ale kto będzie wtedy pytał o prawa?

\* \* \*

DG chwilowo się pozbył towarzystwa swojego kolegi cywila — w dalszym ciągu trudno im było traktować kumpla ministra obrony jak szefa SSI — dzięki czemu wszyscy trzej poczuli się swobodniej, zarówno jeśli chodzi o ton rozmowy, jak i podejmowanie ważnych decyzji.

Nim jednak zaczęło się zebranie, uwięźli w mackach telewizora, który Sam kazał przynieść do gabinetu.

Prosto z Hawany w białym lnianym garniturze, opalony i jak zwykle pewny siebie przyleciał Peter Sorman. Raz po raz powtarzał, że komandor podporucznik Hamilton miał jedynie nawiązać łączność radiową, w razie gdyby przypadkiem udało mu się zlokalizować porywaczy. Bardzo wyraźnie zastrzegł, że Hamiltonowi nie wolno zabierać broni, nie zgodził się także przesłać jej wraz z dostarczonym później sprzętem. A ponieważ zakaz użycia broni został sformułowany jasno i dobitnie, nie było powodu przypuszczać, że Hamilton wda się w coś podobnego.

To w pewnym sensie prawda, że Hamilton otrzymał polecenie wykorzystania swoich kontaktów na Bliskim Wschodzie, on, Sorman, nie zgłaszał w tej kwestii żadnych propozycji, nawet nie wiedział, że OWP dysponuje jakimś wywiadem.

Widział się potem z Carlem bardzo krótko, kiedy ten przyszedł oddać paszport, nie było jednak mowy o żadnych wojskowych operacjach. O ile Sormanowi wiadomo, wyłącznie negocjacje dyplomatyczne doprowadziły do uwolnienia dwóch szwedzkich lekarzy, i bardzo by się zdziwił, gdyby wersja Hamiltona okazała się prawdziwa. Nie istniały żadne ku temu podstawy.

Jego zdaniem Hamilton przedstawił fałszywie wydarzenia w tych fragmentach, które tylko on sam mógł kontrolować. Tak, oczywiście można stwierdzić, że Hamilton zwyczajnie kłamał.

Natomiast historia z porwaniem samolotu jest prawdziwa.

O akcji w Niemczech nie może nic bliżej powiedzieć, należałoby o to spytać policję. Choć niewykluczone, że i w tym wypadku nie było przekłamań.

Tylko więc odnośnie do lekarzy Sorman zarzucił Hamiltonowi kłamstwo, co i tak wyglądało niewesoło. Trudno to zresztą wytłumaczyć, możliwe, że wojskowi łakną tego typu rozgłosu.

Ponieważ Hamiltonowi powierzono jedynie obowiązki radiooperatora, pytanie o udział rządu jest czysto akademickie, on sam nigdy się na rząd nie powoływał podczas dość krótkiej i niezbyt dramatycznej rozmowy z Hamiltonem.

Dlaczego niezbyt dramatycznej? Nie chodziło przecież o jakąś akcję zbrojną ani inne dziwactwa, lecz o nawiązanie łączności radiowej. Owszem, personel służby wywiadowczej dobrze się do tego typu zadań nadawał, ponieważ dysponował odpowiednim sprzętem i wiedzą, a poza tym było to praktyczne z czysto formalnego punktu widzenia, jako że Carl zyskał już status dyplomaty, co w kraju takim jak Liban mogło stanowić zaletę nawet w trywialnej misji.

Tego, że jeden z byłych premierów osobiście zdecydował o przyznaniu Hamiltonowi medalu, nie należy traktować inaczej niż jako chęć dodania ducha policjantowi, który wykonał trudne zadanie. Sorman nigdy nie słyszał o żadnym drugim medalu i dlatego nie mógł wiedzieć, co sprawiło, że poprzedni premier pragnął przyznać mu wyróżnienie. Nie

wyobrażał sobie jednak żadnej „sankcji politycznej” jednego lub drugiego, a ponieważ nie słyszał, by w związku z drugim medalem mówiono o Hamiltonie w jakimś dramatycznym kontekście, wątpił w tę historię. Nie, nie twierdzi, że to kłamstwo, po prostu wątpi i pytanie należałoby postawić eks-premierowi.

Po godzinie przysłała kolej na ÖB. Drzwi zamknięto, ponieważ na życzenie zainteresowanego przesłuchanie miało być tajne.

Samuel Ulfsson wyłączył telewizor i w zamyśleniu podszedł do biurka.

— Zastanawiam się, czy to oznacza dla nas jakieś problemy, a jeśli tak, jakie — wymruczał, wyjmując z szuflady następną paczkę papierosów.

— Będzie trochę bredni w „Expressen” — powiedział DG.

— Jakie miał powody, żeby kłamać? — odezwał się Carl. — Rozumiem, że nie chciał poruszać niczego, co pachniałoby powiązaniem z operacją Big Red, ale czemu nałgał o lekarzach?

— Jest urażony, odebrałeś całą chwałę jego dyplomatycznej akcji, albo chodzi o odpowiedzialność rządu, może nie miał mandatu do udzielania ci wskazówek z ramienia rządu, a zachowywał się tak, jakby miał. Chyba coś w tym rodzaju. Bo zakładamy, że to twoja wersja, a nie jego jest prawdziwa — stwierdził Samuel Ulfsson i natychmiast pożałował ostatnich słów, gdy zobaczył wyraz twarzy Carla. — Nie, nie, zapomnij o tym, wycofuję się — dodał pospiesznie i przeszedł do sprawy, o której dzisiaj mieli dyskutować.

A więc niejaki Glücher, zastępca komendanta policji w sekcji rosyjskiej, robił jakieś dziwne machloje z pewnymi gliniarzami, łobuzami, których w sztokholmskich kołach policyjnych nazywano Skórczaną Bandą.

Byli jakimiś pravicowymi ekstremistami, przez jakiś czas znaleźli się nawet w kręgu podejrzanych, kiedy po wylaniu wariata działającego w charakterze prowadzącego śledztwo pościg za zabójcą premiera był najbardziej chaotyczny.

Glücher prowadził kampanię propagandową w „Expressen”. Pozostawało pytanie, czy po pierwsze, ma to coś wspólnego z morderstwami, a po drugie, co zrobić z takimi podejrzeniami.

W zasadzie sprawa podlegała policji. Ale przekazanie jej Näslundowi nikomu się nie uśmiechało. Jego ludzie, jak łatwo przewidzieć, natychmiast rzucą się do telefonów, żeby czym prędzej donieść mass mediom, że wojsko szpieguje policję, chce wrobić policjantów i tak dalej. Jeśli podejrzenia są słuszne, sytuacja wygląda groźnie. A siedzenie z założonymi rękami i czekanie na kolejny akt terroru wydaje się do tego stopnia niewłaściwe, że warto się zastanowić nad prawnymi konsekwencjami takiej bierności.

Wystąpić z tym do rządu? Nie, wówczas rząd musiałby się zwrócić do Näslunda i na jedno wyjdzie.

Doradca prawny rządu czy prokurator generalny? Nie, znów wszystko trafi do Näslunda.

— Pozwoliłem sobie poczynić pewne kroki — oznajmił Carl niechętnie, gdy już dobrą chwilę wałkowali problem.

Rozmowa natychmiast się urwała. Patrzyli na niego wyczekująco.

— Przekazałem nasze informacje policji — podjął — a dokładniej komisarzowi Rune Janssonowi z Norrköpping, to on zajmuje się tymi morderstwami. Uznałem, że z formalnego punktu widzenia wszystko jest w porządku.

— Jak to zrobiłeś? — spytał DG.

— Przez pośrednika, policjanta. Tak więc drogą służbową, acz anonimowo przekazaliśmy, co trzeba, tej komórce policji, która ma najściślejszy związek ze sprawą. Nie musimy dzięki temu wyjaśniać Näslundowi, skąd wiemy o Glücherze.

— Nie zaszkodziłoby przedstawić najpierw któremuś z nas te propozycje — wymruczał Samuel Ulfsson, bardziej w zamyśleniu niż z niesmakiem.

— Owszem, ale teraz mamy z głowy decyzję, a zwracanie się do policji z prawnie należnymi jej informacjami w żaden sposób nie jest naganne, mamy też z głowy Näslunda i jego propagandową, prasową karuzelę — zauważył DG.

— Nie jest jednak bez znaczenia, jak my się uporamy z naszą karuzelą — niemal mimochodem stwierdził Ulfsson, a kiedy poczuł na sobie spojrzenie zebranych, niechętnie kontynuował: — ÖB mnie naciska, żeby Carl zgodził się na wywiady, na przykład dla „Svenska Dagbladet” i tak dalej. Po wypowiedzi Sormana, który zaprezentował nas jako kłamców, jego nacisk bynajmniej nie zmaleje.

— Czy można nakazać komuś dyspozycyjność wobec dziennikarzy? — niespokojnie spytał Carl.

— W zasadzie tak — z westchnieniem odparł Ulfsson. — Macie jakieś propozycje? Jak moglibyśmy zdementować owo Sormanowskie dementi? Czy wystarczy uczciwe spojrzenie błękitnych oczu Carla, czy znajdzie się może jakieś inne wyjście?

— Naturalnie, że tak — porywczo wtrącił Carl. — Soman ani przez chwilę nie pomyślał o tym, że OWP nie życzy sobie żadnych dementi. To była wspólna, szwedzko-palestyńska operacja i OWP uzyskała ode mnie pewne polityczne zobowiązania, które przekazałem na polecenie Sormana.

— O tym nam nie zameldowałeś — rzekł z mieszaniną niezadowolenia i zdumienia DG.

— Fakt. Uznałem, że to mało istotne. Soman zadeklarował przyznanie wizy nowemu reprezentantowi sztokholmskiego biura OWP i parę innych rzeczy, które straciły znaczenie, odkąd w rządzie zasiedli liberałowie.

— Jak to, liberałowie? — zdumiał się Ulfsson.

— Nienawidzą Arabów, zwłaszcza OWP, która chciałaby jednak zebrać trochę punktów za udział w akcji. Mają więc teraz dwa wyjścia, albo opowiedzieć się za, albo przeciw i oczywiście wybiorą pierwsze.

— Wydaje mi się, że znasz pewnego dziennikarza — ostrożnie wtrącił DG.

Carl zacisnął zęby i milczał.

— Myślę, że byłoby dobrze — podjął DG — gdybyś odpowiedział Sormanowi i przy okazji pośrednio nawiązał kontakt z kimś z OWP, żeby potwierdził twoją wersję.

— Dlaczego byłoby dobrze?

Sama myśl o dziennikarzach napawała Carla wstrętem.

— Dlatego, że po pierwsze wolelibyśmy nie mieć szefa wydziału, który uchodzi za łgarza, a po drugie... nie, to właściwie zupełnie wystarczy. Musisz wyjść z tej historii czysty jak śnieg, w przeciwnym razie pewien podpułkownik odkurzy rozmaite papiery, a ponieważ jest równie prawicowy, jak minister obrony... Tak, po prostu uważam, że to ważne.

— O którym dziennikarzu myślisz? Jeśli powiesz, że o Wennströmie z „Expressen”, popełnię harakiri. Natychmiast.

DG nastroszył krzaczaste brwi i upodobniwszy się do puchacza, poczęstował Carla niemal szyderczym uśmiechem.

— Nie — rzekł w końcu. — „Expressen” nie byłby odpowiedni. A co byś powiedział o radiu, na przykład o „Dagens Eko”?

— Chodzi ci o Erika Pontiego?

— Tak, znasz go, o ile się nie mylę, pomógł ci w tym i owym.

— Owszem.

— A więc Ponti?

— Czy to wystarczy?

— Tak, zwracając się do jednego publikatora z dostatecznie interesującymi wiadomościami, można liczyć na to, że inne media też z nich skorzystają. Tak to już jest — skonstatował Samuel Ulfsson.

Nauczył się tego od ÖB, który postawił na nogi połowę specjalistów do spraw wojny psychologicznej, by opanować sztukę prowadzenia walki propagandowej we własnym kraju.

\* \* \*

Carl przyjął Pontiego w swoim chwilowo pozbawionym mebli mieszkaniu. Ponti miał na sobie zieloną kurtkę myśliwską, być może tę samą, co cztery lata temu, kiedy pewien nadgorliwy funkcjonariusz bezpieczeństwa podejrzewał go o zabójstwo policjanta. Wydawało się, że od tamtej pory minęły wieki. Ponti zaczynał siwieć, lecz nadal wyglądał na wysportowanego.

Carl zaprowadził gościa do zupełnie pustego pokoju, w którym ustawił lampę z sypialni. Usiedli w kącie na podłodze, plecami oparli się o ścianę. Ponti przyniósł duży magnetofon, zapasowe kasety i teczkę z notatkami.

— O co chcesz mnie pytać? — zainteresował się Carl, kiedy Ponti przygotowywał sprzęt.

— Przede wszystkim o to, co powiedział dzisiaj komisji parlamentarnej Sorman, czyli o główną wiadomość, a poza tym o tysiące innych rzeczy.

— Wcale nie jest pewne, że na wszystko usłyszysz odpowiedź.

— Tak, właśnie. Wobec tego pomówmy o tym, o czym w ogóle możemy rozmawiać. Chyba najwyższy czas?

— Nie rozumiem.

— Pomogłem ci, kiedy byłeś w Säpo i zależało ci na kontakcie z Jihaz-ar-Rased. Najwyraźniej go uzyskałeś i trafiliście na właściwy trop.

— Tak. Co nie mogło oczywiście ujść twojej uwagi, kiedy sprawy osiągnęły punkt kulminacyjny.

— Masakra w Viggbyholm?

— Otóż to. Jedno mnie w tym wszystkim zawsze zastanawiało. Może ty mi wyjaśnisz, bo jesteś dziennikarzem.

— Tak?

— Następnego dnia w „Expressen” pojawiły się informacje o libijskich terrorystach, wyglądało to na przygotowaną zawczasu kampanię. Mogło tak być?

— Naturalnie. Teraz też się tym zajmują.

— Izraelczycy wbili do głowy kierownictwu Säpo, że szykuje się libijska albo palestyńska akcja terrorystyczna, ale jak, u licha, „Expressen” tak szybko mógł to zwęszyć?

— Powiadomiły go o tym albo źródła izraelskie, albo źródła w bezpiece.

— A wy, dziennikarze, po prostu siadacie i piszecie? Nigdy nie potrafiłem się w tym połapać. Mówi się, że Wennström zostanie dziennikarzem roku. Czy to, czym on się teraz para, uchodzi w waszej branży za wyczyn?

— Jasne. Olbrzymie nagłówki, wzrost sprzedaży i heroizm dociekliwego dziennikarstwa.

— Moglibyście od razu przekazać nagrodę do źródła w Säpo, które wymyśliło całą tę historię.

— Oczywiście. A kilka lat temu, kiedy „Expressen” rozpisywał się o skandalach związanych ze szwedzkimi przedsiębiorstwami, które robiły interesy z Libią, nagrodę można było od razu przesłać wywiadowi izraelskiemu. Niektórzy pisują pod dyktando. Po prostu.

— A jeśli wszystko jest nic niewarte?

— Materiały z Säpo trudno podważyć. Jak Kurdowie udowodnią, że to nie oni mordują naszych premierów?

— Ale żadnej wojny agentów nie ma.

— Domyśliłem się. Jeśli udzielisz mi wyczerpującego wywiadu, też dostanę nagrodę. Razem z twoim przyjacielem Wennströmem.

— Fajny żart.

— Ale tak to właśnie jest. Stałeś się światową rewelacją, bo po przesłuchaniu przez komisję nie powiedziałeś ani słowa.

— Dlaczego „Expressen” chce, by wyglądało na to, że walczymy ze Związkiem Radzieckim?

— Wcale nie chce, zależy im na wielkich numerach, na które mają wyłączność, i na swoich źródłach, no i mają je, bo mają Säpo. Trzeba by zapytać, dlaczego Säpo na tym zależy, żeby zrobić was w wojnę z GRU albo z KGB.

— Kierownictwo Säpo nie wierzy w to, tak jak my. Näslund zapewnia, że te propagandowe manewry nie są ich dziełem.

— I ty w to wierzysz?

— Tak, w tej sprawie ufam Näslundowi.

— Nie byliście chyba serdecznymi przyjaciółmi?

— Nie. Robisz ze mną wywiad, zamiast ustalić, o czym będziemy mówić.

— Możesz firmować to, co mówisz, swoim nazwiskiem, na przykład wszystko o Sormanie, a poza tym możesz mi przekazać informacje anonimowo jako „dobrze poinformowane źródło z wojskowej służby wywiadowczej” i twoją tożsamość zachowam dla siebie.

— Dlaczego miałbym w to wierzyć?

— Dlatego, że chroni cię konstytucja. Naruszyłbym jej zasady, gdybym podał twoje nazwisko wbrew twojej woli.

Carl wydał z siebie coś pomiędzy chichotem a prychnięciem.

— Konstytucja! Niektórzy uważają, że łamanie jej zasad to coś jak łamanie zasad parkowania.

— Owszem, ale ja z tego żyję. W dniu, w którym będą na mnie patrzeć jak na takiego Wennströma z „Expressen”, skończę z dziennikarstwem. Pytanie zasadnicze brzmiałoby tak: Czy istnieje jakiś związek między sterowaną kampanią w „Expressen” a morderstwami, a jeśli tak, to jakiego rodzaju?

— Prosto w sedno.

— Chyba o to chodzi.

— Nie mogę odpowiedzieć, choćbym chciał.

— Ech. To poważna sprawa. Dlaczego nie stworzycie przeciwwagi dla tej kampanii, dlaczego się nie bronisz? Chyba się domyślasz, jak cię jutro obsmarują w „Expressen”?

— Nie. Jak?

— Lekko przekrzywiona aureola, tak się to zaczęło w wypadku Olivera Northa. Prawda pomału wychodzi na jaw i tak zwany bohater, który równie beztrudnie traktuje prawdę jak życie innych, faszystowski naczłowiek, musi zostać powstrzymany, komisje dochodzeniowe, koniec samowoli komórek szpiegowskich w Szwecji i tak dalej. Kontynuować?

— Nie. Brzmi przekonująco.

— Co więc mamy powiedzieć w jutrzejszym porannym wydaniu „Dagens Eko”? Jak odeprzesz oskarżenia Sormana?

— Mógłbyś je sprawdzić.

— Gdzie?

— W OWP.

— Już to zrobiłem.

Ponti roześmiał się, widząc zdumione spojrzenie Carla.

— I co powiedzieli?

— Źródła Jihaz-ar-Rased potwierdzają zajście i dość szczegółowo je opisują.

— Telefonicznie?

— Tak. Chodzi o sprawy, na których nagłośnieniu im zależy.

— Do licha, szybka robota, myślałem, że podsunę ci tę możliwość.

— Ty pilnujesz strzelania, ja dziennikarki, odwrotny układ nie przyniósłby pożytku ani mnie, ani tobie.

— Chyba umiesz strzelać?

— Tak, do zajęcy i saren, chociaż nie zawsze trafiam, uważam jednak, że jestem ciut lepszym strzelcem, niż ty dziennikarzem. Dzisiaj w nocy skontaktuję się z Arafatem, kiedy wróci do kwatery w Tunisie. On potwierdzi twoją wersję. Ale chciałbym, żebyś i ty mnie przekonał.

— Arafat nie wystarczy?

— Nie, mają interes w podłączeniu się do twojej wersji, żeby przypisać sobie nieco twojej chwały, a więc jeden z porywaczy różnił się od pozostałych. Czym?

— Nazywał się Karim. Bystry, inteligentny chłopiec. Miał siedemnaście lat.

— Szesnaście. Jaką miał broń?

— Pistolet maszynowy z tłumikiem Henry’ego Ingrama i dwa noże, ale użyłem tylko jednego.

— Jak zabiłeś jednego z wartowników?

— Był tylko jeden.

— Racja. Jak to zrobiłeś?

— Zabiłem go.

— Wiem. Ale jak?

— W standardowy dla wojska sposób.

— To się rozumie samo przez się. Nie odpowiedziałeś jednak na pytanie.

— Czy to poważne dziennikarskie pytanie?

— Tak.

— Pobrzmiewa mi raczej ton „Expressen” niż „Dagens Eko”.

— Nie zamierzam tego opowiadać słuchaczom, muszę sprawdzić, czy twoja wersja zgadza się z tą, którą uzyskałem ze źródeł OWP. Jeśli nie, będzie to znaczyło, że jedna ze stron kłamie.

— Napijesz się wina?

— Tak, dziękuję, ale nie zamiast odpowiedzi.

Carl uśmiechnął się krzywo, po czym poszedł do kuchni i wyjął butelkę z lodówki. W szafce stał samotny karton z sześcioma tanimi kieliszkami, które kupił po drodze do domu. Otworzył wino, chwilę mocował się z opornym foliowym opakowaniem kieliszków, wreszcie dał za wygraną i wziął nóż spod materaca w prowizorycznej sypialni.

Krojąc folię zwrócił uwagę, że wówczas użył właśnie tego typu noża. Wolno go położył i przyjrzał mu się w świetle neonówki nad zlewem. Czarne matowe ostrze. Trzonek z lekkiego metalu stanowiący całość z ostrzem.

Chwilę dochodził do siebie, nim z butelką w jednej ręce i z kieliszkami w drugiej udał się do Pontiego. Rozlał wino, wznosił kieliszek i skinął głową.

— Nic nie powiem o winie, dopóki nie usłyszę odpowiedzi na pytanie — rzekł Ponti.

— Jeśli to aż tak interesujące... Przeciąłem kręgosłup i aortę, trzy, cztery kręgi powyżej krzyża — odparł Carl pozornie obojętnie, odwracając wzrok.

Ponti skosztował wina, pozwolił mu rozlać się po podniebieniu i unióś kieliszek pod lampę, by wyrobić sobie zdanie o kolorze.

— Domowe bułgarskie to ono nie jest — rzekł po chwili. — Pensje Szwedzkiego Radia nie są do czegoś takiego dostosowane, ale od lat sześćdziesiątych mamy komunistyczny związek zawodowy. A więc biały burgund, ale okręgu chyba nie zgadnę.

— Meursault. Interesujesz się winami?

— Tak, dopóki mi starcza pieniędzy.

— Przynajmniej jedna rzecz nas łączy.



— Dwie, jeśli liczyć naszą polityczną przeszłość. Twoja wersja pokrywa się z wersją OWP. Teraz mogę ją podać jako prawdziwą i opatrzyć komentarzami, twoim i Arafata. Sorman będzie ugotowany. Fajnie, nieczęsto się zdarza, żeby mu się ktoś dobrał do skóry.

— Tylko dlatego, że tak stwierdzisz w „Dagens Eko”?

— To nie „Expressen”. To głos państwa.

— A gdybyś mi nie wierzył?

— To bym tego nie kupił, bez względu na burgunda. Po prostu. Możemy teraz nagrać twoją wersję i komentarz do wypowiedzi Sormana?

Pierwszy wywiad załatwili szybko. Potem Ponti wyciągnął z Carla parę ostrożnie niechętnych uwag pod adresem kampanii w „Expressen” i nie istniejącej wojny agentów, wkrótce jednak przerwali nagranie. Przez chwilę popijali w milczeniu.

— Słyszałem, że „Stern” zaproponował ci pięć milionów marek za prawo wyłączności na twoje pamiętniki — rzeczowo powiedział Ponti, wyciągnąwszy pusty kieliszek.

— Tak, ale przeliczywało go wydawnictwo amerykańskie. To niemądre.

— Zainteresowany?

— Ani trochę. Moja praca nie polega na sprzedawaniu tajemnic wojskowych. Raczej przeciwnie.

— Chyba że sprzedajesz je gratis komisji konstytucyjnej.

— Nie powiedziałem im nic ponadto, co już obwieścił mniej lub bardziej ściśle „Expressen”. Zaprzeczanie byłoby czymś idiotycznym, tak przynajmniej sądzi ÖB i myślę, że ma rację. Ale dziwnie się czułem.

— A zatem pięć milionów marek, czy ile to tam będzie w dolarach, to tylko spekulacja, coś, czego nie powiedziałeś ani nie skomentowałeś?

— Yhm.

— Czy to warte jakieś pieniądze?

— Nie jestem dziennikarzem. Ale przynajmniej tyle samo dostałbym od Rosjan, wolne od podatku za dyskretniejszą usługę, a ryzykowałbym jedynie dożywocie.

— Ale oni przecież wiedzą, czy zabiłeś Sandströma, czy nie.

— Wiedzą.

— I nigdy o tym nie powiesz?

— Chcesz swój supernumer za darmo?

— Najchętniej. Chyba się orientujesz, jaki jest podatek od dochodu w wysokości piętnastu milionów.

— Jeśli to liczyć jako honorarium autorskie, czternaście milionów z czymś. Z tego punktu widzenia „Dagens Eko” jest konkurencyjne, ponieważ różnica będzie niewielka.

— Według ostatniej deklaracji twój majątek przekracza trzydzieści milionów.

— Tak, ale to fikcyjny świat, może jest dwa razy tyle, a może połowa tego, w każdym razie na burgunda wystarczy.

— I na ofiarowanie dwóch milionów na rzecz Afganistanu.

— Na przykład. Dzięki za pomoc. To miło, że nie ujawniłeś mnie jako donatora i że nie ukradłeś pieniędzy.

— Od kiedy to clarteiści się okradają?

— Nadal jesteś clarteistą?

— Abonentem ich pism, ale nie członkiem. A ty?

— Nawet nie abonentem.

— Kim więc jesteś politycznie?

— Mogę tylko odpowiedzieć przez negację. Nie jestem komunistą promoskiewskim, jak już publicznie oświadczyłem, nie popieram Vpk, nie jestem socjałem, licho wie, kim. A ty?

— Podobnie. Ale ja mam przynajmniej wymówkę z racji zawodu. „Prawda zawsze jest rewolucyjna”, jak wiesz. Jestem przeciwko wszelkim politykom, za to mi zresztą płacą.

Chociaż niezupełnie tak samo myśleliśmy w czasach, kiedy chcieliśmy infiltrować mass media, złamać dominację burżuazyjną i proimperialistyczną i tak dalej. Ty byłeś w tej grupie, która miała infiltrować armię?

— Tak, i można powiedzieć, że mi się udało. Wielu kolegów wyrzucono, bo w kartotekach Säpo figurowali jako zdrajcy ojczyzny. Mnie też nie było łatwo.

— Uważali cię za zdrajcę ojczyzny?

— Przynajmniej niektórzy.

— Dzisiaj najchętniej by o tym zapomnieli?

— Bynajmniej. Teraz udowodniłem, że jestem zdrajcą wyjątkowo przebiegłym, ponieważ udawałem jego przeciwieństwo. Można na przykład powiedzieć o tobie, że wyjątkowo biegle naśladujesz dziennikarza, co dowodzi, że jesteś zdrajcą.

— Wierzą w to?

— Tak. Czytałem raporty o tobie i jeszcze kilku.

— Mógłbyś załatwić kopie?

— Po co ci?

— Opublikowałbym to.

— Chyba zgłupiałeś. Za dużo rozmawiamy i jeszcze chwila, a przekroczę dopuszczalne granice. Cały czas coś ode mnie wyciągasz. Ustalmy, czego chcesz się ode mnie dowiedzieć, wyłączając sprawę morderstwa Sandströma.

— Prawdy o wojnie agentów.

— Dobrze. Zobaczmy, co warta jest konstytucja.

Carl pospiesznie i z pewnym wysiłkiem określił warunki umowy. Jeśli pojawi się jakaś forma możliwej do przyjęcia prawdy o wojnie agentów, Ponti dostanie wyłączność zarówno na przekazane anonimowo informacje o tle, jak i na wywiady. Ale tylko tyle, nic poza tym.

Ponti namyślał się chwilę, trzymając kieliszek przed nosem. Następnie zdecydowanym ruchem wlał do gardła ostatnie krople wina i zamknął oczy.

— Jest inna możliwość — rzekł wreszcie, nie oczekując odpowiedzi. — Mógłbym przydać twojej historii fikcyjnych akcentów, zmienilibyśmy wszystkie szczegóły i puścili tylko część prawdy. Opowiedzieć, a mimo to nie opowiedzieć. Wiele osób i tak zrozumie. To, czym się zajmujesz, czym zajmuje się wojsko, obchodzi w gruncie rzeczy nie tylko ludzi z rządu i z dowództwa sił zbrojnych.

Carl wykręcił się od zajęcia stanowiska. Obiecał dotrzymać zobowiązania i przedstawić tło wojny agentów, kiedy to tylko będzie możliwe. Czyli przypuszczalnie w niedalekiej przyszłości.

Później pożałował, ale słowo się rzekło. Prawdziwi ludzie dotrzymują obietnic, tylko szpiedzy traktują je tak jak niektórzy konstytucję.

## 6

Jurij Cziwarszew nie dawał znaku życia niemal cały tydzień. Ani razu nie odezwał się umówiony sygnał telefoniczny. Carl nabrał podejrzeń, że już niedługo dojdzie do jakiegoś rozstrzygnięcia. Gdy w końcu z zachowaniem stosownych przerw rozległy się wyczekiwane dzwonki, Carl zmusił się do spokoju. Mogła to być równie dobrze wiadomość o braku rezultatów. Cziwarszew przekaże mu ją osobiście, gdy wsiądzie do samochodu przed stacją metra Midsommarkransen.

Joar i Åke, jego logistycy, którzy pomogli mu dotrzeć na miejsce spotkania, pewnie zauważyli, że jest spięty i że coś się święci. Umówił się z nimi na później, nie dbając o ich prywatne plany.

Nie musiał właściwie nic mówić, ponieważ mniej więcej się orientowali, o co chodzi, i mniej więcej wiedzieli, dlaczego polecił im nagle wstrzymać działania operacyjne. Wy tłumaczył to mgliście kolizją z innymi organami. Co było prawdą. Nie mieli pojęcia o

charakterze poczynań Näslunda, w najgorszym jednak wypadku wokół Glüchera mógłby się zrobić zbyt duży tłok. Gdyby się na siebie natknęły Säpo i GRU, a do tego jeszcze SSI, karuzela nieporozumień gotowa.

Jurij Cziwarszew zjawił się jak poprzednio co do sekundy, Carl poczekał, aż gość wsiądzie i zapnie pasy.

Czas jakiś jechali w milczeniu. Carl koncentrował się na rutynowej kontroli trasy i zmyłkowych manewrach.

— No — odezwał się po kilku minutach i zwolnił, dając tym samym do zrozumienia, że są bezpieczni.

— Nasza sytuacja jest bardzo poważna — zaczął ciężko Cziwarszew.

Carl nie odpowiedział.

— Te same siły faszystowskie i skrajnie antyradzieckie, które stoją za kampanią dezinformacji, mają też na swoim koncie działania terrorystyczne — kontynuował pułkownik GRU. — Obecnie są zdesperowane i użyją terroru indywidualnego, by wzmocnić swoje słabnące pozycje. „Expressen” już dostał cynk i jest przygotowany.

— Dali cynk telefonicznie? — przerwał Carl. — Wobec tego całkiem prawdopodobne, że aparat Glüchera jest już legalnie podsłuchiwany.

— Nie, nie korzystają ze swoich telefonów, domyślili się, że mogą być śledzeni.

— Dzięki wam?

— Nie. Dzięki tym z małpiarni, nie są tak dyskretni, jak należałoby sobie życzyć. Tak, kiedyś czerpaliśmy z tego pewne profity, ale teraz nie jest to zbyt korzystne.

— I mimo wszystko są zdecydowani na akcję?

— Owszem, i jak panu wiadomo, teraz nasza, że tak powiem, kolej na zamordowanie kogoś z was w tej wojnie agentów.

— Szwedzkiego oficera?

— Właśnie.

— Wie pan, gdzie i kiedy?

— Tak, z dużą dozą prawdopodobieństwa. Zaczynamy się zbliżać do naszej transakcji, komandorze podporuczniku.

— Na to wygląda. Mamy jednak najpierw do załatwienia wspólne kłopoty.

— Tak, nie będę wyprzedzał wydarzeń. Jutro jest szwedzkie święto królowej światła.

— Owszem, obchody Świętej Łucji.

— W kasynie jednostki artylerii nadbrzeżnej w Vaxholm będzie przyjęcie oficcerskie dla różnych roczników komandosów. Dojdzie do ataku, największej do tej pory akcji terrorystycznej.

— Czy wie pan, ile osób przypuści ten atak i kiedy?

— Trzy, cztery osoby z automatami, przypuszczalnie pod koniec, nim jednak goście zaczną się rozchodzić. Początek imprezy przewidziano na siódmą, byłoby to więc między ósmą a dziewiątą. Lub później.

— Jest pan pewien, czy to jedynie domysły?

— Cel i siły omówiono w formach zakonspirowanych i określono ostatecznie, choć nie uzgodniono najdogodniejszej pory.

— Jaki jest cel?

— Można by powiedzieć, że zmiana klimatu politycznego. Chcą wzmocnienia tej części policji bezpieczeństwa, która nas ściga. Uważają, że Zachód, nie wyłączając Szwecji, dał się nabrać na *glasnost* i zamierzają otworzyć oczy społeczeństwu, a także doprowadzić do zmian organizacyjnych w służbie bezpieczeństwa.

— Dziwnie to pachnie zwykłym europejskim terroryzmem, uświadamiać przez prowokację.

— Tak, tak, tyle że to nie żaden lewicowy ekstremizm, lecz terroryzm faszystowski i musimy przyznać, że stanowi on ogromne zagrożenie dla naszych krajów i stosunków między nimi.

— Wrogowie naszych wrogów...

— Owszem, nie uważam jednak tego określenia za szczególnie fortunne. To nasz wspólny wróg.

— Czy i dzisiaj przywiózł pan taśmy?

— Nie, poprzednie przysporzyły zbyt dużo problemów, uzyska pan informację ustną.

— Nasuwa się pytanie, czy to nie pułapka lub prowokacja z waszej strony.

— Wiecie przecież, że nie dopuszczamy się aktów terroru, my zaś wiemy, że wy też nie macie takich zwyczajów. Dlaczego teraz mielibyśmy zacząć?

— Logiczne.

— Owszem. Nie obchodzi mnie, jak pan wykorzysta tę informację, ma ona jednak znaczenie rozstrzygające, prawda?

— Tak. Jeśli jest prawdziwa, wszystko się zakończy w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Pozostaje się tylko przekonać.

— Prosiłbym o podanie pańskiej ceny.

— Dowiedzie się w ciągu dwudziestu czterech godzin, jak się sytuacja rozwinęła. Jeśli pójdzie gładko, finalizujemy transakcję, dobrze?

— Dobrze.

— A oto moja cena. Orientuje się pan, naturalnie, kto to jest Irina Dzierżyńska?

— Oczywiście, pańskie łatwowierne narzędzie komunikacji z moimi niezbyt szanownymi kolegami.

— Zdaję sobie sprawę, że po tym, co zaszło, nie może wyemigrować. Chciałbym jednak zobaczyć recenzję, najchętniej pozytywną, z jej debiutanckiego koncertu w Moskwie.

— Nie wiem, czy możemy do tego doprowadzić.

— Na pewno. Żeby po szkole debiutować, trzeba być wybrańcem, uzyskać pozwolenie i tak dalej. Dla niej to obecnie niemożliwe, chcę jednak, żebyście to zmienili.

— I to jest pańska cena.

— Tak.

— Debiut, status pianistki koncertowej, pozwolenie i dostatecznie dobra recenzja?

— Tak.

— To nie takie proste, jak pan wie, mamy *glasnost*'.

— A więc tym lepiej.

— Tak... artystyczna wolność i tak dalej ograniczają, że tak powiem, nasze możliwości oddziaływania na radzieckie społeczeństwo.

— Zbyt mi to nie martwi.

— W tym wypadku powinno. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy możemy mieć wpływ na tego typu procesy polityczne.

— Proszę się postarać.

— A w zamian dostaniemy pewną i możliwą do sprawdzenia informację, w jaki sposób dotarł pan do Sandströma?

— Tak jest.

— Zapamiętałem pańskie życzenie, nie mogę jednak do niczego się zobowiązywać.

— Nie ma koncertu, nie ma transakcji.

— Nie pozostaje mi teraz nic innego, jak życzyć panu, drogi kolego, udanego polowania.

\* \* \*

Carl spał zaledwie trzy godziny tej nocy, resztę czasu zajęły mu nerwowe, lecz systematyczne przygotowania, które zaczęły się jakąś godzinę po spotkaniu z pułkownikiem Cziwarszewem.

Stålhandske i Lundwall mieli się natychmiast udać do Vaxholm i przeprowadzić wstępne rozpoznanie. Kiedy wrócili z orientacyjnym planem terenu, szybko i bez dłuższych dyskusji opracowali taktykę.

Następnego dnia przed południem powinni zdobyć nowe niebieskie mundury artylerii nadbrzeżnej z pętelkami w kształcie cebuli i wszelkimi niezbędnymi akcesoriami, żeby mogli wystąpić jako autentyczni porucznicy. Carl nie chciał słyszeć o żadnych problemach Åke z ekwipunkiem.

Joar Lundwall skontaktuje się z szefem szkoły komandosów i zadba, żeby obaj ze Stålhandskem znaleźli się na przyjęciu, nie powinno być z tym kłopotów; dwaj komandosi, którzy otrzymali stopnie oficerskie i pracują w OP5, mają do tego pełne prawo.

Na ich mundurach nie mogą się niestety pojawić niebiesko-żółte baretki, ponieważ wzbudziłoby to teraz, po przesłuchaniu Carla przez komisję konstytucyjną, niepotrzebne komentarze.

Stålhandske nie był zachwycony, ale nie protestował.

O piątej rano Carl zbudził Samuela Ulfssona. Godzinę później spotkali się w ciemnym, kompletnie pustym gmachu Sztabu Obrony.

Dyskusja nie kleiła się, starali się jednak o pewną systematyczność. Po pierwsze, mogła to oczywiście być pułapka, choć raczej należałoby to wykluczyć, ponieważ Rosjanie mieli równie mało powodów do wszczynania wojny agentów jak Szwedzi. Po drugie, to rzecz policji, nie wiadomo jednak, którzy policjanci są zamieszani w tę sprawę, a poza tym uchodzi ona za najpodatniejszą na przecieki. Rozmowa z policją równa się rozmowie z „Expressen”.

Kiedy Carl pokazał szkice, Ulfsson skonstatował, że interesujący ich obiekt leży na terenie wojskowym, co zmienia postać rzeczy.

Szybko odrzucili możliwość zwrócenia się do doradcy prawnego rządu, prokuratora generalnego, ministra obrony i innych, ponieważ tak czy inaczej wszystko trafiłoby do Nöslunda, a tym samym, w najgorszym wariantcie, do wroga wroga.

Samuel Ulfsson długo się zastanawiał. Istniały powody do przypuszczeń, że jeśli owe nieregularne siły policyjne wpadną w ręce Carla i jego zapewne równie sprawnych pomocników, bez trudu się z nimi rozprawią. Coś jednak może pójść nie tak i kto wówczas będzie za to odpowiedzialny?

Z drugiej strony, jeśli oni tego nie załatwią i nie unieszkodliwią tych gangsterów, kto to zrobi? Nöslund? I za jaką cenę? Gdy wojna agentów wejdzie w kolejną fazę?

— Zapoznaj się dokładnie ze wszystkimi instrukcjami dotyczącymi posterunków wojskowych — rzekł w końcu Ulfsson. — Na warcie musicie bezwarunkowo wystąpić w mundurach. Dzisiaj wieczorem obejmiecie służbę i sami zdecydujecie, jakie działania taktyczne są najdogodniejsze. Czy to jasne?

— Całkowicie.

— Dobrze, a więc na razie sprawa załatwiona, to znaczy, obgadana. Wieczorem będę w domu pod telefonem.

Carl nie bez kłopotu odnalazł wydział dysponujący instrukcjami i od razu przystąpił do studiowania regulaminu wartowników. Od czasu do czasu robił notatki. Uderzyła go myśl, że Samuel Ulfsson musi znać niektóre zdumiewające przepisy, zdumiewające przynajmniej z punktu widzenia Carla.

O dziewiątej odebrał telefon z policji w Norrköping. Pewnie dużo czasu zajęło zlokalizowanie go w korytarzu opodal gabinetu Ulfssona.

— Dopaść cię to sztuka i kawalek — rzekł na powitanie komisarz Rune Jansson.

— Owszem — wymruczał Carl. — Od jakiegoś czasu mam w tym budynku tajną pracę.

— Byłeś fantastyczny w telewizorze, cała banda gliniarzy siedziała przed aparatem, a sądząc z chwilowego spadku przestępczości, chuliganeria też sobie odpuściła.

— O co chodzi?

— Dzięki za materiał.  
— Jaki materiał?  
— Ten, który anonimowo podesłałeś drogą służbową, czy jak to określić. Traktuję cię jak anonimowego dostawcy informacji.  
— Nie mogę powiedzieć, jak ten materiał zdobyliśmy. Uznaliśmy, że powinniście go otrzymać. Przydał się?  
— Tak, nazwałbym go przełomowym.  
— To znaczy?  
— Pewna kobieta z Linköping, którą odwiedzili domniemani sprawcy, natknęła się na osiłka. Okazał jej legitymację policyjną. Mamy powody przypuszczać, że mordercy szukali samotnych tego dnia lotników na chybił trafił. Jest więc świadek.  
— Czy zidentyfikowała wysokiego policjanta, którego zdjęcie ci podrzuciłem?  
— Tak.  
— Ustaliliście jego tożsamość?  
— Tak. Słyszałeś o Skórzanej Bandzie ze Sztokholmu?  
— Tyle też wiem.  
— Pozostaje więc pytanie...  
— Tak?  
— Tym razem obejdzie się chyba bez tych numerów z interesem narodu i Bóg wie czym?  
— Domyślam się, o co ci chodzi. Nie, ci ludzie to raczej wrogowie państwa i im prędzej dasz im po mordzie, tym lepiej.  
— Woląłem się upewnić, zanim ich zgarniemy.  
— Macie coś jeszcze oprócz tego świadka? Nie jestem policjantem, ale to chyba ciut przymało.  
— Tak. W laboratorium kryminalistyki znaleźli co nieco. Na przednim fotelu ich samochodu i na kanapie w mieszkaniu, w którym dokonano morderstwa, znaleziono te same włókienka. Jakiegoś nylonu. Możliwe, że z kurtki myśliwskiej marki Helly-Hansen. A poza tym jeszcze parę innych drobiazgów.  
— Policjanci powinni chyba mieć tyle oleju w głowie, żeby się pozbyć wszystkich ciuchów, które na sobie mieli.  
— Tak można by sądzić. W każdym razie ty tak zrobiłeś.  
— Bez komentarza. Chyba nie po to dzwonisz?  
— Nie, cholera. Chciałbym wiedzieć, czy wtedy coś przeszkodziło policji.  
— Jeśli, to Säk.  
— Otóż to. Kiedy zażądaliśmy zainstalowania podsłuchu u jednego faceta, okazało się, że już go założyli. Co wie Säk?  
— Że Glücher jest źródłem „Expressen”, ale nie jestem pewien, czy skojarzyli morderstwa z tą papką w gazecie.  
— To się samo przez się nasuwa.  
— Tak by się wydawało, ale z Säk nigdy nic nie wiadomo, o czym się zapewne przekonałeś na własnej skórze.  
— Owszem. Więc tym razem nie ma żadnego szwindlu?  
— Nie. Mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?  
— To zależy.  
— Poczekaj do jutra z przesłuchaniami, możliwe, że do tego czasu sytuacja się przejaśni.  
— Pod warunkiem, że powiadomisz mnie o wynikach.  
— Naturalnie. Jeśli to, o czym myślę, coś da.  
— Zdzwonimy się jutro po południu?  
— Tak, może wcześniej, ale wtedy ja się jakoś do ciebie odezwę.

\* \* \*

Zastała go siedzącego na materacu z brodą wspartą na kolanach. Był w mundurze i gdy podniósł głowę, wydawał się zmieszany.

— Hej — odezwała się z wahaniem. — Wpadłam tylko, żeby ci powiedzieć, że schodzę ze zmiany o północy, i spytać, czy się zobaczymy. Nie masz telefonu, więc...

Urwała i popatrzyła na niego. Carl był wyraźnie posepny, ale powoli jego twarz wypogadzała się, jakby odpływały czarne chmury.

— Świetnie — powiedział. — Mam ręcznik, coś do jedzenia i trochę wina w lodówce, jeśli chcesz przyjść do mnie. Jeśli nie, ja mógłbym zajrzeć do ciebie. Tak byłoby nawet lepiej.

— Czy coś się stało?

— Tak, musiałem udzielić wywiadu, a dzisiaj muszę się stawić na wojskowe przyjęcie, co wcale mi się nie uśmiecha. Skończy się jednak przed północą. Zobaczymy się u ciebie, przyniosę wino i pożyczę twoją golarkę. Masz nowe ostrza?

— Chyba się znajdują. I salubrin zamiast wody do golenia.

— Fajnie.

Gdy wychodziła, siedział w tej samej pozycji. Czowała się nieswojo, ogarnął ją lęk.

Pół godziny później, choć równie dobrze mogła upłynąć zaledwie minuta, zapiszczało czarne radio. Podniósł się, szybkim krokiem pomaszerował do przedpokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

Lundwall i Stålhandske czekali na dole w volvo 245 z wszelkim niezbędnym sprzętem w obszernym bagażniku.

Czterdzieści pięć minut później byli na miejscu. Carl tkwił na tylnym siedzeniu zaopatrzony w noktowizor, lunetę, odpowiednio precyzyjną broń i radio.

Na przyjęcie Joar Lundwall wszedł z czymś, co przypominało aparacik słuchowy.

W przedpokoju, opodal tylnych drzwi, na półpiętrze w ciemnościach czał się niczym pająk Åke Stålhandske, podobało mu się to, lubił ciemność i miał nadzieję, że mordercy wybiorą tę drogę.

Po posiłku towarzystwo przeszło z jadalni do salonu, usytuowanego blisko głównego wejścia. Było około dwudziestu oficerów i dwudziestu kobiet. Nowi goście zachwiali nieco równowagę tego układu.

Joar Lundwall stał za kanapą, żeby mieć na widoku wejście, i beztrzesko konwersował ze swoim byłym przełożonym, szefem szkoły komandosów, który naturalnie chciał poznać przyczynę jego awansu na oficera.

Joar uważał, że niewiele ma do ukrycia. Ledwie wyjaśnił, że jest w OP5, natychmiast zapytano go o Hamiltona. Spokojnie przyznał, że pracują w jednym wydziale, i Hamilton jest jego pryncypałem, choć nie wiadomo, jak będzie po tym całym zamieszaniu. Odpowiedź wywarła ogromne wrażenie i szef komandosów, mrugnawszy okiem, co znaczyło, „między nami mężczyznami, którzy mają swoje tajemnice”, szybko zmienił temat rozmowy.

Joar Lundwall pomyślał, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z przewidywaniami, jego tożsamość pod koniec wieczoru nie będzie już tak mglista. Zdumiała go własny spokój i pewność siebie. Brały się być może stąd, że dwaj jego koledzy też uczestniczyli w operacji Big Red. Na kimś takim zawsze można polegać.

Podobne myśli zaprzętały Carla na posterunku w samochodzie. Czy Jurij Cziwarszew mógł założyć, że ci, którzy się tutaj dzisiaj znajdują, przeprowadzili operację Big Red? Jedyni świadkowie niżsi stopniem od admirała i ministra.

Próbował odegnąć tę myśl. Nie mieli przecież pojęcia o taktyce przeciwnika i nie mogli zacząć wojny, wysyłając cały pluton.

Nie. Sami ponieśliby duże straty. Spowodowałiby kryzys polityczny większy niż ten, do którego doprowadziła afera z Cataliną. Na pewno czegoś takiego nie chcą. Rosjanie są logiczni i dokładni, dlatego niekiedy bywają przewidujący. Nie znoszą brawury i niepewnych przedsięwzięć.

Teraz już za późno, by się wycofać. W środku jest około czterdzieścioro nie uzbrojonych, niczego nie podejrzewających Szwedów, a on, zgodnie z instrukcją i rozkazem, pełni funkcję wartownika.

Szczelniej owinał się kożuchem. Marzły mu stopy, ponieważ włożył półbuty. Okno musiało być odkręcone, żeby nie zaparowały szyby.

Samochód nadjechał bardzo wolno, z wygaszonymi światłami. Carl pomyślał, że to kompletny idiotyzm. Ustawił już lunetę, nie miał przynajmniej żadnych odbić.

W samochodzie siedziało trzech mężczyzn. Widział ich wyraźnie. Za kierownicą Glücher, obok osiłek, a z tyłu? Nie był pewien.

Zatrzymali się przy bramie, trzydzieści metrów od głównego wejścia i wyłączyli silnik. Samochód Carla stał pośród innych zaparkowanych wozów. Bez noktowizora go nie zauważą. Ostrożnie otworzyli drzwiczki z obu stron i nim ruszyli do bagażnika, cicho je zamknęli.

— Uwaga! — odezwał się Carl do dwóch mężczyzn z aparacikami słuchowymi w uszach. — Trzej domniemani bandyci, odległość trzydzieści metrów, zachować ciszę radiową.

Joar Lundwall konwersował w najlepsze z czyjąś żoną. Natychmiast stracił wątek i musiał o coś jeszcze raz spytać. Dyskretnie się rozejrzał. Trzeba się odrobinę przesunąć w prawo, żeby sobie zapewnić wolne pole strzału.

W ciemnościach przy tylnych drzwiach Stålhandske wyciągnął broń, odbezpieczył i położył na stopniu, po czym szybko wykonał kilka przysiadów, żeby rozprostować kości i podnieść temperaturę ciała.

— Dobry Boże, spraw, by te skurwysyny przyszły do mnie — wyszeptał dość niekonwencjonalną modlitwę.

Mężczyźni wolno oderwali się od bagażnika. Wszyscy mieli automaty, o ile się mógł zorientować, AK4. Niewesoło. Spodziewał się obrzynów, jak poprzednio.

Jeden zatrzymał się przy samochodzie, pozostali ruszyli ku drzwiom. A więc wcześniej dokonali rozpoznania. Nim się rozeszli, popatrzyli na zegarki.

— Uwaga! — Carl usiłował nadać głosowi neutralny ton, choć miał wrażenie, że w krótkofalówce słysząc bicie jego serca. — Uwaga! Dwaj bandyci podchodzą do domu, odległość piętnaście metrów. Każdy zbliża się do innego wejścia. A teraz rozkazy. Stålhandske: weź wroga żywego i załóż mu kajdanki. Lundwall: gdy tylko zobaczysz faceta z bronią w ręku, natychmiast otwórz ogień. Potwierdźcie przyjęcie rozkazów kaszlnięciem. Pierwszy Stålhandske!

W odstępie dwusekundowym rozległy się dwa kaszlnięcia.

Widząc, że dwaj mężczyźni raz po raz zerkają na zegarki, Carl szybko podzielił się swoim spostrzeżeniem.

— Uwaga! Szykują zsynchronizowaną akcję z dwóch stron, mają broń automatyczną, rozkazy bez zmian, potwierdźcie!

Rozległy się kolejne kaszlnięcia.

— Czy byłaby pani tak uprzejma i zechciała się odsunąć na chwilę na odległość pięciu metrów? — nieoczekiwanie, nie podnosząc głosu, zwrócił się Joar Lundwall do swojej partnerki.

Patrzyła na niego w osłupieniu, po czym zachnawszy się, pomaszzerowała do żony szefa, przypuszczalnie więc gospodyni, której natychmiast zaczęła coś szeptać. Obie się w niego teraz wpatrywały.

Czuł, że się czerwieni, po chwili poczerwieniał jeszcze bardziej, zły, że w krytycznej sytuacji pozwolił się ponieść emocjom. W każdym razie miał wolne pole strzału. Przesunął się nieco w kierunku grupki siedzącej na kanapie i popijającej koniak. Postawił swój nie opróżniony kieliszek na stoliku i odpiął jeden guzik marynarki.



Ocecił, że potrzebuje dwóch sekund, by strzelić. Podczas ćwiczeń nie miałby z tym żadnych problemów, ale podczas ćwiczeń nie odczuwał przyspieszonego bicia pulsu w całym ciele. *This is no exercise, repeat, this is no exercise*, pomyślał.

Sytuacja na zewnątrz dramatycznie się komplikowała. Do bramy, przed którą stał Glücher, podjechał wolno mikrobus z przydymionymi szybami. Światło reflektorów przeszkadzało Carlowi w spenetrowaniu jego wnętrza. Zaklął i zmieniawszy pozycję, sięgnął po karabin automatyczny. Broń była lodowata.

Z sykiem otworzyły się drzwi mikrobusu. Carl przeniósł na niego celownik. Kciuk trzymał na przycisku zabezpieczającym, co w tej sytuacji było błędem. Zostało mu to z czasów myśliwskich wprawek w Skanii. Nigdy nie odbezpieczaj, dopóki nie zdecydujesz, do czego zamierzasz strzelać.

W następnym momencie w celowniku pojawiła się trzynastoletnia Łucja. Za nią wysiadła roześmiana gromadka dzieci w czapkach z gwiazdkami i białych długich koszulach nocnych. Kobieta wyglądająca na nauczycielkę, też w bieli, zaczęła ustawiać dzieci w szeregu przy mikrobusie.

Glücher wydawał się całkiem obojętny. Zapaliwszy papierosa, oparł się o samochód. Karabin zasłonił ciałem, lufę wycelował w ziemię.

Kula w karabinie Carla, z miękkim ołowianym pociskiem, była przeznaczona do polowań na zwierzęta i konwencją genewską zabroniona w polowaniach na ludzi. Pozostałe pięć naboń stanowiło regulaminową amunicję w płaszczach, niedozwoloną w łowiectwie.

Carl przesunął celownik na prawe płuco Glüchera i zastanawiał się, czy nie wyjąć śmiertelnie pocisku i nie poczęstować bandziora kulą w płaszczu bez ostrzeżenia.

Byłoby to jednak wbrew regulaminowi warty, a więc niezgodne z prawem. I gdy się tak wahał, pochód Łucji ruszył ku budynkowi. Dzieci jeszcze nie zaczęły śpiewać, słyszał jedynie chichoty i wesołe rozmowy. Podchodziły do linii strzału, na której znajdował się Glücher.

Spojrzał na pozostałych bandytów. Patrzyli wyczekująco na szefa i na pochód Łucji. Wyglądało na to, że dzieci ich nie zaskoczyły, wręcz przeciwnie, uwzględnili to w swoim planie.

Na znak Glüchera dwaj mężczyźni nagle się ruszyli. Olbrzym zniknął za rogiem, drugi podszedł do głównego wejścia.

Joar Lundwall czuł się jak posąg, bijący gwałtownie puls wyraźnie go informował o poziomie adrenaliny i stanie najwyższej gotowości.

W odbiorniku lekko zachrząściło, gdy włączył się Carl.

— Uwaga! Dwaj mężczyźni podchodzą do drzwi. Do frontowego wejścia zbliża się pochód Łucji. Stålhandske, ten sam rozkaz co poprzednio. Potwierdź po wykonaniu.

Lundwall, ten sam rozkaz co poprzednio, ale przygotuj się na zakaz wymiany ognia.

Moment później na zewnątrz dał się słyszeć śpiew i gospodyni, która najwyraźniej na to czekała, błyskawicznie pogasiła wszystkie światła i wprowadziła gości do dużej sali balowej, gdzie zaczęto się ustawiać pod ścianami.

Mężczyźni siedzący na kanapie uznali, że tu im dobrze, i zostali. Stanowili wymarzony cel dla mordercy.

Joar Lundwall nieznacznie zmienił pozycję, przysuwając się do tylnego oparcia kanapy. Wszyscy zdawali się pochłonięci tym, co dzieje się dziesięć metrów dalej, w sali balowej, gdzie właśnie zapalano świece. Joar Lundwall niespiesznie wyjął pistolet, odbezpieczył, naciągnął spust i trzymał broń za kanapą. Teraz do strzału wystarczy niecała sekunda. Światło w szparach drzwi do przedpokoju pozwalało spodziewać się, że cel zostanie nim oświetlony z tyłu. Głosy dzieci brzmiały donośnie, śpiewały o parobku stajennym Szczepanie.

Åke Stålhandske patrzył zafascynowany na klamkę. Wolno przesuwiała się w dół. We wcześniej usłyszał kroki na śniegu i już zajął pozycję. Drzwi się otworzyły, do środka wszedł facet jego wzrostu i bez wahania zamknął je za sobą.

Carl drżał z zimna i narastającego zdenerwowania. Sytuacja się zmieniła. Dzieci były na linii strzału między nim a mężczyzną stojącym przed głównym wejściem. Planowali zgrać akcję z pochodem Łucji. Automaty z dwóch stron, półmrok, dzieci. Namierzył mężczyznę przed domem. Odległość między nim a dziećmi była już mniejsza niż dziesięć metrów. Zdecydowanie zarepetował broń, żeby przejść na amunicję w płaszczach, odszukał cel, znów zmienił pozycję i w tym momencie mimowolnie chuchnął na soczewkę, która natychmiast zaparowała. Klnąc, wysunął rękaw koszuli, żeby usunąć przeszkodę, i jednocześnie usłyszał kasznięcie Stålhandskego.

Namyślał się. Atak może więc nastąpić tylko z jednej strony. Tymczasem facet przy drzwiach nagle zniknął w budynku.

Uwaga! — powiedział szybko i mechanicznie. — Wróg numer dwa wszedł, dzieci w odległości niespełna dziesięciu metrów. Czarne ubranie, dzieci na biało. Rozkaz dla Lundwalla ten sam, ale wyłącznie w czystym polu. Potwierdzić!

Mimo chłodu Carl zaczął się pocić i kiedy jeszcze raz zmienił pozycję, żeby odszukać Glüchera, usłyszał dyskretne kasznięcie Lundwalla. Dzieci śpiewały teraz pełnym głosem i wchodziły do budynku.

Joar Lundwall miał wrażenie, że tkwi w próżni, w której znajdują się jedynie drzwi, które otworzy albo ktoś w bieli, albo ktoś w czerni.

Muszę mierzyć wysoko, pomyślał. Wróg jest wyższy od dzieci. Nie w środek celu, tylko wyżej.

Nagle zaczęło mu się roić, że skamieniał, i kiedy drzwi się lada moment otworzą, on nawet nie drgnie.

Otworzyły się na zewnątrz, szczegół, który okazał się może decydujący, bo ledwie człowiek w czarnej skórzanej kurtce się z nimi uporał i zamierzał ująć broń w obie dłonie, żeby strzelić, zginął.

Joar Lundwall pomyślał mimochodem, że rąbnął dokładnie tak jak na ćwiczeniach do nagle się pojawiającej kukły. Dwa strzały, wysoko w linię środkową celu. Ślady były wyraźne. Trafił w głowę.

Po strzałach zaległa co najmniej sekundowa, martwa cisza.

Potem w przedpokoju rozległ się krzyk, histeryczny i przeraźliwy, towarzystwo stało jak zaczarowane, lada chwila wybuchnie panika.

— Zostańcie na miejscach, już po wszystkim! — krzyknął Joar Lundwall łamiącym się, bliskim falsetu głosem. Jego rozkaz przyniósł natychmiastowy skutek. Zdławił pierwsze spontaniczne odruchy zebranych. — Jesteśmy z OP5, policja i karetka pogotowia w drodze, proszę o pozostanie na swoich miejscach! — podjął bardziej już opanowanym głosem i z lufą wycelowaną w sufit ruszył do przedpokoju.

Dwoje dzieci krzyczało histerycznie. Pierwsze, co zobaczył, to pokrwawiona czapeczka z gwiazdą, drugie — twarz wrzeszczącej, pokrwawionej dziewczynki. Lekko klepnął ją w policzek, potrząsnął za ramiona i z ulgą schylił się do mikrofonu.

— Wróg numer dwa trafiony, dzieci nie tknięte, tylko zakrwawione.

— Dobrze — odparł Carl, nie spuszczać wzroku z Glüchera, mimo że piszczące dzieci pojawiły się na linii strzału. — Lundwall, przekaz wiadomość, że zjawi się szef, by udzielić informacji, Stålhandske, natychmiast wracaj do bazy.

Odszukał Glüchera, drugim okiem łypiąc tam, gdzie powinien się pokazać Stålhandske. Za późno pojął swój błąd. Gdy chmara dzieci przesłoniła Glüchera, ten podniósł broń i zaczął mierzyć w ruchomy cel.

— Stålhandske, kryj się! — krzyknął i chwilę później facet przy samochodzie strzelił.

Padły trzy strzały. Dzieci rozpięchły się niczym ławica uklei umykająca przed morskim drapieżnikiem.

Gdy Carl desperacko szukał wolnego pola pośród czapecek z gwiazdami, bandzior znów puścił serię.

Nagle pole się oczyściło. Carl odciągnął spust.

— Stålhandske, melduj!

— Nic wielkiego — odparł Åke, co Carlowi dało do myślenia.

— Jesteś ranny?!

— Nie. Ten skończony idiota chybił o dobrych kilka centymetrów, chociaż ładował sześć razy.

— Natychmiast wracaj do samochodu. Lundwall, powiedz, że już po wszystkim — polecił Carl, zastanawiając się, czy rzeczywiście jest po wszystkim.

Wybrał numer alarmowy na samochodowym telefonie, wezwał policję i karetkę pogotowia, a kiedy zjawił się Stålhandske, usiłował myśleć praktycznie. Kazał Åke zebrać dzieci, policzyć je i sprawdzić, czy żadnemu nic się nie stało, a potem zająć się Glücherem i udzielić mu pierwszej pomocy, ale dopiero gdy pochód Łucji będzie pod kontrolą.

— Jaka sytuacja przy tylnych drzwiach? — spytał, lekko zeszywniały wychodząc z samochodu.

— Melduję jeden egzemplarz w bransoletkach przykuty do kaloryfera w przedsionku — triumfalnie odrzekł Stålhandske.

— Dobrze. Zbierz teraz dzieci i skontaktuj się z ich opiekunką.

Carl ruszył w stronę domu, zastanawiając się, jak on właściwie strzelał do Glüchera. Najpierw mierzył na lewo od linii środkowej, Glücher był praworęczny, żeby uniknąć trafienia w broń, kręgosłup albo serce. Ale w krytycznym momencie opuścił karabin i wypalił, kiedy cel znajdował się gdzieś w okolicach brzucha. Był opanowany, dobrze podparty, spokojnie nacisnął spust.

Joar Lundwall stał pośrodku pokoju przed drzwiami do przedpokoju, schował już pistolet i zapiął mundur. Towarzystwo zaczynało się niepokoić.

— Szef zjawi się za trzydzieści sekund, żeby poinformować o sytuacji! Możemy zapalić światło! — krzyknął i narastający gwar ucichł.

Chwilę później wszedł mężczyzna, którego wszyscy od razu rozpoznali.

— Prosimy o wybaczenie. Ci, którzy przypuścili atak, są odpowiedzialni za tak zwaną wojnę agentów. OP5, zgodnie z rozkazem Sztabu Obrony, trzymał tu dzisiaj posterunki — powiedział Carl.

Gdzieś z głębi sali balowej dał się słyszeć szloch, poza tym wszyscy zastygli w bezruchu.

— Co się tam stało? Co z dziećmi? — spytał szef szkoły komandosów ochryplym głosem, odchrząkując po pierwszych słowach.

— Jeden z napastników otworzył ogień i został pokonany, wedle naszej oceny sytuacji żadne dziecko nie ucierpiało, teraz badamy to bliżej — z udawanym spokojem odparł Carl.

I spojrzawszy na Joara Lundwalla, wskazał na zbryzgany krwią przedpokój.

— Wszystko w porządku — powiedział Joar — to efekt przebiecia. Były trochę zszokowane, ale nie doznały ran.

Carl wskazał tylne drzwi.

— Sprawdź, co z tym trzecim.

Kiedy Lundwall ruszył w tamtą stronę, Carl ponownie zwrócił się do zebranych.

— Policja i karetka pogotowia są w drodze. W imieniu Sztabu Obrony prosimy, byście ani policji, ani komukolwiek nie wspominali o nas. Sztab Obrony zajmie się tym w odpowiedni sposób, powiedzcie tylko, że jesteśmy z OP5, z tajnej służby, a nasza tożsamość jest utajniona i jej ujawnienie podlega karze. Są jakieś pytania?

— Tak. Jedno krótkie. Kto zaatakował? — zapytał gospodarz.

— Funkcjonariusze szwedzkiej policji bezpieczeństwa i policji porządkowej, ale nie służbowo — odrzekł Carl, odnotowując jednocześnie znak Lundwalla, że z tyłu wszystko jest pod kontrolą.

— Jest jeszcze jeden, skuty kajdankami przy tylnym wejściu, przekażcie go policji — poinformował Carl i bez pośpiechu oddalił się wraz z Lundwallem.

Minęli zwłoki policjanta w czarnej skórzanej kurtce i w bardzo pokrwawionym, częściowo zgruchmanionym kapturze.

Gdy wyszli, owiał ich twarze zbawczy chłód. Z oddali dobiegały dźwięki syren. Åke Stålhandske stał przy samochodzie i dawał im znaki, że wszystko gotowe.

— Dzieci policzone? — spytał Carl, sadowiąc się z przodu obok Stålhandskego i szukając włącznika ciepłego powietrza na desce rozdzielczej.

— Tak, policzone i całe. Dwojgu umyłem twarz, były trochę ubabrane mózgiem tego gliniarza. Cholerny strzał, Lundwall — rzekł Stålhandske, uruchamiając silnik i wrzucając bieg.

Kiedy wyjeżdżali z parkingu, dostrzegli w ciemnościach niebieskie światła, syreny słychać było coraz wyraźniej.

Carl poczuł się nagle potwornie zmęczony.

— A co z Glücherem? — spytał.

— Do rozprawy chyba przeżyje. Ale po kilku latach w pierdłu niechybnie się roztyje i będzie miał, kurde, cieniutki głosik.

Stålhandske zwolnił i zjechał na pobocze, żeby przepuścić karetkę.

— Coś ty właściwie miał na myśli? — zdziwił się Carl.

— Ciut za nisko mierzyłeś. Niewiele z niego zostało mężczyzny, ale chyba celowałeś w biodra albo w uda, co?

— Tak, chciałem mu odstrzelić biodro. Musiał się poruszyć — przyznał Carl, patrząc w boczną szybę.

Przejechała druga karetka, a tuż za nią śmignął wóz policyjny.

— Połącz mnie z Samem, Joar. Zgadzam się z Åke, strzelałeś na pewniaka, pewnie wysoko mierzyłeś?

— Tak, gdybym walił normalnie, mógłbym trafić któreś z dzieci. Mieliśmy przecież amunicję w płaszczach ze wzmocnionym ładunkiem, przebijającą kuloodporne kamizelki. Ale nie zdążyłem sobie za dużo pomyśleć.

Carl przejął słuchawkę, zwięźle zameldował szefowi, co zaszło, i poprosił go, by się skontaktował z wydziałem zabójstw w Norrköping.

Do Sztokholmu dojechali w milczeniu. Były trzy minuty po dziesiątej, dzień Świętej Łucji. Pomyślał, że biurokratyczna procedura w Sztacie Obrony zajmie około godziny.

Zdaży wpaść do domu, przebrać się, wziąć wino i zjawić się u niej, zgodnie z umową, mniej więcej o północy.

# Epilog

Szwedzki wartownik wojskowy w regulaminowym mundurze, to znaczy nawet w mundurze galowym, ma prawo na terenie wojskowym otworzyć ogień bez ostrzeżenia, jeżeli uzna to za konieczne.

Siły zbrojne dysponują ogólnym pozwoleniem na broń. Nie ma zatem żadnych ograniczeń w uzbrojeniu szwedzkich posterunków wojskowych.

Tak mniej więcej zaczynało się oświadczenie Sztabu Obrony, wydane o piątej rano następnego dnia, przed pierwszymi wiadomościami „Dagens Eko”.

Dalej Sztab Obrony potwierdzał, że pracownicy OP5, których tożsamość ze względu na bezpieczeństwo państwa i przepisy wojskowe musi pozostać utajniona, na specjalny rozkaz Sztabu Obrony pełnili wartę, zgodnie z regulaminem, podczas przyjęcia z okazji Dnia Świętej Łucji w Szkole Artylerii Nadbrzeżnej.

Kiedy zaistniały powody do przypuszczeń, że funkcjonariusze szwedzkiej policji szykują się do terrorystycznego ataku, Sztab Obrony uznał za niemożliwe poinformowanie o tym policji. Poza tym armia zwykle sama dba o własne bezpieczeństwo.

Prokuratura w Vaxholm już po południu oświadczyła, że nie zostanie wszczęte dochodzenie w sprawie nadużycia uprawnień służbowych, ponieważ nie ma ku temu żadnych podstaw. Wszystko odbyło się zgodnie z obowiązującym prawem i przepisami wojskowymi dotyczącymi terenów wojskowych.

\* \* \*

Dla „Expressen” nastały ciężkie dni, szybko jednak potrafił się dostosować do tonu innych mediów obsługujących proces zastępcy komendanta Glüchera i jego pozostałego przy życiu pomagiera, który służył w sztokholmskiej policji porządkowej, a dodatkowo, co trudno wytłumaczyć, występował w charakterze ochrony osobistej wysoko postawionych polityków.

Z czysto prawnego punktu widzenia proces nie nastroczał najmniejszych problemów. Dowody uznano za dostateczne, uśiłowanie zabójstwa w Vaxholm za bezsporne. Nie trzeba było wzywać na świadków pracowników pełniących wówczas wartę. Ekspertyzy techniczne i informacje uzyskane od świadków łączyły zamachowców z morderstwami dwóch szwedzkich pilotów w Linköping.

Dowodów na powiązanie oskarżonych z morderstwem w Näsbypark w zasadzie nie znaleziono. Prokurator przedstawił jedynie poszlaki i hipotezy co do sposobu, w jaki Glücher zdobył informacje o podejrzanym sekretarzu stanu. Ze względu jednak na charakter czynu, czyli podobieństwo działania, można było przyjąć, że oskarżeni są winni i tej zbrodni.

Oskarżeni zaprzeczyli wszystkiemu z wyjątkiem tego, że byli w Vaxholm. Asystent policji przez cały czas milczał, a jego szef, tak bowiem traktowano Glüchera z wydziału bezpieczeństwa Głównego Zarządu Policji, gdy oddano mu głos, nie powiedział nic w sprawie, wygłosił za to mętną polityczną mowę o zagrożeniach mających pogryźć Szwecję. Wszystko zaczęło się od Olofa Palmego i jego ustępstw wobec Rosji. Naród szwedzki musi otworzyć oczy na to, co się szykuje, inaczej Szwecja stanie się jedną z republik radzieckich i tak dalej.

Ujmując rzecz w skrócie, zastępca komendanta zdawał się sądzić, że działa w interesie narodu, że prawo nie może stanowić przeszkody, gdy celem jest niezależność Szwecji, i że takie stanowisko podziela wiele wysoko postawionych osób.

\* \* \*

Reporter „Expressen” Wennström dostał Nagrodę Bonniera za dociekliwość dziennikarską, która doprowadziła do jednego z najbardziej wstrząsających odkryć we współczesnej historii Szwecji.

Za działalność radiową nagrodzono Erika Pontiego. Uznanie wzbudziły cykl wywiadów i wnikliwych reportaży poświęconych nowej taktyce szwedzkiej służby wywiadowczej i osobiste zaangażowanie autora.

W jednym ze wspomnianych wywiadów Carl Hamilton potwierdził to, o czym wszyscy już wiedzieli lub sądzili, że wiedzą. Że to on kierował akcją, w której wyniku ostatecznie rozprawiono się z tak zwaną Skórczaną Bandą.

Prasa radziecka ku powszechnemu zdumieniu bardzo szczegółowo informowała o zdarzeniu, o dzielnym oficerze Carlu Hamiltonie i jego młodości w komunistycznej organizacji studenckiej. We wstępniaku w „Izwestiach” niemal ze złośliwą radością skomentowano pogłoski rozpущane przez koła zbliżone do faszystowskiej bandy policjantów, że Hamilton mimo swojej komunistycznej przeszłości podjął w Moskwie wrogie działania.

Napomknięto także, a raczej napisano wprost, że w fazie poprzedzającej operację unieszkodliwienia antyradzieckiej klikii w łonie szwedzkiej policji wywiad szwedzki współpracował z GRU.

Sztab Obrony początkowo odmówił skomentowania tej sensacyjnej wiadomości. Ale w cyklu wywiadów Erika Pontiego Carl przyznał, że istniały realne podstawy takich opinii, lecz Sztab Obrony pozwolił mu jedynie je potwierdzić. Owszem, nawiązano współpracę w sferze informacyjnej.

Nikogo więc nie zaskoczyło, kiedy radziecki minister obrony za pośrednictwem ambasady szwedzkiej w Moskwie wystosował zaproszenie dla komandora podporucznika hrabiego Carla Hamiltona. Chodziło o odebranie z jego rąk w Moskwie Orderu Czerwonej Gwiazdy, którego nie przyznano cudzoziemcowi z Zachodu od czasów wielkiej wojny ojczyźnianej.

Wedle komentarzy politycznych przekazanych szwedzkim mass mediom przez radziecką APN dowody uznania dla komandora podporucznika Hamiltona powinny w końcu położyć kres wszelkim antyradzieckim spekulacjom o wrogości między dwoma krajami i pogłoskom, jakoby rzeczony komandor podporucznik podczas pobytu w Moskwie w charakterze attaché wojskowego zachował się w sposób niezgodny z jego pozycją dyplomaty. Byłby wówczas gościem niepożądanym. Tymczasem jest odwrotnie. Tak zwana eliminacja rzekomego szwedzkiego szpiega w stolicy ZSRR jest czczym wymysłem.

\* \* \*

W niezwykle chłodny lutowy dzień w parku im. Gorkiego przechadzało się dwóch eleganckich mężczyzn. Jeden miał czapkę z szopów, drugi z soboli, prezent od miłującego pokój narodu radzieckiego. Tak mu przynajmniej powiedziano.

W „Muzykalnoj żyzni” i „Sowieckoj muzikie”, najbardziej prestiżowych pismach muzycznych w Związku Radzieckim, debiutująca pianistka uzyskała rewelacyjne recenzje. W „Sowieckoj muzikie” zamieszczono także obszerny życiorys artystki, artykuł o jej długim kształceniu, co jest także zasługą systemu radzieckiego, rozpoczętym w specjalnej szkole muzycznej, kiedy miała sześć lat, a kontynuowanym w gimnazjum muzycznym i wreszcie uwieńczonym studiami w Konserwatorium Czajkowskiego, gdzie trafiła do radzieckiej odpowiedniczki nowojorskiej Julliard School — „Szkoly dla utalentowanych dzieci i młodzieży”. W Wielkiej Sali tejże uczelni debiutowała teraz przed oczarowaną publicznością.

W obu czasopismach przepowiadano jej fantastyczną przyszłość. I biorąc pod uwagę wpływ owych publikacji na radzieckie życie kulturalne, owa fantastyczna przyszłość już się zaczęła.

Oba periodyki spoczywały w lewej kieszeni Carlowego palta. Z niejakim wysiłkiem przesyłabizował tekst, który wydawał się nie pozostawiać cienia wątpliwości. *A star was born. Jak to będzie po rosyjsku? Zvezda radilas?*

— Jak spotkanie z ambasadorem? — spytał Jurij Cziwarszew.

— Był trochę wstrzemięźliwy. By nie powiedzieć, podejrzliwy albo wkurzony — odparł Carl z uśmiechem.

— Jak to?

— Ponieważ „Izwestia” zapewniły, że nie zrobiłem nic, co byłoby nie do pogodzenia z moją pozycją dyplomaty w Moskwie, nabrał przekonania, że jest wręcz przeciwnie.

— Nie ma na świecie nic pewnego, myślał pan o tym, młody komandorze podporuczniku?

— Tak, zwłaszcza w tym mieście, a nawet w tym parku. Tam, gdzie dzieci jeżdżą na łyżwach, pływałem łódką z przyszłą pianistką koncertową, która sądziła, że jesteśmy podsłuchiwani.

— Nie byliście, w każdym razie nie wtedy. I nie przez nas.

— Przystudiował pan materiał?

— Owszem, dokładnie.

— I jakie jest pana zdanie?

— Bardzo przekonujący. Czekiści mieli trochę danych o tej delegacji BPA, a nawet fotkę tego człowieka robiącego zdjęcia gdzieś na przedmieściach.

— Już wtedy mogło się to skończyć.

— Niezupełnie. Nie wiedzieli, kogo mamy, a czegoś takiego nie mówi się czekistom.

— Do końca życia zostalibyśmy wrogami.

— Tak, ale niech pan nie prosi, żebym wymieniał plusy i minusy. Jeśli czekiści nas podsłuchują...

Carl nie był pewien, czy ma to potraktować jako żart.

Chwilę szli w milczeniu. Było minus dziesięć stopni, oddychali w chmurach pary, pod stopami skrzypiał śnieg.

— Jaki dostaną wyrok ci prowokatorzy? — zapytał w zamyśleniu Cziwarszew.

— Przypuszczam, że dożywocie. Tak się to nazywa, chociaż w praktyce wyjdą mniej więcej po ośmiu latach. Jeśli jakiś psychiatra nie uzna ich za obłąkanych. Wówczas będą wolni po roku. Uwzględniając jednak sytuację polityczną, nie sądzę, by któryś z psychiatrów wyskoczył z taką opinią.

— Czyżby wasi psychiatrzy brali pod uwagę kwestie taktyczne i polityczne?

— Tak przynajmniej twierdzi mój znajomy policjant.

— Zabawne, bardzo zabawne.

— Dlaczego?

— Bo właśnie zamierzamy znieść system psychiatrycznych diagnoz o podłożu politycznym. *Glasnost*, jak pan wie. Zabawne, że czasem role się zmieniają. A co pan sądzi o *glasnosti*?

— Mam nadzieję, że się wam uda. Boimy się, żeby za kilka lat wszystko nie wzięło w łeb, bo znów dojdzie do zimnej wojny. To najgorszy wariant. A Szwecja leży zbyt blisko was, żebyśmy... no cóż, znów zostalibyśmy wrogami, prawdopodobnie zagorzalszymi niż kiedykolwiek.

— Tak, tak, miejmy nadzieję. Bez względu na to, co się stanie, i tak skończą na Syberii.

Carl patrzył w osłupieniu na rosyjskiego kolegę. Cziwarszew roześmiał się.

— Pochodzę stamtąd — wyjaśnił. — Tam jest mój dom, mógłby mnie pan kiedyś odwiedzić, zapolowalibyśmy na suhaki. Lubi pan polować? Myślę o zwierzętach.

— Owszem, ale ostatnio trafiały mi się zupełnie inne polowania.

— Jakie są pańskie najbliższe plany, młody oficerze?

— Zostanę ojcem i będę siedział w Sztynie.

— Gratuluję, szczerze gratuluję i panu, i kolegom, którzy nie będą się musieli z panem spotykać w terenie. Przysporzył nam pan niemało problemów. Szkoda, że nie mogę pana przedstawić mojemu następcy w Sztokholmie, zapewne mielibyście o czym rozmawiać, ma podobne przygotowanie do pańskiego.

— Wszystko ma chyba swoje granice.

— Racja. I tak posunęliśmy się dość daleko, dla pana wtrąciliśmy się nawet do niezależnego radzieckiego życia kulturalnego, co, zapewniam, nie przyszło nam z łatwością.



*Glasnost'* stwarza pewne przeszkody. I pomyśleć, że chciałem zakończyć karierę zwerbowaniem najmniej dyskretnego szpiega świata.

— Jeszcze nie jest za późno.

Obaj wybuchnęli śmiechem, objęli się i rechotali do łez ku niemiłemu zdumieniu odzianych w futra mieszkańców Moskwy.